

ROBERT FABBRI

# WESPAZJAN

UTRACONY ORZEŁ  
RZYMU



REBIS

ROBERT FABBRI

# WESPAZJAN

UTRACONY ORZEŁ  
RZYMU

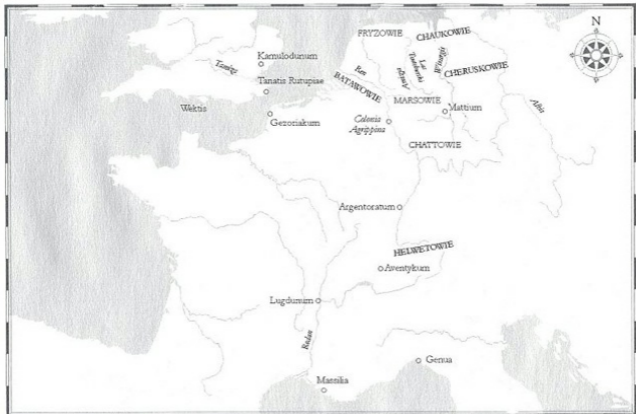
Przełożył  
Konrad Majchrzak



DOM WYDAWNICZY REBIS

Mojej siostrze Tanyi Potter i jej mężowi Jamesowi  
oraz ich uroczym córkom o imionach Alice, Clara i Lucy

PS Tym wszystkim, którzy chcieliby wiedzieć,  
co wynikło z mojej dedykacji w ostatniej książce,  
miło będzie usłyszeć, że Anja powiedziała „tak”!



# PROLOG

RZYM

24 STYCZNIA 41 ROKU

**S**kierowana ku publiczności jaskrawa maska, pod którą kryła się twarz komika, miała wyszczerzone w uśmiechu zęby i okrągłe oczy. Aktor płąsał przez chwilę z wierzchem lewej dłoni przyciśniętym do podbródka i z wyciągniętą prawą ręką.

– Niecny uczynek, który sprowadza na was *wszystkie* te zgryzoty, był moim dziełem, sam przyznaję – oświadczył.

Widzowie przyjęli gromkim śmiechem tę celowo dwuznaczną kwestię, klepiąc się po kolanach i klaszcząc w dłonie. Aktor grający młodego kochanka skłonił głowę, dziękując za uznanie, po czym zwrócił się do swojego partnera, który nosił ową bardziej groteskową maskę głównego winowajcy.

Zanim jednak aktorzy zdołali podjąć dalszą grę, Kaligula zerwał się z miejsca.

– Czekajcie! – zawołał.

Dziesięć tysięcy par oczu ludzi wypełniających tymczasowy teatr, przytulony do północnego stoku Palatynu, skierowało się ku wzniesionej pośrodku tej nowej budowli, wspartej na drewnianych kolumnach łoży cesarskiej.

Cesarz przybrał tę samą pozę co aktor na scenie.

– Plaut chciałby usłyszeć tę kwestię wypowiedzianą inaczej.

Bezbłędnie zapląsał i upodobił twarz do maski, rozciągając usta w jej szerokim uśmiechu i wytrzeszczając zapadnięte oczy, tak że białka wyraźnie kontrastowały z ciemnymi workami, charakterystycznymi dla osób cierpiących na bezsenność.

– Niecny uczynek, który sprowadza na was *wszystkich* te zgryzoty, był *moim* dziełem, *sam* przyznaję – powiedział. Kiedy wymówił ostatnią sylabę, przeniósł lewą dłoń spod podbródka na czoło i melodramatycznym gestem odrzucił do tyłu głowę.

Tłum okazał rozbawienie jeszcze energiczniej i głośniejsze, choć tym razem była to reakcja wymuszona. Na scenie obaj aktorzy pokładali się ze śmiechu. Kaligula, rozkoszując się pochlebczym entuzjazmem, porzucił aktorską pozę i z szyderczym uśmieszkiem rozłożył szeroko ramiona, obrócił się w lewo, potem w prawo, obejmując tym gestem całą półkolistą widownię.

Z tyłu, w cieniu jednego z wielu daszków rozciągniętych nad stromo zbiegającymi w dół rzędami siedzeń, stał Tytus Flawiusz Sabinus i spod zakrywającego mu twarz kaptura z obrzydzeniem spoglądał na swojego cesarza.

Kaligula wyciągnął ku widzom otwartą dłoń; uspokoił się niemal natychmiast.

– Kontynuujcie! – rozkazał i usiadł.

Kiedy aktorzy powrócili do swoich ról, siedzący u stóp młodego cesarza, odziany

w senatorską togę mężczyzna w średnim wieku zaczął obsypywać pocałunkami i gładzić jego czerwone domowe pantofle, zupełnie jakby były najcudowniejszymi przedmiotami, jakie w życiu widział.

Sabinus zwrócił się do swojego towarzysza, trzydziestokilkuletniego bladego mężczyzny o szczupłej twarzy i kasztanowatych włosach.

– Kim jest ten obrzydliwy lizus, Klemensie?

– To, drogi szwagrze, Kwintus Pomponiusz Sekundus, tegoroczny pierwszy konsul, i właśnie pokazuje, w jaki sposób na tym urzędzie wyraża swoją niezależną opinię.

Sabinus splunął i ścisnął rękojeść ukrytego pod płaszczem miecza. Dłoń miał lepka.

– Chyba nadszedł już czas – powiedział.

– Nadszedł już dawno. Moja siostra od dwóch lat żyje z poczuciem hańby jako kobieta zgwałcona przez Kaligulę; to o wiele dłużej, niż honor pozwala.

Tymczasem na scenie solidny kopniak wymierzony przez młodego kochanka posłał przybyłego właśnie niewolnika na ziemię, co wywołało kolejny wybuch radości tłumu, która narastała, w miarę jak aktorzy zaczęli gonitwę wokół sceny, obfitującą w potknięcia, zwroty i niespodziewanie chybione ciosy. W loży cesarskiej Kaligula dawał własny komediowy pokaz, przeganiając w tę i z powrotem swojego kulawego stryja Klaudiusza, ku autentycznej uciechu publiczności, którą niezmiennie bawiło wystawianie kalek na pośmiewisko. Nawet szesnastu brodatych członków germańskiej straży przybocznej cesarza zaśmiewało się, widząc poniżenie nieszczęśnika. Dwaj trybuni pretorianów, stojący w gotowości po obu stronach tego wydzielonego miejsca, nie wykonali najmniejszego ruchu, by przywołać do porządku podwładnych.

– Czy naprawdę zamierzacie uczynić tego błazna cesarzem? – spytał Sabinus, przekrzykując radosną wrzawę, jaka wybuchła, kiedy słabe nogi Klaudiusza w końcu odmówiły posłuszeństwa i nieszczęśnik rozciągnął się jak długi na posadzce.

– A jaki mamy wybór? On jest ostatnim dorosłym żyjącym członkiem dynastii julijsko-klaudyjskiej. Żołnierze mojej gwardii pretoriańskiej nie zgodzą się na przywrócenie republiki. Wiedzą, że to doprowadziłoby do rozwiązania ich oddziałów. Podniosą bunt, zabiją mnie i wszystkich moich oficerów, którzy staną im na drodze, a potem i tak zrobią Klaudiusza cesarzem.

– Nie, jeśli jego też zabijemy.

Klemens pokręcił głową.

– Honor nie pozwala mi kazać go zabić, bo jestem jego klientem. – Wskazał znajdujących się w loży dwóch trybunów pretorianów i ściszył głos, kiedy Kaligula,

znudzony poniżaniem stryja, usiadł z powrotem na swoim miejscu. – Kasjusz Cherea, Korneliusz Sabinus i ja zgodziliśmy się, że Klaudiusz ma zostać cesarzem. W tym nasza nadzieja na przetrwanie tego wszystkiego. Przeprowadziliśmy dyskretne rozmowy z jego wyzwoleńcami, Narcyzem i Pallasem... a także z wyzwoleńcem Kaliguli, Kallistosem. On rozumie, co się dzieje, i związał swój los ze stronnictwem Klaudiusza; oni wszyscy obiecali w miarę możliwości ochronić nas przed zemstą, jakiej honor kazałby Klaudiuszowi dokonać za zabicie członka jego rodziny, mimo że sam na tej śmierci skorzysta... niewątpliwie ku swemu zaskoczeniu.

– To on jeszcze nic nie wie?

Szwagier uniósł brew.

– A ty powierzyłbyś taki sekret temu gadatliwemu idiocie? – spytał.

– Ale cesarstwo chcecie mu powierzyć?

Klemens wzruszył ramionami.

– Moim zdaniem on powinien umrzeć – oświadczył Sabinus.

– Nie, Sabinusie, i w tej sprawie wymagam twojej przysięgi na Mitrę. Mogliśmy to zrobić już kilka miesięcy temu, ale poczekaliśmy, aż wrócisz do Rzymu i zadasz osobiście ten cios, bo to dla ciebie kwestia honoru. Na jaja Jowisza, przecież po to zdemaskowałem inny spisek przeciwko cesarzowi, żeby to właśnie nam przypadła przyjemność wykończenia drania.

Sabinus, wiedząc, że nie ma wystarczających argumentów, mruknieniem wyraził swoją zgodę. Przez ostatnie dwa lata, jakie minęły od gwałtu popełnionego na jego małżonce Klementynie, oraz od czasu mianowania go legatem Dziewiątego legionu *Hispana* przez sprawcę tego obrzydliwego czynku, stacjonował na północnej granicy, w prowincji Panonia, całkowicie odcięty od Rzymu. Musiał tam czekać, aż Klemens, brat Klementyny, jeden z dwóch prefektów gwardii pretoriańskiej, się zorientuje, którzy z jego oficerów są na tyle zde gustowani szaleństwami Kaliguli, by ryzykować własną głowę, biorąc udział w próbie skrytobójstwa. Trwało to bardzo długo – o czym dowiedział się z rozszyfrowanych listów Klemensa – ponieważ, co oczywiste, ludzie niechętnie i nie z każdym dzielili się myślami świadczącymi o zdradzie stanu.

Stosowna chwila nadarzyła się rok wcześniej, kiedy Kaligula wrócił z wymuszonej ekspedycji karnej do Germanii. Do podboju Brytanii nie doszło, ponieważ legiony odmówiły wejścia na pokład. Cesarz upokorzył żołnierzy za niesubordynację, każąc im zbierać muszelki, niesione potem ulicami Rzymu w parodii triumfu. Zraziwszy sobie armię, nastawił wrogo do siebie senat i gwardię



pretoriańską. Był już zupełnie osamotniony, kiedy oświadczył, że zamierza przenieść stolicę cesarstwa z Rzymu do Aleksandrii. Zarówno dowódcy, jak i dziewięć tysięcy szeregowych pretorianów czarno widzieli swoją przyszłość. Mogli albo wylądować w nieznośnie upalnym Egipcie, albo, co gorsza, zostać na miejscu i popaść w zapomnienie z dala od cesarza, który jedyny nadawał sens ich istnieniu.

Niepewni przyszłości oficerowie zaczęli nieśmiało dzielić się z sobą swoimi lękami. Już wkrótce Klemens mógł zwerbować Kasjusza Chereę. Od dawna podejrzewał trybuna o mordercze zamiary w stosunku do cesarza, który przy każdej okazji wystawiał go na pośmiewisko i upokarzał, kpiąc z jego piskliwego głosu. Cherea wciągnął do spisku swojego przyjaciela, trybuna Korneliusza Sabinusa, i dwóch niezadowolonych z sytuacji centurionów. Mając już grupę pewnych spiskowców, Klemens dotrzymał danej Sabinusowi obietnicy, że to on będzie miał okazję zadać pierwszy cios, i napisał, że wszystko jest gotowe i może już sekretnie wrócić do Rzymu. Sabinus przyjechał przed dwoma dniami. Zatrzymał się w domu Klemensa. Ani Wespazjan, jego brat, ani wuj, senator Gajusz Pollo, siedzący teraz obok siebie w cesarskiej łoży, nie mieli pojęcia o jego obecności w mieście. Po dokonaniu dzieła Sabinus zamierzał wrócić niezauważenie do Panonii. Zapewnił sobie alibi, informując młodszych oficerów, którym zostawił dowództwo na zimowej kwaterze, że odwiedza żonę i dwójkę dzieci, przebywających poza zasięgiem Kaliguli, u jego rodziców w Awentikum, na południu Germanii Górnej. Dzięki temu, jak sądził Klemens, w wypadku zemsty na spiskowcach powziętej przez nową władzę Klementyna straciłaby brata, ale przynajmniej zachowałaby męża.

Na scenie poniżej akcja dobiegła szczęśliwego końca i obie główne postaci opuszczały miejsce wydarzeń i udawały się na ucztę weselną, kierując się ku *scanae frons*, dekoracji przedstawiającej ścianę dwukondygnacyjnego domu z kolumnami, oknami, drzwiami i łukami. Kiedy ostatni z aktorów zwrócił się do widowni, Sabinus nasunął kaptur niżej na twarz.

– Chętnie objęlibyśmy naszym zaproszeniem wszystkich obecnych tutaj przyjaciół. Powiadają, że co za dużo, to niezdrowo, ale nawet za dużo dla sześciorga nie wystarczy dla tysięcy. Pozwólcie zatem, że w zamian za wasze podziękowania będziemy wam życzyć prawdziwej uczyty w waszych własnych domach.

Kiedy publiczność zareagowała owacją, germańska straż przyboczna rozstąpiła się, wpuszczając do cesarskiej łoży wysokiego mężczyznę w purpurowej szacie i ze złotym diademem na głowie. Przybysz złożył cesarzowi ukłon we wschodnim stylu, przyciskając obie dłonie do piersi.

– A ten co tutaj robi? – rzucił do Klemensa zdumiony Sabinus.

– Herod Agryppa? Jest tutaj już od trzech miesięcy, dopraszając się, by cesarz rozszerzył mu jego królestwo. Kaligula bawi się jego kosztem, każąc mu cierpieć za chciwość. Traktuje go prawie tak źle jak Klaudiusza.

Sabinus obserwował, jak judejski król siada obok Klaudiusza i zamienia z nim kilka słów.

– Kaligula zaraz pójdzie wziąć kąpiel – powiedział Klemens, kiedy owacje poczęły cichnąć. – Po drodze obejrzy próbę młodzieńców z greckiej Etolii, którzy mają wystąpić jutro. Kallistos kazał im czekać wyżej, przed Domem Augusta, tuż przy podziemnym przejściu prowadzącym bezpośrednio do tych schodów przy cesarskiej łoży. Możesz się tam dostać tamtym wyjściem. – Wskazał ręką jedne z drzwi na tyłach teatru, po lewej stronie. Były zamknięte. – Zapukaj trzykrotnie, potem zaczekaj chwilę i powtórz pukanie. Dwoje moich centurionów pilnuje tego przejścia i spodziewa się ciebie. Hasłem jest „wolność”. Zakryj twarz chustką, którą masz na szyi. Im mniej ludzi będzie mogło cię rozpoznać, tym lepiej, jeśli już dojdzie do tego najgorszego. Cherea, Korneliusz i ja będziemy towarzyszyć Kaliguli, gdy opuści łożę i wejdzie na schody. Kiedy tylko zobaczysz, że odchodzimy, ruszaj do podziemnego przejścia; powinniśmy się spotkać mniej więcej w połowie drogi. Opóźnię germańską straż, każąc jej dopilnować, żeby nikt za nami nie poszedł, więc będziemy mieli troszkę czasu, choć bardzo niewiele. Ugodź go bezzwłocznie. – Klemens wyciągnął prawą rękę.

– Tak zrobię, przyjacielu – odparł Sabinus. – Będzie to cios prosto w szyję.

Patrzyli sobie przez chwilę w oczy, a uścisk ich rąk był silniejszy niż kiedykolwiek przedtem, po czym skinęli głowami i rozstali się bez słowa, świadomi, że może to być ostatni dzień ich życia.

Sabinus patrzył, jak Klemens wchodzi do łoży cesarskiej, czując coraz większy spokój. Nie przejmował się, czy na koniec dnia będzie żył, czy umrze; obchodziła go jedynie zemsta za brutalny i wielokrotny gwałt na Klementynie, dokonany przez człowieka, który obwołał się nieśmiertelnym bogiem i wzniósł ponad wszystkich ludzi. Dzisiaj ten fałszywy bóg odczuje, że są granice jego nieśmiertelności. W umyśle legata znów pojawiła się twarz Klementyny, która błagalnym wzrokiem szukała u niego ratunku. Zawiódł ją wtedy, ale wiedział, że teraz tego nie powtórzy. Zacisnął rękę na rękojeści miecza. Tym razem jego dłoń była sucha. Odetchnął głęboko. Serce biło mu równo i powoli.

Na scenę wybiegli akrobaci i zaczęli wzajemnie sobą ciskać, fikać koziołki, robić

gwiazdy, ale nikt nie zwracał na nich uwagi. Oczy wszystkich skierowane były na szycującego się do odejścia cesarza.

Sabinus widział, jak Germanie przyjmują od Klemensa rzucony ostrym tonem rozkaz. Kasjusz Cherea i Korneliusz Sabinus ruszyli ze swoich miejsc i ustawili się za siedziskiem cesarza. Starszy konsul ostatni już raz obsypał deszczem namiętnych pocałunków śliczne pantofle, zanim został odtrącony na bok przez obiekty swojego uwielbienia, kiedy Kaligula wstawał.

Tłum wiwatował na cześć swojego boga i władcy, ale na nim nie robiło to najmniejszego wrażenia. Opuściwszy wzrok na Klaudiusza, uniósł mu brodę, przyjrzał się jego szyi i przesunął po niej palcem jak nożem. Przerażony Klaudiusz dygotał i obśliniał dłoń bratanka. Kaligula z obrzydzeniem wytarł ślinę o siwe włosy stryja i krzyknął mu w twarz coś, czego nie dało się usłyszeć w panującym zgiełku. Klaudiusz natychmiast się zerwał i wykuśtykał z łoża. Germanie rozstąpili się przed nim, a on zniknął wszystkim z oczu tak szybko, jak tylko pozwoliły mu na to jego chrome nogi. Sabinus przez cały czas skupiony był na Kaliguli, który teraz obdarzył uwagę Heroda Agryppę i wrzaskiem pognął kłaniającego się służalczko króla z łoża. Cesarz odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął śmiechem, po czym, ku uciesze gawiedzi, sparodiował pełne uniżoności wycofanie się Heroda Agryppy. Wykorzystawszy komediowy potencjał sytuacji, Kaligula opuścił łożę, wymierzając po drodze klapsa Cherei. Sabinus zauważył, że trybun zeszywniał i przesunął rękę w stronę miecza. Powstrzymany spojrzeniem Klemensa stanął u jego boku, tylko jego dłoń zaciskała się i otwierała. Razem z Korneliuszem ruszyli za Kaligulą ku schodom. Tuż przed opuszczeniem łoża Klemens rzucił znaczące spojrzenie Sabinusowi; minął Germanów, których połowa ruszyła za nim, by uniemożliwić publiczności dostęp do schodów, kiedy cesarz ze swoim orszakiem będzie po nich szedł. W łoży strzeżonej przez ośmiu pretorianów został starszy konsul, trzymający się za obolałą twarz.

Wszystko było gotowe.

Sabinus odwrócił się i za ostatnim rzędem miejsc ruszył do wyjścia, które wskazał mu szwagier. Osłonił twarz chustą i zastukał w drewno, tak jak polecił mu Klemens. Drzwi się uchyliły i spojrzał w ciemne, bezlitosne oczy centuriona pretorianów.

– Wolność – szepnął Sabinus.

Skinąwszy lekko głową, centurion otworzył szerzej drzwi.

– Tędy, panie – odezwał się drugi centurion, wskazując drogę, podczas gdy

pierwszy ryglował drzwi.

Sabinus poszedł za mężczyzną utwardzoną ścieżką, wspinającą się łagodnie na tym ostatnim odcinku zbocza. Z góry dolatywała harmonijna smętna pieśń; za sobą słyszał rytmiczny stukot podbitych ćwiekami sandałów centuriona.

Po trzydziestu krokach dotarli na szczyt. Po lewej stronie dwie centurie pretorianów, odzianych w tuniki i togi, towarzyszyły młodzieńcom z Etolii, prowadzącym próbę swojego melancholijnego hymnu. Za nimi można było się dopatrzeć pozostałości imponującej niegdyś fasady Domu Augusta. Wspaniały obiekt łączący architektoniczną elegancję z siłą wyrazu został zdeformowany różnymi pomysłami Kaliguli. Wsunięte do przodu dobudówki, jedna w drugą okazy złego gustu, ciągnęły się wzdłuż stoku aż do świątyni Kastora i Polluksa u podnóża Palatynu, która teraz, co wielu ludzi w głębi ducha uważało za świątokradztwo, służyła za westybul tego kompleksu pałacowego. Centurion skierował Sabinusa do najbliższej z dobudówek.

Wyjawszy zza pasa klucz, mężczyzna otworzył ciężkie dębowe odrzwia i cicho, dzięki dobrze nasmarowanym gęsim tłuszczem zawiasom, rozwarł je na oścież.

– Na prawo, panie – powiedział, stając z boku i przepuszczając Sabinusa. – Zostaniemy tutaj, by nikogo nie wpuścić.

Przez umieszczone po obu stronach okna wpadało światło słoneczne. Pod osłoną płaszcza Sabinus wyjął miecz z pochwy, wyciągnął sztylet zza pasa i ruszył przed siebie. Jego kroki odbijały się głośno od bielonych tynkowanych ścian szerokiego korytarza.

Po kilkudziesięciu krokach z lewej strony, zza zakrętu, dobiegły go męskie głosy. Przyspieszył. W położonym niżej teatrze wybuchły śmiechy i zaraz potem zerwała się burza oklasków. Podeszedł do załomu; głosy były już blisko. Podniósł miecz, gotowy uderzyć. Wyprysnął zza rogu i serce skoczyło mu do gardła, kiedy powitał go przeraźliwy wrzask i zobaczył podłużną obwisłą twarz, przerażone oczy i kapiący wydatny nos. Krzyk zamarł w gardle Klaudiusza i już tylko prznosił wzrok ze skierowanego w siebie miecza na Sabinusa. Towarzyszył mu skamieniały z przerażenia Herod Agryppa.

Sabinus się opanował. Dał Klemensowi słowo, że nie zabije kaleki.

– Wyoście się stąd, obaj! – krzyknął.

Po chwili Klaudiusz oprzytomniał i pokuśtykał, mamrocząc coś pod nosem. Zostawił po sobie kałużę moczu. Herod Agryppa, oddychając głęboko, pochylił się i zajął pod kaptur Sabinusa. Przez chwilę patrzyli na siebie i oczy Heroda lekko się

rozszerzyły. Spiskowiec zagroził mu mieczem i Judejczyk pognął za Klaudiuszem.

Sabinus zaklął i zaniósł do Mitry modlitwę, by wyraz oczu króla nie oznaczał, że go rozpoznał. Szybko o tym zapomniał, kiedy usłyszał głosy dochodzące z dalszej części korytarza. Jeden z nich niewątpliwie należał do Kaliguli. Cofnął się za róg i czekał.

– Jeśli ci chłopcy z Etolii są urodziwi, to może wezmę paru z sobą do łaźni – mówił właśnie Kaligula. – Chciałbyś ze dwóch, Klemensie?

– Jeśli rzeczywiście są urodziwi, boski Gajuszu.

– A jeśli nie są, możemy sobie wziąć Chereę. Chciałbym usłyszeć, jak brzmi ten jego słodki głos w ekstazie. – Kaligula zachichotał; jego towarzysze milczeli.

Sabinus wypadł zza rogu ze wzniesionym mieczem.

Wesołość Kaliguli zgąsła. Zapadnięte oczy wypełnił strach. Odskoczył do tyłu. Cherea unieruchomił go, zaciskając mocarne ręce na jego ramionach.

Sabinus zamachnął się, trafiając ostrzem miecza w szyję cesarza tuż nad tułowiem. Kaligula wrzasnął; kropla krwi prysnęła na twarz Cherei. Miecz zadrgał i uścisk Sabinusa na rękojeści zelżał, kiedy ostrze trafiło w obojczyk.

Zapadła głęboka cisza.

Kaligula patrzył szeroko rozwartymi oczyma w tkwiący w jego ciele miecz, po czym nagle wybuchnął szaleńczym śmiechem.

– Mnie nie można zabić! Wciąż żyję, jestem bog... – Nie dokończył. Wstrząsnął nim gwałtowny dreszcz, usta zastygły w grymasie, otwarte oczy wyszły z orbit.

– Ostatni już raz słyszysz mój *słodki* głos – szepnął mu do ucha Cherea. Lewą ręką wciąż trzymał Kaligulę, druga była niewidoczna. Szybkim ruchem obrócił cesarza bokiem do przodu. Czubek gladiusa przeorał pierś Kaliguli, głowa odskoczyła mu do tyłu, wypuścił gwałtownie powietrze, rozpylając delikatną krwawą mgiełkę.

Sabinus uwolnił miecz i ściągnął chustę z twarzy; fałszywy bóg miał wiedzieć, kto odebrał mu życie i dlaczego.

– Sabinusie! – wychrypiał Kaligula. Krew płynęła strużką z jego ust. – Przecież jesteś moim przyjacielem!

– Nie, Kaligulo, jestem twoją owcą, pamiętasz? – Raptownym ruchem skierował broń nisko i wbił w pachwinę Kaliguli.

Klemens i Korneliusz, wyciągnąwszy miecze, zagłębili je z dwóch stron w ciele cesarza.

Z gorzką satysfakcją, jaką przynosi zemsta, Sabinus uśmiechnął się i pokręcił

nadgarstką, rozszarpując podbrzusze, po czym wbił ostrze głębiej, aż poczuł, że przechodzi na wylot.

Wszyscy czterej zabójcy jednocześnie wyrwali miecze. Kaligula stał chwilę bez żadnego podparcia, po czym osunął się bezgłośnie w kałużę Klaudiuszowego moczu.

Sabinus popatrzył na niegdysiejszego przyjaciela, odkrztusił flegmę i splunął mu w twarz, po czym swoją zakrył chustą. Cherea wymierzył solidnego kopniaka w krwawiącą pachwinę cesarza.

– Musimy już iść – oświadczył spokojnym głosem Klemens. – Germanie wkrótce znajdą ciało, kazałem im liczyć do pięciuset i w tym czasie nie wpuszczają nikogo na schody.

Skrytobójcy ruszyli szybkim krokiem z powrotem. Dwaj centurioni wciąż czekali przy drzwiach.

– Lupusie, poprowadź swoją centurię do pałacu – rozkazał Klemens, mijając ich. – Ecjuzzu, zatrzymaj swoją na zewnątrz i nie wpuszczaj nikogo. I pozbądź się tych zawodzących Etołczyków.

– Czy Klaudiusz i Herod Agryppa was widzieli? – spytał Sabinus.

– Nie, panie – odparł Lupus. – Kiedy ich zobaczyliśmy, cofnęliśmy się na zewnątrz i przeczekaliśmy, aż przejdą.

– Świetnie, możecie ruszać.

Centurioni zasalutowali i pospieszyli do swoich ludzi. Tymczasem z głębi korytarza dobiegły ich głośnie gardłowe krzyki.

– A niech to! – syknął Klemens. – Ci parszywi Germanie nie umieją liczyć. Biegiem!

Sabinus ruszył pędem, rzucając spojrzenie przez ramię. Zza rogu wypadło ośmiu mężczyzn z wyciągniętymi mieczami. Jeden z nich odwrócił się i pobiegł z powrotem w stronę teatru. Pozostali rozpoczęli pościg za nimi.

Klemens pierwszy wpadł przez drzwi i pobiegł po marmurowych schodach, przez wysoko sklepioną salę pełną naturalnych rozmiarów malowanych posągów Kaliguli i jego siostr, do wnętrza pałacu. Skręciwszy w lewo, dotarli do atrium jednocześnie z pierwszymi żołnierzami Lupusa.

– Ustaw swoich chłopców, centurionie! – krzyknął Klemens. – Pewnie będzie trzeba zabić paru Germanów.

Lupus rzucił ostrym tonem rozkaz i pretorianie sformowali szereg w chwili, kiedy Germanie wpadli do atrium.

– Do mieczy! – wrzasnął Lupus.

Z precyzją, jakiej należało się spodziewać po elitarnej rzymskiej formacji, osiemdziesiąt mieczy zabłysło i zadźwięczało unisono.

Mimo tak druzgocącej przewagi liczebnej przeciwników garstka Germanów, rozwścieczonych z powodu zamordowania cesarza, któremu winni byli bezwzględna lojalność, rzuciła się do ataku z okrzykami wojennymi ze swoich porośniętych ponurą knieją rodzinnych stron. Sabinus, Klemens oraz dwóch trybunów wśliznęli się za szereg pretorianów, kiedy przy ogłuszającym dźwięku metalu uderzającego o metal, niosącym się echem pośród kolumn, Germanie, ukryci za tarczami, runęli na nich. Cięli długimi mieczami głowy i torsy żołnierzy bez tarcz. Czterech pretorianów padło natychmiast, jednak ich koledzy trzymali linię, zadając ciosy lewą pięścią i krótszymi mieczami dźgając pachwiny i uda rozszałanych napastników. Wkrótce pięciu Germanów leżało martwych albo konających na podłodze, a dwaj pozostali zrezygnowali z walki i pognali tam, skąd przybyli.

– Co tu się dzieje? – rozległ się nagle przenikliwy głos.

Sabinus odwrócił się i zobaczył wysoką kobietę z podłużną końską twarzą i wydatnym arystokratycznym nosem. Trzymała na rękach mniej więcej dwuletnie dziecko. Dziewczynka wpatrywała się chciwie w zakrwawioną posadzkę.

– Mój małżonek się o tym dowie.

– Twój małżonek, Milonio Cezonio, już nigdy niczego się nie dowie – poinformował ją chłodnym tonem Klemens.

Kobieta zawahała się zdezorientowana, po czym wyprostowała się i wyzywająco spojrzała Klemensowi w oczy.

– Jeśli mnie też zamierzasz zabić, to wiedz, że mój brat mnie pomści.

– Nie zrobi tego. Twój brat *przyrodni*, Korbulon, uważa, że zhańbił jego rodzinę. Jeśli będzie rozsądny, dopilnuje, by jego legion, Drugi *Augusta*, złożył przysięgę na wierność nowemu cesarzowi. A kiedy wygaśnie jego kadencja legata, wróci do Rzymu z nadzieją, że z czasem plama na jego reputacji, którą pozostawił, zostanie zapomniana.

Milonia Cezonia przymknęła powieki, jakby przyjmowała do wiadomości prawdę zawartą w tych słowach.

Klemens zbliżył się do niej z wyciągniętym mieczem.

Kobieta podniosła dziewczynkę.

– Czy oszczędzisz Julię Druzyllę? – spytała.

– Nie.

Milonia Cezonia przycisnęła dziecko do piersi.

– Ale wyświadczę ci przysługę i ciebie zabiję pierwszą, byś nie musiała oglądać jej śmierci.

– Dziękuję, Klemensie. – Milonia Cezonia pocałowała córeczkę w czoło i postawiła na posadzce; mała natychmiast zaczęła płakać, wyciągać w górę rączki i podskakiwać, domagając się, by ją podniesiono. Ponieważ matka nie zwracała na nią uwagi, rzuciła się na nią rozszoszczona, szarpiąc ostrymi paznokciami i zębami jej stół. Milonia Cezonia popatrzyła zmęczonym wzrokiem na wrzeszczące u jej stóp dziecko.

– Zrób to od razu, Klemensie.

Klemens uchwycił ją lewą ręką za ramię i wbił jej miecz pod żebra; oczy kobiety otworzyły się szeroko, a z ust wydobyło się ciche westchnienie. Dziecko nierozumiejącym wzrokiem patrzyło na sączącą się z rany krew i po chwili się roześmiało. Klemens pchnął mieczem raz jeszcze i oczy Milonii Cezonii się zamknęły. Wyrwał miecz i śmiech dziecka zamarł. Z piskiem przerażenia dziewczynka odwróciła się i rzuciła do ucieczki.

– Lupusie! Łap tego potworka – zawołał Klemens, kładąc na posadzce ciało kobiety.

Centurion dogonił małą osóbkę po kilku krokach. Kiedy ją podniósł, podrapała mu ramię do krwi, po czym wbiła zęby w nadgarstek. Lupus krzyknął z bólu, chwycił dziecko za nogę w kostce i trzymał dyndające do góry nogami i wrzeszczące na długość wyciągniętego ramienia.

– Na miłość bogów, wykończ ją! – rozkazał Klemens.

Sabinus drgnął, kiedy przeraźliwy krzyk przerwany został odrażającym chrupnięciem.

Lupus odrzucił na bok martwe ciało, które wylądowało niczym stosik zmiętego ubrania u podstawy zakrwawionej kolumny.

– No i dobrze – oświadczył Klemens, jak wszyscy inni odczuwając ulgę, że w sali zrobiło się nagle cicho. – Teraz weź połowę swoich ludzi i przeszukaj wschodnią stronę pałacu, żeby znaleźć Klaudiusza. – Wskazał ręką zastępcę centuriona. – Gratusie, zabierz resztę na stronę zachodnią.

Kiedy rozkazy zostały wykonane, Klemens zwrócił się do Sabinusa.

– Muszę znaleźć kryjówkę tego idioty, mojego śliniącego się patrona. Powinieneś bezzwłocznie zniknąć, przyjacielu. Opuść miasto, zanim wieść się rozniesie.

– Myślę, że już się rozniosło – odparł Sabinus.



Radosna wrzawa, jaka dotąd docierała z teatru, zamieniła się w niesłychany tumult.

Sabinus ścisnął ramię szwagra, odwrócił się i wybiegł z pałacu. Wrzaski i zawodzenia goniły go, kiedy zbiegał z Palatynu.

Ludzie zaczęli umierać.

# CZĘŚĆ I

RZYM  
TEGO SAMEGO DNIA

## Rozdział pierwszy

Wespazjan bawił się dobrze na przedstawieniu, mimo że Kaligula nieustannie je przerywał; *Garnek złota* nie był co prawda jego ulubioną sztuką Plauta, ale dwuznaczne dialogi, nieporozumienia i komiczne gonitwy, wynikające ze starań skąpego Eukliona, by zachować świeżo nabyte bogactwo, zawsze go śmieszyły. Problemem było jedynie to, że on sam solidaryzował się z Euklionem, który nie miał ochoty rozstawać się z pieniędzmi.

Młodzi akrobaci, popisujący się obecnie na scenie, nie oczarowali Wespazjana tak jak siedzącego obok niego wuja, Gajusza Wespazjusza Pollona, zatem w oczekiwaniu na początek kolejnej komedii przymknął powieki i myśląc o swoim synu Tytusie, który niedawno ukończył roczek, zapadł w spokojną drzemkę.

Ocknął się raptownie, kiedy przez niezbyt entuzjastyczne oklaski po występie akrobatów przedarł się głośny, gardłowy krzyk. Przebiegł wzrokiem ponad głowami publiczności, szukając źródła i przyczyny hałasu. Paręnaście kroków w lewo zobaczył wybiegającego z krytych schodów członka germańskiej straży przybocznej cesarza; trzymał w górze zakrwawioną prawą rękę. Pobiegł, krzycząc coś niezrozumiale w swoim ojczystym języku, w stronę ośmiu kolegów strzegących wejścia do łoży cesarskiej, którą Kaligula niedawno opuścił. Znajdujący się w pobliżu widzowie patrzyli z niepokojem na męczyznę wymachującego ociekającą krwią ręką przed oczyma brodatych towarzyszy.

Wespazjan odwrócił się do wuja, który wciąż oklaskiwał opuszczających scenę skąpo odzianych młodzieniaszków, wstał i pociągnął go za rękę.

– Czuję, że za chwilę wydarzy się coś bardzo nieprzyjemnego. Powinniśmy natychmiast stąd wyjść – powiedział.

– Co takiego, drogi chłopcze?

– Musimy iść, już.

Słyszając wyraźny niepokój w głosie siostrzeńca, Gajusz uniósł z trudem opasłe ciało, odsunął opadający mu na oczy starannie zakręcony lok i rzucił ostatnie spojrzenie na znikających akrobatów.

Wespazjan zerknął nerwowo przez ramię i zobaczył, jak Germanie, wszyscy jednocześnie, wyciągają długie miecze. Ich wściekłe ryki uciszyły najbliższymi znajdujących się widzów, po czym całą widownię stopniowo zalała fala milczenia.

Germanie unieśli miecze, furia wykrzywiła im twarze, a ryk zamarł w gardłach. W głębokiej, pełnej napięcia ciszy oczy wszystkich skupione były na dziewięciu barbarzyńcach. A potem błysnął miecz i w powietrze pofrunęła czyjaś głowa, opryskując ciężkimi kroplami krwi ludzi wpatrzonych w ten makabryczny pocisk. Bezgłowe ciało senatora tkwiło wyprostowane przez kilka uderzeń serca, chlustając wkoło posoką. Opadło wreszcie do przodu na zdeorientowanego starca – także senatora – który obracał się właśnie do tyłu. Miecz wciśnięty w jego otwarte szeroko usta przebił czaszkę na wylot, co nie wpłynęło na zmianę wyrazu jego zdumionych oczu.

W nagle zapadłą ciszę wdarł się krzyk kobiety, na której kolanach wylądowała odcięta głowa. W tym momencie rozpoczęła się masakra. Germanie błyskawicznym żelazem wyrąbawali sobie drogę przez tłum rzucających się do ucieczki ludzi. Coraz więcej było trupów i odciętych kończyn. W loży cesarskiej starszy konsul patrzył przez chwilę oglupiałym wzrokiem na rozsierzdzonego barbarzyńcę, który natarł na niego, po czym rzucił się w dół przez balustradę i wymachując rękami i nogami, wylądował na głowach rozhisteryzowanych ludzi.

Wespazjan pchnął wuja do przodu, odtrącając wrzeszczącą matronę, i skierował się ku najbliższemu przejściu, prowadzącemu pomiędzy rzędami widowni w stronę sceny.

– Nie czas teraz na dobre maniere, wuju – rzucił. Przedzierał się przez tłum, traktując ciężkie cielsko krewnego jak taran. Kątem oka zauważał szczegóły dokonującej się rzezi. Z boku dwóch senatorów padło pod gradem ciosów. Z tyłu trzech rozjuszonych Germanów siekło mieczami na lewo i prawo. Byli coraz bliżej i kiedy Wespazjan zerknął za siebie, napotkał spojrzenie pierwszego z nich i poczuł, że tamten koncentruje na nim uwagę. – Wygląda na to, że ich głównym celem są senatorowie, wuju – zawołał, zsuwając togę z ramienia, by purpurowy senatorski szlak nie rzucał się w oczy.

– Dlaczego? – spytał Gajusz, depcząc po jakimś stratowanym już nieszczęśniku.

– Nie wiem. Po prostu przepychaj się dalej.

Wykorzystując masę obu ich ciał i impet, jaki dawała im pochyłość zbocza, zdołali zostawić za sobą Germanów, którzy utknęli pośród trupów i rannych. Wypadłszy na mniej zatłoczoną przestrzeń pomiędzy widownią i sceną, Wespazjan zaryzykował kolejny rzut oka za siebie i wstrząsnął nim obraz masakry, jakiej zaledwie dziewięciu uzbrojonych mężczyzn dokonało na tak wielkiej liczbie bezbronnych ludzi. Ciała walały się po całej widowni i wiele z nich okrywały senatorskie togi. Pociągnął wuja za ramię i po schodkach dotarł do sceny. Przyspieszył na tyle, na ile tylko pozwalały możliwości Gajusza, kierując się ku łukowatemu, ciasnemu przejściu w dekoracji, zapchanemu zdesperowanymi ludźmi. Znalazłszy się w tym ścisku, walczyli o utrzymanie równowagi, deptając po ciałach pechowców, aż wreszcie wydostali się z teatru na ulicę biegnącą wzdłuż podnóża Palatynu.

Tłum kierował się w prawo, jako że z lewej strony dobiegał odgłos zbliżających się równym szybkim krokiem trzech centurii kohorty miejskiej. Wespazjan i Gajusz pozostali więc w tym tłoku, starając się tylko przesunąć na bok. Kiedy wreszcie Wespazjan dotknął ramieniem muru, zaczął wypatrywać jakiegoś zakrętu.

– Gotów, wuju? – krzyknął, kiedy zbliżyli się do wylotu pierwszej uliczki.

Gajusz, sapiąc i rżąc, skinął tylko głową; pot spływał mu ciurkiem po roztrzęsionych policzkach. Siostrzeniec pociągnął go i oderwali się od pędzącej w popłochu ciżby.

W pewnej chwili mało się nie przewrócili, potykając się o ciało Germanina, leżące w błocie wąskiej uliczki. U jej wylotu natknęli się na kolejnego członka cesarskiej straży, łysego, z długą jasną brodą, który siedział oparty o ścianę, ściskając kikut prawej ręki i usiłując zatamować bluzgającą krew. Patrzył z przerażeniem na leżącą obok odrąbaną dłoń, wciąż zaciśniętą na rękojeści miecza. Gajusz próbował złapać oddech, podczas gdy jego siostrzeniec rozglądał się na wszystkie strony, żeby zorientować się w sytuacji. Zobaczył plecy kuśtykającego ze spuszczoną głową człowieka. Spod płaszcza po nodze spływała mu krew; w rękę trzymał zakrwawiony miecz.

Wespazjan ruszył w lewo, w stronę via Sacra. Gajusz podążył za nim, zwalniając z każdym świszczącym oddechem.

– Szybciej, wuju – rzucił Wespazjan przez ramię – musimy dotrzeć jak najszybciej do domu, na wypadek gdyby to miało się rozlać na całe miasto.

Gajusz zatrzymał się, pochylił i wsparł dłonie na kolanach, z trudem chwytając

powietrze.

– Idź dalej, chłopcze, nie dam rady dotrzymać ci kroku. Pójdę do Kurii, a ty zaopiekuj się Flawią i Tytusem. Dołączę do was, jak tylko sprawdzę, co się stało.

Wespazjan machnął do niego ręką i popędził do żony i synka. Skręcił na via Sacra, kierując się ku Forum Romanum, podczas gdy z Palatynu zbiegały z łoskotem dwie centurie gwardii pretoriańskiej. Wespazjan musiał poczekać, aż przetną via Sacra. Pośrodku szeregów, niesiony w lektyce, siedział Klaudiusz. Podrygując i śliniąc się, z twarzą zalaną łzami, błagał o darowanie mu życia.

– Zarygluj drzwi – rozkazał Wespazjan młodemu i bardzo ładnemu odźwiernemu, który wpuścił go do domu wuja – a potem obejdz dom i upewnij się, że wszystkie wychodzące na zewnątrz okna są zabezpieczone.

Chłopiec ukłonił się i pobiegł wykonać polecenie.

– Papa!

Wespazjan odwrócił się i odetchnąwszy głęboko, uśmiechnął się do trzynastomiesięcznego synka Tytusa, który na czworakach przemierzał mozaikową posadzkę atrium.

– Co się stało? – zapytała Flawia Domicylla, od dwóch lat małżonka Wespazjana, podnosząc wzrok znad wrzeciona przy palenisku.

– Jeszcze nie wiem, ale dziękuję bogom, że jesteście bezpieczni. – Podniósł synka i ucałował go w oba policzki, podchodząc z nim do żony.

– A niby czemu nie mielibyśmy być bezpieczni?

Wespazjan usiadł i zaczął podrzucać synka na kolanie, naśladując jazdę na koniu.

– Nie jestem pewien, ale sądzę, że ktoś wreszcie...

– Nie trząś nim tak, niania dopiero co go nakarmiła – przerwała mu Flawia z pełnym dezaprobaty spojrzeniem.

Wespazjan nie przestał podrzucać malca.

– Nic mu nie będzie, to silny maluch. – Popatrzył z czułością na chichoczącego synka i uszczypnął go w pulchny policzek. – Prawda, Tytusie? – zagadał do niego. Dziecko gaworzyło zachwycone zabawą, po czym pisnęło, kiedy Wespazjan szarpnął nagle kołano w lewo, niemal wysadzając miniaturowego jeźdźca z siodła. – Myślę, że ktoś wreszcie zabił Kaligulę, i dla dobra Sabinusa modlę się, żeby nie był to Klemens.

Oczy Flawii rozszerzyły się pod wpływem nagłej emocji.

– Skoro Kaligula nie żyje, to będziesz mógł wykorzystać część swoich pieniędzy bez obawy, że każe cię zabić.

– Flawio, to w tej chwili najmniejsze z moich zmartwień. Jeśli cesarz został

zglądzony, muszę pomyśleć, jak zapewnić nam wszystkim bezpieczeństwo podczas zmiany władzy. Jeśli będziemy trwać w tym szaleństwie, jakim jest wybór cesarza spośród potomków Juliusza Cezara, wtedy oczywistym następcą będzie Klaudiusz, co dla naszej rodziny może nie być wcale złe.

Flawia machnęła lekceważąco ręką, nie przejmując się słowami małżonka.

– Nie spodziewasz się chyba, że będę zawsze mieszkała w domu twojego wuja. – Ręką wskazała wypełniające atrium homoerotyczne dzieła sztuki i gibkiego, jasnowłosego germańskiego chłopca, który przy drzwiach tryklinium czekał dyskretnie na ich polecenia. – Jak długo jeszcze każesz mi znosić oglądanie tego wszystkiego, tego... – Zamilkła, nie mogąc znaleźć właściwych słów na określenie gustu senatora Gajusza Wespazjusza Pollona dotyczącego dekoracji wewnątrz oraz wyboru niewolników.

– Jeśli potrzebujesz jakiejś odmiany, możesz mi towarzyszyć podczas moich wyjazdów do posiadłości w Kosie.

– I co niby miałabym tam robić? Liczyć muły i bratać się z wyzwolencami?

– Zatem, moja droga, skoro upierasz się, żeby mieszkać w Rzymie, to tu jest twój dom. Wuj jest bardzo gościnnie i nie zamierzam reagować niewdzięcznością na jego wspaniałomyślność i wyprowadzać się, skoro jest tutaj dość miejsca dla nas wszystkich.

– Chcesz powiedzieć, że nie zamierzasz ponosić kosztów związanych z posiadaniem własnego domu – rzuciła Flawia, zakręcając ostro kołowrotkiem.

– To też – przyznał Wespazjan, znowu energicznie podrzucając Tytusa. – Nie stać mnie na to, nie uzyskałem dość dodatkowych przychodów, kiedy byłem pretorem.

– To było dwa lata temu. Co zrobiłeś od tamtej pory?

– Zdołałem ująć z życiem, udając biedaka! – Wespazjan popatrzył srogo na żonę. Włosy miała ułożone w wymyślną najmodniejszą koafiurę i obwieszona była przesadną ilością biżuterii. Żałował, że nie potrafił dogadać się w sprawach finansowych. Jednakże wyzywająca niezależność bijąca z jej wielkich brązowych oczu, ponętne pełne piersi i krągły brzuch kobiety ciężarnej – pod, jak zauważył, kolejną nową stolą – przypomniały mu o trzech głównych powodach, dla których ją poślubił. Spróbował zaapelować do jej rozsądku. – Flawio, moja droga, Kaligula skazał na śmierć wielu zamożnych tak jak ja senatorów, by położyć łapę na ich pieniądzech. Dlatego właśnie zainwestowałem w posiadłość z dala od Rzymu i dlatego mieszkam pod dachem wuja. Czasami, uchodząc za biedaka, można uratować życie.

– Nie mówiłam o posiadłości, chodziło mi o pieniądze, które przywiozłeś z Aleksandrii.

– Te są wciąż dobrze ukryte i tak zostanie, dopóki nie będę pewny, że mamy cesarza, który nie dobiera się tak bezczelnie do własności swoich poddanych. Oraz

do ich małżonek, skoro już o tym mowa.

– A co z ich kochankami?

Od odpowiedzi uratował Wespazjan Tytus, który dostał czkawki, a z buzi wylała mu się na kolana ojca częściowo strawiona soczewica. Rozmowy o pieniądzech z żoną nigdy nie były przyjemne, szczególnie że zawsze prowadziły do tematu utrzymywanej przez niego kochanki. Wiedział, że Flawia nie jest zazdrosna o Cenis, tylko raczej nie odpowiadało jej, że Wespazjan wydaje na nią pieniądze, podczas gdy ona, jego legalna małżonka, nie ma prawa do czegoś tak ważnego jak własny dom w Rzymie.

– No proszę, a nie mówiłam? – zawołała. – Elpis! Gdzie się podziewasz?

Do pokoju wpadła przystojna niewolnica w średnim wieku.

– Tak, pani?

– Dziecko zwymiotowało na pana. Posprzątaj.

Wespazjan wstał i podał syna opiekunce. Soczewica spłynęła na posadzkę.

– Chodź tutaj, mały łobuziaku – zaszczebiotała Elpis, biorąc Tytusa pod paszki. Toż to z ciebie wierna kopia ojca.

Wespazjan uśmiechnął się.

– Tak, biedaczek będzie miał okrągłą twarz i wielki nochał – powiedział.

– Miejmy nadzieję, że będzie miał większą sakiewkę – mruknęła pod nosem Flawia.

Głośne stukanie do drzwi frontowych pozwoliło Wespazjanowi zrezygnować z riposty. Młodziutki odźwierny spojrział przez okienko i natychmiast odsunął rygiel. Przez westybul do atrium wpadł Gajusz, otyłe ciało trzęsło mu się pod togą; wcześniej ufryzowane loki, wyprostowane i oklapłe od potu, oblepiły mu czoło i policzki.

– Klemens zabił tego potwora. Lekkomysłny idiota – wyrzucił z siebie senator, zanim zdążył złapać oddech.

Wespazjan pokręcił ze smutkiem głową.

– Nie – odparł – *dzielny* idiota. Przypuszczam, że było to nieuniknione po tym, co Kaligula zrobił jego siostrze. Myślałem tylko, że po dwóch latach instynkt samozachowawczy weźmie górę. Dzięki niech będą bogom, że Sabinusa nie ma w Rzymie, boby się do niego przyłączył. Słyszałem, jakoby zawarli pakt, że zrobią to razem, a w takim wypadku honor by mi nakazywał im pomóc. Natomiast Klemens jest już martwy.

– Obawiam się, że tak, nawet Klaudiusz nie byłby na tyle głupi, by darować mu



życie. Zabrano go do obozu pretorianów.

– Tak, widziałem. Po szaleńcu mamy głupca. Jak długo może się to jeszcze ciągnąć, wuju?

– Tak długo, jak przetrwa krew Cezara, a obawiam się, że krąży ona w tym zdeformowanym ciele Klaudiusza.

– Głupiec błagał o darowanie życia, nie zorientował się, że chcą mu zapewnić bezpieczeństwo do czasu, aż senat ogłosi go cesarzem.

– Co nastąpi już niebawem. Zmień tunikę, drogi chłopcze; konsulowie zwołali posiedzenie senatu za godzinę w świątyni Jowisza na Kapitolu.

Wchodzenie po schodach Gemońskich na szczyt Kapitolu trwało bardzo długo, ponieważ tłoczyli się tam nie tylko członkowie senatu przybywający na wezwanie konsulów, ale też niewolnicy przenoszący ciężkie pancerne kasety i skrzynie, całą zawartość państwowego skarbcza, na przechowanie do świątyni Jowisza, otoczonej największym kultem budowli Rzymu. U stóp schodów, na Forum, przed świątynią Zgody, ustawiły się wszystkie trzy kohorty miejskie, którym Kossus Korneliusz Lentulus, prefekt miejski, wydał rozkaz zapobieżenia ewentualnym próbom zagarnięcia skarbu Rzymu przez gwardię pretoriańską. Po drugiej stronie Forum, na Palatynie, w tymczasowym teatrze, gdzie leżały porzrzucone ciała zabitych, panowała cisza.

W końcu w ogromnej mrocznej sali zebrało się przeszło czterystu senatorów. Wokół nich wciąż trwała krzątanina związana z przenoszeniem szkatuł i skrzyń, nawet kiedy konsulowie składali goszczącemu ich bóstwu ofiarę z baranka.

– Sprawy mogą przybrać zły obrót – szepnął Gajusz do Wespazjana, kiedy Kwintus Pomponiusz Sekundus, starszy konsul, w towarzystwie młodszego konsula Gnejusza Sencjusza Saturnina oglądał wnętrze złożonej ofiary. – Skoro przenieśli tu skarbiec, to najpewniej biorą pod uwagę stawienie czoła gwardii.

– W takim razie, wuju, powinniśmy się stąd natychmiast wynosić. Klaudiusz na pewno zostanie cesarzem.

– Niekoniecznie, drogi chłopcze; posłuchajmy, co mają do powiedzenia ludzie, zanim wyciągniemy pochopne i być może niebezpieczne wnioski.

Usatysfakcjonowany po obejrzeniu wnętrza baranka Pomponiusz Sekundus oświadczył, że dzień jest dobry dla prowadzenia spraw senatu, i zaczął przemawiać. Policzek miał spuchnięty i zsiniały po kopniaku Kaliguli.

– Senatorowie i wszyscy miłujący wolność, dziś nasz świat uległ zmianie. Człowiek, którego nienawidziliśmy i którego w równej mierze się lękaliśmy, został

wreszcie obalony.

Dla podkreślenia swoich słów skinął głową w stronę posągu Kaliguli, stojącego obok siedzącej postaci najważniejszego rzymskiego boga, i wtedy grupa niewolników pchnęła od tyłu i podobizna byłego cesarza spadła z hukiem na marmurową posadzkę, roztrzaskując się na drobne kawałki. Przez salę przebiegły głośne okrzyki radości senatorów. Na chwilę przed oczyma Wespazjana pojawił się pogodny, pełen życia młodzieniec, którego kiedyś znał, i zrobiło mu się żal, że stracił przyjaciela, ale zaraz pomyślał o okropnościach, jakich ten potwór się dopuścił, i zaczął wiwatować z innymi.

– Nadszedł dzień – ciągnął Pomponiusz Sekundus, podnosząc głos, by przebić się przez radosny zgiew – kiedy my wszyscy, którzyśmy tak nieustraszenie sprzeciwiali się tyrańskiemu rządowi Kaliguli, znowu jesteśmy ludźmi wolnymi.

– Nie nazwałbym obcałowowania kapci Kaliguli w teatrze aktem nieustraszonego sprzeciwu – mruknął Gajusz, kiedy stwierdzenie konsula nagrodzono równie entuzjastycznie.

Jednak sądząc po twarzach wielu zebranych, wuj Wespazjana nie był odosobniony w swojej opinii.

Konsul mówił dalej, nieświadom, że częściowo aplauz wyraża głęboką ironię.

– Gwardia pretoriańska postanowiła narzucić nam nowego cesarza, mianowicie stryja Kaliguli, Klaudiusza. *Patres conscripti*, ja mówię nie! Klaudiusz nie tylko się jąka, ślini i kuśtyka, co ośmieszyłoby władzę, ale co gorsza, legiony go nie znają i dlatego nie kochają. Nie możemy pozwolić gwardii pretoriańskiej narzucić nam takiego cesarza, bo gdyby legiony znad Renu i Dunaju postanowiły wysunąć własnych, bardziej wojowniczych kandydatów, skończyłoby się to kolejną wojną domową. Jako ludzie wolni powinniśmy wybrać jednego spośród nas na cesarza, który będzie rządził razem z lojalnym senatem. Musi to być człowiek uznany przez nas, legiony i gwardię. Musi to być ktoś taki jak...

– Taki jak ty. To chcesz nam dać do zrozumienia – krzyknął Gnejusz Sencjusz Saturnin, młodszy konsul, zrywając się z miejsca, a jego policzki i brzuch zakółsały się. Skierował w stronę kolegi oskarżycielski palec i powiódł przenikliwymi niebieskimi oczyma po zebranych. – Ten człowiek chciałby, byśmy zastąpili znaną nam tyranię jednej rodziny nieznaną tyranią kolejnej. Czy tak postępują wolni obywatele? Nie! – grzmiał. Okrzyki wyrażające poparcie przetoczyły się przez świątynię i Saturnin przyjął pozę męża stanu, na tyle, na ile pozwalało mu obwisłe ciało; lewą rękę złożył na piersi, przytrzymując togę, prawą opuścił wzdłuż ciała. – *Patres conscripti*, dzisiaj mamy historyczną szansę, by odebrać nasze dziedzictwo i ponownie stać się pełnoprawną władzą Rzymu. Pozbądźmy się więc

tych cesarzy i powróćmy do prawdziwej wolności naszych przodków, wolności, której tak długo nam odmawiano, że zaledwie garstka tutaj obecnych kiedykolwiek poczuła jej smak. Ta wolność dotyczy czasów, kiedy najstarsi z obecnych tu z nami byli mali. Przywróćmy republikę.

– Zachowaj neutralny wyraz twarzy, mój drogi – syknął Gajusz w ucho Wespazjana. – To nie jest odpowiedni moment do wyrażania swojej opinii.

Prawie połowa zgromadzenia zaczęła entuzjastycznie klaskać i pokrzykiwać, jednak spora mniejszość krzywiła twarze i szeptała między sobą; pozostali obserwowali wydarzenia z obojętnym wyrazem twarzy, tak jak Gajusz, czekając, by zobaczyć, które stronnictwo ostatecznie weźmie górę.

Gajusz szarpnął siostrzeńca za łokieć, ciągnąc do tyłu.

– Najlepiej pozostać nierzucającymi się w oczy obserwatorami, dopóki sprawa się nie rozstrzygnie, w tę czy tamtą stronę.

– I wtedy zadeklarujemy lojalność wobec zwycięskiej strony, he, wuju?

– To rozsądne postępowanie, bo daje dużo większą szansę przeżycia niż pochopny wiwat na cześć tego, w co się wierzy.

– Masz całkowitą rację.

Owacje zaczęły cichnąć i głos zabrał były konsul, Aulus Plaucjusz.

– To powinno być przekonujące – szepnął Gajusz. – Plaucjusz posiada ogromną umiejętność pozostawania w łaskach.

Wespazjan uśmiechnął się kwaśno.

– Masz na myśli, że posiada umiejętność zmieniania stron – rzucił.

Niecałe dziesięć lat wcześniej Aulus Plaucjusz zdołał uratować życie mimo upadku Sejana, którego zawsze popierał, jako pierwszy domagając się śmierci swojego byłego dobroczyńcy.

– *Patres conscripti* – mówił Plaucjusz, prostując szerokie bary i wypinając muskularną pierś; żyły na jego grubej szyi nabrzmiały. – Choć mogę zrozumieć całkowicie odmienne opinie naszych dwu wielce szanowanych konsulów i dostrzegam, że każda posiada zalety warte dyskusji, przypominam zgromadzeniu, że jedną rzecz przeoczono: siłę gwardii pretoriańskiej. Kto stanie przeciwko niej? – Spojrzał na prefekta. – Twoje miejskie kohorty, Lentulusie? – spytał. – Trzy kohorty złożone z niecałych pięciuset ludzi przeciwko dziewięciu kohortom gwardii, każda w sile prawie tysiąca ludzi. Nawet jeśli by dodać wigilów, to tamci i tak mieliby przewagę trzy do jednego.

– Lud do nas dołączy – odparł Lentulus.

Plaucjusz pogardliwie wykrzywił usta.

– Lud! – prychnął. – I czym niby miałyby walczyć przeciwko elitarnym jednostkom rzymskim? Nożami i tasakami rzeźniczymi, używając blach do pieczenia jak tarcz i czerstwego chleba na pociski do proc? Phi! Zapomnijcie o ludzie. *Patres conscripti*, niezależnie od tego, jak te słowa mogą urazić waszą godność, muszę wam powiedzieć, że praktycznie rzecz biorąc, nie macie żadnego wpływu na tę sprawę.

Wespazjan rozejrzał się i zobaczył, że ta trudna do przełknięcia prawda zaczyna docierać do obecnych.

Spojrzenie Plaucjusza stało się jeszcze twardsze, kiedy zauważył, że jego słowa wywołały odpowiednie wrażenie.

– Proponuję rzecz następującą: wyślemy delegację do obozu gwardii pretoriańskiej, by spotkała się tam z Klaudiuszem. Musimy się upewnić, czy on rzeczywiście chce zostać cesarzem, a jeśli tak, jak zamierza włądać. Jeśli mu na tym nie zależy i da się przekonać do odrzucenia oferty gwardii, to kogo pretorianie zaakceptują zamiast niego? Bo jedno jest pewne; oni nie zaakceptują powrotu republiki.

Senatorowie milczeli, aż ucichło echo jego ostatniego słowa, jak znika niejasne wspomnienie miłego snu, kiedy wraca zwykła codzienność.

– Powinniśmy natychmiast stąd wyjść – szepnął Wespazjan w ucho Gajuszowi – i stawić się przed Klaudiuszem.

– A co będzie, jeśli senat przekona Klaudiusza, żeby zrezygnował? W jakiej znajdziemy się wtedy sytuacji? Jeszcze za wcześnie na podjęcie decyzji; trzymajmy się stada.

Wespazjan nachmurzył się, bo ogarnęły go wątpliwości.

– W tym momencie niebezpieczne może być wszystko, cokolwiek zrobimy. Powinniśmy zaryzykować, biorąc pod uwagę prawdopodobny rozwój wydarzeń – oświadczył.

– Zaryzykowałbyś życie swojej żony i dziecka? – spytał wuj.

Wespazjan nie musiał zastanawiać się nad odpowiedzią.

– Nie – rzucił krótko.

– To pozostań w cieniu i nie podejmuj decyzji, dopóki nie będziesz miał pełnej informacji.

Konsul był teraz wyraźnie przygaszony.

– Zmuszony jestem zgodzić się z byłym konsulem i proponuję, byśmy wyznaczyli skład delegacji reprezentującej godność tego zgromadzenia. Powinni do niej wejść wszyscy konsulowie i pretorzy, zarówno byli, jak i obecni.

Rozległ się zgodny szmer.

– Doskonale, konsulu – rzucił szyderczo Plaucjusz – i któż miałby stanąć na czele tej delegacji?

– Naturalnie, jako starszy...

– Nie, nie ma w tym nic naturalnego. Widziano by w tobie potencjalnego kandydata na to stanowisko, a tym samym już na pewno nie osobę bezstronną. Na czele delegacji musi stanąć ktoś, kto choć ma rangę senatora, nie może zostać cesarzem czy choćby konsulem. Ktoś, kogo Klaudiusz uważa za przyjaciela, żeby nie czuł się zastraszony ani manipulowany. Krótko mówiąc, nikt z tu obecnych.

– Zatem kto? – spytał zaintrygowany Sekundus.

– Król Herod Agryppa.

Zapadła noc, nim znaleziono judejskiego króla i wezwano przed oblicze senatu. W świątyni zapalono już pochodnie oraz lampki oliwne i światło, odbijając się od polerowanego marmuru, rozjaśniało wnętrze bardziej niż promienie słońca za dnia. Posąg siedzącego boga, opiekuna Rzymu, towarzyszył obradom. Gdyby twarz Jowisza mogła okazywać jakieś emocje, pewnie spoglądałaby z pogardą na znacznie przeredzone teraz zgromadzenie. W ciągu kilku ostatnich godzin, kiedy stało się oczywiste, że gwardia pretoriańska ma zdecydowaną przewagę, wielu spośród tych senatorów, którzy otwarcie popierali przywrócenie republiki, nagle przypomniało sobie o ważnych sprawach do załatwienia w swoich leżących poza Rzymem posiadłościach. Wespazjan i Gajusz zostali, spokojni, ponieważ nie wyrazili jeszcze żadnej opinii.

Ciemne oczy Heroda Agryppy błyskały rozbawieniem, gdy znad haczykowatego nosa rozglądał się po pustawej świątyni.

– Z wielką radością będę przewodzić waszej delegacji, *patres conscripti*; czynicie mi zaszczyt tym zaproszeniem. Niemniej nie widzę, co to miałyby dać.

– Chcielibyśmy poznać zamiary Klaudiusza – odparł z widoczną irytacją w głosie Pomponiusz Sekundus. – Może nie zechce skorzystać z propozycji gwardii, by zostać cesarzem.

– Próbował odmówić, ale został przekonany.

– Przez gwardzistów z obnażonymi mieczami?

– Nie, Sekundusie, przeze mnie.

– Przez ciebie! – Pomponiusz Sekundus się zakrzuszył i musiał uderzyć się w klatkę piersiową, wpatrując się z niedowierzaniem w Heroda Agryppę, który siedział przed nim z niezmaconym wyrazem twarzy, w haftowanej złotem purpurowej

szacie i z królewskim diademem na głowie.

– No cóż, ktoś musiał to zrobić.

– *Nikt nie musiał* – wybuchnął starszy konsul – a szczególnie ty, oślizgły wschodni królik, który nie bierze do ust wieprzowiny, nie tak, jak każdy szanujący się Rzymianin.

– To już chyba była ostatnia informacja, która mi była potrzebna do podjęcia decyzji, wuju – oświadczył Wespazjan kącikiem ust.

Gajusz pokiwał głową z powagą.

– Właśnie stałem się żarliwym zwolennikiem Klaudiusza – oświadczył. – Zawsze uważałem, że się najbardziej nadaje na cesarza. To urodzony przywódca.

Wybuch konsula nie zrobił wrażenia na Herodzie Agryppie.

– Ten oślizgły wschodni królik – oświadczył – który, tak przy okazji, bardzo lubi wieprzowinę, wziął na swoje barki ocalenie waszych kretyńskich głów, ponieważ w przeciwieństwie do niektórych rozumie, co jest nieuniknione. Udałem się za Klaudiuszem do obozu pretorianów i byłem przy tym, kiedy gwardia obwołała go cesarzem. Klaudiusz co prawda uważał, że wynoszenie go do tej godności przez gwardię jest nielegalne...

Płonący oburzeniem utajonego republikanina Gnejusz Sencjusz Saturnin zerwał się na równe nogi.

– To jest absolutnie nielegalne, jedynie senat może tego dokonać! – zakrzyknął.

Herod Agryppa uśmiechnął się łagodnie.

– Owszem, taką właśnie opinię wyraził Klaudiusz, ale gwardia udowodniła, że jest inaczej, zabijając jednego cesarza i zastępując go innym. Klaudiuszowi bardzo zależało... nalegał wręcz na to, by senat ogłosił go cesarzem bezzwłocznie po tym, jak zabrano go do obozu. Chciał, by jego wyniesienie miało przynajmniej pozory, że to decyzja zgromadzenia. Czekał ileś godzin, ale nie doczekał się od was żadnych wieści. Siedzieliście tu na skrzyniach ze skarbca, spiskując i kombinując... w jakim celu, tego mógł się tylko domyślać. Jednakże jedno było dla niego oczywiste: fakt, że wahaliście się, by wynieść go do godności cesarza, oznaczał, że go nie chcieliście.

– Nigdy czegoś takiego nie powiedzieliśmy – oświadczył bezbarwnym głosem Pomponiusz Sekundus.

– Nie poniżaj się, kłamiąc. Każde słowo, które tu padło, zostało niedawno przekazane Klaudiuszowi przez kilku senatorów, włącznie z jednym pretorem, którym bardzo zależało, by wiedział, że nie mieli z tym nic wspólnego, a którzy, choć to dziwne, i tak błagali go o wybaczenie.

– Jak rozumiem, tylko jeden spośród was wypadł w tej sytuacji względnie

dobrze, a mianowicie Aulus Plaucjusz. – Herod uśmiechnął się blado do zgromadzenia, a wszyscy senatorowie usiłovali sobie przypomnieć, jakie dokładnie stanowisko zajmowali w popołudniowej debacie. – Ponieważ wasze kilkugodzinne milczenie ogłuszyło Klaudiusza – ciągnął – postanowił on, że dla własnego bezpieczeństwa najlepiej będzie, jak zrezygnuje, zanim nastąpi eskalacja i dojdzie do zbrojnej konfrontacji. Przekonałem go, by tego nie robił, używając argumentu, że byłoby to równoznaczne z podpisaniem wyroku śmierci na niego i na was wszystkich. Jego wyzwolenicy przyznali mi rację. Przyjął zatem wyrażony przez aklamację wybór gwardii i wyraził swoje podziękowanie, obiecując darowiznę stu pięćdziesięciu złotych aureusów na każdego pretorianina.

W tym momencie rozległy się ciche gwizdy, wyrażające niedowierzanie.

– Teraz już czuje się całkowicie bezpieczny – mówił niezrażony Agryppa – i zgadza się zostać cesarzem. Uświadomcie sobie, senatorowie, że przez waszą niechęć do podjęcia inicjatywy i szybkiego pogodzenia się z tym, co nieuniknione, pozwoliliście gwardii i Klaudiuszowi stworzyć groźny precedens: odtąd pretorianie mogą wybierać sobie cesarzy, a cesarze hojnie im za to zapłacą. Tym samym straciliście te nędzne resztki władzy, jakie jeszcze do tej pory posiadaliście.

Kossus Korneliusz Lentulus podniósł się z miejsca.

– Usłyszałem już dość, zabieram kohorty, by złożyć Klaudiuszowi przysięgę na wierność.

– Nie możesz tego zrobić – zawołał młodszy konsul – kohorty mają chronić senat.

– Przed czym? Senat właśnie przestał się liczyć – warknął Lentulus. – A gdyby nawet gwardia pretoriańska, z cesarzem na czele, przybyła tu, by zaatakować senat, to myślisz, że moi ludzie podjęliby walkę? Nigdy w życiu. – Odwrócił się i poszedł do wyjścia.

Gajusz spojrział na Wespazjana; zgodzili się bez słowa.

– Idziemy z tobą, Lentulusie – zawołał za nim Wespazjan.

Rozległ się chór podobnych głosów i senatorowie jęli wstawać.

Ruszając za prefektem miejskim w stronę wyjścia, Wespazjan zerknął na Heroda Agryppę, który zmarszczył brwi, kiedy ich spojrzenia się spotkały; potem uśmiezek zrozumienia wypełził na twarz judejskiego króla.

Kiedy Wespazjan go minął, Agryppa zwrócił się ponownie do Sekundusa.

– Czy wciąż uważasz, że mam poprowadzić tę delegację, starszy konsulu? – zapytał niewinnym głosem, na tyle jednak głośno, by usłyszano go w panującym zgiełku.

Pomponiusz Sekundus skrzywił się i energicznym krokiem wymaszerował ze świątyni.

Ulice Rzymu były niemal całkowicie wyludnione, kiedy senat prowadził kohorty miejskie przez vicus Patricius, w stronę bramy Wiminalskiej, za którą usytuowany był obóz pretorianów. Normalnie tę ulicę domów rozpusty o każdej porze dnia i nocy wypełniały tłumy, jednak tego wieczoru interes szedł kiepsko. Żaden też wóz, których nie wolno było wprowadzać do miasta za dnia, nie zakłócał stukotem spokoju, mimo że właśnie nocą dostarczano towary. Zwykli mieszkańcy w większości pochowali się w domach, pozamykali drzwi i okiennice, czekając, aż zmagania o władzę zakończą się i będą mogli powrócić do normalności, mając pewność, że ktoś – nieważne kto – jest odpowiedzialny za przydział zboża i finansowanie igrzysk.

Mijając bramę Wiminalską, Wespazjan wciągnął gwałtownie powietrze; sto kroków od nich, przed obozem pretorianów, stały trzy kohorty gwardii w pełnym uzbrojeniu. Polerowany metal ich hełmów, łuskowe zbroje oraz brąz guzów i krawędzi owalnych tarcz odbijały światło migocących pochodni. W centrum, na podwyższeniu, siedział nowy cesarz; po obu jego bokach stali senatorowie, którzy zdążyli już zapewnić go o swojej lojalności.

Wespazjan rozpoznał stojących za Klaudiuszem jego wyzwolenców, Narcyza i Pallasa, a także byłego wyzwolénca Kaliguli, Kallistosa. Wszyscy trzej mieli na sobie białe togi obywateli.

– Pójdę przodem – oświadczył Herod Agryppa obu konsulom, którzy najwyraźniej nie mieli zbytnej ochoty ruszyć się dalej, mimo że każdemu towarzyszyło dwunastu liktorów, zwyczajowo niosących na lewym ramieniu związaną czerwonym rzemieniem wiązkę różeg z wystającym toporem, co symbolizowało urząd i władzę tych wysokich urzędników.

Konsulowie skinęli głowami i mimo że to obrażało ich godność, pozwolili, by poprzedzał ich król jakiegoś podległego kraiku.

Znalazszy się bliżej, Wespazjan zauważył rozbawienie na nalanej twarzy Narcyza, kiedy upierścienioną pulchną dłonią gładził natłuszczoną spiczastą brodę. Zawsze służył Klaudiuszowi i Wespazjan wiedział, że to właśnie on był odpowiedzialny za bezpieczeństwo swojego pana podczas panowania Tyberiusza i Kaliguli i że to on zachęcał go do robienia z siebie głupca, choć tak naprawdę niewiele zachęty było potrzeba. Dzisiejszy dzień tylko potwierdzał słuszność tej polityki. Pallas, wysoki,



szczupły, brodaty, jak zwykle nie okazywał żadnych emocji; służył jeszcze nieżyjącej patronce Wespazjana, Antonii, a po jej śmierci był wierny jej synowi Klaudiuszowi, jako najstarszemu z męskich członków tej rodziny, którym udało się przeżyć. Wespazjan bezskutecznie próbował przyciągnąć jego spojrzenie, mając nadzieję, że ich dawna znajomość, przyjaźń nawet, wciąż będzie się liczyła. Żyłastego Kallistosa z ogoloną głową nie znał tak dobrze, choć spotkał go kilkakrotnie, najpierw jako niewolnika Kaliguli, a potem wyzwoleńca. Nie miał jednak pojęcia, w jaki sposób zdążył jeszcze przed śmiercią cesarza okazać lojalność wobec Klaudiusza. Jednak zbytnio go to nie zaskoczyło, bo jednego był pewien, jeśli chodziło o trzech stojących za cesarzem mężczyzn, a mianowicie, że są wytrawnymi politykami; nie jakimiś tam publicznymi demagogami, ale działającymi na zapleczu intrygantami, doskonale rozumiejącymi subtelności władania cesarstwem.

Kiedy Herod znalazł się kilka kroków od podwyższenia, rozległ się rzucony ostrym głosem rozkaz, a po nim głęboki ton *cornu*, rogu używanego zazwyczaj do przekazywania sygnałów na polu bitwy, i w jednej chwili w powietrzu zabłysły trzy tysiące wyciągniętych z pochew mieczy. Konsulowie stanęli jak wryci.

– Senatorowie i kohorty miejskie przybyli tutaj, by zaprzysiąc wierność cesarzowi! – zawołał Herod Agryppa i natychmiast usunął się na bok.

– Naj-naj-najwyższy czas! – wrzasnął Kludiusz do senatorów; ślina trysnęła mu z ust, a lewa ręka, ściskająca poręcz krzesła kurulnego, drżała nieopanowanie. – Chciałem, byście uczynili mnie cesarzem w sposób zgodny z zasadami prawa. Tymczasem mamy sytuację, w której pierwsze wybite monety będą miały na awersie moją głowę, a na rewersie napis „cesarz dzięki gwardii p-p-p-pretoriańskiej”, a nie „dzięki senatowi i ludowi Rzymu”. Dlaczego zwlekaliście? Nie chcieliście mieć kaleki za cesarza?

– Nigdy nam to nie przyszło do głowy, princepsie – skłamał gładko Pomponiusz Sekundus.

Klaudiusz podniósł prawą rękę, a Narcyz rozwinął zwój i odczekawszy chwilę dla efektu, zaczął czytać:

– „Klaudiusz nie tylko się jąka, ślini i kuśtyka, co ośmieszałoby władzę, ale co gorsza, legiony go nie znają i dlatego nie kochają”. – Opuścił zwój, a jego brwi uniosły się odrobinę, kiedy napotkał zdumiony wzrok Pomponiusza Sekundusa.

Klaudiusz zwrócił się do trzydziestokilkuletniego senatora stojącego blisko podwyższenia.

– Tak właśnie powiedział, prawda, Geto?

– Tak, princepsie, słowo w słowo – odparł z zadowoloną miną Gnejusz Hozydiusz Geta. – Było mi wstyd, że konsul Rzymu mówi takie nieprawdziwe słowa o....

– Tak, tak, już d-d-dość. Nie ma potrzeby przesadzać, pretorze. – Klaudiusz ponownie przerzucił wagę na zawstydzonego konsula. – Jesteś w stanie wymyślić jakiś powód, dla którego miałbym nie skazać cię na śmierć? W rzeczy samej, czy ktokolwiek potrafi znaleźć powód, dla którego nie miałbym uśmiercić całego s-s-senatu?

– Bo nie zostałyby ci nikt, nad kim warto byłoby panować, princepsie? – zasugerował Herod Agryppa.

Po chwili zaskoczenia Klaudiusz wybuchnął śmiechem.

– Och, Herodzie, przyjacielu, ty zawsze potrafisz mnie rozbawić.

Agryppa uśmiechnął się i przyłożywszy dłoń do piersi, skłonił się głęboko.

Klaudiusz z zadowoleniem przyjął ten gest, po czym odwrócił się do starszego konsula z twarzą znowu wykrzywioną niezadowolaniem.

– A jeśli chodzi o armię, która m-m-mnie nie zna i n-n-nie kocha, to bardzo się mylisz. Jestem bratem wielkiego G-G-G-Germanika i żołnierze będą mnie kochać tak jak ja jego, a ja będę ich kochał tak jak on. Będę... – Przerwał, kiedy Narcyz położył mu delikatnie dłoń na ramieniu.

Pallas nachylił się i szepnął mu coś do ucha.

– Myślę, że mamy przedsmak tego, co nastąpi – oświadczył Wespazjan. – Ale przynajmniej chociaż Pallasa możemy uważać za przyjaciela.

Gajusz nachmurzył się.

– Miejmy taką nadzieję, choć przy zmianie politycznego krajobrazu nie zawsze można polegać na niegdyśszych przyjaźniach. Jak wyglądają twoje stosunki z Narcyzem? Wybaczył ci zamianę tego bankierskiego weksla Klaudiusza na gotówkę, kiedy byłeś w Aleksandrii?

– Jest mi winien kilka przysług, ale podejrzewam, że tamto już jedną unieważnia.

Klaudiusz skinął Pallasowi głową, kiedy wyzwoleniec, udzieliwszy rady, wycofywał się, po czym wstał, dając do zrozumienia, że zorganizowana na poczekaniu audyencja dobiegła końca.

– Teraz udam się na spoczynek. Zjawicie się u mnie jutro o drugiej godzinie dnia i zaprowadzicie na Forum, gdzie ogłosicie waszą jednogłośnie decyzję potwierdzającą wolę gwardii pretoriańskiej. Potem w siedzibie senatu przysięgniecie mi wierność. Oczekuję obecności was wszystkich. A teraz już sobie idźcie!

Narcyz pomógł Klaudiuszowi zejść z podwyższenia. Kallistos i Pallas prześcigali się w uprzejmościach, puszczając przodem jeden drugiego, po czym zeszli po schodkach razem. Senatorowie i żołnierze kohort miejskich zaczęli wykrzykiwać „Ave Cezar”, podczas gdy gwardia dwoma błyskawicznymi ruchami schowała miecze do pochew i stanęła na baczność.

Klaudiusz zniknął wśród szeregów swoich bardzo teraz zamożnych pretorianów,

a senatorowie zabierali się do odejścia.

– Cóż, poszło nie najgorzej – zauważył Gajusz.

Wespazjan skrzywił się.

– Sądzę, że niezbyt wiele przychylności możemy oczekiwać od nowej władzy – powiedział. – Mogliśmy zaryzykować, jak Geta i ci inni, przyjsć tutaj i zapewnić o naszej lojalności, zanim zostaliśmy do tego zmuszeni. Jak powiedział Herod, kiedy gwardia go poparła, było to i tak nieuniknione.

– Tak się cieszę, że doceniacie moją mądrość – rozległ się aksamitny głos tuż za uchem Wespazjana.

Wespazjan odwrócił się i zobaczył zimny uśmiech na twarzy Heroda Agryppy.

– Wyzwolenicy Klaudiusza też ją docenili – ciągnął – i to tak bardzo, że zamierzają mu doradzić, by zatwierdził mnie w moim królestwie i na dodatek dorzucił kilka innych, bardzo lukratywnych przywilejów. Chcecie wiedzieć dlaczego?

Wespazjan wzruszył ramionami.

– A musimy?

– Nie musicie, ale może was to zainteresować. Wiedźcie zatem, że nie tylko pomogłem Klaudiuszowi zapewnić sobie obecną pozycję, tym samym czyniąc z jego wyzwolenców ludzi bardzo wpływowych, ale także udzieliłem Narcyzowi i Pallasowi rady, jak mogą utrzymać się przy władzy poprzez wprowadzenie precedensu, który zniechęciłby gwardię do uczynienia zwyczaju ze zmiany cesarza. Widzieliście swojego przyjaciela Klemensa na przysługującym mu miejscu prefekta pretorianów u boku cesarza? A także jego trybunów, Kasjusza Chereę i Korneliusza Sabinusa? Nie, naturalnie, że nie widzieliście.

Na Wespazjanie te słowa nie zrobiły żadnego wrażenia.

– Zabijając Kaligulę, podpisali na siebie wyrok śmierci – oświadczył.

– Oczywiście, choć Klaudiusz, całkiem niemądrze, chciał ich oszczędzić, a nawet wynagrodzić, szczególnie po tym, jak stwierdzili, że mieli jakiś układ z Narcyzem i Pallasem, w którym pośrednikiem była ta gnida Kallistos. Naturalnie, Narcyz, Pallas i Kallistos zaprzeczyli, by mieli jakkolwiek wiedzę na ten temat, ponieważ, jak sam właśnie zauważyłeś, nie można dopuszczać, by ludzie zabijali cesarzy i uchodzili z życiem. Ja natomiast wprowadziłem pewne udoskonalenia. – Agryppa przerwał na moment, jakby sam chciał delektować się swoimi pomysłami. – Drugiego prefekta gwardii pretoriańskiej, Lucjusza Arruncjusza Stellę, który nie uczestniczył w spisku, również aresztowano. Zasugerowałem Narcyzowi i Pallasowi, że być może dobrze byłoby, gdyby w przyszłości prefekci byli świadomi, że ważnym elementem ich obowiązków będzie mieć oko na kolegów. Narcyz i Pallas uznali to za wyśmienity pomysł i dlatego Stella zostanie stracony razem z wszystkimi spiskowcami. – Herod przysunął twarz do twarzy Wespazjana i popatrzył na niego z udawaną niewinnością. – A tak przy okazji, zamierzam dopilnować, żeby to rzeczywiście byli wszyscy spiskowcy.

## Rozdział drugi

Cenis położyła głowę na piersi Wespazjana i szczupłym palcem przesuwiała po wyraźnie zaznaczonych mięśniach, powoli kierując dłoń w stronę brzucha.

– To czcze pogrózki, kochany. Herod Agryppa w żaden sposób nie może połączyć twojej osoby z zabójcami Kaliguli.

Wespazjan pocałował jej gęste czarne loki, wdechając ich słodki zapach, po czym wbił spojrzenie w słabo widoczny w półmroku bielony sufit sypialni. Byli w domu, który Antonia, właścicielka Cenis, podarowała jej razem z wyzwoleniem, tego dnia, którego otworzyła sobie żyły. Pierwsze promienie słońca przesączały się do pokoju i słycać było delikatne, uspokajające gruchanie gołębia. Wespazjan odetchnął głęboko i westchnął. Nie spał ani chwili przez te kilka godzin, jakie spędzili w łożu; za bardzo się niepokoił słowami Heroda Agryppy.

– Sabinus jest mężem siostry Klemensa i to mnie mocno z nim łączy. Może Herod po prostu snuje przypuszczenia.

– Po co miałyby to robić?

– Z zemsty za to, że Antonia doprowadziła do jego uwięzienia przed sześciu laty. To właśnie Sabinus odczytywał w senacie dowody zebrane przez nią przeciwko niemu.

– W takim razie powinien mścić się na Sabinusie.

– Sabinus jest setki mil stąd. Może Judejczyk uważa, że młodszy brat wystarczy.

– To już nie zemsta, tylko czysta złośliwość.

Wespazjan mruknął z zadowolenia, kiedy jej dłoń powędrowała jeszcze niżej.

– Ponadto byłem świadkiem jego upokorzenia w Aleksandrii i sam powiedziałem ówczesnemu prefektowi Egiptu, Flakkusowi, o jego nielegalnych zapasach zboża.

– Skąd miałyby wiedzieć, że to ty poinformowałeś Flakkusa? Poza tym za stracone zboże zemścił się już dwa lata temu za pomocą obciążającego listu do Kaliguli, w którym popierał przedstawicieli aleksandryjskich Żydów przeciwko Flakkusowi, doprowadzając tym do jego stracenia. Nie, ukochany, to czcza groźba. – Poruszała ręką coraz energiczniej, jednocześnie koniuszkami języka trącając jego sutek.

Pierwszy raz od rozmowy z Herodem Agryppą Wespazjan poczuł, że się odpręża.

– Teraz, kiedy Kaligula już nie żyje – szepnął, gładząc ją po włosach – będziesz mogła bezpiecznie pokazać się publicznie.

– A może wcale nie chcę wychodzić. – Cenis zostawiła sutek w spokoju, a jej pocałunki zaczęły wędrować w dół.

Wespazjan odsunął nakrycie i odpowiednio się ułożył. W słabym świetle świtu jej uśmiechnięte niebieskie oczy pobłyskiwały, kiedy zerknęła na niego.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

– Pani? – odezwał się cichy głos.

– O co chodzi? – spytała, nie kryjąc irytacji.

– Jakiś człowiek chce się widzieć z panem.

– Nie może poczekać?

– Nie, mówi, że to bardzo pilne.

Cenis spojrzała na Wespazjana.

– Przykro mi, najdroższy – powiedziała. – Może spotkamy się ponownie.

– A tak niewiele brakowało – powiedział Wespazjan z żalem. Przerzucił ponad nią nogi i usiadł na brzegu łoża. – Powiedz mu, że zaraz dojdę – zawałał, uśmiechając się swawolnie do Cenis. Zachichotała. – Jak ten człowiek ma na imię?

– Kazał powiedzieć, że jest twoim przyjacielem i ma na imię Magnus, panie.

– Chyba w niczym nie przeszkodziłem, co, panie? – spytał Magnus z udawanym przejęciem na poobijanej twarzy byłego pięściarza, kiedy Wespazjan wchodził do atrium.

– Szczerze mówiąc, owszem, w czymś bardzo miłym.

– Podejrzewam, że większość rzeczy, które dzieją się w tamtym pokoju, należy do miłych.

Wespazjan uśmiechnął się do przyjaciela.

– Tylko kiedy Cenis w nich uczestniczy, a właśnie tak było.

– No taa, przykro mi, że przeszkodziłem, niezależnie jak głębokie to było zaangażowanie, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Wiem i tu się mylisz, bo zaangażowani byliśmy w zupełnie inny sposób.

Zachwycony Magnus otworzył szeroko oczy.

– O, przyjemne wczesnoporanne obmycie, to miłe z jej strony. Cóż, ze swoimi ablucjami trochę poczekasz. Musimy się udać do domu twojego wuja.

– Dłaczego?

– Niestety, panie, mamy poważny problem, chodzi o Sabinusa.

– Sabinus jest w Panonii.

– Cieszyłbym się, gdyby tak było, ale nie jest. Właśnie się z nim rozstałem. Jest tutaj, w Rzymie.

Na twarzy Wespazjana pojawiło się przerażenie, bo teraz już zrozumiał prawdziwe znaczenie słów Heroda Agryppy.

– W tej twojej tawernie bractwa rozstajnych dróg! – zadudnił przerażony Gajusz. – Co on w imię bogów tam robi? Miał być w Panonii.

Magnus wzruszył ramionami.

– Miał, ale nie jest, panie. Pojawił się przed kilkoma godzinami, słaby i na uginających się nogach jak pijana westalka. Stracił dużo krwi z powodu paskudnej rany na udzie.

– Skąd się wzięła?

– Nie wiem. Odkąd się zjawił, na zmianę tracił i odzyskiwał przytomność. Wezwałem medyka, z którego usług korzystamy w takich sytuacjach, bo nie zadaje zbyt wielu pytań. Przypalił i zaszył ranę. Twierdzi, że dobre odżywianie i odpoczynek po kilku dniach przywrócą rannego do formy.

Gajusz opadł na krzesło przy ogniu płonącym na palenisku w atrium i dla uspokojenia sięgnął po kielich słodkiego gorącego wina.

– Ten młody głupiec wziął udział w tym zabójstwie, prawda?

Wespazjan chodził nerwowo w tę i z powrotem.

– W jakim innym celu byłby w Rzymie. Nie informując nas o tym – odparł. – I jeśli usiłował zachować w tajemnicy swój udział, to mu się nie udało. Jestem pewien, że Herod Agryppa wie o nim, a jak obaj wiemy, ten Judejczyk nie czuje do Sabinusa sympatii.

Gajusz przełknął łyk wina.

– W takim razie musimy jak najszybciej wyprawić go z Rzymu – oświadczył.

– Dokąd, wuju? Jeśli zostanie skazany, nie będzie mógł wrócić do swojego legionu w Panonii, a w naszych wiejskich posiadłościach bez trudu go znajdą. W tej chwili najbezpieczniejszy jest przy Magnusie. My natomiast musimy dopilnować, by go nie skazano.

– A niby jak mamy tego dokonać?

– Wykorzystując nowy system rządów. Widziałeś wczoraj, jak działa. Klaudiuszem rządzą jego wyzwolenicy.

– Oczywiście! – Pierwszy raz od chwili, kiedy wyciągnięto go z łoża, żeby wysłuchał złych wiadomości, Gajusz wyglądał nieco spokojniej. – Poślę wiadomość do Pallasa, że musimy się z nim zobaczyć jak najszybciej po porannej ceremonii. Przekonamy się wtedy, czy wciąż możemy liczyć na jego przyjaźń.

Mieszkańcy Rzymu stawili się setkami tysięcy, by obserwować, jak ich nowy cesarz odbiera przysięgę wierności od lojalnego już senatu i miejskich kohort. Większość tłoczących się na Forum i wokół niego oraz wzdłuż *via Sacra* zapomniała jakoś, że jeszcze niedawno był pośmiewiskiem, kiedy poprzedni cesarz publicznie go poniżał. Tymczasem ani Klaudiusz, ani jego świta nie zapomnieli o tym i dlatego wzdłuż trasy pochodu ustawiono całą gwardię pretoriańską. Mężczyźni mieli na sobie pełne stroje wojskowe, a nie togi, zwyczajowy ubiór na terenie miasta, co miało przypominać mieszkańcom, że to właśnie siły wojskowe wyniosły Klaudiusza i one utrzymują go na tym stanowisku, i że nie są to siły, z których można bezkarnie kpić. Uczucia senatorów i ludu rzymskiego miały teraz drugorzędne znaczenie ze względu na zachowanie godności nowego cesarza. Każdego podejrzanego o drwiny odciągano, by mógł odebrać gruntowną lekcję, jak szybko człowiek może zacząć utykać i się ślinić.

Na czele pochodu szli senatorzy w olśniewających, świeżo wybielonych kredą togach, lamowanych szerokimi purpurowymi pasami. Ich liczba znowu wzrosła do ponad pięciuset, ponieważ ci, którzy dzień wcześniej opuścili miasto, pospiesznie wrócili w nadziei, że ich republikańskie sympatie zostaną zapomniane bądź przynajmniej zignorowane przez nowego cesarza, kiedy tylko złożą mu przysięgę wierności. Senatorowie szli wolno i z godnością, głowy trzymali wysoko, patrzyli prosto przed siebie, zgiętym w łokciu lewym ramieniem podtrzymując luźne fałdy togi. Każdemu uprawnionemu do tego urzędnikowi towarzyszyła odpowiednia liczba liktorów. Niektórzy mieli na głowach wieńce wojskowe otrzymane za akty dzielności podczas służby w legionach.

Klaudiusza, poprzedzanego przez dwunastu liktorów, niosło w otwartej lektyce szesnastu niewolników, na wysokości ramion, żeby wszyscy mogli go widzieć. Za nim, w ciągniętym przez konie powozie, zarzuconym poduszkami i ozdobionym girlandami kwiatów, jechała jego małżonka Messalina, w zaawansowanej ciąży, wyciągnięta z domu na tę paradę. Towarzyszyła jej osiemnastomiesięczna córka Klaudia Oktawia, która wyglądała na oszołomioną tym, co się wokół niej dzieje.

Za nimi, przy dźwięku *bucinae*, stukając sandałami, maszerowały kohorty miejskie.

Klaudiusza i Messalinę otaczały trzy centurie przybocznej straży cesarskiej. Germanie szli luźnym krokiem, z rękoma na rękojeściach mieczy ukrytych za płaskimi owalnymi tarczami, bladoniebieskie oczy wbijając w tłum. Ci ogromni, długowłosi, brodaci, odziani w spodnie barbarzyńcy stanowili uderzający kontrast z uporządkowaną rzymską paradą.

Tłumy śpiewały i wiwatowały aż do ochrypnięcia. Wymachiwano szmatkami farbowanymi na różne kolory, często były to barwy stronnictw, na jakie dzielili się uczestnicy wyścigów konnych w cyrku. Ludzie stali wzdłuż ulic, tłoczyli się na schodach świątyń i budowli publicznych, z trudem utrzymywali równowagę na podstawach kolumn, czepiali się cokołów posągów przedstawiających znakomitości na koniach albo wskakiwali na parapety okienne. Małe dzieci tkwiły na barkach ojców, a ich bardziej zwinne starsze rodzeństwo wdrapywało się wszędzie tam, gdzie nie mogli się wcisnąć dorośli.

Można było odnieść wrażenie, że wszyscy bez wyjątku prości mieszkańcy Rzymu, wolni, wyzwolenicy oraz niewolnicy, wylegli na ulice, by powitać nowego cesarza. Działo się tak nie dlatego, że czuli jakąś szczególną antypatię do poprzedniego czy też sympatię do Klaudiusza; prawdę mówiąc, nic ich nie obchodziło, kto stoi na szczytach władzy. Przybyli tam, bo ciągle pamiętali igrzyska, hojność i uczty, jakie towarzyszyły objęciu władzy przez Kaligulę, i bardzo chcieli zasłużyć sobie, przez pełne gorliwości poparcie nowego władcy, na powtórkę tamtej szczodrości, a może jeszcze coś więcej. W tym tłumie było też całkiem sporo osób, które miały lepszą pamięć; ci witali Klaudiusza nie ze względu na niego samego, ale dlatego, że był bratem wielkiego Germanika, człowieka, który dla wielu byłby godnym następcą Augusta.

Klaudiusz odgrywał swoją rolę z największym spokojem, na jaki było go stać. Przyjmował wiwaty, wymachując ręką i potrząsając głową. Co jakiś czas ocierał chusteczką brodę, ponieważ ślinotok towarzyszący tikom nerwowym się wzmagał, co było oznaką podniecenia wywołanego tym, że w wieku pięćdziesięciu dwóch lat doczekał się tak owacyjnego publicznego powitania.

Messalina nie zwracała uwagi na tłumy. Jedną ręką trzymała mocno córeczkę, a drugą gładziła się delikatnie po wypukłym brzuchu. Z zadowoloną miną patrzyła wprost przed siebie, na swojego mężonka.

Wreszcie pochód dotarł do Kurii, przed którą, o zgrozo, wbrew wszelkim przyjętym zasadom stali Narcyz, Pallas i Kallistos.

Starając się nie zauważać tego afrontu, konsulowie weszli po schodach i stanęli



po obu stronach otwartych drzwi, gotowi powitać swojego cesarza. Pozostali członkowie senatu ustawili się po bokach schodów, zostawiając Klaudiuszowi wąskie przejście.

Cesarska lektyka zatrzymała się u stóp schodów.

– Ciekawe, co teraz – szepnął Gajusz do Wespazjana, kiedy spoceni niewolnicy zatrzymali się, by opuścić lektykę, która się odrobinę zakołysała.

Na twarzy Klaudiusza pojawiły się oznaki paniki i cesarz uchwycił mocniej poręcze.

Wespazjan zmrużył oczy.

– Lepiej na to nie patrzeć – powiedział. – Nie mam pojęcia, jak go tam wsadzili, ale na pewno zrobili to z dala od ludzkich oczu. Podejrzewam, że obecnej sytuacji nie przewidzieli.

– Czekać! – wrzasnął Narcyz poprzez zgiełk.

Klaudiusz spojrział na niego z wdzięcznością, podrygując już niemal nieustannie.

Narcyz wszedł po schodach i powiedział coś krótko do starszego konsula. Twarz Sekundusa stężała, mężczyzna się wyprostował i obrzucił wyzwoleńca wściekłym wzrokiem. Narcyz szepnął mu jeszcze coś, po czym uniósł pytająco brew, wbijając w konsula spojrzenie swoich stalowych oczu.

Po chwili barki Sekundusa opadły, konsul skinął nieznacznie głową, ruszył schodami w dół i podniósł wzrok w górę, na Klaudiusza.

– Princepsie – powiedział – nie ma najmniejszej potrzeby, byś opuszczał lektykę, złożymy bowiem przysięgę tutaj, na schodach Kurii.

Wokół Wespazjana i Gajusza nastąpiło ogólne poruszenie i słychać było szepty. Jak śmiały jakiś nadęty wyzwoleniec upokarzać w ten sposób rządzącą Rzymem od wieków instytucję? Nikt jednak nie odważył się głośno wyrazić sprzeciwu.

– Z jednego tylko możemy jeszcze czerpać pociechę, drogi chłopcze – szepnął Gajusz, kiedy rozpoczęto przygotowania do odczytania wróżby z lotu ptaków. – Niezależnie od tego, jak wiele władzy spróbują dla siebie wyrwać wyzwolenicy Klaudiusza, cesarz zawsze będzie potrzebował przedstawicieli stanu senatorskiego do dowodzenia legionami i zarządzania prowincjami. Narcyz, Pallas i Kallistos nigdy nam tego nie odbiorą.

– Może i tak, ale kto będzie decydował, komu powierzyć te stanowiska, oni czy cesarz? – spytał Wespazjan, spoglądając w stronę Pallasa, twarz wyzwolenca jednak była jak zawsze nieporuszona.

Po dokonaniu auspicjów stwierdzono, jak należało oczekiwać, że dzień jest wyjątkowo pomyślny dla spraw dotyczących Rzymu. Wołę senatu, że Klaudiusz ma być cesarzem, obwieszczono wszem i wobec, ku wielkiemu zachwytowi tłumu, a senatorzy i kohorty miejskie złożyli przysięgę wierności. Następnie oświadczono, że wszystkie legiony mają złożyć przysięgę nowemu cesarzowi.

Potem zaczęły się przemówienia.

Nim ostatni z mówców skończył przydługą przemowę, minęła już ósma godzina dnia i wszyscy chcieli wracać do domów. Klaudiusz podziękował krótko, ogłaszając siedmiodniowe igrzyska, co przywitano entuzjastycznie, po czym cały pochód zawrócił i udał się w stronę Palatynu. Jedyne, co nieco zakłóciło uroczystości, to wcześniejsze niezaplanowane zniknięcie Messaliny i zasłabnięcie jednego z niosących lektykę tragarzy, ale żadna z tych rzeczy nikogo nie zdziwiła.

Orszak cesarski zniknął w oddali na via Sacra i ogromne tłumy zaczęły się rozpraszać, dyskutując żywo o zapowiedzianych igrzyskach.

– Kolejne ciężkie chwile dla skarbu – zauważył Gajusz, schodząc z siostrzeńcem po schodach siedziby senatu.

Wespazjan uśmiechnął się smętnie.

– Będzie to i tak tańsze niż kupienie sobie gwardii pretoriańskiej.

– Ale to była przynajmniej solidna inwestycja, z czym pewnie się zgodzicie, panowie. – Wespazjan i Gajusz odwrócili się i zobaczyli Pallasę; oparł im ręce na ramionach i dodał cicho: – Ale może nie wystarczyć dla ostatecznego utrzymania pozycji Klaudiusza. Chodźcie ze mną, przyjaciele.

Pallas oddalał się razem z nimi od Kurii, przyciągając wiele zazdrosnych spojrzeń senatorów, którzy widzieli, że dwóch z ich szeregów jest otwarcie faworyzowanych przez nową władzę Rzymu... nieważne, że tego konkretnego jej przedstawiciela uważali za stojącego o wiele niżej od nich.

– Możecie być pewni, że odnalazłbym was dzisiaj, nawet gdybyś nie przysłał mi wiadomości, senatorze Pollonie – poinformował ich Pallas, kiedy tylko odeszli na tyle daleko, że nikt ważny nie mógł ich słyszeć.

Gajusz skłonił głowę w podziękę za jego uprzejmość.

– Miło mi to słyszeć, Pallasie, proszę jednak, byś prywatnie zwracał się do mnie Gajuszu, bo przecież jesteśmy przyjaciółmi, czyż nie?

– Jesteśmy przyjaciółmi, choć nie mamy takiej samej pozycji społecznej.

Wespazjan spojrzął Pallasowi prosto w oczy i dodał:

– Ani takich samych wpływów.

Pallas obdarzył go półuśmiechem, co w jego wypadku było czymś wyjątkowym.

– Tak, Wespazjanie, obawiam się, że masz rację, moje wpływy będą znaczne. Mam zostać cesarskim sekretarzem skarbu.

Gajusz osłupiał.

Wespazjan patrzył na Pallasa z niedowierzaniem.

– Przecież nie ma takiego stanowiska! – powiedział w końcu.

– Teraz już jest. Widzicie, panowie, Narcyz, Kallistos i ja dużo wcześniej wiedzieliśmy o nadchodzących zmianach i mieliśmy dość czasu na zaplanowanie, w jaki sposób będziemy mogli najlepiej służyć naszemu patronowi. Tak się składa, że wy dwaj należycie do tego grona ludzi w Rzymie, którzy wiedzą, iż jest on człowiekiem całkiem inteligentnym, nawet jeśli nieco chaotycznym, ale ma wygórowaną opinię o własnych talentach i tendencję do lekceważenia talentów innych. Dlatego najbardziej boli go, że tak go wykpiwano i pomijano.

– Przecież Kaligula uczynił go konsulem – zauważył Wespazjan.

Pallas uniósł grubą brew.

– Dla żartu, choć myślę, że wszyscy, a szczególnie jego własna matka, byli zaskoczeni, jak dobrze ten urząd sprawował. Rzecz w tym, że teraz nie ufa nikomu, kto nie popierał go w przeszłości, czyli większości ludzi w Rzymie, z kilkoma tylko wyjątkami.

– Z których, jak zakładam, najbardziej godnymi zaufania są jego wyzwolenicy – powiedział Gajusz, klepiąc Pallasa po plecach.

– Zgadza się, Gajuszu. A kiedy senatorowie odmówili bezzwłocznego uznania Klaudiusza za cesarza, którą to ewentualność my, wyzwolenicy, przewidzieliśmy, przekonał się ostatecznie, że nie może im ufać. W tej sytuacji łatwo było go przekonać do wdrożenia naszego planu.

– Ominięcia senatu? – rzucił pytanie Wespazjan, kiedy wchodzili na forum Cezara, gdzie górował ogromny pomnik siedzącego na koniu człowieka, który kiedyś próbował narzucić Rzymowi swoją wolę.

– Wolimy nazywać to scentralizowaniem rządów. Odtąd wszystkie decyzje będą podejmowane przez cesarza.

– Przy pomocy osób stojących najbliżej niego – dodał Gajusz.

– Naturalnie rządzenie cesarstwem jest zbyt wielkim ciężarem dla jednego człowieka i dlatego jego wierni wyzwolenicy mu pomogą. Ja, na przykład,

w finansach, Kallistos w sądownictwie, a Narcyz... cóż, Narcyz będzie odpowiedzialny za jego korespondencję.

Gajusz natychmiast pojął, w czym rzecz.

– Innymi słowy, będzie miał do niego stały dostęp, co oznacza władzę nad polityką zagraniczną i wewnętrzną, a także nad przyznawaniem stanowisk i... – przerwał i rzucił Pallasowi znaczące spojrzenie – i odwoływaniem się do cesarza w sprawach życia i śmierci?

Pallas skinął powoli głową.

– Więc nie możesz nam pomóc z naszym problemem?

– Nie bezpośrednio, choć bardzo bym chciał, za całą tę uprzejmość, jaką ty i Wespazjan mi okazaliście. Narcyz, Kallistos i ja uzgodniliśmy, że nie będziemy się sobie wzajemnie wtrącać w strefy wpływów, i choć nie jestem przekonany, by można się trzymać tej zasady na dłuższą metę, to najlepiej będzie jej przestrzegać tak długo, jak się da. Życie Sabinusa nie jest w moich rękach. Musicie się udać do Narcyza.

– Moglibyśmy zaapelować bezpośrednio do Klaudiusza.

– To okazałoby się niemożliwe, a poza tym byłoby niemądre. Klaudiusz nie wie o udziale Sabinusa w zabójstwie i najlepiej, żeby tak zostało. Dziś rano Herod Agryppa powiedział Narcyzowi i mnie, okazując zbyt dużą satysfakcję jak na mój gust, że zamaskowanym skrytobójcą, na którego on i Klaudiusz natknęli się w tamtym korytarzu, był Sabinus. Uświadomił to sobie, kiedy wczoraj w senacie zobaczył twoje oczy, Wespazjanie. To pobudziło jego pamięć.

– Jesteśmy podobni, dlaczego więc nie pomyślał, że to byłem ja?

– Bo kiedy ten mężczyzna się odezwał, nie miał twojego sabińskiego akcentu, zatem musiał to być twój brat, bo powszechnie wiadomo, że skrywa on swoje pochodzenie. Z oczywistych powodów uważaliśmy, że to niemożliwe, ale on był przekonany o swojej racji. Nalegał, byśmy go odnaleźli i stracili jutro razem z całą resztą. Zagroził, że jeśli tego nie zrobimy, zwróci się do Klaudiusza.

– Mógł od razu udać się do niego.

– To by nie odpowiadało jego interesom. Chodzi mu nie tylko o zemstę, ale i władzę. Herodowi bardzo zależy, by Klaudiusz mu ufał i pozwolił robić co chce w jego królestwie. Nasze rady idą w przeciwnym kierunku. Herod miał nadzieję, że odrzucimy jego żądanie i wtedy on pójdzie do Klaudiusza i powie, że jego wyzwolenicy osłaniają jednego z zabójców jego bratanka, a tym samym udowodni, że jest wierniejszym doradcą od nas. Tymczasem Narcyz go rozczarował i wyraził zgodę. W tej sytuacji nie miałem wyjścia i musiałem postąpić tak samo.

Wespazjan i Gajusz popatrzyli na Pallasa z przerażeniem.

– To ty będziesz odpowiedzialny za odnalezienie i stracenie Sabinusa? – niemal wykrzyknął Wespazjan.

Pallas zachował spokój.

– Tego nie powiedziałem. Powiedziałem, że zgodziłem się to zrobić. Nie miałem wyjścia, skoro Narcyz poznał jego tożsamość. Musiałem robić wrażenie, że ściśle współpracuję ze swoim kolegą. Gdyby Herod Agryppa przyszedł bezpośrednio do mnie, mógłbym użyć groźby, która zamknęłaby mu usta, ale nie przyszedł, więc musimy radzić sobie z taką sytuacją, jaka już zaistniała. Nie uczyniłem nic, co by pomogło odnaleźć Sabinusa, choć domyślałam się, gdzie jest. Wiemy, że został ranny. Dwóch Germanów przeżyło ten niemądry atak na centurię Lupusa, wycofało się i czekało. Zobaczyli, jak jeden ze skrytobójców opuszcza kompleks pałacowy. Poszli za nim i zaatakowali go u podnóża Pałatynu. Mężczyzna zabił jednego z nich i ranił drugiego. Kallistos kazał przesłuchać rannego. Na szczęście nie widział on twarzy zabójcy, ale twierdzi, że zadał mu głęboką ranę w udo. I dlatego Sabinus na pewno wciąż jest w Rzymie.

Wespazjan przyłożył dłoń do czoła.

– Ja go widziałem! Wtedy, kiedy wyszliśmy z tamtej uliczki, wuju, jakiś mężczyzna oddalał się, kulejąc. To musiał być Sabinus. Postanowiłem pójść w przeciwnym kierunku, bo był uzbrojony.

– No i dobrze, że tak zrobiłeś – powiedział Pallas. – Gdybyście się tam spotkali, a ty byś zabrał go do domu, już teraz siedziałby w celi. Teraz, kiedy Narcyz wie o Sabinusie, dziś rano, podczas trwania tych ceremonii, kazał przeszukać twój dom, Gajuszu, i dom Sabinusa na Awentynie, a także dom Cenis.

– Co takiego? Jak śmiał?! – wybuchnął Gajusz.

Wespazjan pomyślał z niepokojem o reakcji Flawii i Cenis na takie pogwałcenie prywatności i o konieczności udzielenia im wyjaśnień.

– Czasy się zmieniły, Gajuszu – oświadczył spokojnie Pallas. – Narcyz śmie tak czynić nie tylko dlatego, że posiada stosowną władzę, lecz również dlatego, że musi. W grę wchodzi więcej niż życie jednego człowieka. Nie możemy pozwolić na to, by Herod zdobył bezwzględne zaufanie Klaudiusza. Kiedy trzy lata temu dostał od Kaliguli to swoje królestwo, zaczął naprawiać mury obronne Jerozolimy, czyniąc z niej jedno z najbardziej imponujących miast Wschodu. Przysiągł Klaudiuszowi, że jego działania mają na celu obronę interesów Rzymu przeciwko Partom. Klaudiusz mu wierzy i ponownie zatwierdził go na tronie. Jednak wszyscy wiemy, że

umocnienia Jerozolimy skierowane są zarówno na wschód, jak i na zachód, i wiemy też, co Żydzi sądzą o rzymskiej władzy. Gdyby Judea podniosła bunt, jego płomienie ogarnęłyby cały Wschód, podsycane przez Partów, którym bardzo zależy na ponownym dostępie do naszego morza, ponieważ nie mają go od czasów Aleksandra. Musimy podkopywać zaufanie Klaudiusza do Heroda Agryppy, by móc go w końcu obalić. A nie możemy tego zrobić, jeśli on powie cesarzowi, że ukrywamy jednego z zabójców Kaliguli.

Wespazjan widział logikę tego rozumowania, chociaż budziła w nim niesmak.

– Co w takim razie możemy zrobić, Pallasie? – zapytał.

– Przede wszystkim musicie zabrać Sabinusa z miejsca, w którym, jak sądzę, się ukrywa, a mianowicie z tawerny Magnusowego bractwa rozstajnych dróg. Narcyzowi dość szybko przypomni się znajomość twojej rodziny z tym człowiekiem. Ja w każdym razie nie zająknąłem się na ten temat. Musisz zabrać go do swojego domu, Gajuszu. Powinno tam być bezpiecznie, bo dom został już przeszukany. Jedyna nadzieja, że Narcyz oszczędzi Sabinusa, leży w tym, że nikt się nie dowie o jego udziale w tym zabójstwie.

– A co z Herodem? – spytał Gajusz.

– Z nim można sobie poradzić, zapewniam was. Na szczęście wiemy, że ważniejsza dla niego jest władza niż zemsta.

Wespazjan zagryzł dolną wargę.

– Przynajmniej zostaje nam tylko problem z Narcyzem, a on jest mi winien co najmniej jedną przysługę.

– Wiem, jak również Sabinusowi, o czym zresztą przypomniałem mu dzisiaj rano.

– Dziękujemy ci przynajmniej za to, przyjacielu – oświadczył szczerze Wespazjan.

Pallas wzruszył ramionami.

– Nie tylko w ten sposób byłem wam w stanie pomóc. Gdy w minionych tygodniach rozmawialiśmy o tym, w jaki sposób najlepiej zabezpieczyć pozycję naszego patrona, pojawiły się imiona was obu. Sabinus wciąż może być dla nas użyteczny. Najpierw jednak trzeba stworzyć taką sytuację, by Narcyz był przekonany, że należy go oszczędzić.

– Chcesz przez to powiedzieć, że Sabinus mógłby kupić sobie życie za pomocą jakiejś przysługi?

– Zobaczymy. Umówiłem was jutro o drugiej godzinie dnia na spotkanie

z Narcyzem. Myślę, że powinniście go zaskoczyć, biorąc z sobą Sabinusa.

## Rozdział trzeci

Słońce zachodziło i długie cienie poprzedzały Wespazjana i Gajusza, kiedy szli na wschód zatłoczoną, zabudowaną po obu stronach kamienicami ulicą zwaną Alta Semita w stronę skrzyżowania z vicus Longus, na południowym stoku Kwirynału. Tutaj właśnie stał trzykondygnacyjny budynek, który Wespazjan wielokrotnie mijał, ale do którego nigdy nie zajrzał: tawerna służąca za siedzibę bractwu rozstajnych dróg południowego Kwirynału, któremu Magnus przewodził, prowadząc interes ochrony miejscowych kupców i mieszkańców. Mieściła się tam też kapliczka bóstw opiekuńczych rozstajnych dróg, a oddawanie im czci było głównym zadaniem bractwa i powodem jego istnienia.

Na zewnątrz stały proste drewniane stoły i ławy. Siedziało tam tylko dwóch osiłków, których zajęciem, jak domyślał się Wespazjan, było napadanie podróżnych, wyglądając wystarczająco zamożnie, by stać ich było na ochronę bractwa. To właśnie przydarzyło się jego rodzinie po przybyciu do Rzymu ponad piętnaście lat temu. Był wtedy szesnastoletnim chłopcem.

Skinąwszy głową siedzącym na zewnątrz mężczyznom, Wespazjan z wujem weszli przez niskie drzwi do dusznego i hałaśliwego wnętrza. Rozmowy natychmiast ucichły, a wszystkie oczy zwróciły się na nich.

– Na jędrny tyłeczek Wenus! Nigdy nie przypuszczałem, że zobaczę dwóch senatorów wchodzących przez te drzwi, i do tego jeszcze byłych pretorów – zawołał uśmiechnięty Magnus, podnosząc się od stojącego w rogu stołu. Jego towarzysz, starzec z wiszącym podgardlem i sękatymi dłońmi, skierował mlecze niewidzące oczy mniej więcej w stronę przybyłych. Magnus położył mu dłoń na ramieniu. – Widziałeś tu kiedyś senatora, Serwiuszu?

Starzec pokręcił głową.

– Nie – odparł – i nigdy nie zobaczę.

– No taa, masz rację, bracie. – Magnus poklepał starca po plecach i podszedł do Wespazjana i Gajusza. – Chodźcie za mną – powiedział.

Podeszwy czerwonych senatorskich butów lepiły się do zalanej winem podłogi, a przez salę przebiegł szmer zdumienia.



– Musimy go przenieść, Magnusie – powiedział Wespazjan, kiedy weszli w drzwi usytuowane w rogu sali, tuż za ladą, na której stał rząd amfor.

– Co, teraz?

– Jak tylko się ściemni.

– On nie jest w tej chwili za bardzo rzeński.

– Domyślam się, ale Narcyz wie, że jest ranny i ukrywa się w Rzymie, więc pewnie wkrótce jego ludzie złożą wam wizytę. Kto jeszcze wie, że on tu jest?

Magnus zaczął wchodzić po nierównych drewnianych schodach.

– Tylko Serwusz, mój zastępca, Ziri, no i Sekstus z Mariuszem; ci dwaj akurat stali na straży poprzedniej nocy, kiedy Sabinus się tu dowłókł.

– Dobrze, bo pomogą nam go przenieść. Jest tu jakieś tylne wyjście?

Magnus obejrzał się przez ramię i wykrzywił żartobliwie twarz do przyjaciela.

– Przepraszam, głupie pytanie – przyznał Wespazjan.

– Są trzy, prawdę mówiąc – poinformował go Magnus, prowadząc ich ciemnym korytarzem. Na jego końcu otworzył niskie drzwi. – Witam w miejscu, które nazywam domem – powiedział, wchodząc przodem.

Znaleźli się w słabo oświetlonej izbie o powierzchni nie większej niż dziesięć stóp na dziesięć. Z jednej strony był stół i dwa krzesła, z drugiej niskie łóżko. Spał na nim Sabinus. Nawet w półmroku widać było, jak jest blady. Ziri, niewolnik Magnusa, siedział na jednym z krzeseł.

– Jak on się ma, Ziri? – spytał Magnus.

– Coraz lepiej, panie – odparł żylasty, brązowoskóry Marmaryda, wskazując ręką pustą miskę na stole. – Popatrz, zjadł całą wieprzowinę.

Sabinus poruszył się. Otworzył oczy i jęknął, kiedy zobaczył brata i wuja stojących za Magnusem.

– Nie powinniście byli tu przychodzić – powiedział.

– Nie, głupcze, to *ciebie* nie powinno tu być! – wybuchnął Wespazjan, kiedy całe napięcie ostatnich godzin znalazło wreszcie ujście. – Co, do kurwy nędzy, sobie wyobrażałeś? W Panonii byłeś bezpieczny, a Klementyna z dziećmi przebywa u naszych rodziców, dlaczego zwyczajnie nie zrezygnowałeś i nie pozwoliłeś, żeby to inni popełnili samobójstwo?

Sabinus zamknął oczy.

– Posłuchaj, Wespazjanie, jeśli przyszedłeś tu, żeby krzyczeć na mnie dlatego, że chciałem zemsty za plamę na honorze, to możesz się odwalić. Trzymałem cię z dala

od tego. Celowo przybyłem w tajemnicy, żebyś, ze względu na więzy krwi, nie był zmuszony mi pomagać.

– Zdaję sobie z tego sprawę i jestem wdzięczny. Niemniej przez wzgląd na więzy krwi czuję się zobowiązany oświadczyć ci, że jesteś końskim zadkiem i jeśli szczęście ci nie dopisze, będziesz *martwym* końskim zadkiem.

Gajusz wszedł pomiędzy braci.

– Drodzy chłopcy, to nas donikąd nie doprowadzi. Sabinusie, zapytam, jak się czujesz, bo musimy cię przenieść. Ludzie Narcyza szukają cię po całym Rzymie.

– Herod Agryppa mnie rozpoznał, co?

– Niestety tak.

Lekki uśmieszek wypełził na usta Sabinusa.

– Oślizgły drań. Założę się, że ma dużo radości, opowiadając to każdemu, kto nadstawi ucha.

– Na szczęście jest nazbyt zajęty zabawą w wykorzystywanie tej informacji do rozgrywek politycznych. Wciąż mamy jeszcze szansę cię uratować.

– Uratować? Chcesz powiedzieć, że innych stracono?

– Stracą ich jutro.

– Przecież Klemens zawarł umowę.

– Nie bądź naiwny. Narcyz nigdy nie miał zamiaru jej dotrzymać.

– A Pallas?

– Pallas jest jedyną osobą, która nam pomaga, ale i on nie może nic zrobić dla Klemensa i całej reszty, bo powszechnie wiadomo, że to oni są zabójcami. Ci są już martwi.

Sabinus westchnął.

– Powinno się ich chwalić, a nie zabijać – oświadczył.

– Jestem pewien, że Narcyz w duchu przez cały czas ich chwali, ale to mu nie przeszkodzi kazać ich zgładzić. A teraz, drogi chłopcze, powinniśmy już iść. Magnusie, sprowadź swoich ludzi.

Magnus skinął głową i wyszedł.

– Co teraz będzie, wuju? – spytał Sabinus, z trudem się unosząc i opierając na łokciach.

– Najpierw zabierzemy cię do mojego domu, a jutro rano zjawisz się przed obliczem Narcyza i nieważne, jakie obrzydzenie odczuwasz na myśl o płaszczeniu się przed wyzwoleniec, będziesz go błagał o życie.

Gajusz zapukał do drzwi frontowych swojego domu; otworzył je zamaszycie atrakcyjny młody odźwierny.

– Powiedz Gernotowi, żeby wstawił piecyk do gościnnej sypialni, i każ kucharzowi ugotować zupę – rozkazał mu Gajusz.

Chłopiec podniósł na pana przerażone spojrzenie.

– Panie, właśnie mieliśmy...

– Tak, wiem, Ortwinie, przeszukano dom. Nie martw się, nic na to nie mogłeś poradzić. A teraz już idź.

Ortwin zamrugał i pobiegł w głąb domu. Gajusz patrzył przez chwilę z aprobatą na kusą tunikę chłopca, która powiewając, odsłaniała to, co w zasadzie miała zakrywać, po czym odwrócił się do stojących wciąż na ulicy mężczyzn.

– Wprowadźcie go, Magnusie – powiedział. Spojrzał na Wespazjana. – Flawii nie można mówić prawdy, drogi chłopcze. Co prawda nie mogę tych rzeczy wiedzieć na pewno, ale z tego, co słyszałem, kobiety mają zwyczaj plotkować między sobą.

Jego siostrzeniec zachichotał.

– To oczywiście, że jej nie powiem, wuju. Choć trudno mi będzie znaleźć jakieś wyjaśnienie pasujące do faktów.

– W takim razie nic nie wyjaśnij.

Wespazjan dziwił się w duchu, że wuj może uważać takie rozwiązanie za coś prostego.

– Ostrożnie, chłopcy – mówił Magnus do Mariusza i Sekstusa. – Obejmijcie go ramionami w pasie, a potem powoli unieście.

– Ramionami w pasie, a potem powoli do góry – powtórzył Sekstus, jak zwykle przetrwajający polecenia.

Mariusz skinął głową.

– Tak jest, Magnusie.

Wespazjan obserwował z niepokojem, jak mężczyźni wyciągają Sabinusa z ręcznego wózka, którego użyli do transportu rannego, podczas gdy Ziri stara się utrzymać ten pojazd w miejscu. Sabinus skrzywił się, kiedy członkowie bractwa, podtrzymując go, stawiali go na lewej nodze. Podczas jazdy trzęsącym się wózkiem przez grube bandaże przesiąkła krew. Wspomagany przez Mariusza i Sekstusa pokuśtykał do wnętrza domu.

– Zabierz wózek na tyły, Magnusie – poprosił Wespazjan – bo będzie nam jutro potrzebny.

– A my? Będziecie potrzebowali rano obstawy?

– Tak, możesz być tutaj ze swoimi chłopcami o świecie?

– Będziemy – zapewnił go Magnus.

Wespazjan przeszedł przez westybul do atrium, gdzie zastał niespotykany dotąd obrazek: żona i kochanka w tym samym pokoju. Obie wyglądały na niezbyt zadowolone. Gajusza nie było widać.

– Co tu się dzieje? – rzuciła Flawia głosem piskliwym z oburzenia. – Wtargnięto do domów nas obu, nasze sypialnie przeszukali ludzie o manierach gorszych od tych tutaj. – Wycelowała oskarżycielski palec w Sekstusa i Mariusza, którzy układali Sabinusa na sofie. – Potem taszczą tutaj Sabinusa, bardziej martwego niż żywego, podczas gdy, jak wiadomo, powinien być tysiąc mil stąd. A kiedy zażądałam wyjaśnień od twojego wuja, rzucił mi tylko jedno spojrzenie i czmychnął do swojego gabinetu.

Siostrzeńca wcale nie zdziwiło, że Gajusz się wycofał. Flawia nieprzyjemnie przypominała Wespazjanowi matkę i dlatego poczuł głębokie współczucie dla ojca, który przez lata wysłuchiwał podobnych tyrad. Przez głowę przebiegła mu niepokojąca myśl: czy poślubił Flawię, bo, choć nie zdawał sobie z tego sprawy, rzeczywiście przypominała mu matkę? Zerknął na Cenis, stojącą tak absurdalnie blisko Flawii, i sądząc po jej minie, nie mógł liczyć na żadne wsparcie.

– Słucham, Wespazjanie. Czekamy – oznajmiła nieustępliwym tonem Flawia, obejmując ramieniem Cenis. Wespazjan wzdrygnął się na ten widok. – Co takiego zrobiłeś, że tak brutalnie naruszono naszą prywatność?

Pamiętając zadowolające rezultaty, jakie w takich sytuacjach przynosiło ojcu przejście do ofensywy – niestety tę taktykę zaczął stosować dopiero na starość – postanowił wziąć z niego przykład.

– To nie jest odpowiedni czas na krzyki i oskarżenia, kobieto. I nie będzie żadnych wyjaśnień! Dopilnuj, by przygotowano Sabinusowi pokój, i każ kucharzowi przynieść mu trochę zupy.

Flawia położyła dłoń na okrągłym brzuchu.

– Mogłam poronić z tego całego napięcia i nerwów. Muszę usłyszeć wyjaś...

– Niczego nie musisz, kobieto! Dopilnuj, by Sabinusowi było wygodnie. Ruszaj!

Flawia drgnęła, kiedy ją ostro odprawiono, po czym wymieniwszy z Cenis współczujące spojrzenia, odwróciła się i energicznym krokiem wyszła z pokoju.

– Cenis, zajmij się bandażem Sabinusa, trzeba go zmienić – rzucił Wespazjan

tonem bardziej rozkazującym, niż zamierzał.

Cenis otworzyła usta i natychmiast je zamknęła, napotkawszy ostrzegawcze spojrzenie Wespazjana; nie chciał na nią krzyczeć i to zrozumiała. Podeszła do Sabinusa; po wyrazie jego bladej twarzy widziała, że jest ubawiony jako naoczny świadek problemów, jakie pociągały za sobą skomplikowane układy osobiste brata. Obok stali Sekstus i Mariusz, nie wiedząc, gdzie podziać oczy ani jak wziąć nogi za pas.

– Dzięki, chłopcy – powiedział Wespazjan, odzyskując spokój. Sięgnął do sakiewki i wręczył każdemu po sestercji. – Zobaczymy się jutro.

– Dziękujemy, panie – wymamrotał Mariusz, ruszając ku drzwiom.

Sekstus mruknął coś niezrozumiałego i poszedł za nim; żaden nie spojrzał w oczy Wespazjanowi.

– Szwy nie puściły – zauważyła Cenis, oglądając ranę Sabinusa po zdjęciu bandaża. – Trzeba tylko przemyć octem i założyć świeży opatrunek. Zaraz przyniosę co trzeba.

Wyszła z pokoju z oczyma wbitymi w podłogę.

Wespazjan opadł ciężko na krzesło i rąbkąm togi otarł pot z czoła, pozostawiając na nim białą plamę z kredy.

Sabinus spojrzał na brata, zbyt słaby, by wydać coś poza cichym chichotem.

– Rozumiem, że pierwszy raz wszyscy troje spotkaliście się w jednym pokoju?

– I mam nadzieję, że ostatni.

– Chyba że, być może, w twojej sypialni?

Wespazjan spiorunował brata wzrokiem.

– Odwal się, stary!

Dalszej wymianie zdań zapobiegł Gajusz, który wysunął głowę z gabinetu.

– Poszły sobie? – spytał.

– Tak, wuju, ale wróć.

Głowa Gajusza natychmiast zniknęła ponownie za drzwiami.

Wespazjan sięgnął po dzban stojący obok na stole i nalał sobie dużą porcję nierozcieńczonego wodą wina. Pociągnął spory łyk i z zamkniętymi oczyma smakował trunek, marząc, by to, co przed chwilą tu się rozegrało, nie było prawdą.

Niestety kilka chwil później rzeczywistość się potwierdziła; z korytarza dobiegł odgłos kroków dwóch osób. Wespazjan łyknął jeszcze więcej wina. Flawia i Cenis weszły razem; jedna z miseczką zupy i bochenkiem chleba, druga z butelką octu

i świeżymi bandażami.

W milczeniu zajmowały się Sabinusem, aż miseczka była pusta, a rana ponownie opatrzona. Wtedy wezwały niewolników, by pomogli przenieść rannego do jego pokoju.

W końcu stanęły przed Wespazjanem, który już powtórnie napełnił puchar winem.

– Pójdę już do domu – oznajmiła cicho Cenis.

Flawia wyglądała na skruszoną.

– Przepraszam cię, mężu, miałeś rację, odmawiając wyjaśnień. Cenis odgadła, co się wydarzyło... dlaczego Sabinus jest w Rzymie. I słusznie postąpił w związku z Klementyną. Wiem, że zrobiłbyś to samo.

Mijając Wespazjana w drodze ku drzwiom, Cenis położyła mu delikatnie rękę na ramieniu. Potem, w westybulu, zdjęła płaszcz z kołka, zarzuciła sobie na ramiona i obejrzała się.

– Obie rozumiemy wagę utrzymywania tego wszystkiego w tajemnicy, Wespazjanie. Nikomu nie piśniemy o tym słowa, prawda, Flawio?

– Tak, moja droga, ani słowa, nigdy.

– Słyszałem, panie, że ubiegłego wieczoru znalazłeś się w nieco trudnej sytuacji – rzucił konwersacyjnym tonem Magnus, towarzysząc nazajutrz Wespazjanowi i Gajuszowi w dół Kwirynału. Z ust wydobywała mu się ledwie widoczna para; z ciężkiego szarego nieba siępił drobny deszczyk.

Wespazjan z dezaprobatą zerknął przez ramię na Sekstusa i Mariusza, którzy pchali ręczny wózek z Sabinusem. Brat miał twarz zasłoniętą opuszczonym kapturem.

– Myślałem, że tylko kobiety plotkują o domowych kłopotach innych – powiedział.

– Nie wiń chłopaków. Słyszałem z zewnątrz te podniesione głosy, więc kiedy wyszli, spytałem, co się tam działo.

– To był przerażający widok, przyjacielu – wyraził swoją opinię Gajusz, błędąc na samo wspomnienie wydarzeń. – Jedna zirytowana kobieta to aż nadto, a co dopiero dwie. Nie do zniesienia! – Pokręcił głową, wciągając z sykiem powietrze przez zęby. – Stały tam obie, z pałającym wzrokiem, połączone więzią oburzenia, ponieważ pogwałcono ich prawa. Odłożyły na bok wszelką nienawiść i zazdrość z przeszłości, by stawić czoło wspólnemu wrogowi. Cóż za ohyda! Na szczęście

miałem do załatwienia pilną korespondencję.

– Chcesz przez to powiedzieć, wuju, że uciekłeś.

– Drogi chłopcze, nie moją sprawą jest zajmować się twoimi przesadnie skomplikowanymi układami domowymi, szczególnie kiedy dochodzi do zjednoczenia w służącym zemście, nienaturalnym sojuszu. Coś takiego wymaga tego rodzaju zdecydowania, jakie spotyka się jedynie u lekkomyślnych mężczyzn, którzy myślą, że mogą negocjować, nie mając nic do zaoferowania.

– Jak ty sam właśnie zamierzasz uczynić, senatorze – zauważył Magnus.

Gajusz burknął coś niepewnie, a Wespazjan uśmiechnął się w duchu, pomimo niewątpliwej prawdziwości słów Magnusa. Rzeczywiście, nie mieli nic do zaoferowania Narcyzowi w zamian za życie Sabinusa; nic poza nadzieją, że wyzwoleniec będzie pamiętał o dwóch długach, jakie ma do spłacenia. Dziesięć lat wcześniej Wespazjan z bratem zatrzymali dla siebie informację o zaszyfrowanym, jednoznacznie pachnącym zdradą stanu liście, napisanym w imieniu Klaudiusza – i za jego wiedzą – przez nieżyjącego już wyzwolenca Botera. Pokazali go tylko matce Klaudiusza, Antonii; odczytała go ogromnie zażenowanemu Narcyzowi. Przysiągł on wtedy trzymać pewniejszą ręką sprawy swojego patrona – z jednej strony dającego sobą kierować, a z drugiej zbyt ambitnego. Wyraził braciom wdzięczność za dyskrecję w tej sprawie, była to bowiem informacja, która w rękach Tyberiusza czy Sejana mogła oznaczać wygnanie lub egzekucję Klaudiusza, a tym samym koniec kariery Narcyza. Przyrzekł, że odwzajemni przysługę, kiedy tylko nadarzy się okazja.

Drugi dług łączył się z bardzo niemiłym wydarzeniem, na którego wspomnienie Wespazjana wciąż ogarniał wstyd. Na życzenie Antonii on i jego patrycjuszowski kolega Korbulon, zamordowali Poppeusza Sabinusa, który finansował starania o władzę Makrona, następcy Sejana. Dokonali tego w domu Klaudiusza, przy pomocy Narcyza i Pallasa, podczas zamiany wynoszącego czternaście milionów denarów Klaudiuszowego długu na siedem należących do niego posiadłości w Egipcie. Klaudiusz stał się człowiekiem bardzo zamożnym, bo zachował zarówno weksel dłużny, jak i owe majątki. Wespazjan miał nadzieję, że za tę właśnie przysługę Narcyz zechce się zrewanżować. Mimo że wyzwoleniec przyznał wówczas, że ma dług wobec niego, obecnie Wespazjan nie miał sposobu, by go zmusić do dotrzymania słowa, bo Narcyz mógł po prostu wszystkim zaprzeczyć, tym bardziej że dopilnowali, by śmierć Poppeusza wyglądała na naturalną.

Myśli te krążyły Wespazjanowi po głowie, kiedy w milczeniu wlekli się zboczem Palatynu. Gdy wreszcie dotarli do kompleksu pałacowego, wstrząsnął nim widok,

jaki ich tam powitał: na otwartej przestrzeni przed budynkiem, teraz już nie tak dużej z powodu bezmyślnie postawionych przybudówek wokół wspaniałego niegdyś Domu Augusta, kręciły się setki senatorów i ekwitów. Przytupywali i kulili się z zimna.

– Co oni tu wszyscy robią? – zastanawiał się głośno. – Przecież atrium nie może być już pełne.

– Wszyscy Rzymianie natychmiast chcą wiedzieć, na co mogą liczyć u nowej władzy – stwierdził Gajusz. – Magnusie, zostań tutaj z Sabinusem i chłopcami, a my zobaczymy, co tam się dzieje.

Wespazjan i Gajusz przycisnęli się przez tłum niezadowolonych ludzi, pozdrawiając rywali i znajomych, aż wreszcie ujrzeli powód zatoru: przed głównym wejściem tkwiła centuria pretorianów, wciąż, co oburzające, w pełnych wojskowych strojach. Przed nimi stały cztery stoły, obsadzone cesarskimi urzędnikami, którym zarówno ekwici, jak i senatorowie podawali swoje imiona, by mogli je porównać z listą ludzi, którzy mieli tego dnia zostać wpuszczeni do środka. Twarze odesłanych z kwitkiem ukazywały oburzenie i upokorzenie, naturalne u przedstawicieli najwyższych warstw, kiedy zwykli niewolnicy odmawiają im dostępu do ich cesarza.

– Nawet Kaligula nie posunął się tak daleko – wściekał się po cichu Gajusz. – Prawdę mówiąc, osobiście witał tych, którzy każdego ranka przychodzili, żeby go pozdrowić.

– A to dlatego, że jako nieśmiertelny nie musiał obawiać się zamachu na swoje życie.

Gajusz i Wespazjan odwrócili się i zobaczyli Pallasa, któremu po raz kolejny udało się ich zaskoczyć.

– Witam panów – powiedział wyzwoleniec, znowu kładąc im ręce na barkach. – Czekałem na was, by pomóc Sabinusowi obejść tę nową politykę Narcyza dotyczącą wpuszczania ludzi do środka. Gdzież on się podział?

Wespazjan wskazał ręką miejsce z tyłu.

– Jest tam, z Magnusiem, na wózku. Nie za bardzo może chodzić.

– Każę swoim ludziom wprowadzić ich bocznym wejściem. – Pallas dał znak dwom dyżurującym przy nim urzędnikom. Po krótkiej, prowadzonej szeptem rozmowie, podczas której zdawał się stale powtarzać jeden konkretny argument, ruszyli wreszcie wypełnić polecenie. – Zabiorą go do mojej nowej kwatery, gdzie może poczekać do czasu audiencji. A teraz wprowadzimy was.

– Czy tak będzie codziennie? – spytał Wespazjan, kiedy ruszyli do najbliższego



stołu.

– Tak, tylko osoby umówione przejdą dalej, a pretorianie będą sprawdzać, czy nie mają przy sobie broni.

– Senatorowie przeszukiwani? – sapnął Gajusz.

– Szkoda, że Juliusz Cezar nie wprowadził takich zasad – zauważył Wespazjan, chcąc wprawić wuja w lepszy nastrój. – Gdyby tak zrobił, pewnie żylibyśmy dziś w innym świecie.

– Szczerze w to wątpię – oświadczył z nieruchomą twarzą Pallas.

Pół godziny później dotarli wreszcie do ogromnego, imponującego atrium – zaprojektowanego przez Augusta tak, by atmosfera odzwierciedlająca powagę i majestat Rzymu robiła wrażenie na cudzoziemskich posłach. Wespazjan był zaskoczony, gdy zobaczył, że czeka tu bardzo niewiele osób. Ich rozmowy tłumili plusk fontanny i kłapanie sandałów niezliczonych cesarskich urzędników, spieszących w tę i w tę z tabliczkami woskowymi i zwojami. Z ulgą zauważył, że w ciągu dwu dni, które minęły od śmierci Kaliguli, większość najbardziej prostackich elementów wystroju, tak radujących aroganckiego cesarza, usunięto i na swoje miejsce powróciły kunsztownie wykonane meble, ozdoby i posągi, które Wespazjan tak podziwiał, kiedy pierwszy raz oglądał to wnętrze.

– Zostawię was tutaj, panowie – powiedział Pallas, wskazując dwa krzesła stojące przy stoliku pod posągiem, który był mocno wyidealizowaną podobizną Klaudiusza. – Zostaniecie wezwani w stosownym czasie. Jeden z moich ludzi da mi znać, kiedy będziecie wchodzili, a wtedy ja sprowadzę Sabinusa. Powodzenia.

– Dziękujemy, Pallasie – Wespazjan wyciągnął rękę – za całą pomoc.

Pallas cofnął się.

– Nie mogę uścisnąć ci ręki, przyjacielu, w miejscu publicznym. Gdyby Narcyz o tym usłyszał, pomyślałby, że jesteś moim człowiekiem, a nie jego. Dla własnego dobra powinieneś teraz pielęgnować relacje z nim, to on posiada tutaj prawdziwą władzę. Kallistos i ja odgrywamy drugorzędną rolę. – Odwrócił się, ale na odchodnym dodał cicho: – Jednakże Klaudiusz ma dopiero pięćdziesiąt dwa lata i jeszcze sporo życia przed sobą.

Kiedy usiedli, podszedł niewolnik z kielichami różnych soków owocowych na tacce.

– Zaczynam się zastanawiać, czy nie lepiej nam było pod rządami Kaliguli – mruknął Gajusz, biorąc jeden z kielichów.

Wespazjan kopnął wuja pod stołem, wybrał sobie napój i poczekał, aż niewolnik się oddali.

– Uważaj, co mówisz, wuju. Jesteśmy lojalnymi zwolennikami Klaudiusza, zapomniałeś? To w tej chwili jedyna możliwość. On przynajmniej nie ustawia się nad nami w charakterze boga.

– Nawet jeśli jego ulubiony wyzwolenciec zaczyna się zachowywać, jakby był bogiem? – Gajusz uśmiechnął się znacząco.

Wespazjan odwrócił wzrok, żeby nie wybuchnąć śmiechem, i jego oczom ukazał się niezbyt przyjemny widok. Głównym wejściem wchodził właśnie Marek Waleriusz Messala Korwinus, człowiek, który uprowadzając Klementynę i dostarczając ją Kaliguli, świadomie zapoczątkował łańcuch zdarzeń prowadzących do jego uśmiercenia i do tego, że jego własna siostra, Messalina, została cesarżową. Patrycjusz maszerował przez atrium, jakby był u siebie; na jego wyrazistej twarzy malowało się zadowolenie.

Pierwszy raz Wespazjan spotkał tego człowieka, kiedy służył jako kwestor w Cyrenajce, i już wtedy zostali wrogami. Teraz odwrócił głowę, by nie zostać zauważonym, ale niestety za późno.

– Co tutaj robisz, kmiocie? – spytał szyderczo Korwinus, spoglądając sponad swojego długiego arystokratycznego nosa. – Nie sądzę, by były jakieś stanowiska dla lekkomyślnych wieśniaków, którzy tak chętnie zostawiają ludzi wyżej postawionych od siebie na pastwę handlarzy niewolników i tracą na pustyni ponad stu ludzi.

Wespazjan wstał, zaciskając szczęki. Było prawdą, że jego działania przeciwko Marmarydom, mieszkańcom pustyni, były lekkomyślne – podjął je wyłącznie dlatego, że chciał zaimponować Flawii – ale nie lubił, jak mu o tym przypominano.

– Moja rodzina ma wciąż rachunek do wyrównania z tobą za to, co zrobiłeś Klementynie, Korwinusie.

– Naprawdę? Bo ja uważam, że jesteśmy kwita.

– Nie po tym, co jej zrobił Kaligula.

– Czy będzie to miało jakieś znaczenie, jeśli ci powiem, że chodziło głównie o interesy? Choć przyznaję, że była w tym też spora domieszka przyjemności; wiedziałem, że jedyną osobą, która ma szansę zabić Kaligulę, jest któryś z prefektów gwardii cesarskiej. Zatem Klementyna idealnie się nadawała do zemsty na tobie i sprowokowania Klemensa, żeby oczyścił mojej siostrze drogę do pozycji cesarżowej. Twój przygłupi braciszek zupełnie niechcący zdradził mi miejsce jej

pobytu. To zdumiewające, że nie wziął udziału w spisku... a może odpowiada mu rola pozbawionego honoru rogarza?

– Chyba nie masz ochoty pogarszać sytuacji.

– Puste groźby, kmiocie. Będę mówił do ciebie, jak zechcę. Messalina jest teraz cesarżową i jeśli chcesz mojej rady, powinieneś uznać, że jesteśmy kwita.

Wespazjan otworzył usta, by zaprotestować, kiedy tuż obok nich jakiś urzędnik chrząknął znacząco.

– Cesarski sekretarz przyjmie was teraz, panowie – oznajmił.

Korwinus zmarszczył nos, jakby wdepnął w coś paskudnego, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł z miną człowieka, który nie ma najmniejszych żartwień.

– Proszę za mną – powiedział urzędnik, odwracając się.

– To, mój drogi chłopcze – szepnął Gajusz – jest bardzo ustosunkowany człowiek i mądrze zrobisz, jeśli będziesz się trzymał z dala od niego.

– Dzięki, wuju – warknął Wespazjan. – Jednak uważam, że mam w tej chwili większe żartwienia, na przykład walka o życie Sabinusa.

## Rozdział czwarty

Z dala od atrium pałac wyglądał na niemal opustoszały. Pod wysokimi sklepieniami szerokich korytarzy mijali od czasu do czasu jakiegoś cesarskiego urzędnika. Nieliczne wysoko umieszczone okna nie wpuszczały zbyt wiele światła czy ciepła, tym bardziej że niebo było gęsto pokryte chmurami. Słyszając rozbrzmiewające wokół echo stukotu senatorskich sandałów, w tej chłodnej mrocznej i ponurej atmosferze Wespazjan odnosił wrażenie, że prowadzą go raczej do więziennej celi, a nie do ośrodka władzy.

Wreszcie urzędnik zatrzymał się przed wspaniałymi dwuskrzydłowymi drzwiami i zapukał w czarne lakierowane drewno.

– Wejść – odezwał się leniwie znajomy głos.

Mężczyzna powoli i bezszelestnie otworzył ciężkie drzwi, wpuszczając Wespazjana i Gajusza do skąpanego w złocistym świetle pokoju, w którym przeważała głęboka czerwień.

W każdym rogu pokoju przed wygiętym polerowanym lustrem z brązu tkwił srebrny kandelabr. Wszystkie były identyczne, dziesięcioramienne, i stały na czterech nogach zakończonych idealnie uformowanymi lwimi łapami; każdy był wzrostu człowieka i rzucał piękne złociste światło.

– Dzień dobry panom, senatorze Pollonie i senatorze Wespazjanie – odezwał się swoim melodyjnym głosem Narcyz zza zaszypanego zwojami solidnego dębowego biurka. Nie wstał.

Naprzeciwko niego stało półkołem pięć krzeseł; to z lewej strony było już zajęte.

– Dzień dobry, cesarski sekretarzu – odparli niemal równocześnie Wespazjan i Gajusz.

Narcyz wskazał ręką drobnego mężczyznę z ogoloną głową, który siedział na krześle.

– Czy znacie mojego kolegę wyzwolenca, Kallistosa? – spytał.

– Nasze ścieżki już się kiedyś przecięły – przyznał Wespazjan.

– Senatorowie. – Kallistos skinął nieznacznie głową.

– Proszę, siadajcie – zachęcił ich Narcyz.

Gajusz i Wespazjan zajęli dwa wolne środkowe krzesła i siedzieli sztywno na twardym drewnie; najwyraźniej Narcyz nie chciał, by ludziom, z którymi rozmawia, było zbyt wygodnie. Spowijał ich zapach bijący od wypomadowanych włosów.

Wyzwoleniec przyglądał im się, złożony dłoń w piramidkę, upierścienionymi palcami dotykając pełnych, wilgotnych warg widocznych nad porządnie rozczesaną brodą. Powoli przechylił głowę, żeby uzyskać lepszy widok; przy tym ruchu zakołysały się delikatnie dwa ciężkie złote kolczyki, rzucając błyski we wzmocnionym lustrami świetle świec. Po niemal przezroczystych szybach, oprawionych w ołowiane ramki spływały strużki deszczu. Ciężka kotara zatrzymywała wiejące spod prowadzących na zewnątrz drzwi zimne powietrze.

Wespazjan nie widział Narcyza z bliska co najmniej od dwóch lat i dostrzegł świeże bruzdy wyryte w mięsistej twarzy o jasnej skórze, będące oznakami stałego napięcia. Najwyraźniej zaczął siwieć; zdradzały to ślady farby widoczne wzdłuż linii włosów.

Wespazjan i Gajusz siedzieli w niezręcznej ciszy pod tym czujnym spojrzeniem, niepewni, kto powinien zacząć rozmowę.

Błysk rozbawienia pojawił się w lodowato niebieskich oczach Narcyza, kiedy wyczuł ten niepokój. Splótł palce i delikatnie opuścił dłoń na biurko.

– Zatem ile jest warte życie? – zadał w końcu pytanie, prawie retorycznie. Pozwolił, by zawisło na chwilę w powietrzu, po czym skierował wzrok wprost na Wespazjana.

– To zależy, kto kupuje i kto sprzedaje – odparł młody człowiek.

Kąciki ust Narcyza uniosły się leciutko i wyzwoleniec niemal niezauważalnie skinął głową.

– Tak, Wespazjanie, siły rynku działają bezustannie, szczególnie jeśli chodzi o towar, który mamy w rozliczeniu. Dlatego moja sytuacja jest taka delikatna, bo w tej transakcji mieliśmy już wcześniejsze inwestycje poczynione przez obie strony i jestem zmuszony przyznać, że jedna z nich zdecydowanie przewyższa drugą.

Wespazjan zeszywniał. Czyżby Narcyz wspomniał o swoim długu? Ciszę przerwało pukanie do drzwi; Wespazjanomal nie podskoczył na krześle.

– Aha! – zawołał wyraźnie ożywiony Narcyz. – Zapewne przybywa obiekt naszych targów. Wejść!

Wespazjan zmarszczył brwi; skąd Narcyz wiedział o obecności Sabinusa? Gajusz poprawił się na krześle, które było za wąskie, by zmieścić się na nim jego szerokie pośladki.

W drzwiach pojawił się Pallas, a za nim Sabinus podtrzymywany przez Magnusa.

– Sekretarzu skarbu, jakże to miło, że przyprawdasz zamaskowanego skrytobójcę.

Jeśli nawet Pallas był zaskoczony, że Narcyz się ich spodziewał, to nie uwidoczniło się to na jego twarzy.

– Cieszę się, że mogę być pomocny w ostatecznym wyjaśnieniu tej sprawy, cesarski sekretarzu – powiedział tylko.

– Ogromnie pomocny, drogi Pallasie. Proszę cię, zostań – zachęcił go Narcyz przesadnie błagalnym tonem. – Kazałem ustawić pięć krzesel.

Pallas pochylił głowę.

– Z przyjemnością, drogi Narcyzie. Nie chciałbym pomieszać ci szyków. – Zajął miejsce pomiędzy Gajuszem i Kallistosem.

Wespazjan był zdezorientowany: kto kogo tutaj zaskakiwał? A może ci wyzwoleńcy jedynie grali i całe to spotkanie zaplanowano już odpowiednio wcześniej?

Narcyz spojrział na Sabinusa.

– Nasz niespodziewany gość, legat Dziewiątego *Hispana*, i tak daleko od miejsca służby. Czy raczej były legat, żeby być ścisłym, a szkoda, bo moi ludzie w tym legionie mówią, że prefekt obozu Vibianus i najwyższy rangą centurion Laurencjusz są pod dużym wrażeniem twojej osoby. Ale nieważne. Domyśliłem się, że chodzi o ciebie, kiedy jeden z moich agentów zobaczył wcześniej, jak wprowadzają zakapturzonego mężczyznę do apartamentów Pallasa. No cóż. Usiądź, proszę, były legacie. Wydaje się, że z nas wszystkich tobie akurat krzesło jest najbardziej potrzebne.

– Dziękuję, Narcyzie – powiedział Sabinus, podskakując na jednej nodze do krzesła obok Wespazjana.

– Mój tytuł brzmi cesarski sekretarz – przypomniał mu zimnym głosem Narcyz.

– Wybacz, cesarski sekretarzu – poprawił się Sabinus, przełknąwszy ślinę.

Magnus pomógł mu usiąść.

Narcyz zamyślił się, przyłożył palec do ust, a potem pogroził nim łagodnie Magnusowi.

– Budzący postrach Magnus z bractwa rozstajnych dróg południowego Kwirynału... ależ oczywiście, tam właśnie się ukrywałaś, Sabinusie. Czemu też o tym nie pomyślałem? – Zwrócił się do Pallasa. – A ty i owszem, pomyślałeś, wielce

szanowny kolego. A może związki Magnusa z tą rodziną też wyleciały ci z pamięci?

– Jak widać nie, Narcyzie.

Narczyz pokiwał powoli głową.

– Zapomniałeś tylko podzielić się tym ze mną. Cóż, wszystkim nam zdarza się czasami o czymś zapomnieć. Ale nieważne, Sabinus jest teraz z nami. Zakładam, że zdołaliście go tutaj przyprowadzić niezauważenie.

– Poza nami jedynie Cenis i małżonka Wespazjana wiedzą, że jest w Rzymie, i utrzymują to w tajemnicy – zapewnił go Pallas.

– I dwaj moi chłopcy, panie – wtrącił Magnus – i mój niewolnik, ale to ludzie lojalni.

– Nie wątpię, Magnusie, a poza tym są tutaj nieistotni, tak jak ty. – Narcyż machnął ręką. – Możesz już iść.

Magnus wzruszył ramionami, po czym odwrócił się i wyszedł, a za nim urzędnik, zamykając drzwi.

Narczyz bawił się szpicem swojej brody, rozmyślając w milczeniu przez długą chwilę.

– Domyślam się, że dopilnowałeś, Pallasie, by Herod Agryppa nie poszedł skarżyć do naszego patrona, osłabiając nas, jeśli utrzymamy sprawę w tajemnicy.

– Sabinus i ja przeprowadziliśmy krótką rozmowę z naszym wschodnim przyjacielem. Powiedziałem mu, że zastanawiałem się nad udaremieniem dołączenia tych dwóch tetrarchii, do które prosił, do jego królestwa, argumentując swoje stanowisko znaczną stratą we wpływach z podatków do cesarskiego skarbcza, na co, po ekscesach Kaliguli, nie możemy sobie pozwolić. Potem poprosiłem, by przyjrzał się uważnie Sabinusowi i powiedział, czy jest absolutnie przekonany, że to ten sam człowiek, którego widział tuż przed zabójstwem Kaliguli.

Narczyż udał zainteresowanie.

– I co?

– Niestety, po zastanowieniu dochodzi do wniosku, że się pomylił. Sądzi, że zapewne nigdy się nie dowiemy, kto to był.

– Rozumiem, a zatem Sabinusa można by teraz uważać za niewinnego. Doskonała robota, drogi partnerze. – Narcyż rzucił spojrzenie Kallistosowi, jakby chciał spytać, co sądzi. Wespazjan nie potrafił wyczytać niczego z jego twarzy, jednak Narcyż musiał czegoś się dowiedzieć, bo skinął ze zrozumieniem głową, po czym ułożył kilka zwojów na biurku. – Zatem do dzieła, panowie. Proponuję, byśmy zdobyli się

na szczerą rozmowę. Wszyscy doskonale wiemy, na czym stoimy. Pozwólcie, że ja zacznę. Sabinusie, czy to ty byłeś tym zamaskowanym człowiekiem, który wziął udział w zabójstwie Kaliguli?

– Nie.

Narczyz machnął ręką w stronę prawego uda młodego człowieka.

– Unieś tunikę – polecił.

Sabinus zerknął na Pallasa, który otworzył odrobinę szerzej oczy. Powoli ukazał bandaże.

– Spytam jeszcze raz. Czy to ty byłeś tym zamaskowanym człowiekiem, który wziął udział w zabójstwie Kaliguli?

– Tak, cesarski sekretarzu – przyznał po chwili wahania Sabinus.

– Możesz dać sobie spokój z formalnościami teraz, kiedy znowu jesteśmy tu wszyscy starymi przyjaciółmi.

– Oczywiście, Narcyzie.

– Świetnie. Egzekucja twoich towarzyszy nastąpi natychmiast po tym, jak wydam stosowny rozkaz. Zwlekąłem z tym do dzisiaj, żeby mogli spędzić kilka ostatnich godzin z małżonkami i dziećmi. Pozwoliłem na to, bo doskonale wiem, że wyświadczyli mojemu patronowi, mnie, a w rzeczy samej i całemu Rzymowi, szczególnie jego skarbcowi, wielką przysługę, pozbywając się wreszcie Kaliguli. Niemniej, z oczywistych powodów, muszą umrzeć. I na razie, mimo wysiłków Pallasa, by cię oczyścić, ty możesz do nich dołączyć.

Sabinus opuścił głowę.

Wespazjan poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła.

Narczyz wziął z biurka zwój i zaczął go obracać w dłoniach.

– Może nie wszyscy wiecie, że spiskowcy mieli układ z Pallasem, Kallistosem i ze mną. Mieliśmy chronić ich przed jakąkolwiek karą, w zamian za ogłoszenie Klaudiusza cesarzem. Oni dotrzyмали swojej części transakcji, ale tylko najbardziej naiwny głupiec liczyłby na to, że my dotrzymany swojej. – Zerknął na pozostałych dwóch wyzwoleńców.

– Byłaby to prosta droga do politycznej chwiejności – stwierdził Kallistos.

Pallas skinął głową, zgadzając się z nim.

– No właśnie – potwierdził Narczyz. – Jednakże ogromną zaletą tego układu było to, że przez kilka ostatnich miesięcy byliśmy w stanie przygotować się do wyniesienia na cesarski stołek naszego patrona. Moi agenci zajęci byli



sondowaniem opinii, sprawdzaniem, jak lud zareaguje na to, że śliniący się kaleka, bohater niezliczonych dowcipów, zostanie cesarzem. – Rozłożył zwój. – Tu mam podsumowanie raportów agentów z nadreńskich legionów i nie jest to miła lektura. – Przez chwilę przeglądał dokument, jakby chciał przypomnieć sobie jego treść. – Ani trochę. To też nie. – Wskazał ręką leżący przed nim drugi zwój. – Ten jest znad Dunaju. Krótko mówiąc: oficerowie uważają Klaudiusza za pośmiewisko, a żołnierze w najlepszym razie mają mieszane uczucia... pomimo że jest on przecież bratem ich ulubieńca Germanika. I nie mam powodu sądzić, że ktokolwiek w Rzymie uważa inaczej.

– Bzdura, Narcyzie – zaprotestował Gajusz. – My jesteśmy wielbicielami Klaudiusza. Jego znajomość prawa i historii...

– Oszczędź mi tych frazesów, Gajuszu – przerwał mu cesarski sekretarz, machając zwojem. – Powiedziałem, że mamy mówić szczerze. Czy naprawdę chcesz Klaudiusza za cesarza?

Gajusz otworzył szeroko usta, obwisłe policzki się zakołysały.

– A więc? – nalegał Narcyz.

– Nie jest to idealne rozwiązanie – przyznał Gajusz.

– Nie, nie jest idealne, dla większości ludzi. Ale dla mnie jest. – Popatrzył na kolegów. – A także dla Pallasa i Kallistosa.

– Idealnie nam odpowiada – potwierdził Kallistos.

– A poza tym to już fakt: Klaudiusz jest cesarzem – dodał Pallas.

– No właśnie – powiedział Narcyz miękkim, pełnym zadowolenia głosem. – Jednak wciąż pozostaje pytanie: jak go mamy utrzymać na tronie? Kupiliśmy gwardię, tak więc w Rzymie Klaudiusz jest bezpieczny. Ale co będzie, jeśli legiony znad Renu zbuntują się, tak jak wtedy, kiedy cesarzem został Tyberiusz? Wojna domowa? Rozpad cesarstwa? Czy może jedno i drugie. Na to nie wolno pozwolić. Jak zatem zapewnić naszemu niedołęznemu patronowi pozostanie na tym stanowisku? – Oczy Narcyza spoczęły na Wespazjanie.

W nagłym przypływie olśnienia senator zrozumiał, że ci trzej wyzwolenicy działają wspólnie i zgodnie w zupełnie innej sprawie. To spotkanie wcale nie miało dotyczyć ratowania życia Sabinusowi. Chodziło w nim o coś więcej. Spojrzenie cesarskiego sekretarza powiedziało mu, że chodziło o jego, Wespazjana, rolę we wzmocnieniu nowej władzy. Pallas jedynie wykorzystał sposobność, by spróbować dodać sprawę Sabinusa do tego, co tak naprawdę miało być przedmiotem pertraktacji. Eliminując zagrożenie ze strony Heroda Agryppy, dostarczył Narcyzowi

sposób na uratowanie Sabinusa i zachowanie twarzy, nawet jeśli on sam przyznał się do winy. Teraz zobaczył, dokąd to wszystko zmierza.

– Spowodować, by armia go szanowała, a może nawet kochała. Do tego potrzebne mu zwycięstwo – oświadczył Wespazjan.

– Właśnie. I to zwycięstwo odniesione jak najszybciej. – Narcyz zwinął raport i odrzucił na bok, jakby ten dokument go osobiście obrażał. – Tylko gdzie?

W pokoju zapanowała tak głęboka cisza, że zza okna słychać było wyraźnie kroki niewielkiego oddziału żołnierzy.

Po chwili Sabinus otrząsnął się z ponurych rozmyślań.

– Germania odpada, odkąd Warus stracił tam trzy legiony. Granica jest teraz na Renie i trudno byłoby namówić legiony, by go przekroczyły, a nawet gdyby do tego doszło, zwycięstwo nie przysłoby szybko.

– Rzeczywiście, nie przysłoby – zgodził się Pallas. – I podobnie próba przyłączenia ziem na północ od Dunaju wymagałaby więcej czasu niż rok czy dwa.

– A legiony odmówiły wejścia na statki, kiedy Kaligula próbował przeprowadzić je do Brytanii – przypomniał Kallistos, jakby recytował dobrze wyuczoną rolę.

– Na południe od naszych afrykańskich prowincji nie ma nic godnego uwagi – pociągnął wątek Narcyz. – Planujemy przyłączenie Mauretanii, leżącej bardziej na zachód. Zadanie to otrzymał Swetoniusz Paulinus, natomiast za złożoną w odpowiednim czasie deklarację lojalności cesarz mianował Hozydusza Getę legatem jednego z legionów będących pod dowództwem Paulinusa. – Narcyz zamilkł na chwilę, zamyślił się i jakby to nagle przyszło mu do głowy, dodał: – Ale to nie miałyby większego znaczenia, bo w tym wypadku trudno byłoby mówić o militarnym zwycięstwie, zasługującym na triumf, choć jestem pewien, że senat przegłosuje go dla Klaudiusza, a on oczywiście skromnie odmówi.

– Zawsze moglibyśmy zaanektować Trację.

– W rzeczy samej, drogi Kallistosisie, tylko jaka w tym chwała? A na wschodzie Armenia ma na tronie zależnego od Rzymu króla. Pozostaje nam więc tylko Partia.

Pallas skinął głową i natychmiast przejął pałeczkę.

– Tylko że kilka lat temu Lucjusz Witeliusz przeprowadził tam zwycięską kampanię i w rezultacie mamy układ, który działa na naszą korzyść. Zatem, tak czy owak, powinniśmy zapomnieć o marszu na wschód, bo nie byłoby nas stać na utrzymanie tak ogromnych terenów w razie zwycięstwa. To pozostawia nam jedyną sensowną pod względem finansowym opcję.

– Tak, Pallasie, masz całkowitą rację. Pozostaje jedynie Brytania – wycedził cesarski sekretarz. – Tylko tym razem zrobimy to tak jak trzeba. Kallistosie, proszę.

Wyzwoleniec odchrząknął.

– Kiedy mój poprzedni patron, Kaligula, planował ryzykowną próbę podboju Brytanii, pełniłem poważną rolę przy koordynacji poszczególnych elementów. Wiem, że taki podbój jest jak najbardziej możliwy. I ma trzy poważne zalety: po pierwsze, cała infrastruktura jest już gotowa, co oszczędzi nam miliony. – Wykrzywił kącik ust w stronę Pallasa, co Wespazjanowi wyglądało na uśmiezek samozadowolenia; leciutkie uniesienie brwi sekretarza skarbu miało zapewne wyrażać aprobatę. – Mamy już port rozładunkowy, Gezoriakum, pełen spichlerzy, magazynów, warsztatów i składów na zapasy żywności. Prowincje galijskie są bardzo żyzne, więc będziemy mieli czym te składy napełnić. Jest tam też spora liczba okrętów, co prawda daleko do potrzebnego nam tysiąca, ale tym już zajmie się nasz dowódca sił wojskowych północnego wybrzeża, Publiusz Gabiniusz Sekundus, osobisty przyjaciel cesarza. Po drugie, mamy dwóch królów, wygnańców z Brytanii, Adminiosa i Werykę, którzy obecnie przebywają w Rzymie, zabiegając o przywrócenie ich na tron, a to legitymizuje nasze działania i zapewnia poparcie tamtejszych prorymskich władców, kiedy już wygramy kampanię. Trzecią poważną zaletą jest to, że główne miasto na południu wyspy, Kamulodunum, dzieli od miejsca naszego zejścia na ląd odległość jednej ciężkiej letniej kampanii. Klaudiusz mógłby więc mieć swoje zwycięstwo w ciągu jednego sezonu.

– Jeśli legiony nie odmówią wejścia na statki – przypomniał wszystkim Pallas.

– *Jeśli* legiony nie odmówią wejścia na statki – powtórzył Narcyz, przenosząc powoli spojrzenie na Sabinusa.

– Jak zamierzasz je tym razem do tego zmusić, Narcyzie? – spytał Sabinus wyraźnie zainteresowany, jakby zapominając o swojej obecnej sytuacji.

– Właśnie tutaj ty i twój brat macie szansę zachowania cię przy życiu, przyjacielu. Gdyby nie zręczność Pallasa w ratowaniu ci skóry, aczkolwiek robił to za moimi plecami, już byś nie żył. – Zamilkł i rzucił sekretarzowi skarbu krótkie niezadowolone spojrzenie, mające znacznie większą wagę, niż mogłyby na to wskazywać ledwo widoczne drgnięcia mięśni twarzy. – W obecnej sytuacji mogę dać wam tę sposobność jako spłatę długu, który byłem wam winien za dyskrecję wykazaną w związku z niemądrym listem mojego patrona. Przyjmiesz ją, nie wiedząc, na czym polega, czy też wolisz umrzeć razem z innymi?

Wespazjan spojrział na brata, czując, jak ulga ogarnia mu całe ciało. Gajusz

wypuścił z ust powietrze, zupełnie jakby podczas całego spotkania wstrzymywał oddech.

Sabinus nie miał kłopotów z odpowiedzią.

– Biorę to, Narcyzie, cokolwiek to jest.

– Doskonale. Pałagiosie!

Drzwi się otworzyły i wszedł urzędnik.

– Słucham, cesarski sekretarzu.

– Czy więźniowie gotowi?

– Tak, cesarski sekretarzu.

Narczyz wstał.

– Chodź ze mną, Sabinusie. Wespazjanie, pomóż mu. – Odsunął zasłonę, otworzył drzwi i wyszedł.

Bracia wyszli za nim na niewielki, szary od mżawki dziedziniec. Pośrodku, przed pieńkiem, klęczało sześciu mężczyzn. Przy każdym stał pretorianin z obnażonym mieczem. Dowodził centurion. Najbliższy z więźniów uniósł głowę z kasztanowymi włosami i uśmiechnął się z rezygnacją, widząc obu braci. Ściągniętą, wynędzniałą twarz miał bledszą niż zwykle.

– Zaczynaj, centurionie – rozkazał Narczyz. – To już wszyscy. Najpierw centurion Lupus.

– Tak jest, cesarski sekretarzu.

Kiedy prowadzono Lupusa do pieńka, Sabinus chwycił Narczyza za ramię.

– Nie możesz mi kazać oglądać egzekucji szwagra.

Narczyz zerknął na jego dłoń i zdecydowanym ruchem ją odsunął.

– Nie jesteś w sytuacji, w której możesz mieć żądania, chyba że chcesz zażądać, by cię do nich dołączyć.

Wespazjan objął brata ramieniem i odciągnął na bok.

– Nic w ten sposób nie zyskasz – powiedział.

Lupus ukląkł przed pieńkiem, opierając na nim ręce, kiedy pretorianin dotknął jego karku mieczem. Broń się uniosła, a on zesztyniał, wtulając głowę w ramiona. Błysnął miecz, Lupus krzyknął, kiedy ostrze uwięzło mu u nasady karku, przecinając rdzeń kręgowy, ale nie odrąbując głowy. Nastąpił natychmiastowy paraliż i mężczyzna osunął się na ziemię, krwawiąc obficie, ale wciąż żywy.

Narczyz cmoknął niezadowolony.

– Oczekiwałbym po centurionie większej godności i podstawienia jak należy

karku, kiedy znajduje się w obliczu śmierci.

Rozciągnięto ciało Lupusa, wystawiwszy jego głowę poza pieńek, a w oczach mężczyzny widać było śmiertelne przerażenie. Wespazjan zerknął na Klemensa i zobaczył, że zachowuje całkowity spokój. Pełniący rolę kata pretorianin po raz drugi opuścił miecz, odcinając tym razem głowę Lupusa, a z otwartej rany trysnęła fontanna krwi.

– Teraz było znacznie lepiej – skomentował to Narcyz, kiedy odciągano bezgłowe ciało na bok, pozostawiając na mokrych płytach krwawą smugę.

– Myślę, że teraz kolej na prefekta Klemensa, zobaczymy, czy zachowa się lepiej.

Sabinus zeszywniał, mięśnie policzków mu drgały, kiedy z całych sił starał się zachować nad sobą kontrolę. Wespazjan trzymał go mocno.

Narcyz zwrócił się do braci.

– Wiesz, Sabinusie, chyba miałeś rację, nie powinienem zmuszać cię do oglądania egzekucji Klemensa. Uważam, że grozę twojej sytuacji o wiele lepiej podkreśliłby fakt, gdybyś to ty był jego katem.

– Przecież nie mogę dokonać egzekucji na Klemensie.

– Oczywiście, że możesz, bo jeśli nie, to zmuszę twój szwagra, żeby zabił ciebie, zanim sam zostanie stracony.

– Zrób to, Sabinusie – zawołał Klemens, kiedy prowadzono go do pieńka. – Skoro ten podstępny, obrzydliwy grecki wyzwolenc nie pozwala mi na godną samobójczą śmierć, to wolę umrzeć z twojej ręki niż upokarzającą śmiercią z ręki prostego pretorianina.

Sabinus pokręcił głową, łzy napłynęły mu do oczu.

– Musisz, bracie – wyszeptał Wespazjan. – Narcyz każe ci to zrobić, żeby podkreślić władzę, jaką ma nad nami. Mamy się podporządkować albo zginąć.

Sabinus westchnął ciężko, chwytając się za głowę.

– Pomóż mi tam przejść.

Wespazjan podtrzymał brata, który pokuśtykał do Klemensa klęczącego przed zakrwawionym pieńkiem. Pretorianin podał mu swój miecz. Sabinus wziął broń i stanął nad szwagrem.

Klemens podniósł wzrok.

– Powiedz Klementynie i mojej żonie, że zrobiłeś to, bo ja tak chciałem. Zrozumieją i będą wdzięczne, że oszczędziłeś mi choć części upokorzenia.

– Obiecuję, Klemensie. I dziękuję za to, że oddałeś mi swoją siostrę. Jest dobrą

żoną i jestem z nią bardzo szczęśliwy, zawsze będę dbał o jej bezpieczeństwo. – Sabinus podrzucił miecz w ręce, sprawdzając, jak jest wyważony.

Klemens skinął głową i szeptem powiedział:

– Pomścij mnie. – Potem położył ręce na pieńku i wyciągnął szyję. – Miej pieczę nad moimi dziećmi – dodał jeszcze.

Płynnym ruchem Sabinus podniósł miecz nad głowę i opuścił. Mięśnie ramienia mu nabrzmiały i rozległ się chrzęst rozłupywanych kości. Głowa Klemensa wyrzucona do przodu siłą tryskającej krwi spadła na ziemię, obróciła się tylko raz i zatrzymała, zwrócona twarzą do Sabinusa i Wespazjana. Przez chwilę oczy wpatrywały się w braci, bo wciąż tliło się w nich życie, zanim ostatecznie uderzenie serca nie chlusnęło na nie krwią i ich nie oślepiło.

Sabinus otworzył dłoń. Metaliczny dźwięk padającego miecza obiegł cichy dziedziniec.

Wespazjan odwrócił wzrok od makabrycznego widoku i na twarzy Narcyza, który tyle zyskał dzięki działaniom Klemensa, a mimo to go zdradził, dostrzegł lekki uśmiech satysfakcji. Wyzwoleniec odwrócił się i wszedł z powrotem do pokoju.

– Chodź, bracie, już po wszystkim. Uznałeś władzę Narcyza.

Odgłos trzeciego padającego na ziemię ciała rozległ się, kiedy Wespazjan ponownie zajmował swoje krzesło. Nie pozwolił sobie jednak na to, by z jego twarzy dało się odczytać pogardę dla Narcyza. Zerknął na Sabinusa. Jego brat nie potrafił tak dobrze ukrywać swoich emocji.

Narcyz również to zauważył.

– Jest mi zupełnie obojętne, co sobie myślisz o tym, że kazałem ci wykonać egzekucję na mężu twojej siostry, dopóki nie mam powodu podejrzewać, iż nie ograniczasz się do myślenia. Jeśli dasz mi powód do podejrzeń, zmienię decyzję, w którą mnie wmanewrowano, i dopilnuję, żebyś nie był jedyną osobą, która na tym ucierpi. – Spojrzał gniewnie na Sabinusa, po czym powoli przeniósł wzrok na Wespazjana i Gajusza, aby wiedzieli, kogo ta groźba dotyczy. – Ale dość już tego, wracajmy do naszych spraw. Czego zatem życzymy sobie od was obu? Ponieważ Pallas ma już znowu swój dawny zespół, pozwólmy jemu wyjaśnić, jako że pomysł ten wyszedł od niego.

Wespazjan spojrział na Pallasa, uświadamiając sobie, że jego pomoc nie wpływa tak całkiem z altruistycznych pobudek. Sekretarz skarbu zauważył to spojrzenie, ale nie dał nic po sobie poznać. Z dziedzińca dotarł właśnie odgłos kolejnego

śmiertelnego ciosu.

– Dzięki ci, Narcyzie, za uznanie – zaczął. – Miesiąc temu, po tym jak postanowiliśmy powrócić do pomysłu Kaliguli dotyczącego podboju Brytanii, zaczęliśmy się zastanawiać, jak Klaudiusz może zaskarbić sobie taki szacunek armii, żeby cztery legiony i odpowiednia liczba oddziałów pomocniczych gotowe były zaatakować tę krainę, którą znajdujący się w ich szeregach przesądni legionieści... czyli niemal wszyscy... uważają za miejsce nawiedzane przez złe duchy. Moi koledzy brali pod uwagę sypnięcie pieniędzmi, co ja uważałem za wykluczone, szukałem bowiem tańszego rozwiązania. Potem przypomniałem sobie inny pomysł Kaliguli, a mianowicie, by pójść w ślady ojca, Germanika, który przywrócił armii dumę po klęsce Warusa w Lesie Teutoburskim i zdobył ich wieczystą miłość, najeżdżając sześć lat później na Germanię i odzyskując orły Osiemnastego i Dziewiętnastego. Kaligula chciał osobiście odnaleźć tego trzeciego, który padł w tamtej bitwie, ale brakło mu cierpliwości, by doprowadzić rzecz do końca. Pamiętam entuzjazm, z jakim powitano ogłoszenie tego planu, i uświadomiłem sobie, że gdyby Kaliguli się to udało, byłby w armii tak popularny, że legionieści bez wahania weszliby na statki płynące do Brytanii. Pomyślałem zatem: dlaczego Klaudiusz nie miałby tego zrobić? – Potoczył wzrokiem po siedzących i zatrzymał spojrzenie na Wespazjanie i Sabinusie, akurat w chwili, w której rozległ się odgłos świadczący o tym, że piąty więzień zakończył żywot. – Oczywiście Klaudiusz nie mógłby zrobić tego osobiście i przypomniałem sobie, że wy dwaj udaliście się do Mezji, skąd wyciągnęliście tego kapłana o szczyrzym pysku. Tak się ta sprawa przedstawia.

Wespazjan i Sabinus z niedowierzaniem patrzyli na Pallasa, chwilowo zapominając o makabrycznej egzekucji Klemensa.

– Chcesz, byśmy odnaleźli orła utraconego przez Siedemnasty? – wykrztusił wreszcie Wespazjan, nie wierząc, że ktoś poza szalonym Kaligulą może wymagać czegoś takiego po trzydziestu dwóch latach od tamtego wydarzenia.

– Tak – potwierdził Narcyz. – Jeśli uda nam się w imieniu Klaudiusza odzyskać i ponownie wznieść utraconego przez Rzym orła, będziemy mieć armię po jego stronie, a żołnierze z ochotą wejdą na pokłady statków i zdobędą Brytanię. Klaudiusz odniesie zwycięstwo, zapewniając bezpieczeństwo sobie i, co ważniejsze, nam.

– I jeśli się podejmiemy tego zadania, ja zachowam życie? – spytał ostrożnie Sabinus.

Narcyza uśmiechnął się leciutko, bez cienia wesołości.

– Nie. Jeśli *wykonacie* to zadanie, zachowasz życie, choć sądzę, że jeśli wam się nie uda, to i tak prawdopodobnie żywi stamtąd nie wrócicie.

– Pewnie masz rację. Ale po co w takim razie ma mi towarzyszyć brat?

– Nie chwytasz, w czym rzecz, Sabinusie – odezwał się Wespazjan, spoglądając wokół na trzech wyzwolenców, których twarze nic nie wyrażały. – O wszystkim postanowiono jeszcze przed śmiercią Kaliguli. Dawno zaplanowano, że my dwaj się tam wybierzemy.

– Czy tego chcemy, czy nie?

Narczy skłonił głowę.

– Lepiej byłoby to ująć w ten sposób: czy wolicie robić karierę, czy nie za nowej władzy, ale owszem. Zresztą teraz nie macie już wyboru, jeśli chcecie, by to niefortunne nieporozumienie dotyczące tego, kim był zamaskowany człowiek, zostało stosownie wyjaśnione. – Przerwał, kiedy na zewnątrz znów rozległ się dźwięk spadającego miecza, a po nim nieprzyjemne plaśnięcie ostatniego ciała padającego na załany krwią pień.

Wespazjan zadrżał. Gajusz pokręcił ze smutkiem głową i potarł kark. Na dziedzińcu centurion wrzasnął na swoich ludzi, żeby zebrali głowy i odciągnęli ciała.

Narczy ściągnął usta.

– Cóż, z tym już koniec. To byli porządni ludzie, choć nieco naiwni. Słusznie zrobiłeś, Sabinusie, przynajmniej dzisiaj nie dołączając do nich. – Zwrócił się do Wespazjana jakby nigdy nic. – Spłacę ten dług, jaki jestem ci winien za to, że mój patron mógł stać się tak zamożny po tamtej sprawie z Poppeuszem... zapewne zgodzisz się, że zrealizowanie weksla bankowego w Aleksandrii wyrównuje ten drugi?

Wespazjan starał się nie myśleć o kapiącej krwią głowie Klemensa, trzymanej przez pretorianina za kasztanowe włosy. Skinął twierdząco.

– A zatem dla wyrównania naszych rachunków ja, a raczej cesarz zatwierdzi cię jako legata Drugiego legionu *Augusta*, stacjonującego w Argentoratum nad Renem.

– Przecież to legion Korbulona.

– W istocie, ale czy ktoś słyszał, by jakiś ekskonsul został legatem? Kaligula dał go Korbulonowi zamiast namiestnictwa którejś z prowincji i chciał go upokorzyć za to, że miał czelność protestować przeciwko temu, jak cesarz traktował jego przyrodną siostrę, zmuszając ją do paradowania półnago na ucztach. Pamiętając o pokrewieństwie łączącym go z małżonką Kaliguli, wolimy, by wrócił do Rzymu,



i jestem pewien, że będzie wdzięczny za zwolnienie go ze stanowiska, które uważał za niegodne. Zastąpisz go. – Podniósł z biurka zwój i wyciągnął do Wespazjana. – To jest cesarski dokument potwierdzający twoją nominację. Przyjmiesz to stanowisko?

– Tak, Narcyzie – odparł Wespazjan. W normalnej sytuacji taka wiadomość została by przyjęta entuzjastycznie i napęliła go dumą, tymczasem Wespazjan nie potrafił myśleć o niczym innym jak tylko o odciążanym gdzieś bezgłowym ciele Klemensa.

– Doskonale. Cesarzowej bardzo zależało, by jej brat, Korwinus, otrzymał to stanowisko, ale szczęśliwie mamy akurat wakat w Dziewiątym *Hispana*. Swoją drogą, ciekawe, jak on spełni oczekiwania prefekta obozu i najwyższego rangą centuriona.

Sabinus zeszczywniał i zacisnął zęby.

Narcyz rzucił na niego przelotne spojrzenie, a na ustach igrał mu przez chwilę ledwie dostrzegalny, cierpki uśmiech.

– Bez wątpienia moi agenci mnie o tym poinformują – powiedział. Wziął z biurka dwa kolejne zwoje i podał Wespazjanowi. – To są rozkazy dla ciebie i dla Korbulona, oba podpisane przez cesarza. Wręczysz swój namiestnikowi Galbie, kiedy dotrzesz do Argentoratum; on zorganizuje wszystko, co trzeba. Rozkazy dla Korbulona przekaż mu osobiście. Wyruszyście tam z Sabinusem bez zbędnej zwłoki. Jako legat będziesz mógł wykorzystać swój legion i oddziały pomocnicze, by pomóc bratu w odnalezieniu orła. Radzę zacząć poszukiwania od Lasu Teutoburskiego.

– Bawisz się nami, Pallasie – oświadczył oskarżycielsko Wespazjan, kiedy tylko drzwi do znajdujących się na piętrze pokoi wyzwolenca zamknęły się za nimi, oddzielając od ciekawskich uszu, których wokół nie brakowało. – To spotkanie nie zostało zaaranżowane w celu targowania się o życie Sabinusa. Ono dotyczyło twoich ambicji oraz mojej roli w ich zaspokojeniu.

– Ról was obu w ich zaspokojaniu – poprawił go Pallas, sygnalizując zarządcy, by podał wino. – Musicie obaj tam się znaleźć. To jest mój pomysł i moja reputacja u cesarza zależy od jego realizacji. Nie mogę sobie pozwolić na klęskę.

– Więc gdyby Sabinus nie był ci użyteczny, pozostawiłbyś go własnemu losowi? – spytał rozsierzdony Wespazjan.

– Uspokój się, drogi chłopcze – odezwał się Gajusz, opadając na sofę, ustawioną niezbyt sensownie tuż przy drzwiach. – Nie jest istotne, jak to załatwiono czy jakie były motywy Pallasa, bo liczy się wyłącznie rezultat. Życie Sabinusa zostało uratowane.

Sabinus usiadł obok wuja i podparł głowę rękoma, oddychając głęboko, kiedy wreszcie poczuł ulgę.

– Owszem, ale ledwo, ledwo. Nar...

– Ledwo to tyle co w sam raz, Wespazjanie! – rzucił Sabinus, patrząc na brata spode łba. – Nawet potrafię przełknąć upokorzenie związane z tym, że Korwinus przejmuje moje stanowisko dowódcy, bo wiem, że teraz mam szansę przeżyć i się zemścić.

Wespazjan się opanował.

– Tak, wiem. Jednak Narcyz najwyraźniej o wszystkim wcześniej wiedział. Nie zaskoczyliśmy go, przyprowadzając cię. To on zaskoczył nas tym, że się ciebie spodziewał.

– Ależ owszem, zaskoczyliśmy go – powiedział Pallas, biorąc dwa kielichy wina od zarządcy i podając jeden Wespazjanowi.

Wespazjan wziął kielich i pociągnął spory łyk.

– Czyżby? – spytał. – Bo ja widziałem człowieka mającego pełną kontrolę nad sytuacją.

– Oczywiście – odparł gładko Pallas, upijając nieco wina z kielicha. – Ponieważ on lubi myśleć, że zawsze ją ma. Kazałem swoim ludziom pozwolić jego agentowi zobaczyć wchodzącego tu Sabinusa, by miał czas oswoić się z tą niespodzianką i uzyskać, w swoim mniemaniu, przewagę. Znam Narcyza bardzo dobrze i wiem, że gdyby Sabinus zjawił się w drzwiach jego gabinetu niezapowiedziany, wówczas, niezależnie od tego, jak dobrze bym osłaniał jego udział w tym zabójstwie, Narcyz kazałby go stracić, bo miałby uczucie, że go wymanewrowano. Oszczędził go, ponieważ uznał, że mnie przechytrzył. Dał mi życie Sabinusa jako coś w rodzaju nagrody pocieszenia.

Wespazjan wypił kolejny łyk wina, przetrawiając to, co usłyszał.

– Dlaczego nam nic nie powiedziałaś, tylko kazałaś nam tam siedzieć bez najmniejszego pojęcia o tym, co się dzieje?

– Ponieważ, drogi przyjacielu, chodziło mi o to, by Narcyz koniecznie widział zdezorientowanie na waszych twarzach, w przeciwnym bowiem razie odgadłby, co się dzieje. Gdyby nie uwierzył, że nas przechytrzył, Sabinus już by nie żył.

Wespazjan westchnął zirytowany, że wyzwoleńcy Klaudiusza z kamiennymi twarzami prowadzili pomiędzy sobą własne intelektualne gierki. Rozejrzał się za czymś do siedzenia i zauważył skromne umeblowanie pokoju.

– Wybaczcie – powiedział Pallas – ale dopiero dziś rano wprowadziłem się do tych pokoi. Będą urządzone według mojego gustu. Proszę za mną, panowie.

Poprowadził ich przez wysoko sklepione przestronne komnaty, z oknami wychodzącymi na Circus Maximus i leżący za nim spowity mgłą Awentyn. Niewolnicy ustawiali meble, pucowali ornamenty i ustawiali posągi najwyraźniej greckiego, a nie rzymskiego pochodzenia. Wespazjan zauważył, że Pallas zamierza urządzić się bardzo wygodnie. Na końcu trzeciego pokoju wyzwoleniec otworzył drzwi i wprowadził ich do gabinetu, którego ściany obudowano drewnianymi półkami mieszczącymi setki cylindrycznych futerałów ze zwojami.

– Proszę – powiedział, zapraszając ich do zajęcia miejsc, po czym poszedł do prawego rogu pokoju i wziął jeden z futerałów. Wysunął zwój i rozłożył na biurku. Była to mapa.

– Tu mamy Galię i Germanię – oświadczył, przyciskając mapę z jednej strony kałamarzem, a z drugiej tabliczką woskową. – Te dwie wojskowe prowincje na zachodnim brzegu Renu, Germania Dolna na północy i Germania Górna na południu, stanowią bufor między nami a utraconą Germanią Wielką na wschodnim brzegu.

Wespazjan, Sabinus i Gajusz popatrzyli na mapę, ale nie było na niej zbyt wielu szczegółów do zapamiętania.

– Jak widzicie, Ren jest wyraźnie zaznaczony, podobnie jak obozy legionowe wzdłuż zachodniego brzegu. – Pallas wskazywał je wszystkie po kolei, od północy na południe, aż zatrzymał palec wypielęgnowanej dłoni w połowie długości rzeki. – Tutaj mamy Argentoratum, gdzie stacjonuje Trzeci *Augusta*. – Przesunął palec spory kawałek na północny wschód. – A to jest miejsce klęski Warusa, na terenach należących do Cherusków.

Wespazjan przyjrzał się uważniej temu miejscu; pod palcem Pallasa nie zobaczył żadnych oznaczeń.

– Skąd to wiesz?

– Wiem tylko tyle, ile można wywnioskować z raportów sprzed dwudziestu pięciu lat, z okresu, kiedy to Germanik i Cecyna znaleźli szczątki żołnierzy rozrzucone na przestrzeni dwudziestu mil lasu.

– A jak niby mamy się tam dostać? – spytał Sabinus. – Wejść z całym legionem i zaprosić tych drani, żeby urządzili sobie powtórkę?

– Nie sądzę, by było to rozsądne – zauważył Pallas nieco protekcyjnym tonem.

Sabinus najeżył się, ale się nie odezwał.

– Orła już tam nie będzie – oświadczył Wespazjan. Wiedział, że mówi coś oczywistego, ale mimo to czuł, że należy to powiedzieć.

Pallas skinął głową.

– Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie będzie. Ale Narcyz ma rację, właśnie w tym miejscu najlepiej zacząć. Jest prawie pewne, że znajduje się on na ojczystej ziemi któregoś z sześciu plemion, które wzięły udział w bitwie pod przywództwem Arminiusza. Orła Osiemnastego legionu odnaleziono u Marsów, a Dziewiętnastego u Brukterów. Pozostają nam zatem Sygambrowie, Chaukowie i plemię samego Arminiusza, Cheruskowie. – Wymieniając nazwy plemion, wskazywał odpowiednio oznaczone ich ojczyste ziemie. – Jednakże orzeł to dla tych ludzi bardzo ważne i cenne trofeum, warte fortunę w razie wymiany, wobec czego nie ma żadnej gwarancji, że pozostał w jednym miejscu.

Wespazjan patrzył na sięgające skraju mapy rozległe ziemie nad Renem i zastanawiał się, jak daleko na wschód się jeszcze ciągną i kto lub co je tam zamieszkuje.

– No dobrze, udajemy się na pole bitwy... ale co potem, Pallasie? To przecież twój plan. Musiałeś mieć jakiś pomysł, kiedy go układałeś.

– Arminiusza zamordował jego krewniak, który pozazdrościł mu tak wielkiej władzy. Po jego śmierci konfederacja plemion, jaką stworzył, rozpadła się. Jednak jego syn, Tumelikus, musi mieć teraz dwadzieścia cztery lata. Jeśli ktokolwiek może ci powiedzieć, gdzie szukać, to właśnie on.

– I on jest w Lesie Teutoburskim?

– Nie wiemy. Germanik wziął do niewoli jego matkę Tusneldę, kiedy była w zaawansowanej ciąży. Dwa lata później pokazał ich oboje podczas triumfu w Rzymie, a potem zostali odesłani do Rawenny. Chłopiec został gladiatorem i walczył dzielnie, zdobywając drewniany miecz i wolność. Potem zniknął, najprawdopodobniej wrócił do Germanii i swojego plemienia, Cherusków. – Pallas wskazał rozległy teren nad Renem. – Jeśli wciąż żyje, to pewno jest gdzieś tam i dlatego najlepiej zacząć od Lasu Teutoburskiego.

– Więc jeśli znajdziemy tego człowieka, który być może nie żyje, to być może on nam powie, gdzie jego ojciec, którego nigdy nie widział, mógł ukryć orła Siedemnastego legionu.

Pallas wzruszył ramionami.

Bracia popatrzyli po sobie i wybuchnęli śmiechem, jakby nie dowierzali własnym uszom.

– Musi być coś jeszcze, co mógłbyś im powiedzieć, Pallasie – oświadczył Gajusz, studiując skąpą mapę i najwyraźniej dzieląc siostrzeńców.

– Powiedziałem im wszystko, co wiem. Gdybyśmy wiedzieli więcej, to orła już dawno by odnaleziono.

– Równie dobrze mogli was posłać, żebyście odnaleźli błonę dziewiczą Wenus – mruknął Magnus, kiedy w gęstniejącym mroku schodzili z Palatynu.

– Wtedy przynajmniej byśmy wiedzieli, gdzie nie szukać – zauważył ponurym głosem Wespazjan. – A nasz orzeł może być gdziekolwiek po tamtej stronie Renu.

– W łapach ludzi należących do któregoś z tych plemion – dodał Sabinus.

Twarz miał skrytą pod kapturem, jednak Wespazjan po głosie rozpoznał, że brat ma gniewną minę, co było całkiem usprawiedliwione. Resztę dnia spędzili w bibliotece Pallasa, czytając wszystko, co tylko mogli znaleźć na temat Germanii i zamieszkujących ją plemion, a także na temat bitwy w Lesie Teutoburskim. Nic z tego, co przeczytali, nie nastrojało optymistycznie. Ziemia porośnięta mrocznymi kniejami, nad którymi opiekę sprawują dziwni bogowie, zamieszkała przez plemiona, które chlubią się i pasjonują męskimi sprawami, związanymi z walką i honorem, a mimo to darzą wielkim szacunkiem kobiety. Jedyne, co łączyło te plemiona, to wzajemna antypatia i brak zaufania. Najwyraźniej germański kodeks honorowy nie zezwalał, by jedno plemię miało przewagę nad innym, i stąd właśnie wynikały ich ciągłe walki.

– Przynajmniej po drodze będziecie mieli okazję odwiedzić rodziców – zasugerował Gajusz, chcąc nieco poprawić nastrój. – A ty, Sabinusie, zobaczysz żonę i dzieci.

– Jeśli będziemy mieli na to czas – mruknął siostrzeniec. Nic nie mogło poprawić jego nastroju.

– Co zamierzasz zrobić, panie, z Flawią i małym Tytusem? – spytał Magnus.

– Zostawię ich tutaj – odparł Wespazjan. – Nie wyobrażam sobie, żeby Flawia zechciała pojechać do Argentoratum. Ona nawet nie odwiedza Kosy. Możesz mieć na nich oko, Magnusie, a także na Cenis?

– A niby jak mam to zrobić, skoro będę tysiąc mil stąd?

Wespazjan zmarszczył brwi.

– A dokąd to się wybierasz? – zapytał.

– Jasne, że z wami.

Wespazjan popatrzył na przyjaciela, jakby ten postradał zmysły.

– A niby dlaczego, w imię wszystkich bogów, którzy są dla ciebie święci, miałbyś to robić?

– No cóż, musicie mieć z sobą kogoś, kto zna drogę i wie, czego szukać, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Przykro mi, ale nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Dalej, panie, rusz głową. Powiedziałem ci w Tracji, że zanim przeniesiono mnie do kohort miejskich, służyłem w Piątym legionie *Aldaе*.

– Owszem, i co z tego?

– Stacjonowaliśmy nad Renem. Byliśmy częścią armii Cecyny, kiedy on i Germanik wtargnęli do Germanii, by dopaść Arminiusza. Byłem na miejscu teutoburskiej masakry, widziałem szczątki naszych chłopców przybitych do drzew, powieszonych na gałęziach i porzucanych na leśnym runie. Pochowaliśmy ich, to znaczy tych wszystkich, których byliśmy w stanie odnaleźć. Ale co ważniejsze, byłem z tymi, którzy odnaleźli orła Osiemnastego legionu. Zobaczyłem, jak go ukrywają, i właśnie dlatego muszę się tam z wami wybrać.

# CZĘŚĆ II

GERMANIA

WIOSNA 41 ROKU

## Rozdział piąty

**T**eraz rozumiem, dlaczego rodzice wybrali to miejsce – rzucił Wespazjan do brata, kiedy zatrzymali wierzchowce. Przed oczyma mieli nową wiejską willę, zbudowaną na łagodnym zboczu opadającym ku brzegom jeziora Murten. Rozciągały się tu ziemie Helwetów. – Interesy bankowe ojca muszą iść nieźle, jeśli stać go na coś takiego.

– Nie będzie już musiał kupować wina – zauważył Sabinus.

Niezliczone równe rzędy winorośli otaczały willę i ciągnęły się wzdłuż stoku za domem, obramowując ją miłymi dla oka regularnymi pasami. Wydawało się, że nawet grupy niewolników pracujących pomiędzy rzędami roślin znajdują się w równych od siebie odstępach. Ten uporządkowany rolniczy układ posiadłości kontrastował z dalekimi poszarpanymi szczytami ośnieżonych Alp, gdzie skrzącą się biel znaczyły niebieskoszare smugi. Coraz mocniejsze wiosenne słońce nie wywarło jeszcze większego wpływu na to królestwo wysokości, gdzie wciąż panowała zima, ale tutaj, niżej, na osłoniętym od północy pogórzcu, czuło się już bliskość wiosny. Trawa pod końskimi kopytami traciła brązowe zabarwienie i odyskiwała bujność; wierzchowce chętnie ją skubały.

Magnus podjechał do braci, zsunął koniowi uzdę, pozwalając mu się paść. Odetchnął chłodnym powietrzem i uśmiechnął się do jadącego obok i prowadzącego dwa juczne muły Ziriego.

– Trudno mi wyobrazić sobie coś, co różniłoby się bardziej od tego spalonego słońcem jałowego pustkowia, które kiedyś nazywałeś domem.

Ziri rozejrzał się wokół z obojętną miną.

– Pustynia człowieka nie ogranicza, nie ma żadnych barier. – Wskazał ręką na ceglany mur biegnący od frontu posiadłości, a potem na wysokie góry w oddali. – Jak daleko na tej ziemi da się przejechać w linii prostej, zanim człowiek będzie musiał zbończyć z drogi, bo natknie się na czyjś teren albo na niemożliwą do pokonania przeszkodę?

– O wiele dalej niż w Rzymie i bez tamtejszego smrodu.

– Ale nie tak daleko jak na pustyni, gdzie zresztą też nie cuchnie. – Ziri



wyszczerzył w szerokim uśmiechu białe zęby, przy czym zmarszczyły się faliste linie, które zdobiły jego brązowe policzki.

Magnus wychylił się i żartobliwie trzepnął swojego niewolnika po głowie.

– Niewolnicy nie mogą wygrywać sporów, ty kędzierzawy amatorze wielbłądów. Prawdę mówiąc, niewolnicy w ogóle się nie spierają.

Wespazjan roześmiał się i ścisnął piętami boki wierzchowca, by pokonać ostatnie kilkaset kroków długiej i męczącej podróży.

Do Massalii przepłynęli statkiem morskim, potem przesiedli się na rzeczny i pożeglowali Rodanem do Lugdunum. Tam wzięli konie od dowódcy miejscowego garnizonu i w ciągu pięciu dni przebyli sto pięćdziesiąt mil dzielące ich od Awentykum. Znalazszy kantor ojca na forum szybko rozrastającego się miasta, usłyszeli od zapracowanych urzędników, że pryncypała złożyła choroba i nie pojawia się tam od czterech dni. Jechali więc te kilka mil za miasto zaniepokojeni, jako że ich ojciec, Tytus, miał już ponad osiemdziesiąt lat.

Przemknęli galopem przez bramę posiadłości, wbudowaną w wysoką stróżówkę z cegły, i podążyli dalej prostą drogą. Po obu stronach, przed długimi niskimi przybudówkami, ciągnęły się świeżo przekopane warzywniki na zmianę z sadami, w których rosły jabłonie i grusze. Droga kończyła się starannie zaprowadzonym tradycyjnym ogrodem; basen z fontanną i rybkami z trzech stron otaczał dwukondygnacyjny dom ich rodziców. Wysoka do pasa drewniana balustrada zamykała głęboką na cztery kroki kolumnadę pod krytym dachówką daszkiem, opadającym pochyło od ściany tuż pod prostokątnymi oknami i wspartym na drewnianych kolumnach oplecionych pnączami. Delikatne świeże pędy kołysały się poruszane łagodnym wiatrem. Oba skrzydła domu miały drzwi i okna rozmieszczone symetrycznie. Kiedy Wespazjan i jego towarzysz zsiadali z koni, drzwi po lewej stronie otworzyły się i pojawiła się w nich znajoma postać.

– Na wyliniałą cipkę Minerwy! – wykrzyknął Magnus. – Artebuz! Co ty tu robisz?

Wespazjan był równie zaskoczony widokiem parającego się kiedyś myślistwem niewolnika, dla którego wolność uzyskał u trackiej królowej Tryfeny, kiedy w randze trybuna odbywał służbę w tym podległym Rzymowi królestwie. Ostatni raz widział go przed dziesięciu laty. Artebuz towarzyszył wtedy jego rodzicom w drodze na północ po napadzie na ich posiadłość w *Aquae Cutillae*, dokonany przez agentów Liwilli i jej kochanka Sejana.

Mężczyzna uśmiechnął się serdecznie na ich widok.

– Magnusie, mój przyjacielu. Wespazjanie i Sabinusie, miło was widzieć – powitał ich, podchodząc do dwuskrzydłowych drzwi frontowych.

Zostawiwszy wierzchowce Ziriemu i chłopcu stajennemu, przybysze dołączyli do niego.

– Jestem tu już od trzech lat – wyjaśnił, wyciągając rękę do Magnusa i skłaniając głowę przed Wespazjanem i Sabinusem. Jego kiedyś kruczoczarne włosy przetkane były siwizną. – Zostawiłem waszych rodziców w Aventicum i wróciłem do mojej rodzinnej prowincji Norikum. Mój ojciec, Brogduos, jeszcze żył, ale był już bardzo stary. Kiedy zmarł, pochowałem go w grobie oznaczonym imionami nas obu, po czym wróciłem tutaj, by spłacić dług, jaki jestem winien waszej rodzinie za uzyskaną wolność. – Na jego twarzy pojawiło się zatroskanie. Zmarszczył czoło z wypaloną tam sigmą. – Dobrze, że jesteście, wasz ojciec już od jakiegoś czasu choruje, a od kilka dni nie wstaje z łóżka. Medycy uważają, że cierpi na jakąś wyniszczającą chorobę, bo jego stan wciąż się pogarsza.

Radość Wespazji Polli z przybycia synów, których od dawna nie widziała, mącił jedynie niepokój o męża. Po krótkim powitaniu w przestronnym atrium, którego wysokie sklepienie w tym północnym klimacie było całkowicie osłonięte, poprowadziła ich najpierw korytarzem, a potem drewnianymi schodami na piętro. Jej dumna niegdyś, szczupła twarz była znękana troską, siwiejące włosy niezbyt starannie upięte na czubku głowy, najwyraźniej nie dbała teraz o wygląd. Ciemne oczy już nie błyszczały, a workowate obrzmienia pod nimi świadczyły o wylanych łzach i nieprzespanych nocach.

– Tutejsi medycy nie mają o niczym pojęcia – poskarżyła się, prowadząc braci korytarzem na piętrze. Z okien roztaczał się wspaniały widok na winnice i odległe szczyty Alp. – Usiłowałam przekonać Tytusa, byśmy wrócili do Rzymu, zaraz po tym jak kilka miesięcy temu źle się poczuł, ale odmówił. Twierdzi, że losu, który zgotowały mu Parki, nie zmieni ani grecki konował w Germanii, ani żaden inny grecki konował, który zażąda dwa razy wyższego honorarium tylko dlatego, że mieszka w Rzymie.

Wespazjan dostrzegł słuszność tej argumentacji, ale powstrzymał się od komentarza.

Wespazja zatrzymała się przed prostymi drewnianymi drzwiami.

– Mówi, że moment, w którym Morta przecina nić życia człowieka, zależy wyłącznie od jej kaprysu i nie ma nic wspólnego z tym, gdzie się wtedy przebywa. –

Przybierając beztroską minę, otworzyła drzwi.

Bracia weszli za nią do środka i ku swojemu zaskoczeniu i wielkiej radości zobaczyli, że ojciec siedzi na łożu. Podniósł wzrok znad zwoju i jego bladą twarz o zapadniętych policzkach rozjaśnił uśmiech.

– Proszę, proszę, moi synowie. Albo posłańcy dotarli do Rzymu i Panonii w rekordowym czasie, a wy go jeszcze pobiliście, jadąc tutaj, albo też zmarnowałem pieniądze, pisząc do was obu cztery dni temu, byście przybyli – powiedział, a Wespazjan i Sabinus ujęli jego wyciągnięte ręce. – Skoro już jednak tutaj jesteście, a ja dzisiaj czuję się lepiej, pomimo wysiłków medyków, by mnie wykończyć, to wstanę do kolacji.

Tytus odstawił kielich i patrzył z niedowierzaniem na Sabinusa. Potarł pomarszczoną czerwoną bliznę w miejscu, gdzie kiedyś miał ucho, po czym zwrócił się do spoczywającej obok na sofie żony.

– Wygląda na to, że wychowaliśmy naszego starszego syna na głupca z samobójczym poczuciem honoru. – Zerknął na Klementynę i dodał: – Oczywiście, moja droga, krzywda, jaką ci wyrządzono, musiała zostać kiedyś pomszczona, ale niekoniecznie za cenę życia twojego brata i męża.

Klementyna skinęła głową, z oczami wypełnionymi łzami żalu po stracie brata. Ubrana była w prostą stolę z żółtej wełny, potargane włosy opadały jej na ramiona. Od chwili, kiedy po powrocie ze spaceru z dziećmi usłyszała, jaką rolę bliscy jej mężczyźni odegrali w zabójstwie Kaliguli, rozdarła była pomiędzy bólem po Klemensie i uczuciem ulgi, że Sabinus przeżył. Uczestniczyła we wspólnej kolacji, bo nie chciała ani na chwilę rozstawać się z mężem, nie była jednak w nastroju do jedzenia.

– Ta hańba nie powinna być okupiona życiem mojego brata ani męża. – Przesunęła dłonią po muskularnym ramieniu Sabinusa. – Dziękuję jednak bogom, że oszczędzili przynajmniej jednego z nich.

Sabinus poruszył się nerwowo i położył rękę na dłoni Klementyny.

– Pod warunkiem, że zdołamy odnaleźć tego orła – oświadczył.

Wespazjan wyciągnął do niewolnika rękę z pustym kielichem.

– A żeby tego dokonać, powinniśmy, według Pallasa, spróbować odnaleźć Tumelikusa, syna Arminiusza, który, jak podejrzewa, wrócił na ziemie swojego plemienia. A niby jak mamy to zrobić? Nie wiemy nawet, jak ten człowiek wygląda.

– Sądzę, że tak samo jak jego ojciec – oświadczył Tytus. – Przynajmniej taki był

jako małe dziecko.

Bracia popatrzyli na ojca nierozumiejącym wzrokiem.

– Widziałeś Tumelikusa? – spytał z wahaniem Sabinus.

– Widziałem go raz jako chłopca podczas triumfu Germanika. Było to w maju tego roku, kiedy wasza matka i ja udaliśmy się do Azji. Dwa dni po triumfie wypłynęliśmy z Ostii. Pamiętam, jak powiedziałem, że chłopiec bardzo przypomina swojego ojca: długie, prawie czarne włosy, przenikliwe spojrzenie jasnyniebieskich oczu i wąskie wargi. Jedyłą różnicą był niewielki dołek w brodzie, który odziedziczył po matce.

– Ale jak zdołałeś dokonać tego porównania?

– Bo znałem Arminiusza, kiedy był dzieckiem. Nawet uratowałem mu życie. – Tytus uśmiechnął się smętnie. – Patrząc z perspektywy czasu, gdybym tego nie zrobił, być może sprawy potoczyłyby się zupełnie inaczej. Bo rozumiecie, chłopcy, nie tylko mężczyźni z wielkich rodów mogą zmienić bieg historii.

– Jak do tego doszło?

Zadawszy już to pytanie, Wespazjan coś sobie przypomniał.

– Oczywiście, przecież służyłeś w Dwudziestym legionie.

Duma, jaka pojawiła się na wychudzonej twarzy Tytusa, który przypomniał sobie wojskową młodość, odjęła mu jakieś dwadzieścia lat.

– Właśnie, Wespazjanie. Po tym jak pokonaliśmy Kantabrow w Hiszpanii, wysłano nas do Germanii. Byliśmy częścią armii Druzusa, starszego brata Tyberiusza, który zgodnie z polityką Augusta zamierzał podbić Germanię Wielką aż do rzeki Albis\*. Z nim uczestniczyliśmy w kampaniach na całej tej porośniętej lasami ziemi, przeciwko Fryzom i Chaukom wzdłuż nisko położonego wybrzeża zimnego Morza Północnego oraz przeciwko Chattom i Marsom pośród lasów i wzgórz w głębi łądu. Kiedy miałem trzydzieści cztery lata i od dwóch lat byłem już centurionem, stoczyliśmy bitwę z Cheruskami, blisko brzegów Albis. Zwyciężyliśmy, a ich król Segimerus w jednym z tych świętych gajów poddał się Druzusowi. Dla potwierdzenia paktu oddał Rzymowi swojego dziewięcioletniego syna Erminatza jako zakładnika. Jako że byłem w tym czasie jednym z najmłodszych centurionów, mnie i mojej centurii przypadł obowiązek eskortowania chłopca do Rzymu, tak więc miałem okazję dość dobrze go poznać... i uratować przed śmiercią z ręki wojowników plemienia Chattów, którzy urządzili na nas zasadzkę, kiedy podążaliśmy w kierunku Renu.

– Erminatz to Arminiusz, ojciec? – spytał Wespazjan.

– Tak, to jego zlatynizowane imię. Przebywał w Rzymie siedem lat i został ekwitą, zanim rozpoczął służbę w legionach jako trybun. Ostatecznie wrócił do Germanii Wielkiej jako prefekt kohorty germańskich oddziałów pomocniczych. Reszta to już znana historia: trzy lata po powrocie zdradził Warusa, w wyniku czego zmasakrowano dwadzieścia pięć tysięcy legionistów i żołnierzy jednostek pomocniczych. Lepiej bym zrobił, zostawiając go Chattom.

Sabinus pociągnął łyk wina. Nie wyglądał na zadowolonego.

– W jaki sposób może nam to pomóc, ojczec? – zapytał. – Widziałeś Tumelikusa, kiedy miał dwa lata, a jego ojca, gdy miał dziewięć, i wydawało ci się, że są do siebie podobni. Obaj mieli czarne włosy i niebieskie oczy, tak jak tysiące innych Germanów, z tym tylko, że Tumelikus ma podbródek z dołkiem.

– No właśnie – zgodził się z bratem Wespazjan. – A wędrowanie po Germanii, zagłądanie pod brodę każdemu napotkanemu Germaninowi nie zbliży nas do Tumelikusa.

Tytus skinął głową i wziął do ręki zimowe jabłko z pomarszczoną skórką.

– Zatem musicie sprawić, by on przyszedł do was.

Sabinus o mało nie roześmiał się drwiąco, w porę jednak przypomniał sobie, że rozmawia z ojcem, i na jego twarz powrócił wyraz szacunku.

– A niby jak mamy tego dokonać? – spytał.

Tytus wyjął z pochwy u pasa nóż i zaczął obierać jabłko.

– Jak powiedziałem, całkiem nieźle poznałem Arminiusza. Podróż do Rzymu trwała prawie dwa miesiące. Po jakimś czasie chłopiec uświadomił sobie, jak daleko od domu go zabierają, i zaczął rozpaczać, że już nigdy więcej nie zobaczy rodziców, a szczególnie matki. Germanie bardzo szanują swoje matki i żony, a nawet korzystają z ich rad w sprawach, które my uważamy za typowo męskie. – Wespazja parsknęła. Tytus nie zareagował, tylko ciągnął dalej. – Tego ranka, kiedy przekazałem go małżonce Druzusa, Antonii...

Słowa te zaskoczyły Wespazjana.

– Poznałeś kiedyś Antonię?

– Nie nazwałbym tego w ten sposób. Odprawiła mnie, ledwie przekroczyłem próg jej domu. Stałem zbyt nisko w hierarchii, by mnie w ogóle zauważyła. W każdym razie zanim go tam zostawiłem, Arminiusz dał mi coś i kazał obiecać, że oddam to jego matce. Oczywiście obiecałem, sądząc, że dołączę do swojego legionu, nie wiedziałem bowiem, że Druzus dwa dni po naszym odjeździe spadł z konia i miesiąc później umarł. W drodze powrotnej natknęliśmy się na kondukt żałobny i mój

legion. Potem stacjonowaliśmy w Ilirii, a kilka lat później braliśmy udział w kampanii Tyberiusza, raz jeszcze w Germanii. Tym razem wkroczyliśmy od południa i nie dotarliśmy do ziem Cherusków. Cztery lata później włócznia omal mi nie wypruła wnętrzości, w wyniku czego zwolniono mnie z armii, tak że już nie wróciłem do krainy Cherusków i nigdy nie oddałem tego przedmiotu matce Arminiusza. Kiedy już wyleczyłem rany i wróciłem do Rzymu, Arminusz służył gdzieś daleko i nie mogłem mu zwrócić jego własności.

Oczy Sabinusa rozbliły nadzieją.

– Czyli wciąż to masz? – spytał.

– Owszem i wciąż używam – odparł Tytus, tnąc owoc na ćwiartki.

– W jaki sposób?

– Użyj oczu – odpowiedział ojciec, wykrawając z jabłka gniazdo nasienne.

Bracia utkwili wzrok w nożu, który ojciec trzymał w ręce.

– Twój nóż? – wykrzyknęli jednocześnie.

– Tak, nóż, którego codziennie używam do obierania owoców i przy składaniu ofiar. – Uniósł lśniące ostrze. – Użyłem go nawet przy obu ceremoniach nadawania wam imion.

Wespazjan i Sabinus wstali i podeszli do ojca, by świeżym spojrzeniem przyjrzeć się ostrzu, które, kiedy byli młodszy, widywali codziennie.

– Nie sądzę, by Tumelikus uznał to za wystarczający powód do udzielenia wam pomocy, uważam jednak, że jeśli rozgłosicie fakt posiadania noża Arminiusza, to będzie on przynajmniej skłonny porozmawiać z synami nieznanego mu człowieka, który uratował życie jego ojcu, w zamian za pamiątkę po nim. Wtedy pozostałoby wam tylko go przekonać.

– Ale dlaczego miałby wierzyć, że ma do czynienia z własnością Arminiusza? – spytał Wespazjan, podziwiając prostotę noża.

– Przyjrzyj się uważnie ostrzu.

– Aha, są tam wyryte dziwne litery, prawda, Tytusie? – spytała Wespazja, nagle sobie coś przypominając. – To ten nóż, który mi dałeś, żebym się zabiła tamtej nocy, kiedy ludzie Liwilli napadli na *Aquae Cutillae*. Patrzyłam na swoje odbicie w ostrzu. Byłam przerażona, myśląc, że ostatni już raz patrzę na siebie. Potem zobaczyłam te linie, które zniekształcały moje odbicie, i starałam się uspokoić, próbując odgadnąć, czym one są. Miałam zamiar później cię o to zapytać, ale tamte przeżycia wymazały to z mojej pamięci.

Wespazjan zmrużył oczy. Prawie na całej długości ostrza ciągnęły się drobne znaki i kolicie biegnące linie, w których rozpoznać można było jakiś rodzaj pisma.

– Co to takiego, ojczy?

– To są runy, pismo plemion germańskich. Arminiusz powiedział mi, że te tutaj tworzą imię Erminat.

Pięć dni później bracia uznali, że nie mogą już dłużej odwlekać odjazdu. Wespazjan siedział z rodzicami w portyku od frontu i patrzył na zbliżających się brata z żoną i dwójkiem ich dzieci, jedenastoletnią Flawią Sabiną i dziewięcioletnim Sabinusem. Przed stajniami z lewej Magnus i Artebuz nadzorowali Ziriego i chłopców stajennych, siodłających wierzchowce i ładujących prowiant, który miał wystarczyć na stumilową drogę do obozu II legionu *Augusta* w Argentoratum.

– Wczoraj zająłem się sprzedażą moich interesów bankowych – oświadczył nagle Tytus. Przeszedł go lekki dreszcz. Choć świeciło ciepłe wiosenne słońce, na ramiona miał zarzucony koc.

– Czyżbyś wreszcie się zdecydował na powrót do Italii? – spytała żona.

– Nie, Wespazjo, umrę tutaj, i to niedługo.

Wespazjan milczał, wiedząc, że ojciec ma rację. Zdrowie mu nie pozwoli doczekać połowy roku. To już będzie ich ostatnie pożegnanie.

– A co ja wtedy zrobię, Tytusie? – rzuciła ostro Wespazja.

– Co tylko zechcesz. Zostawię ci tę posiadłość. Dochód z niej i pieniądze uzyskane ze sprzedaży interesów bankowych wystarczą ci na wygodne życie. Możesz zostać tutaj lub wrócić do naszych posiadłości w Italii. *Aquae Cutillae* zapiszę Wespazjanowi, Falakrynę zostawię Sabinusowi.

– Myślisz, że będę mieszkać tam, gdzie każdy pokój będzie mi ciebie przypominał? Jak możesz być tak niemądry po tych wszystkich latach?

Tytus zachichotał, uśmiechając się z czułością do małżonki.

– Ponieważ twój upór, Wespazjo, nie pozwala mi wyglądać inaczej w twoich oczach.

Wespazja miała zdeorientowaną minę.

– Nie mogę się zdecydować, czy to komplement czy zniewaga – powiedziała wreszcie.

– Jedno i drugie, moja droga.

Kobieta prychnęła drwiąco.

– Tytusie, skoro uparłeś się, żeby umrzeć przede mną, to nie mam najmniejszego

zamiaru żyć w miejscu, które wciąż przypominałoby mi o twoim samolubstwie. Flawia urodzi wkrótce Wespazjanowi drugie dziecko, a Klementyna na pewno zechce zabrać swoje dzieci z powrotem do Rzymu, więc tam właśnie mogę się przydać. Udam się do domu mojego brata Gajusza.

Wespazjan zamknął oczy, wyobrażając sobie matkę i Flawię mieszkające w tym samym domu, i przeszedł go dreszcz. Zastanawiał się, jaka będzie reakcja wuja. Na pewno okaże się, że ma do załatwiania mnóstwo pilnej korespondencji.

– Dlaczego sam o tym nie pomyślałem? – mruknął Tytus z lekkim uśmieszkiem.

Wespazja popatrzyła srogo na męża, po czym twarz jej złagodniała. Położyła mu dłoń na kolanie.

– Jestem pewna, że pomyślałeś, ale uważałeś, że odrzucę to jako niemądry pomysł.

Tytus położył rękę na dłoni żony. Ścisnął ją lekko i spojrzał w stronę stajni, gdzie Sabinus posadził właśnie na koniu swojego synka i dał mu do ręki drewniany mieczyk. Chłopiec wymachiwał nim nad głową i wydawał przenikliwy okrzyk wojenny, podczas gdy jego siostra entuzjastycznie klaskała w dłonie. Sabinus otoczył żonę ramieniem i razem przyglądali się dzieciom.

Tytus uśmiechnął się z zadowoleniem, widząc tę rodzinną scenkę, po czym zwrócił się do Wespazjana.

– Pamiętasz przysięgę sprzed lat, do której zmusiłem ciebie i twojego brata, zanim wyjechaliśmy do Rzymu?

– Tak, ojcze. – Wespazjan rzucił ostrożne spojrzenie na matkę.

– Możesz mówić swobodnie – zapewniła go Wespazja. – Tytus mi o tym powiedział, wyjaśnił, dlaczego to zrobił.

Tytus pochylił się do przodu.

– Jaki był sens tej przysięgi? – zapytał syna.

– Gdyby jeden z nas nie był w stanie pomóc drugiemu w chwili potrzeby, ponieważ wiązałyby ich pierwsza przysięga, wtedy ta druga brałaby pierwszeństwo, ponieważ została złożona wobec wszystkich bogów i duchów naszych przodków.

– A o co według ciebie mi chodziło, kiedy zmusiłem was do złożenia tej przysięgi?

Wespazjan poczuł ucisk w żołądku. Przez piętnaście lat chciał porozmawiać o tym z ojcem, ale wiedział, że ten temat jest zakazany.

– Miała zastąpić przysięgę, którą matka kazała złożyć wszystkim domownikom,



z Sabinusem włącznie, po ceremonii nadania mi imienia, dziewięć dni po narodzinach. Zobowiązywała wszystkich do milczenia na temat znaków, jakie pojawiły się podczas składania ofiary, i tego, co one zapowiadały. Nie wiem, jakie to znaki, bo nikt mi tego nie powiedział.

– To właśnie dlatego, że złożyliśmy tę przysięgę.

– Wiem. Jednakże ja sam natknąłem się na dwa inne proroctwa, które dały mi do myślenia. Z pierwszym miałem do czynienia w wyroczni Amfiaraosa w Grecji. Było dość niejasne, ale sugerowało, że król Wschodu pewnego dnia zdobędzie Zachód, jeśli pójdzie z jakimś darem, przez piaski, śladami Aleksandra.

– A cóż to znaczy?

– Nie jestem pewien, ale w oazie Siwa, w Cyrenajce, byłem świadkiem odrodzenia się Feniksa.

Tytus i Wespazja patrzyli na młodszego syna, a w ich oczach było niedowierzenie i podziw.

– Zabrano mnie do wyroczni Amona i ten bóg do mnie przemówił. Powiedział, że przybyłem za wcześnie, by wiedzieć, jakie mam zadać pytanie, i że powinienem wybrać się tam ponownie, z darem równie cennym jak miecz, który pozostawił Aleksander.

– Jak brzmiała druga przepowiednia? – dopytywał się Tytus. – Że tam wrócisz?

– Nie, było to raczej zaproszenie, bym przyszedł z darem i właściwym pytaniem; zdawało się ono wiązać z tym, co usłyszałem w wyroczni Amfiaraosa. To drugie proroctwo wyszło z ust Trazyllosa, Tyberiuszowego astrologa. Powiedział on, że senator, który ujrzy Feniksa w Egipcie, założy nową dynastię cesarzy. Ja jednak nie widziałem Feniksa w Egipcie. Siwa była niegdyś częścią Egiptu, ale obecnie należy do Cyrenajki, więc nie bardzo wiem, co mam myśleć. Musicie mi powiedzieć, jak brzmiały przepowiednie związane z moimi narodzinami, żebym mógł wyraźniej zobaczyć drogę, jaką mam przed sobą.

– Nie możemy, synu.

– Tylko dlatego, że taką złożyliście przysięgę – niemal wykrzyknął zirytowany Wespazjan.

– Słusznie postąpiłam, zmuszając ludzi do zachowania tajemnicy – oświadczyła pewnym głosem matka. – Uczyniłam tak, by cię chronić. Ojciec również miał rację, pozwalając Sabinusowi wyjawić ci wszystko, jeśli tylko uzna to za konieczne.

Wespazjana zżerała ciekawość, z trudem panował nad sobą.

– Ale kiedy to nastąpi? – zapytał.

Tytus wzruszył ramionami.

– Któż to może wiedzieć? Jedno ci mogę powiedzieć: jeśli nie zdołacie odzyskać orła i Sabinus będzie miał stracić życie, wtedy powie ci to, co wie. Rozmawiałem z nim wczoraj i przekonałem go, że nie złamię pierwszej przysięgi, jeśli tak postąpi. W pewnym momencie będzie ci potrzebna jego pomoc i wtedy będzie mógł udzielić ci jej z za grobu.

– Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie – mruknął Wespazjan, choć ciekawość prawie kazała mu myśleć odwrotnie.

– Miejmy nadzieję – powtórzył Tytus, podnosząc się z trudem, wspierany przez żonę. Rozejrzał się po swojej posiadłości i uśmiechnął z aprobatą. – To było dobre miejsce na stare lata, a mieszkańcy Awenikum zapewniali mi dobre dochody. – Wespazja podała mu laskę i pokuśtykał do drzwi. Obejrzał się przez ramię na Wespazjana. – Rodzina powinna nagrodzić to miasto za wszystko, co zrobiło dla Wespazji i dla mnie. Może kiedyś dopilnujesz, by uzyskało prawa należne kolonii.

Wespazjan patrzył za oddalającym się powoli ojcem, zastanawiając się, czy kiełkująca mu w zakamarkach mózgu niedorzeczna myśl, którą usiłował zdusić w zarodku, może być prawdziwa. Czy to będzie mu dane? Czy pewnego dnia znajdzie się w takiej sytuacji, że będzie mógł spełnić życzenie ojca?

---

\* Albis (Alba) – rzeka Łaba.

## Rozdział szósty

Widok znajomy jak cycki matki – oznajmił Magnus, spoglądając z odległości dwóch mil w dół, na stały obóz II legionu *Augusta*, zbudowany na płaskim terenie pół mili od brzegu Renu.

Wespazjan podzielał odczucia przyjaciela, jeśli nawet nie odpowiadało mu jego porównanie.

– Rzekłbym raczej, że jak matczyne oczy, ale rozumiem, co masz na myśli.

Patrzył z podziwem na wysokie, kanciaste, naszpikowane wieżami strażniczymi kamienne wały, otaczające rzędy postawionych w równych, regulaminowych odstępach baraków. Pomiędzy barakami a wałami ciągnęła się wstęga wolnej przestrzeni, o szerokości ponad dwustu kroków – odległość lotu strzały – na której musztrowano centurie. Obóz przecinały dwie szerokie drogi, dzieląc go na cztery części. Na skrzyżowaniu, prawie pośrodku, zamiast ceglanych baraków stały solidniejsze budynki dowództwa i administracji. Wyższe i zbudowane z kamienia przyciągały wzrok w przeciwieństwie do nijakich i jednakowych baraków. Wszystko to wyglądało jak każdy inny legionowy obóz, w którejkolwiek części cesarstwa.

Niepomiernie jednak zdziwił Wespazjana widok po drugiej stronie rzeki. Spodziewał się ponurej kniei, bez śladu wpływu rzymskiej cywilizacji, tymczasem wschodni brzeg usiany był domami rolników; otaczały je doskonale utrzymane pola i pastwiska, na których pasły się stada bydła. Nie przypominało to dzikich ziem Germanii z opowieści weteranów, gdzie można wędrować całymi dniami, nie oglądając nieba, choć zauważył, że kilka mil dalej ziemia uprawna przechodzi w mroczne, porośnięte iglastymi drzewami wzgórze, które bardziej odpowiadały stereotypowemu wyobrażeniu o Germanii Wielkiej. Handel z ziemiami leżącymi za limesem cesarstwa najwyraźniej kwitł, sądząc po nieustannym ruchu, jaki panował na szerokiej na trzysta kroków rzece i leżącym na zachodnim brzegu, niedaleko obozu, sporym mieście z niewielkim portem.

– Obozy różnią się tylko wielkością osad, które przy nich wyrastają – zauważył Sabinus, ruszając konno w dół stoku.

– I ceną dziwek – oświadczył z mądrą miną Magnus, a potem, po chwili

zastanowienia, dodał: – I oczywiście stopniem napuszoneści dupka, który dowodzi.

Gnejusz Domicjusz Korbulon chwycił Wespazjana za ramię.

– Masz mnie zastąpić, Wespazjanie? Nie mogę powiedzieć, bym się zmartwił. Kaligula dał mi Drugi legion, by mnie upokorzyć, po tym jak powiedziałem mojej przyrodniej siostrze, że to, iż jest małżonką cesarza, nie jest wystarczającym powodem, by hańbić naszą rodzinę, paradując na jego życzenie nago podczas uctw. Jako byłemu konsulowi należała mi się prowincja, a nie legion, ale tobie powinno to odpowiadać. – Drugą ręką wskazał wspaniałe wnętrza pretorium, kwaterę główną legionu. W głębi, oświetlony płonącymi lampkami i strzeżony przez ośmiu żołnierzy, stał legionowy orzeł.

– Dzięki, Korbulonie – odparł Wespazjan, starając się zachować powagę. – Uważam to za zaszczyt.

– I powinieś, powinieś – pochwalił go mężczyzna. Ostentacyjnie zignorował Magnusa stojącego obok Wespazjana i ujął ramię Sabinusa. – Nie rozumiem tylko, dlaczego, żeby mnie zastąpić, wysłano dwóch ludzi. – Wydał dziwny dźwięk, przypominający beczenie dręczonego z bólu barana.

Wespazjan doszedł do wniosku, że jest świadkiem rzadkiej, ale odważnej próby okazania wesołości.

– Może uważali, że jeden zastępca nie wytworzy dość gorącego powietrza – mruknął Magnus, nie całkiem do siebie.

Korbulon się odrobinę najeżył, nie zdobył się jednak na to, by uznać obecność kogoś tak podłego stanu, a co dopiero jego obraźliwe zachowanie.

– Ale niewątpliwie to się już wkrótce wyjaśni, Sabinusie. Zaproszę wszystkich dowódców na spotkanie z nowym legatem.

– To będzie idealna okazja, by wszystko omówić, Korbulonie – odparł Sabinus.

– Niestety, muszę ci to wręczyć, Korbulonie. – Wespazjan podał mu zwój wysłany przez Narcyza. – To są oficjalne rozkazy dla ciebie, podpisane przez cesarza.

– Rozumiem – wymamrotał legat, patrząc na dokument ze zmarszczonymi brwiami. Potem spojrzął w oczy młodszemu mężczyźnie.

Wespazjan rozumiał jego niepokój.

– Nie, nie wiem, co tam jest napisane – powiedział.

Korbulon w końcu wziął go do ręki.

– Nie byłbym pierwszy, który dostaje list z rozkazem popełnienia samobójstwa. – Zważył dokument w dłoni, jakby w ten sposób mógł odgadnąć jego treść. – Nie

winiłbym Klaudiusza. Na pewno sądzi, że pragnę krwi za śmierć tej zdziry, mojej przyrodniej siostry. Cóż, ma rację, ale wystarczy mi tyle, ile da się wycisnąć z miejsca ukłucia szpilką. – Raz jeszcze wydał z siebie bek, co wstrząsnęło Wespazjanem, bo nigdy wcześniej nie widział, by Korbulon jednego dnia dwukrotnie próbował okazać wesołość. Legat złamał pieczęć. – Wiecie, że kazałem legionowi przysiąc wierność Klaudiuszowi, kiedy tylko dotarły do nas wieści? Jestem wobec niego lojalny, bez względu na to, jak pokraczny i niegodny męża stanu ma wygląd. – Przeczytał treść dokumentu i odetchnął z ulgą. – Jednak nie muszę przebijać się mieczem. Wracam do Rzymu i pozostaję w areszcie domowym do czasu podjęcia decyzji w sprawie mojej dalszej kariery. Na ccyki Minerwy, chyba nigdy nie zostanę namiestnikiem prowincji. Dobrze chociaż, że ta moja podła przyrodnia siostra odeszła! Zawsze chętnie rozkładała nogi, przynosząc hańbę rodzinie, co teraz utrudnia mi karierę.

– Sądzę, że twoja kariera definitywnie dobiegłaby już końca, gdyby Narcyz nie był ci czegoś winien – zauważył Wespazjan. – To, że zabilimy Poppeusza, przyniosło ogromne korzyści jego patronowi.

Patrycjusz zmarszczył nos, jakby poczuł nagle jakiś paskudny zapach.

– To nie jest czyn, o którym chciałbym pamiętać, Wespazjanie, ale jeśli coś dobrego wyniknęło z tego haniebnego morderstwa, to i dobrze. W każdym razie będę ci wdzięczny, jeśli już o tym więcej nie wspomnisz. A teraz pewnie chcesz wziąć kąpiel i włożyć płaszcz wojskowy. Każę oficerom stawić się tutaj za godzinę, by cię mogli powitać. Sądzę, że szczególne wrażenie wywrze na tobie mój najstarszy rangą trybun, Gajusz Licyniusz Mucjanus.

– Dziękuję, Korbulonie, uważam jednak, że lepiej będzie spotkać się za dwie godziny. Muszę wpiery zameldować się u namiestnika.

– To wbrew wszelkim zasadom! – wrzasnął Serwiusz Sulpicjusz Galba w sposób pasujący do placu apelowego. Używał tego tonu od początku audiencji. – Przyjeżdżać, by przejąć legion, po czym następnego dnia wyruszać na jakąś misję, po drugiej stronie rzeki, o której to misji nie możesz mi nic powiedzieć? Wbrew wszelkim zasadom. Ale cóż, obecnie wszystko zdaje się być wbrew zasadom, co? Wyzwoleńcy i kaleki wydają rozkazy ludziom, których rody sięgają początków republiki i jeszcze wcześniej. Parwenuście, tacy jak ty, nieposiadający wyróżniających się przodków, zostają legatami i zastępują byłych konsulów, którzy powinni zarządzać prowincjami. Najwyższy czas wrócić do tradycyjnych rzymskich

zwyczajów. Brak nam dyscypliny, nie uważasz, ee... – zajął szybko do cesarskich rozkazów – ...Wespazjanie?

– Tak, namiestniku – powiedział młody człowiek, poprawiając się na niewygodnym drewnianym krześle.

Rozejrzał się wokół, podczas gdy Galba ponownie zaczął studiować dokumenty. Inaczej wyobrażał sobie gabinet namiestnika prowincji. Ten był skromnie urządzone, prostymi, praktycznymi meblami, nie mającymi nic wspólnego z wygodą i niczym nieprzyozdobiony. Nawet kałamarz z wypalanej gliny na zwyczajnym surowym biurku nie miał żadnych zdobień.

Galba zwinął dokumenty i zwrócił jeden z nich Wespazjanowi.

– Było bardzo niezręcznie dla nas obu, kiedy człowieka pokroju Korbulona postawiono niżej mnie. Twoja nominacja rozwiązuje przynajmniej ten problem. No dobrze, bierz na tę misję wszystko, czego ci potrzeba. Uważaj jednak, te germańskie plemiona to gromada zuchwałych, żądnych krwi barbarzyńców. Kilka miesięcy temu musiałem odepchnąć za rzekę bandę Chattów, którzy przeszli na tę stronę po lodzie.

– Sądząc po tym, co widzę na mapie, muszę przejść przez ich ziemie.

– W takim razie zrób to szybko. – Pomachał cesarskim dokumentem. – Zjawię się w obozie tuż przed południem, by przekazać ci to pełnomocnictwo i publicznie potwierdzić twoją nominację w obecności żołnierzy, choć szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, na co im to; powinni wykonywać rozkazy i już. Żadnej dyscypliny, jak sam widzisz, żadnej dyscypliny.

– Najlepszą jednostką do tego zadania jest pierwsza *ala* jazdy batawskiej – oświadczył Gajusz Licyniusz Mucjanus, zanim jeszcze zapytano go o zdanie. – To oczywiste, że musisz wziąć jazdę, ale ci chłopcy to coś więcej niż dobra jazda: pochodzą z terenów leżących u ujścia Renu i można powiedzieć, że umieją pływać, zanim jeszcze nauczą się chodzić, i świetnie dają sobie radę z łodziami. A przy tych wszystkich rzekach, jakie musisz pokonać, są to umiejętności niezbędne. Co więcej, ponieważ są Germanami, potrafią się porozumieć z miejscowymi plemionami i posiadają dobrą znajomość tamtych okolic.

– Gdzie stacjonują? – spytał Wespazjan. Poczuł uznanie dla tego trybuna za właściwą ocenę sytuacji i tak błyskawiczną reakcją po zakończeniu odprawy dla starszych oficerów II legionu *Augusta*, podczas której wyjaśnił im, czego od niego wymagają.

– W Saletio, około trzydziestu mil w dół rzeki, na północ stąd.

– Dziękuję, Mucjanusie. – Legat popatrzył po twarzach dowódców siedzących naprzeciwko niego i Sabinusa, po drugiej stronie biurka. Pięciu młodszych trybunów, których imion nie zdołał jeszcze zapamiętać, wydawało się popierać ten pomysł, ale on był mniej zainteresowany opiniami osób młodych i niedoświadczonych, a bardziej takich jak Tacjusza, najwyższego rangą centuriona legionu, oraz prefekta obozu, Publiusza Anicjusza Maksymusa. Obaj mężczyźni kiwali głowami, zgadzając się z przedmówcą; tylko Korbulon wydawał się znacznie mniej entuzjastyczny.

– Pod czyją oni są komendą? – zapytał Wespazjan.

– Teraz pod twoją – odparł Korbulon – choć nie sądzę, by spodobał ci się ich prefekt. To arogancki młody człowiek z nikłymi zdolnościami, zupełnie pozbawiony zalet swojego ojca. Obawiam się, że zbyt wczesna śmierć Petusa była przyczyną, że jego syn dorastał bez ojcowskiego przykładu.

– Masz na myśli Lucjusza, syna Publiusza Juniusza Cezeniusza Petusa? – wykrzyknął Wespazjan, przypominając sobie od dawna nieżyjącego przyjaciela, który był towarzyszem jego i Korbulona, kiedy razem służyli w Tracji. Został zamordowany przed dziesięciu laty przez Liwillę, kiedy jako kwesor miejski na rozkaz senatu próbował ją aresztować po upadku jej kochanka Sejana. Przed śmiercią Petus zdążył poprosić Wespazjana, by nie zapomniał o Lucjuszu; Wespazjan mu to obiecał i dobrze wiedział, że nie dotrzymał słowa.

Siedzący obok brata Sabinus poruszył się niespokojnie.

– Nie ma żadnej innej jednostki? – spytał.

Korbulon pokręcił głową.

– Są przy legionie dwa galijskie oddziały jazdy, tyle że są... cóż, zbyt galijskie. Z zasady nienawidzą wszystkich Germanów i rwaliby się do bitki z każdym, na którego by się natknęli; nie przyczyniłoby się to do powodzenia tej misji. A nasze własne oddziały jazdy nie są równorzędnym przeciwnikiem dla jazdy Germanów, gdyby już doszło do bezpośredniego starcia. Obawiam się, że Mucjanus ma rację, do tego zadania najlepsi są Batawowie.

– W takim razie weźmiemy ich. A poza tym jestem coś winien młodemu Lucjuszowi. – Wespazjan zerknął z ukosa na Sabinusa, który nie spojrział w jego stronę. – Podobnie jak mój brat – dodał cicho. – Mucjanusie, wyślij natychmiast wiadomość do Lucjusza Petusa, że ma być tutaj jutro z sześcioma turmami swoich Batawów. Myślę, że stu osiemdziesięciu zbrojnych powinno wystarczyć dla zapewnienia bezpieczeństwa, a przy tym nie wywoływać szczególnego niepokoju.

I powiedz mu, że potrzebnych jest mi kilku takich, którzy znają Germanię Wielką od środka. Maksymusie, niech jutro po południu sześć statków transportowych czeka w porcie na załadunek. Możecie odejść.

– Nie zwróciłeś tych stu tysięcy denarów, które pożyczyłeś od Petusa, jego rodzinie, zgadza się? – rzucił oskarżycielskim tonem Wespazjan, kiedy tylko znalazł się sam na sam z Sabinusem. – Mówiłem ci, że nie należało ich pożyczać.

– Nie pouczaj mnie, bracie. Pożyczyłem je, ponieważ Petus mi je zaoferował i dlatego że tylko w ten sposób mogłem sobie pozwolić wtedy na większy dom. Jesteś skąpcem, ale to nie znaczy, że wszyscy mają być tacy. Na jaja Saturna, ty nawet nie masz własnego domu.

– Być może, ale przynajmniej wszystkie pieniądze, jakie mam, są moje i w nocy śpię spokojniej, wiedząc, że nie mam długów. A jak ty sypiasz?

– O wiele wygodniej od ciebie i bardzo dobrze.

– Jak to możliwe? Ten dług narasta z każdym miesiącem. Kiedy zamierzasz go spłacić?

– Wkrótce, w porządku? Zamierzałem go zwrócić lata temu, ale kiedy spłonął Awentyn, a wraz z nim mój dom, musiałem zatrzymać te pieniądze, by go odbudować. A potem jakoś o tym zapomniałem.

– Lucjusz na pewno pamięta.

– Lucjusz zapewne w ogóle nie wie, że wciąż mam ten dług.

Wespazjan popatrzył na brata z dezaprobatą.

– W takim razie ja mu o nim powiem.

– Ty tak łatwo potępiający innych dupku.

– No cóż, w każdym razie załatw to z nim, kiedy się zjawi, bo nie życzę sobie, by ta sprawa rzucała cień na wasze stosunki, kiedy będziemy włączyć się po Germanii, usiłując uratować twoje życie utracjusza. – Wespazjan odwrócił się na pięcie i energicznym krokiem opuścił pretorium.

Duma rozpieła Wespazjana, gdy nazajutrz opuszczał z Galbą bramę obozu, by dokonać przeglądu II legionu *Augusta*. Choć nie w pełnym składzie, bo kilkoma centuriami obsadzono mniejsze forty i wieże strażnicze wzdłuż Renu, jego widok robił wrażenie: ponad cztery tysiące legionistów w równych szeregach i rzędach, ustawionych kohortami na płaskim terenie pomiędzy obozem i rzeką. Wchodząc na podwyższenie, żałował, że ojciec nie może go widzieć, wiedział też, że



prawdopodobnie już nigdy się nie zobaczą. Pożegnali się, obaj wdzięczni losowi, że dał im tę możliwość; większość ludzi jej nie miała.

– Drugi *Augusta* – ryknął *primus pilus* Tacjusz – baczność!

Stojący obok niego *bucinator* przyłożył róg do ust i wydobył z niego trzy wznoszące się coraz wyżej dźwięki. Kiedy przebrzmiał ostatni z nich, wszyscy centurionowie jak jeden mąż wydali donośny rozkaz i legioniści z równoczesnym łomotem stanęli na baczność, opierając o ziemię drzewce *pila*, oszczepów z długimi żelaznymi szyjkami grotów, i przyciągając do piersi obite brązem tarcze z wizerunkiem stojących naprzeciw siebie białego Pegaza i Kozioroźca. Potem nastąpiła cisza, przerywana jedynie łopotem proporców i krakaniem wron w pobliskiej kępie drzew.

Wespazjan przesuwiał wzrokiem po surowych ogorzałych twarzach mężczyzn, patrzących przed siebie, ponad krawędzią tarcz, w odbijających mdłe słońce polerowanych żelaznych hełmach na głowach, i przez tę chwilę rozkoszował się rozpierającą go dumą.

– Żołnierze Drugiego legionu *Augusta* – zagrzmiał Galba głosem, który Wespazjanowi wydawał się niewiele głośniejszy od tego, jaki słyszał podczas wieczornej rozmowy – cesarz uznał za stosowne mianować Tytusa Flawiusza... – zerknął szybko na tabliczkę woskową, którą trzymał w ręku – ...Wespazjana waszym nowym legatem. Będziecie mu bezwzględnie posłuszni. – Skinąwszy krótko głową legionistom, odwrócił się i wręczył Wespazjanowi cesarskie pełnomocnictwo.

Wespazjan podniósł je wysoko, pozdrawiając ludzi będących teraz pod jego komendą; wiatr powiewał jego szkarłatnym płaszczem legata i zdobiącym hełm białym pióropuszem z końskiego włosia. Legion zareagował zgodnym rykiem, kiedy kierował dokument to w lewo, to w prawo, tak żeby każdy żołnierz mógł dojrzeć symbol jego władzy jako ich pełnoprawnego dowódcy.

Teatralnym gestem opuścił ramię i zapadła cisza. Wziął głęboki wdech, tak że poczuł na klatce piersiowej pancerz z brązu i położył lewą dłoń na zawiązanej w pasie purpurowej szarfie.

– Żołnierze Drugiego legionu *Augusta*, jestem Tytus Flawiusz Wespazjan i cesarz zlecił mi dowództwo nad tym legionem. Poznacie mnie dobrze, tak jak ja was. Nie będę wygłaszał długich przemówień, wychwalających waszą odwagę i dzielność. Jeśli zasłużycie na pochwałę, wyrażę ją jednym czy dwoma słowami.

– Powinieneś ich batożyć – warknął Galba półgłosem, tak że tylko część obecnych to usłyszała.

– Zawsze znajdę czas, by wysłuchać waszych skarg; przychodźcie z nimi do mnie i nie bierzcie spraw w swoje ręce. Łączy nas jedna wspólna dyscyplina i ta więź zapewni nam zgodne życie i zgodne działanie w walce; jeśli ktoś tę więź zerwie, oznaczać to będzie, że zawiódł wszystkich ludzi w legionie i musi ponieść karę. Jednakże jestem przekonany, że słów pochwały będzie znacznie więcej niż nagany. Wiem, że jako obywatele Rzymu i żołnierze wspaniałego Drugiego legionu *Augusta* wypełnicie swój obowiązek z honorem i skrupulatnie; pokładam w was zaufanie, a w zamian proszę o lojalność i posłuszeństwo. Polecam wam swoją osobę, żołnierze Drugiego Legionu *Augusta*.

*Primus pilus* Tacjusz wyciągnął z pochwy miecz i uniósł go wysoko.

– Drugi legion *Augusta* wita legata Wespazjana. Bądź pozdrowiony, Wespazjanie!

Wrzawa, jaka wybuchła, wypłoszyła wrony z drzew. Cały legion, za przykładem najwyższego rangą centuriona, wymachiwał oszczepami w powietrzu. Okrzyki wkrótce przeszły w skandowanie imienia nowego legata, czemu towarzyszyło rytmiczne wznoszenie oręża.

Wespazjan wiedział, że nie należy pozwolić na przedłużanie tej sytuacji... niejeden legat został pozbawiony dowództwa przez nerwowego cesarza, zazdrosnego o czyjąkolwiek zbyt dużą popularność; szpiedzy byli wszędzie. Szerokim gestem złożył ramiona na piersi, dając sygnał, by ucichli; reakcja była natychmiastowa. Poczynając od pierwszego, poprzez kolejne szeregi legionistów oparli z trzaskiem drzewce oszczepów o ziemię i zamarli w bezruchu.

Wespazjan milczał chwilę, żałując, że ojciec nie może go teraz widzieć, i zastanawiając się, jak najlepiej ująć w słowach to, co ma do powiedzenia. Kiedy zapanował spokój, krążące w powietrzu wrony zaczęły wracać do gniazd.

– To nasze pierwsze spotkanie jest krótkie, bo wyruszam bezzwłocznie w sprawach cesarza i przez najbliższy miesiąc czy dłużej nie będzie mnie tutaj. Zastąpi mnie najstarszy rangą trybun Mucjanus, wspomagany przez prefekta obozu Maksymusa. Będziecie słuchać ich rozkazów, jakby pochodziły ode mnie.

Dopiero co usadowione wrony tym razem poderwało w powietrze dudnienie wielu kopyt o ziemię. Wespazjan odwrócił głowę i zobaczył kolumnę czwórkową blisko dwustu galopujących jeźdźców. Mieli typowe dla germańskich plemion długie brody i spodnie. Prowadził ich młody rzymski dowódca. Pięćdziesiąt kroków od podwyższenia puścił wodze i uniósł ręce, po czym rozłożył je na boki. Ponownie ujął wodze i zaczął ściągać konia; jadący za nim jeźdźcy rozsypali się wachlarzem na obie strony, zaczynając od najdalszych szeregów, a zwolnili dopiero wtedy, kiedy

niemal zrównali się ze swoim dowódcą.

Jadąc stępa, Rzymianin bez oglądania się za siebie podniósł prawą rękę, a po kilku krokach ją opuścił. Oddział zatrzymał się błyskawicznie w dwóch idealnie równych szeregach, po dziewięćdziesięciu jeźdźców każdy.

– Lucjusz Juniusz Cezeniusz Petus, prefekt pierwszej *ala* jazdy bawarskiej, melduje się na rozkaz legata Wespazjana.

Młody człowiek zasalutował, po czym rozejrzał się i błyskając w niewinnym uśmiechu białymi zębami, zapytał:

– Czyżbym coś przerwał?

– Zawsze, kiedy miałem z nim do czynienia, okazywał brak szacunku i zachowywał się impertynencko – poinformował Wespazjana Korbulon, obserwując z nowym legatem, jak w świetle bladego popołudniowego słońca Batawowie wprowadzają wierzchowce po trapach na statki. – Tylko dlatego, że jego ród może się poszczycić przeszło dziesięcioma konsulami, uważa, że może odnosić się do innych, jak mu się spodoba. Doszło nawet do tego, że krytykował mój sposób sprawowania dowództwa i podawał w wątpliwość moją ocenę sytuacji. Możesz to sobie wyobrazić?

– Naprawdę? To karygodne – oświadczył Wespazjan, który akurat bardzo łatwo mógł to sobie wyobrazić. Chociaż ludzie z tej gałęzi rodu Domicjuszów, z której pochodził Gnejusz Domicjusz, od kilkuset lat osiągnęli rangę senatora, on sam był pierwszym, który został konsulem. Wespazjan mógł zrozumieć, że ktoś ze znacznie starszego i szlachetniejszego rodu mógł widzieć w sztywnym formalistycznym, takim jak Korbulon, napuszonego błazna. Powstrzymał się jednak od komentarza.

– A niech go, mam tylko nadzieję, że nasze ścieżki nigdy się już nie przetną – mruknął Korbulon, kiedy obiekt jego niechęci zbliżył się do nich.

– Wasze cztery wierzchowce i konie zapasowe zostaną załadowane na końcu, legacie – zameldował Petus – tuż przed tym, zanim odbijemy. Wierzchowce moich ludzi są przyzwyczajone do statków, więc czekanie im nie przeszkadza.

– Doskonale, prefekcie.

Petus rzucił Korbulonowi pytające spojrzenie.

– Chyba nie mam dla ciebie konia, *były* legacie. Wybierasz się z nami?

Korbulon prychnął wściekle, skinął głową Wespazjanowi i odwróciwszy się na pięcie, szybkim krokiem ruszył nabrzeżem.

– Ma być mniej ekstrawagancji i więcej obyczajności, kiedy będziesz służył pod moimi rozkazami, Petusie – poinformował młodego człowieka Wespazjan, kiedy

obaj patrzyli za oddalającym się Korbulonem.

– Więcej obyczajności, rozumiem, legacie – odparł Petus, chociaż nic nie wskazywało na to, że rozumie.

Wespazjan nie miał ochoty ciągnąć dalej tej rozmowy, tym bardziej że, wbrew sobie, poczuł sympatię do syna nieżyjącego przyjaciela. Z otwartym spojrzeniem wesołych niebieskich oczu w okrągłej twarzy był wierną kopią ojca z czasów, kiedy Wespazjan zobaczył go pierwszy raz w Tracji. To właśnie oraz poczucie winy, bo nie dotrzymał obietnicy i nie interesował się jego losem, spowodowało, że teraz chciał okazać wyrozumiałość młodemu człowiekowi. Rozumiał, dlaczego Korbulon, ze swoją rezerwą i uprzedzeniami patrycjusza, tak bardzo go nie lubi, ale uważał, że on sam nie powinien go oceniać, dopóki nie zobaczy, jak dowodzi swoimi ludźmi. Chociaż Petus był młody jak na prefekta jazdy pomocniczej, Wespazjana to wcale nie zdziwiło, bo członkowie patrycjuszowskich rodów, takich jak Juniusze, z całymi szeregami konsulów, szybko awansowali; ojciec Lucjusza miał przecież tę samą rangę w podobnym wieku.

– Ile jeszcze, Ansigarze? – zawołał Petus do brodatego dekuriona. Batawowie służyli pod własnymi dowódcami.

– Cztery, prefekcie – odpowiedział mężczyzna z ciężkim obcym akcentem.

– Wygląda na to, że twoja turma wygra. – Petus popatrzył wzdłuż kamiennego nabrzeża na rzędy koni czekających przy innych statkach. – I za to po powrocie do obozu ty i twoi chłopcy dostaniecie tyle piwa, ile zdołacie wypić.

Ansigar uśmiechnął się.

– Jeśli Norny, które przędą nici naszego życia, uprzedły je wystarczająco długie, a to pokrętne suki.

Petus klepnął podwładnego w ramię.

– Takie właśnie są kobiety.

– Nie, prefekcie, takie są boginie.

Prefekt wybuchnął śmiechem.

– Kobiety bogowie! Podstępne bestie... trudno o coś gorszego, he?

– Nie dziwota, że ten nadęty dupek go nie znosi – zauważył Magnus, podchodząc z Zirim, który podał Wespazjanowi stary i zniszczony podróżny płaszcz. – Nawet nie zauważa swoich ludzi, a co dopiero mówić o włączaniu się do ich pogaduszek.

– Mówisz zapewne o Korbulonie, byłym konsulu.

– Z długim nosem, co to ziejże złością, a przed chwilą sadił rozwścieczony

nabrzeżem i przeganiał ludzi z drogi. Taa, właśnie o niego mi chodzi.

Wespazjan westchnął i pokręcił głową. Zdjął wojskowy płaszcz i podał go Ziriemu. Spojrzał na słońce; czerwieniało, opadając ku horyzontowi.

– Gdzie Sabinus? – zapytał.

Magnus uśmiechnął się.

– Kupił byka i czeka, aż słońce zajdzie, żeby złożyć go w ofierze Mitrze, w intencji naszego zadania.

Wespazjan zarzucił płaszcz podróżny na *lorica hamata*, kolczugę, jaką nosili żołnierze oddziałów pomocniczych.

– No cóż, niech się pospieszy, bo chcę wyruszyć zaraz po zapadnięciu zmroku.

– Dokąd?

– Musimy dotrzeć jak najdalej w dół rzeki, a potem przebyć ziemie rolne po jej drugiej stronie, starając się, by zauważyło nas jak najmniej ludzi, i jeszcze przed świtem dotrzeć do tamtych wzgórz.

– Taa, tyle to już wiem, panie. Pytałem, co dalej.

– O co ci chodzi? Powiedziałeś, że znasz drogę.

– Naprawdę? – Magnus zamilkł, kiedy dotarło do niego, w czym rzecz. – Aha! Rozumiem. Spodziewacie się, że zaprowadzę wszystkich do Lasu Teutoburskiego.

– To chyba najbardziej oczywiste miejsce, w którym należy rozpocząć poszukiwania.

– To może być najbardziej oczywiste miejsce, ale jeśli chcesz, żebym takowe znalazł, to akurat nie będzie najbardziej oczywiste miejsce do rozpoczęcia poszukiwań. Stacjonowaliśmy wtedy w Nawiomagus na północy. Najpierw ruszyliśmy na wschód, wzdłuż wybrzeża, a potem skręciliśmy na południe, przez ziemie Chauków. Dotarliśmy na miejsce bitwy, podążając wzdłuż rzeki o nazwie Amizja\*.

– Cóż, to jest już jakiś początek. Skierujemy się zatem na północny wschód, aż znajdziemy tę rzekę. Petus ma z sobą ludzi, którzy znają te tereny. Kiedy już tam dotrzemy, możesz nam pokazać miejsce największego zwycięstwa Arminiusza, a my wyślemy Tumelikusowi wiadomość, że mamy dla niego coś, co należało do jego ojca, a on się zjawi, bo ciekawość go do tego zmusi.

Magnus nie wyglądał na przekonanego.

– Czy jego pierwszą myślą nie będzie podejrzewać pułapkę?

– Może i będzie, ale właśnie dlatego biorę z sobą tylko sześć turm. Człowiek

o takiej pozycji jak Tumelikus może zebrać o wiele więcej niż stu osiemdziesięciu ludzi; nie będzie miał powodu, by się nas obawiać.

– Ale my jego i owszem! Kurewsko dużo powodów, bo wybieramy się na miejsce największej masakry, jaką pamiętają żyjący ludzie, i prosimy się o powtórkę, nawet jeśli na mniejszą skalę.

– Cóż, nie musiałeś z nami się wybierać.

– Oczywiście, że musiałem i zawsze muszę, bo zawdzięczam życie twojemu wujowi.

– Już wiele razy spłaciłeś ten dług.

– Może – mruknął Magnus. – A tak w ogóle, to wiesz, gdzie jest Tumelikus?

– Nie.

– To w jaki sposób zamierzasz dostarczyć mu tę wiadomość?

Wespazjan wzruszył ramionami.

– Nie wiesz, co? – upewniał się Magnus.

– Nie – przyznał Wespazjan. – Tak daleko jeszcze myślami nie wybiegałem.

---

\* Rzeka Ems w Niemczech (łac. *Amisia*).

## Rozdział siódmy

Ostrożnie z nim, chłopcy – syknął Petus, kiedy jeden z koni wyprowadzanych z otwartej ładowni statku zaczął się płoszyć.

Palce założonych za plecami rąk zaczęły Wespazjanowi drgać, kiedy przyglądał się, jak dwóch mężczyzn usiłuje opanować zwierzę, ciągnąc za kantar, a jednocześnie głaszcząc je po chrapach i przemawiając łagodnie w tym swoim dziwnym gardłowym języku. Ich słowa zdawały się uspokajać konia, który dał się ostatecznie poprowadzić w górę, a potem po trapie z boku statku w dół, do płytkiej wody, kilka kroków od wschodniego brzegu.

Wespazjana przeszedł dreszcz. Otulił się szczelniej podróżnym płaszczem. Spojrzał na pięć pozostałych statków, które zbliżyły się na tyle blisko brzegu, na ile tylko pozwalało ich płaskie dno. W słabej poświacie księżycy w pierwszej kwadrze dojrzał sylwetki koni i ludzi. Sztywniał i wytężał wzrok, kiedy słyszał rzenie, zduszony okrzyk czy plusk, ale nie dostrzegł niczego niepokojącego.

Wcześniej, kiedy po złożeniu ofiary dołączył do nich Sabinus, żeglowali w dół rzeki sześć godzin, aż natrafili na brzeg, gdzie nie było widać żadnych świateł w domach wieśniaków, co zresztą nie oznaczało, że w pobliżu nie ma ludzkich siedzib. Wespazjanowi zależało na tym, by jak najszybciej sprowadzić swoje niewielkie siły na ląd, nie zwracając uwagi miejscowej ludności. Nie chciał, by poprzedzały go wieści o ich przybyciu. Chociaż plemiona nadrzeczne żyły i handlowały z cesarstwem w pokoju, te w głębi łądu napadały nawet na najlepiej chronione karawany kupieckie, wyrzynając podróżnych.

– Wysłałem Ansigara i ośmiu chłopców, żeby się rozejrzeli, kiedy będziemy już kończyć wyładunek – poinformował legata Petus w momencie, kiedy kolejny koń zanurzył się po pierś w wodzie, zatrważająco głośno przy tym parskając.

– Dobrze. A nie da się tego robić trochę ciszej?

– To jest naprawdę cicho, bo dla naszych wierzchowców to nie pierwszyzna. Przekonasz się, legacie, jak może być głośno, kiedy spróbujemy wyładować wasze konie i te zapasowe. Nie będą zachwycone.

Wespazjan skrzywił się.

– W takim razie zróbcie to jak najszybciej. Ja schodzę na brzeg.

– Tak chyba będzie najlepiej. Tam nie będzie tego tak słychać i łatwiej przyjdzie ci się odprężyć.

Wespazjan spiorunował go wzrokiem, ale młody człowiek odwrócony był już do niego plecami, ponownie skupiając całą uwagę na rozładunku.

– Zaczynasz się przychylić do opinii Korbulona, he, panie? – spytał lekkim tonem Magnus, zarzucając Ziriemu na ramię tobolek ze swoim sprzętem.

– Mój też już zabierz na brzeg, Ziri – odezwał się Wespazjan nieco ostrzejszym tonem, niż zamierzał. Zły na siebie ruszył po trapie.

Wyszedł z rzeki mokry i przemarznięty. Sabinus był już na brzegu i energicznie wycierał uda kawałkiem płótna. Wszędzie wokół żołnierze siodłali wierzchowce, których większość znalazła się już na suchym lądzie.

– Rozmawiałeś z Petusem? – spytał Wespazjan, któremu zimna kąpiel nie poprawiła humoru.

– Owszem, rozmawiałem i okazał się całkiem sensowny – odparł Sabinus, podając bratu mokrą szmatę.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że był bardzo wdzięczny, kiedy poruszyłem ten temat; w ogóle nie miał pojęcia o tym długu i z wdzięczności darował mi odsetki poza tymi za pierwsze dwa lata, które kazał mi zwrócić, kiedy tylko będę mógł, zakładając oczywiście, że przeżyję tę ekspedycję.

Wespazjan z irytacją wycierał ramiona.

– Zrobił ci prezent z iluś tysięcy – powiedział. – Aż trudno uwierzyć.

– Wiedziałem, że będziesz podzielał moją ulgę, bracie. Dochodzę do wniosku, że jest bardzo szczodrym i porządnym młodym człowiekiem, tak jak jego ojciec, a co więcej, pochodzi z potężnego rodu i na pewno kiedyś zostanie konsulem... jeśli wcześniej nie pozwolimy go zabić. Właśnie ktoś taki przydałby mi się na zięcia... ostatecznie moja Flawia ma jedenaście lat i za rok czy dwa zacznę jej szukać męża.

– Wydałbyś za Petusa córkę, żeby skorzystać z jego pieniędzy?

– Po to właśnie ma się córki, nie uważasz?

Stukot kopyt o drewno i przeraźliwy koński krzyk nie pozwoliły Wespazjanowi wyrazić swojej opinii. Wierzchowiec, stając dęba na szczycie trapu, opuścił z hukiem przednie nogi i wierzgnął tylnymi, trafiając w wyciągnięte ramię żołnierza, złamał je niczym patyk. Poszarpany ostry fragment kości przebił ciało i sterczał na zewnątrz.



Mężczyzna zawył, przyciskając do siebie zmasakrowaną rękę. Ten krzyk wzmógł przerażenie konia, który skoczył do przodu na pochyły trap. Jedna z jego przednich nóg ugięła się pod dziwnym kątem i zwierzę, wymachując trzema nienaruszonymi kończynami, stoczyło się i runęło z głośnym pluskiem do rzeki.

– Uciszcie tego człowieka – zawołał Petus do Batawów, przekrzykując głośne jęki cierpiącego mężczyzny – i skróćcie cierpienia zwierzęcia.

Sześciu żołnierzy z uniesionymi włóczniami stanęło rzędem przy burcie, a koń miotał się z rykiem w rzece. Gdy je cisnęli, rozległ się przeciągły krzyk, po czym nagle się urwał i słychać już było tylko bulgot i rżenie konia, bezskutecznie walczącego o utrzymanie łba nad powierzchnią. Kiedy szedł na dno, posrebrzona księżycowym światłem woda gwałtownie zakipiała.

– Bogom niech będą dzięki – mruknął Wespazjan, kiedy zapanował względny spokój.

– Może należało złożyć też ofiarę larom tej rzeki – powiedział Sabinus – bo wtedy nie czułyby się w obowiązku zabierać nam jednego z naszych koni.

Wespazjan zerknął na brata. Na jego twarzy nie zauważył śladu ironii.

– Myślałem, że czcisz tylko Mitrę – powiedział.

Sabinus wzruszył ramionami.

– Jesteśmy bardzo daleko od miejsca narodzin mojego Pana. Drobną pomoc mogłaby...

Z niewielkiej odległości na łądzie dobiegł ich przejmujący krzyk. Po chwili z tego samego gardła wydarł się kolejny, o kilka tonów wyższy i jeszcze bardziej przeraźliwy, i jeszcze jeden, który przeszedł w zawodzenie, coraz niższe i nagle urwane. Niedaleko ktoś właśnie zginął w męczarniach.

Praca przy wyładunku ustała i żołnierze wpatrzyli się w mrok, zmrozeni złowieszczym dźwiękiem. Ciszę przerwał coraz głośniejszy tętent kopyt.

Wespazjan rozejrzał się wokół. Większość ludzi jeszcze zajęta była przygotowaniem swoich wierzchowców, tylko niewielu w pełni uzbrojonych siedziało w siodłach.

– Formować szyk przy mnie, pieszo, dwa rzędy! – krzyknął, wyciągając miecz z pochwy.

Rzucony rozkaz wywołał natychmiastową reakcję. Żołnierze ściągali z pleców tarcze, chwytali włócznie albo wyciągali *spathae*, dłuższe miecze używane przez jazdę, i biegli ku dowódcy. Ich znajdujący się jeszcze na pokładach towarzysze poszli za

przykładem Petusa, skacząc do wody i brodząc ku brzegowi, podczas gdy odgłos kopyt był coraz bliższy.

Wespazjan poczuł z prawej ramię Magnusa, Sabinus zajął pozycję z jego lewej strony; ich zetknięte tarcze tworzyły jednolitą ścianę. Spojrzał w prawo, wzdłuż szeregu za Magnusem, i zobaczył solidny mur z tarcz, z Petusem pośrodku, a z tyłu za nim drugi taki sam szereg. Kilku spóźnialszych zbliżało się biegiem do formacji, ale w zasadzie manewr wykonano w czasie krótszym niż sto uderzeń serca.

– Dobrzy są ci Batawowie – mruknął Magnus – jak na jazdę, oczywiście.

– Petusie! Petusie! Batawowie! – Czyjś głos przebił się przez tętent kopyt.

Zwalniając tempo, z mroku wynurzyły się sylwetki ośmiu jeźdźców.

Mężczyźni z Ansigarem na czele skręcili, omijając ścianę tarcz. Niektórzy żołnierze zaczęli już rozluźniać szyk, ale zrugani przez dekurionów szybko podnieśli i ponownie złączyli tarcze. Ansigar podjechał blisko i zsiadł z konia. Petus wyszedł z szeregu. Dołączyli do nich Wespazjan i Sabinus.

– I co, dekurionie? – spytał Petus.

– Nie jestem pewien – odparł Ansigar, zdejmując hełm i ocierając czoło przedramieniem. – Jeden z moich chłopców, Rothaid, nagle zniknął, nikt nie zauważył jak i co, po prostu się rozplynął. Potem usłyszeliśmy wrzaski; wydawały się odległe o pół mili, ale zamilkły tak szybko, że nie byliśmy w stanie ich zlokalizować, wobec czego pospieszyliśmy z powrotem.

– Czy to rzeczywiście był Rothaid?

– Ten, który krzyczał? Tak, tego jesteśmy pewni, chociaż niczego nie widzieliśmy.

– Dziękuję, dekurionie. Każ swoim ludziom zsiąść z koni i wystaw strażę na czas sprowadzania reszty zwierząt na ląd.

Ansigar zasalutował, zabrał patrol i wydał rozkazy.

Petus zwrócił się do braci.

– Chciałbym wierzyć, że mieliśmy pecha i natknęliśmy się na jakichś zbójców czy kogoś takiego, tylko że coś mi tu nie pasuje.

– Zgadzam się – powiedział Sabinus. – Dlaczego zbójcy mieliby przyciągać do siebie uwagę, porywając członka patrolu?

– Jeszcze ważniejsze jest pytanie – włączył się Wespazjan – dlaczego zabili go tak jawnie? Najwyraźniej zależało im na tym, byśmy go słyszeli.

– Myślisz, że chcieli nas odstraszyć? Ale kto niby spodziewał się naszej

obecności tutaj?

– No właśnie; przecież nawet my sami nie wiedzieliśmy, w którym miejscu zjeździemy na łąd, co wyklucza możliwość zdrady. Musimy więc założyć, że albo śledzą nas ludzie, którzy nie są nastawieni do Rzymu tak przyjaźnie, jak myśleliśmy, albo...

– Albo rzeczywiście mieliśmy pecha – wtrącił Petus. – W każdym razie nie zaatakowali nas przy rozładunku, z czego możemy wywnioskować, że jest ich zbyt mało, byśmy musieli się nimi przejmować.

– Na razie – dodał Wespazjan, a jego słowa zawisły w powietrzu.

Brzask poranny rozjaśniał niebo, kiedy idący kolumną żołnierze, prowadząc swoje wierzchowce, zaczęli się wspinać na rozciągające się za nadrzeczną równiną, porośnięte lasami wzgórza. Wyładowanie zwierząt przebiegło już bez żadnych incydentów, a na równinie nie było ani śladu po ludziach, którzy zabili Rothaida. Natrafiono na jego ciało, z wylupionymi oczyma i podciętym gardłem. Wespazjana zainteresowało, że miecz tkwiący wciąż w prawicy Batawa wyglądał nieskazitelnie, z czego wynikało, że żołnierz nie próbował się bronić, mimo że go tak strasznie masakrowano. Ponieważ wydał rozkaz zachowania całkowitej ciszy, nie mógł jej teraz przerwać, by spytać o wyjaśnienia.

Weszli wyżej wraz z wędrującym do góry słońcem i wkrótce było na tyle jasno, że mogli dosięść wierzchowców bez obawy, że zwierzęta się będą potykać, dzięki czemu zdołali oddalić się na dobre kilka mil od rzeki. Petus wybrał na przewodników dwóch swoich ludzi, którzy twierdzili, że znają drogę do Amizji, i kiedy kolumna przejechała już pasmo wzgórz i weszła w las, skierowali ją na północny wschód. Czekala ich, według przewodników, sześć- lub siedmiodniowa podróż.

W lesie sosny i świerki stały gęsto, natomiast podszycie było zaskakująco rzadkie. Bez większego trudu mogli poruszać się konno, czasami nawet lekkim kłusem, co, jak poinformował ich Ansigar, byłoby całkowicie niemożliwe w głównych partiach lasu, ciągnącego się przez dwieście mil na południe od miejsca, w którym się znajdowali. Jechali bowiem jego północnym skrajem, gdzie drzewa umożliwiały przejazd i dopuszczały więcej światła, choć nazwa tego lasu, którą Ansigar wypowiedział we własnym języku, oznaczała „czarny”.

W tych warunkach podróżowanie po ciemku byłoby niemożliwe i dlatego Wespazjan zdecydował, że będą jechali przez cały dzień, a obóz rozbiją o zmroku. Im dalej jechali, tym powietrze było gęstsze, baldachim zieleni grubszy, co tworzyło

ponurą, dławiącą atmosferę. Wespazjanowi oddychało się coraz trudniej i złapał się na tym, że często zerka za siebie, wbijając wzrok pomiędzy stłoczone pnie albo wyżej, w gęstwinę splątanych gałęzi, które zdawały się przygniatać ich złowieszczo. Sądząc po szeptach i rzucanych nerwowo spojrzeniach Batawów, nie on jeden czuł narastające ze wszystkich stron zagrożenie.

– Skoro tak jest na skraju lasu – burknął Magnus, podobnie jak Wespazjan zaniepokojony – to nie chciałbym znaleźć się w głębi, bo tam ci germańscy bogowie na pewno są najpotężniejsi.

– Tak, ja też mam wrażenie, że tutejsi bogowie nie przepadają za Rzymianami.

– A ja mam wrażenie, że nikogo nie lubią.

Przez cały dzień Petus wysyłał na wszystkie strony patrole, ale jeźdźcy wracali po godzinie czy dwóch, meldując, że nie widzieli nic groźniejszego od kilku dużych dzikich koni, paru jeleni i dzików. Z tych ostatnich dwa nie okazały się dość szybkie, by ująć przed oszczepami Batawów.

O zachodzie słońca zatrzymali się i rozbili obóz, po czym rozstawili wokół niego na warcie w dwuosobowych patrolach całą turmę. Kiedy las zaczął się rozplýwać we wszechogarniającej ciemności, osłabło poczucie zagrożenia wywołane jego wyglądem, pojawiły się natomiast niezwykle odgłosy nocy: pohukiwanie sów, dziwne zwierzęce skowyty i szum wiatru buszującego wśród koron skrzypiących drzew.

Dziki wypatroszono i upieczono na rożnie nad dwoma ogniskami, dostarczając każdemu po dwa kęsy gorącego mięsa na uzupełnienie żołnierskich racji. Rozgrzało ich to, ale nie podniosło na duchu i rozmawiali z sobą niemal szeptem.

Pięć oddziałów ciągnęło losy dotyczące kolejności służby wartowniczej tej nocy; szczęściarze dostali pierwszą albo ostatnią zmianę. Pozostali żołnierze owinęli się w koce, złożycząc, że czeka ich przerywany sen, jeśli w ogóle uda im się zasnąć.

Kiedy nadszedł świt, Magnus trącił Wespazjana w ramię.

– Bardzo proszę, panie, wrzuc to w siebie – powiedział, podając mu kubek parującego, rozcieńczonego wodą gorącego wina i kawałek chleba.

Zeszywniały Wespazjan, z plecami obolałymi po nocy spędzonej na nierównej ziemi, usiadł i zaczął jeść to skromne śniadanie, popijając winem.

– Dzięki, Magnusie.

– Nie masz mi za co dziękować, bo to nie ja muszę wstawać wcześniej, żeby rozpalić ogień i podgrzać wino. To robota Ziriego, a jemu, jako niewolnikowi, nie należą się żadne podziękowania.

– Mimo to mu podziękuj – powiedział Wespazjan, mocząc chleb w winie.

– Jak zacznę tak robić, to się doczekam, że zażąda zapłaty – mruknął Magnus, budząc Sabinusa.

W całym obozie ludzie wstawali, przeciągali się i przygotowując sobie śniadanie, rozmawiali cicho w swoim ojczystym języku.

– Dzień dobry, panowie – powitał ich wesoło Petus. Za jego plecami oddział pełniący wartę na ostatniej zmianie stawał w szyku przed sprawdzaniem obecności. – Właśnie rozmawiałem z tymi dwoma, którzy nas prowadzą. Uważają, że około południa wyjdziemy z lasu na bardziej otwarty teren.

– A co to oznacza? – spytał Sabinus, pociągając łyk wina. – Drzewo co dziesięć kroków zamiast co pięć?

Petus roześmiał się.

– Coś takiego, Sabinusie, ale tam rosną inne gatunki drzew i nie będzie podszycia, więc pojedziemy szybciej i bez tego wrażenia, że czają się na nas germańskie leśne duchy. Należy tylko zachować czujność, bo tamten teren jest zamieszkały, a miejscowi nie przepadają za Rzymem.

– A jaki dzikus nas lubi?

– Prefekcie! – zawołał dekurion wartowników.

– O co chodzi, Kuno?

– Brakuje nam dwóch ludzi.

Petus zmarszczył brwi.

– Jesteś pewien? – zapytał, jakby wątpił w arytmetyczne umiejętności dekuriona.

– Batawowie umieją liczyć, prefekcie.

Wespazjan spojrział na brata.

– To mi nie wygląda dobrze – mruknął.

Sabinus zaczął zawiązywać sandały.

– W takim razie ruszmy się i ich poszukajmy.

Kuno z ośmioma swoimi ludźmi poprowadził ich na miejsce, gdzie pełnili wartę brakujący żołnierze. Nic tam nie znaleźli poza płataniną śladów na ziemi, gdzie dwaj wartownicy wcześniej krążyli.

– Nic nie wskazuje na walkę – zauważył Wespazjan, przypatrując się ziemi – nie ma krwi, niczego nie zgubiono.

– Dekurionie, każ się ludziom rozproszyć i przeczesać teren – rozkazał Petus. –

Ale mają przez cały czas być w zasięgu wzroku.

– Sądzisz, Petusie, że mogli zdezerterować? – spytał Sabinus, kiedy Batawowie zaczęli zmieniać szlak.

– To mało prawdopodobne tak daleko od domu, a już szczególnie tutaj.

– A co tu jest szczególnego?

– Przewodnicy mówią, że wkrótce dotrzemy do rzeki o nazwie Men. Znają tam bród i kiedy przejdziemy rzekę, znajdziemy się na ojczystej ziemi plemienia Chattów. Oni i Batawowie są odwiecznymi wrogami. Kiedyś należeli do tego samego ludu, ale kilkaset lat temu się pokłócili. Nie mam pojęcia, o co poszło, zresztą nikt tego nie pamięta. Mimo to sprawa jest poważna. Batawowie udali się na północ, a Chattowie osiedli tutaj, ale wciąż mają te same zadawnione porachunki. Ci dwaj musieliby chyba oszaleć, żeby kręcić się tak blisko ziemi Chattów.

– Prefekcie! Spójrz na to – zawołał Kuno, podchodząc do nich z hełmem jeźdźca oddziałów pomocniczych.

Na jego krawędzi widać było zlepione krwią włosy.

– Wątpię, byśmy ich jeszcze kiedyś zobaczyli – oświadczył.

Więść o zniknięciu wartowników, prawdopodobnie zamordowanych, rozeszła się wśród żołnierzy, którzy z narastającym poczuciem zagrożenia ruszyli w dół łagodnego zbocza, w kierunku północno-wschodnim.

– Myślicie, że zrobili to Chattowie z powodu tej wciąż trwającej waśni między nimi a Batawami? – spytał Magnus braci, kiedy opowiedzieli mu historię dotyczącą tych dwu plemion.

Sabinus pokręcił głową.

– To mało prawdopodobne. Ziemie Chattów zaczynają się za rzeką Men; nie mieszkają w pobliżu Renu, więc niby co mieliby tam robić?

– Galba powiedział, że przegnał zgraję wojowników, która w tym roku przepłynęła się przez rzekę – poinformował go Wespazjan – z czego wynika, że zapuszczają się aż tak daleko na zachód.

Sabinus wzruszył ramionami.

– No cóż, nawet jeśli tak, to skąd by wiedzieli, że sześć statków z Batawami przybije właśnie tam, gdzie przybiliśmy?

– Dobrze pytanie – przyznał Magnus – bo ktoś to jednak wiedział i ten ktoś nas stale śledzi. Mam bardzo nieprzyjemne podejrzenie, że ci wartownicy to nie ostatnie ofiary tej wędrówki.

– Niestety, możesz mieć rację, Magnusie. – Sabinus odwrócił głowę i popatrzył w głąb cienistego lasu. – Nawet światło mojego Pana z trudem przebija ten mrok. Pozbawieni nieustającej opieki Mitry jesteście dla nich dużo łatwiejszym celem. – Nagle położył dłoń na rękojeści miecza. Kilku bawaskich jeźdźców przemknęło między drzewami. Cofnął rękę. – Ale o co im chodzi? Chcą nas odstraszyć?

– Odstraszyć od czego? – spytał Wespazjan. – Skąd mieliby wiedzieć, dokąd zmierzamy? Nie daje mi spokoju myśl, jak to możliwe, że o nas wiedzieli, kiedy znaleźliśmy się w zupełnie przypadkowym miejscu, w środku nocy, na wschodnim brzegu rzeki.

– No taa, chyba potrafię odpowiedzieć na to pytanie – oświadczył Magnus. – Nie mogli na nas czekać, bo nie wiedzieliby gdzie, z czego wynika, że musieli nas śledzić. Z tym, że nie mogli zacząć na wschodnim brzegu, bo nie widzieliby, jak opuszczamy w nocy przystań. Gdyby byli w samym porcie, tobyśmy ich zauważyli. Musieli czekać na rzece, nieco powyżej portu, bo wtedy mogli wlec się za nami niezauważenie.

Wespazjan po chwili skinął głową, a kolumna przeszła w kłus.

– Tak, myślę, że masz rację. Czyli kimkolwiek oni są, wiedzieli z góry, że wypłyniemy z Argentoratum, a nawet tam wiedziano o tym dopiero dzień wcześniej.

– Co więcej, nikt nie wiedział, że wyruszymy prawie natychmiast po przyjeździe.

– Chyba że powiedziano im o tym, zanim przyjechaliśmy.

– Ale kto jeszcze tutaj wiedział, co planujemy?

– Tutaj nikt, ale jeśli chodzi o Rzym, to trzy osoby przychodzą mi do głowy.

– Klaudiuszowi wyzwoleńcy?

Magnus skinął głową.

– Przecież im zależy na tym, żeby nam się udało. Nie chcieliby zagrozić tej misji, to przecież ich pomysł.

– W takim razie powiedz mi, kto jeszcze, nie licząc waszej rodziny, wie, że tu jesteście?

– Tylko Galba – przyznał nieco zdezorientowany Wespazjan – ale jemu nie powiedziałem dokładnie, dokąd zmierzamy. I dlaczego miałyby chcieć pomóc Chatom? Nienawidzi ich. Wiecie, że on nienawidzi wszystkich, których rody nie wywodzą się z czasów powstania republiki.

– Stać! – zawołał od czoła Petus.

– Co się stało? – spytał Wespazjan, podążając za wzrokiem prefekta.

Drzewa przed nimi znacznie się przerzedziły, przepuszczając między koronami złociste snopy światła, co oślepiało ich przywykłe już do półmroku oczy.

Mężczyzna wskazał ręką dwa niezbyt wysokie drzewka, stojące przed nimi w odległości jakichś dwudziestu kroków. Wespazjan zmrużył oczy i zobaczył na każdym z nich po jednym makabrycznym kulistym owocu.

– Odciąć je – rzucił Petus do obu przewodników.

Batawowie nerwowo skierowali konie ku zawieszonym między gałęziami drzewek głowom. Kiedy znaleźli się bliżej, jeden z koni zawadził przednim kopytem o jakąś przeszkodę ukrytą pod warstwą liści. Rozległ się głośny trzask, a potem skrzywienie kołyszącej się linki powroza; dwa ciemne kształty, rozcinając pasma słonecznego światła, runęły z góry wprost na żołnierzy. Ich wierzchowce się spłoszyły, rżąc przeraźliwie i zrzucając jeźdźców do tyłu. Kiedy postać z prawej strony spadła na jednego konia; druga chybiła i pofrunęła łukiem w stronę czoła kolumny. Otarła się o martwe liście i uniosła do góry, bryzgając wokół posoką, aż wytraciła impet i zawisła na moment nieruchomo. Wespazjan spojrział na bezgłowe ciało jednego z wartowników, starając się utrzymać wierzchowca w miejscu. Cuchnąca ciecz płynąca z otwartej szyi jeszcze bardziej zaniepokoiła konie i kiedy ciało pomknęło łukiem z powrotem ku wierzchowcom bez jeźdźców, zwierzęta tego nie wytrzymały i poniosły.

– Zaczyna mnie to wkurwiać – oznajmił Magnus. Za jego plecami panika wśród koni spowodowała, że kolumna zaczęła się rozsypywać.

Wespazjan zeskoczył z wierzchowca, ledwie unikając tylnych kopyt Petusowego konia, i pobiegł naprzeciw rozkołysanemu ciału, które ze skrzypieniem powroza zbliżało się do niego. Stanąwszy na lewej nodze, wystawił do przodu prawą, tak że podeszwa jego sandała trafiła w klatkę piersiową odchylającego się od pionu ciała. Uderzenie zgięło mu nogę w kolanie i rzuciło go na plecy. Uniósł natychmiast głowę i zobaczył, jak wiszące ciało obraca się powoli obok drugiego ciała. Oba trupy miały związane z przodu ręce i sztylet przymocowany kawałkiem powroza w prawej dłoni. Zanim zdążył zastanowić się nad znaczeniem tego niesamowitego widoku, usłyszał głośniejsze od pokrzykiwania jeźdźców i rżenia koni wrzaski bólu ludzi i ryk rannych zwierząt. Obejrzał się i zobaczył strzały śmigające z koron drzew ku kolumnie. Kilku jeźdźców wraz z końmi zostało stratowanych i leżało w konwulsjach. Atak trwał jeszcze przez dziesięć uderzeń serca i zakończył się równie raptownie, jak się zaczął.

Spojrawszy w stronę, z której nadlatywały strzały, Wespazjan dostrzegł



niewyraźne sylwetki umykających pieszo ludzi.

– Petusie, możemy ich dogonić! – zawołał, zrywając się na równe nogi i rozglądając za swoim wierzchowcem. Nigdzie go nie zobaczył.

– Za mną! – przekrzykując zgiełk, ryknął Petus do najbliższych, najbardziej opanowanych żołnierzy. Piętami pogonił konia, który zareagował błyskawicznie, zwawo oddalając się od makabrycznej scenerii.

Kilkunastu Batawów ruszyło za dowódcą i wkrótce zniknęli pozostającym z oczu.

Wespazjan chwycił uzdę wierzchowca Sabinusa, pomagając uspokoić zwierzę; Magnus i Ziri zsiadli z koni i kojąco pocierali ich boki. Stopniowo w oddziałach zapanował spokój, słychać było tylko jęki rannych i parskanie co bardziej płochliwych koni.

Ansigar przedarł się przez nieuporządkowaną kolumnę.

– Mamy trzech zabitych i pięciu rannych, jednego ciężko, i straciliśmy cztery konie, legacie – zameldował. – A gdzie jest prefekt?

– Goni napastników – odparł Wespazjan. – Chodź, coś ci pokażę.

Poprowadził dekuriona do wiszących ciał. Strąceni z wierzchowców przewodnicy podnosili się z trudem, nie mogąc oderwać wzroku od makabrycznego widoku.

– Co o tym sądzisz? – spytał, wskazując na sztylety tkwiące w prawych dłoniach trupów. – Kiedy znaleziono Rothaida, ścisnął w dłoni czysty, niezakrwawiony miecz, jakby ktoś mu go tam włożył.

Ansigar uśmiechnął się niewesoło i pogładził długą, zadbaną brodę.

– Bo rzeczywiście tak było.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że walczymy z ludźmi honoru.

– Uważasz skradanie się i mordowanie ludzi za honorowe?

– Oni nie skazują swoich ofiar na pośmiertną wędrówkę po ziemi w bezkształtnej postaci. Wkładając im w chwili śmierci broń do ręki, dbają o to, by walkirie Wszechojca Wotana odnalazły ich i zabrały do Walhalli, gdzie będą ucztowali i walczyli aż do ostatecznej bitwy.

– A więc to sprawa religii, niemająca dla nas szczególnego znaczenia?

– Ma duże znaczenie, bo wiem, że napastnicy są Germanami i sprawa nie dotyczy Batawów. Gdyby chodziło o nas, nie przejmowałiby się takimi subtelnosciami jak nasze życie pozagrobowe. Ich pretensje muszą dotyczyć tego, co reprezentujemy, a mianowicie Rzymu.

Z lasu dobiegły ostrzegawcze krzyki i chwilę potem pojawił się Petus na czele swoich ludzi.

– Dopadłeś ich? – spytał niecierpliwie Wespazjan.

– Jednego.

Jego żołnierze ściągnęli z końskiego zadu ciało zabitego, rzucając je na ziemię twarzą do góry. Mężczyzna miał dwadzieścia kilka lat, jasne włosy związane w węzeł na czubku głowy i obowiązkową brodę, teraz zlepioną krwią. Ubrany był w brązowe wełniane spodnie i skórzane wysokie buty. Wytatuowaną w zawijasy klatkę piersiową miał odkrytą i zalaną krwią z rany zadanej wbitym w serce oszczepem. Tuż powyżej prawego łokcia widniała gruba srebrna obręcz.

– Ilu ich było?

– Około dwudziestu. – Petus popatrzył na ciało i pokręcił głową. – Odwrócił się, żeby z nami walczyć i umożliwić pozostałym ucieczkę. To był akt samobójstwa. Zanim go zabiliśmy, wszyscy zniknęli, zupełnie jakby pochłonął ich las.

Ansigar przyklęknął i uniósł długą gęstą brodę. Na szyi znalazł metalową obręcz niemal na dłoń szeroką. Splunął z obrzydzeniem.

– Tylko członkowie jednego plemienia noszą żelazne kołnierze – oznajmił. – To Chattowie.

## Rozdział ósmy

Przez trzy dni kolumna podążała naprzód najszybciej jak się dało, przecinając ziemię Chattów, i przez trzy noce niewidoczni prześladowcy porywali żołnierzy pod osłoną ciemności. Robili to jakby od niechcenia, w ogóle się przy tym nie pokazując. Od tamtej zasadzki nikt ich nie zauważył, jednak co rano brakowało kogoś, a później, w ciągu dnia, natykali się po drodze na pozbawione głów ciała. Drugiej nocy, usiłując powstrzymać tę cichą, skradającą się śmierć, Petus kazał podwoić strażę i wartownicy zaczęli patrolować teren czwórkami, ale bez skutku, bo tej samej nocy umarło czterech ludzi. Trzeciej nocy w ogóle nie otoczył obozu wartownikami; mieli patrolować teren, krążąc pośród śpiących towarzyszy, a mimo to jeden żołnierz zniknął.

– Codziennie udaje im się podrzucić trupy trzy lub cztery mile przed nami – zauważył Wespazjan, kiedy stali nad ciałem najświeższej bezgłowej ofiary, przybitej do grubego pnia dębu. – Muszą wiedzieć, dokąd zmierzamy.

– A to już jest coś, co wiedzieli tylko Pallas, Narcyz i Kallistos – rzucił Magnus, odpędzając jedną z wielu przyciągniętych zapachem śmierci much.

Zdumiony Sabinus zmarszczył brwi.

– Przecież to bez sensu. Dlaczego Narcyz miałby mnie oszczędzić, by wysłać z misją, którą zamierza sabotować?

– To nie musi być on, to może być Pallas albo Kallistos – podsunął mu Magnus.

– Każ go zdjąć i pochować – polecił Petus Ansigarowi, dosiadając wierzchowca.

Germanin rzucił parę słów w swoim chropawym języku i kilku wyglądających na przestraszonych żołnierzy wystąpiło i zabrało się do wykonania rozkazu, szepcząc między sobą z ponurymi minami.

– Ludzie już dłużej tego nie zniosą, Petusie – powiedział Wespazjan, dosiadając swojego konia obok prefekta. – Jak długo pozostaniemy na ziemiach Chattów?

– Według przewodników jeszcze jeden dzień. Musimy przeprowić się przez rzekę Adrana\*, a potem, aż do Amizji, na ziemiach Cherusków, teren jest względnie płaski i przeważają pola uprawne. Miejmy nadzieję, że wtedy zdołamy zwiększyć tempo.

– Będziemy bardziej widoczni.

Petus wzruszył ramionami.

– Ci, co idą za nami, też.

Wespazjan zastanawiał się, jak to możliwe, że w minionych dniach ich prześladowcy pozostawali tacy nieuchwytni.

– Bardzo w to wątpię, Petusie – powiedział.

Kiedy słońce sięgnęło zenitu, wyszli z lasu na pofałdowany, porośnięty trawą teren. W oddali widać było rozrzucone gdzieniegdzie nędzne ludzkie siedziby, otoczone pastwiskami, na których krowy skubały trawę. Po zdającym się ciągnąć bez końca lesie robiło to wrażenie cudownej, rajskiej, skąpanej w słońcu krainy, gdzie można swobodnie oddychać, a nie zerkać nieustannie w mrok, wypatrując i tak niewidocznego wroga.

– Adrana jest niecałe ćwierć godziny jazdy na północ stąd, prefekcie – poinformował Petusa jeden z przewodników, wskazując na odległe o milę podłużne wzgórze. – Z tamtego szczytu będziemy mogli ją zobaczyć. Niestety, nie ma tam brodu, musimy przeprowić się wpływ.

– Już od dawna należy mi się kąpiel – odparł wesoło Petus. – Ansigarze, wyślij przodem czteroosobowy patrol, żeby sprawdzić, czy nasi tajemniczy przyjaciele nie czają się nad rzeką.

Kiedy jeźdźcy oddalili się galopem, Petus poprowadził kłusem resztę kolumny. Wespazjan popędził konia piętami, czując nagły przypływ energii na widok otwartej przestrzeni. Lęk przed wystawieniem się wrogowi na cel ustąpił chwilowo uldze, że wreszcie można poruszać się z większą szybkością.

– Nie mogę się doczekać, kiedy zmyję z siebie zapach lasu – oświadczył.

Magnus nie wyglądał na szczególnie zadowolonego.

– Przepływanie rzeki nigdy nie oznaczało niczego dobrego, szczególnie jak się nosi coś takiego. – Potarł ręką koleczą tunikę. – Nie są do tego przystosowane.

– Zdejmij ją i przytrocz do konia, on już sobie poradzi.

Magnus burknął coś pod nosem i zwrócił się do jadącego obok Ziriego.

– Jak ci idzie pływanie, Ziri?

– Nie wiem, panie, jeszcze nigdy nie próbowałem.

– Na jaja Hadesa, cudownie! To chyba nie jest właściwa pora na naukę.

Kolumna posuwała się po trawiastym terenie w górę stoku, aż dotarła na szczyt wzgórza. Petus ściągnął konia. Wespazjan zatrzymał się obok niego i osłonił ręką oczy. W dole, kilka mil dalej, pośród zielonych, nierównych spłachetek pól widać

się rzeka. Drzewa gęsto porastające jej brzegi tylko od czasu do czasu pozwalały dojrzeć powolny nurt mętnej od osadów wody. Czteruosobowy patrol pokonał już jedną trzecią drogi do rzeki. Za wodą, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się pola i zagajniki. Ziemia była tu żyzna i uprawiana.

– Nie wygląda, by miała więcej jak trzydzieści do czterdziestu kroków szerokości – oświadczył z przekonaniem Petus. – Nie zatrzyma nas zbyt długo. – Podniósł ramię i obrócił się w siodle, żeby dać ludziom rozkaz do wymarszu. Nagle twarz mu się zmieniła. – Jasny piorun!

Wespazjan odwrócił się błyskawicznie i zobaczył wypływającą z lasu ciemną plamę. Jeźdźcy, dziesiątki jeźdźców, co najmniej setka, według szybkiego szacunku.

– Nie będzie zabawnie – mruknął Petus pod nosem, po czym wyrzucił do przodu ramię i ponaglił wierzchowca, który ruszył z kopyta i szybko przeszedł w galop.

Kolumna ruszyła za nim.

Milę za nimi to samo zrobili Chattowie.

Wespazjan pochylił się w siodle, puszczając konia w dół stoku, płaszcz furkotał mu głośno za plecami, a wszędzie wokół Batawowie popędzali konie, przekrzykując dudnienie kopyt. Błyskawicznie pokonali połowę dystansu, niemal doganiając poprzedzający ich patrol. Wespazjan obejrzał się przez ramię i zobaczył pierwszych Chattów na szczycie wzgórza, zrobił szybkie obliczenia i wiedząc, co nastąpi, krzyknął do Petusa:

– Wybiją nas, kiedy będziemy w rzece. Musimy wykonać zwrot i stawić im czoło. Jest nas co najmniej pięćdziesięciu więcej.

– Moi chłopcy świetnie pływają, legacie – wrzasnął Petus, przekrzykując tętent. – Mniej ich stracimy w rzece niż w bitwie. Tylko tak mamy szansę wrócić do domu.

Wespazjan dostrzegał logikę takiego rozumowania: im więcej ludzi stracą teraz, tym bardziej będą wystawieni na niebezpieczeństwa, kiedy dotrą do Lasu Teutoburskiego. Spojrzał ku odległej o pół mili rzece, patrol był już przy brzegu. Obejrzał się i stwierdził, że odległość między nimi i Chattami się zmniejszyła, i pomyślał, że wciąż jeszcze jest nadzieja. Jeden z koni patrolu potknął się i padł na ziemię, przygniatając jeźdźca. Po kilku chwilach dwóch kolejnych spadło z siodła; czwarty zawrócił wierzchowca i ruszył z powrotem w górę stoku. Za nim, na drugim brzegu, zaczął się jakiś ruch; po chwili nad wodą pojawiło się ponad stu wojowników.

Byli w pułapce.

– Stać! – wrzasnął Petus, podnosząc wysoko ramię. – W tył zwrot. – Większość

Batawów zdążyła zauważyć nowe zagrożenie po północnej stronie rzeki i nie trzeba im było dwa razy powtarzać rozkazu. Z niewiarygodną zrećznością ściągnęli toczące pianę z pysków wierzchowce o szalonym wzroku i odwrócili się, formując w każdym oddziale szyk złożony z dwóch szeregów. Chattowie zwolnili do stępa, zbijając się w klin jak grot strzały. Jechali teraz równo i powoli; jeden człowiek podążał na czele, a pozostali ustawili się za nim ukośnie po obu jego stronach.

Petus spojrział tylko na nieprzyjacielską formację i zwrócił się do towarzyszącego mu Ansigara.

– Dwie zewnętrzne turmy mają sformować kolumnę na tyłach, my natomiast ciśniemy włócznie i rozdzielimy się, nim dojdzie do bezpośredniego kontaktu.

Dekurion skinął głową, rzucił kilka rozkazów, powtórzonych jak echo przez jego pięciu kolegów. Turmy z prawego i lewego skraju precyzyjnym i szybkim manewrem wycofały się za cztery środkowe i uformowały kolumnę z dwóch rzędów.

– Batawowie! Gotować się do ataku! – zawołał Petus, przy ostatnim słowie podnosząc głos o oktawę wyżej.

Żołnierze wyjęli włócznie ze skórzanych futerałów przytroczonych do siedel i włożyli palce wskazujące w związane pośrodku drzewca rzemienne pętłe. Konie przestępowały z nogi na nogę, parskały, rzucały nerwowo głowami, ich potężne piersi rozdymały się przy głębokich wdechach i kurczyły.

– Spróbujemy wykonać dość trudny manewr – poinformował braci Petus – więc najlepiej będzie, jeśli wy dwaj ustawicie się za mną i Ansigarem i będziecie się nas trzymali.

Sabinus się najeżył, bo nie spodobało mu się, że wysyłają go do drugiego szeregu, ale Wespazjan położył mu rękę na ramieniu i powiedział:

– Widziałem, jak manewruje jazdą. Myślę, że najlepiej będzie zrobić, co radzi.

– Jeszcze nigdy w życiu nie walczyłem z konia – marudził Magnus, kiedy ustawiali się w centrum linii bojowej, za oddziałem Ansigara. – To nienormalne.

– A jak było w Cyrenajce, przeciwko pobratymcom Ziriego? – spytał Wespazjan, poprawiając pas przy tarczy.

– Po prostu podczas ataku trzymałem się cały czas za tobą, ale potem, przy pierwszej okazji, stanąłem na własnych nogach.

– To teraz postępuj tak samo; pilnujcie z Zirim pleców moich i Sabinusa.

– Dobrze. I będę miał na ciebie oko, żeby cię nie poniosło, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Wespazjan odburknął mu coś, choć dobrze wiedział, o czym przyjaciel mówi. W przeszłości często narażał się na niebezpieczeństwo. Tracąc kontrolę nad sobą i walcząc w bitewnym szale, kompletnie nie zważał na to, co wokół niego się dzieje. Dzisiaj nie zamierzał do czegoś takiego dopuścić.

Ćwierć mili przed nimi przywódca Chattów uniósł prawe ramię; nie miał dłoni. Chattowie zatrzymali się, ale przywódca jechał dalej stępą. Zatrzymał się w odległości pięćdziesięciu kroków i zaczął gładzić gęstą jasną brodę, uważnym spojrzeniem oceniając Batawów.

Patrzyli na niego w milczeniu.

Wespazjan zerknął za siebie. Wojownicy na drugim brzegu wciąż tam tkwili. Zawołał do Petusa:

– Wysłuchajmy, co ma nam do powiedzenia, prefekcie!

– Rzymianie i wy, Batawowie, pozostający na rzymskim żołdzie – zawołał przywódca Chattów zaskakująco poprawną łaciną. – Macie nad nami liczebną przewagę, ale my mamy przewagę natarcia z góry w dół. Być może nas zabijecie, ale stracie przy tym tylu ludzi, że ci, którzy przeżyją, nie będą mieli najmniejszej szansy powrócić żywi na ziemię cesarstwa. – Zdjął hełm i kikutem prawej ręki otarł pot z łysej głowy.

Wespazjan nagle rozpoznał mówiącego i odwrócił się do Sabinusa, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, mężczyzna mówił dalej.

– Proponuję wam, Batawowie, co następuje: oddajcie nam waszych rzymskich oficerów i waszą broń, a odprowadzimy was z powrotem do Renu; stamtąd odejdziecie wolni.

Ansigar splunął.

– Mielibyśmy oddać nasze miecze Chattom? I to tak niewielu! Nigdy!

Wzdłuż linii Batawów rozległo się spluwanie i gniewne pomruki, wyrażające zgodę z dekurionem.

Ansigar zwrócił się do Wespazjana.

– Chattowie walczą na ogół pieszo, to nie konnica, tylko piechota na koniach; nie będą w stanie się nam oprzeć.

Wespazjan skinął głową.

– Dziękuję, dekurionie. Myślę, prefekcie, że usłyszeliśmy już dosyć; kończmy sprawę.

– Całkowicie się zgadzam, legacie. – Petus machnął lekceważąco ręką do

przywódcy Chattów.

– Wracaj do swoich ludzi, rozmowy skończone.

– Niech więc tak będzie. – Mężczyzna nałożył hełm i wrócił szybko na czubek klina swoich wojowników. Jeden z jeźdźców wyjechał mu naprzeciw i podał tarczę, którą jego dowódca wsunął na okaleczone ramię, po czym lewą ręką wyciągnął miecz.

– Dekurioni, patrzcie uważnie, kiedy dam sygnał do rzutu, a potem rozdzielcie się! – zawołał Petus. – Batawowie, kłusem naprzód!

Przy akompaniamentie dzwoniących końskich uprzęży i stukocie kopyt sześć turm ruszyło naprzód. Ze wzgórza dobiegł ryk i Chattowie ruszyli w dół.

– Galop! – wrzasnął Petus, kiedy przeciwnicy znaleźli się dwieście kroków od siebie.

Reakcja jeźdźców była natychmiastowa i Wespazjan został z tyłu, bo nie miał skwapliwości cechującej dobrze wyszkolonych żołnierzy Petusa.

Wykorzystując przewagę wysokości, Chattowie pędzili na złamanie karku, z grubsza utrzymując szyk klinowy. Z okrzykami wojennymi na ustach, spryskanymi śliną brodami, wymachiwali nad głowami oszczepami, włóczniami lub mieczami.

– Batawowie, atakować! – krzyknął Petus, kiedy ściana koni, tarcz i kolczug znalazła się w odległości dwustu kroków od nieprzyjaciół.

Wespazjan poczuł dreszcz, kiedy puścił wierzchowca cwałem, w ustach mu zaschło, a pulsująca krew wyostrzała zmysły. Jego uszy wypełnił huk setek kopyt, gardłowe przeciągłe dźwięki wydawane przez ludzi i zwierzęta. Dwa szeregi przed nim Petus wzniosł miecz wysoko nad wypolerowany żelazny hełm, z powiewającym czerwonym pióropuszem z końskiego włosia. Odległość pomiędzy dwiema wrogimi stronami kurczyła się w przerażającym tempie. Czterej dekurioni z pierwszego szeregu poszli za przykładem prefekta i wzniesli miecze; ich podwładni cofnęli ręce ściskające włócznie. Pięćdziesiąt kroków przed bezpośrednim starciem miecz Petusa opadł z błyskiem stali, a natychmiast po nim opadły miecze czterech dekurionów. Kiedy Chattowie wyrzucili w powietrze swoją broń, z drugiej strony sto dwadzieścia włóczni poszybowało w kierunku ich zbliżającego się klina. Dwie chmury pocisków minęły się w powietrzu, kiedy, bez żadnej głośnej komendy, turma Ansigara skrzyła pod kątem czterdziestu pięciu stopni w prawo, zabierając z sobą oddział zewnętrzny. Jeźdźcy wyciągnęli miecze z pochew. Wespazjan skierował konia za nimi; dwa oddziały po jego lewej skrzyły w przeciwną stronę, rozcinając cały szyk na połowę.

Pierwsze pociski dosięgły Batawów, powalając dwóch tuż przed Wespazjanem.



Jego koń odruchowo przeskoczył przeszkodę, będącą kłębowiskiem krzyczących ludzi i charczących zwierząt. Przez zgiełk natarcia przedarły się przeraźliwe krzyki rannych. Odczuwając w kręgosłupie wstrząs wywołany gwałtownym grzmotnięciem kopyt jego konia o ziemię, Wespazjan podniósł wzrok. Jednoręki mężczyzna jadący na czubku klina właśnie go mijał, ale nie natrafił na żadnego przeciwnika, wpadając w powstałą trzydziestostopową lukę. Choć rozchwiany ze względu na powalone konie, pchany impetem klin wojowników za jego plecami rwał przed siebie, podczas gdy turma Ansigara pędziła pod kątem wprost na tylną trzecią część formacji Chattów. Ledwo Wespazjan zdążył zamrużyć, by pozbyć się kurzu z oczu, a konie obu stron zaczęły się płoszyć, chcąc uniknąć zderzenia. Jednak musiało dojść do starcia i zwierzę wpadało na zwierzę, metal trzaskał o metal w tym przerażającym bitewnym wirze, pełnym uniesienia i żądzy krwi. Wstrząs wywołany bezpośrednim zderzeniem przeniósł się na drugą stronę klina, rozbijając go na dwie części, podczas gdy jedna trzecia oddziału na tyłach wyhamowywała z największym trudem, reszta wiała się przez powstałą lukę. Wespazjan zaryzykował szybki rzut oka do tyłu, zaniepokojony, że mogą zawrócić i ruszyć na tyły Batawów. Nie musiał się martwić. Obie turmy tworzące kolumnę dwoma szeregami rozjechały się pod kątem prostym na boki i zaatakowały, uderzając z dwóch stron na flanki odciętego czubka formacji wroga. Wespazjan ponownie skierował całą uwagę na zamieszanie przed sobą.

Szeregi utraciły zwartość, kiedy dwie formacje starły się w chaotycznej walce wręcz. Rozdzwoniło się żelazo, tarcze dudniły pod potężnymi ciosami, konie ryczały, ludzie wrzeszczeli, krew tryskała. Wespazjan osłonił tarczą głowę, dostrzegłszy kątem oka niewyraźny błysk z lewej strony. Spadający na niego miecz wrył się w uniesioną tarczę. Odczuł wstrząs w lewym ramieniu, mimo to podniósł je jeszcze wyżej, skręcając tułów, by wbić miecz w nagą pierś przeciwnika. Oczy mężczyzny, już wcześniej szeroko rozwarte w ferworze walki, teraz z bólu wyszły mu z orbit, a z ust, wraz z krwawą mgiełką, wydarł się krzyk, kiedy Wespazjan przekreślił ostrze i krusząc żebra, wcisnął je przez płuco aż do kręgosłupa, odpychając od siebie konającego wojownika. Z ogromnym wysiłkiem, przyłgnąwszy do boków wierzchowca, wyszarpnął miecz z ciała, by nie pociągnął go na ziemię. Koń zabitego zatopił zęby w zadzie wierzchowca Wespazjana, który stanął dęba, wymachując przednimi nogami. Wespazjan pochylił się do przodu, wciskając głowę w grzywę zwierzęcia i otaczając mu szyję ręką z tarczą. Znajdujący się z tyłu Magnus wbił czubek miecza przez oko w mózg dręczyciela wierzchowca Wespazjana.

– Toż to kurewsko nienormalne! – ryknął, kiedy krew konia trysnęła mu na ramię.

Zwierzę opuściło łeb, z którego mężczyzna nie zdążył jeszcze wyciągnąć miecza, po czym jego wszystkie nogi ugięły się jednocześnie. Koń padł, ściągając Magnusa z siodła.

Uwolniony wierzchowiec Wespazjana opuścił przednie nogi, trafiając kopytem w cieknący nos konia Chattów. Legat wciąż przywierał do szyi swojego wierzchowca. Kątem oka dostrzegł, jak u jego boku jeździec spycha do tyłu Sabinusa, grzmocąc zaciekle w jego tarczę. Z szerokiego zamachu ciął mieczem przez plecy napastnika. Mężczyzna wygiął się do tyłu, kiedy ostrze rozdarło mu ścięgna i skruszyło kości, podczas gdy legat szybko obrócił się w lewo, pozostawiając Sabinusa, by radził sobie sam, akurat kiedy Magnus, podniósłszy się z ziemi, bez broni, znalazł się na drodze jeźdźca, który mierzył weń trzymaną pod pachą włócznią. Wespazjan pchnął tarczę do przodu, odbijając broń w bok; Magnus wyciągnął rękę, chwycił za drzewce i szarpnął gwałtownie, wysadzając Chatta z siodła.

– Chodź tu, ty kudłaty sukinkocie! – ryknął, kiedy wojownik spadał na niego. Wyrwał mu włócznię i walnął go w tył głowy. Tamten już się nie podniósł z ziemi. Ziri zeskoczył ze swojego wierzchowca i stanąwszy obok, odbił tarczą wymierzony w jego pana od góry z lewej cios miecza. Magnus zakreślił włócznią i wbił ją w pierś zbliżającego się konia, podczas gdy Wespazjan ponownie skupił uwagę na tym, co działo się przed nim.

W głębi, pośród kotłowaniny, falował czerwony pióropusz Petusa otoczonego Batawami z obu stron. Ich umazane szkarłatem miecze błyskały wokół niego, kiedy wycinali sobie drogę pośród Chattów, teraz tak ścieśnionych, że walka ograniczała się do miejsca, w którym stały ich wierzchowce. Chwilę później ogłuszający łoskot przedarł się przez krzyki i szczęk oręża. To dwie zewnętrzne turmy, okrążywszy flanki klina, zaatakowały odsłonięte tyły. Batawowie, czując zwycięstwo, wydali triumfalny ryk i jeszcze mocniej zaczęli wywijać mieczami, naciskając na nieprzyjaciół, którzy nie mieli gdzie się wycofać, mogli tylko paść. I padali pod świszczącymi klingami mieczy żołnierzy rzymskich oddziałów pomocniczych, atakowani ze wszystkich stron, podczas gdy resztki odciętego czubka klina zepchnięte zostały z powrotem przez dwa tylne oddziały. Chattowie byli w potrzasku.

Serce Wespazjana waliło jak młotem, kiedy poczuł nagły przypływ radości i uświadomił sobie, że musi się opanować. Bo teraz jego jedynym pragnieniem było zabijać i rzeczywiście zabijał, nie jak szaleniec, ale z wyrachowaną determinacją. Nie wiedział, jak długo trwa ta masakra; zdawało mu się, że całe wieki, czas bowiem, pod

wpływem jego wyostrzonych zmysłów, spowolnił, podczas gdy tak naprawdę nie trwało to dłużej niż złożony z siedmiu okrążeń hipodromu wyścig rydwanów.

A potem nagle było po wszystkim.

Okrutna kakofonia bitwy ustąpiła miejsca dysonansowej mieszance żałosnych dźwięków wydawanych przez rannych ludzi i zwierzęta; Batawowie zostali bez przeciwników. Nie wszyscy Chattowie zginęli; ponad dwudziestu wojowników z czubka klina wyrwało się z okrążenia i umykało teraz w stronę rzeki. Tu i tam, pojedynczo, parami, garstka tych, którym dopisało szczęście, ruszyła z kopyta, by do nich dołączyć. Większość leżała na ziemi, prawie trzydziestu Batawów razem z nimi. Magnus, Ziri i kilku spieszonych żołnierzy kręciło się między nimi, dobijając rannych Chattów i tych ze swoich współplemieńców, którzy nie byli już zdolni do dalszej jazdy.

Wespazjan, dysząc ciężko, rozejrzał się po pobojowisku, a potem popatrzył na swoje zakrwawione ramiona i nogi, zdumiony, że wciąż jeszcze je ma. Upewniwszy się, że rzeczywiście jest cały, poczuł konieczność natychmiastowego działania.

– Magnusie, zachowaj ze dwu przy życiu i tego jednorękiego drania, jeśli go znajdziesz. – Zsiadł z konia i zaczął się przyglądać trupom Chattów.

Podjechał Sabinus; z rozcięcia na czole sączyła mu się krew.

– Dzięki za pomoc, bracie, ledwo sobie z draniem poradziłem, ale ledwo, to tyle co w sam raz.

– Możesz mi podziękować, pomagając znaleźć tego jednorękiego człowieka.

– A dlaczego ci na nim zależy? – spytał Sabinus, zsiadając z konia. – Miałeś mi coś o tym powiedzieć.

Wespazjan obrócił jednego z trupów nogą.

– Pamiętam go z Rzymu.

– Gdzie go widziałeś?

– Jak wiesz, w dzień zabójstwa Kaliguli byliśmy z wujem Gajuszem w teatrze. Udało nam się z niego wydostać na boczną uliczkę, unikając tłumu. Minęliśmy martwego Germanina, członka osobistej straży cesarza, a na końcu uliczki natknęliśmy się na kolejnego, rannego. Siedział oparty o mur, był łysy, miał jasną brodę i właśnie chwilę przedtem odciąłeś mu prawą rękę.

– Ja?

– Tak, ty. Kiedy wyszedłem z tego zaułka, zobaczyłem kulejącego człowieka, rannego w prawe udo; to byłeś ty, zgadza się?

Sabinus zastanowił się przez chwilę, po czym skinął głową.

– Tak, pewno ja; dwóch członków straży, którzy zdołali przeżyć, ruszyło za mną. Wiem, że jednego zabiłem, ale nie wiem, co zrobiłem drugiemu, bo on w tym samym momencie zranił mnie; w każdym razie padł na ziemię z wrzaskiem, a ja jakoś utrzymałem się na nogach i zdołałem uciec. Myślisz więc, że chodzi o zemstę za to, że pozbawiłem go dłoni potrzebnej do trzymania kielicha podczas popijawy?

– Nie, to coś więcej. Jeśli założymy, że Magnus ma rację i jedynie wyzwolenicy Klaudiusza wiedzą, dokąd zmierzamy, to najwyraźniej któryś z nich próbuje nas zatrzymać. To był pomysł Pallasas, więc niby dlaczego sam miałby go sabotować? Jak powiedziałaś, nie ma też sensu, żeby Narcyz cię najpierw oszczędził, a potem próbował zabić tutaj. Pozostaje zatem Kallistos; jestem pewien, że to on za tym stoi.

– Dlaczego?

– Kiedy Pallas powiedział mi, że zostałeś ranny i dlatego na pewno wciąż jesteś w mieście, wspomniał, że Kallistos przesłuchiwał tego okaleczonego Germanina.

Sabinus starł kroplę krwi z oka i zamyślony przyglądał się czerwonej plamce na dłoni.

– To by się zgadzało, bo łączy tego jednorękiego drania z Kallistosem, ale nie wyjaśnia, co Kallistos miałby zyskać, przeszkadzając nam w znalezieniu orła. Tak samo jak Pallasowi i Narcyzowi zależy mu przecież na tym, by Klaudiusz zyskał uznanie armii.

– Owszem, ale on jednocześnie prowadzi z nimi walkę o władzę. Pallas powiedział mi, że Narcyz jest najpotężniejszy z ich trójki, a on sam i Kallistos odgrywają drugorzędną rolę. Obserwowałem ich, kiedy opuszczali podium tamtego wieczoru, kiedy senat stawiał się u Klaudiusza przed obozem gwardii pretoriańskiej. Narcyz zajmował miejsce honorowe, pomagając Klaudiuszowi przy zejściu, a potem Pallas i Kallistos okazywali sobie wzajemnie pobłażliwą przychylność i wypychali się nawzajem do przodu. Żaden nie potrafił znieść protekcyjności tego drugiego i wreszcie zeszli na dół ramię w ramię. Natomiast jeżeli plan się powiedzie i wrócimy z orłem, Pallas zyska ogromnie w oczach Klaudiusza, a Kallistos odczuje to jak zepchnięcie na trzecie miejsce.

– Ale jeśli nam się nie uda, cała wina spadnie na Pallasas.

– No właśnie, Sabinusie, a Kallistos będzie miał świadomość, że wygrał tę rundę.

– Nawet zagrażając tej tak ważnej strategii, mającej zapewnić Klaudiuszowi zwycięstwo w Brytanii?

– Nie zagrozi, jeśli ma gotowy własny pomysł na zapewnienie Klaudiuszowi

popularności w armii.

– Niby jaki?

Wespazjan zagryzł wargę i pokręcił głową.

– Nie wiem, ale Kallistos nie jest głupcem i na pewno coś wymyślił.

– Jest tu dwóch takich, wystarczająco żywych, żeby mogli odpowiedzieć na parę pytań – powiedział Magnus, podchodząc do braci. – Niestety, nie ma śladu po jednorękiem koleźce. Musiał się wyrwać i jest teraz po drugiej stronie rzeki, ale podejrzewam, że go jeszcze zobaczymy.

Wespazjan odwrócił się i spojrział ku północy; na drugim brzegu rzeki barierę tworzyła co najmniej setka wojowników.

– Tędy nie uda nam się przejść na tamtą stronę, ale tym będziemy się martwić, kiedy już się dowiemy czegoś od naszych jeńców.

– Odetnij mu drugi, Ansigarze – rozkazał Wespazjan – i zapytaj go raz jeszcze.

Brodaty dekurion wsparł się na nożu i ostrze przecięło kostkę, trysnęła krew i palec serdeczny znalazł się na ziemi obok leżącego już tam małego palca. Ansigar coś zaszwargotał, ale leżący na plecach i przytrzymywany przez dwóch żołnierzy starszy wiekiem wojownik Chattów wykrzywił tylko z bólu twarz i wciąż milczał; jego lśniąca od potu klatka piersiowa poruszała się w nierównym rytmie. W lewym barku, tuż pod żelazną obręczą, miał głęboką ranę.

Wespazjan spojrział w dół, na okaleczoną lewą dłoń, ułożoną na zakrwawionym kamieniu, który posłużył za deskę do krojenia. Dłoń mężczyzny leżała bezwładnie pod dziwnym kątem, wystając z przedramienia, które mu zgruchotano, kiedy odmówił wyjawienia, dlaczego Chattowie ich zaatakowali.

– Odetnij trzeci – syknął – choć coś mi się wydaje, że to strata czasu. Ale może zachęci do mówienia naszego drugiego przyjaciela. – Zerknął na młodszego jeńca, klęczącego ze skrępowanymi z tyłu rękoma, wpatzonego przerażonym wzrokiem w torturowanego towarzysza. Kiedy zobaczył, jak jego trzeci palec spada na ziemię, zaczął się wyrwać trzymającym go Batawom.

Starszy mężczyzna niezmiennie milczał.

– Mam mu odrąbać całą dłoń, legacie? – spytał Ansigar.

– Tak.

Dekurion wyciągnął miecz i przyłożył ostrze do nadgarstka; wojownik, poczuwszy jego dotyk, zeszytywniał. Młodszy mężczyzna zaszlochął.

– Czekaj! – zwołał Wespazjan, kiedy Ansigar uniósł miecz. – Odetnij prawą rękę

jego koledze.

Odwleczono na bok okaleczonego wojownika i przecięto więzy młodszemu. Zaczął wrzeszczeć i wił się jak wyciągnięty z wody węgorz, kiedy wlekli go do kamienia. Rozciągnęli go na plecach i wyprostowali prawe ramię. Ansigar pokazał mu miecz, a z ust przerażonego mężczyzny popłynął strumień germańskich słów.

– Mówi, że jednoręki mężczyzna przybył pół miesiąca temu i rozmawiał z ich królem, Adgandestriuszem – tłumaczył Ansigar. – Nie wie, o czym mówiono, ale po odejściu tego człowieka król kazał stu wojownikom ruszyć z nim i wykonywać jego wszystkie rozkazy. Poprowadził ich nad Ren, naprzeciwko Argentoratum, i kazał czekać na wschodnim brzegu, podczas gdy sam wziął dwie rybackie łodzie, z trzema ludźmi w każdej, na zachodnią stronę. – Ansigar spojrział na młodego mężczyznę, który mówił coś jeszcze, po czym dokończył tłumaczenie. – Czekali siedem dni, a potem, nocą, jedna z łodzi wróciła z rozkazem, że mają ruszyć na północ wzdłuż rzeki, aż spotkają się z tym jednorękim.

– Jak brzmi jego imię? – spytał Wespazjan.

Dekurion przetłumaczył pytanie.

– Gisbert – padła odpowiedź, a po niej popłynął kolejny strumień chrapliwych słów.

– Kiedy dotarli do Gisberta – ciągnął Ansigar – ten im powiedział, że śledził oddział rzymskich najeźdźców, którymi na dodatek byli wrogowie Chattów, Batawowie, co udowodnił, pokazując ciało tego, którego zabił. Kazał im za nimi podążać i zabijać każdej nocy jednego lub dwóch, ale zawsze zostawiać ich z bronią w rękę. – Ansigar zamilkł, słuchając dalszego ciągu opowieści, po czym znów przełożył jego słowa. – Powiedział, że będziecie cały czas przemieszczać się na północny wschód, a oni mają każdego dnia zostawiać na waszej drodze te ciała. Nie wiedzieli po co to, ale byli mu posłuszni jak własnemu królowi. Wczoraj Gisbert wysłał wiadomość do Adgandestriusza, w Mattium...

– Co to jest Mattium? – spytał Wespazjan.

Ansigar przetłumaczył pytanie jeńcowi, który, nim odpowiedział, popatrzył ze zdziwieniem na Rzymianina.

– To główne miasto Chattów, leżące na wschód stąd – oznajmił brodaty dekurion. – Wiadomość oznaczała, że dwustu ludzi ma czekać na północnym brzegu rzeki i zabić was podczas próby przeprawy wpraw, ale oni głupio zdradzili swoją pozycję, strzelając do patrolu. Wtedy Gisbert powiedział im, że z zemsty za ich wyprawę na drugą stronę Renu przybędziemy zabić ich króla.

– Zabić ich króla? Jesteś pewien?

Ansigar ponownie zwrócił się do jeńca. Ten potwierdził, ale na jego twarzy wciąż malowało się zdumienie.

– Tak mówi. Że jednoręki kazał im nas zaatakować. Wiedzieli, że nie mogą zwyciężyć, bo zazwyczaj walczą pieszo i nie lubią walczyć konno, ale król rozkazał im go słuchać, więc nie mieli wyboru.

– Spytaj go, co według niego Gisbert chciał osiągnąć, poświęcając aż tylu ludzi.

– On może jedynie przypuszczać, że chodziło o zabicie jak największej liczby naszych – odparł dekurion, wysłuchawszy odpowiedzi – byśmy nie mieli szansy przeprowić się przez rzekę, gdy na drugim brzegu stało dwustu wojowników.

– No to dopiął swego, bo mamy teraz zaledwie stu trzydziestu kilku żołnierzy. W tej sytuacji nie uda nam się przeprowić.

– W takim razie ruszajmy w dół rzeki, aż znajdziemy jakieś lepsze miejsce do przeprawy – zaproponował Sabinus.

Wespazjan popatrzył na wojowników okupujących północny brzeg.

– Wtedy oni po prostu będą posuwać się równolegle z nami. Ansigarze, spytaj go, czy jest gdzieś most.

– Powiedział, że jest jeden, w Mattium – odpowiedział dekurion po krótkiej wymianie zdań z jeńcem. – Ale dobrze strzeżony.

– Nie wątpię. No cóż, panowie, wygląda na to, że sprawa się nieźle pogmatwała. Jakieś sugestie?

– Mnie się wydaje, że idziemy wzdłuż rzeki na wschód i nocą próbujemy przedostać się na drugi brzeg. Albo przedzieramy się przez most, albo zawracamy.

Bracia popatrzyli na siebie; obaj wiedzieli, co zawrócenie oznaczałoby dla Sabinusa.

– Ułożymy stos pogrzebowy dla naszych zabitych – oświadczył Wespazjan – a potem ruszymy na wschód i zobaczymy, co podaruje nam Fortuna. – Spojrzał na leżących jeńców. – Skończ z nimi, Ansigarze.

Dekurion wziął miecz i przyłożył go do gardła młodego wojownika; przerażony mężczyzna rozwarł szeroko oczy i zaczął szybko coś mówić. Ansigar cofnął broń, a jeniec spojrzał na Wespazjana, kiwając gwałtownie głową.

– Mówi, że może nam pomóc przekroczyć rzekę – oznajmił dekurion.

– Na pewno? Niby jak to zrobi? Przerzuci nas nad wodą? – zakpił Wespazjan.

– Nie. Mówi, że ci ludzie po drugiej stronie pójdą tam, gdzie my, ale nie

przeprowią się na tę stronę, bo to zajęłoby im za dużo czasu. Mówi, że rzeka zakręca na północ, tworząc wielkie zakole, po czym, jakieś dziesięć mil stąd, zawraca; jeśli pojedziemy aż do jej zakrętu, zostawimy ją i będziemy posuwać się dalej na wschód, po trzech milach jazdy na przełaj ponownie na nią trafimy. Ludzie po drugiej stronie będą musieli podążać osiem mil wzdłuż zakola, a my, zyskując na czasie, przeprowimy się i odjedziemy, zanim oni tam dotrą.

Wespazjan popatrzył w przepełnione strachem oczy młodego wojownika.

– Można mu zaufać, Ansigarze?

– Jest tylko jeden sposób, by się o tym przekonać, legacie.

---

\* Rzeką Eder w Niemczech.



## Rozdział dziewiąty

Gęsty dym ze stosu pogrzebowego unosił się tak wysoko, że jadący klusem na wschód Batawowie widzieli go jeszcze za sobą z odległości czterech mil. Nie przyspieszali, oszczędzając konie na późniejszy galop po otwartym terenie, który miał im pozwolić oddalić się od Chattów na tyle, by zdążyć przeprowić się przez rzekę. Jak należało oczekiwać, Chattowie szli równo z nimi; za drzewami porastającymi oba brzegi widzieli od czasu do czasu ich odległe zaledwie o strzał z łuku sylwetki.

Krajobraz był coraz bardziej rolniczy, łagodnie pofalowany teren usiany małymi rodzinnymi gospodarstwami złożonymi z kilku niewielkich chat otaczających długi dom. Co jakiś czas powietrze przydawał cierpkości zapach dymu z palenisk. W polu pracowali starsi mężczyźni, chłopcy i trochę kobiet. Nie zwracali uwagi na kolumnę, chyba że znalazła się jakąś milę od nich i wtedy chronili się pospiesznie w gospodarstwach.

Po kilku godzinach jazdy ze szczytu trawiastego pagórka dojrzeli, jak pół mili dalej rzeka skręca na północ i osłonięta drzewami płynie leniwie, niknąc w oddali, za pasmem niewielkich wzgórz.

Jeniec zatrajkotał podniecony do Ansigara, który z kolei zwrócił się do jadącej za nim trójki Rzymian.

– Mówi, że to już tutaj. Jeśli dalej będziemy jechać prosto, natkniemy się na rzekę, kiedy zatoczywszy łuk, znów płynie na wschód.

Wespazjan rzucił okiem na północny brzeg. Drzewa rosły tak gęsto, że nie pozwalały niczego dojrzeć, ale wiedział, że Chattowie tam są.

– W takim razie spieszymy się, bo nawet jeśli będą gnać, to i tak znajdą się w miejscu przeprawy co najmniej ćwierć godziny po nas.

– A ich konie będą wykończone – zauważył Petus.

– Taa, ale ich włócznie nie będą – mruknął Magnus za jego plecami.

Wespazjan puścił mimo uszu tę niewesołą uwagę i piętami popędził wierzchowca.

– Ruszamy – rzucił do pozostałych.

Jeźdźcy podążyli za nim w dół łagodnego zbocza; dudniły kopyta, dzwoniły

uzdy, kiedy konie przyspieszały wzdłuż ostatniego półmilionowego odcinka rzeki. Na północnym brzegu od czasu do czasu śmigła między drzewami czyjaś sylwetka, świadcząca o tym, że nieprzyjaciele dotrzymują im kroku. Kiedy dotarli do zakrętu rzeki, Wespazjan poprowadził kolumnę prosto przed siebie. Słyszał okrzyki jeźdźców z drugiego brzegu, którzy zmuszeni jechać na północ, oddalali się od ściganych, ale nawet się nie obejrzał, skupiając się tylko na tym, by jego wierzchowiec pokonał galopem trzy mile, a potem jeszcze dał radę przepłynąć rzekę.

Teren przed nimi był pofałdowany. Wpinając się, wierzchowce musiały pracować ciężiej, a po zejściu ze zbocza czekał ich wyższy stok; trwało to dość długo, aż wreszcie dotarli do pasma niewielkich wzgórz. Stąd widać już było wyraźnie całe zakole i Wespazjan poczuł ogromną ulgę, kiedy wprost przed sobą zobaczył, jak rzeka płynie w tym samym kierunku co wcześniej. Jeniec nie skłamał. Nagle obłok dymu unoszący się nad wzgórzem po drugiej stronie rzeki, milę za zakolem, uświadomił mu, że jeniec nie powiedział wszystkiego. Dym częściowo zasnuwał leżącą na wzgórzu dużą, otoczoną palisadą osadę.

– Spytaj go, co to takiego! – krzyknął do Ansigara, domyślając się odpowiedzi i wiedząc, że mu się ona nie spodoba.

Nim dekurion zdążył się odezwać, jeniec skierował konia na południe i pognął przed siebie. Ansigar ruszył za nim.

– Zostaw go! – krzyknął Wespazjan. – Szkoda czasu na ściganie.

– Byłem już tu kiedyś – Magnus zwrócił się do Wespazjana, kiedy dekurion wrócił do kolumny. – Splądrowaliśmy to miejsce dwadzieścia pięć lat temu. Najwyraźniej je odbudowali. To jest Mattium, główna osada Chattów.

– Mogłem się domyślić; powiedział przecież, że leży w dole rzeki na wschodzie, i poprowadził nas wprost do niej.

– Mogliśmy przecież zawrócić.

– Nie, na miejscu Chattów zostawiłbym dość wojowników, by uniemożliwić nam przeprawę, gdybyśmy wpadli na taki pomysł. Tutaj przynajmniej możemy przeprowadzić się bez przeszkód.

– Bez przeszkód, jeśli nie liczyć całej reszty plemienia Chattów.

Wespazjan nie zamierzał spierać się z przyjacielem i błagał bogów, żeby udało im się przejść na drugą stronę, zanim wypatrzą ich bystre oczy z wież strażniczych Mattium.

Kiedy zbliżyli się do rzeki, żołnierze zaczęli ściągać i opróżniać skórzane bukłaki. Wespazjan spojrzął na Petusa, który robił to samo.

– Dlaczego to robicie?

– Chodzi o pływalność, legacie, o utrzymywanie się na powierzchni rzeki. Dobrze byłoby, żebyś zrobił to samo. Napelnimy je wodą ponownie po tamtej stronie. – Petus zaczął nadmuchiwać skórę, starając się przy tym utrzymać prosto w siodło.

– Lepiej zrób, co mówi – powiedział Magnus, sięgając po swój bukłak. – I ty też, Ziri.

Mały Marmaryda popatrzył ze zgrozą na swojego pana.

– Nie, panie! – zaprotestował. – Nie wolno marnować wody, to przynosi pecha.

– Może na pustyni, ale tutaj? Nie gadaj bzdur. Bierz się do roboty.

Wespazjan właśnie skończył nadmuchiwanie skóry, kiedy zwolnili, dotarłszy do pierwszych drzew porastających brzeg. Petus zeskoczył z konia i położył tarczę na ziemi.

– Przywiążcie bukłaki pośrodku uchwytu tarczy – poradził braciom i Magnusowi – i musicie mieć szyjki mocno zawiązane, bo inaczej powietrze ucieknie.

– Prefekcie! – zawołał Ansigar, wskazując ręką za siebie.

– Na jaja Hadesa! Przeprawili się! – wykrzyknął Petus. – Wszyscy do wody, ale już!

Wespazjan zerknął do tyłu, na wzgórze. Nieco ponad milę od nich pędziło około stu jeźdźców. Najwyraźniej Chattowie podzielili swoje siły.

Wespazjan pospiesznie zacisnął rzemień i zaczął przywiązywać nadmuchany bukłak do uchwytu tarczy, podczas gdy żołnierze, wprawieni w tej umiejętności, już zdążyli wprowadzić do wody swoje wierzchowce, nakłaniając je do przepłynięcia tych pięćdziesięciu kroków dzielących ich od drugiego brzegu. Położyli się brzuchami na drewnianych tarczach, które ze zrobionymi na poczekaniu pływakami utrzymywały ich ciężar na powierzchni mimo ciężkich kolczug. Popłynęli obok swoich wierzchowców, wymachując nogami i trzymając się łęku siodła.

Chattowie pokonali już połowę odległości od brzegu i ich krzyki były coraz bardziej wyraźne.

Wespazjanowi udało się w końcu przymocować bukłak do tarczy i ruszyć za Sabinusem do wody.

– Pospiesz się, Ziri – warknął Magnus, podnosząc gotową wreszcie tarczę; większość żołnierzy już się przeprawiała. Zobaczył, jak niewolnik zawiązuje ciasno rzemień bukłaka. – Ty głupi ciemnoskóry pustynny kmiecie! Przecież nie wylałeś wody. Jak, do kurwy nędzy, to ma pływać?

– Nie zmarnotrawię wody, panie, to nienormalne.

– Walka z konia jest nienormalna, a marnowanie wody nie jest, natychmiast ją wylej.

– Nie, panie.

Magnus zerknął w stronę wzgórz; Chattowie byli niecałe pół mili od nich.

– Nie mamy już czasu; módl się, by sama tarcza utrzymała twoje mizerne ciało. A teraz ruszaj się, zanim włócznia Chattów poślaskocze ci tyłek.

Wprowadził konia do rzeki; Ziri podążył z nim. Pierwsi żołnierze wdrapywali się już na przeciwległy brzeg, kiedy Magnus kładł tarczę na wodzie, a jego koń zaczął go ciągnąć na drugą stronę.

W połowie przeprawy Wespazjan obejrzał się, żeby sprawdzić, czy przyjaciel jest za nim; jeźdźcy Chattów znajdowali się jakieś pięćset kroków od brzegu.

– Szybciej, Magnusie! – zawołał.

– Powiedz to koniowi, nie mnie – odparł Magnus, usiłując zachować równowagę na tej ciągniętej przez konia namiastce tratwy. Ziri znalazł się w wodzie ostatni i miał ogromne kłopoty, by utrzymać się na niepodtrzymywanej bukłakiem z powietrzem tarczy, a te jego nerwowe starania trwożyły konia.

Wespazjan zbliżył się do przeciwległego brzegu; większość żołnierzy wraz z końmi wyszła już z wody i pospiesznie napełniała ponownie bukłaki. Jego wierzchowiec położył uszy, młóćąc potężnymi kopytami wodę; wreszcie sięgnął dna i pognał na brzeg, burząc brązowozieloną wodę i ochlapując twarz Wespazjana. Legat puścił siodło, chwycił tarczę, poczuwszy grunt pod nogami, i ruszył przed siebie, z trudem utrzymując równowagę na śliskim dnie. Sabinus wyciągnął doń rękę i Wespazjan znalazł się na brzegu.

– Dzięki, bracie – wysapał.

Odwrócił się natychmiast, żeby sprawdzić, jak idzie Magnusowi i Ziriemu, kiedy ostatni żołnierze wychodzili już z wody. Ansigar i pozostali dekurioni poganiali ludzi, żeby jak najszybciej dosiadali koni. Magnusowi zostało jeszcze jakieś dziesięć kroków, ale Ziri był dopiero w połowie rzeki; zgubił tarczę i wisiał uczepiony siodła swojego wierzchowca. Zwierzę niespokojnie potrząsało łbem.

Wrzeszcząc i wymachując włóczniami, Chattowie zbliżali się do drzew porastających południowy brzeg rzeki.

– Trzymaj się, Ziri, i machaj nogami! – krzyknął Wespazjan, wskakując na konia w momencie, kiedy pierwsze włócznie zaświstały, wpadając do wody obok

Marmarydy.

– Ruszamy – zawołał Petus – nie możemy na niego czekać.

Magnus wygramolił się z wody.

– Wy jedźcie – oświadczył zdecydowanym głosem – ja na niego poczekam!

– Złapią cię. A możemy oddalić się o milę, zanim oni się przeprawią.

– Powiedziałem, że poczekam! – powiedział Magnus ze zdecydowanym wyrazem twarzy.

Petus zawrócił wierzchowca i ruszył między drzewa za swoimi ludźmi.

Wespazjan spojrział na Sabinusa.

– Jedź z nimi, bracie, ja go przyprowadzę.

Koń Ziriego zaryczał z bólu, kiedy w jego zadzie utkwiła włócznia; zaczął wierzgać tylnymi kończynami. Chwilę później kolejna wbiła mu się w szyję. Zwierzę wydało jeszcze bardziej przenikliwy głos; wierzgało coraz gwałtowniej, burząc wokół siebie zakrwawioną wodę i pozbywając się wreszcie uciążliwego towarzysza.

– Panie! – wrzasnął Ziri, wymachując rękoma i starając się utrzymać głowę ponad powierzchnią.

– Nic już nie zrobisz – powiedział Wespazjan do Magnusa, który patrzył z otwartymi ustami, zaciskając i otwierając bezsilnie dłonie – chyba że chcesz dotrzymać mu towarzystwa.

Głowa Ziriego zniknęła pod wodą, a koń kolebał się obok niego. Marmaryda młócił rękoma na tyle energicznie, że zdołał się wynurzyć i zaczerpnąć powietrza. Z odchyłoną do tyłu głową patrzył oszalałym wzrokiem na Magnusa.

– Panie! Pa... – Zadygotał, kiedy grot włóczni, trafiając go w ciemię, przebił podniebienie, skruszył przednie zęby i utknął w dolnej szczęce, tylko jego zakrwawiony czubek sterczał z podbródka.

Magnus ryknął z żalu i wściekłości, kiedy Ziri, z uniesionymi nad głową rękoma, zaczął pogrążać się w rzece. Wreszcie zniknęły i palce, a z wody wystawało jedynie drzewce włóczni, znacząc obecność Marmarydy w tym tak obcym dla jego spalonej słońcem ojczystej ziemi żywiole.

– Biedny ciemnoskóry matolek – syknął Magnus przez zaciśnięte zęby, wskakując na konia. – Kazałem mu opróżnić bukłak, ale ten głupiec uważał, że marnowanie wody przyniesie mu pecha. – Wbił piętę w bok i ruszył w górę wysokiego brzegu.

Wespazjan podążył za nim, kiedy pierwsi jeźdźcy Chattów dotarli do rzeki.

– Teraz już całą wieczność będzie pił wodę, bo nie chciał zmarnować paru kropli – powiedział.

– To właśnie jest paskudna ironia losu.

Wespazjan i Magnus pędzili co koń wyskoczy, starając się dogonić wyprzedzających ich o ćwierć mili Batawów. Drogę na wschód mieli zagrodzoną przez górujące nad okolicą, dymiące, ufortyfikowane na wzgórzu Mattium. Wiedzieli też, że druga połowa Chattów, jadąca z biegiem rzeki na północ, znajduje się przed nimi. Pozostał im jedyny sensowny kierunek, północny wschód.

Ziemie uprawne w pobliżu głównej osady Chattów były doskonale utrzymane, co zmuszało ich do przeskakiwania dzielących pola niskich murków i żywopłotów.

– Mój koń już długo tego nie wytrzyma – zawołał Magnus do Wespazjana, kiedy po kolejnym skoku jego wierzchowiec ciężko wylądował.

Wespazjan nie odpowiedział, świadomy, że jego koń również powoli słabnie, choć nie tak szybko jak konie niektórych z poprzedzających go Batawów. Aby trzymać się razem, kolumna posuwała się z prędkością najwolniejszego z wierzchowców i teraz znajdowała się niecałe sto kroków przed Wespazjanem i Magnusem. Obejrawszy się, legat zobaczył wyłaniającą się spośród drzew na północnym brzegu rzeki chmurę chackich wojowników, zaledwie milę za nimi.

– Na jaja Hadesa, wcale mi się to nie podoba! – krzyknął Magnus, ręką wymachując w stronę Mattium.

Otwarli się tam wrota i krętą drogą jeźdźcy podąжали na równinę.

Najwyraźniej Petus też ich zobaczył, ponieważ kolumna skręciła nieco bardziej na północ, jednak po kilku chwilach obrała poprzedni kierunek. Wespazjan nie musiał patrzeć, żeby natychmiast się zorientować, co to oznacza. Chattowie, którzy poruszali się z biegiem rzeki, ruszyli teraz na przełaj, żeby odciąć im drogę. Byli otoczeni.

Petus zatrzymał kolumnę i Wespazjan z Magnusem wreszcie mogli do niej dołączyć.

– Nie mamy wyjścia, jak tylko walczyć albo się poddać – powiedział do braci, kiedy zatrzymali się obok niego.

– W takim razie nie mamy żadnego wyboru – odparł Wespazjan. – Jeśli będziemy walczyć, zginiemy wszyscy. Gisbert zaproponował odprowadzenie naszych ludzi z powrotem nad Ren, jeśli się poddamy, i w ten sposób przynajmniej przeżyjemy.

– Batawowie się nie poddają – rzucił ostrym tonem Ansigar – a już szczególnie

Chattom. Taka hańba nie pozwoliłaby nam nigdy wrócić w rodzinne strony.

Petus uśmiechnął się ze smutkiem.

– Cóż, panowie, jak by nie patrzeć, wygląda na to, że czeka nas krwawa śmierć w głębi Germanii. Przyznam, że wolę zginąć w walce niż podczas egzekucji z ręki jakiegoś barbarzyńcy, który nazywa się królem, bo jego pradziad zszedł z gór i skrócił wszystkich innych o głowę. Insygnia, sformuj szyk czołem ku północy, spróbujemy się przebić.

Dekurion zaczął wydawać rozkazy; turmy formowały szyk, podczas gdy Chattowie zbliżyli się z trzech stron na odległość pięciuset kroków.

– Przykro mi, Wespazjanie – powiedział z zadziwiającą szczerością w głosie Sabinus – to moja wina, że zostałeś w to wplątany.

Wespazjan uśmiechnął się do brata.

– Nie, to wina wyzwolenców Klaudiusza bawiących się między sobą w politykę.

– Dranie.

– Wygląda zatem na to, że przepowiednia towarzysząca moim narodzinom była fałszywa. A może zapowiadała, że zginę w wieku trzydziestu jeden lat zaszlachtowany przez Germanów?

– Co? A tak, rozumiem. Tego w ogóle nie przewidziała, więc była całkiem do dupy; zresztą i tak nigdy w nią nie wierzyłem, ale matka się upierała, że właśnie coś takiego oznaczały znaki na tamtych trzech wątrobach.

– Co oznaczały?

Sabinus wzruszył ramionami, popatrzył na trzy zbliżające się oddziały Chattów, którzy właśnie również zwolnili, tworząc szereg.

– No już, Sabinusie, możesz mi powiedzieć, skoro wiadomo, że to były bzdury.

Sabinus przyjrzał mu się szacującym wzrokiem.

– Niech ci będzie. Przy nadawaniu ci imienia ojciec zgodnie ze zwyczajem złożył w ofierze bawołu, świnie i barana. Kiedy wyjął do sprawdzenia ich wątroby, okazało się, że każda ma jakąś skazę. Pamiętam, że wzbudziło to mój entuzjazm, bo uznałem, że Mars cię nie przyjmie. Widzisz, nienawidziłem cię wtedy.

– Dlaczego? Cóż ja takiego zrobiłem?

– Słyszałem, jak ojciec obiecywał Marsowi, że będzie nad tobą czuwał i otaczał troską większą niż mnie; byłem wściekle o ciebie zazdrosny. Jednak te skazy nie oznaczały, że Mars cię odrzuca, absolutnie nie. Każda wątroba miała inny znak i wszystkie, co całkiem niesamowite, były doskonale rozpoznawalne, a teraz wygląda

na to, że każde jednoznaczne przesłanie było niczym innym jak tylko...

– Rzymianie! – usłyszeli bracia za sobą.

Obejrzeni się. Chattowie przybyli z Mattium zatrzymali się w odległości pięćdziesięciu kroków od nich. Na czoło wysunął się jeden mężczyzna.

– A niech to piorun Jowisza! To ten drań, który nas tu doprowadził – wykrzyknął Wespazjan, natychmiast rozpoznając byłego przewodnika. – Musiał przejść przez most.

Mężczyzna zawołał kilka słów w germańskiej mowie.

– Może to jeszcze nie koniec, bracie – oświadczył Sabinus z nadzieją w głosie. – Dzięki mojemu Panu, Mitrze, że nie zdążyłem złamać przysięgi.

Wespazjan rzucił na brata wściekłe spojrzenie, kiedy podjechał do nich Ansigar, by przetłumaczyć.

– Nie chcą, byśmy się poddali, ale proszą usilnie, byśmy udali się z nimi i uniknęli dalszego rozlewu krwi. Możemy zachować broń i honor. To propozycja do przyjęcia.

– A czego od nas chcą? – spytał Sabinus, ignorując irytację brata.

– Ich król pragnie porozmawiać z oficerami. Jesteście zaproszeni do królewskiej siedziby Adgandestriusza.

Wrota Mattium rozwarły się na oścież, ukazując skupisko prostopadłościennych drewnianych chat różnej wielkości, ustawionych bez żadnego ładu i składu. Ściany z wbitych w ziemię grubych żerdzi nie miały okien, a za drzwiami służyły płyty skóry. Z otworów w krytych strzechą dachach unosiły się smugi dymu.

Przewodnik poprowadził kolumnę główną ulicą z ubitej ziemi, idącą zygzakiem coraz wyżej i wyżej. Po obu jej stronach odchodziły w zadymioną dal wąskie uliczki. Nozdrza Wespazjana wypełnił zapach dymu z płonącego drewna i odór fekaliów. Kobiety i starcy wyglądali z zaciekawieniem z domów, a bawiące się na ulicy Inianowłose dzieci umykały spod końskich kopyt.

– Wujkowi Gajuszowi by się tu spodobało – powiedział z zadumą Wespazjan, spoglądając na kilku szczególnie pięknych, choć niezbyt czystych chłopców.

Sabinus wybuchnął śmiechem.

– Może sprawdzimy, czy nie da się kilku dla niego kupić.

– Powinniśmy spróbować. Bo on ciągle powtarza, jak trudno znaleźć takich całkiem świeżych na targach niewolników. A lubi osobiście ich wdrażać do służby.

– Cóż, świeższych od tych tutaj nie znajdzie. Wystarczy splukać brud i będą



gotowi do wdrażania.

Obaj się roześmiali. Wespazjan zerknął na Magnusa, który siedział ponury w siodle, najwyraźniej wciąż niepokieszony.

Wreszcie droga dotarła do otwartej przestrzeni, na której obrzeżach stało kilka kramów, natomiast po drugiej stronie tego placu górował długi dom, wysoki na co najmniej dwadzieścia stóp, z opadającym stromo, krytym strzechą dachem, miejscami porośniętym zielonym mchem.

Przewodnik zsiadł z konia i zwrócił się do Ansigara.

– My mamy zostać tutaj – tłumaczył dekurion – i tu nas nakarmią. Wy trzej spotkacie się z królem.

– Pójdiesz z nami? – spytał Wespazjan Magnusa, kiedy zsiadali z wierzchowców.

– Lepiej nie, mógłbym zepsuć spotkanie, mszcząc się za Ziriego.

– Jak wolisz. – Wespazjan poklepał przyjaciela po ramieniu i razem z Sabinusem i Petusem ruszył za przewodnikiem.

Kiedy wszedł do środka, przez długą chwilę przyzwyczajał wzrok do ciemnego wnętrza. Bliższą połowę wielkiej sali zajmowały cztery rzędy długich stołów z ustawionymi na nich w regularnych odstępach łożowymi świecami, za nimi znajdowało się płonące palenisko, a unoszący się z niego dym, szukając ujścia przez znajdujący się pośrodku otwór, zasłaniał częściowo wysoko sklepiony sufit. Ściany udekorowane były porożami, kłami dzików i rogami turów, na zmianę z tarczami, mieczami i innymi wojennymi akcesoriami. W drugiej połowie sali, za paleniskiem, czterech potężnych wojowników stało na rogach podwyższenia, gdzie na krześle z wysokim oparciem siedział starzec z długą siwą brodą i zebranymi w czub srebrzystymi włosami. Jego głowę zdobiła złota opaska.

– Jestem Adgandestriusz, król Chattów – oznajmił po łacinie bez śladu obcego akcentu. – Podejdźcie.

Przewodnik poprowadził ich do głównego przejścia między stołami; pod ich stopami leżało rozsypane sitowie. W połowie odległości pomiędzy paleniskiem a królem mężczyzna zatrzymał się i złożył pokłon; odprawiony machnięciem sękatą ręką stanął z boku przed zasłoną zszytą z wielu kwadratów czerwonej tkaniny, każdy o boku dwóch stóp.

Starzec przyglądał się przez kilka chwil Rzymianom, wreszcie jego wzrok spoczął na Wespazjanie.

– Zatem to o was Gisbert powiedział, że zostaliście wysłani przez Galbę, by mnie

zabić?

– Skłamał – odparł krótko Wespazjan.

– Wiem... teraz. – Adgandestriusz wskazał ręką młodego przewodnika. – Mielicieście szczęście, że darowaliście mu życie, w przeciwnym razie leżelibyście już martwi na równinie. On się bowiem zorientował, że Gisbert skłamał, kiedy spytaliście, czym jest Mattium; jak mogliście zamierzać mnie zabić, skoro nie znaliście nawet nazwy miejsca, w którym można mnie znaleźć? My, Chattowie, jesteśmy ludźmi honoru. Mówimy prawdę i gardzimy tymi, którzy próbują nas zwieść kłamstwami i półprawdami. Nie zażądam od was rekompensaty za moich zabitych, ponieważ broniliście się przeciwko kłamstwu i moją jest winą, że w nie uwierzyłem; sam za ich śmierć zapłacę i oszczędzę wasze życie.

– Jesteś człowiekiem sprawiedliwym, Adgandestriuszu.

– Jestem królem; muszę być sprawiedliwy, inaczej ktoś inny zająłby moje miejsce. Jednak starzeję się i nie zawsze prawidłowo oceniam sytuację, dlatego właśnie uwierzyłem Gisbertowi. Co prawda dziwiło mnie, że Rzym wysyła ludzi, którzy mają mnie zabić jedynie z powodu jakiegoś nieistotnego wypadu. Kiedyś zaproponowałem Tyberiuszowi otrucie Arminiusza, ale on odmówił, twierdząc, że Rzym nie musi skrytobójczo usuwać swoich wrogów, ponieważ poradzi sobie z nimi w bitwie. Dlaczego więc Rzym miałby teraz posuwać się do skrytobójstwa? – pomyślałem. Potem usłyszałem, że macie nowego cesarza, który jest śliniącym się głupcem, i uznałem, że ten głupiec widocznie ma mniej honoru od swoich poprzedników, więc dałem się nabrać na to kłamstwo. Teraz jednak chcę poznać prawdę. Po co tu przybyliście?

Wespazjan wiedział, że próba zwodzenia Adgandestriusza po tym, jak okazał im swoją łaskawość, byłaby czymś niehonorowym, i dlatego wybrał szczerłość.

– Chcemy odnaleźć orła Siedemnastego legionu, utraconego podczas bitwy w Lesie Teutoburskim.

– Dlaczego właśnie teraz, po tylu latach?

Udzieliwszy prawdziwej odpowiedzi, nie miał już wyjścia, jak tylko wyznać całą prawdę, wobec czego opowiedział królowi o planie wyzwoleńców Klaudiusza, który miał zagwarantować cesarzowi panowanie.

– Brytania, hę? – zastanawiał się głośno król Chattów, kiedy legat skończył. – Czy Rzym nigdy nie będzie miał dość podbojów? – Pytanie było retoryczne, wszyscy obecni bowiem znali odpowiedź. – A więc dlaczego Gisbert starał się was powstrzymać?

– Nie jesteśmy pewni, podejrzewamy jednak, że z powodów politycznych.

– Zapytajmy go o to. – Rzucił kilka słów w germańskim języku i dwóch strażników opuściło salę. Chwilę później wrócili z Gisbertem, który opasany był w klatce piersiowej grubym powrozem. Cisnęli go na sitowie przed podwyższeniem. Adgandestriusz popatrzył na niego z obrzydzeniem.

– Kłamca! – rzucił ostrym tonem.

Gisbert podniósł się na klęczki i pochylił nisko głowę.

– Nie miałem wyboru. Nie pomógłbyś mi, gdybym powiedział prawdę.

– Nie, nie pomógłbym. Nie mam zamiaru wtrącać się w sprawy Rzymu. Legiony stacjonują tuż za Renem i nie zamierzam ich prowokować. Kto cię do tego namówił? Komu w Rzymie zależy na tym, by nie odnaleziono orła, i chce na mnie zrzucić za to winę?

Gisbert pokręcił głową.

– Nie mogę tego powiedzieć.

Strażnik ruszył, by go uderzyć, ale Adgandestriusz powstrzymał go, podnosząc rękę.

– Jeśli nie odpowiesz, zginiesz powolną i bolesną śmiercią i nie udzielę ci łaski miecza... nigdy nie dotrzesz do Walhalli. Jeśli natomiast powiesz, umrzesz szybko, z bronią w ręce.

Gisbert podniósł oczy na króla.

– Mam twoje słowo?

– Tylko kłamca może wątpić w słowo człowieka honoru.

– Zgoda. To był wyzwoleniec Klaudiusza, Kallistos.

– Dlaczego? – spytał Wespazjan, zadowolony, że jego teoria okazała się słuszna.

– Bo Kallistos chce okryć się chwałą za znalezienie orła. Ten wyzwoleniec wie, gdzie on się znajduje, i obawia się, że możecie go wyprzedzić.

– A gdzie się znajduje?

– Nie mam pojęcia, wiem tylko, że posłał po niego swoich ludzi. Moim zadaniem było zabić ciebie i Sabinusa, co sprawiłoby mi przyjemność, bo to on odciął mi dłoń. Utrudniliście mi jednak zadanie, zabierając z sobą aż tylu ludzi. Spodziewałem się tylko garstki, myśląc, że będziecie chcieli przejechać niezauważeni. Wobec tego próbowałem wystraszyć waszych żołnierzy, zabijając po kilku, aż zbliżyliśmy się tutaj i mogłem liczyć na posiłki, wystarczające, by wam zagrozić.

– Ale nie przepawiłeś się z nimi przez rzekę? Gdybyś tak uczynił, zmiażdżyłbyś

nas pomiędzy tymi dwiema siłami.

– Chciałem zabić tylko was dwóch, nie Batawów.

– Zamordowałeś wielu z nich, robiąc to każdej nocy, w drodze do tego miejsca.

– Tak, ale zawsze dopilnowałem, żeby mieli w rękę broń, i nigdy nie zabijałem więcej, niż było konieczne. Germańska straż cesarska rekrutuje się z dwóch plemion osiadłych na zachodnim brzegu Renu, z Ubów i z Batawów. Jestem Batawem i staram się nie zabijać swoich.

Nagle wszystko nabrało sensu i Wespazjan zakonotował sobie w pamięci, że ma do spłacenia dług wdzięczności swojemu trybunowi Mucjanusowi, który poradził mu, by wziął z sobą Batawów z jednostek pomocniczych, a tym samym ocalił mu życie.

Adgandestriusz w zamyśleniu gładził się po brodzie.

– Tym razem mówi prawdę – powiedział w końcu. – Chcesz go jeszcze o coś zapytać?

– Tylko o jedno: skąd Kallistos wie, gdzie ukryto orła?

– Nie wiem dokładnie, ale miało to jakiś związek ze statkami.

– To znaczy?

– Kiedy mnie wezwał, by wydać rozkazy, powiedział, że właśnie dostał wiadomość od kogoś z północy odpowiedzialnego za dostarczenie statków, w jakim celu, nie wyjawiał, i już wie, gdzie jest orzeł.

Wespazjan spojrział na brata.

– Kallistos powiedział, że dowódca na północnym wybrzeżu zajmie się przygotowaniem wystarczającej liczby statków przed najazdem. Wspomniał jego imię. Pamiętasz je może?

Sabinus zastanawiał się chwilę, po czym pokręcił głową.

– Przykro mi, ale wtedy miałem myśli zajęte ważniejszymi sprawami.

– Nic prostszego – oświadczył Petus – wszyscy nad Renem to wiedzą, bo on już od lutego konfiskował statki w dole i w górze rzeki. Chodzi o Publiusza Gabiniusza.

– Zgadza się. To brzmi znajomo, Gisbercie?

– Nie, Kallistos nigdy nie podawał mi żadnych szczegółów.

Wespazjan skłonił głowę przed Adgandestriuszem, dając do zrozumienia, że skończył. Król gestem przywołał jednego z wojowników i wydał rozkaz w swoim języku. Mężczyzna zbliżył się do Gisberta i sztyletem przeciął mu więzy. Gisbert pozostał na klęczkach, podniósł tylko wzrok na swojego kata. Wojownik wyjął

z pochwy miecz i podał mu. Kiedy Gisbert uchwycił broń swoją jedyną dłonią, wojownik wbił mu sztylet w podstawę karku, przebijając się aż do serca. Gdy wyciągnął nóż, z głębokiej rany zaczęła rytmicznie płynąć krew. Gisbert wciąż nie spuszczał wzroku z kata, klatka piersiowa poruszała mu się ciężko, światło w oczach gasło; zanim zamknął powieki, na wargach pojawił mu się cień uśmiechu i padł do przodu na szkarłatne sitowie.

Ciało odciążnięto i król z powrotem skupił uwagę na Wespazjanie i jego towarzyszach.

– Nie wiem, w czym posiadaniu jest ten orzeł.

Dał znak przewodnikowi stojącemu przed czerwoną zasłoną. Mężczyzna chwycił ją pośrodku i rozchylił obie części wiszące na przymocowanych do ściany drągach.

Trzej Rzymianie wciągnęli z sykiem powietrze na widok emblematu legionu, Koziorożca, i pięciu znaków kohort zakończonych uniesioną, otwartą żelazną dłonią. Same zasłony uszyto z proporców, które kiedyś zwisały z poprzeczki sztandaru centurii, a każda reprezentowała osiemdziesięciu dawno poległych legionistów.

– Arminiusz po cichu rozdzielał te trofea, ciągnąc losy, żeby nie wywoływać zawiści pomiędzy plemionami. Każdy król przysiągł nigdy nie ujawniać, co otrzymał. Mnie przypadł srebrny Koziorożec i to, co widzicie. Jeśli chodzi o resztę, tylko Arminiusz wiedział, gdzie są, a on nie żyje.

– Ale jego syn żyje.

Król zmarszczył brwi.

– Owszem i możliwe nawet, że wie. Właśnie to sobie planowaliśmy, zapytać Tumelikusa?

– Myślałem, że jeśli udamy się do Lasu Teutoburskiego, to znajdziemy sposób, by przesłać mu wiadomość. Mamy coś, co należało do jego ojca i mogłoby go zainteresować. – Wespazjan sięgnął za pas po nóż Arminiusza i podał go królowi.

Adgandestriusz wyjął go z pochwy i obejrzał ostrze, przyglądając się bacznie wrytym tam runom, po czym go oddał.

– Tak, to by go bardzo zainteresowało i może nawet wystarczy, żeby się zgodził na spotkanie z wami. Wiem, gdzie przebywa, i wyślę mu wiadomość, że będziecie na wzgórzu Kalkriese w Lesie Teutoburskim podczas najbliższej pełni, za pięć dni. Jeśli zechce, spotka się tam z wami. – Wstał z trudem i podszedł do rzymskich znaków; wyjął ze stojaka Koziorożca XIX legionu. – Dam wam eskortę, żebyście bezpiecznie dotarli na miejsce, a wyjeżdżając stąd, zabierzecie jako mój dar emblemat Dziewiętnastego.

Zdumienie na twarzach Rzymian, kiedy wręczał im Koziorożca, rozbawiło króla.

– Zastanawiacie się, dlaczego wam pomagam? – spytał. – Z tej samej przyczyny, dlaczego będę błagał Tumelikusa, żeby też wam pomógł. Nie ze względu na sztylet ojca, ale za coś znacznie cenniejszego: jeśli ten głupiec w Rzymie dostanie z powrotem swojego orła, a także godło Dziewiętnastego, to na pewno wzmocni swoją pozycję w armii i będzie mógł dokonać zwycięskiego najazdu na Brytanię. Żołnierze z garnizonów nadreńskich i naddunajskich zostaną stamtąd zabrani, a to oznacza co najmniej cztery legiony i ich oddziały pomocnicze mniej przeciwko nam. Strata plemion celtyckich w Brytanii będzie naszym zyskiem. Jeśli Rzym skieruje się na północ, przeciwko tej wyspie, to nie będzie już miał dość sił, by ponownie nam zagrozić. Pomogę wam i modłę się o to, by pomógł wam również Tumelikus, ponieważ czyniąc tak, zagwarantujemy wolność Germanii na całe pokolenia, a może na zawsze.

## Rozdział dziesiąty

To tutaj! – wykrzyknął Magnus, kiedy kolumna, prowadzona przez dwudziestu wojowników Adgandestriusza, zwolniła, bo szlak ściśnięty moczarami od północy i wzgórzem od południa znacznie się zwęził. – Pamiętam, że w tym miejscu Arminiusz schwycił w pułapkę resztkę naszych chłopców po czterech dniach nieustannych walk. Z dwudziestu pięciu tysięcy zostało jakieś siedem czy osiem. Warus parł nieustępliwie na północny zachód w tej przeklętej ulewie, próbując oderwać się od Germanów, ale oni wyprzedzili go skrótami przez wzgórza i czekali wśród drzew rosnących powyżej otwartego terenu. Nasi chłopcy zobaczyli ich dopiero wtedy, jak te włochate dranie zaczęły ciskać w nich włócznie. Pięćdziesiąt tysięcy w niecałe sto uderzeń serca, możesz to sobie wyobrazić?

Wespazjan wyobraził to sobie i przeszedł go dreszcz.

– Coś takiego zatrzymałoby w miejscu każdą kolumnę – powiedział.

– I zatrzymało. Nie mogli przecież wejść na moczary, bo łało bez przerwy od czterech dni. Ci, którzy tego próbowali, po prostu tonęli. Nie mogli ani iść dalej, ani się cofnąć, bo kolejne pięć tysięcy odcinało odwrót, a droga przed nimi została rozkopana i najeżona różnymi przeszkodami.

– Nie mieli więc innego wyjścia, jak tylko walczyć?

– Właśnie. Wkrótce zobaczymy długi ziemny wał, który usypali jako ostatnie umocnienie obronne. Ciągnie się przez ćwierć mili. Ci, którzy przeżyli, przez jakiś czas powstrzymywali dzikusów, ale wtedy pozostałe plemiona, które dotąd przyglądały się tylko zmaganiom, postanowiły do nich dołączyć. Warus zobaczył, że sytuacja jest beznadziejna, i postąpił tak, jak wymagała przyzwoitość. Po godzinie większość naszych chłopców już nie żyła. Tylko garstka umknęła i niektórzy byli naszymi przewodnikami kiedy tam ruszyliśmy; kilku poznałem całkiem dobrze.

– Jak do tego wszystkiego doszło? – spytał Sabinus.

– No cóż, Varus prowadził swoich ludzi z obozu letniego nad rzeką Wizurgis\* do kwater zimowych nad Renem; trzy legiony, sześć kohort pomocniczych i trzy *alae* jazdy, ponad dwadzieścia tysięcy żołnierzy. Tylko kilka kohort na prośbę plemion germańskich zostawiono na miejscu dla utrzymania rzymskiego pokoju. Te przebiegłe dranie zrobiły tak, żeby uśpić czujność Warusa. To im się zresztą udało, bo popadł w samozadowolenie i wysłał nawet legatów i niektórych trybunów na zimę do Rzymu. Myślał, że wszystko wygląda wspaniale, kiedy ruszył na zachód drogą wojskową biegnącą wzdłuż rzeki Lupia. Nazywają ją Długie Mosty, ze względu na liczbę mostów, jakie trzeba przejść. Okropne miejsce. O mało nie podzieliliśmy losu Warusa, kiedy kilka lat później próbowaliśmy tamtędy wracać do domu.

– Przejechaliśmy przez to, co z tej drogi zostało, jakieś pięćdziesiąt mil na południe stąd – rzucił Petus. – Jak to się stało, że tak zbczyli z trasy?

– Arminiusz przysłał fałszywą wiadomość, że na północy wybuchła rebelia. Varus mu ufał, lubił go i dlatego uwierzył, chociaż został ostrzeżony, że Germanin spiskuje przeciwko niemu. Postanowił więc nie dzielić kolumny i pociągnął wszystkich na północ, nawet ciury obozowe i powolne tabory, na tereny, gdzie zalesione wzgórza dzielą głębokie jary, przeklęty kretyn! Pozwolił, by powolną siedmiomilową kolumnę germańscy przewodnicy doprowadzili do doliny leżącej kilka mil na południowy wschód stąd, gdzie roilo się od ukrytych pośród drzew ich pobratymców.

– Nie mieli zwiadowców po bokach? – spytał Wespazjan, spoglądając w lewo, ku szczytowi wzgórza, przez gęste dęby, buki i brzozy, i wyobrażając sobie, jak łatwo byłoby ukryć tam całą armię.

– Taa, według ocalałych niedobitków mieli całe mnóstwo zwiadowców. Kłopot w tym, że byli to ludzie Arminiusza i przeoczyli jakieś pięć tysięcy wojowników na stokach wznoszących się po obu stronach wzgórz i kolejnych dziesięć tysięcy tych, którzy tam przybyli, by poobserwować i włączyć się do walki, jeśli wszystko pójdzie po jego myśli. Varus ochoczo wykorzystywał wojowników z lojalnych plemion Cherusków i Chattów jako zwiadowców. Wszyscy jego legionieści mogli wtedy maszerować w równiutkich rzędach i szeregach, po ośmiu, ramię w ramię. Wyglądało to pięknie i po wojskowemu, tak jak lubią wodzowie.

– Ale było bardzo powolne.

– Właśnie. I cały czas musieli ścinać drzewa, żeby nie trzeba było łamać szyku. Poza tym łało jak z cebra i z zachodu dął silny wiatr, taki, jaki znam tylko



z Germanii. Nasi chłopcy nie mogli zobaczyć czy usłyszeć tych dzikusów, dopóki w sam środek kolumny nie spadł grad włóczni i pocisków z proc. Chłopcy mieli oszczypty wciąż przywiązane do ekwipunku, zapanował straszny bałagan. A potem chmury wrzeszczących dzikusów i żołnierzy naszych sił pomocniczych runęły ze wzgórz i doszło do bardzo bezpośredniego kontaktu, jeśli wiesz, co mam na myśli, i wkrótce kolumna pękła na dwie części.

– A ci, którzy zginęli przy tej drodze, jak tu dotarli? – spytał Sabinus, patrząc na emblemat Dziewiętnastego i zastanawiając się, w którym miejscu padł.

– W końcu zaprowadzili jako taki porządek i Warus kazał połowie chłopców budować obóz, podczas gdy reszta powstrzymywała tamtych drani. Ostatecznie po zapadnięciu nocy napastnicy się wycofali, a Warus pozwolił swoim ludziom na kilka godzin snu w tym deszczu. Potem zniszczyli wszystkie wozy i wymknęli się stamtąd dwie godziny przed świtem. Rano Germanie znaleźli obóz bez legionistów, za to pełen wszelkich zapasów. Cóż, jak możecie sobie wyobrazić, nie byli w nastroju do ścigania naszych, dopóki tego wszystkiego dokładnie nie przetrząsnęli. Tymczasem Warus rwał na północny zachód, żeby przyjść z pomocą Arminiuszowi, bo sądził, że ten atak był próbą powstrzymania go przed dotarciem do źródła rebelii. Nie podejrzewał Arminiusza, napuszony idiota. W armii nigdy takich nie brakowało.

– Powiedziałbym, że zachowywał się honorowo – zauważył Wespazjan. – Przecież nie wiedział, że wiadomość jest nieprawdziwa, więc starał się spełnić obowiązek wobec Rzymu i przyjaciela, podążając na pomoc Arminiuszowi.

Magnus chrząknął i popatrzył z powątpiewaniem na Wespazjana.

– Tak czy inaczej maszerowali cały dzień, stacząc po drodze kilka potyczek, i zbudowali kolejny obóz. Następnego dnia dogoniły ich główne siły Germanów i chłopcy musieli walczyć bez chwili wytchnienia, by nie wpuścić dzikusów do obozu. Rankiem czwartego dnia Germanie się wycofali i tyłu, ilu zostało z kolumny, ruszyło dalej. Jednak dzikusy przez cały czas ich nękały, spychając w tę stronę, i dlatego się tu znaleźli. I to już był koniec; otoczeni nie mieli dokąd uciekać. Jeźdźcy próbowali się przedrzeć, ale bez powodzenia. Warus rzucił się na swój miecz, a chłopcom pozostał wybór pomiędzy śmiercią w walce a samobójstwem. Mogli też się poddać, co oznaczało złożenie w ofierze albo niewolę do końca życia. Tylko garstce udało się wymknąć, mniej niż pięćdziesięciu z tych wszystkich tysięcy. – Magnus zatrzymał nagle wierzchowca. – A niech to! Przecież je wszystkie zdjęliśmy.

Przed nimi, po obu stronach szlaku, wisiały czaszki, przez oczodoły długimi szpikulcami przybite do drzewa.

– Wygląda na to, że Germanie powiesili je z powrotem – zauważył Sabinus.

Magnus splunął z obrzydzeniem i zacisnął kciuk prawej ręki, by odegnać zły urok. Dalej otwierał się widok na piaszczystą polanę, szeroką na dwieście i długą na pół mili, zarzuconą tysiącami ludzkich, zwierzęcych i omszałych kości.

– Zrobili coś więcej... wielu chłopców wykopali z ziemi.

Kolumna posuwała się z chrzęstem przez polanę. Ostatni z budowanych desperacko przez legiony Warusa wał ziemny był miejscami poprzerwany, jakby rozniosły go w tych miejscach setki stóp. W jednym miejscu sterczało z ziemi kopyto martwego muła. Znad rozległego bagna po prawej stronie unosił się fetor stojącej wody, a naprzeciw piętrzyła się kolejna ściana gęstych drzew. To miejsce było idealnym polem śmierci. Choć spośród wiosennych liści dobiegał radosny śpiew ptaków, Wespazjan czuł się nieswojo, zupełnie jakby obserwowały ich tysiące oczu. Starał się nie patrzeć na szczątki od dawna nieżyjących legionistów, jednak niezdrowa ciekawość przeważała. Rozpoznawał poniewierające się piszczele, kości udowe, biodrowe, kręgosłupy, żebra, czaszki i miednice; niektóre były całe, inne porąbane lub pocięte, a na wielu widniały ślady zębów dzikich zwierząt. Tu i ówdzie mijali prymitywne ołtarze z kamienia; leżały na nich kolejne kości, szczenia od ognia.

– Jak dawno temu byłeś tu, Magnusie?

– Pewnie będzie już ze dwadzieścia pięć lat.

– Dziwi mnie, że kości nie obróciły się jeszcze w pył. Zupełnie jakby ktoś o to zadbał.

– Może oni? – rzucił Magnus, kiedy sto kroków przed nimi spomiędzy drzew wyjechało pięciu jeźdźców, zagradzając drogę.

Prowadzący kolumnę wojownicy Chattów podnieśli ręce, dając znak do zatrzymania się. Dwóch z nich podjechało do obcych, zamieniło z nimi kilka słów, po czym wróciło, by porozmawiać z Ansigarem.

Dekurion skinął głową i zwrócił się do rzymskich oficerów.

– To są Cheruskowie. Tumelikus oczekuje nas na szczycie tego wzgórza.

Wzniesienie miało najwyżej jakieś sto pięćdziesiąt stóp wysokości, tak więc, choć było gęsto porośnięte drzewami, szybko znaleźli się na szczycie. Na tych stokach mogło rzeczywiście ukryć się wielu wojowników. Blisko wierzchołka objechali polankę, pośrodku której rosła kępa buków, gdzie przywiązany obok ołtarza biały koń skubał spokojnie trawę. Z gałęzi drzewa zwisały powieszono za długie włosy

trzy głowy, jedna niedawno, pozostałe dwie w różnych stadiach rozkładu; na ziemi natomiast wały się czaszki ze strzępami żywego mięsa i resztkami włosów, stanowiąc świadectwo dojrzewania tych potwornych owoców. Z ołtarza ściekała krew.

Na szczycie las wykarczowano i ich oczom ukazała się absurdalnie rozkwitła łąka, ale najbardziej zaskakującym widokiem był namiot z czerwonej skóry, wysoki na dziesięć stóp, z kwadratową podstawą o boku pięćdziesięciu stóp, stojący obok samotnego prastarego dębu.

Wespazjanowi wystarczyło jedno spojrzenie, by wiedzieć, z czym ma do czynienia.

– Na słodki tyłek Merkurego! – wykrzyknął Magnus. – To musi być namiot dowodzenia Warusa, zagarnięty te wszystkie lata temu, razem z całym porzuconym taborem.

Sabinus również był pod wrażeniem.

– Pewnie zabrali wszystko, co miały z sobą legiony. Nie mogli tego spalić, bo było przesiąknięte wodą.

Pięciu Cherusków zsiadło z koni przy wejściu do namiotu i dało znak jadącym w kolumnie, by uczynili to samo. Ich dowódca, mężczyzna po sześćdziesiątce, wszedł do wnętrza. Gdy po dłuższej chwili wrócił, powiedział coś Ansigarowi, po czym dekurion dał znak Rzymianom.

– Możecie wejść – poinformował ich. – My damy koniom poskubać trawę, kiedy was nie będzie.

– Tym razem pójdiesz? – spytał Magnusa Wespazjan, kierując się ku wejściu.

– Raz kozie śmierć.

Wespazjan rozchylił skórzane poły i znalazł się w krótkim korytarzu o ścianach ze skóry. Wszystko to przypominało namiot praetorium w obozie Poppeusza w Tracji, choć ten tutaj nie miał przenośnej marmurowej posadzki, a jego podłogę zrobiono z gołych woskowanych desek. W głównej części namiotu migotały łojowe świece, oświetlając pomieszczenie gustownie umeblowane porządnie tapicerowanymi sofami, misternie rzeźbionymi krzesłami i stołami. Zdobiły je posążki z brązu, rozstawione pomiędzy ceramicznymi lub szklanymi misami i innymi naczyniami. W głębi stało solidne dębowe biurko założone zwojami. Obok, na krześle kurulnym, siedział rzymski namiestnik w pełnym wojskowym stroju. Wespazjan wiedział, że to niemożliwe, ponieważ ten człowiek był za młody na namiestnika, do tego brodaty.

– Witajcie, Rzymianie – odezwał się mężczyzna – jestem Tumelikus, syn Erminatza.

Wespazjan otworzył usta, ale powstrzymała go podniesiona ręka mówiącego.

– Nie podawajcie mi swoich imion – oświadczył z naciskiem Tumelikus, spoglądając na legata spod wyniosłego czoła bezlitosnymi, przenikliwymi niebieskimi oczyma. – Nie chcę ich znać. Gdy uciekłem z waszego cesarstwa, przysiągłem Donarowi Gromowładnemu, że nigdy więcej nie będę miał nic wspólnego z Rzymianami, a jeśli złamię obietnicę, niech razi mnie piorunem. Jednak na prośbę dawnego wroga, Adgandestriusza, błagałem boga, by dla dobra mojego plemienia i Germanii ten jeden raz przymknął oczy. – Ręką wskazał rozstawione wokół sofy. – Siadajcie.

Wespazjan i jego towarzysze przyjęli zaproszenie i starali się przyjąć pozy na tyle swobodne, na ile pozwalało im ostre spojrzenie gospodarza. Tumelikus miał wydatny, choć wąski nos, noszący ślady wielu złamań. Gęsta, dobrze utrzymana czarna broda niemal sięgała wystających kości policzkowych. Długie wąsy zasłaniały częściowo cienkie, blade wargi. Wespazjan skupił uwagę na zarośniętym podbródku Germanina i zdołał dostrzec dołek. To na pewno był syn Arminiusza.

– Adgandestriusz twierdzi, że potrzebujecie mojej pomocy w odnalezieniu tego ostatniego orła, utraconego przez wasze legiony przy okazji zwycięstwa mojego ojca w Lesie Teutoburskim.

– Zgadza się.

– A niby dlaczego miałbym wam pomóc?

– Bo byłoby to w twoim własnym interesie.

Tumelikus prychnął drwiąco, wychylił się do przodu i wycelował palec w twarz Wespazjana.

– Rzymianinie, w wieku dwóch lat, razem z moją matką Tusneldą, siedłem w pochodzie triumfalnym Germanika, co było dla mojego ojca wielkim upokorzeniem. Potem, upokarzając go ponownie, wysłano nas do Rawenny, byśmy zamieszkali u małżonki jego brata Flawusa, tego Flawusa, który zawsze walczył dla Rzymu, nawet przeciwko własnemu ludowi. Potem, upokarzając go po raz trzeci, kiedy miałem osiem lat, zabrano mnie stamtąd i wyćwiczono na gladiatora. Syn wyzwoliciela Germanii walczył na arenie dla rozrywki motłochu w jakiejś prowincjonalnej mieścinie. Pierwszą walkę stoczyłem jako szesnastolatek, a pięćdziesiąt dwie walki później, cztery lata temu, w wieku dwudziestu lat, zdobyłem swój drewniany miecz wolności. Pierwszym, co zrobiłem jako człowiek

wolny, było wyrównanie rachunków ze stryjem Flawusem i jego żoną, a potem razem z matką wróciłem tutaj, do swojego plemienia. Zważywszy na wszystko, co Rzym mi zrobił, jak mój interes może pokrywać się z waszym?

Wespazjan opowiedział mu o planowanym najeździe na Brytanię i o poglądach Adgandestriusza dotyczących jego konsekwencji.

– A czy możesz zagwarantować, że Rzym nie utworzy trzech lub czterech legionów więcej, by zastąpić te wysłane do Brytanii? – spytał Tumelikus. – Oczywiście, że nie możesz. Rzym ma dość ludzi na wiele więcej legionów i ten starzec powinien być tego świadomy. I jeśli na cesarstwo nie spadnie jakaś okropna plaga, to liczba jego ludności będzie wciąż wzrastała. Coraz większa liczba członków społeczności prowincjonalnych otrzymuje rzymskie obywatelstwo. Przez cały czas wyzwala się niewolników i daje im obywatelstwo; oni sami nie mogą wstąpić do legionów, ale ich synowie już mogą. Jeśli natomiast chodzi o najbliższą przyszłość, to zgadzam się z Adgandestriuszem: najazd na Brytanię zapewni nam bezpieczeństwo mniej więcej na okres jednego pokolenia. – Tumelikus zdjął hełm z pióropuszem i położył na biurku; włosy opadły mu na ramiona. Popatrzył na Rzymian i zaśmiał się ironicznie. – Gdyby nie mój ojciec, nawet jeszcze teraz w Germanii Rzymianin nosiłby ten wojskowy strój. Jednak dzięki niemu to ja mogę go nosić, prowadząc rozmowy z następcami człowieka, do którego należał. Mogę też przyjmować ich w namiocie tego człowieka i częstować przekąskami na jego półmisku.

Klasnął dwukrotnie w dłoń i weszło dwóch brodatych pięćdziesięcioparoletnich niewolników z tacami pełnymi srebrnych kielichów, dzbanów piwa i talerzy z jedzeniem. Kiedy szli wokół pomieszczenia, stawiając jedzenie i trunki na stołach obok gości ich pana, wstrząśnięty Wespazjan zauważył, że mają włosy obcięte krótko, na rzymską modłę.

– Tak, Ajusz i Tyburcjusz zostali pochyceni w tym miejscu trzydzieści dwa lata temu – potwierdził Tumelikus, jakby czytał mu w myślach. – Od tamtej pory są niewolnikami. Nigdy nie próbowali ucieczki, prawda, Ajuszu?

Niewolnik usługujący Wespazjanowi odwrócił się i skłonił głowę przed Tumelikusem.

– Nie, panie – odparł.

– Powiedz im dlaczego, Ajuszu.

– Nie mogę wrócić do Rzymu.

– Dlaczego?

– Z powodu hańby, panie.

– O jakiej hańbie mówisz?

Mężczyzna zerknął nerwowo na Wespazjana, po czym ponownie zwrócił spojrzenie na Tumelikusa.

– Możesz im powiedzieć, Ajuszu, nie przybyli tu po ciebie.

– Hańbie związanej z utratą orła, panie.

– Utratą orła? – powtórzył w zamyśleniu Tumelikus, zwracając spojrzenie niebieskich oczu na starego żołnierza.

Przeżywszy te wszystkie lata w niewoli z brzemieniem hańby na barkach, Ajusz opuścił teraz głowę, tłumiąc szloch.

– A ty, Tyburcjuszu? – spytał Tumelikus, wbijając wzrok w nieco starszego mężczyznę o prawie całkowicie siwych włosach. – Czy ty też żyjesz z poczuciem hańby?

Tyburcjusz skinął tylko w milczeniu głową i postawił ostatni dzban na biurku obok Tumelikusa.

Wstrząs, jaki Wespazjan odczuwał, zmienił się w gniew, kiedy patrzył na dwóch obywateli rzymskich tak sponiewieranych latami upokorzenia i niewoli.

– Dlaczego nie postąpiliście zgodnie z honorem i nie odebraliście sobie życia? – zapytał, z trudem kryjąc pogardę.

Kąciki ust Tumelikusa drgnęły w ledwo dostrzegalnym uśmiechu.

– Możesz mu odpowiedzieć, Ajuszu.

– Arminiusz dał nam wybór pomiędzy spaleniem nas w ofierze, w jednej z tych ich wiklinowych klatek, a przysięgą na naszych wszystkich bogów, że zachowamy życie, by wykonać postawione przez niego zadanie. Nikt, kto wie, jak wygląda składanie ofiary w klatce z wikliny, nie zdecydowałby się na taką śmierć. Wybraliśmy to, co wybrałyby każdy inny na naszym miejscu.

– Nie spierałbym się na ten temat, kolego – wtrącił się Magnus. Usłyszawszy znajomo brzmiący zwrot, Ajusz popatrzył na Magnusa pytającym wzrokiem. – Na myśl o tym, że moje jaja będą skwierczeć w ogniu, zgodziłbym się na wszystko.

– Kiedy one wcale by nie skwierczały – poinformował go Tumelikus, zdejmując pokrywę dzbana. – Zawsze najpierw usuwamy jądra.

– To bardzo uprzejme z waszej strony, nie wątpię.

Tumelikus zanurzył palce w dzbanie.

– Zapewniam cię, że nie robimy tego ze względu na ofiarę. – Wyjął z dzbana

niewielki, białawy obiekt w kształcie jajka i przegryzł na pół. – Wierzymy, że zjadanie jąder naszych wrogów daje nam siłę i werwę.

Wespazjan z towarzyszami patrzyli przerażeni, jak Tumelikus głośno przeżuwa jądro, delektując się jego smakiem. Wrzucił do ust drugą połówkę, podczas gdy obaj niewolnicy, ku zaskoczeniu gości, zajęli miejsca po przeciwnej stronie biurka.

Tumelikus popił przekąskę piwem.

– Po bitwie rozegranej tutaj i po wszystkich bataliach i potyczkach stoczonych przez ojca w naszej walce o wolność mieliśmy niemal sześćdziesiąt tysięcy marynowanych jąder. Mój ojciec rozdzielał je między plemiona. To jest ostatni z dzbanów, jaki został Cheruskom. Trzymam go na szczególne okazje. Może czas już pomyśleć o ponownym ich napełnieniu?

– Musiałbyś być szalony, żeby tego próbować – rzucił gniewnie Sabinus. – Nigdy nie zdołacie przekroczyć Renu.

Tumelikus pokiwał głową.

– Nie zdołamy, jeśli będziemy tak rozbici jak obecnie, a nawet gdyby nam się udało, wykorzystalibyście wszystkie siły cesarstwa, by nas zmusić do odwrotu. Wciąż macie ich wystarczająco dużo, by przejść na tę stronę, i dlatego, wbrew wcześniejszym postanowieniom, z wami rozmawiam. Rozumiem, że jeden z was ma mi coś do pokazania.

Wespazjan podał Tumelikusowi nóż jego ojca.

– Jak wszedłeś w jego posiadanie? – spytał wódz Cherusków, oglądając uważnie ostrze.

Legat wyjaśniał historię noża, podczas gdy Tumelikus przesuwiał palcem po runach. Kiedy Rzymianin skończył, Germanin pomyślał chwilę, po czym skinął głową.

– Mówisz prawdę; właśnie tak opisał to ojciec w swoich pamiętnikach.

– Napisał pamiętniki? – wykrzyknął Wespazjan, niezdolny ukryć niedowierzania.

– Zapominasz, że miał dziewięć lat, od kiedy wychowywał się w Rzymie. Nauczył się czytać i pisać, choć nie aż tak dobrze, skoro musiano wbijać mu to siłą; u nas nie uważa się tego za męskie zajęcie. Ale on miał lepszy pomysł. Podyktował swoje wspomnienia zdruzgotanym nieprzyjaciołom i zachował ich przy życiu, żeby mogli je czytać, kiedy zajdzie taka potrzeba, a właśnie dzisiaj może to okazać się konieczne. Dołączysz do nas, matko?

Za zasłony wyszła wysoka, dumnie wyprostowana siwiejąca kobieta

z najbardziej błękitnymi oczyma, jakie Wespazjan kiedykolwiek widział. Twarz miała pomarszczoną, piersi obwisłe, ale w młodości musiała być piękną.

– Matko, czy należy tym Rzymianom przekazać historię ojca? Co mówią kości? – spytał Tumelikus.

Tusnelda wyjęła z wiszącego u pasa skórzanego woreczka pięć prostych cienkich kostek pokrytych ze wszystkich czterech stron, jak już teraz Wespazjan wiedział, runami. Chuchnęła na nie i przed rzucając ich na podłogę wymamrotała jakieś zaklęcia. Schyliła się i przez kilka chwil dotykała, sprawdzając ich ułożenie.

– Mój mąż chce żyć, by opowiedzieć tym ludziom jego historię. Aby cię zrozumieć, muszą bowiem wiedzieć, skąd się wywodzisz, mój synu.

Tumelikus skinął głową.

– Niech więc tak będzie, matko, zaczynajmy.

Wespazjan wskazał ręką niewolników, którzy we właściwym porządku układali na biurku zwoje.

– Oszczędził tych dwóch, by spisali historię jego życia i głośno ją odczytywali?

– Tak. Kto może lepiej opowiadać historię życia Arminiusza niż *aquiliferi*, których obowiązkiem było noszenie orłów Siedemnastego i Dziewiętnastego?

Słońce już dawno zaszło, kiedy dwóch sędziwych niewolników, niegdyś dumnych chorążych niosących najświętsze insygnia swoich legionów, zakończyło opowieść o życiu Arminiusza własnym ustnym przekazem dotyczącym jego śmierci z ręki pobratymca. Nie było to zwykłe czytanie; Tusnelda dodawała własne wspomnienia, a Tumelikus zachęcał Wespazjana i jego przyjaciół do zadawania pytań Ajuszowi i Tyburcjuszowi na temat bitwy teutoburskiej; kazał też niewolnikom zapisywać ich własne odpowiedzi. Magnus, który podczas służby w V legionie *Audaes* brał udział w bitwie przy drodze Długich Mostów, a następnego roku w bitwach na równinie Idistawisus, gdzie Arminiusz poniósł pierwszą klęskę, podzielił się wspomnieniami z dwóch kampanii Germanika, jednej sześć, a drugiej siedem lat po masakrze, zanim wódz został odwołany przez zazdrosnego albo przerażonego jego sukcesem Tyberiusza. Tumelikus wydawał się szczerze zadowolony z poznania tego nowego punktu widzenia i kazał niewolnikom robić notatki, co posłusznie czynili z oczyma zamglonymi tęsknotą, kiedy słuchali przekazywanych słowami prostego legionisty opowieści o legionach; na ich starzejących się twarzach widać było ogrom wstydu, nie tylko z powodu utraty orłów, ale także późniejszego braku odwagi, by stawić czoło płomieniom, tym samym skazując się na życie bez nadziei i bez odkupienia.



Poza kilkoma pytaniami Wespazjan, Sabinus i Petus siedzieli tylko zasłuchani, popijając piwo i skubiąc ustawione w miseczkach potrawy; wielokrotnie też uprzejmie odmawiali przyjęcia poczęstunku z dzbana Tumelikusa.

Nikt się nie odezwał, kiedy dwaj starcy skończyli, zaczęli zwiajać i wkładać do futerałów zwoje, ani na chwilę nie podnosząc oczu.

Zamyślony Tumelikus spoglądał w kubek z piwem.

– Mój ojciec był wielkim człowiekiem i to dla mnie ogromna strata, że nigdy go nie spotkałem – powiedział. Podniósł oczy na Wespazjana i przeszył go wzrokiem. – Nie po to jednak kazałem wam siedzieć tu ze mną i słuchać jego historii, by poużalać się nad sobą. Chciałem, żebyście jej wysłuchali i zrozumieli motyw moich działań. Zamierzam bowiem postąpić wbrew temu wszystkiemu, co reprezentował.

– Czy to oznacza, że powiesz nam, gdzie ukryto orła? – spytał Sabinus, wychylając się do przodu.

– To akurat jest proste. Mają go Chaukowie, mieszkający na północ stąd, na wybrzeżu. Zrobię jednak coś więcej. Pomogę wam go od nich wydostać.

– Dlaczego miałbyś to zrobić? – spytał Wespazjan.

– Mój ojciec chciał zjednoczyć wszystkie plemiona pod jednym przywództwem i zostać władcą całej Germanii. Wyobraźcie sobie, jaka to byłaby potęga. Dysponowałby wystarczającymi siłami, by zająć Galię, ale czy wystarczającymi, by ją utrzymać? Nie sądzę. Jeszcze nie teraz, kiedy Rzym jest tak mocny. Takie było *jego* marzenie, nie moje. Ja spoglądam w daleką przyszłość, kiedy zacznie się nieunikniony upadek Rzymu, tak jak spotykało to wszystkie imperia przed nim. Obecnie uważam ideę jednej zjednoczonej Germanii za zagrożenie dla wszystkich plemion, które zajmują te tereny. Mogłaby bowiem stać się przyczyną stuletniej wojny z Rzymem, wojny toczonej przez kilka następnych pokoleń, na której wygranie na razie brakuje nam sił. Dlatego nie pragnę być przywódcą zjednoczonych ludów germańskich, choć wielu moich pobratymców o to mnie podejrzewa. Niektórzy nawet aktywnie zachęcają, śląc wiadomości o swoim poparciu, ale inni zazdroszczą mi i chętnie widzieliby mnie martwym, by móc łatwiej zaspokoić własne ambicje. A ja chcę tylko, żeby zostawiono mnie w spokoju, żebym mógł żyć tak, jak nie było mi dane w młodości. Pragnę być członkiem plemienia Cherusków, w wolnej Germanii. Niczego od Rzymu nie chcę, ani zemsty, ani sprawiedliwości. Raz się już od niego wyzwoliliśmy. Byłoby głupotą postawić się w sytuacji, w której ponownie musielibyśmy walczyć o naszą wolność. Jednak Rzym nigdy nie zrezygnuje z odzyskania swojego orła, a skoro znajduje się on na naszej ziemi, przyjdzie go

szukać. Chaukowie go sami nie oddadzą, bo i niby dlaczego mieliby to zrobić; ale fakt, że go mają, naraża nas wszystkich. Chce, Rzymianie, byście go sobie wzięli i wykorzystali do tego waszego najazdu, a nas zostawili w spokoju. Pomogę wam go wykraść, a inne plemiona dowiedzą się, że pomogłem Rzymianom, i już nikt nie będzie chciał albo obawiał się, że zostaną kimś takim jak mój ojciec.

– Czy Chaukowie nie potraktują tego jako wypowiedzenia im wojny? – spytał Wespazjan.

– Owszem, potraktowaliby, gdyby nie inne okoliczności. Wiem, że Rzym zbiera daninę od wielu plemion w Germanii, i wiem również, że ostatnio zamiast złota zażądał od nadbrzeżnych plemion statków. Sąsiedzi Chauków, Fryzowie, są bardzo przywiązani do swoich statków i słyszałem, że aby uniknąć przekazania zbyt dużej ich liczby Rzymianom, sprzedali tajemnicę miejsca ukrycia orła...

– Publiuszowi Gabiniuszowi!

– Zgadza się. Zatem Chaukowie już wkrótce stracą orła, ale jeśli nam się uda go zabrać, zanim przybędzie tam Publiusz Gabiniusz z rzymską armią, to możemy w ten sposób uratować życie wielu Chaukom.

– Jak to daleko stąd?

– Trzydzieści mil na wschód płynie rzeka Wizurgis, która zabierze nas aż na ziemię Chauków na północnym wybrzeżu. Jeśli popłyniemy łodzią, będziemy tam już pojutrze.

---

\* Wezera (łac. *Visurgis*).

## Rozdział jedenasty

Nazajutrz przed południem kolumna wjechała pomiędzy pozostałości niewielkiego rzymskiego portu rzecznego, o którego stan nikt nie dbał od czasu ostatecznego wycofania się legionów na drugą stronę Renu dwadzieścia lat wcześniej. Choć dachy większości parterowych budynków koszar i magazynów były w całkiem niezłym stanie, to ich ściany z cegły kruszyły się pod naporem gęstego ciemnego bluszczu i innych pnących roślin. Okiennece już dawno przegniły i odpadły, a jaskółki śmigwały tam i z powrotem, budując gniazda z błota wewnątrz opuszczonych budynków. Wataha dzikich psów, które wydawały się tam jedynymi poza ptakami mieszkańcami, wlokła się za kolumną po zarośniętej trawą brukowanej ulicy prowadzącej do rzeki.

– Moi ludzie nie spalili tego portu, ponieważ ojciec uważał, że może okazać się jeszcze militarnie użyteczny – wyjaśnił Tumelikus. Zamiast wojskowego stroju Warusa miał teraz na sobie, zgodnie ze zwyczajami swojego ludu, prostą tunikę i spodnie. – Zrobił tu skład, z którego mógł szybko drogą rzeczną zaopatrywać swoich wojowników, ale kiedy go zamordowano, nikogo już to miejsce nie obchodziło.

– Dlaczego? – spytał Wespazjan. – Wciąż mogło być dla was wielce przydatne.

– Taa, można by sobie tak pomyśleć, rzecz jednak w tym, kto miałby zająć się składowaniem, a kto by tego pilnował? – zauważył Magnus. – Domyślam się, że jeśli chodzi o to drugie, to rywalizacja była duża, ale niewielu znalazło się chętnych do zajmowania się tym pierwszym.

Tumelikus parsknął śmiechem.

– Rzeczywiście, doskonale wyczułeś charakter moich pobratymców. Żaden przywódca klanu nie odda swojego ziarna i solonego mięsa pod straż członkom innego klanu, mimo że wszyscy są Cheruskami. Mój ojciec potrafił ich do tego zmusić, ale kiedy go zabrakło, wrócili do starych swarów, jednocząc się wyłącznie w chwili zagrożenia ze strony jakiegoś innego plemienia.

– Łatwo sobie w tej sytuacji wyobrazić, jak niewiele nam brakowało, by podporządkować sobie całą prowincję – powiedział Petus, kiedy mijali rozpadającą

się świątynię z cegły. – Budując to wszystko tak głęboko na terenie Germanii, musieliśmy być pewni, że tutaj zostaniemy.

– Właśnie pewność, czy raczej zbyt pewność siebie była problemem Warusa.

– Już raczej arogancja. – Magnus wykrzywił twarz. – Zwykły napuszony dupek.

Wespazjan miał znowu stanąć w obronie dawno już nieżyjącego wodza, ale stracił ochotę na prowadzenie bezcelowego sporu, kiedy minęli szereg magazynów i znaleźli się na kei. Przed nimi, przywiązane do drewnianych pomostów, czekały cztery kształtne łodzie; długie, z pękatym kadłubem, wysokim dziobem i rufą, z pojedynczym masztem pośrodku i ławkami dla piętnastu wioślarzy po obu stronach.

– Mieszkamy w długich domach, a żeglujemy w długich łodziach – zażartował Tumelikus. – My, Germanie, uważamy to za całkiem niezły dowcip. – Kiedy nikt się nie roześmiał, zmarszczył brwi i obejrzał się na Wespazjana i jego towarzyszy. Wszyscy mieli skonsternowane miny. – O co chodzi? – zapytał.

– O konie, Tumelikusie, chodzi o konie. Jak mamy je zabrać z sobą? – wyjaśnił Petus.

– Nie zabierzecie. Konie są zapłatą za te łodzie.

– To niby jak mamy przedostać się z powrotem na drugą stronę Renu?

– Wypłyniecie na morze i żeglując wzdłuż wybrzeża na zachód, dotrzecie do domu. Twoi Batawowie bez trudu poradzą sobie z tego rodzaju łodziami, dobrzy z nich żeglarze.

– Ale nie ochronią nas przed sztormami – mruknął pod nosem Magnus. – Kiedy ostatnim razem Germanik płynął do Galii, stracił na Morzu Północnym połowę floty. Niektórych nieszczęśników wyrzuciło aż na wybrzeże Brytanii.

– No to poczekajcie już tam sobie na przybycie floty inwazyjnej.

Sabinus popatrzył z kwaśną miną na Tumelikusa.

– Czy to jeszcze jeden germański dowcip, bo ten też nie wydaje mi się szczególnie zabawny? – Nigdy nie żartował z morskich podróży; nie najlepiej je znosił.

– Nie, to tylko taka sobie uwaga. Ale tak właśnie wygląda ten układ: konie za łodzie i jutro jesteście na ziemiach Chauków.

Wespazjan odciągnął na bok Sabinusa i Magnusa.

– Nie mamy wyboru, musimy się zgodzić; jeśli Gabiniusz dotrze do orła przed nami, to Kallistosowi przypadnie cała załoga i Narcyz będzie mógł spokojnie

oznajmić, że Sabinus nie dotrzymał umowy i można pozbawić go życia. Poza tym o wiele łatwiej będzie wracać morzem niż lądem, gdzie będziemy mieć ciągle na karku jazdę Chauków.

– Ale przynajmniej zawartość mojego żołądka zostanie na miejscu.

– Nie bardzo, jeśli jakiś Chauk cię wybebeszy – zauważył Wespazjan. Sabinus zamilkł na chwilę.

– Cóż, bracie, chyba masz rację. W takim razie niech już będą łodzie.

Wespazjan spojrzął na Tumelikusa.

– Umowa stoi – oświadczył.

– A co z moimi końmi? – Petus wycedził przez zaciśnięte zęby. – Ich wyćwiczenie trwa całe miesiące i...

– I zrobisz to, co trzeba, prefekcie – rzucił ostro Wespazjan, po czym ponownie zwrócił się do Tumelikusa. – Zatrzymamy jednak siodła i uzdy.

– Zgoda.

Petus uspokoił się nieco, choć wciąż nie wyglądał na zadowolonego.

– Każę ludziom zsiadać z koni i wchodzić na łodzie – powiedział.

– Uważam, że to doskonały pomysł, prefekcie – odparł Wespazjan, zsuwając się z wierzchowca.

– A ja myślę, że to gówniany pomysł – warknął Magnus, nie kwapiąc się opuścić grzbietu swojego.

– O, ni stąd, ni zowąd spodobała ci się rola jeźdźca, co?

– Bo to już lepsze, niż płynąć wplaw do domu.

Batawowie śpiewali cicho i melancholijnie, w takt powolnego ruchu wiosł. Płynęli w dół rzeki; tarcze wisiały przerzucone przez burty, tworząc drobną ochronę przed jakimś nagłym i niespodziewanym ostrzałem z łuków. Ptaki zajęte swoimi wiosennymi rytuałami pomykały nad wodą i kręciły się pośród soczyście zielonych liści porastających brzegi drzew. Słodka, świeża woń nowej pory roku przebijała od czasu do czasu przez ostry zapach potu Batawów przy wiosłach. Rozebrani do pasa, naprężali mięśnie i mrużyli oczy przed blaskiem słońca, posuwając się na północ, ku morzu, przez płaski na ogół krajobraz.

Wespazjan i Magnus stali na rufie drugiej łodzi, na niewielkim pomoście bojowym, obok Ansigara, który wiosłem sterowym trzymał kurs pośrodku szerokiej na sto kroków rzeki. Przed nimi Tumelikus dowodził statkiem prowadzącym, mając za sternika jednego ze swoich ludzi.

Rzeka płynęła leniwym nurtem i mimo wysiłków załóg tempo nie było duże; Wespazjan zaczynał się niecierpliwić. Zerknął na stojącego obok Magnusa, który nie odezwał się ani słowem, odkąd z ogromną niechęcią rozstał się z koniem i wszedł na pokład, kiedy się już ostatecznie okazało, że nie ma wyboru, jeśli nie chce zostać sam na brzegu.

– Powiedziałeś, że wiesz, jak Germanie ukrywali orły.

Magnus patrzył przed siebie i milczał jak zaklęty.

– Och, przestań, Magnusie, ta łódź nie jest taka zła.

Magnus ocknął się z odrętwienia.

– Nie w tym rzecz, panie. Chodzi o to, że Germania przynosi nam wyłącznie pecha. Kiedy patrzy się na te wszystkie kości Rzymian tam leżące, człowiek zaczyna myśleć, że ta ziemia jest obłożona jakąś skierowaną przeciwko nam klątwą. Gdzieś w tej okolicy, w miejscu zwanym *Idistavisus*, walczyliśmy z armią Arminiusza. Germanie wycofali się, poniosłszy ciężkie straty, i Germanik ogłosił zwycięstwo, ale nie było ono wcale takie oczywiste. Tego dnia straciłem bowiem wielu dobrych towarzyszy. – Spojrzał na wschodni brzeg. – Leżą tam gdzieś, tak jak Ziri leży na dnie rzeki. Wszyscy oni zostali w krainie obcych im bogów.

– Bogowie podążają z człowiekiem wszędzie, jeśli w nich wierzy i oddaje im należną cześć.

– Być może, ale ich moc słabnie w miarę oddalania się od ojczyźnej ziemi. Widać wyraźnie, że tutaj, w Germanii, moc Wotana i Donara, i jakich tam jeszcze bogów mają, jest wielka. Widziałeś tamten gaj po drodze do namiotu Tumelikusa. Te głowy nie wyrosły sobie tak po prostu na drzewach, umieszczono je tam po złożeniu ofiar. Odkąd przekroczyliśmy Ren, spotykały nas same kłopoty, a teraz żeglujemy na spotkanie kolejnych; nawet jeśli złożymy Neptunowi w ofierze całe stado białych byków, by chronił nas przed niebezpieczeństwem na Morzu Północnym, to jak będzie w stanie nas usłyszeć i nam pomóc, jeśli miejscowi bogowie dostają ofiary z ludzi?

– Składanie ofiar z ludzi jest obrzydliwością.

– Powiedz to tym germańskim bogom. Nie sądzę, by się z tobą zgodzili, sądząc po tym, jak dobrze opiekują się swoim ludem. Nie podoba mi się pomysł wykradania orła, a potem wyprawiania się z nim na morze, kiedy przez cały czas będzie nas ścigał gniew germańskich bogów.

– Dlaczego mieliby się gniewać? Nie im odbierzemy, tylko temu plemieniu.

Magnus popatrzył na przyjaciela z miną wyrażającą niedowierzenie.

– Oczywiście, że będziemy go kraść ich bogom. Powiedziałem ci przecież, że widziałem, w jaki sposób Germanie ukrywają orły. Ukrywają je w jednym z tych swoich świętych gajów, poświęconym temu ze swoich krwiożerczych bogów, który w ich mniemaniu potrafi najlepiej go strzec, i nie będą zachwyceni, kiedy go zabierzemy; *jeśli*, po prawdzie, go zabierzemy, bo nie jest to takie proste jak wyjście spośród drzew na polanę i wyciągnięcie z ziemi drzewca ze statuetką orła. O nie, bo czekają na nas pułapki.

– Jakie pułapki?

– Obrzydliwe kurewskie pułapki.

– Jak obrzydliwe?

– Ujmę to tak. Kiedy na ziemi Marsów odnaleźliśmy orła Dziewiętnastego legionu, młody trybun, który chciał zdjąć go z ołtarza, na którym leżał, skończył w dole głębokim na dziesięć stóp. Pal, na który nadział się tyłkiem, przebił go na wylot, tak że ostatnie, co poczuł, to smak własnego gówna.

– To rzeczywiście obrzydliwe.

– Taa, wiem coś o tym. A potem chłopcy, którzy chcieli mu pomóc, skończyli rozbici na miazgę przez dwa rozkołysane głązy, wynurzające się spośród drzew. Widziałeś, jak Chattowie spuścili na nas te rozhuśtane trupy. Oni wszyscy tutaj są świetni w tej robocie.

– W takim razie musimy być bardzo ostrożni. Zresztą i tak ostatecznie odebrano im tamtego orła.

– Właśnie to chcę powiedzieć. Oni zabrali tamtego orła natychmiast na drugą stronę Renu. A tymczasem, jeśli my odnajdziemy tego orła, to zamierzamy przewieźć go morzem. Kiedy Germanik poprowadził nas taką właśnie drogą po swoich odniesionych tutaj zwycięstwach, to w zemście za to germańscy bogowie zesłali na nas sztorm, a resztę już znasz. I teraz właśnie zamierzamy zrobić to samo.

– W takim razie dopilnujemy, żeby złożyć ofiarę właściwym bogom. Przecież Batawowie ich czczą. – Wespazjan zwrócił się do Ansigara, którego twarz wyrażała zaniepokojenie; najwyraźniej słyszał ich rozmowę.

– Kto jest waszym bogiem morza, Ansigarze?

– Jest kilku, którzy mogliby okazać się pomocni, ale uważam, że w tym wypadku trzeba być bardzo konkretnym i złożyć ofiarę Nehalenni, bogini Morza Północnego. Zawsze przed morską podróżą oddajemy się jej pod opiekę. Jeśli w ogóle ktoś może nam pomóc, to właśnie ona.

– A jakie są jej wymagania?

Dekurion podrapał się po swojej gęstej brodzie.

– Im więcej jej ofiarujemy, tym chętniej nam pomoże – oświadczył.

Nazajutrz o świcie w powietrzu wisiała biała mgiełka, a ziemię okrywała cienka warstewka śniegu, przez co płaski krajobraz po obu stronach rzeki robił wrażenie jednobarwnego; drzewa i wszystko inne widoczne w oddali wyglądały na dwuwymiarowe plamy o nieco tylko ciemniejszych odcieniach szarości. Wespazjan usiadł i zamrugał. Żołnierze wokół niego wstawali z wilgotnych koców, narzekając na sztywne i obolałe kości, a ich oddechy parowały w zimnym powietrzu. Z wyjątkiem dwóch godzin późnym popołudniem, kiedy powiało i można było postawić żagle – z wymalowaną głową dzika, godłem Cherusków – wiosłowali nieustannie, prawie do północy, korzystając ze srebrzącego wodę światła ubywającego księżyca. Teraz bolały ich ramiona i nogi po krótkim śnie na twardej, zimnej, pobielonej śniegiem ziemi.

– Bogowie Lodu – poinformował Wespazjana Ansigar, strzepując śnieg z koca.

– Co takiego?

– Każdego roku w maju Bogowie Lodu przez trzy dni przemierzają Germanię, przeprowadzając objazd tej krainy przed powrotem do swoich królestw, gdzie pozostają do czasu, kiedy znowu trzeba będzie sprowadzić zimę na te ziemie. Dopiero kiedy zakończą swoją wędrówkę, duchy wiosny odważają się pojawić.

– Widzisz – powiedział Magnus, raz jeszcze zaciskając w pięści kciuk – oni naprawdę mają dziwacznych bogów.

Pół godziny później, po porządnym śniadaniu złożonym ze zmagazynowanego na łodziach chleba i kiszzonej kapusty, ruszyli w dalszą drogę. Całun mgły, okrywający oba brzegi, a także stłumione wołania ptaków tworzyły złowieszczą atmosferę. Rytmiczne uderzenia wiosł, z delikatnym cichym pluskiem rozcinających powierzchnię wody, i skrzypienie drewnianych kadłubów łodzi wydawały się głośnie w porównaniu z przytłumionymi dźwiękami wokół i Batawowie zaczęli nerwowo się oglądać za siebie, szczególnie że przecinali już, jak przed wypłynięciem poinformował ich Tumelikus, ziemie Chauków.

Wiosłowali przez cały wczesny ranek i choć nieco się przejaśniło, kiedy wschodzące słońce usunęło skutki przemarszu Bogów Lodu, mgła wciąż się snuła.

– Jacy są ci Chaukowie? – spytał Ansigara Wespazjan, żeby choć na chwilę odsunąć od siebie narastający niepokój.

– Podobnie jak ich sąsiedzi, Fryzowie, dzielą się na dwie grupy. Ci z wybrzeża,



gdzie nisko położona ziemia jest mokra i jałowa, pływają po morzu takimi jak ta łodziami, łowią ryby, robią wypadki wzdłuż wybrzeża. A ci w głębi lądu mają bydło i konie, i dobrą ziemię pod uprawy. Zawarli z Rzymem umowy na dostarczanie ludzi do oddziałów pomocniczych i wywiązują się z obowiązku, płacą też niewysokie podatki. Jak większości plemion zależy im na dobrych stosunkach z Rzymem, żeby móc się zajmować zwalczaniem swoich sąsiadów i plemion żyjących dalej na wschodzie, które mają ogromny apetyt na nasze ziemie. Właśnie oni, razem z Longobardami, trzymają na dystans te bardziej dzikie plemiona po wschodniej stronie rzeki Albis.

– Jakie to plemiona?

– Podobno jest ich wiele, ale znamy tylko kilka: Saksonów i Angłów na wybrzeżu, i Swebów wzdłuż Albis, a potem dalej, na wschód, Gotów, Burgundów i Wandali; wszystko to plemiona germańskie. Z większością nie mamy żadnego kontaktu, choć od czasu do czasu grupa Sasów lub Angłów zapuszcza się na południe w celach handlowych lub łupieżczych, a my musimy sobie z nimi radzić, czasami przy użyciu siły.

Ansigar nagle pchnął wiosło sterowe i łódź gwałtownie się obróciła. Wespazjan obejrzał się na łódź prowadzącą. Robiła to samo. Dopiero dalej zobaczył przyczynę tego nagłego manewru. Mgła się unosiła i niewyraźne otoczenie nabierało ostrości; do brzegu przybiły rzymskie okręty i wysypywało się z nich tysiące legionistów.

Publiusz Gabinusz ich ubiegł.

– To główne miasto Chauków – wyszeptał Tumelikus, wskazując dużą, odległą o milę osadę, ciągnącą się wzdłuż grzbietu niskiego wzgórza, jedyne wzniesienia urozmaicającego tę płaską, przyprószoną śniegiem okolicę, wciąż jeszcze spowitą lekką mgłą. – Ich święte gaje są w tych lasach na wschodzie; w jednym z nich jest orzeł.

Wespazjana wyglądającego z ukrycia między drzewami zagajnika nie interesowała ani osada Chauków, ani las. Wpatrywał się w ustawione w szereg, na północny zachód od niego, sześć kohort piechoty pomocniczej, osłaniających legion, który z kolei, za nimi, z kolumny formował się w szyk bojowy. Zwarta grupa Chauków naprzeciw Rzymian wciąż się powiększała, ponieważ dołączali do niej kolejni współplemieńcy z przyległych terenów, odpowiadając na donośny, ponagający dźwięk rogów, rozbrzmiewający wokół i niknący w dali.

– To akurat może okazać się bardzo przydatne, bo odwróci od nas uwagę –

zauważył Wespazjan. Jego oddech zamienił się w parę.

– Pierwszy nasz fart jak dotąd – zgodził się z uśmiechem Magnus. – Wygląda, że przez jakiś czas wszyscy będą bardzo zajęci.

Sabinus również miał zadowoloną minę.

– Powinniśmy się ruszyć, zanim odmrozimy sobie jaja. Jeśli prześlizgniemy się na południe, znikniemy we mgle i dotrzemy do lasu niezauważeni.

Tumelikus nie był tego taki pewny.

– To nie jest wcale idealna sytuacja; Chaukowie zorientują się, po co oni tutaj przybyli, i albo przeniosą gdzieś orła, albo wyślą większe siły do jego obrony.

– W takim razie powinniśmy się pospieszyć – oświadczył Wespazjan, chuchając na zmarzniete dłonie. – Z powrotem do łodzi mamy milę, a do lasu półtorej mili. Przy odrobinie szczęścia w ciągu godziny powinniśmy znaleźć się na rzece z orłem.

Kiedy to mówił, z szeregów Chauków wyłoniła się grupa jeźdźców i zaczęła powoli zbliżać do rzymskiej linii. Jeden z konnych trzymał w górze pokrytą liśćmi gałązkę.

Tumelikus uśmiechnął się.

– Zamierzają pertraktować. To może dać nam trochę więcej czasu. Ruszajmy.

Wrócili zagajnikiem do miejsca, gdzie przyczał się Ansigar z pięcioma turmami Batawów. Szósta została, żeby pilnować łodzi wyciągniętych na brzeg w miejscu niewidocznym dla rzymskiej floty.

– Zostaw tu jeden oddział, żeby osłaniał nasz odwrót – rozkazał Petus – reszta idzie z nami. Mają poruszać się szybko i cicho.

Tumelikus i jego ludzie poprowadzili ich szybkim truchtem przez płaski teren; obie armie na północy przesłonięte były lodowatą mgłą, która jednak z każdą chwilą się przerzedzała wraz z wędrującym w górę nieba słońcem. Co jakiś czas delikatnie się unosiła i można było wtedy dostrzec ludzkie sylwetki, na razie wszystkie tkwiące w miejscu.

Kiedy pokonali niecałą milę, rozległ się potężny krzyk, potem ryk, następnie rytmiczny stukot broni o tarcze, kiedy Chaukowie zaczęli wprowadzać się w przedbitewną gorączkę.

– Wygląda na to, że postanowili jednak się nie zaprzyjaźniać – wysapał Magnus, dysząc ciężko z wysiłku. – Miejmy nadzieję, że siły są wyrównane i będą się łomotać przez dłuższy czas.

Przyspieszyli tempo, z pluskiem pokonując lodowaty strumień, brązowy od

nieczystości spływających z osady Chauków, i gnali przed siebie, trzymając się południowej strony wzniesienia.

*Cornua* niskim dudnieniem przekazywały rozkazy kohortom; odpowiedziało im trąbienie rogów Chauków, służące do straszenia nieprzyjaciół, a nie do informowania towarzyszy.

Coraz więcej ryków i okrzyków wojennych niesło się w powietrzu, aż wreszcie rozległy się te jednoznaczne wrzaski i zawodzenia towarzyszące atakowi barbarzyńców. Kiedy Tumelikus wprowadzał ich do lasu, usłyszeli już szcęk broni i głuchy łoskot tarcz odbijających żelazo. Krótco potem dotarły do nich krzyki rannych i umierających.

– Pierwszy gaj jest prosto na wschód, jakieś czterysta kroków stąd – powiedział Tumelikus, przyspieszając kroku.

Biegli dalej krętą, pokrytą łatami śniegu ścieżką prowadzącą w głąb lasu, przeskakując od czasu do czasu leżącą gałąź dębu czy buku. Za nimi dekurioni starali się prowadzić turmy w kolumnach, po dwóch w szeregu, ale rezultat był mizerny, ponieważ żołnierze nie przywykli do działania jako piechota.

Wespazjanowi serce tłukło się w piersi, nogi zaczynały mu odmawiać posłuszeństwa pod ciężarem kolczugi. Odetchnął z ulgą, zobaczywszy, że Tumelikus zaczyna zwalniać. Petus odwrócił się i dał znak Ansigarowi, który kilkoma ruchami dłoni nad głową rozkazał żołnierzom rozproszyć się, tak jak to robili, siedząc na koniach. Szli dalej między drzewami, pochyleni, uważnie stawiając stopy, włącznie trzymali w pogotowiu.

– Wprost przed nami – wyszeptał Tumelikus, dając znak do zatrzymania się.

Wespazjan spojrzął w głąb zamglonego lasu, z gęstym baldachimem gałęzi i liści nieprzepuszczającym zbyt wiele światła. Wyżej, ponad ich głowami, tam gdzie promienie słońca padały bezpośrednio na pierzchające opary, było jaśniej. Z dala dochodziły ciche odgłosy bitwy, ale wokół nich ciszę zakłócał jedynie śpiew ptaków.

– Zatrzymaj swoich ludzi tutaj – rzucił do Petusa. – Sabinus, Magnus i ja pójdziemy dalej z Tumelikusem i z jego ludźmi, żeby się rozejrzeć w sytuacji.

Petus skinął głową i szeptem powiedział kilka słów do Ansigara, podczas gdy czterej mężczyźni, schyleni nisko, ruszyli przed siebie. Kiedy zbliżyli się do gaju, mgła przeredziła się jeszcze bardziej i Wespazjan zobaczył polanę z czterema sędziwymi dębami pośrodku; pomiędzy nimi, na dwóch wielkich płaskich kamieniach, spoczywała szara granitowa płyta, a obok niej leżał stos drewna. Nad

tym wszystkim, kołysząc się łagodnie, wisiała klatka, wykonana z grubej wikliny, o kształcie ukrzyżowanego człowieka, ale nieco większa.

Magnus splunął i zacisnął palcami kciuk.

– Wygląda na to, że planowali tu złożenie jednej z tych swoich wiklinowych ofiar, za czym tak przepadają.

– Klatka jest pusta – powiedział Wespazjan, przesuając się powoli do przodu. – Widzę światło przechodzące przez szczeliny. Co o tym sądzisz, Tumelikusie?

– Wydaje się, że nikogo tu nie ma. Orzeł musiałby być gdzieś blisko ołtarza, ale brak straży świadczy o tym, że to mało prawdopodobne.

Wyszedł na polanę, ze swoimi ludźmi po obu bokach. Wespazjan, Sabinus i Magnus szli niespokojnie za nimi, kłując ziemię oszczepami, w obawie przed zamaskowanymi dołami z ostrymi palami.

Przeszukanie ołtarza i okolicy okazało się bezowocne. Rozgrzebali stos drewna, poszukali pęknięć w pniach drzew, cały czas świadomi, że gdyby ich pochwycono, skończyliby marnie, płonąc w wiklinowych klatkach.

– Tu go nie ma – oświadczył w końcu Tumelikus – powinniśmy pójść do następnego, pół mili stąd, na północ.

Wespazjan dał znak czekającemu na skraju polany Petusowi, żeby podążył za nimi ze swoimi ludźmi.

Tym razem zachowywali się jeszcze ostrożniej. Turma podzielona na pary prowadziła zwiad z przodu razem z Tumelikusem i jego ludźmi, ledwie widocznymi we wciąż rzednącej mgłę. Zgiełk bitewny przybrał na sile, ale nie zbliżał się do nich. Wespazjan poczuł w nozdrzach świeże zapachy wilgotnej roślinności i ściółki i zatęsknił za przechadzką w lasach jego posiadłości w Kosie, tak dalekiej od tej dziwnej krainy, pełnej niebezpieczeństw i obcych praktyk. W szybko odmówionej modlitwie do Marsa, jego boskiego opiekuna, poprosił, by już nigdy nie musiał wracać do Germanii Wielkiej, jeśli uda mu się ująć stąd z życiem. W głębi jego serca pojawiła się odpowiedź i było to jedno słowo: Brytania. Przeszedł go dreszcz, kiedy wyobraził sobie okropności, jakie czekały rzymskich legionistów na tej tonącej we mgłę wyspie, niemal nietkniętej rzymską cywilizacją, i pierwszy raz przyszło mu do głowy, że on i II legion *Augusta* mogą stanowić część sił inwazyjnych.

Odgonił te niepokojące myśli i stąpał ostrożnie dalej, ciesząc się, że ma po obu bokach Magnusa i Sabinusa. Tumelikus podniósł rękę i przyklęknął na jedno kolano. Wespazjan z towarzyszami zbliżyli się do niego.

– Święte konie – szepnął Cherusk.

Druga polana była większa od pierwszej, a pośrodku niej rósł gaj wiązów. Otaczał go krąg z grubsza ciosanych drewnianych kolumn, wysokich na dziesięć stóp. Stały o krok jedna od drugiej, a na szczycie każdej tkwiła czaszka. Cztery przywiązane konie przeżuwały rozłożone wokół kręgu siano, co przypominało scenę, jaką zobaczyli w drodze na spotkanie z Tumelikusem; również teraz nad drewnianym ołtarzem zwiślały trzy głowy, jedna świeża i dwie w stanie rozkładu.

Kiedy odczekali kilka uderzeń serca, stało się dla nich oczywiste, że tutaj też nikogo nie ma. Konie przyglądały im się z zaciekawieniem, kiedy podchodzili do gaju, po czym zajęły się z powrotem jedzeniem, stwierdziwszy, że intruzi nie przedstawiają zagrożenia ani nie mają dla nich żadnych smakołyków.

Wespazjan przeszedł pomiędzy dwiema drewnianymi kolumnami i wszedł do wnętrza gaju. Na ziemi leżało tam porzrzucanych jeszcze więcej czaszek, w różnych stadiach rozkładu. Kępy włosów przywiązane do gałęzi pokazywały, gdzie głowy wisiały, zanim po przegnicciu skóry spadły.

– Co to za ludzie, Tumelikusie?

– Prawdopodobnie niewolnicy, a czasem też jakiś wojownik z innego plemienia schwytany podczas potyczki. Każdy, kogo biorą do niewoli, wie, czego może się spodziewać. – Cherusk strzepnął śnieg, który przyproszył ołtarz, odsłaniając drewno przesiąknięte wyschniętą już krwią.

– Urocze – mruknął Magnus, dźgając oszczepem ziemię, żeby sprawdzić, czy ostatnio w niej nie grzebano. – Przypuszczam, że wasi bogowie to zlizują.

– Nasi bogowie strzegą naszej wolności, więc, owszem, najwyraźniej doceniają ofiary z ludzi.

– Wolności do walki między sobą – zauważył Sabinus, zaglądając pod spód ołtarza.

– Tacy są wszyscy ludzie; największym wrogiem jest najbliższy sąsiad i dopiero najazd obcych zmienia tego wroga w najcenniejszego sojusznika. Ale ruszajmy dalej, tutaj go nie ma. Jeśli dobrze pamiętam, na wschód stąd mamy jeszcze jeden taki gaj do sprawdzenia.

Zanurzyli się głębiej w las; tutaj miejscami strzępy mgły czepiały się paproci i niższych gałęzi. Chociaż byli coraz dalej od miejsca toczącej się bitwy, jej zgiełk wciąż narastał.

– Wygląda na to, że nasi chłopcy ich spychają – zauważył po kilku chwilach Magnus. – Przynajmniej ten raz muszę rzec, że to niedobrze.

Sabinus wzruszył ramionami.

– Jedyne, co możemy zrobić, to się pospieszyć. Wolałbym, żeby Gabiniusz mnie nie zobaczył z tym, na czym jemu zależy, choć byłaby to zapewne okazja do ciekawej wymiany poglądów.

– Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie – powiedział Wespazjan.

Tumelikus dał im znak, by zamilkli, i pochylił się jeszcze niżej.

– O co chodzi? – spytał szeptem Wespazjan, kucając obok niego.

Cherusk nadstawił uszu i wskazał przed siebie. Słychać było stłumione oparami mgły głosy.

– Są niecałe sto kroków stąd, co oznacza, że pilnują gaju; chyba mamy szczęście.

Wespazjan skinął na Petusa.

– Wyślij przodem zwiadowcę, żeby sprawdził, ilu ich jest.

Chwilę później jeden z Batawów, czołgając się, zniknął we mgłę.

– Zapewne spodziewają się ataku z północy lub zachodu – powiedział cicho Wespazjan, kiedy prefekt do niego wrócił. – Wobec tego się rozdzielimy. Weźmiesz dwie turmy na stronę północną, a ja dwie pozostałe na południową, skąd, jak mam nadzieję, nie spodziewają się zagrożenia. Poczekaj, aż usłyszysz, że atakujemy, a wtedy natrzyj na nich od tyłu.

– Dam ci turmy Ansigara i Kunona, legacie.

Wespazjan kiwnął głową w podzięcie i ponownie wpatrzył się w las przed sobą. Wkrótce wrócił zwiadowca.

– Pięćdziesięciu, może sześćdziesięciu – oznajmił po łacinie z ciężkim germańskim akcentem.

Wespazjan przyjął to z ulgą.

– Dziękuję, żołnierzu – powiedział i zwrócił się ponownie do Petusa. – Poradzimy sobie. Ruszaj, policzymy do pięciuset, żebyś zdążył ich okrążyć.

– Ci ludzie się nie poddadzą – ostrzegł odchodzącego prefekta Tumelikus. – Przysięgli bronić tego orła własnym życiem.

– Jeśli on w ogóle tam jest – zauważył Magnus.

– Och, na pewno jest; bo po co mieliby pilnować akurat tego gaju, a tamtych dwóch nie?

Magnus sprawdził, czy miecz wysuwa się gładko z pochwy.

– Racja.

– No to zbierajcie się i ruszamy – powiedział Sabinus, wstając.

Polanka to pojawiała się, to znikła, kiedy lekki wiaterek zaczął powiewać zasłoną mgły. Chwilami widać było wojowników Chauków, którzy stali na północny wschód od gaju, gdzie rośło jakieś dwadzieścia drzew różnych gatunków.

– Donarze, zaostrz nam miecze i daj zwycięstwo – wymamrotał pod nosem Tumelikus, zaciskając dłoń na amulecie w kształcie młota, który wisiał mu na rzemyku pod szyją. – Razem z tym orłem pozbędziemy się na zawsze Rzymu z naszej ojczyzny.

– I bardzo dobrze – dodał Magnus.

Wzdłuż całej linii mężczyźni postępowali zgodnie z przedbitewnym rytuałem, sprawdzając broń, zaciągając pasy i mamrocząc modlitwy do bóstw opiekuńczych.

– No dobrze, ruszamy – powiedział Wespazjan, po raz kolejny zwróciwszy się do Marsa Zwycięzcy, by w wirze walki pomógł mu nad sobą zapanować. Udało mu się opamiętać w starciu z Chattami, mogło więc udać się i teraz. Dał znak Ansigarowi, po swojej lewej stronie, i Kunonowi po prawej.

Prawie sześćdziesięciu ludzi w dwóch szeregach posuwało się powoli ku skrajowi polany. Przed nimi Chaukowie rozmawiali, ostrzyli na kamieniach miecze i groty włóczni albo prężyli mięśnie i niczego nie podejrzewali, ponieważ zgiełk toczącej się opodal bitwy wciążył wszystko zagłuszał.

Wespazjan podniósł rękę, wziął głęboki wdech, spojrział najpierw w lewo, potem w prawo, by sprawdzić, czy dekurioni go widzą, po czym gwałtownym ruchem skierował ją do przodu. Jak jeden mąż Batawowie wydali swój wojenny okrzyk i wypadli spośród drzew, tarcza przy tarczy i włócznie wymierzone w nieprzyjaciół.

Kompletnie zaskoczeni Chaukowie usiłowali ustawić się w szyku bojowym. Dowódcy wyrzaskiwali rozkazy i popychali ich na właściwe pozycje, gdy tymczasem dobrze wymierzone włócznie przeciwników śmignęły przez luki w niedokończonej ścianie tarcz. Z krzykiem na ustach kilkunastu wojowników padło przebitych na wylot. Wespazjan trafił prosto w gardło ogromnego jasnowłosego mężczyznę, rzucając go na plecy. Jego zboczona krwią głowa spoczywała na drzewcu. Legat ruszył biegiem przez polanę, wyciągając miecz z pochwy.

Utrzymując porządkny szyk, dwie turmy wpadły jednocześnie na zdeorganizowane szeregi Germanów, wbijając guzy uniesionych tarcz w ich twarze i jednocześnie rozpruwając długimi mieczami brzuchy. W kilku miejscach wojownicy zdołali utworzyć mur i walczyli z szaleństwem desperatów, dźgając długimi włóczniami ponad krawędziami tarcz z taką siłą, że groty, przebijając kolczugi, grzęzły w klatkach piersiowych Batawów. Nie wystarczyło to, by zabić, ale

unieszkodliwiało na chwilę wyjącego z bólu przeciwnika, by można było mu zadać śmiertelny cios.

Wespazjan wsparł lewą nogą swoją tarczę i walnął nią jak taranem w płaską drewnianą tarczę młodego wojownika o wykrzywionej wściekłością twarzy, tnąc przy tym długim mieczem. Na prawo Magnus poderwał tarczę, wystawiając jej żelazną krawędź na uderzenie, aż posypały się iskry. Wespazjan mimowolnie się pochylił i jego wzrok padł na wystawioną lewą stopę przeciwnika. Gwałtownym ciosem przebił się czubkiem miecza przez kości aż do ziemi. Krzycząc przeraźliwie, młody Chauk zatoczył się do tyłu, ciągnąc przebitą stopę. Wespazjan nacisnął barkiem na tarczę i rzucił wojownika na plecy. Dał krok do przodu, odrzucił kopniakiem tarczę leżącego i wbił mu zakrwawiony miecz między nogi. Kiedy krzyki Germanina przybrały na sile, pokręcił ostrzem, wyszarpnął miecz wśród bluzgającej krwi i ruszył na kolejnego wojownika, podczas gdy idący za nim Bataw wbił miecz w gardło wijącego się z bólu mężczyzny, uciszając go w jednej chwili.

Wespazjan uderzył mieczem w kolejną tarczę, która wyrosła przed nim, podczas gdy Magnus i Sabinus, spoceni, zbryzgani krwią, rzucając wyzwanie nieartykułowanymi wrzaskami, znaleźli się w jednej linii. Nagle przez całe kłębowisko przetoczył się wstrząs. To turma Petusa uderzyła na Germanów od tyłu. Teraz ich koniec był już tylko kwestią czasu. Batawowie wykorzystali przewagę nad malejącą liczbą Chauków, a ci bronili się coraz słabiej, aż ostatni wojownik osunął się na zrytą ziemię. Jego roztrzaskana czaszka już nie okrywała mózgu.

– Stać i się przeformować! – zawołał Petus, kiedy atakujący z dwóch stron Batawowie znaleźli się naprzeciwko siebie na pobojuwisku.

Dekurioni wrzaskiem nakazali swoim zdyszanim ludziom cofnąć się, zanim w szale walki rzucają się na własnych towarzyszy.

Wespazjan wciągnął do płuc zimne powietrze, starając się uspokoić rozkołatanę serce po tej krótkiej, ale zażartej walce. Czuł ulgę, że udało mu się nie wpaść w bezmyślny szal bitewny.

– Powinniśmy zabrać się do szukania – wydyszał do Tumelikusa.

Germanin skinął głową i odwrócił się w stronę gaju, zabierając z sobą swoich pięciu ludzi.

– Bądźcie gotowi do wymarszu, natychmiast jak wrócimy – polecił Petusowi Wespazjan, podążając z Sabinusem i Magnusem za Germanami.

W gaju rośło dwadzieścia kilka drzew tak różnych gatunków, że musiano je posadzić tu celowo bardzo dawno temu. Tumelikus stał w jego mroku, przy



kamiennym ołtarzu, pomiędzy pradawnym ostrokrzewem i sędziwym cisem.

– Ani śladu orła – oświadczył zdumiony Cherusk. Kopnął z irytacją omszałą zamarzniętą ziemię, która wyglądała na od dawna nieruszaną.

– A w tych drzewach dookoła? – spytał Sabinus.

Po bezowocnym ich przeszukaniu Tumelikus pokręcił głową i oświadczył:

– Tutaj go nie ma.

– Przecież powiedziałeś, że będzie. – Wespazjan niemal wrzasnął, rozczarowany.

– To nie znaczy, że musi być. Może przenieśli go w głąb swojej krainy.

– To po co pilnowali tego gaju?

– Nie wiem.

– Może chcieli, byśmy myśleli, że tu jest – zasugerował Magnus. – W końcu kilkudziesięciu wojowników nie powstrzyma ludzi zdecydowanych zdobyć orła, ale jest to wystarczająca liczba, by ich przekonać do szukania w niewłaściwym miejscu.

Wespazjan zmarszczył brwi.

– To gdzie go mogli ukryć? – zapytał.

– Nie wiem, może powinniśmy spytać kogoś z ich rannych.

– Nic nie powiedzą, żeby nie wiem jak ich straszyć – oświadczył Tumelikus.

– A jakby im zagrozić pobylem w wiklinowym człowieku na tej pierwszej polanie? To mogłoby...

– Oczywiście! – wykrzyknął Wespazjan, odwracając się do Magnusa. – Masz rację. Oni starali się odciągnąć naszą uwagę od miejsca, w którym go ukryli, stawiając strażę nie przy tym gaju. Orzeł jest w pierwszym. Sprawdziliśmy tam wszystko, ale nie zajrzeliśmy do środka wiklinowego człowieka... bogowie, kto by chciał podchodzić do tej okropnej klatki? Wydawała się pusta, bo przeświecało przez nią światło. Ale dlaczego się kołysała, skoro nie było wiatru? Bo właśnie dopiero co ją powiesili. Odeszli tuż przed naszym przybyciem! Orzeł jest tam.

Sabinus trzepnął się dłonią w tył głowy.

– Oczywiście, co za głupota. A już miałem zażartować, że to dobre miejsce, by coś ukryć.

– A to byłoby zabawne? – spytał Tumelikus.

– Raczej nie.

– Tak myślałem. Powinniśmy ruszać.

– Szukamy nie tam, gdzie trzeba – zawołał Wespazjan do Petusa, wychodząc z gaju za Tumelikusem. – Trzeba się spieszyć.

– A co z moimi rannymi?

Wespazjan nie musiał odpowiadać, bo Petus wiedział, co należy zrobić z ciężko rannymi, którzy nie mogli iść o własnych siłach.

Tumelikus poprowadził ich na południowy zachód, wzdłuż tego boku trójkąta tworzonego przez gaje, którym jeszcze nie szli. Mimo mozołu walki Wespazjan nie czuł zmęczenia, tylko ożywienie na myśl o odnalezieniu orła. Dochodzący z prawej strony zgiełk bitewny był coraz bliższy i jeszcze bardziej go poganiał, bo wiedział, że kiedy Rzymianie złamią Germanów, las zarośnięty nie tylko od pokonanych uciekinierów, ale i żołnierzy Gabinusza, szukających tego samego trofeum, za którym on się uganiał.

Po rozrywającym płuća, prawie milowym biegu weszli na pierwszą polankę od przeciwnej niż poprzednio strony. Wiklinowy człowiek wciąż wisiał nad ołtarzem, w samym środku, pomiędzy czterema dębami tworzącymi ten mały gaj. Tumelikus podbiegł do niego i zatrzymał się, spoglądając w górę.

– Widzisz go? – spytał Wespazjan, stając obok.

– Nie, stąd nie widać, musimy go opuścić.

– Trzeba robić to bardzo ostrożnie.

Tumelikus popatrzył na Wespazjana ze zboląłą miną.

– Czy naprawdę sądzisz, że nie wiem, jakie pułapki się zastawia? – Odwrócił się do swoich pięciu ludzi i powiedział im coś w germańskim języku. Używając splecionych dłoni, natychmiast podnieśli najłżejszego z nich na najniższą gałąź. – Odsuńcie się od ołtarza – poradził Tumelikus Rzymianom.

Cofnęli się, rzucając w górę nerwowe spojrzenia, bo liście nad ich głowami zaszeleściły, a wiklinowy człowiek zaczął się obracać i kołysać, kiedy drobny Germanin wspiął się wyżej. Tumelikus zerknął na swojego wojownika i krzyknął do niego, jak się zdawało, ostrzegając go; tamten zwolnił i kołysanie wiklinowej klatki osłabło.

Rozległ się krzyk trwogi i zaskrzypiały napięte powrozy. Tumelikus odskoczył do tyłu.

– Padnij!

Wespazjan rzucił się na ziemię. Skrzypienie przybrało na sile i dwie ogromne kłody, wiszące poziomo i zastrzone na obu końcach, opuściły się z koron drzew. Rozkołysane, zataczały nad polanką łuki, a najniższy ich punkt wypadał na wysokości klatki piersiowej mężczyzny, kiedy mijały boki ołtarza. Skrzypienie stawało się najgłośniejsze, kiedy kłody osiągały najwyższy punkt, maksymalnie

napinając konopne powrozy, zatrzymywały się tam na jedno uderzenie serca, po czym, jak wahadła, zmieniały kierunek.

Wespazjan zauważył, że nie poruszają się oddzielnie, bo w punkcie centralnym, pomiędzy szczytem ołtarza i spodem wiklinowej klatki człowieka, łączy je cienkie żelazne ostrze.

– To ma przeciąć na pół każdego, kto by próbował zdjąć klatkę.

– Milaski z tych Germanów – warknął Magnus, kiedy kłody zakołysały się kolejny raz, ze znacznie już mniejszą siłą.

– A ty pewnie uważasz, że Rzymianie są tacy mili, kiedy krzyżują ludzi albo rzucają ich na pożarcie dzikim bestiom? – zadrwił Tumelikus, podnosząc się.

– Jeszcze jedna słuszna uwaga.

Kiedy kłody zwolniły, Tumelikus kazał swoim ludziom całkowicie je zatrzymać i przeciąć powrozy. Robili to bardzo ostrożnie, odskakując do tyłu po każdym cięciu i spoglądając nerwowo w górę, na korony drzew, ale więcej niespodzianek nie było.

Tumelikus krzyknął do swojego człowieka na drzewie, który odpowiedział mu coś krótko.

– Nie widzi już tam żadnych powrozów poza tymi, które trzymają wiklinowego człowieka – powiedział wódz Cherusków do Wespazjana – możemy więc bezpiecznie podejść. – Wspiął się na ołtarz i wyprostował tak, że jego głowa znalazła się na wysokości kolan wiklinowego człowieka. – Robią klatki tak, żeby dało się otwierać, z oczywistych powodów – powiedział, obejrawszy dokładnie wiklinowe rękodzieło. – Ta się otwiera wzdłuż obu boków. Będziemy musieli ją opuścić.

Wyjął miecz i stając na palcach, końcem klingi zaczął przerywać powróż, a dwóch z jego ludzi stanęło po obu stronach ołtarza, by złapać klatkę, kiedy będzie spadała. Powróż wydawał brzdąkające dźwięki pod ostrzem. Wespazjan zerknął w górę, żeby zobaczyć, do czego był przymocowany, ponieważ wisiał dokładnie w środku pomiędzy czterema drzewami, ale były za wysokie i zasłane u góry resztkami mgły.

Tumelikus wciąż się trudził i poszczególne włókna powroza zaczęły odskakiwać, aż zostało ich tylko kilka. Spojrzał w dół, na swoich ludzi, sprawdzając, czy są gotowi, po czym przesunął mieczem ostatni raz. Górny kawałek powroza pofrunął pomiędzy korony drzew, a wiklinowy człowiek spadł z chrzęstem i wylądował na ołtarzu. Dwaj Cheruskowie przytrzymywali nogi, nie dopuszczając, by się przewrócił, a tymczasem z góry dobiegło ciche metaliczne dzwonienie. Tumelikus zastygł na chwilę, po czym spojrzał w górę; oczy i usta otworzył szeroko

z przerażenia, kiedy przez mgłę przedarło się światło słoneczne, pozwalając dojrzeć pomiędzy liśćmi dwa błyski polerowanego żelaza.

– Donarze! – zawołał ku niebu.

Miecz uderzył z trzaskiem w ołtarz, wygiął się, po czym wyprostował, przewrócił z głośnym brzękiem i spadł na ziemię. Rękojeść miał owiazaną cienkim sznurkiem, którego drugi koniec zniknął gdzieś w górze. Wespazjan rozejrzył się wokół za drugim mieczem i zobaczył, jak uginają się nogi Tumelikusa. Podniósł wzrok. Cherusk miał głowę odchyloną do tyłu, a z jego ust sterczała, niczym krzyż ustawiony na wzgórzu kaźni, rękojeść drugiego miecza. Spływająca krew wsiąkała w bujną brodę Germanina; ostrze weszło w gardło pionowo, rozcinając wewnętrzne organy i zatrzymując się dopiero na kościach miednicy. Wódz Cherusków wpatrywał się nierozumiejącym wzrokiem w rękojeść sterczącą mu tuż przed oczyma. Z jego gardła wydobył się skrzekliwy gulgot i krew buchnęła na głowicę miecza i przymocowany do niej sznurek; Tumelikus zatoczył się na wiklinowego człowieka i znacząc ołtarz krwią, spadł razem z nim na ziemię i odbił się od sprężystej wikliny. Kiedy opadł na nią powtórnie, klatka pękła i ze środka wytoczył się tobołek z miękkiej skóry.

Wespazjan schylił się po niego. Był ciężki. Zerknął na Tumelikusa; światło już gasło w jego oczach, ale Rzymianinowi zdawało się, że zdążył dostrzec w nich błysk triumfu. Sabinus patrzył na brata z niedowierzaniem. Wespazjan podniósł lekko w górę brwi i podał mu zawiniątko.

Sabinus położył je na ziemi i zaczął rozwijać skórę.

– Mamy go – szepnął, odsłoniwszy złocistą statuetkę orła z rozpostartymi skrzydłami i wygiętą szyją.

Miał przed sobą orła z Jowiszowymi piorunami w szponach, tego, którego przeszło pięćdziesiąt lat wcześniej August dał Siedemnastemu legionowi.

Sabinus spojrział na Wespazjana i pierwszy raz w jego oczach pojawiło się szczere braterskie uczucie.

– Dzięki ci, bracie. Zawdzięczam ci życie.

## Rozdział dwunasty

Płomienie szalały na krytych strzechą dachach, a nad osadą unosił się gryzący dym. Niedobitki Chauków wyrwały się z pola bitwy, zmierzając do względnie bezpiecznych lasów, ścigane jak należy przez sześć kohort, podczas gdy reszta żołnierzy zajmowała się łupieniem miasta. Przerażliwe krzyki kobiet świadczyły o popełnianych niegodziwościach.

Wespazjan biegł obok Petusa na czele prowadzącej turmy, z sapiącym Magnusem i Sabinusem za plecami, kierując się z powrotem do pozostawionej przy zagajniku tylnej straży. Ludzie Tumelikusa nieśli na ramionach swojego wodza, w którego sztywniejącym ciele wciąż tkwił miecz; nie chcieli go usunąć bez kapłana, obawiając się, że może być przeklęty. Wespazjana to nie zaskakiwało, bo pamiętał słowa Tumelikusa: „Przysiągłem Donarowi Gromowładnemu, że nigdy więcej nie będę miał nic wspólnego z Rzymianami, a jak złamię obietnicę, niech mnie razi piorunem”.

Przekraczając cuchnący strumień, legat zerknął w prawo, a potem spojrzął z niepokojem na Petusa.

– Popatrz, teraz wracają po tej stronie i muszą nas zauważyć.

Petus, nie zwalniając tempa, podniósł wzrok i jego oczom ukazał się oddział jazdy pomocniczej, wyłaniający się zza zachodniej części osady w pogoni za kilkudziesięcioma jeźdźcami Chauków.

– Może szczęście nam dopisze i zajęci pogonią nie przejmą się naszą obecnością... ostatecznie jesteście Rzymianami.

– Może i jesteście – zgodził się Magnus – ale takimi, którzy biegną w niewłaściwym kierunku.

– W takim razie przestańmy biec – zasugerował Wespazjan.

– Niezły pomysł, bracie – wysapał Sabinus, natychmiast zwalniając kroku.

Wycieńczeni Batawowie na znak Petusa i na rozkaz dekurionów z ulgą zwolnili krok do marszowego, ustawiając się w szyk, który mógł uchodzić za wojskowy.

– Niech Ansigar odbierze ludziom Tumelikusa broń – polecił Petusowi Wespazjan – i niech ich otoczy jedna turma. Wy tłumaczcie im, że chodzi o pozory, które musimy zachować przed dotarciem do rzeki.

Petus uśmiechnął się i zwolnił kroku, żeby znaleźć najstarszego rangą dekuriona.

Sabinus przełożył ciężkie trofeum spod jednej pachy pod drugą.

– Dlaczego tego chcesz? – spytał.

– Wkrótce zobaczysz – odparł brat, patrząc, jak trzy turmy odłączają się od oddziału i kierują w ich stronę.

– Zrozumieli, nie było żadnych problemów – uspokoił ich Petus po powrocie. – I zajmę się tymi gośćmi, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Chyba wiem, co im powiedzieć.

Nie musieli długo czekać; zdążyli zrobić kilkaset kroków, kiedy jazda, ustawiając się w stosownym szyku, przecięła im drogę. Petus zatrzymał Batawów, a sam ruszył do przodu z oburzeniem malującym się na patrycjuszowskiej twarzy.

– Co ty sobie wyobrażasz, dekurionie? – ryknął do dowodzącego oficera ze środkowej turmy. – Jak śmiesz tarasować drogę mojej jednostce, zupełnie jak byśmy byli częścią tej hołoty, którą dopiero co pokonaliśmy? My wykonaliśmy całą ciężką robotę, podczas gdy wy obijaliście się na koniach, robiąc wrażenie, że wszelkie niebezpieczeństwo zagraża ze skrajnej prawej flanki.

Dekurion, gładko ogolony mężczyzna koło trzydziestki, spoglądał nerwowo na Petusa spod cienkiej krawędzi hełmu.

– Przepraszam, prefekcie, ale mój dowódca chciał, bym sprawdził, co tu robicie.

– Nie jego zasrany interes. Proponuję, żeby dalej zajmował się wyłapywaniem małych grupek pobitych Germanów, podczas gdy prawdziwi żołnierze zabiorą ciało tubylczego wodza, którego właśnie wysłali do germańskiego Hadesu, na statek flotylli, żebyśmy mogli się go pozbyć z dala od tego miejsca. A teraz zjeżdż mi z drogi, żołnierzu.

Dekurion spojrział tam, gdzie w środku turmy Ansigara, stali wojownicy z ciałem Tumelikusa.

– Ale przecież jesteście jazdą, prefekcie.

Petus spurpurowiał.

– Jasne, że jesteśmy jazdą, idioto, ale kiedy jazda traci wierzchowce, bo jacyś kurewscy żeglarze łodzi transportowych nie mogą nadążyć za resztą flotylli, to co się wtedy dzieje? Konnica zamienia się w piechotę, dekurionie, tak się właśnie dzieje; a teraz wynocha stąd, bo nie zapanuję nad sobą.

Dekurion zasalutował energicznie.

– Proszę wybaczyć, prefekcie. – Na jego znak oddział się błyskawicznie rozstał.

Petus warknął z irytacją, Ansigar ryknął rozkaz i Batawowie ruszyli, szycząc głośno z jeźdźców, dopóki Ansigar wrzaskiem nie zmusił ich do zatrzymania swoich opinii dla siebie.

Wespazjan odetchnął głęboko, mijając tylne szeregi żołnierzy i wpatrując się w las, odległy już tylko o milę.

– Przypominałeś swojego ojca, kiedy składał raport Poppeuszowi, naszemu dowódcy w Tracji.

Petus uśmiechnął się smętnie.

– Kiedy byłem mały, zabawiał mnie, używając głosu centuriona, bardzo mnie to śmieszyło.

Wespazjan poklepał Petusa po ramieniu, wspominając z rozczeniem niezującego od dawna przyjaciela. Po przejściu kilkuset kroków obejrzał się przez prawe ramię; jeźdźcy galopowali na wschód, by dołączyć do swojego oddziału.

– Czas znowu puścić się biegiem, Petusie – powiedział i ruszył spokojnym truchtem, potem stopniowo przyspieszał, żeby żołnierze za nim nie rozerwali szyku. Równina przed osadą zasłana była trupami i rannymi. Łżej ranni, medycy i noszowi lawirowali między nimi, kierując się do rozstawionych na brzegu namiotów polowego *valetudinarium*.

Wkrótce zagłębili się w zagajnik, zostawiając za sobą płonąca osadę, i z doganiającą ich tylną strażą parli uparcie ku rzece.

Wespazjan zwolnił tempo, wiedząc, jak ludzie są zmęczeni, a czekało ich jeszcze energiczne i długotrwałe wiosłowanie, żeby udało się przemknąć obok rzymskiej floty.

– Chyba dobrze byłoby wziąć tylko dwie łodzie, Petusie, zapełnić je tyloma ludźmi, żeby mogli wiosłować na zmianę i w razie potrzeby odeprzeć atak, jeśli będziemy mieć pecha i tamci ruszą za nami.

Petus wykonał w pamięci szybkie obliczenia i zawołał do Ansigara:

– Czy każda z tych łodzi może wziąć na pokład około siedemdziesięciu ludzi?

– Tak, ale zanurzy się głębiej i będzie wolniejsza.

– W takim razie weźmiemy trzy – zdecydował Wespazjan, kiedy już zobaczyli przed sobą rzekę.

Oddział strzegący łodzi zaczął spychać je z brzegu i spuszczać na wodę.

Ansigar wydał rozkazy dekurionom i turmy jakoś się podzieliły, żeby wypadło po dwie na jedną łódź.

– Co zamierzają ludzie Tumelikusa? – spytał Wespazjan.

Po krótkiej wymianie zdań z Cheruskami Ansigar wrócił.

– Wezmą ostatnią łódź i wrócą na południe, żeby oddać ciało wodza jego matce, legacie.

– Zaledwie pięciu ma sobie poradzić z wiosłowaniem?

– Mówią, że dadzą radę, jeśli będą się trzymać blisko brzegu, z dala od głównego nurtu. – Dekurion poślinił palec i podniósł do góry. – Uważają, że ten lekki północny wiatr przybierze na sile i już niedługo będą mogli postawić żagiel.

Wespazjan popatrzył na palec Ansigara, poślinił własny i podniósł do góry. Palec od strony północnej wydawał mu się odrobinę chłodniejszy.

– To znaczy, że nam nie będzie sprzyjał. Cóż, życz im powodzenia i podziękuj w moim imieniu. – Odwrócił się z powrotem do łodzi Batawów, które były już prawie załadowane, wszedł do wody i po sznurowej drabince wdrapał się na rufę.

Magnus wciągnął go przez nadburcie.

– Czas ruszać, nie sądzisz, panie?

– Już dawno powinniśmy odpłynąć, Magnusie – odparł Wespazjan, kiedy Ansigar wszedł za nim na pokład.

Dekurion ujął wiosło sterowe i wykrzyczał coś, co brzmiało jak ciąg liczb, po czym Batawowie jak jeden mąż zanurzyli wiosła i pociągnęli; łodzie popłynęły w poprzek spokojnie płynącej rzeki.

Wespazjan kazał Ansigarowi wziąć bezpośredni kurs na przeciwny brzeg, żeby jak najszybciej oddalić się od rzymskiej flotylli. Ponieważ prąd spychał ich w dół rzeki, w pewnym momencie znaleźli się niemal naprzeciwko tamtych okrętów, widocznych jak na dłoni w przejrzystym już powietrzu, pięćset kroków na wschód od nich. Jakies dwie mile przed nimi rzeka skręcała na zachód.

– Zwiększyć tempo, Ansigarze – rozkazał Wespazjan, kiedy dekurion odepchnął od siebie wiosło steru, kierując długą łódź na północ. – Jeśli znajdziemy się za tym zakrętem, zanim nas zauważą, to zdołamy umknąć. – Wpatrywał się w rzymskie okręty, głównie biremy, z dziobami wyciągniętymi z wody na półmilowym odcinku brzegu. Nad lśniącą jak lustro, odbijającą słońce wodą niesły się pokrzykiwania załóg.

– Będziemy mieli szczęście, jeśli nas nie zauważą – powiedział Sabinus, przyciskając do piersi zawiniętą w skórę statuetkę. – Pewno właśnie w tej chwili Gabiniusz odkrywa, że dotarliśmy tam przed nim, dzięki Tumelikusowi.



– To kolejny przykład ironii losu, co? Ta kraina to jedna wielka ironia losu – oświadczył Magnus. – Syn Arminiusza wybiera się, żeby ukraść rzymskiego orła, którego zdobył jego ojciec, żeby móc oddać go Rzymowi, w ten sposób łamiąc przysięgę złożoną Donarowi, za co ten poraża go z góry, za pomocą germańskiej zasadzki. Wszystko dlatego, że trzech byłych niewolników chce utrzymać przy władzy swojego pana i siebie samych, a jednocześnie walczą między sobą, bo każdy chce się okazać najbardziej użyteczny dla śliniącego się głupca.

Wespazjan nachmurzył się.

– Rzeczywiście, to wszystko każe człowiekowi się zastanowić, jakie to rządy czekają nas za panowania Klaudiusza.

– Pewnie takie same jak zawsze.

– Nie, za każdego cesarza jest inaczej. Augustowi udawało się rządzić razem z senatem bez sprawiania wrażenia, że tak naprawdę on decyduje o wszystkim, choć każdy dobrze wiedział, jak jest. Tyberiusz nie był dość subtelny, by tak rzecz rozgrywać, więc te relacje zostały zerwane, ponieważ żadna ze stron nie wiedziała, czego chce druga. Kaligula zagarnął całą władzę dla siebie, rządząc przy aprobachie motłochu, podczas gdy senatorowie płaszczyli się przed nim, ze strachu przed grożącymi im egzekucjami za każdym razem, kiedy cesarzowi zabrakło pieniędzy. A teraz mamy cesarza figuranta, który nie ufa senatowi, bo go nie poparł, za to pozwala sobą manipulować trzem greckim wyzwolencem, którym z kolei nikt nie może zaufać... choć jednego z nich osobiście nazwałbym swoim przyjacielem. Raczej wygląda na to, że rządzi cesarstwem dla własnych korzyści.

– Właśnie dlatego trzymam się z dala od polityki – zauważył Magnus. – Gównu mnie obchodzi, jak czy kto nami rządzi, byle tylko zostawili mnie w spokoju w tym moim kąciku Rzymu, co zresztą robią, bo mam ich gdzieś. Gdybyś ty miał takie samo podejście, to *ja* miałbym o wiele spokojniejsze życie, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Sabinus parsknął drwiąco.

– Takie podejście pasuje do ludzi z twojej warstwy, ale jak senator może uniknąć wciągnięcia w politykę?

– Wystarczy, że przestanie być senatorem, a jeśli jego godność mu na to nie pozwala, to może przynajmniej przestać uczęszczać na posiedzenia senatu i starać się o kolejne prestiżowe stanowisko.

– Jak w takim razie człowiek może uzyskać jakieś wpływy?

– Ja mam duże wpływy w swojej okolicy.

– To dlatego, że jesteś zwierzchnikiem bractwa rozstajnych dróg.

– No właśnie, jestem na szczycie w swoim, eee... fachu czy sferze działania, że się tak wyrażę, i na niczym więcej mi nie zależy. Natomiast wy, panowie, kręcicie się w kółko, bawiąc się w politykę w dziedzinie, którą już dobrze znacie, i nie możecie dotrzeć na szczyt, bo pochodzicie z niewłaściwego rodu, więc jaki to ma sens?

– Chodzi o to, by zostać konsulem – wyjaśnił Wespazjan. – Byłby to dla naszej rodziny zaszczyt.

– Byłby, ale dwieście lat temu, bo co to niby znaczy obecnie? Nic, poza tym, że poprzedza cię dwunastu liktorów i masz szansę wyjechać i porządzić w jakiejś prowincji, na jakimś zadupiu cesarstwa, z dala od rozrywek Rzymu. Przyznajcie, panowie, że sprawy mają się całkiem inaczej niż za dawnej republiki, a wy tylko pomagacie je pogorszyć.

– To lepsze niż siedzieć na gospodarstwie, gdzie jedynym ważnym wydarzeniem jest sprawdzenie, czy tegoroczne wino będzie lepsze od zeszłorocznego – stwierdził Sabinus.

Wespazjan nie był tego taki pewien.

– No nie wiem, Sabinusie, właśnie to mnie interesowało, kiedy byłem młody, a i teraz od czasu do czasu zastanawiam się, czy powrót do tego zajęcia nie byłby dobrym pomysłem.

– Gadanie, szybko byś się znudził.

– Czyżby? Już sam nie wiem – powiedział Wespazjan, oglądając się na rzymską flotyllę. Uwagę jego zwrócił ruch na brzegu, gdzie właśnie pojawiła się duża grupa jeźdźców. Prowadził ich mężczyzna w stroju wodza. Spiżowy pancerz i hełm połyskiwały w słońcu, a wiatr wydymał czerwony płaszcz. – No ładnie! To na pewno Gabiniusz i ten oddział jazdy, którego dekurion nas przepytował. Chyba dowódca się zorientował, że nie miał pod swoją komendą żadnej spieszonej konnicy. – Dostrzegł, że mężczyzna w czerwonym płaszczu osłania ręką oczy i patrzy w ich stronę, a potem usłyszał jego krzyk. W tej samej chwili żeglarze na najbliższych mu biremach poderwali się do działania, przygotowując okręty do pogoni. – Możemy płynąć szybciej, Ansigarze?

– Ryzykujemy szczipienie wioseł.

– To podejmij to ryzyko, bo inaczej nas dogonią.

Na krzyk dekuriona Batawowie zwiększyli tempo i Wespazjan poczuł, że łódź nieco przyspiesza, zauważył też, że powierzchnia rzeki nie jest już gładka jak lustro; północny wiatr zaczął przybierać na sile. Nie przejął się tym ostatnim spostrzeżeniem, wiedząc, że wiatr będzie przeszkadzał ścigającym biremom tak samo

jak uciekającym długim łodziom.

– Na razie spuścili na wodę tylko jeden okręt – zauważył Magnus, kiedy pchana przez wielu ludzi birema zsunęła się do rzeki. – Jak to się dzieje, że zawsze mamy okazję podpaść naszej własnej flocie? Przypominam sobie, jak strzelali do nas w Mezji.

– Nędzne robactwo – mruknął pod nosem Sabinus. Jak wszyscy, którzy służyli pod orłami, miał bardzo złą opinię o flocie wojennej.

Wespazjan patrzył z napięciem, jak pięć kolejnych okrętów zakołysało się na wodzie, złowieszczo najeżając się wiosłami.

Nim długie łodzie zdołały dotrzeć do zakrętu, wszystkie sześć dwurzędowców podążało za nimi, w odległości niecałej mili.

Ansigar krzyknął do swoich ludzi i ci, którzy jeszcze nie wiosłowali, zastąpili piętnastu towarzyszy. Wespazjan nie poczuł żadnego przyspieszenia, wiedział jednak, że częsta zmiana wiosłarzy jest jedyną szansą na utrzymanie tempa i może nawet odskoczenia od birem, które takiej możliwości nie miały. Już po raz trzeci tego dnia oddał się pod opiekę Marsa, prosząc, by go chronił i nie pozwolił odebrać tej rzeczy, której zdobycie kosztowało ich tyle wysiłku.

Zakręt był coraz bliżej, a zmordowani Batawowie, którzy w ciągłym pośpiechu nie mieli czasu zdjąć kolczug, oblewali się potem. Ansigar, z brodą spryskaną śliną, z płonącymi niebieskimi oczyma wbitymi w swoich ludzi, zachęcał ich do jeszcze większego wysiłku. O jedną długość za nimi dwie pozostałe łodzie też utrzymywały to mordercze tempo.

Rzeka zaczęła delikatnie skręcać na północny zachód i Wespazjan, obejrawszy się, poczuł odrobinę nadziei. Biremy zdawały się być nieco dalej, więc może mieli jeszcze szansę wygrać ten wyścig. Krzyk Ansigara, kiedy wypływali zza zakrętu, zmusił go do odwrócenia głowy.

– Na wielki tyłek Junony! – zawołał Magnus. – A to co za pioruństwo?

Wespazjan oniemiał. Niecałe ćwierć mili dalej zobaczył cztery prostokątne żagle z wizerunkiem wilka nad smukłymi kadłubami długich łodzi o wysokich rzeźbionych dziobach. Roilo się na nich od wojowników. Wespazjan spojrzał na Ansigara; pytania były zbędne.

Dekurion zagryzł wargę.

– Wilk Chauków – wyjaśnił. – Klany Chauków z wybrzeża przybyły wspomóc swoich kuzynów z głębi łądu.

– Pozwolą nam przepłynąć? – spytał Sabinus z lekką paniką w głosie.

– Wątpię, a wyminąć ich nie zdołamy, bo wiatr jest przeciwko nam. Zatrzymają nas, a kiedy po naszym akcencie zorientują się, że jesteśmy Batawami, założą, że stanowimy część sił Gabinusza, która zabiera łupy w granice cesarstwa, i wtedy... – Ansigar nie musiał kończyć zdania; wszyscy wiedzieli, co się wtedy wydarzy.

– Ale chyba zawrócą i uciekną, jak zobaczą biremy – powiedział Wespazjan, spoglądając do tyłu – przecież nie mają z nimi szansy.

Ansigar pokręcił głową.

– Każdą z tych łodzi prowadzi wódz klanu. Jeśli nie dojdzie do honorowego starcia z nieprzyjacielem, to po powrocie do domu męczyzna przestanie być wodzem, jeśli w ogóle wróci.

– W takim razie mamy tylko jedno wyjście, poczekać na dwurzędowce. One wciągną Chauków w walkę, a nam może uda się w tym chaosie jakoś przebić. – Wespazjan odwrócił się znowu do swoich towarzyszy. Żaden z nich nie miał lepszego pomysłu. – Zatem do tyłu, Ansigarze.

Na rozkaz dekuriona Batawowie jednocześnie zanurzyli wiosła w wodzie, spowalniając łódź, podczas gdy pięć łodzi z flotyli Chauków oderwało się od pozostałych i ruszyło ku nim. Łódź Petusa stanęła burta w burtę z łodzią Wespazjana i legat szybko wyjaśnił prefektowi, co zamierza. Zanim zdołał przekazać ustalenia Kunonowi z ostatniej łodzi, wiosła pracujące teraz w przeciwną stronę zaczęły ich cofać, a zza zakrętu wyłoniła się już pierwsza birema.

– To ich nieźle zaskoczyło – zachichotał Magnus, kiedy z łodzi Chauków dobiegły ostrzegawcze krzyki.

Znajdujące się pośrodku nurtu pięć długich łodzi zmieniło kurs i dołączyło do tych, które już wcześniej płynęły ku Batawom.

Rzymska flotylla zrównała się z łodziami Batawów i sto kroków od nich zaczęła formować szyk bojowy. Przerażliwe dźwięki piszczałek nadawały jeszcze szybsze tempo wioślarzom, podczas gdy załoga zajęła się ładowaniem niewielkich balist, znajdujących się na dziobach wszystkich dwurzędowców.

Wespazjan obserwował, jak zbliżają się do Chauków.

– Wygląda na to, że chwilowo o nas zapomnieli. Ansigarze, czas ruszać, będziemy walczyć razem z nimi.

Trzy długie łodzie ruszyły gwałtownie, podpływając pod kątem do ścigających ich jeszcze niedawno okrętów. Wespazjan, Sabinus i Magnus pochwycili tarcze i weszli na mieszczącą się na dziobie platformę bojową, zabierając po drodze kilka włócznie z umieszczonej pod masztem skrzyni na broń, w której Sabinus złożył obok

Koziorożca odnalezionego orła. Dołączyła do nich uwolniona przed chwilą od wiosła grupa Batawów; zlanii potem, z zaciętością malującą się na twarzach prężyli muskuły i ważyli w rękach broń.

Seria głośnych trzasków z prawej strony oznajmiła pierwsze strzały artylerii oddane z maksymalnej odległości czterystu kroków. Tuż za łodziami Chauków wystrzeliło w górę sześć fontann wody.

– Celujcie jak należy, dupki! – wrzasnął zupełnie niepotrzebnie Sabinus do ładujących ponownie maszyny załóg. Dochodzące z każdej biremy miarowe stęknienia stu dwudziestu ludzi przy wiosłach, krzyki oficerów floty i piszczałki nadające tempo wiosłarzom i tak zagłuszyły jego słowa.

Przeciwników dzieliło od siebie niecałe trzysta kroków; Chaukowie wysunęli wiosła, by nabrać większego pędu. Wespazjan widział ich teraz wyraźnie. Mimo pełnej obsady wiosła wciąż mieli co najmniej dwudziestu wojowników gotowych do walki; okrzykami zagrzewali wiosłarzy do większego wysiłku.

Nastąpiło sześć kolejnych brzękliwych trzasków i Wespazjan zobaczył, jak w żaglu zbliżającej się łodzi Chauków powstaje dziura, a głowy trzech wojowników stojących na platformie po prostu znikają. Bezgłowe ciała, tryskając krwią, stały wciąż wyprostowane w panującym tam ścisku, ponieważ tyłu wojowników rwało się do zderzenia ze zniechęconymi najeźdźcami. Jedna z łodzi Chauków, znajdujących się pośrodku linii, zaczęła się przechylać. Ludzie uwijali się, kubłami i tarczami wylewając wodę, która dostawała się przez dziurę w kadłubie. Wiosłarze nieugięcie robili swoje.

Kiedy odległość zmniejszyła się do stu pięćdziesięciu kroków, oddano ostatnią salwę z balist. Ponieważ na dziobach birem maszyny te stały o dziesięć stóp wyżej od celu, pochylono je tak, by trafiać ciężkimi kamieniami w kadłuby długich łodzi. Kamień przeorał bok jednej z nich, miażdżąc wielu wiosłarzy. Kilka wiosła zastygło pod dziwnymi kątami. Ciała rzucone na plecy siedzących przed nimi wiosłarzy wytrąciły ich z rytmu, wiosła zabitych zwisły zanurzone w wodzie, łódź ustawiła się ukosem, stając na drodze sąsiedniej i wbijając się w jej środek. Wiosłarze zostali wyrzuceni do tyłu przez własne wiosła, kiedy uderzył w nie mocny drewniany dziób. Głośniejsze od wiwatów rzymskich żołnierzy były krzyki wojowników, którym pękały żebra i trzaskały kości ramion. Jednak pozostałe osiem łodzi było coraz bliżej.

Teraz z pokładów birem łucznicy wypuścili chmurę strzał w kierunku zbliżających się okrętów, ale wojownicy podnieśli w górę tarcze, osłaniając siebie

i wiosłarzy.

Wespazjan poluzował długi miecz w pochwie i poczuł ucisk w żołądku, żałując, że nie ma krótszego, używanego przez piechotę miecza, ponieważ wiedział, że czeka go walka w ścisku. Miał przed sobą dwie długie łodzie, płynące prosto na statki Batawów; były na tyle blisko, że widział rozgorączkowane twarze mężczyzn na dziobach. Birema po jego prawej stronie była nie dalej niż w odległości pięciu długości wiosła, a przed jej spiżowym taranem pieniła się woda.

– Rzucać! – krzyknął Wespazjan, ciskając włócznię w chwili, kiedy mógł już zobaczyć wyraźnie białka oczu przeciwników.

Batawowie, trzymając tarcze przed sobą, na rozkaz Ansigara rzucili pierwszą serię włóczni; wiosłarze wciągnęli wiosła, chwycili tarcze i włócznie i ustawili się wzdłuż burt. Łódź teraz już tylko sunęła samym rozpędem. Ansigar skierował ją prosto w lukę pomiędzy dwiema nadpływającymi łodziami Chauków, którzy też wciągnęli wiosła. Pierwsze ciskane w odpowiedzi pociski odbiły się ze stukotem o tarcze i dziób łodzi Wespazjana, kiedy legat naszykował drugą włócznię, jednak Batawowie zachowali dyscyplinę, utrzymali mur z tarcz i nie było słyhać żadnych krzyków bólu. Z lewej strony Wespazjana ludzie Petusa i Kunona z rykiem wyrzucili swoje włócznie; kilku nieprzyjacielskich wojowników runęło do wody i natychmiast zniknęło, pozostały po nich tylko szkarłatne plamy na powierzchni.

– Rzucać! – krzyknął znowu Wespazjan, kiedy odległość wynosiła już tylko dziesięć kroków.

Drugi grad pocisków dotarł do Chauków, wyrzucając kolejnych ludzi do rzeki. Pozostali szykowali się do bezpośredniego starcia długimi oszczepami. Słyszając ogłuszający trzask miażdżonego drewna po prawej, Wespazjan zerknął w tamtą stronę i zobaczył, jak nadziana na taran biremy długa łódź spychana jest do tyłu. Wojownicy Chauków skakali do wody i przytrzymując się wiosel dwurzędowca, przez otwory w burtach wbijali groty oszczepów w siedzących w środku wiosłarzy, usiłowali też wspinać się po kadłubie na pokład. Łucznicy, wychylając się za burtę, bez większego trudu strącali ich strzałami do wody.

Ansigar, mając nadzieję prześlizgnąć się pomiędzy dwiema łodziami, utrzymywał stały kurs, ale sternicy Chauków znali swój fach; w ostatnim momencie obie łodzie skrzyły w prawo, kierując się wprost na łodzie Wespazjana i Petusa, i tylko Kuno mógł ich minąć.

– Trzymać się! – wrzasnął Wespazjan, kiedy zderzenie było już nieuniknione.

– To już przesada! – wymamrotał pod nosem stojący obok niego Magnus,

chwytając się za poręcz nadburcia. – Najpierw konie, a teraz długie łodzie, czy tu niczego nie robi się normalnie?

Uderzenie w prawą stronę dziobu wstrząsnęło całym statkiem, rzucając na kolana kilku niewystarczająco mocno uczeplonych Batawów. Kiedy zaczęli się obracać, wyrzucone z całych sił oszczepy trafiły w ich tarcze. Wespazjan ciął mieczem drzewce sterczące w tarczy Magnusa, a za nim Ansigar pogonił kilku swoich ludzi do wiosł, żeby opanować statek. Jeden z żołnierzy krzyknął i padł do tyłu, szarpiąc tkwiący w jego szczęce zakrwawiony grot w kształcie liścia. Zanim wypełniono powstałą lukę, dwóch wojowników Chauków przeskoczyło na pokład, wymachując uniesionymi wysoko oszczepami, podczas gdy ich towarzysze nacierali na Batawów. Coraz więcej wrzeszczących, rozochoconych Chauków wskakiwało na pokład, spychając obrońców z platformy bojowej do tyłu, pomiędzy ławki wiosłarzy. Chaukowie sunęli za nimi, tłukąc w ścianę z tarcz.

Wespazjan, między Sabinusem po prawej i Magnusem po lewej, manewrował tarczą we wszystkie strony, odpierając ataki dalekosiężnej broni, żeby móc się przedostać bliżej wrogów, jednak bez skutku. Sabinus poderwał tarczę, osłaniając się przed ciosem z góry. Czubek grota łupnął w tarczę i utkwiał w niej tuż koło guza. Sabinus odwrócił się plecami do brata, pociągnął mocno za oszczep, chcąc wyrwać jego właściciela z szeregu napastników. Wespazjan przechylił się w prawo i sieknął mieczem pod tarczą wojownika; ramię mu zdrząło, ale nie rozluźnił dłoni zaciśniętej na rękojeści, przecinając goleń z mokrym młasińciem, przypominającym dźwięk tasaka w ręku rzeźnika. Chauk zawył przeraźliwie, postąpił krok do przodu, by zachować równowagę, i wtedy dopiero zauważył, że brak mu dolnej części nogi; runął na pokład, zbryzgując kamratów krwią ze świeżego kikuta.

Legat wykorzystał tę chwilową przewagę, wpadając ze swoimi dwoma towarzyszami w powstałą lukę, powleczony czerwienią miecz wzniosł i opuścił prosto na twarz kolejnego wojownika, który zezował z niedowierzaniem na miazdzącą mu nos klingę. Linia Chauków na moment osłabła. Magnus rzucił się do przodu, przekleństwami zagłuszając wrzaski i pociągając za sobą stojących na lewo Batawów. Porąbał drzewce wymierzonego w niego oszczepu, a wojownik, poślizgnąwszy się na zalany krwią pokładzie, opuścił na mgnienie oka tarczę. Wtedy miecz Magnusa odnalazł cel.

Oszczepy mieli już za sobą i znaleźli się oko w oko z napastnikami, którzy wdarli się na ich statek; drugi szereg Batawów był tuż za nimi. Żołnierze osłaniali głowy ludziom z pierwszego szeregu przed skierowanymi w dół oszczepami znajdujących

się wciąż na platformie bojowej Chauków. Wespazjan czuł na plecach nacisk wywierany przez prącego przed siebie żołnierza z drugiego szeregu. Dźgał raz za razem długim mieczem, aż poczuł miękkość czyjegoś ciała, wtedy przekręcił ostrze i usłyszał wrzask. Z obu stron Batawowie napierali i w końcu u stóp platformy bojowej pozostało już tylko kilku Chauków; znaleźli się w pułapce i nie mieli dokąd uciekać. Po chwili żaden z nich nie żył. Wojownicy na platformie cofnęli się poza zasięg mieczy, którymi wywijano przy ich kostkach. Sytuacja była patowa.

Wespazjan cofnął się, robiąc miejsce mężczyźnie z drugiego szeregu. Ansigar z pięcioma wioślarzami przy każdej burcie utrzymywał łódź pod kątem w stosunku do łodzi Chauków, nie dopuszczając w ten sposób, by więcej wojowników mogło przedostać się na pokład. Po lewej stronie załoga Petusa toczyła ciężki bój, zepchnięto ich niemal pod sam maszt. Łódź Kunona zniknęła. Po prawej, na rzece, unosiło się mnóstwo szczątków; z otworów na wiosła w burcie jednej z birem strzelały płomienie, a z przyczepionej bosakami do dziobu okrętu długiej łodzi wspinali się nieprzyjaciele. Pozostałe dwurzędowce otoczyły ostatnie trzy utrzymujące się na wodzie długie łodzie, zasypując gradem strzał wojowników, którym nie pozostało nic innego, jak tylko kryć się pod tarczami.

Z nagłym szarpnięciem łódź Chauków zakołysała się i z wielu gardeł wydarł się krzyk. Jeden z wojowników spadł z platformy bojowej do wody, pozostali chwyтали się czego popadnie. Magnus i Sabinus natychmiast skoczyli z Batawami w górę, wykorzystując zamieszanie na łodzi nieprzyjaciela. Wespazjan dojrzał, że statek Kunona zatoczył koło i uderzył Chauków od tyłu. Jego ludzie przedostali się na staranowaną łódź, tnąc i siekąc zaskoczoną załogę, która całą uwagę skupiła na łodzi Wespazjana.

Kiedy z platformy bojowej spadł ostatni wojownik, Sabinus i Magnus odepchnęli statek Chauków, zostawiając ludziom Kunona dokończenie roboty.

– Ansigarze! – zawołał Wespazjan, wskazując łódź Petusa, gdzie ponad trzydziestu Chauków zepchnęło już ludzi prefekta za maszt.

Dekurion natychmiast pociągnął wiosło sterowe, kierując się ku sąsiedniej łodzi, żeby przyjść z pomocą znajdującej się w trudnej sytuacji załodze. Kilka pociągnięć wiosła wystarczyło, by znaleźć się tuż obok. Uzbrojeni w resztę włóczni Batawowie posłali je dwiema seriami w Chauków. Padło kilkunastu nadzianych na nie z boku wojowników; pozostali wzdrygnęli się, a kilku zatrzymało, by ocenić nowe zagrożenie. Petusowi i jego ludziom to wystarczyło; rzucili się do przodu ze świeżą energią i przedostając się pomiędzy długimi oszczepami przeciwników, wpychali



miecze w luki między tarczami. Kiedy zbliżyła się łódź Wespazjana, najbliżsi nadburcia Chaukowie, wiedząc, że wkrótce przeciwnik zyska przewagę liczebną, odwrócili się i rzucili do ucieczki, zostawiając za sobą, na pastwę mieczy Batawów, trzech wysuniętych najdalej do przodu towarzyszy. Ansigar zawołał coś w języku Germanów i Batawowie rzucili się na tę trójkę, używając tylko guzów tarcz oraz pięści zamiast mieczy. Kiedy ostatni z nich, rozbrojony i nieprzytomny, padł na pokład, łódź Chauków zaczęła się wycofywać, a wojownicy wyławiali z wody rozbitków z drugiej łodzi.

– Pozwólcie im odpłynąć! – zawołał Wespazjan. – Bierzcie się do wiosł i znikamy stąd.

– Nie sędzę, by był to mądry pomysł, legacie – rozległ się z tyłu jakiś głos. – Widziałeś, jak celnie strzela obsługa naszych balist.

Wespazjan odwrócił się gwałtownie i w odległości zaledwie dwudziestu kroków zobaczył biremę. Oparty o barierkę, olśniewająco elegancki w hełmie z czerwonym pióropuszem, w uformowanym na tors atlety pancerzu i w powiewającym czerwonym płaszczu, stał Publiusz Gabinusz. Uśmiechał się smętnie. – Na twoim miejscu przyjąłbym wielkoduszne zaproszenie i wszedł na pokład mojego okrętu. Aha, przynieś ze sobą to świecidełko, które znalazłeś, dobrze?

Wespazjan spoglądał z pokładu biremy na trzy strumyki krwi ściekające do rzeki. Ansigar odmówił modlitwę w germańskiej mowie, kiedy krew trzech jeńców na cześć bogini Morza Północnego, Nehalenni, mieszała się z wodą.

– Czy to było rzeczywiście konieczne? – spytał Gabinusz.

Wespazjan wzruszył ramionami, kiedy zrzucano ofiary z pokładu długiej łodzi Ansigara.

– Nie jestem pewien – odparł.

– A ja jestem – oświadczył z przekonaniem Magnus. – I muszę powiedzieć, że czuję się o wiele lepiej, wiedząc, że w drodze do domu mamy po swojej stronie germańską boginię.

– No cóż, na pewno nie zaszkodzi – powiedział Gabinusz i zajął się zawiniątkiem; rozwinął skórę i wzięwszy do rąk orła, przyglądał mu się z podziwem. – Oczywiście mnie przypadnie chwała za jego odzyskanie.

– A Kallistos będzie się chełpił przed cesarzem, że to był jego plan. – Sabinus był wzburzony.

Gabinusz podniósł wzrok, a na jego szczupłej, podłużnej twarzy malowało się

zdumienie.

– Skąd to wiesz?

– Człowiek, którego Kallistos wysłał, żeby nas powstrzymał, powiedział nam to w zamian za włożenie mu broni do ręki w chwili śmierci.

Mężczyzna skrzywił się.

– Tak, przykładają tu do tego wielką wagę. My za to chcemy mieć w ustach monetę na opłacenie przewoźnika. To prawda, Kallistos będzie się cieszył ze swojego zwycięstwa, ale ja będę figurował w księgach historycznych jako ten, który odnalazł orła Siedemnastego.

Wespazjan spojrział na przesuwający się powoli wschodni brzeg rzeki. Kierowali się na północ, ku morzu, a tym samym z powrotem do cesarstwa. Za nimi płynęła reszta flotylli.

– Wiesz, Gabiniuszu, że za twoją kradzież mój brat zapłaci życiem?

– Kradzież to mocne słowo. Bo można założyć, że nigdy by ci się nie udało, gdyby nie mój atak na Chauków. Ale nieważne, ja mam orła i to się liczy. Jeśli zaś chodzi o Sabinusa, to nie sądzę, by miał stracić życie.

– Skąd to przypuszczenie?

– Bo Narcyz mi powiedział.

Wespazjan wpadł we wściekłość.

– Narcyz wiedział, że ruszasz po orła, a mimo to wysłał nas?

– Oczywiście, że wiedział. Gównu go obchodzi, kto znajdzie orła, byle go znaleziono. Dla niego liczy się wyłącznie rezultat i uważa, że to dobra polityka, kiedy jego podwładni kłócą się między sobą.

Magnus splunął na pokład.

– Przekłęci greccy wyzwolenicy.

Gabiniusz uśmiechnął się krzywo i spojrział z dumą na swoją zdobycz.

– Tak, niestety, nie można im ufać – stwierdził.

– A Pallas, on też o tym wiedział? – spytał Wespazjan. – I czy wiedział, że Kallistos zlecił komuś, żeby nas zabił?

– Nie wiem, czy znał plan Kallistosa, ale jestem pewien, że nie wiedział o wysłaniu przez niego zabójcy, bo powiedziałyby o tym Narcyzowi. A przecież Narcyz nie wspomniał o skrytobójcy Kallistosa, a co więcej, w liście do mnie zaznaczył wyraźnie, że mam was nie zabijać, gdybyśmy się na siebie natknęli, więc w żadnym razie nie mógł się zgodzić na to szachrajstwo Kallistosa.

– Cóż, to już jest coś – powiedział Sabinus z ulgą w głosie. – Jeśli nie chce naszej śmierci, to znaczy, że mogą spokojnie wrócić do Rzymu i zdemaskować przed Narcyzem tego małego zdradzieckiego greckiego drania.

Wespazjan westchnął wyczerpany minionym dniem i machinacjami wyzwolenców Klaudiusza.

– Nie zawracałbym sobie tym głowy. Jaki mamy na to dowód poza naszym słowem? Kallistos wszystkiemu zaprzeczy i jedyne, co osiągniesz, to zrobisz sobie z niego jeszcze większego wroga. Poza tym Narcyzowi będzie to obojętne. On widzi wszystko szerzej i jeśli chodzi o niego, to ma już tego orła dla swojego pana i przekonanie, że czas przejść do innych ważnych spraw.

– Masz rację, Wespazjanie – zgodził się Gabinius. – Zresztą, Sabinusie, i tak nie możesz wrócić do Rzymu. Narcyz dał mi w liście rozkazy dotyczące was obu po odnalezieniu orła, oczywiście przy założeniu, że przeżyjecie. Ty, Wespazjanie, masz wrócić do Drugiego legionu *Augusta*, natomiast ciebie, Sabinusie, Narcyz... to znaczy cesarz mianował legatem Czternastego legionu *Gemina*, stacjonującego w Mogontiakum nad Renem.

Sabinus był wstrząśnięty.

– Czternastego? Dlaczego?

Gabinius wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Cesarska polityka wydaje mi się coraz mniej czytelna i robi wrażenie przypadkowej, ale jestem przekonany, że istnieje jakiś ważny powód tej nominacji.

– Na pewno, tyle że wiąże się on bardziej z ambicjami Narcyza niż z moimi zasługami.

– Masz zapewne rację. W dziwnym świecie żyjemy, skoro senatorowie muszą wykonywać rozkazy wyzwolenców. Tak czy owak, nie możesz wrócić do dawnego legionu, bo Dziewiąty *Hispana* dostał się bratu cesarzowej, Korwinusowi.

– Tak, wiem. Jedyne, co w tym dobre, to że przez jakiś czas będzie się trzymał Panonii, z dala od nas.

– Tylko przez rok.

– Co?

– Pod koniec przyszłorocznego sezonu kampanijnego Aulus Plaucjusz, którego mianowano namiestnikiem Panonii w podzięce za poparcie Klaudiusza, przeniesie się do Gezoriakum, na północnym wybrzeżu w Galii Belgijskiej, i zabierze Dziewiąty z sobą. Dwudziesty też się tam przeniesie, podobnie jak wasze dwa legiony

i przypisane do nich kohorty pomocnicze. Macie bowiem zaszczyt być częścią sił zbrojnych Aulusa Plaucjusza, wyznaczonych do podboju Brytanii.

Wespazjan poczuł chłód, kiedy pomyślał o kolejnych spowitych mgłą lasach i dziwnych bogach. Spojrzał na brata.

– Miałem przeczucie, że „zaszczyt” się zbliża, i bardzo się go obawiałem.

Wszystkie te wiadomości wprawiły Sabinusa w osłupienie.

– Narcyz najwyraźniej się uparł, żeby nas wykończyć, w taki czy inny sposób.

Jedynie Petus wyglądał na zadowolonego.

Magnus znowu splunął na pokład.

– Kurewsko udane zakończenie dnia – oświadczył.

# CZĘŚĆ III

PODBÓJ BRYTANII

WIOSNA 43 ROKU

## Rozdział trzynasty

Trzymajcie się, moi pięknie! – ryknął *primus pilus* Tacjusz do stu sześćdziesięciu ludzi swojej centurii, którzy przyklękli na jedno kolano na mokrym pokładzie triremy pędzącej ku wybrzeżu. Żołnierze natychmiast pochyłili się do przodu, opierając prawą rękę i dolną krawędź tarczy o deski, w lewej zaś trzymając *pilum* i uchwyt tarczy. – No i o to chodzi, chłopcy. Nie będzie bolało... za bardzo.

Wespazjan skinął z satysfakcją głową, widząc dyscyplinę pierwszej centurii pierwszej kohorty II legionu. Obserwował jednocześnie zbliżającą się plażę, odległą o sto kroków może, mrużąc oczy przed zacinającym deszczem. Obok legata, na dziobie statku, *aquilifer* trzymał w górze legionowego orła. Z tyłu rząd okrętów ze zwiniętymi żaglami, poruszających się na wiosłach w tym samym, wyznaczanym piszczalkami rytmie, zniknął mu z oczu za ścianą deszczu. Wespazjan przeklinał pogodę w tych północnych stronach i trzymał się mocno barierki, patrząc, jak dwóch żeglarzy biegnie do lin utrzymujących w pionie dwa *corvi*, długie na dwadzieścia stóp, a szerokie na osiem pomosty, po których mieli schodzić na ląd.

– Wciągnąć wiosła! – zawołał przez tubę stojący na rufie *trierarchas*.

Ostry, przeciągły gwizd piszczalki poprzedził potężne skrzywienie drewna trącego o drewno, kiedy jednocześnie wciągano sto dwadzieścia wiosła. Plaża była już o połowę bliżej. Wespazjan kiwnął z zadowoleniem głową: wiosłowanie przerwano w przepisowym momencie, tak aby statek mógł na lądzie osiąść, a nie został wyrzucony. Sprawdził, czy miecz gładko wychodzi z pochwy, i przesunął spojrzeniem po szeregu trójrzędowców; tylko w jednym nie wciągnięto jeszcze wiosła.

– Kto tam, na Jowisza, płynie, Tacjuszu? – spytał.

*Primus pilus* odliczył szybko okręty.

– Trzecia i czwarta centuria drugiej kohorty, legacie.

Wespazjan chrząknął i chwycił się oburącz nadburcia. Tacjusz trzymał się jedną ręką, a drugą zacisnął na ramieniu chorążego, żeby nie dopuścić do upadku orła. Statek uniósł się lekko, kiedy jego kadłub zazgrzytał o dno, wzruszając kamyki; wytracanie prędkości było tak szybkie i natychmiastowe, że Wespazjan musiał

napiąć mięśnie, żeby nie polecieć do przodu. Zgrzyt przeszedł w okropny pisk, kiedy statek jeszcze bardziej zwolnił, aż wreszcie z ciężkim stęknięciem napiętego drewna i nagłym szarpnięciem trirema stanęła na plaży, nie zagłębiając się w nią.

– Wstać! – zawołał centurion.

Legioniści jak jeden mąż stanęli na nogi, przerzucając *pila* do prawej ręki; pomosty ze zgrzytem opadły na żwir.

– Pierwsza centuria opuszcza okręt szybkim marszem! – ryknął Tacjusz, wchodząc na pomost razem z chorążym.

Wespazjan skoczył na drugi pomost i zbiegł na dół, czując, jak drewno podskakuje lekko pod stopami. Zeskoczył na kamyki; za nim żołnierze zbiegali na plażę grupkami po czterech.

Przy akompaniamencie wrzasków centuriona i jego zastępcy stanęli w czterech szeregach po czterdziestu ludzi, kiedy ostatni żołnierze zbiegli z pokładu.

– Szybkim tempem sto kroków naprzód marsz! – rozkazał Tacjusz, kiedy już się upewnił, że szeregi stoją równo.

Ze stukotem sandałów pierwsza centuria ruszyła po wznoszącej się pochyło plaży. Na ich poprzednim miejscu stanęła piąta centuria, która wylądowała nieco z prawej, podczas gdy z lewej zbliżała się i stawała w porządnym szyku reszta pierwszej kohorty.

– Stać! – rozkazał Tacjusz ze swojego miejsca tuż przed żołnierzem z godłem legionu.

Pierwsza kohorta stanęła w miejscu.

Wespazjan spojrział wzdłuż plaży i zobaczył pozostałe dziesięć kohort ustawionych idealnie równo w dwóch rzędach wzdłuż wybrzeża; nie trwało to dłużej niż dwieście uderzeń serca. Okręty uwolnione od obciążenia kiwały się na płytkiej wodzie, wszystkie poza jednym, tym, który przewoził trzecią i czwartą centurię drugiej kohorty.

Kiedy Wespazjan podchodził do swojego pierwszego centuriona, na wznoszących się ponad plażą nędznych pagórkach pojawił się jeździec prowadzący drugiego wierzchowca. Wespazjan zmrużył zalewane deszczem oczy i wpatrzył się w przybysza.

– Panie! – zawołał Magnus, zjeżdżając na plażę.

Zaskoczony widokiem wyłaniającego się spoza zasłony deszczu przyjaciela Wespazjan zmarszczył brwi.

– O co chodzi, Magnusie? – zapytał.

– Aulus Plaucjusz zwołał naradę wszystkich legatów i prefektów oddziałów pomocniczych, pomyślałem więc sobie, że przyprowadzę ci konia. Właśnie przybył Narcyz i jak zgaduję, coś się musi dziać. Nie sądzę, żeby odbył tę długą drogę po to tylko, żeby wypić kielich gorącego wina i pogawędzić przy ogniu, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Czy on nigdy nie przestanie mieszać? W porządku, za chwilę tam będę. – Wespazjan zwrócił się do Tacjusza. – Wszystko doskonale, poza tym dupkiem trierarchą, który nie wie, kiedy przestać wiosłować. Idź i obrugaj go trochę, dobrze?

– Tak jest!

– Zabierz statki i ludzi z powrotem do Gezoriakum, daj im coś do zjedzenia i powtórz tę całą operację dziś po południu, podczas odpływu, i tym razem nie życzę sobie żadnych błędów. Dołączę do was, jeśli będę mógł.

– Tak jest, legacie! – ryknął mężczyzna, stając na baczność.

Wespazjan skinął głową i dosiadł konia.

– No dobrze, jedźmy się dowiedzieć, co ten śliski Grek wymyślił, żeby nam jeszcze bardziej utrudnić życie.

Deszcz siekł po twarzach, kiedy pokonywali dziesięć mil dzielących ich od kwatery głównej Aulusa Plaucjusza. Mieściła się w willi, którą Kaligula kazał sobie zbudować na wybrzeżu, tuż za murami portu Gezoriakum, kiedy cztery lata wcześniej przybył na północ, żeby spróbować podbić Brytanię. Cała ziemia wokół portu nad Cieśniną Galijską, naprzeciwko wyspy Brytania, została zaorana i obsiana pszenicą oraz jęczmieniem albo podzielona na ogrodzone działki. Wespazjan widział tam więcej świń i mułów niż kiedykolwiek wcześniej. Teren, przez który jechali, można by nazwać ogromnym gospodarstwem, rozciągającym się znacznie dalej, niż sięgało ludzkie oko w pogodny dzień.

Zadanie zaopatrywania sił najeźdźców złożonych z czterech legionów i podobnej liczby ludzi w jednostkach pomocniczych, w sumie prawie czterdziestu tysięcy żołnierzy, oraz całego personelu wspomagającego – woźniców, mulników, niewolników i załóg złożonej z tysiąca jednostek flotylli – nie przytłoczyło Wespazjana, kiedy przed sześcioma miesiącami zbliżał się do Gezoriakum na czele II legionu *Augusta*; raczej go zainspirowało. Napełnienie tych wszystkich żołądków, czy to ludzkich, czy zwierzęcych, stanowiło tak ogromne logistyczne zadanie, że człowiekowi mogło zakręcić się w głowie na samą myśl o ilości paszy niezbędnej do



nakarmienia wystarczającej liczby świń, by zapewnić wszystkim racje mięsne na jeden dzień, czy o milach kwadratowych pastwisk, jakich potrzebuje miesięcznie pięć tysięcy należących do armii mułów. W porównaniu z tym wszystkim problemy zaopatrzenia II legionu zdawały się błahostką, ale wcześniej, po przybyciu do Argentoratum, zajmował się nimi z wielką przyjemnością.

Wraz z bratem wrócili w granice cesarstwa morzem, z flotyllą Gabiniusza, co, ku wielkiemu niezadowoleniu Sabinusa, zajęło ponad dwa dni, po czym popłynęli Renem do swoich nowych legionów; Petus z Batawami towarzyszył im w tej podróży na południe. Wody były spokojne, dzięki czemu Magnus nie omieszkął wielokrotnie podkreślać zapobiegliwości Ansigara, który złożył ofiarę Nehalenni.

Kiedy przybyli do Mogontiakum, dotarła do nich wiadomość o śmierci ojca, złagodzona nieco wieścią o narodzinach córki Wespazjana, Domicylli. Flawia napisała do niego własnoręcznie, a on czytał jej list z ulgą i radością, jako że szanse, iż matka i dziecko przeżyją poród, były mniej więcej takie same jak szanse żołnierza na polu bitwy.

Zostawiwszy brata z jego nowym dowództwem i wróciwszy w połowie czerwca do własnego legionu, Wespazjan spędził resztę roku i cały następny na ćwiczeniu legionistów w manewrach związanych z wchodzeniem na pokłady statków i opuszczeniem ich, aż żołnierze potrafili wykonywać je nadzwyczaj sprawnie; zajęło to mnóstwo czasu i kosztowało wiele wysiłku, bo dysponował do tego celu tylko jedną triemą, jako że pozostałe zarekwirowano, raczej krótkowzrocznie, jak uważał, dla flotylli mającej dokonać najazdu. Kiedy kolejne centurie ćwiczyły manewry wchodzenia na pokład i opuszczania jednego i tego samego okrętu, Wespazjan zmagął się ze szczegółami dowodzenia legionem i zapewniania mu wyposażenia, ubiorów, racji żywnościowych i żywych zwierząt. Czuł się jak ryba w wodzie, bo zdawało mu się, że teraz ma to, co najlepsze z obu światów: zarządzanie wielką posiadłością, a jednocześnie służba Rzymowi pod jednym z jego orłów.

Bracia nie wiedzieli, co Publiusz Gabiniusz zrobił z orłem Siedemnastego, i zupełnie ich to nie interesowało. Wydawało się, że emblemat po prostu zniknął i nigdzie o nim oficjalnie nie wspomniano. W każdym razie cieszyli się, że przeżyli i wrócili do łask.

Sabinus zachował uzyskanego od Gabiniusza Kozioroźca XIX legionu i wysłał go Pallasowi do Rzymu, mając nadzieję, że to pomoże wyzwolencowi w walce o wpływy z Kallistosem, a także w podzięce za mianowanie go legatem XIV legionu *Gemina*, co zresztą wciąż stanowiło dla obu braci zagadkę. Wespazjan dowiedział się

z listu brata, że nie otrzymał potwierdzenia wysłanego Pallasowi prezentu, podobnie jak nie doszła do niego żadna informacja, że grozi mu niebezpieczeństwo, wobec czego mógł założyć, że jego udział w zabójstwie Kaliguli został zapomniany przez tych kilku ludzi, którzy o nim wiedzieli. Z kolei Wespazjan był zadowolony, że jego rodzina ma już wyrównane rachunki z trzema wyzwoleńcami Klaudiusza, przynajmniej na poziomie osobistym.

Z wojskowego punktu widzenia nieustanne przepychanki wyzwoleńców oznaczały, że przygotowania do podboju Brytanii nie mogą przebiegać sensownie. Każdy z nich wykorzystywał bowiem swoje wpływy, by planowanie najazdu świadczyło jak najlepiej o nim samym, a jak najgorzej o dwóch pozostałych. Najpierw złożono podwójne zamówienia na maszyny miotające, po czym je nagle unieważniono i zamówiono ponownie, tyle że już dwukrotnie mniej. Złote i srebrne monety słano z mennicy w Lugdunum, położonego na południu prowincji, po czym, kiedy znalazły się niemal w połowie drogi na północ, wieziono je z powrotem. Znikały statki, po jakimś czasie pojawiały się ponownie, tyle że z połową załogi. Jednak najgorsze były napływające sprzeczne rozkazy dotyczące terminów, tempa czy celów całego przedsięwzięcia. To mieszanie się cywilów w sprawy czysto wojskowe doprowadzało Aulusa Plaucjusza do szaleństwa.

– Może jednak przyjazd Narcyza okaże się pożyteczny – zastanawiał się Wespazjan, mijając pierwszy z czterech ogromnych obozów otaczających Gezoriakum.

Magnus otarł oczy. Mimo że nosił skórzany kapelusz z szerokim rondem, deszcz zalewał mu twarz.

– Dlatego, że teraz będzie mógł zmieniać zdanie tyle razy dziennie, ile mu się spodoba, a nie tylko wtedy, kiedy kurier odjeżdża?

– Chodzi mi o to, że jeśli sam zobaczy, jaka to jest potężna operacja logistyczna, może powstrzyma się od wtrącania we wszystko.

– A cesarz na pewno przestanie się ślinić.

– Dziękuję, prefekcie. Po odprawie zameldujesz się u legata Wespazjana i dołączysz do Drugiego legionu *Augusta* – oświadczył Aulus Plaucjusz, kiedy prefekt I kohorty *Hamiorum* skończył sprawozdanie dotyczące stanu gotowości świeżo przybyłych łuczników ze wschodu. – Tak więc kończymy wasze raporty, panowie.

Obrzucił spojrzeniem czterech legatów i trzydziestu trzech prefektów oddziałów pomocniczych, którzy siedzieli na składanych stołkach w dużej sali, używanej jako

miejsce odpraw w kwaterze głównej; jej ściany świeżo pobielono, zamalowując, jak sądził Wespazjan, jakieś bardzo niewojaskowe freski. Przez dwa otwarte okna widać było, jak deszcz bezlitośnie siecze szare niespokojne morze.

– Wiemy wszyscy – mówił znowu legat – że przed nami jeszcze wiele pracy, by zapełnić magazyny kwatermistrzów. Mamy, na przykład, dość butów, by każdy żołnierz wylądował w Brytanii przyzwoicie obuty, ale co będzie po miesiącu ciężkiej kampanii w tym wilgotnym klimacie? Nie zamierzam tracić żołnierzy piechoty z powodu braku butów ani jeźdźców z powodu niedostatku koni zapasowych. Nie wątpię, że wasi kwatermistrzowie robią co w ich mocy, by uzupełnić zapasy, ale mam wrażenie, że ten problem wymaga całościowego podejścia. – Plaucjusz wskazał ręką siedzącego obok otyłego mężczyznę w absurdalnie ekstrawaganckim wojskowym stroju. – Jak wiecie, Gnejusz Sencjusz Saturninus będzie zarządzał podbitymi plemionami i miał oko na marionetkowych królów, kiedy armia posunie się dalej. Dlatego rozsądnie będzie przyznać mu generalny nadzór nad ciągłością zaopatrzenia, jako że wszystkie trasy dostaw przebiegać będą przez nadzorowane przez niego tereny.

Sencjusz miał minę człowieka, który właśnie zwąchał dobry interes.

– Z czego wynika, że przed wyruszeniem nie zobaczę moich zapasowych namiotów – szepnęła Wespazjan, kiedy Plaucjusz zaczął wychwalać administracyjne umiejętności i rzetelność swojego zastępcy.

– A ja przestanę liczyć na terminową i kompletną dostawę należnych mi szpadli, garnków i młynów do ziarna – odparł Sabinus, powstrzymując uśmiech.

– Wciąż nie pojmuję, jak zdołał wślizgnąć się na to stanowisko, skoro sugerował powrót do republiki, kiedy Klaudiusz został cesarzem.

Sabinus wzruszył ramionami.

– A dlaczego ja jestem legatem Czternastego?

– ...i dlatego, jeśli mamy być gotowi w połowie czerwca – ciągnął Plaucjusz – żeby wykorzystać najbliższe plony w Brytanii, oczekuję, że będziecie zgłaszać swoje potrzeby dotyczące apro wizacji i zapasów Sencjuszowi. – Rozległy się szepty zebranych oficerów, które mogły świadczyć o aprobacie dla tak sensownego planu albo o przyjęciu z rezygnacją takiego sposobu zaopatrywania armii; Plaucjusz wybrał to pierwsze. – Świetnie. Jutro mamy kwietniowe kalendy, co oznacza, że zostało nam siedemdziesiąt pięć dni. Prefekci, jesteście wolni. Legaci, pójdziecie ze mną, żeby zameldować się u cesarskiego sekretarza.

Narczyz zamieszkał na pierwszym piętrze willi Kaliguli. Wespazjana wcale nie zdziwiły jarmarczne ozdoby i rzeźby zawalające schody i korytarze w drodze do jego kwatery. Wszystko to było przejawem szczególnego gustu aroganckiego młodego cesarza w dziedzinie dekoracji wnętrz. Zaskoczyła go natomiast obecność gwardii pretoriańskiej na warcie przed pokojami Narczyza.

– Wygląda na to, że wyzwoleniec Klaudiusza przywłaszcza sobie atrybuty władzy cesarskiej – wycedził do Sabinusa, kiedy centurion zostawił przed drzwiami najwyraźniej zgorzonego Aulusa Plaucjusza, a sam poszedł spytać byłego niewolnika, czy jest gotów przyjąć dowódcę armii szykującej się do podboju.

– Może przedłużono Saturnalia na cały rok i zapomniano nas o tym poinformować – zażartował Sabinus.

Wespazjan zerknął na dwóch pozostałych legatów, Korwinusa i przybyłego niedawno Gnejusza Hozydiusza Getę, któremu dano legion Dwudziesty w uznaniu jego roli w przyłączeniu rok wcześniej Mauretanii do cesarstwa; żaden nie wyglądał na zachwyconego czekaniem pod drzwiami wyzwolenca, nieważne jak potężnego.

– Cesarski sekretarz przyjmie cię teraz, wodzu – powiedział centurion, otwierając drzwi.

– Cóż za łaskawość – rzucił zjeżony Plaucjusz.

Wespazjan zauważył w oczach centuriona błysk zrozumienia dla sarkazmu Plaucjusza, kiedy ten wchodził do wysoko sklepionej sali, w głębi której, za dużym biurkiem, siedział Narczyz. Nie pofatygował się, by wstać na powitanie. Wszystkie najgorsze myśli na temat arogancji wyzwolenca natychmiast wyparowały z głowy Wespazjana, kiedy po lewej ręce Narczyza zobaczył Cenis, siedzącą z naszykowanymi materiałami piśmiennymi.

Serce zabiło mu mocno iomal się nie potknął. Dyskretny uśmiech rozświetlił tylko oczy kobiety.

– Wódz Plaucjusz – powiedział łagodnym głosem Narczyz, sprowadzając Wespazjana na ziemię – i legaci Korwinus, Wespazjan, Sabinus i Geta, cieszą się, że wyglądacie wszyscy tak zdrowo w tym rzeńskim północnym klimacie. Siadajcie. – Dał znak Cenis, która wzięła do ręki rylce i zabrała się do pracy. – To jest spotkanie oficjalne i dlatego moja sekretarka będzie je protokołować. Cesarz przesyła pozdrowienia i każe was poinformować, że mówię w jego imieniu.

– To niemożliwe! – wybuchnął Plaucjusz, kiedy Narczyz skończył mówić.

Sekretarz cesarza pozostał niewzruszony.

– Nie, wodzu, to nie jest niemożliwe, to jest absolutnie konieczne.

– Właśnie dlatego ruszamy w połowie czerwca, żeby zabrać z sobą tylko miesięczny zapas ziarna, które ma nam wystarczyć do najbliższych żniw.

– Więc będziecie musieli zabrać go więcej.

– Masz pojęcie, o ile więcej, jeśli ruszymy już w przyszłym miesiącu?

Narczyz wzruszył ramionami, przymykając oczy i rozkładając ręce, jakby to pytanie było dla niego zupełnie nieistotne.

– Trzy funty na jeden dzień razy czterdzieści tysięcy ludzi, razy sześćdziesiąt dni, aż do najwcześniejszych zbiorów, to daje... to daje... – Plaucjusz rozejrzał się po legatach, żeby pomogli mu z liczeniem.

– To daje sto dwadzieścia tysięcy funtów dziennie, czyli razem siedem milionów dwieście tysięcy funtów, dowódco – oznajmił pomocnie Wespazjan.

– No właśnie! I to tylko dla żołnierzy; i jeszcze ćwierć tyle potrzeba do wykarmienia personelu pomocniczego, a do tego jęczmień dla wierzchowców i dla zwierząt jucznych. I wszystko to, dopóki nie zbudujemy przyzwoitej drogi, musi być przetransportowane przez muły, których maksymalne obciążenie wynosi sto sześćdziesiąt funtów na sztukę.

– Zatem proponuję, by budowa dróg była jednym z waszych priorytetów, wodzu, bo będzie tak, jak mówię. – Narczyz położył rękę na biurku gestem, który był łagodny i zarazem zdecydowany; oczy mu stwardniały. – Z obliczeń wynika, że minie sto dni pomiędzy wysłaniem przez ciebie wiadomości a przybyciem cesarza. Zatem jeśli ma on być w Galii przed jesienną równonocą, zanim jeszcze wystąpi realne zagrożenie wichrami w połowie września, musicie przeprowić się przez Tamezis\* do końca maja, kiedy będziesz wysyłał wiadomość do Klaudiusza.

Plaucjusz wpatrywał się z odrazą w Narczyza.

– I co to miałyby być za wiadomość? – spytał.

– Och, to bardzo proste. Powiesz cesarzowi, że napotkałeś zacięty opór i potrzebujesz posiłków i, o ile to możliwe, jego obecności, by przejął dowodzenie, które okazuje się takim ciężarem. Wtedy każę to odczytać w senacie, a senatorowie zaczną go błagać, by wyruszył i uratował nękanie kłopotami rzymskie legiony, a on, rzucając wszystko, pospieszy wam na ratunek i przyprowadzi z sobą te tak bardzo potrzebne posiłki.

– Które będą czekać w gotowości pod miastem?

– Mylisz się, wodzu, one będą czekać *tutaj*, w stanie pełnej gotowości. Możesz za

kilka dni przeprowadzić ich inspekcję, jeśli zechcesz.

– Przyprowadziłeś je z sobą?

– Oczywiście. Do czasu przybycia cesarza dowodzi nimi Decymus Waleriusz Azjatyk.

– Po prostu stawiasz mnie w roli głupca.

– Bynajmniej. Stawiam Klaudiusza w roli bohatera. To, jak ty wypadniesz, jest zupełnie bez znaczenia.

– Sądzisz, że senat w to uwierzy?

– W żadnym razie. Ale lud uwierzy, a kiedy cesarz wróci z łupami i jeńcami, by odbyć triumf, zobaczy tego konkretne dowody.

– Mój triumf.

– Nie, wodzu, triumf cesarza, który spowoduje, że lud go pokocha. Po co tobie miłość ludu? Co byś z nią począł? – Narcyz zamilkł, by ukryta w tych słowach groźba dotarła do świadomości Plaucjusza. – Możesz zatem postąpić zgodnie z moimi zaleceniami, wiedząc, że zostaniesz odpowiednio wynagrodzony, albo też znajdę kogoś innego, kto chętnie pomoże mojemu panu zdobyć miłość ludu. Co wybierasz?

Plaucjusz zasznurował wargi i wziął głęboki wdech.

– Ruszamy za siedemnaście dni, cztery dni po idach kwietniowych.

– Doskonały termin, wodzu, mój pan będzie zadowolony. Jestem pewien, że augurowie uznają ten dzień za wielce sprzyjający, kiedy tylko usłyszą, że odpowiada cesarzowi. Nie zatrzymuję was dłużej, panowie, macie wszyscy mnóstwo pracy. – Lekkim machnięciem pulchnej dłoni odprawił mężczyzn stojących wyżej od niego na drabinie społecznej; żaden z nich nie zasalutował.

Aulus Plaucjusz wstał. Purpurowy z wściekłości obrócił się na pięcie i niemal przepchnął pomiędzy swoimi legatami, którzy też już zdążyli wstać. Kiedy Wespazjan odwracał się, by ruszyć za nim, zauważył, jak Korwinus i Geta wymieniają zafrasowane spojrzenia, będące odbiciem tego, co on sam odczuwał w związku z obecną sytuacją, która zagrażała sukcesowi całego przedsięwzięcia. Magnus się nie mylił, pomyślał, dołączając do Sabinusa, który wyglądał na równie przejętego.

– Legaci Sabinus i Wespazjan – zatrzymał ich łagodnym tonem Narcyz, kiedy byli już przy drzwiach – jedno słówko z wami oboma, prywatnie, jeśli można.

Korwinus rzucił braciom pytające spojrzenie. Zawrócili, kiedy Narcyz odprawił Cenis; przesła obok Wespazjana bliżej, niż było to konieczne, i dlatego poczuł jej

zapach.

– Zapewne dziwicie się, dlaczego wciąż nie wypadliście z łask – zaczął Narcyz, kiedy zamknięto drzwi – szczególnie zaś ty, Sabinusie, skoro nie wypełniłeś swojej części naszej umowy.

– Odnaleźliśmy orła – zaprotestował Sabinus, ponownie siadając. – Gabiniusz zabrał...

Narcyz podniósł rękę, uciszając go.

– Doskonale wiem, co się wydarzyło, legacie, dlaczego i jak, bo sam na to zezwoliłem. Jak zapewne obaj się domyślacie, było mi obojętne, kto odnajdzie orła, byle tylko się znalazł. Kiedy po waszym wyjeździe z Rzymu Kallistos powiedział mi prywatnie, że ma informację dotyczącą miejsca, gdzie go ukryto, zgodziłem się na wysłanie Gabiniusza. Odpowiadało mi, że są dwie wyprawy i że moi koledzy będą się spierać, komu należy się chwała za jego odnalezienie. Nie odpowiadał mi natomiast ten pomysł Kallistosa, by kazać was zabić, bo w ten sposób znacznie zmniejszała się szansa powodzenia. Gdybym poznał jego plan wcześniej, położyłbym temu kres.

Wespazjan spojrział Narcyzowi w oczy i przynajmniej ten jeden raz uwierzył w jego słowa.

– Miło nam to słyszeć – powiedział.

– To wielce satysfakcjonujące, ale nie ma nic do rzeczy. Istotny jest natomiast mój drugi powód, dla którego chciałem, byście przeżyli. Jak wiecie, przykazałem Gabiniuszowi, że ma uważać, by włos z głowy wam nie spadł, jeśli wasze ścieżki się gdzieś skrzyżują, wysłałem mu także kopie rozkazów, jakie otrzymaliście, by nie miał wątpliwości, że jesteście pod moją ochroną.

– Nawet gdyby emblemat się nie znalazł?

– Nawet wtedy.

Bracia spojrzeli na siebie kompletnie zdezorientowani.

Na twarzy Narcyza pojawił się rzadki u niego wyraz rozbawienia.

– Przyznam, że nie zawsze tak było. Kiedy dobijaliśmy targu, jak najbardziej zamierzałem cię uśmiercić, Sabinusie, gdyby ci się nie powiodło. Jednak w polityce zmiany zachodzą bardzo szybko i politycy muszą się zmieniać wraz z nimi, jeśli mają przetrwać. Będę z wami szczerzy. W czasie pierwszych kilku miesięcy panowania Klaudiusza przekonałem się, że to nie ja mam największy wpływ na mojego podatnego na wpływy patrona. Moje usta są niewątpliwie blisko jego ucha, ale niestety, usta jego bardzo atrakcyjnej młodej żony są blisko jego fiuta i chyba wszyscy się zgodzimy, że jej stanowisko jest zdecydowanie bardziej wpływowo.

Wespazjan nie zamierzał dyskutować, tym bardziej że głowę miał zaprzątniętą Cenis, co nie pozwalało mu się skoncentrować. Sabinus wymamrotał coś potakująco, niewątpliwie zajęty myślami o karesach swojej Klementyny.

– Jednakże Messalinie, w przeciwieństwie do mnie, nie leżą na sercu interesy Klaudiusza. Prawdę mówiąc, interesują ją tylko interesy własne i jej brata Korwinusa. Zgoda, nie ma w tym nic dziwnego, niepokoi mnie jedynie fakt, że jej interesy ograniczają się wyłącznie do przyjemności i władzy i że fiut cesarza nie jest jedynym, do którego zbliża swoje usta. – Narcyz ustawił piramidkę z palców dłoni i wychylił się zza biurka. – Ona zaczyna budować potężną sieć złożoną z ambitnych młodych mężczyzn, związanych z nią więzami wzajemnego dogadzania sobie i żądzy władzy. Innymi słowy, alternatywny dwór.

– To dlaczego nie powiesz tego cesarzowi? – spytał Wespazjan, wciąż nie rozumiejąc, co to wszystko może mieć wspólnego z nim czy jego bratem.

– Powiedziałem, podobnie jak Pallas i Kallistos, ale on nam nie wierzy, ponieważ nie wierzy niczemu, co byłoby skierowane przeciwko matce jego nowo narodzonego syna, i dlatego muszę wbić klin pomiędzy tę parę, a wy obaj macie być częścią tego klina.

– Dlaczego my?

– Bo potrzebuję ludzi, którym mogę zaufać.

Bracia spojrzeli ze zdumieniem na Narcyza.

– Wydajecie się zaskoczeni, panowie. To oczywiste, że mogę wam ufać, ponieważ jestem jedyną osobą, która może wspomóc wasze kariery, co zresztą udowodniłem, dając każdemu dowództwo legionu. Macie wybór pomiędzy mną a popadnięciem w zapomnienie... albo czymś jeszcze gorszym. Rozumiemy się?

Jasne, że rozumieli. Wespazjan i Sabinus milcząco przyjęli prawdę wynikającą ze słów cesarskiego sekretarza.

– Doskonale. Wracając do sprawy, uważam, że celem Messaliny jest obsadzenie najwyższych stanowisk w armii swoimi kochankami, a potem pozbycie się małżonka i sprawienie, by Korwinus adoptował jej synka. Rodzeństwo będzie panowało wspólnie aż do jego pełnoletności, czy jeszcze dłużej, przy wsparciu rozlicznych lojalnych gachów Messaliny, którzy zagwarantują im lojalność legionów. Ona nieustannie zabiega u Klaudiusza o stanowiska dla mężczyzn, którzy właśnie opuścili jej łóżce. Zostają wysoko postawionymi trybunami czy prefektami oddziałów pomocniczych albo legatami, tak jak w wypadku Gety.

– Geta jest jej kochankiem? – spytał wstrząśnięty Sabinus.



– Jednym z wielu.

– Ale przecież on został legatem w Mauretanii krótko przed tym, jak urodziła.

– Przypuszczam, że on ma szczególnie gusta. Wiedziałem, że mieli romans, kiedy była w ciąży. Zdziwiło mnie natomiast to, że Klaudiusz mianował Getę bez żadnej mojej czy moich kolegów sugestii. Bardzo niezwykle zachowanie. To właśnie wtedy uświadomiłem sobie, jak Messalina wykorzystuje swój wpływ na Klaudiusza. Potem, krótko po waszym wyjeździe z Rzymu, cesarz zaczął nalegać na coś zupełnie bezsensownego z militarnego punktu widzenia. Wcześniej już ustaliliśmy skład sił wyznaczonych do podboju Brytanii: trzy legiony znad Renu, co jest rozsądne, skoro mamy teraz porozumienie z germańskimi plemionami; następnie jeden z legionów z Hiszpanii, bo od wojny kantabryjskiej, niemal przed trzydziestu laty, panuje tam spokój. Tymczasem Klaudiusz sprzeciwił się udziałowi tego ostatniego i zażądał, by w jego miejsce wysłano Dziewiąty legion Korwinusa, z Panonii, czyli z prowincji, która jest, najdelikatniej rzecz ujmując, niespokojna. Uparł się i powtarzał, że rodzina jego ukochanej małżonki zasługuje na swój udział w chwale. W tamtym czasie mogłem tylko domyślać się jej prawdziwych motywów, ale wiedziałem, że nie chciałaby narażać niepotrzebnie brata bez jakiegoś poważnego powodu, i dlatego zacząłem przeciwdziałać jej posunięciom. Poobsadzałem swoimi ludźmi tyle stanowisk w pozostałych trzech legionach, ile tylko się dało. Ty, Wespazjanie, zostałeś już wyznaczony na legata II legionu *Augusta*, co służyło moim celom, niemniej, aby jeszcze bardziej wzmocnić swoją pozycję, postanowiłem przymknąć oko na twój udział, Sabinusie, w wyniesieniu do władzy mojego patrona i pamiętając o twoim doświadczeniu legata w Dziewiątym legionie *Hispana*, które mogłoby okazać się użyteczne w przyszłości, dałem ci Czternasty. Jakies dwa miesiące temu dokonana przeze mnie nominacja na legata Dwudziestego została cofnięta przez cesarza, który mianował na to stanowisko Getę, rzekomo w nagrodę za jego udział w kampanii mauretańskiej i w przyłączeniu tej krainy do cesarstwa. To posunięcie potwierdziło moje podejrzenia: Messalina przywłaszczała sobie ten podbój.

Wespazjan zerknął na brata i ponownie skierował zafrasowany wzrok na Narcyza.

– To co my tu jeszcze robimy? Na pewno nie miałyby trudności z przekonaniem cesarza, żeby nas też zastąpił kimś innym.

– Och, próbowała, prawdę mówiąc, bardzo się starała, ale jeden czynnik jej przeszkodził, a mianowicie Koziorożec Dziewiętnastego. W tym czasie musiałem się już zwierzyć moim dwom kolegom z obaw dotyczących tego, co się stanie, jeśli uda się jej wymusić stosowne nominacje we wszystkich czterech legionach. Pallas

pokazał mi godło, które mu przysłaliście. – Narcyz zamilkł i popatrzył po kolei na obu braci. – Przysłaliście *jemu, nie mnie*; ale tę drobną nielojalność odłożę na bok. Tak czy owak, tego nam właśnie było trzeba. Przekazaliśmy je Klaudiuszowi, mówiąc, że to dar od was obu. Bardzo się tym podniecił i zrobił wielkie publiczne przedstawienie i numer pokazowy, zwracając je świątyni Marsa. Po tym byliście już bezpieczni, Klaudiusz nie posłucha niczego skierowanego przeciwko wam. Nawet Messalina nie jest w stanie nikim zastąpić jego „dwóch lojalnych Flawiuszów”, jak zaczął was nazywać.

Sabinus przeczesał palcami włosy.

– Dlaczego ten Koziorożec był dla niego taki ważny, skoro miał już orła Siedemnastego?

Wespazjan rzucił jedno spojrzenie na Narcyza i od razu pojął, w czym rzecz.

– Bo jeszcze nic nie wie o orle, bracie, prawda, cesarski sekretarzu?

– Orzeł się znajdzie w stosownym momencie – odparł Narcyz tonem, który wskazywał, że rozmowa na ten temat dobiegła końca. – Wiedziałem więc, że dwa z czterech legionów udających się do Brytanii są pod moją kontrolą, a nie tej kobiety. Udało mi się też załatwić, by to Azjatyk dowodził posiłkami. Jak wicie, już wcześniej okazał się wielce pożyteczny dla cesarza.

Wespazjan pamiętał, jaką rolę odegrał Azjatyk, kiedy był konsulem i kiedy to, osiem lat wcześniej, on sam i Korbulon, na polecenie matki Klaudiusza, Antonii, zamordowali Poppeusza. Morderstwo zostało szczegółowo zaplanowane przez Pallasa i Narcyza i uczyniło Klaudiusza bajecznie zamożnym człowiekiem.

– Domyślam się, że ich wspólna przeszłość gwarantuje jego lojalność.

Narcyz lekceważąco machnął dłonią.

– Już raczej fakt, że Azjatyk pomógł Klaudiuszowi zainwestować nieoczekiwany przyływ gotówki, będący rezultatem nagłego zejścia śmiertelnego Poppeusza, i uzyskać samemu znaczące zyski. Ostatnio pozwolił sobie nawet na kupno ogrodów Lukullusa. Jest mi bardzo wdzięczny i mogę na nim polegać, tak jak na was obu. Gdyby wszystkie legiony oraz posiłki znajdowały się pod komendą ludzi Messaliny, Klaudiusz nie miałby szans na swoje zwycięstwo.

– Ona by je udaremniła? – spytał Wespazjan z niedowierzaniem w głosie. – Toż to szaleństwo; umocnienie pozycji Klaudiusza jest jej przecież niezbędne dla zabezpieczenia własnej.

– Nie, jeśli spojrzysz na to szerzej. Kiedy Aulus Plaucjusz został mianowany głównodowodzącym, wywiązała się dyskusja na temat tego, kto miałby przejąć jego

stanowisko, gdyby zginął. Oczywiście kandydatem byłaby ta tłusta świnia Sencjusz, ale nawet Klaudiusz zauważył, że to byłaby katastrofa, a ja nie byłem taki głupi, aby go przekonywać, że jest inaczej. Zbyt długo trwałoby sprowadzenie odpowiedniego kandydata z Rzymu czy z którejś z prowincji i dlatego na dowódcę posiłków wybrałem Azjatyka; byłby w odległości kilku dni drogi. Na przekór mnie Messalina zasugerowała mężowi, na pewno wykorzystując przy tym swoje kobiece sztuczki, że na potencjalnego dowódcę powinno się wyznaczyć jej brata, bo będzie bliżej terenu działań, a Klaudiusz na to przystał i w żaden sposób nie można go było przekonać do zmiany decyzji. Korwinus ma zatem w tej sprawie cesarskie pełnomocnictwo i jak sądzę, jego zamiarem jest z niego skorzystać.

– Zamierza zamordować Plaucjusza?

– Zamierzał zamordować Plaucjusza. Teraz już nie jest tego taki pewien. To niespokojne spojrzenie, jakie, co pewnie zauważyliście, wymienił z Getą, nie dotyczyło sukcesu podboju, tylko tego, że zniweczono ich plany. Pierwotnym zamysłem rodzeństwa było przechwycenie przez Korwinusa dowództwa wtedy, kiedy już zwycięstwo będzie pewne. On rościłby sobie prawo do chwały, czego bratu cesarzowej Klaudiusz nie mógłby odmówić; tym samym pozycja cesarza została by przez najazd osłabiona, a nie wzmocniona. Zatem, aby temu przeciwdziałać, postanowiłem, że Klaudiusz ma być obecny przy ostatecznym zwycięstwie i osobiście poprowadzić armię, choć wiedziałem, że oznacza to przyspieszenie w harmonogramie działań i spowoduje silne napięcia logistyczne całego tego przedsięwzięcia. Ponieważ nigdy wcześniej nie miał okazji okryć się osobistą wojenną chwałą, natychmiast podchwycił ten pomysł i Messalina nie bardzo mogła się temu przeciwstawić, choć jestem pewien, że nie raz w pościeli wyraził swoje nieszczerze zaniepokojenie o jego bezpieczeństwo. Zatem, jeśli nawet Korwinus postanowił zamordować Plaucjusza, to teraz już przecież wie, że tak czy owak przybędzie cesarz, by okryć się chwałą, więc niby czemu miałoby to morderstwo służyć?

– Kompletnie niczemu.

– Mimo to wciąż jeszcze może tego spróbować, po czym razem z Getą zignorują rozkaz, by czekać na cesarza nad Tamezis, i będą parli dalej, by zdążyć odnieść zwycięstwo, zanim przybędzie Klaudiusz. Zatem oto, czego potrzebuję od was dwóch: strzeżcie Plaucjusza i nie pozwólcie Korwinusowi i Gecie zejść zbyt daleko przed przybyciem cesarza.

– Powinniśmy ostrzec Plaucjusza – zauważył Sabinus. – Łatwiej będzie zachować

go przy życiu, jeśli się będzie pilnował.

Wespazjan pokręcił głową.

– Nie, bracie – powiedział – jestem przekonany, że cesarski sekretarz z powodów bezpieczeństwa odrzucił już tę możliwość.

Narczyz uniesieniem brwi dał do zrozumienia, że docenia tę uwagę.

– Otóż to, legacie, Plaucjusz nie może nic o tym wiedzieć i musicie mi teraz przysiąc, że cokolwiek się wydarzy, a mam na myśli dosłownie cokolwiek, nie pójdziecie do niego. – Ponownie zwrócił się do Sabinusa. – Gdyby ostrzeżono go przed tą potencjalną zdradą, zrobiłby jedną albo i obie z tych rzeczy. Napisałby do cesarza, domagając się, by ktoś inny zastąpił Korwinusa i Getę, a ponieważ mnie nie ma w Rzymie, by kontrolować korespondencję Klaudiusza, ten list dotarłby do jego rąk. Poza tym doprowadziłyby do konfrontacji i zdemaskowały ich zamiary. W każdym z tych wypadków Messalina zorientowałaby się, że mam ją na oku, a do tego w żadnym razie nie wolno dopuścić. Moje życie znalazłoby się w wielkim niebezpieczeństwie i w przyszłych spiskach Messalina byłaby bardziej ostrożna. By się pozbyć tej harpii, muszę utrzymywać ją w poczuciu braku zagrożenia, żeby jej arogancja stała się niefrasobliwością. – Usta Narcyza wykrzywił smętny uśmiezek. – Może was to zaskoczy, ale żeby upewnić ją w tym złudnym poczuciu bezpieczeństwa, pomagałem nawet tej mściwej suce w niszczeniu dawnych nieprzyjaciół jej rodziny.

Wespazjan westchnął.

– Już nic mnie nie zdziwi w cesarskiej polityce – oświadczył.

Cenis objęła szyję Wespazjana i pocałowała go, przywierając do niego całym ciałem.

– Tęskniłam za tobą, ukochany.

Wespazjan zareagował z nie mniejszym zapałem, podczas gdy Sabinus i Magnus rozglądali się po jego namiocie, zupełnie jakby proste, skromne meble i ozdoby zasługiwały na dokładną analizę.

– Co ty tu robisz? – spytał Wespazjan, wyzwalając się z jej objęć.

– Dokładnie to, co widać: jestem sekretarką sekretarza, a uwierzysz, że w Rzymie mam własną sekretarkę?

Wespazjan roześmiał się.

– Sekretarkę sekretarki sekretarza? To już chyba najwyższy poziom biurokracji.

– Być może, ale Narcyz, Pallas i Kallistos to uwielbiają. Im więcej urzędników mogą wcisnąć do pałacu i im więcej nowych zasad postępowania tam zastosują, tym trudniej wszystkim innym zrozumieć, jak to wszystko działa.

– Ale dlaczego pracujesz dla Narcyza, a nie Pallasa?

– To polecenie Klaudiusza, a ja muszę być posłuszną swojemu patronowi i cesarzowi, prawda? Myślę zresztą, że to pomysł Narcyza, przy aprobacie Pallasa. Używają mnie do porozumiewania się z sobą bez wiedzy Kallistosa.

– Ten obrzydliwy gówniany pokurcz próbował nas zabić – warknął Sabinus.

– Tak, Pallas wpadł w taką furię, kiedy się o tym dowiedział, że prawie podniósł głos. Zniszczyło to wszelkie zaufanie, jakim on i Narcyz mogli wcześniej darzyć Kallistosa. Teraz próbują obaj sfabrykować dowody na to, że Kallistos współpracuje z Messaliną, żeby pogrzyżyć go razem z nią. W tej chwili Rzym nie jest najprzyjemniejszym miejscem.

– Jak sobie nasz wuj daje z tym wszystkim radę?

– W miarę możliwości trzyma się jak najdalej od wszystkiego, choć sytuacja, jaką ma w domu, zmusza go do wychodzenia z niego częściej, niż miałby na to ochotę.

– Matka wreszcie przyjechała?

– Tak, dwa miesiące temu. Eskortował ją Artebuz. Ona i Flawia mają odmienne opinie na temat opieki nad dziećmi.

Wespazjan skrzywił się.

– Wyobrażam sobie. I nie przypuszczam, by zachowywały je dla siebie, prawda?

– Niestety nie. Mam listy dla ciebie od nich obu i jeden od twojego wuja, we wszystkich zapewne są narzekania na pozostałych.

– Jest równie źle jak w wypadku kłócących się wyzwolenców Klaudiusza – zauważył Magnus, nalewając sobie wina.

– Nawet gorzej – zachichotał Sabinus – bo tamci przynajmniej nie mieszkają pod jednym dachem.

Wespazjan zareagował kwaśną miną na jego słowa.

– Może rzeczywiście powinienem zacząć myśleć o własnym domu.

– Nie proś mnie o pozyczkę, bracie.

– Jeszcze bym trochę zaczekał, panie – poradził Magnus, napełniając znowu kielich. – Sytuacja w Rzymie nie będzie zbyt stabilna, kiedy Narcyz i jego kołesie zajmą się obalaniem cesarzowej.

– Jeśli uda im się ją dopaść.

– Och, jestem pewien, że ją dopadną. Rzecz jednak w tym, kto zajmie jej miejsce, kiedy to już zrobią. Bo to będzie pozycja, do której zajęcia zgłosi się sporo wściekłych suk.

– Będziemy się na razie martwić jedną wściekłą suką. Skoro Narcyz wplątał już nas w tę kabałę, nie widzę powodu, by dać mu się wplątać w kolejną. – Wespazjan objął Cenis ramieniem. – Tymczasem mam sprawy niecierpiące zwłoki.

Magnus opróżnił kielich.

– Myślałem, że po południu dołączysz do swoich chłopców ćwiczących przed podbojem.

– Jestem pewien, że sami sobie poradzą.

– Podczas gdy ty dokonasz podboju gdzie indziej, jeśli wiesz, co mam na myśli?

Cenis uśmiechnęła się.

– Coś w tym stylu, Magnusie.

---

\* Tamiza (łac. *Tamesis*).

## Rozdział czternasty

Jesteście tego całkowicie pewni? – spytał ostrym tonem Aulus Plaucjusz dwóch stojących przed nim przejętych galijskich kupców. Znajdowali się w jego sali odpraw, skąpanej w migotliwym świetle lamp oliwnych.

– Tak, wodzu – odparł starszy z nich – usłyszeliśmy z synem te wieści wczoraj. Wypłynęliśmy z Brytanii dziś o świcie. Zaczęli się zbierać na ziemiach Kantiów, w południowo-wschodniej części wyspy.

– Wiem, gdzie żyją Kantiowie – warknął Plaucjusz; te wieści nie poprawiły mu humoru. – O ilu plemionach mowa?

– O Katuwelaunach i wszystkich podległych im plemionach.

– Kto nimi dowodzi?

– Karadok czy Karatakus, jak wy, Rzymianie, go nazywacie, i jego brat Togodumnus z plemienia Katuw...

– Wiem, z którego są plemienia! – Plaucjusz rzucił pobrzękującą sakiewkę starszemu mężczyźnie. – Możecie odejść. – Kupcy skłonili się i wyszli, a Rzymianin odwrócił się do ogromnego trzydziestokilkuletniego mężczyzny z długimi włosami, rumianą twarzą i długimi obwisłymi wąsami. – Jak sądzisz, Adminiosie, ilu to ludzi?

Bryt odpowiedział natychmiast.

– Jeśli są tam obaj moi bracia, oznaczałoby to co najmniej Trynowantów, Atrebatów, konfederację Regnów i konfederację Kantiów; możliwe, że również Dobunnów i Belgów z położonych dalej na zachodzie terenów. To siła przynajmniej stu tysięcy wojowników, może więcej, stawiających nam czoło na plaży. A zapewniam cię, że oni będą tam czekali, bo to dla nich najlepsza szansa, by nas pokonać.

– Nie wszyscy Atrebatowie i nie cała konfederacja Regnów – wtrącił starszy Bryt o siwych włosach i czarnych wąsach w takim samym jak u pobratymca stylu.

Plaucjusz przesunął dłoń po krótko ostrzyżonych włosach.

– Czemu tak uważasz, Weryko?

– Mój młody krewny, król wyspy Wektis\*, nienawidzi Karatakusa, jego lud nie dołączy do tej armii. Tak jak i nie cały mój lud, nie wszyscy Regnowie.

– Nawet i wtedy będzie ich więcej, niż stanęło przeciwko Cezarowi, a przecież już on musiał się nieźle natrudzić. – Plaucjusz spojrzął na siedzących po swojej prawicy legatów. – No cóż, panowie, tamci już wiedzą o naszym wcześniejszym przybyciu. Pytanie zatem brzmi, co z tym zrobimy? – zakończył, nie kryjąc niepokoju.

Wespazjan zerknął na trzech kolegów i zobaczył, że żaden nie wygląda na takiego, który miałby jakiś pomysł.

– W tej sytuacji musimy rzecz odwlec – powiedział. – O tej porze roku tylu ludzi nie może długo żywić się tym, co znajdują dookoła. Wkrótce będą musieli się rozejść.

– Zgadzam się, Wespazjanie, to oczywiste rozwiązanie, tyle że politycznie niemożliwe. Już wyobrażam sobie oskarżenia o zdradę, jeśli choć o godzinę później wypłyniemy z portu. Mamy wyruszyć za dwa dni, co oznacza, że jutro żołnierze zaczynają wchodzić na pokład.

– Zmieńmy zatem miejsce lądowania – zasugerował Sabinus.

– Właśnie to rozważam. Trybunie Alienusie, duża mapa. – Plaucjusz wstał i podszedł do stołu; legaci dołączyli do niego. Młody, niski rangą trybun rozwinął mapę ukazującą południowe i wschodnie wybrzeża Brytanii i położone najbliżej tej wyspy wybrzeże Galii. Plaucjusz wskazał Gezoriakum, a potem przeniósł palec odrobinę na północny wschód, tam, gdzie wybrzeże Brytanii było najbliższe. – Planowałem dobić do brzegu tutaj, tak jak zrobił to Cezar, z trzech powodów: po pierwsze, bo nie chciałem ryzykować dłuższego pobytu na wodzie, po drugie, bo mamy zapiski Cezara dotyczące miejsca lądowania i tych przeklętych pływów, za którymi tak tam przepadają, i wreszcie po trzecie, bo jest to najkrótsza trasa do przebycia dla naszych statków z zaopatrzeniem. Stąd zamierzałem pójść wprost na północ, do głównego miasta Kantiów, i przywrócić tron Adminiosowi. – Przesunął palcem w górę, wskazując miasto leżące blisko wysepki przy najbardziej wysuniętym na wschód krańcu Brytanii. – W tym samym czasie flota przejęłaby kontrolę nad kanałem, pomiędzy tą małą wysepką, Tanatis<sup>\*</sup>, a wyspą, uzyskując tym samym dostęp do ujścia Tamezis i do wnętrza krainy. Wysłałbym też dodatkowe siły na południe, by strzegły dla nas niewielkiej naturalnej przystani pod białymi skałami, o tutaj. – Wskazał brzeg Brytanii położony najbliżej Galii. – Z zabezpieczonymi tyłami i prorymską administracją ulokowaną wzdłuż naszych linii zaopatrzenia pokonalibyśmy forsownym marszem trzydzieści mil z miasta Kantiów, Kantiakum, wzdłuż ujścia, trzymając się północnej strony tego pasma wzgórz i chroniąc naszą flankę. Zajęlibyśmy jedyny most na tej rzece, zwanej Afon Kantiów, która wpływa tutaj, do ujścia Tamezis. Ta trasa ma dwie podstawowe zalety:



możemy otrzymywać wsparcie i zaopatrzenie od naszej floty operującej w tym ujściu i możemy również wykorzystać wzgórza, które, jak mówi Adminios, są tylko częściowo zalesione, do wypasania naszych zwierząt. – Plaucjusz przesunął palec wzdłuż linii niemal równoległej z ujściem rzeki. – Stąd skierowałbym się na zachód, do brodu na Tamezis, przeprowił na ziemi Katuwelaunów i ruszył na wschód, do ich głównego miasta, Fortu Kamulosa, nazwanego tak na cześć ich boga wojny.

– Co się stanie, jeśli Brytowie zniszczą most, zanim do niego dotrzemy? – spytał Wespazjan, spoglądając na rzekę, która wydawała się jedyną większą przeszkodą przed brodem na Tamezis.

– Najprawdopodobniej zechcą to zrobić i spróbują wykorzystać tę rzekę przeciwko nam. Prawdę mówiąc, spodziewam się tego. A ponieważ będziemy zapewne walczyć z nimi podczas przeprawy przez Tamezis, więc nie zaszkodzi dać chłopcom okazji poćwiczyć najpierw z tą rzeką.

– Mamy przecież sześć kohort piechoty i oddział jazdy złożony z Batawów. Widziałem już, jak pokonują rzeki, nie jest to dla nich problem. Powinniśmy wykorzystać nasze możliwości, dowódco.

– Och, jak najbardziej. Przewieziemy taborami lekkie łodzie, by posłużyły za most, tego nie będą się spodziewali. Jednak teraz to wszystko musi ulec zmianie, skoro sto tysięcy dzikusów z kudłatymi tyłkami, obsmarowanych tą ohydą niebieskoszarą gliną, czeka na nas na plaży, z workami pełnymi pocisków do proc i z tym ich odstręczającym zachowaniem.

– A dlaczego by nie wylądować w pobliżu samego Fortu Kamulosa – zasugerował Korwinus z błyskiem w oku, co natychmiast utwierdziło Wespazjana w przekonaniu, że hipoteza Narcyza ma jednak pewne podstawy.

– Nie mogę go opanować bez cesarza.

– To popłynemy dalej na północ, do ziemi Paryzjów, z którymi mamy traktat pokojowy – powiedział Sabinus, wskazując teren na wschodnim wybrzeżu – i zejdźmy wybrzeżem na południe. Wszystkie te okolice muszą kiedyś zostać podbite.

– Z wojskowego punktu widzenia byłoby to szaleństwo, legacie, gdybyśmy umieścili nasze siły na samym końcu długiej morskiej linii zaopatrzenia. Tylko kobieta uważałaby to za wykonalne.

Sabinus zeszywniał na taką zniewagę.

– Przepraszam, Sabinusie – zmiłogował się dowódca – to było niegodne z mojej strony. Należy rozważyć wszystkie możliwości.

Sabinus rozchmurzył się i podniósł dłoń, dając do zrozumienia, że nic się nie stało. Na twarz siedzącego obok niego Korwinusa wypełził krzywy uśmiezek.

– A gdybyśmy tak wylądowali dalej na zachód? – spytał Geta, kładąc palec na wysepce przy południowym wybrzeżu. – Kanał pomiędzy Wektis i stałym lądem osłaniałby flotyllę; jest też ten naturalny port na wschód od tego miejsca, które jak sądzę, jest stolicą wodza Weryki, więc mogą nas tam przyjąć przyjaźnie.

Weryka skłonił głowę na znak zgody.

– Moi Regnowie powitaliby was przyjaźnie, ale są tylko jedną z grup Atrebatów. Musielibyście przebijać się na północ, a jeszcze wcześniej pokonać mojego bratanka na wyspie Wektis.

Plaucjusz pokręcił głową.

– I w drodze na północ nie moglibyśmy liczyć na wsparcie floty. Zanim dotarlibyśmy do Tamezis, nasza lądowa linia zaopatrzenia wydłużyłaby się na ponad siedemdziesiąt mil i cały czas bylibyśmy narażeni na ataki ze wschodu i zachodu, to zbyt ryzykowne. Jedna porażka i zostalibyśmy odcięci. Zatem, mając na uwadze, że tylko głupiec dzieli siły w tak nieprzyjazynym kraju przed odniesieniem decydującego zwycięstwa, musimy wypracować sposób, który pozwoli wylądować całym naszym siłom na południowym wschodzie.

Wespazjan odchrząknął i wskazał palcem kanał oddzielający wysepkę Tanatis przy wschodnim krańcu Brytanii.

– Wykonajmy więc nasz pierwotny plan, tyle że w odwrotną stronę, dowódco. Wylądujemy tutaj, za ich plecami, i ruszmy na południe, zachodząc ich od tyłu. W końcu i tak będziemy musieli stoczyć z nimi bitwę, więc jeśli zrobią nam tę uprzejmość i zgromadzą wszystkich swoich wojowników w jednym miejscu, to uważam, że powinniśmy to wykorzystać.

– Jak wyglądają tam plaże, Adminiosie?

– Są odpowiednie dla naszych celów. – Mężczyzna wskazał ręką cypel. – Nazywamy to miejsce Rhudd yr epis, czyli „koński bród”. To łagodnie wznosząca się plaża, osłonięta przez wyspę, i prowadzi z niej dobra droga przez całe dziesięć mil do miasta Kantiów.

– Musielibyśmy więc najpierw wylądować częścią sił na Tanatis, by ją opanować, zanim siły główne wylądują w tym Rutupis, czy jak to się zwie, zdobędą tam przyczółek i ruszą na miasto. Kiedy już będzie nasze, skęcimy na południe i zajmiemy się twoimi kłopotliwymi braćmi. Będą walczyć czy spróbują wycofać się w jakieś upatrzone miejsce?

– Będą walczyć, nie mają wyboru. Nie mogą uciekać na zachód z powodu tej wielkiej dębowej puszczy. Nikt tam nie mieszka; dla armii takich rozmiarów jest nie do przebrnięcia, więc będą musieli z nami walczyć i albo nas pokonać, albo spróbować nas obejść.

Plaucjusz przez długą chwilę wpatrywał się w mapę.

– Tak, ten pomysł ma zalety, choć niezależnie od tego, jak dobrze wykonamy robotę, sporo ich się nam wymknie. Zostawię Sencjusza z niewielką częścią naszych sił tam, gdzie ewentualnie dobijemy do brzegu, by zabezpieczył linie dostaw, i ruszę z głównymi siłami na północny zachód, za resztkami armii Brytów. Oni natomiast nie będą mieli innego wyjścia, jak przejść przez most i go zniszczyć, a potem spróbować wykorzystać rzekę przeciwko nam. To będzie krwawy dzień. A potem ci, którzy przeżyją, wycofają się za rzekę. – Plaucjusz zastanawiał się chwilę, rozważając całą sprawę. – Tak, to może się sprawdzić i możemy być na drugim brzegu Tamezis półtora miesiąca po zejściu na ląd, zniszczywszy siły Brytów w trzech bitwach.

– A potem posiedzimy tam, dłubiąc w nosie, czekając na mojego szwagra, podczas gdy Brytowie zbiorą kolejną armię? – spytał Korwinus, spoglądając z powątpiewaniem na Plaucjusza.

– Legacie, przypominam ci, że twój szwagier jest naszym cesarzem i skoro takie są jego rozkazy, to muszę być im posłuszny.

– To nie są *jego* rozkazy, one pochodzą od tego nadętego wyzwolenca i ty to dobrze wiesz... wodzu.

– To nie ma znaczenia, on przemawiał w imieniu cesarza.

– Do końca czerwca moglibyśmy opanować cały południowy wschód!

– Nie podnoś na mnie głosu, legacie. Spróbuj się dalej spierać, a klnę się na moje bóstwa domowe, odbiorę ci stanowisko i napiszę do twojego ukochanego szwagra, że podejrzewam cię o zdradę.

– Jestem przekonany, że mój kolega wyrażał jedynie rozczarowanie, jakie z powodu tej zwłoki jest udziałem nas wszystkich – odezwał się szybko Wespazjan, zauważając zdezorientowane spojrzenie Korwinusa. – I jestem pewien, że rozumie on, tak jak i wszyscy pozostali, polityczne powody tej zwłoki.

Plaucjusz chrząknął.

– Na pewno masz rację, Wespazjanie. To dla nas wszystkich denerwująca sytuacja, ale cóż, tak się rzeczy mają. Zupełnie niepotrzebne są niesnaski między nami, więc nie będziemy już nic więcej na ten temat mówili, prawda, Korwinusie?

Korwinus wysunął do przodu szczękę, zrezygnował jednak z dalszego sporu.

– Prawda, dowódco.

– Doskonale. Statki z zaopatrzeniem zostały załadowane i wyszły z portu. Armia zacznie wchodzić na pokłady jutro w południe. Żołnierze spędzą na statkach noc, a potem pozelegujemy z odpływem godzinę po północy. Jakież pytania?

Czterej legaci pokręcili przecząco głowami.

– Niech wasze legiony i oddziały pomocnicze jutro w południe przemaszerują przed obozami w pełnym rynsztunku i z racjami żywnościowymi na siedemnaście dni. A teraz jesteście wolni, panowie.

Wespazjan zasalutował razem z pozostałymi i ruszył energicznie z Sabinusem do wyjścia. Korwinus i Geta szli za nimi.

– Co ty wyprawiasz, kmiecie? – Korwinus wyszeptał w ucho Wespazjana, kiedy niewolnik zamknął za nimi drzwi. – Myślałem, że ty i twój brat rogacz będziecie zachwyceni, widząc, jak Plaucjusz próbuje odebrać mi dowództwo.

Sabinus odwrócił się gwałtownie, chwycił Korwinusa za gardło i przycisnął do ściany.

– Czym mnie nazwałś? – spytał.

Korwinus poderwał prawą rękę i uderzając z całych sił ramię Sabinusa, uwolnił się.

– Dokładnie tym, czym jesteś – odparł.

Wespazjan chwycił brata za barki, a Geta zasłonił sobą Korwinusa.

– Zostaw go, bracie! Chodźmy stąd.

Korwinus wychynął zza ramienia Gety i z krzywym uśmiezkiem zawołał:

– Prawda boli, co?

– Kiedyś cię jeszcze dopadnę, ty arogancki sukinsynu, i wykończę! – Sabinus wrzał z wściekłości.

– Mało prawdopodobne, skoro moja siostra dzieli łożę z cesarzem.

– Nie jest tam na zawsze, ona...

– Sabinusie! – krzyknął Wespazjan.

– A kto ją stamtąd wyciągnie? – rzucił drwiąco Korwinus. – Ty? – Zamilkł nagle, po czym uśmiechnął się znacząco. – A może Narcyz? Czy to właśnie omawiał z wami za zamkniętymi drzwiami? I dlatego twój wsiowy brat wsparł mnie przed chwilą? Bo to zupełnie do niego nie pasowało. Po co chciałby, bym utrzymał dowództwo, jeśli nie po to, by sprawić wrażenie, że wszystko jest w porządku? Ten śliski Grek wciągnął was w knowania przeciwko mojej siostrze.

– Nie bądź głupi, Korwinusie – powiedział Wespazjan, pociągając brata za sobą. – Po co miałyby to robić, skoro zależy mu na dobru cesarza?

Korwinus uniósł brwi.

– Czyżby? Pewnie to prawda, ale tylko dopóki to jest ich wspólne dobro. Bo poza tym szczerze w to wątpię. Żegnam panów, dzięki za tę pogawędkę, była wielce pouczająca.

Geta ruszył za nim, rzucając braciom gniewne spojrzenie.

Wespazjan zwrócił się do Sabinusa.

– To było bardzo...

– Tylko mi nic nie mów, szczeniaku. Dobrze wiem, jakie to było głupie.

Wespazjan obudził się tuż przed świtem. Dźwięki dochodzące z zewnątrz świadczyły, że żołnierze zwijają już obóz. Czuł ciepło ciała przytulonej do niego Cenis. Słuchał jej spokojnego oddechu, wiedząc, że nieprędko się zobaczą. Najbliższą noc miał spędzić na pokładzie statku, czekając, aż zabierze ich na tę dziką wyspę.

Musnął twarzą włosy Cenis, wdychając ich zapach, potem pocałował ją delikatnie, wysunął spod niej ramię i wymknął się z łóża.

– Już czas, kochany? – spytała rozespanym głosem, kiedy wiązał przepaskę biodrową.

– Niedługo zameldują się u mnie moi oficerowie, a potem przez cały dzień będę zajęty zaokrętowaniem żołnierzy.

– W takim razie teraz się pożegnamy. Narcyz chce, żebym wróciła do Rzymu z jego osobistą korespondencją do cesarza, jak tylko żołnierze znajdą się na statkach.

Wespazjan usiadł obok niej i wziął ją w ramiona.

– Czy długo to potrwa, Wespazjanie?

– Co najmniej dwa lata, a prawdopodobnie więcej.

– Mała Domicylla będzie miała trzy albo cztery lata, zanim pozna swojego ojca.

– Przy założeniu, że wcześniej nie dopadnie mnie jakiś oblepiony gliną dzikus.

– Nie mów takich rzeczy, najdroższy, bo to przynosi pecha. Nic ci się nie stanie, ja to wiem.

– Zabierz, proszę, jeśli nie masz nic przeciwko temu, moje listy do Flawii, do matki i Gajusza.

Cenis pocałowała go w policzek.

– Oczywiście, że chętnie to zrobię. Jestem z Flawią w doskonałych stosunkach, zresztą ku zdumieniu twojej matki. Pozwoliła nawet małemu Tytusowi nazywać mnie ciocią. Choć za każdym razem, kiedy tak się do mnie zwraca, czuję żal, że nie może nazywać mnie matką.

Wespazjan, nie znajdując odpowiednich słów, przytulił ją jeszcze mocniej. Doskonale wiedział, jak wiele Cenis poświęciła, by móc z nim być.

– Bądź w Rzymie ostrożna, staraj się trzymać jak najdalej od pałacu. Domyślam się, że teraz, kiedy Sabinus wykazał się takim brakiem dyskrecji, spiskowanie Narcyza przybierze na sile.

– Odkąd dla niego pracuję, muszę być codziennie w pałacu, mimo że on sam jest tutaj. Jednak nawet jeśli on i Messalina prowadzą otwartą wojnę, to ta kobieta nie zdoła go pokonać. Klaudiusz za bardzo na nim polega.

– Może kazać go zamordować.

– Narcyz jest bardzo ostrożny. Ma nawet niewolnika do próbowania jedzenia. Gdyby jednak jej się udało, to nie muszę się obawiać, bo ja jej w niczym nie zagrażam. A poza tym, ponieważ za panowania Kaliguli tak długo pozostawałam w ukryciu, wątpię, by w ogóle znała moje imię.

– Miejmy nadzieję, że tak jest.

– Na pewno. To Sabinus powinien się o siebie martwić. Narcyz nie był zachwycony.

– Mało powiedziane – mruknął Wespazjan, myśląc o rozmowie Sabinusa z Narcyzem krótko po tym, jak brat okazał się taki nieostrożny w rozmowie z Korwinusem.

Narcyz wpadł w szal, czego objawem było coraz bardziej lodowate spojrzenie i coraz spokojniejszy głos, kiedy rugał legata. Upokorzenie, jakim było wysłuchiwanie połajanek od zwykłego wyzwolenca, stało się dla Sabinusa tak trudne do zniesienia, że Wespazjan musiał uspokajająco położyć mu dłoń na ramieniu w momencie, kiedy Narcyz zarzucił mu nieudolność i zagroził pozbawieniem dowództwa. Dopiero kiedy Wespazjan zwrócił uwagę, że Korwinus nie ma najmniejszych podstaw do swoich podejrzeń i bazuje wyłącznie na domysłach, Narcyz się uspokoił i wezwawszy centuriona gwardii pretoriańskiej, kazał zatrzymać wszystkich kurierów opuszczających tej nocy obóz Korwinusa. Było to jednak posunięcie tymczasowe i wszyscy trzej wiedzieli, że Korwinus znajdzie sposób, by poinformować siostrę o swoich podejrzaniach. Narcyz odesłał braci, ostrzegając ich tylko krótko, że jeśli nie uda mu się pozbyć Messaliny do czasu ich

powrotu do Rzymu, to będą mieli do wyboru samobójstwo albo zamordowanie cesarzowej i w rezultacie śmierć z ręki kata za tę zbrodnię.

– Powinieneś już iść, Kochany – powiedziała Cenis, całując go w usta. – Nie znoszę długich pożegnań.

– Ja też nie. – Wespazjan wstał i włożył tunikę.

– Panie! Panie! – dobiegł ich głos Magnusa z głównej części namiotu.

– Tak, wiem, już idę.

Magnus wetknął głowę między zasłony oddzielające od reszty pomieszczenie do spania.

– Nie, nie wiesz. Mucjanus przysłał mnie po ciebie, mamy ogromny problem. Chłopcy odmawiają zwinięcia obozu.

– Co? To bunt. Kim są prowadzycielowie?

– O to właśnie chodzi, że żadnych nie widać. Bo widzisz, to nie tylko Drugi *Augusta*, to wszystkie cztery legiony i wszystkie jednostki pomocnicze. Chłopcy są zjednoczeni. Rozumieją, że skoro kazano im związać obóz, to ćwiczenia się skończyły, i to im się nie spodobało. Mówią, że wyspę ochraniają potężni bogowie i pełno tam dziwnych duchów i że się tam nie wybierają. Jak mówi stare powiedzenie, nie wabi ich nieznane. Cała armia odmówiła wejścia na statki. Nie popłyną do Brytanii.

– Radzę ci zebrać armię i bezzwłocznie przemówić do żołnierzy, wodzu, bo inaczej wyślę cię do Rzymu w łańcuchach – zagroził Plaucjuszowi bez żadnych wstępów, lodowatym głosem Narcyz, wpadając do sali odpraw. – I nie tylko twoja kariera dobiegnie końca. – Popatrzył groźnie na zebranych tam legatów, prefektów oddziałów pomocniczych, trybunów i prefektów obozowych.

Plaucjusz przyjął słowa Narcyza ze spokojną twarzą.

– To byłoby bardzo nierozsądne, cesarski sekretarzu – oświadczył.

– Nierozsądne? A myślisz, że rozsądnie jest pozwolić czterdziestotysięcznej armii na lekceważenie cesarskiego rozkazu?

– Wcale tak nie uważam, ale rzeczywiście uważam za rzecz nierozsądną przekonywanie ich do zaokrętowania... akurat teraz.

– Muszą wejść na pokład dzisiaj, jeśli macie wypłynąć tej nocy.

– Nie wypłyniemy tej nocy.

Narcyz wpatrywał się w Plaucjusza, przez chwilę oniemiały.

– Chcesz mi powiedzieć, Plaucjusz, że ty również odmawiasz wypłynięcia?

– Nie, po prostu nie wyruszymy tej nocy. Pozwolimy ludziom ochłonać, po kilku dniach przemówię do nich, a dzień później wypłyniemy.

– To są żołnierze, robią to, co im się każe, i wtedy, kiedy im się każe, a nie w wygodnym dla nich momencie, kiedy „ochłona”.

– Całkowicie się z tobą zgadzam, cesarski sekretarzu, rzecz jednak w tym, że to nie dla ich wygody, tylko raczej dla twojej i cesarza, i wszystkich innych, którzy chcą, by ta kampania przebiegała szybko i sprawnie.

Wespazjan musiał powstrzymać uśmiech, kiedy zobaczył, pierwszy zresztą raz, konsternację na nieprzeniknionej zazwyczaj twarzy Narcyza.

– Obawiam się, że będziesz mnie musiał, wodzu, oświecić, w jaki to niby sposób opóźnienie najazdu ma wpłynąć na szybszy przebieg kampanii, sądziłbym bowiem, że jest dokładnie odwrotnie.

– To dlatego, że nie jesteś żołnierzem, Narcyzie, tylko urzędnikiem pałacowym, który tak się zna na sprawach wojskowych jak ja na etykietce.

– Jak śmiesz tak do mnie mówić?!

– Nie, Narcyzie! Jak ty śmiesz wpadać tutaj i grozić mnie oraz moim oficerom, upokarzać dowódcę w ich obecności?! Możliwe, że cesarz daje ci posłuch i że uważasz się za wielce ważnego, ale nie zmienia to faktu, że jesteś wyzwolencem, byłym niewolnikiem, że bez Klaudiusza jesteś niczym i dobrze to wiesz. Jesteś tak nieistotny, że byłbyś martwy w kilka godzin po śmierci swojego pana, co w wypadku niepowodzenia tej batalii nastąpi bardzo szybko. Ja natomiast pochodzę z rodu Plaucjuszów i nie zniosę dłużej twojej arogancji. Posłuchaj mnie zatem, wyzwolencze. Wczoraj galijscy kupcy powiedzieli nam, że po drugiej stronie cieśniny zbiera się ponad sto tysięcy wojowników. – Wymierzył oskarżycielski palec w okno, za którym, po lśniącej w porannym słońcu wodzie, oddalał się statek pod pełnymi żaglami. – Nie lękam się stosunku trzech do jednego czy nawet pięciu do jednego w walce z nieznanymi dyscypliny dzikusami, uważam jednak, a ty zapewne się zgodzisz, że im mniej liczny nieprzyjaciel, tym lepiej, szczególnie kiedy chce się wysadzić armię ze statków na ląd. A teraz powiedz mi, cesarski sekretarzu, co widzisz za tym oknem.

Narcyż zmrużył oczy.

– Morze – odparł.

– A na morzu?

– Statek.

– Rzecz w tym, że nie jest to jakiś tam stary statek. Będzie on miał wpływ na to,



czy przekroczy się Tamezis za czterdzieści pięć, czy za trzydzieści dni, ponieważ rozproszy armię Brytów w dziewięć dni.

Twarz Narcyza wyrażała całkowite zaskoczenie.

– W dziewięć dni! Jak?

– Ponieważ ci sami kupcy, którzy wczoraj wzięli moje srebro w zamian za informacje o Brytach, wracają teraz do Brytanii. Dziś wieczór wezmą srebro od Togodumnusa i Karatakusa i powiedzą im, że nasi żołnierze się zbuntowali i nie przybywamy. Kiedy wojownicy to usłyszą, rozejdą się i wrócą do swoich gospodarstw, czego nie robią, jeśli nagle jutro się tam zjawimy. Sądziłbym, że nawet taki cywil jak ty potrafi zrozumieć, że jeśli nieprzyjaciel się rozdzieli, to będzie łatwiej go pokonać i odbędzie się to mniejszym ludzkim kosztem. A zatem, cesarski sekretarzu, proponuję, byś pozostawił sprawy terminów mnie, bo nie ma to nic wspólnego z polityką. Wyruszymy w kalendy majowe. I nie martw się, cesarz zostanie wezwany na czas, by odnieść to swoje chwalebne zwycięstwo.

– Dopilnuj tego, wodzu. – Narcyz rzucił Plaucjuszowi spojrzenie spode łba, odwrócił się i opuścił salę, siłąc się na krok pełen godności i dostojęstwa.

Plaucjusz zwrócił się ponownie do zebranych oficerów, jak gdyby nic się nie stało.

– Na czym to skończyliśmy, panowie? Aha, tak, plaże, do których przybijemy. Wykorzystamy to nowe miejsce na wszelki wypadek, gdyby zostawili znaczące siły na miejscu pierwotnym, choć wątpię, by to zrobili. Będziemy schodzić na ląd trzema falami. Legacie Korwinusie, tobie przypadnie zaszczyt dowodzenia pierwszą falą.

Twarz Korwinusa zajaśniała dumą.

– Dziękuję, wodzu.

Plaucjusz wskazał kijkiem mapę Brytanii wiszącą na drewnianej tablicy za jego plecami.

– Twój Dziewiąty legion i oddziały pomocnicze wylądują na wyspie Tanatis i ją zabezpieczą. Ja obejmę dowództwo drugiej fali, złożonej z legionów legatów Wespazjana i Sabinusa, Drugiego i Czternastego oraz ich oddziałów pomocniczych; zejdziemy na ląd godzinę później w tych Rutupiach. Drugi się uformuje i wyruszy natychmiast do Kantiakum, położonego dziesięć mil w głąb lądu, zabierając z sobą króla Adminiosa. Pierwszego wieczoru Adminios spotka się ze współplemieńcami, którzy obiecali lojalność, i odbierze od nich przysięgę w imieniu trzech plemion z tego terenu, podczas gdy jego wysłańcy będą negocjować warunki poddania miasta. Jeśli okażą się głupcami, zarządzisz oblężenie. Jasne, Wespazjanie?

– Tak, wodzu.

– Doskonale. Wyślesz również jazdę Batawów pod dowództwem prefekta Petusa na zachód, by sprawdzili, co nas tam czeka. – W tłumie oficerów Plaucjusz poszukał wzrokiem Petusa. – Ale nie doprowadź do bezpośredniego kontaktu, prefekcie, masz jedynie dokonać zwiadu, czy to jasne? Nie życzę sobie żadnej brawury w mojej armii.

Petus wysilił się na najpoważniejszy wyraz twarzy, jaki tylko potrafił przybrać.

– Żadnej brawury, wodzu.

Plaucjusz wpatrywał się przez chwilę w twarz młodego prefekta, próbując bezskutecznie odnaleźć jakąś oznakę bezczelności, po czym chrząknął i kontynuował:

– Czternasty ruszy na południe, wysyłając przodem tracką i galijską konnicę na dalekie rozpoznanie, by sprawdzić, czy nie zostały tam jakieś resztki armii Brytów. Jeśli teren będzie czysty, zostawicie garnizon w tej naturalnej przystani przy białych skałach, a potem spotkacie się z nami w Kantiakum, najpóźniej trzy dni po naszym przybyciu. Sto trójrzędowców będzie podążało z wami wzdłuż wybrzeża i zatrzymają się w tejże przystani, gotowe do późniejszej kampanii, przy operacjach lądowych i morskich przeprowadzanych wzdłuż południowego wybrzeża. W czasie oczekiwania załogi i zbrojna obsada zajmą się pracą, której celem będzie przeistoczenie tej przystani w odpowiedni do naszych celów port. Chcę tam mieć magazyny, pomosty i latarnię morską. Zamierzamy zdomować się tu na dobre, Sabinusie, rozumiesz?

– Tak jest.

– Jakież pytania?

– A jeśli natkniemy się tam na całą stutysięczną armię?

– Wtedy przyślecie do mnie po posiłki, z szybkością Merkurego.

– Z szybkością Merkurego, wodzu, tak jest.

Plaucjusz skinął głową krótko i energicznie.

– Trzecią falą będzie dowodził legat Geta. W jej skład wejdzie jego Dwudziesty legion i związane z nim oddziały pomocnicze oraz statki z ekwipunkiem, machinami miotającymi i racjami żywnościowymi na jeden miesiąc. Wyruszyście dwanaście godzin po nas, by dać statkom transportowym czas na opuszczenie strefy lądowania. Kiedy już będziecie na lądzie, Geto, twoi ludzie w dwa dni zbudują ufortyfikowany obóz, na tyle duży, by w razie konieczności odwrotu pomieścił całe nasze siły. Stanie się on bazą stałego garnizonu, obsadzającego port. Potem, trzeciego dnia, dołączysz do Drugiego i Czternastego w Kantiakum.

Legat nie wyglądał na zadowolonego, że wyznaczono mu prace budowlane.

– Kiedy już Geta opuści obóz, ty, Korwinusie, przeprawisz swoich chłopców przez cieśninę i zajmiesz go, po czym połowę pozostałej załogi statków wyznaczysz do budowy portu, a drugą połowę wyślesz na północ, w ujście Tamezis, by mogła poruszać się równoległe z podążającymi na zachód głównymi siłami. Wtedy my będziemy gotowi do natarcia, pod warunkiem że Sabinus nie napotka zbyt wielkiego oporu na południu. Wydam dotyczące tego wszystkiego rozkazy ogólne trzeciego dnia po zejściu na ląd, kiedy wszystko będzie gotowe, a ja będę miał lepsze rozeznanie w rozmieszczeniu sił przeciwnika. Jakież pytania, panowie?

Wespazjan rozejrział się wokół; wyglądało na to, że nikt nie zamierza zadać tego oczywistego pytania.

– Tak, wodzu, ja mam jedno: co zrobimy z tym buntem?

– Nic, Wespazjanie. Mamy jeszcze dwa pełne tygodnie do wyruszenia i w tym czasie wielu kupców przepłynie te wody w tę i z powrotem. Muszą być przekonani, że znaleźliśmy się w sytuacji patowej z naszymi ludźmi. Uwierzą, ponieważ byli świadkami czegoś takiego cztery lata temu, kiedy to Kaligula próbował dokonać najazdu. Nie chcę, by cokolwiek mogło zasugerować Brytom, że jednak się pojawimy, bo wtedy ponownie zbiorą wojowników. Statki zaopatrzeniowe nie zostaną rozładowane, a ludzie nie opuszczą obozu, odbywając jedynie podstawowe ćwiczenia sprawnościowe. Moją sprawą będzie namówić ich do wejścia na statki w przeddzień wypłynięcia, potem zobaczymy. Jesteście wolni, panowie.

– Nie sądzę, żeby mu się udało – oznajmił Wespazjanowi Magnus, kiedy stanęli przed bramą obozu II legionu *Augusta*.

– Zobaczymy.

– Tak sądzisz? No cóż, ja sądzę, że zobaczymy wielkie fiasko. Rozmawiałem z wieloma chłopcami i wiem, że nie wyruszą. Są śmiertelnie wystraszeni, bo wysłuchali opowieści tych weteranów, którzy po zakończeniu pierwszego pełnego okresu służby zaciągnęli się ponownie do armii. W Czternastym *Gemina* jest sporo takich, którzy byli we flocie Germanika, kiedy złapała ich burza w drodze powrotnej z Germanii, dwadzieścia siedem lat temu. Rozbili się na wybrzeżu Brytanii i teraz snują opowieści o bestiach będących w połowie człowiekiem, a w połowie rybą, i o wszelkiego rodzaju duchach i upiorach, i takie tam. I chłopcom wcale się to, panie, nie podoba, ani trochę.

Wespazjan patrzył na twarze legionistów wymaszerowujących kohortami z bramy

obożu, by defilować wraz z innymi legionami na płaskim terenie położonym pomiędzy portem i otaczającymi go pięcioma potężnymi obozami. Piąty został zbudowany przez świeżo przybyłe z Azjatykiem posiłki – złożone z dwóch kohort gwardii pretoriańskiej, czterech kohort VIII legionu i jednostek pomocniczych, włącznie ze słoniami – które, formalnie rzecz biorąc, Klaudiusz miał dopiero zabrać z sobą z Rzymu.

– Rzeczywiście mają smętne miny, delikatnie to ujmując.

– Smętne?! Według mnie wyglądają na wkurwionych i buntowniczo nastawionych.

– Może i tak. Zobaczmy – mruknął Wespazjan, w duchu jednak zgadzając się z przyjacielem.

I rzeczywiście przez kilka pierwszych dni po odprawie u Plaucjusza dyscyplina w obozach była na krawędzi załamania. Centurionowie i ich zastępcy z wielkim trudem zapobiegali otwartemu buntowi. Wespazjan musiał wydać rozkaz przeprowadzenia dwóch egzekucji, kilkunastu kar ciężkiej chłosty i niezliczonej liczby lżejszej i odnosił wrażenie, że chwilami liczba żołnierzy kopiących doły na latryny była większa niż tych, którzy z nich korzystali. Ostatnio jednak ludzie zaczęli się uspokajać, powracała dyscyplina i poczucie jedności; zmalała liczba kar, kontynuowano podstawowe ćwiczenia i dbano o sprzęt. Choć morale żołnierzy się podniosło, Wespazjan nie był przekonany, że było na tyle silne, by Plaucjusz za kilka godzin zdołał przekonać ich do wejścia na pokłady statków.

Jedyną korzyścią wynikającą z tej zwłoki był dodatkowy czas, jaki mógł spędzić z Cenis. Choć podczas dnia oboje byli zajęci swoimi obowiązkami, noce należały do nich i w pełni je wykorzystywali. Cenis stanowiła również cenne źródło informacji na temat nastroju Narcyza i było oczywiste, że nie tylko Plaucjusz ucierpi, jeśli nie ruszą na podbój, bo wyzwoleniec spełni swą groźbę i zniweczy dalszą karierę wszystkich oficerów. Cenis jednakże nie była pewna, czy stawką nie jest również kariera samego Narcyza. Podejrzewała, że raczej tak, ponieważ Pallas i Kallistos wykorzystaliby porażkę przeciwko niemu. Podobnie zresztą jak Messalina, jeśli, czy kiedy, brat podzieli się z nią swoimi podejrzeniami. Wespazjan sądził, że Narcyz ma potencjalnie do stracenia tak samo dużo jak Plaucjusz, jeśli to przedsięwzięcie się nie powiedzie; byłyby to zatem odpowiedni moment na odnalezienie orła.

Z głową zaprzątniętą takimi myślami patrzył, jak jego ludzie maszerują na wyznaczony im fragment placu apelowego i ustawiają się w porządną rzędy obok dwóch kohort gwardii pretoriańskiej stojących na honorowym miejscu, naprzeciwko

podwyższenia. Kiedy stanęli już tam, gdzie należy, a on przyjął ich salut, udał się na swoje stanowisko, obok Sabinusa i innych legatów i prefektów oddziałów pomocniczych, tuż przy podwyższeniu, z którego Plaucjusz miał przemówić do żołnierzy, za pośrednictwem licznych heroldów rozstawionych wokół placu, których zadaniem było przekazywać dalej jego słowa.

Plaucjusz pojawił się, kiedy tylko ostatnia jednostka stanęła na wyznaczonym dla niej miejscu. Jako prokonsula poprzedzało go jedenastu liktorów, przy których towarzyszący Narcyzowi orszak złożony z dwóch niewolników sprawiał dość żalosne wrażenie. Pozostawiawszy wyzwoleńca u dołu schodków, wszedł na podwyższenie, podczas gdy liktorowie ustawili się na dole, przed podwyższeniem, prezentując wszystkim wiązki różeg reprezentujących władzę Rzymu, którą dźmierzył wódz armii: władzę dowodzenia i skazywania na śmierć.

Na rozkaz wywrzeszczany gdzieś spomiędzy szeregów mężczyzn o torsach osłoniętych odbijającym poranne słońce żelazem rozległ się okrzyk, którym żołnierze pozdrowili swojego głównodowodzącego... choć nie z takim entuzjazmem, jaki Wespazjan słyszał z tych samych gardeł wcześniej.

Po chwili, całkiem mądrze, bo jeszcze zanim aplauz sam z siebie zaczął zamierać, Plaucjusz wznosił ręce i poprosił o ciszę.

– Żołnierze Rzymu, staję tu przed wami nie tylko jako wasz dowódca, ale także jako wasz brat. Jako dowódca poprowadzę was, ale jako brat będę dzielił z wami wszystkie trudy, z jakimi przyjdzie nam się zmierzyć. Będąc żołnierzem, wiem, że trudy są tak samo częścią naszego życia jak zwycięstwa, a zwycięstwo będzie należało do nas. Musimy jednak wyruszyć i na nie zasłużyć, a nie da się tego dokonać, siedząc w namiotach.

Przerwał, by dać czas heroldom na przekazanie swoich słów ogromnemu tłumowi usianemu znakami i proporcami, z czterema legionowymi orłami na samym przodzie. Wespazjan przyglądał się bacznie twarzom najbliższych stojących legionistów i ich miny nie budziły w nim nadziei.

– Rozumiem wasze obawy – ciągnął Plaucjusz – nie wabi was nieznane. Ale Brytania nie jest terenem nieznanym. Nasze armie były już tam przeszło sto lat temu i stamtąd wróciły! I nie przyniosły z sobą opowieści o dziwnych potworach i o złych duchach, lecz o ludziach, i to takich, których można pokonać. Wrócili z daniną oraz z podpisanymi traktatami.

– Wydaje mi się, że zabiera się do tego od niewłaściwej strony – szepnęła Sabinus do Wespazjana, kiedy słowa Plaucjusza obiegały już cały plac. – Oni mają gdzieś

daniny i traktaty, chcą łupów i kobiet.

– Tego nie może im obiecać; jeśli mamy spacyfikować te plemiona, to musimy pokonać je w bitwie, a potem przyjąć ich kapitulację i uczynić swoimi sojusznikami, a przynajmniej zapewnić sobie ich neutralność, żebyśmy mogli posuwać się na zachód bez ciągłego oglądania się za siebie.

Jakby dla potwierdzenia opinii Sabinusa ze stojących przed nimi szeregów zaczął dobiegać stłumiony pomruk; najwyraźniej daniny i traktaty nie wywarły większego wrażenia na żołnierzach.

Przez twarz Plaucjusza przemknął cień zakłopotania i natychmiast znikł, a dowódca mówił dalej.

– Apeluję zatem do was, żołnierze Rzymu: nie pozwólcie, by nieuzasadnione obawy przeszkodziły w przynoszącym chwałę podboju. Osobiście poznałem waleczność IX legionu *Hispana* i związanych z nim oddziałów pomocniczych podczas wspólnej służby w Panonii – ciągnął. Niezbyt entuzjastyczne okrzyki dobiegły od żołnierzy tego legionu i wspomagających go kohort. – Wiem też o męstwie Drugiego, Czternastego i Dwudziestego, i ich oddziałów pomocniczych, męstwie wykazywanym przy ochronie granic cesarstwa wzdłuż Renu. Czytałem bowiem raporty, kiedy mianowano mnie dowódcą tej ekspedycji, i nie mogę się doczekać, kiedy będę naocznym świadkiem tego męstwa.

Reszta armii nie zareagowała żadną owacją, rozległ się natomiast narastający gniewny pomruk i głuchy stukot drzewc oszczepów o ziemię. Wrzaski centurionów, próbujących uspokoić ludzi, na nic się nie zdały. Jedynie pretorianie stali bez ruchu. Plaucjusz zerknął w dół, na Narcyza, i skinął głową. Wyzwoleniec spojrział w stronę kohort pretorianów, podniósł rękę i ruszył ku stopniom prowadzącym na podwyższenie; z szeregów pretorianów wyszło dwóch gwardzistów niosących dużą drewnianą skrzynię. W tym czasie już cała armia uderzała rytmicznie drzewcami o ziemię.

Wespazjanowi udzieliło się napięcie otaczających go oficerów.

– Co też może ten łachmyta zrobić, by uratować sytuację? – mruknął Sabinus we wciąż narastającym hałasie.

– Myślę, że spróbuje ostatniego rzutu kostką – odparł Wespazjan, kiedy Narcyz dołączył do Plaucjusza na podwyższeniu, stając razem z nim przed całą armią. – Tą, dla której ryzykowaliśmy własne życie.

Gwardziści postawili skrzynię na podwyższeniu i wrócili na swoje miejsce. Rytmiczne dudnienie narastało, a pośród ogólnego zgiełku rozległy się okrzyki

„Nie!” i „Nie pójdziemy!”.

Narczyz ukląkł, otworzył skrzynię i sięgnął do środka.

Żołnierze byli coraz bardziej hałaśliwi, coraz większa ich liczba krzykiem odmawiała wyruszenia. Centurioni i ich zastępcy, w obliczu przewagi wynoszącej czterdziestu do jednego, nie byli w stanie zapobiec tej eskalacji, stali więc tylko z gniewnymi minami, wściekli na swoją niemoc w obliczu takiego masowego nieposłuszeństwa.

Narczyz wyprostował się, trzymając w rękę drewniany drążek, którego drugi koniec ukryty był w skrzyni; z pewnym wysiłkiem dźwignął go i wznosił do góry orła Siedemnastego legionu.

Pierwsze szeregi dwóch środkowych legionów stopniowo zaprzestawały uderzać drzewcami o ziemię; ich znieruchomienie ogarnęło dwa zewnętrzne legiony i jednocześnie zastygły kolejne rzędy, aż do stojących z tyłu kohort pomocniczych. Wkrótce oczy wszystkich wpatrzone były w ten trzymany wysoko przed nimi symbol Rzymu.

– Wasz cesarz dźwignął dla was powalonego orła Rzymu! – niemalże wrzasnął Narczyz, kiedy tylko uznał, że go usłyszą. – Zwraca wam orła Siedemnastego legionu!

Heroldowie jak echo powtarzali jego słowa pogrążonym już teraz w ciszy zastępom. Rozległy się gromkie wiwaty pretorianów, przechwycone przez legiony po obu bokach, i fala okrzyków płynęła przez wszystkie kohorty, ogarniając całą armię za pośrednictwem ustawionych co sto kroków heroldów. W końcu każdy żołnierz wiedział, na co patrzy, i wyrażał swoją aprobatę równie głośno jak jego stojący z przodu towarzysze.

Wespazjan i pozostali oficerowie dali się porwać temu odświętnemu nastrojowi, zarówno ze względu na powrót zagubionego orła, jak i na teatralny sposób, w jaki Narczyz diametralnie odwrócił sytuację. Plaucjusz uniósł rękę, salutując złotemu emblematowi górującemu nad armią, następnie energicznie złożył ramię w poprzek klatki piersiowej i zastygł wyprężony. Centurionowie wszystkich legionów zauważyli ten gest i ryknęli do swoich ludzi. Po kilku uderzeniach serca ponad czterdzieści tysięcy zaciśniętych na *pila* dłoni skierowało się w stronę orła, podczas gdy pretorianie zaczęli skandować „Ave Caesar!”. Wkrótce ten okrzyk wydarł się ze wszystkich gardeł i stał się ogłuszający.

Narczyz pozwolił mu wybrzmieć do końca, wznosząc i opuszczając orła w rytm okrzyków, aż do ochrypnięcia żołnierzy. Kiedy głosy zaczęły słabnąć, opuścił godło i melodramatycznym gestem wręczył je Plaucjuszowi, który orła pocałował, a potem

ująwszy go lewą ręką, podniósł prawą, apelując o ciszę.

– Lojalni żołnierze cesarza dziękują mu za jego dar! – zawołał i zgiełk powoli zamarł.

– Cesarza raduje, że może przekazać taki dar swoim walecznym legionistom i żołnierzom jednostek pomocniczych – odparł Narcyz, zwracając się do cichnących szeregów. Ostatni herold ucichł i Narcyz ciągnął: – Cesarz to dla was uczynił. A czy wy zrobicie teraz to, o co prosi? Czy teraz wy, wolni żołnierze Rzymu, wejdziecie na pokłady statków?

Zapadła głucha cisza i cała armia wpatrywała się w cesarskiego wyzwolenca, który apelował do niej w imieniu swojego pana.

Wespazjan słyszał łomot swojego serca.

– Io Saturnalia! – ryknął nagle ktoś z tłumu.

Wespazjan poczuł jeszcze dwa uderzenia w klatkę piersiową, a potem usłyszał śmiech, rubaszny rechot, przemieszany z jowialnymi okrzykami „Io Saturnalia!”. Wesołość rozprzestrzeniała się błyskawicznie, aż śmiali się wszyscy obecni, poza Narcyzem, który musiał tam stać wykpiwany, ponieważ był jak niewolnik czy wyzwolenciec, któremu w trakcie Saturnaliów przez jeden dzień wolno nosić stroje swojego pana i rządzić jego domem. Patrzył na Plaucjusza błagalnym wzrokiem, ale ten był zbyt doświadczonym wodzem, by nagle zakazać tej rozładowującej napięcie tyłu dni wesołości.

– A jednak przedłużyli Saturnalia, nie uprzedzając nas – powiedział serdecznie ubawiony Sabinus.

– Najwyraźniej! – odparł Wespazjan, ciesząc się zarówno z upokorzenia Narcyza, jak i ze zmiany nastroju żołnierzy. – I wprawili chłopców w świąteczny nastrój. Myślę, że po czymś takim zechcą udać się na wyprawę.

---

\* Wyspa Wight (łac. *Vectis*).

\* Wyspa Thanet.



## Rozdział piętnasty

Gdzie my, do kurwy nędzy, jesteście? – zrzędził Magnus, wpatrując się w gęstą mgłę, która powitała ich po przebudzeniu godzinę przed świtem.

Wespazjan odgryzł kęs chleba.

– W tym samym miejscu, w którym obozowaliśmy wczoraj wieczorem. Sądzę, że przy trakcie, około trzech mil od Kantiakum, chyba że jakiś bóg Brytów spuścił się z góry i przeniósł dziesięć tysięcy ludzi w jakieś niedogodne miejsce.

– Na tej wyspie wszędzie jest niedogodnie.

– Nieprawda. Ten trakt jest bardzo dogodny, bo doprowadzi nas prosto do Kantiakum. Niedogodna jest natomiast mgła oraz to, że wysłannicy Adminiosa jeszcze nie wrócili, a i on sam nie pojawi się wcześniej jak w drugiej godzinie dnia. Ja zaś muszę znać nastroje w mieście, zanim ruszę na ślepo do przodu, na wypadek ataku z flanki, bo nie będę mógł wysłać zabezpieczających patroli, ponieważ na zachód stąd trakt przechodzi przez bardzo podmokłe tereny, z bagnami po obu stronach.

– No i proszę, te są dopiero niedogodne.

– Nie dla Brytów. Adminios ostrzegł mnie, bym nie czuł się pewny tylko dlatego, że bagna osłaniają moją flankę, bo miejscowi znają je na wskroś i nie boją się ich przemierzać nawet we mgle. Wolałbym nie być narażony na atak z boku, mając za plecami bagno. Nie zapominaj, co przydarzyło się Warusowi.

– Czyli czekamy?

– Tak, przyjacielu, musimy poczekać, aż mgła się podniesie, mimo że każda godzina zwłoki to kolejna godzina podarowana Brytom na lepsze przygotowanie. Miejmy nadzieję, że wysłannicy Adminiosa wkrótce wrócą i dowiemy się czegoś więcej. Do zobaczenia później. – Wespazjan odwrócił się i przez bramę wrócił do tymczasowego obozu.

Kluczył pomiędzy grupkami przycupniętych przemarzniętych legionistów, posilających się byle czym, jako że w tej sytuacji rozpalanie ognisk nie wchodziło w grę. Psioczyli, że noc musieli spędzić pod gołym niebem, okryci jedynie kocami, i nie starali się zniżyć głosów, kiedy przechodził obok. Wespazjan udawał, że nie

słyszysz tych sarkania, postanowił jednak przyspieszyć dostarczenie skórzanych namiotów. Juczne muły przybyły do Rutupiów na końcu.

Samo zejście na ląd odbyło się zaskakująco spokojnie, bo nie napotkano żadnego oporu, o co zresztą wznoszono liczne modlitwy, zanim o północy flotylla wypłynęła z portu. Wszystko wskazywało na to, że bogowie sprzyjają temu przedsięwzięciu: przeznaczone na ofiarę kury dziobały ziarno w sposób obiecujący, a ich wątroby prezentowały się znakomicie. Nadszedł jednak taki moment, kiedy wszyscy zwątpili w przychylność bogów. W samym środku przeprawy zaczął wiać silny wiatr, który spychał ich z powrotem ku brzegom Galii; światło z potężnej latarni morskiej Kaliguli w Gezoriakum, zbudowanej na podobieństwo Faros w Aleksandrii, przez kilka godzin nieustannie rosło, niezależnie od tego, jak bardzo wioślarze się wysilali. Uspokoiła ich dopiero olśniewająca spadająca gwiazda, która przecięła nocne niebo ze wschodu na zachód, wskazując im kierunek podboju. Wiatr wkrótce ucichł, przynosząc ulgę ludziom, którzy z żołądkami podchodzącymi do gardeł kucali na śliskich od wymiocin pokładach. Kiedy przyszedł świt, ich oczom ukazało się wybrzeże Brytanii... puste wybrzeże. Przeczucie nie zawiodło Plaucjusza: Brytowie rzeczywiście rozpuścili wojowników. Najwyraźniej żadna zgraja nie skradała się za nimi wzdłuż wybrzeża, kiedy płynęli ku północy, ponieważ nikt ich nie zaatakował przy zejściu na ląd.

Plaucjusz znalazł się pierwszy na suchym lądzie, dotrzymując tym samym obietnicy, jaką złożył żołnierzom dzień wcześniej, kiedy udało im się wreszcie opanować wesołość. Nie mieli pojęcia o rozwoju sytuacji politycznej w Rzymie i widok wyzwolenca przekazującego polecenia cesarza był dla nich tak absurdalny, że kiedy Plaucjusz odwołał się w końcu do ich honoru, ustąpili, wiwatując na jego cześć. Wespazjan podejrzewał, że przede wszystkim byli zadowoleni z przywrócenia ładu, polegającego na tym, że rozkazy wydaje wysoko urodzony wódz... choć, niewątpliwie, zarówno zmartwychwstanie orła, jak i obietnica Plaucjusza przyznania każdemu dziesięciu denarów zrobili swoje.

Natychmiast zwinęli obóz i zaczęli wchodzić na pokłady – co dzięki miesiącom ćwiczeń odbywało się bardzo sprawnie – i pierwsza grupa statków ruszyła wraz z odpływem, po dwunastu godzinach. Wespazjan i Sabinus odpłynęli godzinę później z nadzieją, że dobią do brzegu tuż po świcie. Jednak wiatr spowodował opóźnienie i dopiero w południe żołnierze Drugiego legionu *Augusta* schodzili pomostami na kamienistą plażę i z chrzęstem formowali szyk, tak jak wcześniej robili to wielokrotnie na ćwiczeniach. Wespazjan pozwolił żołnierzom zjeść zimny

posiłek złożony z chleba i suszonej wieprzowiny bez rozbijania szyku, podczas gdy patrole jazdy Petusa penetrowały okolicę. Jeźdźcy wrócili po godzinie, meldując, że pomiędzy plażą i Kantiakum jest tylko kilka opuszczonych gospodarstw, z tłym się jeszcze ogniem na paleniskach. Brytowie się wycofali i Plaucjusz kazał ruszać.

Sabinus poprowadził swój legion na południe, a kiedy trzecia fala statków pojawiła się na horyzoncie za wysepką zajęta teraz przez Korwinusa i IX legion *Hispana*, Wespazjan poprowadził II *Augusta*, któremu towarzyszył Adminios i inni wygnańcy, uczęszczanym traktem na zachód.

Po trzech godzinach marszu za radą Bryta Wespazjan zarządził postój na ostatniej połąci suchej ziemi przed wejściem na nisko położone moczary pomiędzy dwiema rzekami, by przed zapadnięciem zmroku żołnierze zdążyli przygotować tymczasowy obóz dla ogromnej liczby ludzi. Wysłannicy Adminiosa podążyli dalej, do Kantiakum, by upewnić się co do panujących w mieście nastrojów i gdyby okazało się to możliwe, negocjować jego kapitulację, podczas gdy sam król udał się do północnego zakątka przy ujściu rzeki, na spotkanie z lojalnymi mu wespółplemieńcami.

Wespazjan miał nadzieję, że wysłannicy wrócą przed zmierzchem, jednak dwanaście godzin później wciąż ich nie było. Tylko to budziło niepokój w poza tym gładko przebiegającej operacji.

– Dzień dobry, legacie – powitał go Mucjanus, kiedy Wespazjan znalazł się w pretorium, które było jedynie prostokątem zaznaczonym na ziemi, jako że tabory jeszcze nie nadjechały. W jednym końcu stał legionowy orzeł i proporce kohort, pilnowane przez ośmioosobowy oddział. – Otrzymałem właśnie ustne meldunki od starszych centurionów każdej z kohort, legionowych i pomocniczych: do pełnego stanu osobowego brakuje mniej niż stu żołnierzy, nastrój chłopców jest dobry, chociaż doskwiera im zimno, wilgoć i brak gorącego posiłku.

– I bez wątpienia brak gorącej kobiety?

Mucjanus błysnął zębami w uśmiechu.

– To im zawsze doskwiera, nie ma więc sensu zawracać ci tym głowy, legacie.

– Dzięki za troskę, trybunie, nie omieszkać wspomnieć o tym w raporcie do Plaucjusza. Powiedz Maksymusowi, żeby przyprowadził do mnie Adminiosa, kiedy tylko król wróci do obozu.

– Tak jest, legacie.

Kiedy trybun się oddalił, Wespazjan usiadł na wilgotnym kocu, który służył mu za jedyną osłonę podczas krótkiego snu, otulił się płaszczem i zaczął żuć kawałek

chleba, zastanawiając się nad dalszym postępowaniem, gdyby ludzie Adminiosa jednak nie wrócili.

Maksymus, prefekt obozu, stanął obok miejsca, które normalnie byłoby wejściem do namiotu, w towarzystwie Adminiosa, wyrываяc Wespazjana z zadumy.

– Czy możemy wejść, legacie?

Wstając, gestem zaprosił ich do wnętrza prostokąta.

– Czy twoi współplemieńcy się poddali, Adminiosie? – zapytał bez wstępów.

Bryt machnął lekceważąco dłonią.

– Tak – odparł – ale to zaledwie dwa tysiące wojowników.

– Zawsze to dwa tysiące mniej mieczy wymierzonych w nasze plecy.

Adminios niechętnym mruknięciem przyznał mu rację.

– W każdym razie dobrze było ich widzieć po pięciu latach wygnania – dodał głośno.

– Na pewno. A co z twoimi wysłannikami?

– Wkrótce wrócą, legacie, wyruszyli zapewne tuż po świcie.

– Dlaczego zabrało im to tyle czasu?

– Bo pili.

– Pili?

– Tak, najwyraźniej negocjowali kapitulację miasta ze starszyzną, w przeciwnym bowiem razie już by wrócili... albo by ich zabito; mamy w zwyczaju przypieczętowywać tego rodzaju układ całonocną popijawą.

– Skąd wiesz, że ich nie zamordowano?

– Gdyby starszyzna postanowiła ich zabić, odesłaliby jednego z nich żywego, z obciętym językiem, żeby oznajmić zdecydowany koniec negocjacji.

– Zatem możemy bezpiecznie zbliżyć się do miasta kolumną marszową, skoro moczary nie pozwalają nam na rozwinięcie szyku bojowego?

Król-wygnaniec skinął głową.

Wespazjan podjął decyzję.

– Maksymusie, każ Petusowi posłać dwie turmy wzdłuż traktu i za godzinę przedstawić mi raport. Ludzie mają związać obóz; niech będą gotowi do wymarszu, kiedy tylko mgła się podniesie na tyle, żeby można było widzieć na sto kroków. Już jesteśmy spóźnieni, nie ma ani chwili do stracenia.

Maksymus odwrócił się i rzucił ostry rozkaz stojącemu przed umownym pretorium trębaczowi. *Bucinator* przyłożył róg do ust i zagrał pięć nut. Sygnał został

powtórzony przez jego kolegów w każdej z kohort, niewidocznych we mgle, a potem zastąpiony krzykiem centurionów i ich zastępców odrywających ludzi od resztek zimnego śniadania. Wkrótce zewsząd dochodziły tłumione przez mgłę odgłosy szycującego się do marszu legionu.

– Adminiosie, chodźmy do bramy, chcę porozmawiać z twoimi ludźmi, jak tylko się pojawią – powiedział Wespazjan.

Przy bramie Magnus gawędził sobie z centurionem, dowódcą warty.

– Myślałem, panie, że ruszysz się stąd, dopiero kiedy mgła się podniesie albo będziesz wiedział, czy miasto jest nasze czy nie.

– To wkalkulowane ryzyko, które muszę podjąć. Plaucjusz mnie rozerwie, jeśli wkrótce nie dotrę do Kantiakum, a już mam opóźnienie.

– Taa, tyle że to nie twoja wina. Przyplłynęliśmy później i nie mogliśmy przejść całego odcinka ubiegłego wieczoru, a teraz jeszcze to. – Zatoczył ręką krąg w kłębiącej się mgle.

Wespazjan uniósł w górę brwi i popatrzył na Magnusa.

– Och, ale ze mnie głupiec. Przecież to armia. Oczywiście to twój...

Przerwał mu ostry głos jednego z wartowników. Dwadzieścia kroków dalej z mlecznobiałych oparów wyłaniały się powoli jakieś sylwetki.

– To twoi ludzie, Adminiosie? – spytał Wespazjan z ulgą w głosie.

– Tak, legacie, porozmawiam z nimi.

Podszedł, żeby przywitać swoich zwolenników, podczas gdy z umownej bramy zaczęły wyjeżdżać dwie turmy Batawów Petusa, prowadzonych przez Ansigara; nim pochłonęła ich mgła, dekurion zasalutował Wespazjanowi i pomachał wesoło Magnusowi.

Ludzie Adminiosa siedli z wierzchowców, zamienili kilka słów ze swoim królem i razem z nim podeszli do Wespazjana. Oczy mieli przekrwione i cuchnęli alkoholem.

– Możemy wmaszerować do miasta, legacie – poinformował go Adminios – starszyzna otworzy bramy.

– Możemy odetchnąć z ulgą.

– Jest tylko jeden problem.

Wespazjanowi zrzęła mina.

– Co takiego?

– No właśnie, wielu młodym wojownikom nie spodobała się decyzja starszyzny. W nocy około tysiąca wymknęło się pod osłoną mgły, by dołączyć do Karatakusa

w głównym mieście Atrebatów, położonym na południowy zachód od Afon Kantiów. Dziś wieczór będzie już wiedział, że tu jesteśmy.

– Plaucjusz mnie ukrzyżuje – powiedział Wespazjan, przytykając oczy.

– Dlaczego nie zatrzymałeś ich i nie zabiłeś, legacie? – wybuchnął Plaucjusz, kiedy dwa dni później, tuż po przybyciu głównodowodzącego do Kantiakum, Wespazjan przekazał mu tę kłopotliwą wiadomość.

Wespazjan wdrygnął się, słysząc wściekłość w zadanym mu pytaniu.

– Nie mieliśmy dość czasu, by dotrzeć do miasta pierwszego dnia, wodzu. Ponieważ do zmierzchu brakowało dwóch godzin, musiałem wybierać pomiędzy rozbiciem obozu a poprowadzeniem ludzi przez trzy mile mokradeł, z których koniec kolumny nie zdążyłby wyjść przed nocą.

– Ale byłbyś gdzie trzeba zgodnie z planem! Otoczyłbyś miasto i zabił każdego długowłosego, który okazałby wrogość. Zamiast tego dokonałeś najgorszej z możliwych kombinacji: zostawiasz otwarte miasto, ale posyłasz delegację, by oznajmiła, że przybędziemy nazajutrz i przekonała starszyznę do opowiedzenia się za nami, zostawiając w gorącej wodzie kąpanym młodzikom czas, by dali nogę i uzupełnili szeregi armii Karatakusa. Idiota!

– Tak, wodzu – przyznał mu rację Wespazjan, płonąc ze wstydu, zarówno z powodu świadomości ogromu swojego błędu, jak i rozbawionych min Korwinusa i Gety obecnych przy tym publicznym łajaniu. Tylko Sabinus zachował niewzruszony wyraz twarzy. Plaucjusz nerwowym krokiem przemierzał swój namiot, w który zaczął deszcz. Powietrze przesiąknięte było stęchłą wonią wilgotnych wełnianych ubrań.

– Podczas wojny zwłoka może mieć fatalne skutki, legacie – ciągnął Plaucjusz, kiedy się już nieco uspokoił. – Przeczytaj raz jeszcze Cezara, jeśli chcesz zrozumieć wagę przejęcia inicjatywy szybką akcją.

– Tak, wodzu.

– Dlaczego nie posłałeś za nimi natychmiast jazdy?

– Mgła była...

– Mgła! Wszyscy mieliśmy mgłę; musicie się przyzwyczaić do tej przeklętej mgły na tym wilgotnym zadupiu. Gdybyś natychmiast pchnął jazdę, byłiby przynajmniej bliżej tych drani, kiedy się mgła wreszcie podniosła. W końcu, na Hadesa, tamci poruszali się pieszo!

– Tak jest, wodzu... przepraszam, wodzu.

Plaucjusz piorunował wzrokiem Wespazjana jeszcze przez kilka chwil, po czym westchnął ciężko.

– Cóż, stało się, a biorąc pod uwagę ogólną sytuację, tysiąc wojowników to znowu nie taka wielka liczba. Niech to jednak będzie dla ciebie nauką na przyszłość, Wespazjanie: kiedy następnym razem każę ci coś wykonać, zrób to albo udowodnij, że sam Jowisz zstąpił z nieba i chcąc cię powstrzymać, najpierw wykastrował, a potem wyłupił ci oczy; bo jeśli nie, to ja sam ci to zrobię. Zrozumiano?

Wespazjan ponownie się wzdrygnął.

– Tak jest!

– To dobrze. Siadaj.

Wespazjan usiadł obok Sabinusa, a Geta i Korwinus wymienili rozbawione spojrzenia.

– Skończcie z tymi uśmieszkami – warknął na nich Plaucjusz, siadając za biurkiem. – Wątpię, by był to ostatni błąd podczas trwania tej kampanii, ale jestem pewien, że ostatni, jaki popełnił Wespazjan. A teraz do pracy, panowie. – Rozłożył zwój i przyglądał mu się bacznie przez kilka chwil, zanim znowu podniósł wzrok na podwładnych. – Na razie wszystko przebiegło w miarę gładko. Podsumowując: Na południu Sabinus nie natrafił na nikogo wartego wzmianki, zajęliśmy przystań przy białych skałach i flota rozpoczęła tam prace. Na północ od nas, w ujściu Tamezis, mamy flotyllę okrętów, a Rutupie są zabezpieczone i rozpoczęto prace nad portem. Dziewiąty legion zajął obóz Gety i położył już dwie mile tymczasowej drogi stamtąd do nas. Adminios jest zainstalowany jako nasza marionetka i miejscowe plemiona złożyły mu przysięgę lojalności, a pod bacznym okiem Sencjusza powstaje sprzyjająca nam administracja cywilna. Jazda melduje, że pomiędzy nami i Afon Kantiów nie ma poważnych sił nieprzyjacielskich i że most wciąż stoi. Mając zatem zabezpieczone flanki i tyły, zaczniemy natychmiast posuwać się na zachód. Chcę, by wasze legiony były gotowe do wymarszu w dwie godziny po odprawie, rozumiano?

– Tak jest! – odpowiedzieli jednocześnie wszyscy czterej legaci.

– Doskonale. To była ta łatwiejsza sprawa. Nie dysponujemy już niestety elementem zaskoczenia, a Brytowie świetnie oczywiście znają tę krainę. Pójdziemy do przodu szerokim frontem, szybko, ale starając się wyrządzić jak najmniej szkód na ziemiach uprawnych. Chcę, żeby po naszym przejściu zebrano obfite plony, i nie zamierzam pozwolić, by naszym chłopcom czy ludziom z plemion, które się poddadzą, nadchodzącej zimy groził głód. Czternasty Sabinusa utworzy moje

centrum. Pomiędzy nami i rzeką teren jest w większości falisty, nie ma więc potrzeby zbaczać z trasy, chyba że pojawi się nieprzyjaciel. Wasze oddziały pomocnicze będą pełniły rolę przedniego zwiadu całej armii. Geto, twój Dwudziesty zajmie prawą flankę. Masz się trzymać nie dalej jak dwie mile od Sabinusa. Twoje zadanie będzie dwojakiego rodzaju: po pierwsze, nie dopuścić, by ktokolwiek nas zaszedł z tej strony, a po drugie, utrzymywać kontakt z flotyllą u ujścia, która dostarczy nam zaopatrzenie. Twoje oddziały pomocnicze będą miały co robić. Wespazjanie, twój Drugi to nasze lewe skrzydło. Będziesz posuwał się po północnej stronie tych wzgórz, przy czym twoje oddziały pomocnicze pojadaą górą. Chcę otrzymywać regularne meldunki ze strony południowej; nie można dopuścić, by jakaś armia prześlizgnęła się tamtędy obok nas. Korwinusie – zwrócił się do trzeciego legata. – Dziewiąty będzie strzec tyłów. Dwie kohorty twoich oddziałów pomocniczych zostaną w Rutupiach, budując tam stały obóz. Kolejne dwie będą dalej budować drogę; nie chcę niczego wymyślnego; właściwą zbudujemy, kiedy będziemy mieli czas i niewolników do pracy. Ma nadawać się do transportu kołowego. Chcę, by oddziały jazdy patrolowały południe, dając miejscowym odczuć naszą obecność i tym samym stopniowo ich przyzwyczajając do naszego widoku. Legion i reszta kohort pomaszerują pół dnia za nami, na wypadek gdyby ktoś zaszedł nas od tyłu.

– Teraz, skoro wasze bagaże już dotarły, weźmiecie je z sobą, natomiast maszyny oblężnicze i reszta ciężkiego sprzętu pójdą z Dziewiątym. Jakież pytania, panowie?

– Czy Dziewiąty zawsze musi się wlec w ogonie? – spytał Korwinus, wyraźnie drwiącym tonem.

– Masz zwracać się do mnie dowódco albo wodzu, legacie! – rzucił ostro Plaucjusz, uderzając pięścią w blat biurka. – Fakt, że jesteś bratem cesarzowej, nie stawia cię nade mną. To jest armia w strefie wojennej, a nie uczta na Palatynie, rozumiesz mnie, chłopcze?

Korwinus prawie się cofnął uderzony gwałtownością reprimendy i zniewagi. Przez chwilę widać było, jak rusza szczękami.

– Tak, wodzu – odparł w końcu.

– Już drugi raz kwestionujesz moje rozkazy. Trzeciego razu nie będzie. Dziewiąty legion zrobi to, co mu się każe; będzie stanowił tylną straż, aż dotrzemy do Tamezis, a wtedy, jako najmniej zmęczony, zostanie rzucony do ciężkiej walki. Kiedy przygotujemy przeprawę przez rzekę i będziemy czekali na Klaudiusza, twój legion skieruje się na południe i osadzi na tronie Werykę, a potem zajmie Wektis, by przygotować grunt pod ofensywę na zachód w następnym sezonie, więc będziesz



miał mnóstwo pracy. Wiem z naszej służby w Panonii, że temu podołasz, Korwinusie, i dlatego nie oponowałem, kiedy włączono cię do mojej armii. – Wymierzył groźnie palec w twarz młodszego mężczyzny. – Nie daj mi powodu, żebym tego żałował. – Zwinął zwój, wstał i zwrócił się do trzech pozostałych legatów. – Wyruszamy za dwie godziny, czyli macie ich cztery do czasu szykowania obozów na noc. Chcę, by do tego czasu legiony Wespazjana i Gety znalazły się na pozycjach, jakie na marsz wyznaczyłem im po obu bokach Sabinusa. Zamierzam kolejnego dnia przed zmrokiem być w Afon Kantiów; miejmy nadzieję, że nie będą miasta przed nami bronić. Możecie odejść, panowie.

Pierwszy raz, odkąd Wespazjan wylądował w Brytanii, słońce ogrzewało mu twarz, kiedy razem z Magnusem, w towarzystwie turmy jazdy II legionu *Augusta*, podjeżdżał po porośniętym trawą północnym zboczach jednego z ciągnących się po lewej stronie wzgórz. Przy słonecznej pogodzie krajobraz zmienił się nie do poznania. Zniknęła ponurość ociekającej wodą roślinności, znaczonej deszczem kałuż w rozmokłej, mlaskającej pod nogami ziemi i przytłaczająca szarość nieba, które zdawało się wisieć tuż nad głowami. Oko cieszyła bujna zieloność pastwisk, lasów i świeżo kiełkującej pszenicy na polach uprawnych. Powietrze było przejrzyste i rześkie i kiedy ciepło powracało do ciała Wespazjana, czuł, że może koniec końców nie jest to taka żałosna kraina.

Od odprawy u Plaucjusza minęły dwa dni i posuwali się naprzód szybko i bez szczególnych problemów. Jediną przeszkodą była pogoda, a kiedy natknęli się na jakąś zbłąkaną owcę czy krowę, nieuchronnie trafiała nad palenisko centurii, która chciała mieć zaszczyt radzenia sobie z takim nieustraszonym nieprzyjacielem.

– Zaczynam podejrzewać, że jakaś plaga przetrzebiła wszystko, co żyje na zachód od Kantiakum – zauważył Magnus, kiedy mijali kolejne opuszczone gospodarstwo. – A sądząc po świeżości owczych bobków, musiało to być całkiem niedawno.

– To gdzie podziały się ciała? – spytał Wespazjan, uśmiechem reagując na hipotezę przyjaciela. – Może Petus potrafi nam to wyjaśnić, wkrótce powinniśmy się na niego natknąć.

– Nie rozumiem, dlaczego nie wysłałeś mu rozkazu, żeby się tu zgłosił, zamiast samemu wlec się taki kawał drogi.

Wespazjan zatrzymał i obrócił wierzchowca.

– Dlatego – powiedział, wyciągając przed siebie rękę.

Teren poniżej usiany był ludźmi maszerującymi w szyku kolumnowym, po

ośmiu w szeregu. Niemal prostą linią podążali na północ; trzy legiony pośrodku, rozwinięte w szerszą formację, po czterdziestu ludzi w szeregu, tworzyły dwie długie kolumny po pięć kohort. Za nimi ciągnęły nieprzeliczone rzędy jucznych mułów i wozów. Pomiędzy Wespazjanem a jego legionem, odległym zaledwie o trzy mile, maszerowało siedem kohort pomocniczych piechoty, z których utworzona z łuczników I kohorta *Hamiorum* znajdowała się akurat u stóp wzniesienia, zaledwie sto kroków od nich. Osiem pomocniczych pieszych kohort Batawów XIV legionu *Gemina*, wyprzedzając trzy legiony, przeczesywało teren, by odkryć ewentualne zasadzki, a tym samym chronić znacznie cenniejsze życie służących w legionach rzymskich obywateli. Minął je galopem oddział jazdy, wracający po patrolu przeprowadzonym na zachodzie. Od maszerującej armii płynął niski, dudniący dźwięk rogów, a słońce odbijało się od niezliczonej liczby hełmów.

W dali, dziesięć mil na północ, flotylla trójjrzędowców i statków zaopatrzeniowych tworzyła na lśniących wodach ujścia Tamezis małe kropki. Z kolei na wschodzie, pięć mil za ostatnią z kolumn, można było dostrzec ciemne plamy taborów z machinami oblężniczymi i ciężkim sprzętem, a za nimi niemalże kwadratową formację IX legionu *Hispana* z kohortami pomocniczymi na flankach.

– Cóż za widok – powiedział Wespazjan z podziwem. – To wielka armia.

– Widziałem większe – oświadczył Magnus, najwyraźniej nie dzieląc zachwyty legata.

Wespazjan był rozczarowany reakcją przyjaciela, ale tego nie okazał, przypomniał sobie bowiem, że Magnus służył pod Germanikiem w Germanii, w armii prawie dwa razy większej.

– Rzeczywiście – mruknął i zawróciwszy konia, ruszył w stronę wieńczącego szczyt lasu. – W każdym razie chciałem się rozejrzeć w topografii.

– Jasne, bardzo rozsądnie.

– I na własne oczy zobaczyć, jak wygląda sytuacja Petusa.

– Rzeczywiście.

Sytuacja Petusa, jak każdego innego dowódcy w tej armii, była spokojna.

– Prawie nikogo nie widzieliśmy – oświadczył Wespazjanowi i Magnusowi, kiedy go wreszcie dogonili pośród drzew. – Od czasu do czasu natykamy się na małe grupy, rodziny kryjące się w lasach z inwentarzem. Nie ma wśród nich mężczyzn. Nie pozwalam chłopcom ich tknąć, a nawet zabierać czegoś, co dałoby się włożyć do garnka. Wszystkie patrole wysłane na południe wróciły z niczym.

– Mam przecucie, że wkrótce ich znajdziemy, Petusie. – Wespazjan wpatrywał się

w pokryte gęstym lasem tereny na południu. – Jak głęboko zapuściły się tam twoje patrole?

– Na dziesięć mil, legacie. Nie znaleźliśmy nic poza kilkoma piecami do wypalania węgla drzewnego. To prawdziwa knieja. Można by tam ukryć całą armię, tyle że nie byłaby w stanie szybko się przemieszczać.

– Dzięki, Petusie, niech twoi chłopcy nadal robią swoje. – Wespazjan zawrócił konia.

– Oczywiście wiesz, gdzie oni wszyscy są? – spytał Magnus, kiedy wyjechali spośród drzew.

– Gdzie?

– Są wszyscy razem.

– Myślałem o tym. Pytanie brzmi: czekają nad rzeką czy próbują zająć nas od tyłu, czy też zamierzają zrobić coś, czego się zupełnie nie spodziewamy?

Magnus spochmurniał.

– Myślę, że to ostatnie, panie, popatrz. – Wskazał na zachód, w kierunku wzgórza, ku któremu zmierzała piechota Batawów tworzących straż przednią.

Wespazjan dostrzegł tam ciemną plamę, rozmazaną w unoszącym się wokół niej tumanie kurzu. Po chwili dobiegł go przepełniony nienawiścią ryk, wydobywający się z mnóstwa gardeł.

– Chyba oszaleli! Przecież nie mają z nami szansy w bezpośrednim starciu.

Tysiące wojowników, prowadzonych przez setki dwukonnych rydwanów, mknęły naprzeciw legionom XIV *Gemina* i II *Augusta*.

Batawowie najwyraźniej zostali uprzedzeni przez zwiadowców, bo ich osiem kohort ustawiło się już w linię bojową, tworząc tarczę ochronną dla legionów, które również formowały szyk bitewny.

– Chyba czas wracać do legionu, panie.

## Rozdział szesnasty

Wyjdaje się, że mamy przeciwko sobie jakieś trzydzieści tysięcy, legacie. Plaucjusz rozkazał nam pchnąć galijskie kohorty, od jednej do czwartej, by wesprzeć Batawów – zameldował Mucjanus, kiedy Wespazjan z Magnusem osadzili konie przy stanowisku dowodzenia II legionu, mieszczącym się pomiędzy dwiema liniami jego dziesięciu kohort ustawionych w szyku bojowym. – Już ich wysłałem; całkiem niedawno nawiązali kontakt z Batawami. Piątej, razem z resztą konnicy, kazałem przenieść się na nasze lewe skrzydło.

– Doskonale. Jak brzmią rozkazy dla nas?

– Sformować dwie linie, by stworzyć jak najszerszy front, ale zachować szyk otwarty, co też uczyniliśmy, po czym czekać.

– Czekać?

– Tak, legacie.

– W porządku. Pchnij posłańca do pierwszej kohorty *Hamiorum*, żeby zbliżyli się do naszej lewej flanki. Chcę mieć wsparcie łuczników, kiedy zajdzie potrzeba. I wyślij drugiego do Petusa. Ma zostać na wzgórzu, na wypadek gdyby tamci chcieli nas obejść z flanki. A potem możecie połączyć pierwszą i drugą kohortę.

– Tak jest, legacie.

Wzrok Wespazjana pobiegł ponad głowami żołnierzy przednich kohort ku stokowi; dwieście kroków od niego jednostki pomocnicze stały w szyku głębokim na czterech ludzi, tworząc długą prawie na milę linię bojową. Dalej, na szczycie wzgórza, horda nagich i półnagich wojowników wyrzaskiwała okrzyki wojenne, podskakując i wymachując bronią, a w trawie przed nimi krążyły setki rydwanów. Zreźni woźnice podjeżdżali na tyle blisko, by wojownik mógł cisnąć jeden lub dwa oszcypy w osłoniętych tarczami żołnierzy, po czym ich krępe koniki zwracały na zbocze, zastępowane przez kolejną falę rydwanów, a potem następną i znowu tę pierwszą. Od czasu do czasu jakiś ogarnięty gorączką bitewną harcownik zeskakiwał z rydwanu i rzucał się na pierwszy szereg oddziałów pomocniczych, z nieuchronnym, co oczywiste, skutkiem. Jego szybka i krwawa śmierć spotykała się z rykiem aprobaty przyglądających się temu współplemieńców.

Jeden z wojowników zwrócił uwagę Wespazjana: wysoki i potężnie zbudowany, z szeroką klatką piersiową i muskularnymi ramionami pokrytymi niebieskozielonymi zawijasami, ze sterczącymi włosami zlepionymi wapnem, stał dumnie wyprostowany w pędzącym rydwanie i wywijał mieczem, wysyłając kolejne fale rydwanów w dół stoku.

– Ten wódz to na pewno Karatakus albo Togodumnus.

– Takie jeżdżenie w kółko rydwanami do niczego nie doprowadzi – zauważył Magnus. – Dlaczego on im po prostu nie każe atakować?

– Myślę, że ich szlachetnie urodzeni wojownicy w rydwanach muszą pierwsi zetrzeć się z nieprzyjacielem. Oczekują, że wyślemy kilku harcówników do pojedynków. Z tego, co pisał Cezar, tak właśnie lubią rozpoczynać bitwy.

– No cóż, teraz będą musieli się przyzwyczaić do naszego stylu. Na razie nasi chłopcy nie raczyli zmarnować na nich ani jednego oszczepu.

Dudnienie rogów przetoczyło się wzdłuż linii; proporce oddziałów pomocniczych pochylały się kolejno, nakazując natarcie. Batawowie i Gallowie, których pradziadowie tak zażarcie przeciwstawiali się Rzymowi, pomaszzerowali teraz naprzód, by podbijać innych w jego imieniu.

Wódz barbarzyńców zeskoczył z rydwanu i z mieczem w jednym, a tarczą w drugim rękę odwrócił się ku swoim, wyciągając do nich ramiona, jakby ich wszystkich obejmował. Rydwany odjechały pospiesznie, pozostawiając na polu pieszych wojowników i ich wodza, który obracał się powoli przodem do zbliżającego się nieprzyjaciela.

Brytowie ruszyli do ataku.

Ataku, jakiego Wespazjan nigdy wcześniej nie widział ani o jakim nie słyszał: szaleńczego, chaotycznego i przerażająco lekkomyślnego w swojej brawurze. Z rykiem, który wstrząsnąłby ciemnym królestwem samego Plutona, i bez jakichkolwiek starań, by utrzymać linię wzajemnego wsparcia, tysiące wojowników, o skórze pomalowanej w cudaczne niebieskozielone wzorki, wymachujących długą bronią sieczną, wzniesioną nad zlepionymi w czuby włosami, biegło na łeb na szyję w dół zbocza, a każdy z nich chciał być tym pierwszym, który dostąpi zaszczytu upuszczenia wrażej krwi. Nie zwracali uwagi na zagrożenie i setki padły od razu pod pierwszą chmurą oszczepów, jaka spadła na nich, kiedy znaleźli się w odległości pięćdziesięciu kroków od przeciwnika. Odrzucali na bok przebitych na wylot martwych i rannych, którzy padali na ziemię w rozpryskach szkarłatu, łamiąc pod sobą drzewca, które w nich tkwiły, i biegli dalej, a wtedy opadł ich drugi rój

oszczepów, rozdzierając stłoczone, niczym niechronione ciała, rzucając wojowników na ziemię, gdzie z wygiętymi w łuk grzbietami i obnażonymi zębami wydawali swój ostatni krzyk.

Wyrzuciwszy oszczepy, żołnierze zmienili pozycję: przenieśli ciężar ciała na lewą nogę, ustawili przed sobą owalne tarcze i wyciągnęli miecze; tylne szeregi podeszły bliżej, by wesprzeć towarzyszy przed sobą, kiedy uderzenie wroga zatrzęsło całą linią.

Wespazjan wstrzymał oddech; miejscami kohorty lekko się chwiały, ludzie jednak szybko wyrównywali szyk, kiedy centurionowie wrzaskiem nakłaniali ich do wysiłku, odbijając swoimi *spathae* klingi długich mieczy i zadając śmiertelne ciosy usiłującym przełamać linię Brytom.

Liczebna przewaga i zmasowane uderzenie nie przyniosły spodziewanego rezultatu. Długie miecze Brytów nie nadawały się do walki w ścisłości i kiedy zderzywszy tarcze z tarczami przeciwników, brali zamach, by ciąć z góry, znad głowy, musieli się o krok cofnąć, jak podczas pojedynku, a nie w wypadku starcia ze ścianą tarcz. Linia się skonsolidowała; atak został przyjęty i wchłonięty, a przez zgłębienie przebił się dźwięk rogów; to Plaucjusz dawał obu legionom sygnał do natarcia i tym samym do zluźniania oddziałów pomocniczych.

– Naprzód szykiem otwartym! – krzyknął Wespazjan do trębacza stanowiska dowodzenia.

Seria dudniących dźwięków została powtórzona we wszystkich kohortach obu legionów. Pochyleno znaki i *Augusta* ruszył naprzód, by pierwszy raz zmierzyć się z tym nowym i dzikim nieprzyjacielem.

Wespazjan jechał powoli, dotrzymując kroku nacierającym żołnierzom. Odczuwał szczególną dumę, bo uświadomił sobie, że pierwszy raz dowodzi pełnym legionem w starannie zaplanowanej bitwie. Całe jego dotychczasowe życie sprowadzało się do tego konkretnego momentu i wiedział, że teraz właśnie się dowie, czy jest tego godzien. Przygotował się na to, żeby nie dać Plaucjuszowi pretekstu do najmniejszej reprimendy, i nie zamierzał popełniać już żadnych błędów.

– To będzie wymagało dobrego zgrania w czasie – mruknął zza jego pleców Magnus.

– Co ty tu jeszcze robisz?

– Sam się zastanawiam.

– Cóż, skoro już tu zostajesz, to przynajmniej mnie nie rozpraszaaj, bo słusznie zauważyłeś, że to będzie wymagało zgrania.

Wespazjan ponownie skupił uwagę na posuwających się naprzód pięciu kohortach z pierwszej linii. Szły szykiem otwartym, co drugi rząd czterech ludzi wpasował się w sąsiedni, pozostawiając luki na szerokość człowieka.

Kiedy Drugiemu brakowało już tylko trzydziestu kroków do żołnierzy z kohort pomocniczych, Wespazjan spojrział w dół na maszerującego tuż obok trębacza.

– Brać *pilum!* – rzucił.

Zabrzmiały trzy dźwięki, podchwyczone natychmiast przez jego kolegów z posuwających się na przedzie kohort; proporce dały znak i czterech pierwszych żołnierzy z każdego rzędu odciągnęło do tyłu ramiona, czując ciężar *pila*. Kiedy zostało dziesięć kroków, po dwóch żołnierzy stojących na końcach rzędów oddziałów pomocniczych oderwało się od reszty i ruszyło biegiem lukami w głąb II legionu Augusta.

– Rzucać! – krzyknął Wespazjan.

Na głęboki ton rogu centurionowie wydali głośny rozkaz i przeszło tysięcy obciążonych ołowiem oszczepów spadło z impetem na przeciwników.

Oszczepy rzucające przez legionistów *Gemina* spadły chwilę później, a Hamiowie zaczęli z flanki szyć z łuków, powalając setki Brytów, tak że ich linia na chwilę się zachwiała. To wystarczyło. Pozostali żołnierze oddziałów pomocniczych odwrócili się i wpadli w luki pomiędzy rzędami luzujących ich legionów; luki te po chwili zostały zamknięte przez co drugiego żołnierza z ośmioosobowego rzędu, natychmiast po wycofaniu się kolegów. Tu i ówdzie Brytowie zdołali wdrzeć się do szyku formacji, tworząc niewielkie strefy chwilowego zamętu pośród zdyscyplinowanych żołnierzy kohort, ale bardzo szybko sobie z tym poradzono.

Wespazjan przeniósł wzrok na trębacza, wydając rozkaz.

– Tylne szeregi, rzucać!

Na kolejne kilka dźwięków, powtórzonych jak echo w całym legionie, ostatni i przedostatni żołnierz z każdego rzędu podniósł oszczep nad głowy stojących przed nimi kolegów, którzy zaczęli metodycznie mieczami wypruwać Brytom wnętrzości.

Kolejna chmara rzymskich oszczepów spadła na Brytów. Cienkie żeleźce zakończone grotami z zadziorami powaliło wielu. Ziemia, już wcześniej śliska, bo zryta i przemieszana z krwią, moczem i kałem, stała się jeszcze bardziej zdradliwa.

Legioniści Drugiego od przeszło dwu lat nie mieli okazji wziąć udziału w prawdziwej bitwie i teraz walczyli z entuzjazmem i morderczą perfekcją. Liczba zabitych wrogów rosła z każdą chwilą, a żołnierze, siekąc mieczami, parli naprzód wspomagani przez Hamiów, którzy obsypywali gradem strzał tylne szeregi

przeciwników, a także tych, którzy próbowali się prześlizgnąć, by obejść Rzymian z flanki.

Przyzwyczajeni do indywidualnych starć wojownicy nie byli w stanie dłużej się przeciwstawić sile oraz taktyce współdziałających dwóch legionów i zaczęli się wymykać z tłumu, najpierw pojedynczo i dwójkami, a potem już dziesiątkami i setkami, aż w końcu reszta mężczyzn odwróciła się i popędziła w górę stoku, z szybkością i wraskiem niewiele mniejszym od tego, z jakim zbiegali w dół. Za ich plecami w obrzydliwie cuchnącym błocie pozostały tysiące trupów i rannych.

– Sygnał: stać! – rozkazał Wespazjan.

Zagrzmiał róg najbliższego trębacza, a inne powtórzyły jego głos. Legioniści z Drugiego *Augusta* zatrzymali się, szydząc z pobitych nieprzyjaciół, którzy poznawszy, czym jest stawić czoło rzymskiemu legionowi, umykali teraz w popłochu.

Wkrótce jednak szyderstwa ustały, ze szczytu bowiem położonego dwie mile na północ wyłoniły się świeże siły, równie wielkie, jeśli nie większe. Najwyraźniej przyszła pora, by kolejni wojownicy pokazali, na co ich stać.

– Zastąpić pierwszą linię! – zawołał Wespazjan.

Kolejne dudnienie rogu, przetaczając się przez legion, spowodowało, że ludzie pięciu tylnych kohort szybkim, składnym manewrem zamienili się miejscami ze zdyszаныmi i zakrwawionymi towarzyszami, na wypadek ewentualnego starcia jeszcze tego samego dnia. Za ich plecami złożone z Batawów i Galów jednostki pomocnicze zaczęły na nowo tworzyć szyk, biorąc oszcypy ze stojących na tyłach wozów kwatermistrza.

Żołnierze Drugiego obserwowali, jak nowo przybyli Brytowie wprowadzają się w stan bitewnej gorączki, rykiem dodając sobie odwagi.

– Co się stało z ich rydwanami? – spytał Magnus, zauważywszy ich brak.

– Nie wiem – odparł Wespazjan. – Jednak podstawowe pytanie brzmi: dlaczego nie zaatakowali wszyscy razem? Przecież mogli rzucić przeciwko nam jednocześnie sześćdziesiąt tysięcy ludzi.

– To i tak by nie wystarczyło.

– Pewno nie. Głupotą było stawianie przeciwko nam na otwartym terenie. Dlaczego po prostu nie zaczekali przy rzece? Nie może być do niej dalej jak trzy, cztery mile.

– Jestem pewien, że zrobią nam tę uprzejmość i tak właśnie uczynią, podobnie jak ta ich chmara, która zapoznała się z żelazem Dwudziestego.



Spośród grupy nowo przybyłych wystąpił jeden wojownik; choć z daleka szczegółów nie można było dostrzec, z ryku barbarzyńców Wespazjan wynioskował, że jest to ktoś ważny.

– Domyślam się, że to brat tego, który dowodził poprzednimi przeciwnikami – powiedział z chłodnym uśmiechem. – Wydaje mi się, że dostrzegam tu rywalizację między rodzeństwem.

– Aha, to dlatego nie czekali. Nie ma nic gorszego niż dzielić chwałę z bratem... a wygląda mi na to, że twój będzie miał okazję dziś cię przyćmić.

Po prawej XIV przygotowywał się do wsparcia XX, kiedy mrowie Brytów zaczęło się rozsypywać szeroko. Dwa szeregi kohorty *Gemina* już zamieniły się miejscami i teraz żołnierze ich oddziałów pomocniczych wysuwali się do przodu, by przyjąć pierwsze uderzenie.

Nie musieli długo czekać. Z rykiem mrozącym krew w żyłach, nawet z odległości dwóch mil, Brytowie ruszyli i niczym rozprzestrzeniająca się plama wylewanej z kotła roztopionej smoły spływali wzdłuż zbocza, a ich przednia linia nieustannie falowała.

Niebo pociemniało i spadł na nich deszcz kłujących włócznie wyrzuconych przez iberyjskie i akwitańskie jednostki pomocnicze Dwudziestego legionu. Wespazjan obserwował sytuację z niemym podziwem; atak się nie załamał, choć po pierwszej fali pocisków przyszła kolejna.

– Legacie! – usłyszał czyjś młodzieńczy głos, kiedy atakujący z ogłuszającym wrzaskiem dotarli do rzymskiej linii.

Wespazjan obejrzał się i na spoconym koniu zobaczył Alienusa, niskiego rangą trybuna ze sztabu Plaucjusza.

– Tak, trybunie?

– Wódz wyraża uznanie dla twoich dotychczasowych dokonań i prosi, byś przesunął oddziały pomocnicze do przodu, zagrażając w ten sposób nieprzyjacielskiej fłance. Uważa, że to ich osłabi i kiedy się cofną, masz pospiesznie ruszyć za nimi i dopaść ich podczas przeprawy przez Afon Kantiów.

– Dziękuję, trybunie, przekaz dowódcy, że zadanie zostanie wykonane.

Alienus, zasalutowawszy pospiesznie, pogalopował z powrotem, a Wespazjan rozkazał Maksymusowi, prefektowi obozu, rozesłać czekających w pogotowiu posłańców z legionowej konnicy, a następnie osobiście nadzorować całą manewr.

Jeźdźcy ruszyli z kopyta i Wespazjan ponownie skierował całą uwagę na bitwę toczącą się z jego prawej strony. Linia oddziałów pomocniczych wciąż się trzymała,

a przy dźwiękach rogów zbliżały się już legiony XIV i XX, by je złuzować.

Magnus uśmiechnął się krzywo.

– Trzeba to armii przyznać, że jeśli chodzi o taktykę, to nie ma szans na nagrodę za innowacje.

– Dlaczego zmieniać to, co się sprawdza? – odparł Wespazjan, podziwiając precyzję, z jaką żołnierze tylnych szeregów jednostek pomocniczych odrywali się od pozostałych i pomiędzy rzędami legionistów gęsiego biegli do tyłu.

Kiedy oba legiony starły się z nieprzyjacielem, świeżo unurzani we krwi żołnierze oddziałów pomocniczych *Augusta* wciąż mijali truchtem Wespazjana. Z brzękiem sprzętu i tupotem, kolumnami, po ośmiu w szeregu, znikali w lukach utworzonych dla nich przez czołowe kohorty ich legionu. Wynurzywszy się na otwartą przestrzeń, żołnierze płynnym, doskonale wyćwiczonym manewrem rozsypali się wachlarzem, tworząc głęboką na czterech ludzi linię bojową, a każda jednostka przylegała ściśle do sąsiedniej. Krzyki centurionów i ich zastępców wyrównujących szeregi utonęły w bitewnym zgwieżdżeniu, wyciu, skowycie i szczęku metalu. Brzmiało to, jakby wyrzynano całe stada bydła przy akompaniamencie tysięcy młotów spadających na kowadła.

Równym frontem żołnierze oddziałów pomocniczych rozpoczęli atak oskrzydłający z lewej strony. Koordynowani przez Maksymusa wykonali zwrot o czterdzieści pięć stopni i ruszyli na odkrytą flankę Brytów.

Wespazjan zerknął na wzgórze przed sobą; nic nie wskazywało na to, żeby pobici wcześniej wojownicy mieli wrócić.

– Powoli naprzód! – rzucił.

Znowu odezwały się rogi i znowu II legion *Augusta* ruszył równym tempem pod górę, by wesprzeć swoje oddziały pomocnicze, które zbliżały się do nieprzyjaciela. Widok napływających świeżych sił dodał energii legionistom Czternastego i Dwudziestego, wzmogli więc wysiłki, a jednocześnie Brytowie się zawahali; co bardziej tchórzliwi odwrócili się, wybierając ucieczkę. Panika zaczęła ogarniać coraz większe rzesze wojowników i coraz liczniejsi czmychali, aż zostali tylko najbardziej zaciekli. Poddani niemal machinalnie wymierzonym ciosom mieczy bardzo szybko, bezlitośnie i metodycznie zostali pozbawieni życia.

I nagle było po wszystkim.

Maksymus odwołał żołnierzy oddziałów pomocniczych *Augusta*. Nawet nie zdążyli zaatakować. Wystarczyła sama ich obecność, by losy bitwy zostały przesądzone. Szybko przecięli drogę legionu i zajęli stanowisko dwieście kroków

przed nim.

Na prawej stronie Wespazjana legiony Czternasty i Dwudziesty zlużowały kohorty pierwszej linii i przepuściły oddziały pomocnicze przez swoje szeregi, by zapewnić sobie osłonę, zanim same będą kontynuować natarcie. Wszystkie trzy legiony, z II *Augusta* na czele, stały w linii ukośnej.

Wespazjan, z łomoczącym sercem, wyprostował się na swoim wierzchovcu.

– Naprzód, biegiem! – zawołał do trębacza, pławiąc się w dumie na widok swojego legionu, prowadzącego armię na zachód, w pościgu za pobitym, ale jeszcze nie rozgromionym wrogiem.

Gdy tylko wybrzmiał sygnał, legioniści zwiększyli tempo, tratując resztki trawy. Wyprowadzające legion kohorty pomocnicze zareagowały i przyspieszyły, by pokonać truchtem ostatnie sto kroków do wzniesienia. Wtedy na szczycie pojawił się samotny wojownik, a po chwili dołączyło do niego całe mrowie. Sylwetki mężczyzn obrysowane blaskiem popołudniowego słońca zajęły całą długość grzbietu wzgórza. Już trzeci raz tego dnia żołnierze oddziałów pomocniczych ustawiali szeregi do bitwy.

– Stać! – rozkazał Wespazjan.

– Dranie nie uciekli daleko, tak jak należało – rzucił rozczarowany Magnus, kiedy głos rogu osadził legion w miejscu.

– Będziemy musieli bić się z nimi tak długo, aż zrezygnują – burknął Wespazjan, próbując ocenić, ilu ludzi może kryć się jeszcze za tymi, których było widać.

Legiony XIV i XX szły do przodu, dopóki nie zrównały się z Wespazjanowym, po czym one też się zatrzymały i po raz pierwszy tego dnia, kiedy dwie wrogie siły stanęły naprzeciwko siebie, na polu zmagania zapadła cisza.

Wespazjan obejrzał się przez ramię na usytuowane za legionem Sabinusa stanowisko dowodzenia Plaucjusza, skąd właśnie wypuszczono posłańców, po czym zwrócił spojrzenie ku stojącym nieruchomo nieprzyjaciołom. Jeszcze przez kilka uderzeń serca przeciwnicy wpatrywali się w siebie wzajemnie, aż w końcu przywódca Brytów ruszył w stronę legionu *Augusta*. Po dziesięciu krokach uniósł pokrytą liśćmi gałązkę i dopiero wtedy inni wojownicy podążyli za nim.

– Mają już dość! – zawołał Magnus, a wzdłuż całej rzymskiej linii rozległy się radosne okrzyki.

– Nie sądź. Popatrz. – Wespazjan wskazał na zbliżających się powoli Brytów. Za ich plecami na grzbiecie wzgórza nie pojawił się nikt więcej. – To na pewno jest tylko jedno plemię, i na dodatek niewielkie. Porozmawiam z nimi.

Kiedy ruszył koniem do przodu, Brytowie zatrzymali się i rzucili broń na ziemię, cofnęli o kilka kroków i padli na kolana. Osadził wierzchowca przed ich przywódcą, jedynym mężczyzną, który stał.

Bryt podniósł wzrok. Twarz miał pociągłą i ogorzałą, naznaczoną zmarszczkami, ciągnącymi się od kącików oczu, i brudami na czole, co w połączeniu z obwisłymi siwymi wąsami pozwalało sądzić, że jest człowiekiem znużonym życiem i obciążonym mnóstwem trosk i kłopotów.

– Jestem Budwok, król Dobunnów, poddany Karatakusa, pan jedynie własnego losu i niczego więcej – oświadczył całkiem znośną łaciną. – Dzisiaj ja i moi wojownicy zrobiliśmy wszystko, czego wymagał od nas honor, a teraz, przelawszy swoją krew, wybieramy nasz dalszy los. Jeśli mamy zostać plemieniem podległym, to chcemy, by był to nasz własny wybór, i dlatego wolimy podlegać potężnemu Rzymowi niż naszym sąsiadom Katuwelaunom. Jak brzmi twoje imię, wodzu?

– Tytus Flawiusz Wespazjan i nie jestem tu głównodowodzącym, tylko legatem.

– Nieważne, legacie. To z twoim legionem walczyliśmy, idąc za Karatakusem, ten legion nas pokonał i temu legionowi się poddajemy. – Wyjął miecz z pochwy i upuścił na trawę przed kopytami Wespazjanowego wierzchowca, a potem przykrył go zieloną gałązką. – Jesteśmy teraz twoim ludem, rób z nami, co zechcesz.

– Co się tu dzieje, legacie? – zawołał Plaucjusz podjeżdżając do Wespazjana.

– Właśnie przyjąłem kapitulację Budwoka z plemienia Dobunnów, wodzu.

– No proszę. – Plaucjusz spojrział w dół na króla. – Cóż, Budwoku, twoi wojownicy walczyli dzielnie, choć prowadzili ich ludzie, którzy mają tyle militarnego zmysłu co muły. Sądzę, że nie masz za co dziękować Karatakusowi i Togodumnusowi, zważywszy na ich dzisiejsze zachowanie.

Król pokręcił głową.

– Niestety Karatakus chciał sobie przypisać zwycięstwo nad wami i nie czekał na brata, mimo że jego armia była już w zasięgu wzroku. Wiem, czym jest honor, i rozumiem potrzebę umierania dla jego ratowania, ale nie poświęcę swoich ludzi dla fałszywego honoru głupca.

– I na honor przysięgasz, że twoi ludzie podporządkują się Rzymowi?

– Odbiorę sobie życie, jeśli któryś z tych ludzi podniesie przeciwko wam rękę.

– W takim razie zachowacie życie i wolność. Teraz zostanieie tutaj, pod strażą legionu rezerwowego. Jeśli spróbujecie uciekać czy w jakikolwiek sposób złamać dane słowo, połowa z was umrze na krzyżu, a druga połowa pójdzie w niewolę.

Król się skłonił.

– To nie będzie konieczne, wodzu – oświadczył.

– Mam nadzieję. Wespazjan, niech dwie kohorty oddziałów pomocniczych zostaną z nimi do przybycia legionu Dziewiątego. Powinien tu wkrótce dotrzeć, bo już go widać, a potem ruszajmy dalej, czeka nas przeprawa przez rzekę.

Chylące się ku zachodowi słońce oblewało łagodnym złotym blaskiem trawiasty szczyt ostatniego już przed Afon Kantiów wzgórza. Wespazjan jechał w towarzystwie Mucjanusa, Maksymusa i Magnusa, eskortowany przez połowę jeźdźców ze studwudziestoosobowego oddziału legionowej konnicy. Pozostałych sześćdziesięciu patroloowało rzekę i zdążyli już zameldować, że Brytowie przeprawili się na zachodni brzeg, niszcząc za sobą most.

Starając się nie pokazywać zbyt zadowolonej miny z powodu sukcesu jego legionu, Wespazjan obejrzał się na swoich żołnierzy mozolnie maszerujących pod górę.

– Musimy dopilnować, Maksymusie, żeby chłopcy dostali porządny posiłek i dobrze w nocy wypoczęli. Kiedy rozbijemy obóz, daj im pozwolenie na półtorej racji żywnościowej, ale niech to nie dotyczy wina. Nie chcę, żeby rano cierpieli z przepicia. Mam przeczucie, że jutro czeka nas ciężki dzień.

– Z jedzeniem nie będzie problemu, jednak jeśli chodzi o porządny nocny odpoczynek, to raczej nie jest możliwy. Zechcesz zapewne wysłać wiele patroli, bo jestem przekonany, że długowłosi spróbują kilku wypadów na tę stronę rzeki.

Wespazjan zganił się w duchu za to, że pozwolił, by radość przesłoniła mu profesjonalne podejście.

– Masz oczywiście rację, Maksymusie, ale spróbuj rozłożyć obowiązki sprawiedliwie.

– Dopilnuję, by tylko jedna centuria z każdej kohorty miała zakłócony nocny odpoczynek.

Czuąc się głupio, że prefekt obozu musiał mu przypomnieć o podstawowych środkach ostrożności, Wespazjan obiecał sobie, że będzie się bardziej pilnował po bitewnej gorączce. Nie da już Maksymusowi powodu, by go musiał poprawiać, choć z drugiej strony, na tym między innymi polegała jego rola. Prefekt obozu był najbardziej doświadczonym żołnierzem w legionie; musiał zacząć jako surowy rekrut i awansować do stopnia najmłodszego centuriona w dziesiątej kohorcie. Piął się coraz wyżej i ostatecznie został dowódcą pierwszej kohorty, czyli najwyższym

rangą centurionem w legionie. Z tak wielkim doświadczeniem bojowym i administracyjnym miał za zadanie mieć na oku mniej doświadczonych, ale stojących wyżej od niego w hierarchii społecznej przełożonych, to znaczy legata i najstarszego rangą trybuna.

To był dobry system, pomyślał Wespazjan, kiedy pokonywali ostatnie kilka stóp dzielące ich od szczytu wzgórza, pod warunkiem że legat nie był na tyle arogancki, by odrzucać rady człowieka znacznie niższego pochodzenia, co niestety było dość nagminne. Przysiągł sobie, że nigdy nie popełni tego błędu; lepiej wyjść na mało rozgarniętego i nie narażać się na niebezpieczeństwo niż starać się zachować twarz i skończyć jako trup.

Wszystkie te myśli wywietrzały mu natychmiast z głowy, kiedy znalazł się po drugiej stronie grzbietu wzgórza.

– Marsie Zwycięski, ochraniaj nas – szepnął, kiedy spojrzął w dół półmilowego stoku na rzekę i zniszczony drewniany most, a potem jeszcze dalej.

Na drugim brzegu rzeki i wznoszącym się nieopodal wzgórzu, prawie na milę w obie strony, zgromadziło się więcej ludzi, niż kiedykolwiek widział w jednym miejscu, poza Circus Maximus w Rzymie. Obozowali tam jak popadnie, w gromadach i grupkach, a zza wzgórza wciąż napływali kolejni. Kiedy zobaczyli rzymskie legiony, cała ta armia Brytów podniosła się i wydała wyzywający, ogłuszający ryk.

– Musi tam ich być ponad sto tysięcy – powiedział głośno.

Maksymus podjechał bliżej do Wespazjana i przez kilka chwil toczył wzrokiem po tym nieprzebrany tłumie.

– Tak, to by się mniej więcej zgadzało, może jakieś dziesięć tysięcy więcej czy mniej, a ich liczba stale rośnie. Na miejscu Plaucjusza nie czekałbym do jutra. Zostały jeszcze cztery godziny dnia, mnóstwo czasu, by przerzucić most przez rzekę.

Magnus zagwizdał cichutko, z podziwem.

– Właśnie coś takiego nazywam dużą armią! – oświadczył.

## Rozdział siedemnasty

**A**ulus Plaucjusz uśmiechnął się, kiedy jego legaci i prefekci jednostek pomocniczych zbrali się wokół stojącego na otwartym powietrzu stołu.

– Ruszamy bezzwłocznie, panowie, by wykorzystać beztronski sposób, w jaki tamci obozują... nim któryś z nich ruszy głową i zacznie wznosić obwarowania. – Rozwinął mapę z zaznaczoną z grubsza rzeką, rozłożył ją na stole i położył na niej palec. – Jesteśmy tutaj. Na północ od nas rzeka zatacza ostry łuk i przez pół mili jest niewidoczna ze znajdującego się za tym wzgórzem obozu Brytów. – Oderwał palec od mapy i wskazał wysokie na dwieście stóp wzgórze, położone jakąś milę na północ od zniszczonego mostu. – Chcę, by osiem kohort piechoty bawarskiej jak najszybciej przepłynęło na drugi brzeg. – Spojrzał na brodatego prefekta. – Cywilisie, jako prefektowi pierwszej kohorty powierzam ci dowództwo tej operacji. Kiedy tylko znajdziecie się po drugiej stronie, zajmijcie tamto wzgórze. To ich postawi na nogi. Mam przecucie, że ta niezdyscyplinowana hałastra oblezie was niczym robactwo, ale mając przewagę wyższego terenu, powinniście wytrzymać na tyle długo, byśmy zdążyli osiągnąć nasz cel, zanim oni się zorientują, co robimy. Wtedy ich napór przeniesie się na Drugi legion *Augusta*. Jakież pytania?

Cywilis zmarszczył brwi.

– Czym jest ten cel, od którego mamy odwrócić ich uwagę?

– Oczywiście most budowany przez Drugi *Augusta*. Za wszelką cenę macie utrzymać ten wyżej położony teren. A teraz już ruszajcie, nie ma chwili do stracenia i niech Fortuna, czy też ten z bogów, który jest wam, Batawom, drogi, was strzeże.

– Niech to będzie Fortuna, panie. – Cywilis zasalutował energicznie i razem z siedmioma kolegami pobiegł zebrać swoich ludzi.

Plaucjusz przesunął wzrokiem po swoich oficerach.

– Mamy nad nimi znaczącą przewagę z dwóch powodów: po pierwsze, Brytowie nie wiedzą, że dysponujemy ośmioma kohortami po ośmiuset ludzi, z których każdy potrafi przepłynąć rzekę w pełnym uzbrojeniu, a po drugie, nie słyszeli o mostach pontonowych. Myślą, że zamierzamy czekać na odpływ i wtedy zaczniemy wbijać pale w dno rzeki, żeby zbudować stały most, zatem nie wyprowadzamy ich z błędu. Chcę, byście stwarzali pozory, że rozbijacie obóz, bo w ten sposób uśpicie czujność długowłosych i odciągniecie ich uwagę od zmierzających na północ ludzi Cywilisa; zbudujcie tylko wały i nie rozstawiajcie namiotów. – Spojrzenie Plaucjusza spoczęło na Wespazjanie. – Wozy już wkrótce powinny tu być. Każ wyładować łodzie i umieścić je wśród wznoszonych konstrukcji obozowych. – Spojrzał na Sabinusa. – Kiedy tylko Batawowie pojawią się na tamtym wzgórzu, niech twój legion, Sabinusie, ruszy do tego zniszczonego mostu, tak jakby miał zamiar go odbudowywać. Brytowie będą rozdarci pomiędzy wysiłkiem związanym z odepchnięciem stamtąd Batawów a strzelaniem z proc do twoich chłopców, by utrzymać ich z dala od mostu. Obawiam się, że nie unikniecie strat, ale jest niezwykle istotne, byście tam tkwili.

– Tak jest, wodzu.

– Wespazjanie, kiedy Brytowie będą już zajęci na północy, spuścisz łodzie na wodę, o tutaj. – Wskazał odcinek rzeki o milę na południe od zniszczonego mostu. – W tym miejscu wzgórza oddalają się łukiem od obydwu brzegów, więc nie będzie cię tam czekać walka pod górę. Masz godzinę na przeprawę i zdobycie przyczółka dla przepływającego się za tobą legionu Gety. – Przeniósł wzrok na kolejnego legata. – Twój legion, Geto, uformuje szyk dokładnie tu, gdzie jesteśmy, kiedy tylko Batawowie pokażą się na swoim wzgórzu; potem pomaszerujecie na północ, by Karatakus i jego brat pomyśleli, że próbujesz się przeprawić tam, gdzie zrobili to Batawowie, i to odwróci ich uwagę od Wespazjana. Po godzinie zawrócisz i o zmierzchu przejdiesz na drugą stronę po moście Drugiego legionu. Potem, pod osłoną nocy, jak tylko zajdzie księżyc, każę przeciągnąć most na pozycję Czternastego, do świtu będzie na miejscu. Wtedy zaatakujemy, mając Drugi legion na nisko położonym terenie nad rzeką, a Dwunasty wyżej, i oba będą się posuwać na północ, żeby połączyć się z Czternastym. Wówczas odepchniemy długowłosych do tyłu, na Batawów, i w ten sposób ich zmiażdżymy.

– A co z Dziewiątym, wodzu? – spytał Korwinus, najwyraźniej dotknięty, że jego legion nawet nie został wspomniany.

– Właśnie do niego przechodziłem, legacie. Trzymaj chłopców w ukryciu po



drugiej stronie wzgórza, a o świcie sprowadź ich nad rzekę i przejdźcie przez most za Czternastym. Kiedy Brytowie osłabną, ci, którzy przeżyją, ruszą ku Tamezis. Niedaleko na północ stąd rzeka nie ma nawet mili szerokości i przy odpływie można prawie całą przejść brodami. Jeśli zna się to miejsce, to do przepłynięcia zostaje ze dwieście kroków. Postaramy się ich powstrzymać przed dotarciem tam, a tymi, którzy znajdą się w wodzie, zajmie się flota, choć jestem pewien, że tysiące i tak przeprawią się wpław. W czasie, gdy my będziemy ich rozgramiać, Dziewiąty, najszybciej jak to możliwe, skieruje się na zachód, uchwyci północny brzeg leżącego w górze rzeki brodu i utrzyma go aż do naszego przybycia. Jeśli będziecie musieli przebijać się walką, niech tak będzie. Czy to zadanie jest współmierne do twojej godności, Korwinusie?

Korwinus nachmurzył się, nie bardzo wiedząc, co ma odpowiedzieć, żeby nie wyjść na głupca, i w końcu skinął tylko milcząco głową.

Plaucjusz uśmiechnął się kwaśno.

– Doskonale, cieszę się, że znalazłem coś stosownego. Jeśli zaś chodzi o szczegółowe rozkazy dla legionów i oddziałów posiłkowych, zostawiam je wam, panowie. Wykonajcie te wszystkie zadania w sposób, jaki sami uznacie za właściwy. Są jakieś pytania?

Wespazjan rozejrzył się po twarzach kolegów; większość wpatrywała się w mapę, obmyślając szczegóły planu, a kiwanie głowami i pomruki aprobaty świadczyły o tym, że uważają go za precyzyjny i możliwy do wprowadzenia w życie. Zauważył krzyżujące się spojrzenia Korwinusa i Gety i doszedł do wniosku, że moment, który przewidział Narcyz, szybko się zbliża. Zerknął na Sabinusa, a brat skinął głową. On również zauważył tamte porozumiewawcze spojrzenia i zrozumiał ich znaczenie.

Po chwili Plaucjusz chrząknął z zadowoleniem.

– Doskonale. Oczekuję, że przy pierwszym starciu z nieprzyjacielem będziecie wszyscy walczyć na pierwszej linii. Żołnierze muszą wiedzieć, że ich dowódcy nie obawiają się przeważającej liczby tych wysmarowanych gliną drani. Wracajcie teraz na stanowiska i zaczynajcie markować budowę obozu. Batawowie powinni pokazać się na tamtym wzgórzu w ciągu godziny. Ja złożę ofiary Marsowi Zwycięskiemu, Fortunie i Jowiszowi. Miejmy nadzieję, że mnie wysłuchają, bo czekają nas zacięte zmagania. Jesteście wolni, panowie.

– No dobrze, moi pięknie, ściągnijmy te drańskie łodzie! – ryknął *primus pilus* Tacjusz do legionistów dwóch centurii, wyćwiczonych w ustawianiu mostu

pontonowego.

Wszyscy patrzyli teraz bez szczególnego entuzjazmu na kawalkadę dwudziestu zaprzężonych w woły wozów transportujących po dwie piętnastostopowe łodzie.

– Daj sobie z tym spokój, Tacjuszu! – zawołał Wespazjan, podjeżdżając szybko w górę stoku. – Właśnie obejrzałem cały ten teren, stąd do miejsca, gdzie ustawimy most. Jest płaski i trawiasty, więc będzie szybciej, jak wyprzęgnięcie woły i sami zepchniecie wozy nad rzekę.

– Skoro tak twierdzisz, legacie. – Centurion odwrócił się do swoich ludzi, z których niektórzy zaczęli już wykonywać jego ostatni rozkaz. – Włóżcie te draństwa z powrotem tam, gdzie były. Po co je ściągacie z doskonałych wozów, na których możemy je stoczyć do rzeki? – gderał. Legioniści popatrzyli na niego z niepewnymi minami, ale nie mieli zwyczaju zadawać pytań. – O, tak jest znacznie lepiej. A teraz wyprzęgnijcie i zabierzcie stąd woły, a nie ważcie się ich zjadać, bo należą do armii i muszą się zameldować u prawowitego przełożonego.

– Czy oficerowie zebrali się w pretorium, Tacjuszu?

– Tak, legacie, zostawiłem ich tam, a sam przyszedłem zająć się tymi łodziami.

Wespazjan popędził wierzchowca przez teren, na którym w precyzyjnie wyreżyserowany sposób uwijano się, markując budowę obozu, i skierował się ku jego centrum. Tacjusz zostawił pontony w rękach zastępców centurionów, a sam podążył za nim.

Wszyscy trybunowie, prefekci i centurionowie czekali na Wespazjana. Legat zsiadł z konia i podał cugle niewolnikowi.

– Powiem krótko, panowie, bo za pół godziny powinniśmy już być w drodze. Tacjusz połączył piątą i szóstą centurię z dziesiątej kohorty, obie wyspecjalizowane w budowie mostów pontonowych, by zajęły się łodziami. Czy deski są tutaj, Maksymusie? – zwrócił się do prefekta obozu.

– Tak, legacie. Właśnie w tej chwili pierwsza centuria drugiej kohorty odbiera młotki i gwoździe.

– Doskonale. Byłem nad rzeką. Odpływ się już zaczął, ale do drugiego brzegu wciąż jest dobre pięćdziesiąt kroków, czyli trzeba jakichś trzynastu, czternastu łodzi. Kiedy tylko ruszymy, niech twoi chłopcy, Petusie, zejdą nad rzekę i jak najszybciej ją przepłyną.

Twarz młodego prefekta rozjaśniła się uśmiechem.

– Już im kazałem opróżnić bukłaki i wydałem po dziesięć oszczepów.

– Świetnie. Kiedy znajdziecie się po tamtej stronie, macie powstrzymać wszystkich, którzy spróbują nam przeszkodzić w ukończeniu mostu.

– Tak jest.

– Lucznicy Hamiów wesprą was z tego brzegu. – Wespazjan spojrzął na prefekta I kohorty *Hamiorum*. – Ile strzał wydano twoim chłopcom?

– Po pięćdziesiąt na jednego i dwa razy tyle rezerwy na wózkach.

Legat skinął głową.

– Powinno wystarczyć na jeden dzień. Chcę też, Maksymusie, by cała obsługa balist legionu dołączyła do Hamiów. Kiedy już przeprawa będzie gotowa, i módlmy się do Janusa, by to zajęło tylko pół godziny, pierwsza kohorta poprowadzi natarcie na drugi brzeg mostem po prawej, z Tacjuszem i ze mną w pierwszym szeregu. Wy pójdziecie za naszym przykładem i będziecie walczyć na czele swoich jednostek, nawet najmłodszy. – Wespazjan spojrzął na pięciu młodych trybunów o najniższej randze, których rozgorączkowane twarze zdradzały zarówno podniecenie, jak i lęk, i modlił się w duchu, by żaden z nich nie wpadł w bezmyślny szal bitewny, który we wczesnej młodości dawał się we znaki jemu samemu. Na coś takiego nie było miejsca w zdyscyplinowanych szeregach legionów. – Na drugim brzegu pierwsza kohorta ustawi się przodem ku północy – ciągnął – mając po prawej stronie rzekę. Za nią ustawi się druga, z Mucjanusem w pierwszym szeregu, a dalej kolejne kohorty w ustalonym porządku. Staniemy w trzech liniach, mając cztery kohorty w linii drugiej. Most z lewej strony jest przeznaczony dla oddziałów pomocniczych. Chcę, by oddział jazdy galijskiej znalazł się po drugiej stronie pierwszy i jak najszybciej zajął wyżej położony teren na naszej lewej flance. Ma go utrzymać do czasu, aż dotrze tam pięć kohort galijskiej piechoty. Powinny sformować się na wzgórzu, utrzymując kontakt z lewym skrzydłem legionu; jazda będzie powstrzymywała przeciwnika przed próbami oskrzydlenia nas. Na końcu przeprawi się konnica legionowa, która będzie stanowiła rezerwę. Hamiowie i maszyny miotające pozostaną na tym brzegu i ruszą do przodu razem z nami, a do tego czasu mają stąd prowadzić ostrzał. Jednak dzisiaj nie pójdziemy dalej, bo mamy rozkaz utrzymać przyczółek i poczekać na Dwudziesty. Wszelkie nasze ewentualne ruchy będą krótkotrwałe i o charakterze taktycznym, nastąpią jedynie na sygnał pierwszej kohorty, gdyby potrzebowała wsparcia. Czy to jasne, panowie?

W odpowiedzi rozległ się potwierdzający szmer.

– Bardzo wątpię, by nam się udało bez przeszkód rozwinąć szyk, ale im szybciej to zrobimy, tym większą będziemy mieli szansę zaskoczyć Brytów. Oni jednak na

nas ruszą, możecie być tego pewni, i będą próbowali zepchnąć nas z powrotem za rzekę. – Zerknął na hordę wojowników okupujących wzgórze po drugiej stronie rzeki, odległe o niecałe tysiąc kroków; przestali wyrzaskiwać i najwyraźniej zajęli się przygotowaniem wieczerzy i popijaniem. Ich głosy dochodziły jednostajnym szumem. – Nie wolno nam do tego dopuścić, więc będziemy musieli walczyć jeden na pięciu czy sześciu, może nawet siedmiu. Naszym celem jest zdobycie i utrzymanie przyczółka przed zmięciem. Wtedy przeprawi się i dołączy do nas Dwudziesty, zmieniając oddziały pomocnicze na wzgórze. Potem czeka nas ciężka noc, bo musimy utrzymać szyk, spać będziemy krótko i na zmianę. Rano ruszamy na północ i będzie to krwawy szlak.

Kiedy oficerowie zastanawiali się nad jego słowami, szum tysięcy głosów zza rzeki zmienił się, najpierw stopniowo, a potem gwałtownie, w buntowniczy ryk.

Wespazjan spojrział ku północy i uśmiechnął się ponuro, czując, jak przyspiesza mu puls i żołądek podchodzi do gardła.

– Batawowie dotarli, zatem zaczyna się, panowie. Wracajcie do swoich jednostek, kaźcie im zaprzestać bawić się w budowanie obozu i sformujcie kolumnę. Wydam rozkaz wymarszu, kiedy tylko dojdę do wniosku, że uwaga Brytów jest wystarczająco skupiona gdzieś indziej. Przodem pójdą Batawowie, Hamiowie, artyleria i ekipa stawiająca most. Ja pójdę z nimi, Mucjanusie. Kiedy tylko dotrzemy do rzeki, ruszaj z resztą ludzi. Możecie odejść.

Podzwaniając ryszunkiem, oficerowie zaszalutowali, wykonali energiczny zwrot i odmaszerowali do swoich podkomendnych. Wespazjan spojrział na drugi brzeg; chmara Brytów dziwnym, płynnym, wirującym manewrem zaczęła przemieszczać się na północ.

– Zupełnie jak zmieniające kierunek stado szpaków – zauważył Magnus, podchodząc do niego z tyłu.

– Chyba nigdy nie widziałem tak wielkiego stada szpaków. – Wespazjan odwrócił się do przyjaciela i zdębiał. – Po co ci to wszystko?

– Cóż, kolczugę założyłem po to, by utrudnić dzikusom zbadanie moich wnętrzności. Hełm może zapobiec rozłupaniu głowy, natomiast tarcza jest o wiele lepsza do odbijania ciosu miecza niż własne lewe ramię, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Oczywiście, że wiem. Zamierzasz walczyć.

– Zastanawiałem się, czy nie zasiąść do spokojnej kolacyjki na świeżym powietrzu i spośród zieleni obserwować to całe przedstawienie, ale pomyślałem

sobie, że mogę zmarznąć, więc lepiej i przytulniej będzie w pierwszym szeregu, tuż obok ciebie. Aha, przy okazji przyniosłem ci to. – Podał Wespazjanowi jego tarczę.

– Nie jesteś na to trochę za stary? – spytał Wespazjan, dziękując skinieniem głowy.

– W tym roku kończę pięćdziesiąt jeden lat, mam jeszcze mnóstwo chęci do walki i chędożenia. Poza tym nigdy nie walczyłem z Brytem... powinno być ciekawie.

Wespazjan pokręcił tylko głową, wiedząc, że nie zdoła powstrzymać Magnusa od walki, która przecież, jako cywila, nie była jego sprawą. Uświadomił sobie, że tak naprawdę raźniej mu będzie z przyjacielem u boku. Spojrzał na drugą stronę rzeki. Brytowie przemieszczali się na północ. Kiedy patrzył na to krocie ludzi pokrywające niby wędrujący cień chmury trawiaste zbocze, zobaczył, jak odrywa się od nich jedna odnoga i kieruje ku rzece. To XIV zbliżał się do zniszczonego mostu. Wespazjan zaniósł krótką modlitwę do boga Sabinusa, Mitry, by chronił jego brata, a tymczasem po prawej, w odległości pół mili, XX legion ruszył na północ, do miejsca przeprawy Batawów.

– Bardzo ich to zainteresowało – zauważył Magnus, kiedy na widok nowego zagrożenia krzyki Brytów znacznie przybrały na sile.

– Rzeczywiście, bo prawie wszyscy od nas się oddalają. Zatem czas ruszać. – Wespazjan spojrział na trębacza czekającego przy pretorium. – Daj sygnał wymarszu.

Rozległy się wysokie i czyste dźwięki, po których natychmiast odezwało się niskie buczenie *cornua*. Po lewej stronie Wespazjana dwie inżynierskie centurie zaczęły spychać wozy po stoku, podczas gdy jazda Petusa oddaliła się galopem, a za nią pobiegli truchtem łucznicy Hamiów, za którymi sunęło sześćdziesiąt zaprzężonych w muły wozów z legionowymi balistami i ich obsługą.

Wespazjan odetchnął głęboko, przygotowując się na jedną, o czym wiedział, z najtrudniejszych godzin w swoim życiu.

– No to do roboty, przyjacielu – powiedział.

– Miałem nadzieję, że to zaproponujesz.

Zacząli posuwać się w dół zbocza za wozami, podczas gdy wszędzie wokół nich kohorty II legionu *Augusta* i jego oddziały pomocnicze gotowały się do walki ze znacznie przeważającymi siłami wroga. Wespazjan wiedział, że zmagania tego popołudnia okażą się błahostką w porównaniu z tym, co czeka II legion *Augusta* na przeciwległym brzegu Afon Kantiów.

– Nie gąpcie się na nie, tylko je spuście! – ryknął centurion szóstej centurii

dziesiątej kohorty na czterech swoich ludzi, którzy łapali oddech po zdejmowaniu łodzi z wozu.

Za jego plecami żołnierze wielkimi młotami wbijali osiem grubych pali w suchszą ziemię trochę wyżej brzegu. Legioniści natychmiast odwrócili łódź dnem do dołu i przeniósłszy ją przez porastający brzeg szuwały, położyli w błocie poniżej. Zdając sobie sprawę z konieczności pośpiechu i czując na sobie piorunujący wzrok centuriona, błyskawicznie odwiązali dwa wiosła przymocowane w środku do ławek, po czym zepchnęli łódź na wodę. Kiedy tylko zakołysała się na fali, wszyscy czterej w ubłoconych sandałach wskoczyli do niej.

Wespazjan obserwował poczynania swoich ludzi, zerkając od czasu do czasu nerwowo na północ, za wozy z balistami, ustawiające się w trzy rzędy po dwadzieścia na tyłach Hamiów, i jeszcze dalej, ku pędzącym w stronę dostrzeżonych zagrożeń Brytom. Wzdłuż całego odcinka brzegu trwał rozładunek, aż w końcu wszystkie łodzie podskakiwały na wodzie wolno płynącej rzeki.

Stuk młotów umilkł, kiedy dowodzący tą grupą roboczą zastępca centuriona uznał, że osiem pali, cztery na każdy most, zostało wbite wystarczająco porządnie, by można było rozpocząć mocowanie czterech długich, leżących na ziemi zwojów lin. Na wodzie unosiły się łodzie mające utworzyć drugi most. Nieco dalej na południe, po przeciwnej stronie rzeki, Wespazjan zobaczył, jak ostatni ludzie Petusa wychodzą z wody i dołączają do stojącego w czterech szeregach oddziału. Na razie nie było widać, by nieprzyjacielem zmierzali w ich stronę.

– Może nam się udać – powiedział Wespazjan, spoglądając ponad ramieniem Magnusa na stok, którym pospiesznie zawracali legioniści *Augusta*.

Magnus splunął i swoim zwyczajem zacisnął kciuk w dłoń, odmawiając modlitwę chroniącą przed złym urokiem.

– Przepraszam. Masz rację. Za wcześniej, żeby tak mówić – przyznał Wespazjan.

– Pierwsze łodzie! – ryknął centurion; jego kolega przy drugim moście zrobił to samo.

Pięć łodzi natychmiast wypłynęło półkolem na pozycje. Kiedy pierwsza znalazła się na wysokości pali, dwóch legionistów ją pochwyciło, przytrzymało, podczas gdy pozostali podawali zwoje przywiązanych do pali lin dwom na dziobie i na rufie. Mężczyźni natychmiast przełożyli linę przez duże metalowe pierścienie przykręcone na obu końcach łodzi i przymocowawszy je tam, podali linę kolegom, którzy kolejnymi łodziami dobili do ich burty. Wioślarze utrzymywali łodzie razem; kiedy przeciągano linę, wiązano i przekazywano do trzeciej łodzi, wioślarz zewnętrzny cały

czas poruszał piórem wiosła w wodzie, żeby utrzymać linię nieruchomo, i unosił je, dopiero kiedy przybijała kolejna łódka. Za nimi, z lustrzanym podobieństwem, powstawał bliźniaczy most.

Wespazjan zerknął ku wzgórzom na północy. Trawiastym stokiem na spotkanie z Batawami sunęła w górę ogromna liczba rydwanów. Nagle od strony oddziałów pomocniczych poszybowała wąska ciemna chmura i zatoczywszy w powietrzu łuk, spadła w sam środek rydwanów. Krzyki bólu utonęły w ryku wydobywającym się z dziesiątków tysięcy gardeł, jednak nawet z tej odległości legat dostrzegł kilkadziesiąt unieruchomionych wozów z leżącymi przed nimi końmi.

– Kolejne pięć! – zawołali centurionowie, kiedy przymocowano wszystkie.

Po pięć łodzi spuszczone na wodę. Na brzegu żołnierze centurii, wyposażeni w młotki i gwoździe, minęli truchtem pale, a za nimi podążyły ciągnięte przez muły, załadowane deskami wozy. Czterech prowadzących legionistów posuwało się do przodu po umocowanych już łodziach, a pozostali, utworzywszy szereg za ich plecami, podawali z rąk do rąk szerokie na dwie stopy deski. Kładziono je w poprzek łodzi, opierając na szeroko i płasko zakończonych nadburciach, i przybijano długimi gwoździami. Powstająca szybko od środka, szeroka na dwanaście stóp drewniana droga zetknęła się w końcu z deskami, które umocowano na najbliższych brzegu łodziach. Nim przybito ostatnie, na wodzie unosiło się kolejnych pięć łodzi, sięgających już dwóch trzecich szerokości rzeki, a kiedy ostatnie ruszyły na swoje pozycje, powtórzono całą procedurę. Na drugim brzegu *ala* Petusa minęła miejsce tej operacji, kiedy ośmiu legionistów, wyposażonych w młoty i pale, wysiadło z łodzi, żeby przymocować oba mosty do zachodniego brzegu.

Maksymus wyprężył się, podzwaniając odznaczeniami, i zameldował Wespazjanowi:

– Kolumna Drugiego legionu *Augusta* oraz jego oddziałów pomocniczych gotowa do przeprawy, legacie!

– Dziękuję, prefekcie.

Wespazjan odwrócił się i zobaczył, jak dziesięć tysięcy żołnierzy znajdujących się pod jego komendą, dwiema kolumnami, po ośmiu ludzi w szeregu, zajmuje stok. Ciepłe światło chylącego się ku zachodowi słońca różowiło ich zmęczone, posępne twarze i igrało na wypolerowanych zbrojach, rozświetlając znaki, za którymi byli gotowi podążać póki życia.

Dobiegający zza rzeki ostry dźwięk długiego rogu używanego przez jazdę, zwanego *lituus*, zaskoczył Wespazjana. Spojrzał na północ i zobaczył to, czego

najbardziej się obawiał. Ruchy Drugiego nie pozostały przeoczone... jakże mogło być inaczej? Znaczne siły wojowników oderwały się od hordy Brytów i prowadzone przez formację rydwanów po płaskiej łące kierowały się wprost na nich. Oddział Petusa sformował szyk i kłusem ruszył naprzeciw odległemu zaledwie o milę nieprzyjacielowi.

– Przyspiesz prace, Maksymusie, bo nas dopadną, zanim przeprawimy pierwszą z kohort.

Prefekt obozu spojrział na dwie ostatnie łodzie i pobiegł na koniec mostu z ponaglającym krzykiem.

Magnus zmarszczył brwi.

– To nic nie da, chłopcy dają z siebie wszystko. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby tak szybko stawiano most.

Wespazjan nie odezwał się, tylko przywołał prefekta kohorty *Hamiorum*.

– Ruszajcie na północ za naszą jazdą, biegiem, jeśli będzie trzeba, i kiedy nasi zetną się z nieprzyjacielem, co dziesięć uderzeń serca niech wspiera ich osiemset strzał. I celujcie w konie.

Po chwili Hamiowie zawrócili wzdłuż brzegu, podążając za jadącymi truchtem Batawami.

Wbrew wątpliwościom Magnusa w obecności prefekta ludzie wykrzesali z siebie jeszcze więcej sił i wstawiano na miejsce ostatnie dwie łodzie. Wespazjan cofnął się o kilka kroków w górę stoku i stanął w pierwszym szeregu pierwszej kohorty, obok Tacjusza. Magnus ustawił się u jego boku. Za ich plecami chorąży niosący orła Drugiego legionu *Augusta*, dumnie wyprostowany, imponujący w wilczej skórze, miał za zadanie podczas bitwy obiema rękami trzymać wysoko ten święty emblemat, chroniony przez otaczających go żołnierzy. Wespazjan z trudem wytrzymywał, stojąc w jednym miejscu, kiedy przymocowywano liny do pali, kładziono i przybijano ostatnie deski. Rzut oka na północ wystarczył mu, by zorientować się, że pół mili od nich Batawowie znajdują się niecałe dwieście kroków od nieprzyjaciela, a Hamiowie pędzą rozproszoną formacją, by dotrzymać im kroku.

– Nie patrz tam, panie, gównu możesz w tej sprawie zrobić – szepnął mu Magnus do ucha.

Żeby pozbyć się nieznośnego napięcia, Wespazjan zacisnął dłoń na rękojeści miecza i sprawdził, czy broń gładko wychodzi z pochwy. Pomyślał, że od czasu żydowskich rozruchów w Aleksandrii pięć lat temu będzie to pierwszy raz, kiedy użyje w walce miecza podarowanego mu przez Antonię, a należącego wcześniej do jej



ojca, Marka Antoniusza. Brakowało mu go w Germanii; dłuższy miecz jazdy pomocniczej, *spatha*, nie był...

– Opuścić most! – krzyknął Maksymus.

Grupy robocze pobiegły na brzeg po drewnianej konstrukcji, powodując jej trochę nieskładne falowanie.

– *Primus pilus*, ruszamy! – rozkazał Wespazjan, jeszcze zanim ostatni budowniczy zeskoczyli na brzeg.

– Pierwsza kohorta, szybkim marszem naprzód!

Zabrzmiał róg, znaki pochylono dwukrotnie i ośmiuset żołnierzy pięciu centurii o podwójnym składzie ruszyło przed siebie.

– Wolny krok! – rzucił Tacjusz tuż przed wejściem na most.

Małymi podskokami zmienili krok na swobodny, żeby miarowym marszowym rytmem nie rozkołysać łodzi i nie oderwać desek.

Wespazjan miał ochotę biec, ale trzymał się tempa narzuconego przez Tacjusza; słyszał za sobą stukot podbitych ćwiekami sandałów, wzmocniony pustą przestrzenią w łodziach pod deskami, co przypominało przetaczające się grzmoty podczas gwałtownej burzy. Z każdą chwilą narastało jego zaniepokojenie, a oczy wciąż biegły ku północy, gdzie żołnierze Petusa byli zaangażowani w liczne potyczki z nieuchwytnymi rydwanami. Chcąc uniknąć bezpośredniego spotkania, woźnice w ostatniej chwili gwałtownie skręcali, a wojownicy ciskali oszczepty w Batawów, którzy rewanzowali im się, zwalając z nóg wiele koni, wyrzucając w powietrze drewniane pojazdy wraz z ich załogą, tak że ziemię przed frontem konnicy usłały dziesiątki przeszkód. Rozbicie szyku skończyłoby się tragicznie; linia Batawów musiała się zatrzymać. Żołnierze prowadzili teraz walkę wręcz z wojownikami kilku przechwyconych rydwanów, którzy wyczołgali się z wraków. Kilkaset rydwanów, zasypywanych gradem strzał ze wschodniego brzegu, natarło ponownie na Batawów. Każdy wojownik ciskał po dwa czy trzy oszczepty w unieruchomiony oddział. Rozległ się chóralny wrzask rannych ludzi i zwierząt.

Nagle kroki Wespazjana stały się bezgłośnie, a podłoże przestało się kołysać; pierwszy szereg dotarł do drugiego brzegu. Pół mili na północ od nich *ala* Petusa rozpadła się i żołnierze rzucili się do ucieczki; ruchliwy nieprzyjaciel, z którym nie mogli zetrzeć się bezpośrednio, zadał im katastrofalne straty. Brytów z kolei dziesiątkowały spadające z nieba chmury strzał, ale mimo to gnali za osłabionym nieprzyjacielem, wiedząc, że już wkrótce groty ich nie osiągną. Za rydwanami podążała nawała wojowników, nieprzestrzegających żadnej dyscypliny, ale

zdeteminowanych.

Pierwsza kohorta przepawiła się na zachodni brzeg. Tacjusz natychmiast zwiększył tempo, kiedy zorientował się, że mogą zostać zaskoczeni na otwartym terenie podczas formowania szyku. Odliczał głośno kroki, kiedy biegli przez łąkę, już wcześniej stratowaną przez jeźdźców Petusa podczas ich ofiarnego wypadu na północ. Tuż obok nich pędziła ku wzgórzom konnica galijska. Oni też rozumieli, jak liczy się czas w tej precyzyjnie obmyślonej taktyce; za nimi biegła galijska piechota, krzykiem poganiana przez centurionów i ich zastępców. Kiedy Tacjusz doliczył do pięćdziesięciu, Batawowie byli najwyżej jakieś pięćset kroków od nich. Spienione konie gnały co sił, oddalając się od wolniejszych prześladowców, którym z kolei udało się wydostać poza zasięg łuków Hamiów. Ci ostatni zasypywali strzałami pieszych wojowników ciągnących za rydwanami, co w wypadku tak zwartej grupy musiało przynieść krwawe żniwo.

Po siedemdziesięciu krokach Wespazjan zerknął nerwowo w bok, na dowódcę pierwszej kohorty, ale nie odezwał się ani słowem, wiedząc, że doświadczony weteran dokładnie wie, jaka przestrzeń potrzebna jest jego ośmiusetosobowej kohorcie do sformowania szyku. Z walącym sercem biegł przed siebie, słysząc obok sapanie Magnusa.

– W tył zwrot przez prawe ramię! – zawołał Tacjusz, doliczywszy do stu.

Pierwszy szereg obrócił się ku północy, gdzie mniej już niż trzysta kroków od nich znajdowali się umykający Batawowie. Po kolejnych dwudziestu nieznośnych uderzeniach serca Tacjusz uniósł prawe ramię.

– Stać i formować linię! – zawołał. Zwalniał stopniowo, by nie dopuścić do katastrofalnej sytuacji, kiedy rozpędzone szeregi kohorty zgniatają się, wpadając na siebie, po czym stanął w miejscu; za jego plecami żołnierze rozeszli się czwórkami na obie strony, z łatwością i precyzją osiągniętą niezliczonymi ćwiczeniami, zmieniając tym manewrem kolumnę w głęboką na czterech żołnierzy linię bojową. Na ich tyłach żołnierze galijskich oddziałów pomocniczych gnali w kierunku wyżej położonego terenu. Druga kohorta właśnie kończyła przeprawę przez most i wtedy przed nimi Batawowie skręcili gwałtownie, omijając swoich towarzyszy i jednocześnie odślaniając ścigające ich rydwany i mrowie wojowników.

*Primus pilus* rzucił Wespazjanowi pytające spojrzenie.

Legat skinął głową.

– To twoja centuria, Tacjusz, ty wydajesz rozkazy, dopóki nie zdecyduję, że legion ma zmienić taktykę.

– Tak jest, legacie! Prezentuj *pilum*!

W całej kohorcie rozbrzmiały rogi, pozostali centurionowie powtórzyli rozkaz i na całej długości pierwszego szeregu, niczym fala rozchodząca się na boki od centralnego punktu, gdzie stał Tacjusz, żołnierze wysunęli do przodu lewą nogę, potem tarcze, a ponad nimi wyrosły grotty oszczepów. *Pilum* nie było przeznaczone do rzucania znad głowy, ale Tacjusz, dzięki wieloletniemu doświadczeniu, wiedział, że ustawienie nieprzerwanej ściany, najeżonej szpiculcami na wysokości końskich oczu, okaże się skutecznym czynnikiem odstrasającym dla zwierząt, znajdujących się już zaledwie o sto kroków od nich.

Wespazjan obejrzał się przez lewe ramię. Ponad głowami legionistów zobaczył, że znak drugiej kohorty jest teraz równo z nim; najwyraźniej wydłużono linię. Zauważył, że żołnierze trzeciej kohorty przemykają przez luki w formacji; dalej zbierała się jazda Petusa, a Galowie zaczęli się wspinać na wyżej położony teren. Odwrócił się z powrotem ku temu zbliżającemu się nieuchronnie koszarowi, odległemu już zaledwie o pięćdziesiąt kroków, i uświadomił sobie, że nieprzyjacieli zaskoczy trzecią kohortę w trakcie wykonywanego przez nią manewru.

Po następującej po sobie serii ostrych brzdęknięć i ciężkich łupnięć rzucił okiem w prawo i zobaczył, jak sześćdziesiąt pocisków z balist prawie niezauważalnie przelatuje z pomrukiem nisko nad rzeką i uderza w rydwany, powodując natychmiastową masakrę. W jednej chwili unicestwiono ludzi, zwierzęta i pojazdy. Tuż przed Wespazjanem koń wpadł na sąsiednie zwierzę, a sterczący w jego szyi zakrwawiony pocisk z balisty połączył z sobą oba wierzchowce, podczas gdy klęczący w rydwaniu obok woźnica wyrzucony w powietrze wylądował na brzuchu wymachującego kończynami zwierzęcia. Cała ta splątana masa ciał wirowała przez chwilę w powietrzu, bryzgając krwią, aż padła na ziemię z ludzkim i zwierzęcym skowytem. Rydwany Brytów rozpadały się, gubiąc koła i wiklinowe nadwozia i strzelając drzazgami prosto w twarze tych, którzy jechali za nimi. Teraz gwałtownym manewrem omijali roztrzaskane rydwany, tratowali zabitych i rannych i powalali tych, którzy półprzytomnie podnosili się z ziemi, a jednocześnie zwalniali, bo zarówno woźnice, jak i wojownicy w pojazdach patrzyli z przerażeniem na maszyny wojenne Wespazjanowego legionu, które z drugiego brzegu rzeki spowodowały aż takie spustoszenie i chaos. Już po kilku chwilach Brytowie zatrzymali się ze zgrzytem kół; ponad pięćdziesiąt rydwanów leżało w kawałkach.

Wespazjan wiedział, że to odpowiedni moment, by przejąć inicjatywę.

– Drugi *Augusta* naprzód! – rozkazał.

Zabrzmiały rogi; orzeł i znak pierwszej kohorty pochyliły się i ośmiuset żołnierzy jak jeden mąż ruszyło naprzód. Druga kohorta poszła za nimi, podczas gdy trzecia, z Maksymusem w pierwszym szeregu, kończyła formowanie szyku na ostatnim płaskim kawałku terenu pod wzniesieniem. Za nimi kolejni legionieści i żołnierze oddziałów pomocniczych przepawali się mostem przez rzekę, nieustannie wzmacniając siłę bojową legionu. Rydwany, wyhamowawszy, gonione kpiącymi okrzykami Rzymian, zawróciły w stronę swojej piechoty, odległej zaledwie o czterysta kroków, ciągnącej się ciemnym rojowiskiem od rzeki aż po grzbiet wzgórza.

– Stój! – zawołał Wespazjan.

Zatrzymali się tuż przed pierwszym pobojowiskiem martwych i dogorywających koni i ludzi, pośród resztek trzech pojazdów, podczas gdy już w pełni sformowana trzecia kohorta uzupełniła linię bojową.

– To była ta łatwiejsza część – mruknął Magnus, spoglądając na zbliżającą się niepowstrzymanie horde.

– Czyżby? Bo ja uważam, że przerwienie dziesięciu tysięcy ludzi przez rzekę, prawie bez strat, tuż pod nosem nieprzyjaciela, nie było łatwe. Popatrz. – Wespazjan wskazał na lewo.

Na wzniesieniu widać było skąpane w złocistym blasku sylwetki jeźdźców galijskiej konnicy. Pierwsza z kohort oddziałów pomocniczych prawie już docierała. Kolejne dwie były tuż za nią, podczas gdy dwie ostatnie stawały w odwodzie. Po chwili czołowa kohorta zaczęła formować tam linię bojową; jazda ustąpiła jej miejsca i zniknęła za wzniesieniem. Kolejne dwie kohorty również ustawiły się przodem do nieprzyjaciela, a potem wszystkie trzy ruszyły truchtem do przodu, aż ramiona żołnierzy najbliższej kohorty zetknęły się z lewym skrzydłem legionu, tworząc mocną, długą na ponad pół mili linię bojową, w rzędach po czterech w odstępie kroku.

Kiedy ostatnie dwie kohorty galijskie przesunęły się do przodu, by uzupełnić drugą linię, Magnus stęknął i odwrócił się tyłem do Brytów.

– Ale ze mnie głupiec, nie zdawałem sobie sprawy z tego, że tą łatwiejszą częścią będzie utrzymać pozycję przez godzinę, do zachodu słońca, przeciwko pięciokrotnie albo sześciokrotnie liczniejszemu nieprzyjacielowi.

Wespazjan obserwował zbliżających się wojowników i zauważył, że zwalniają. Na ich lewym skrzydle, wzdłuż brzegu rzeki, setki procarzy wdało się w potyczkę na odległość z Hamiami. Nieosłonięci tarczami łucznicy przeżywali ciężkie chwile, bo

grad okrągłych pocisków wyrzucanych przez schowanych za tarczami przeciwników powalił ich już dziesiątki, zmuszając resztę do wycofania się poza mniejszy od luków zasięg proc, do wozów, po kolejne strzały. W dali widać było piechotę Batawów wciąż utrzymującą się na wzgórzu, odpierającą kolejne natarcia po stoku w górę. Nie widział, co dzieje się z legionem Sabinusa przy moście, bo widok zasłaniała mu ciżba, która teraz zatrzymała się w odległości zaledwie dwustu kroków od Rzymian.

I znowu wódz, wysoki i dumny mężczyzna, wystąpił ze środka linii bojowej Brytów. Odwrócił się twarzą do swoich ludzi, wznosił ramiona, po czym głośno i wyraźnie zawołał coś w swoim ojczystym języku.

– To nie jest ten, z którym mieliśmy do czynienia rano, legacie – stwierdził Tacjusz – zatem musi to być Togodumnus.

Nieprzyjacielscy wojownicy ryknęli, wznieśli dziesiątki karnyksów, długich, sterczących pionowo rogów, z czarami w kształcie zwierzęcych pysków, i rozpoczęli koncert od przenikliwego, przerywanego lisiego szczeku, przez drżące trele, aż do dudnienia przypominającego głos *cornu*. Hałas narastał, zagłuszając uderzenia pocisków z balist, które z zabójczą celnością wykrawały w ciżbie Brytów krwawe ścieżki, bardzo szybko wypełniane przez innych wojowników.

Togodumnus nie przejął się śmiercią niewielkiej części swoich ludzi i zwrócił się przodem do najeźdźców, wznosząc miecz, który błysnął złociście w wieczornym słońcu. Z okrzykiem nienawiści opuścił go w dół.

Brytowie ruszyli do natarcia linią wybrzuszoną w samym środku, gdzie biegł ich wódz. Nie przypominało to sytuacji, jakiej Wespazjan był świadkiem jeszcze tego ranka; ten atak wyglądał na mniej chaotyczny. Żaden wojownik nie starał się prześcignąć innych, poszukując osobistej chwały, i choć trudno byłoby mówić o zorganizowanych szeregach, miało się wrażenie, że panuje tam pewien porządek. Wespazjan czuł, że tym razem przeciwnik spróbuje pokonać legion samą siłą swojej liczebności. Spojrzał na Tacjusza.

– Twoja kohorta, *primus pilus*.

Tacjusz skinął głową.

– Gotowi do rzutu i do przyjęcia ataku!

I znowu rozkazy obiegly milczącą kohortę i ośmuset żołnierzy odchyliło do tyłu prawe ramię. Wzdłuż całej rzymskiej linii centurionowie pozostałych kohort powtórzyli rozkaz i wszyscy legionieści przygotowywali się na uderzenie hordy wojowników, którzy wymachując pobłyskującą bronią, sunęli płynnie, a środek

natarcia coraz bardziej się wybrzuszał.

Po raz kolejny tego dnia sześćdziesiąt szybkich jak błyskawice pocisków z balist spadło na stłoczonych wojowników, przebijając dziesiątki z nich, a krzyki bólu utonęły w bojowym wrzasku dziesiątków tysięcy ich towarzyszy. Procarze zwrócili teraz broń przeciwko ludziom obsługującym maszyny wojenne, którzy ponownie naciągali wiązki strun. Kręcąc w biegu skórzanymi procami nad głową, posyłali setki kamieni w stronę wozów z balistami, łamiąc kości ludziom i mułom, powalając jednych i drugich. Wiele zwierząt poniosło ze swoim ładunkiem na wozach, zmuszając ludzi do uskakiwania przed nimi.

Na widok zbliżających się Brytów Wespazjan poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła, i pocieszył się tylko myślą, że wszyscy ci, którzy tworzyli bojową linię Rzymian, muszą odczuwać ten sam lęk; czuł wokół siebie jego wyraźny zapach.

Nie miał *pilum*, wobec czego poluzował tylko miecz w pochwie i pomodlił się w duchu, by potrafił równie sprawnie się nim posługiwać jak jego były, nieżyjący już od dawna pierwszy właściciel. Brytowie byli coraz bliżej, już mniej niż pięćdziesiąt kroków od Wespazjana, widać było wyraźnie niebieskie wzory na ich nagich torsach i ramionach oraz długie wąsy powiewające na wietrze nad wykrzywionymi ustami, wyrzaskującymi obietnicę śmierci. Napiął mięśnie ręki, w której trzymał tarczę.

Ze szczękiem broni i łomotem zderzających się tarcz wojownicy wysuniętym fragmentem linii uderzyli w żołnierzy trzeciej kohorty. Wespazjan zerknął w lewo akurat w chwili, kiedy w niebo poszybowały *pila* drugiej kohorty. Ze wzgórze kohorty galijskie posłały swoje oszczepy, kiedy wybrzuszona linia spłaszczyła się na tarczach Rzymian, a wstrząs spowodowany uderzeniem rozszedł się falą w obie strony.

– Rzucać! – ryknął Tacjusz, kiedy wojownicy zetknęli się z tarczami żołnierzy stojących na skraju drugiej kohorty.

Stękając z wysiłku, ośmiuset legionistów pierwszej kohorty wyrzuciło oszczepy, po czym wszyscy przenieśli ciężar ciała na lewą nogę i gładkim, doskonale przeciwiczonym ruchem wyciągnęli miecze. Wespazjan czuł na plecach nacisk tarczy stojącego za nim żołnierza, podczas gdy zabójcza chmura oszczepów frunęła ku nacierającym zastępom.

Przez chwilę można było pomyśleć, że czas się zatrzymał, a świat zamarł, ale zaraz potem nagłe, przeraźliwe wrzaski rozdarły powietrze, kiedy obciążone ołowiem *pila* spadły na wojowników, powalając ich pośród rozbrizgów krwi. Jedni padali przebici

oszczepami na wylot, inni z twarzami zgruchotanymi na miążgę ołowianymi kulami obciążającymi broń, jeszcze inni pod roztrzaskanymi tarczami z rękoma przybitymi do piersi czy brzuchów. Setki trafionych wojowników nie mogło utrzymać się na nogach, broń wypadła im z wyciągniętych rąk, krew bryzgała z rozwartych skowytam ust, oczy wychodziły z orbit i przewracali się, przygniatając napierających z tyłu towarzyszy. Ci nietknięci skutkami roju spadających oszczepów biegli dalej, co stwarzało złudzenie przyspieszenia.

Wespazjan zacisnął zęby i skulony za tarczą napiął mięśnie, kiedy ludzka fala runęła od lewej strony na pierwszą kohortę, a szybki stukot wymienianych ciosów z każdą chwilą stawał się coraz bliższy. A potem jego ciało zadrżało pod wpływem zderzenia tak gwałtownego, że prawa noga prawie się pod nim ugięła. Naciskająca z tyłu na jego plecy tarcza popchnęła go do przodu, pozbawiając tchu, kiedy walczył o utrzymanie pozycji stojącej.

Górze wziął instynkt.

Z trudem chwytając powietrze, szarpnął tarczę do góry, waląc jej krawędzią w opadające ramię, łamiąc je, nim zdołało zadać cios. Poczul na plecach klekot miecza, kiedy pchnął klingę skośnie w lukę pomiędzy tarczą swoją i Magnusa; rozchlaśtał miękkie ciało i chwilę później ciepła krew chlusnęła mu na lewą stopę. W uszach dzwoniło mu od wycia, łoskotu i szczęku metalu, łomotu ciał zderzających się z pokrytym skórą drewnem tarcz. Przekręcając miecz, uwolnił go, podniósł wzrok i spojrzał w oczy człowieka, któremu właśnie wypruł wnętrzości, przypartego do jego tarczy naciskiem żądnych krwi wojowników za jego plecami. Zwiotczającymi, umazanymi śluzem i ziemią ustami próbował zaczerpnąć powietrza. Żebra Bryta już pękły od uderzenia guza tarczy Wespazjana, a teraz, kiedy stał przygnieciony do niego, próbując oddychać, unosił podbródek, wywracał oczyma z zaczerwienionymi białkami pod narastającym z tyłu naciskiem. Wespazjan zareagował i pchnął go, miażdżąc między sobą i wojownikami. Smród świeżych odchodów wypełnił mu nozdrza, tłumiąc cierpki zapach krwi. Tacjusz i Magnus po jego bokach, wykrzykując wszystkie znane przekleństwa, również kulili się za swoimi tarczami, wyteżając siły, tak jak i wszyscy inni w rzymskiej linii bojowej, by powstrzymać ten wspólny napór dziesiątków tysięcy ludzi.

Broń stała się bezużyteczna, bo walka była już tylko napieraniem jednych na drugich; nawet jeśli zdarzyła się jakaś luka między tarczami, za nimi były trupy ludzi pchniętych mieczem albo zmiażdżonych w ogromnym ścisku, który uniemożliwił Brytom posługiwanie się mieczami. Napór na plecy Wespazjana

raptownie wzrósł i legat uświadomił sobie, że dołączyła do nich druga linia. Przycisnął bark pod kątem do tarczy, pchając ją również głową, pięścią prawej ręki i lewym kolaniem, wiedząc, że użycie siły całego ciała oznaczałoby powolną i bolesną śmierć spowodowaną zmiążdżeniem klatki piersiowej. Głowa zabitego wojownika kołysała się nad krawędzią tarczy, z martwych ust, tuż przed oczyma Wespazjana, po drewnie skapywała krew. Krzyki ucichły, zastąpione przez pomruki i stękanie przepychających się ze wszystkich sił tłumów ludzi.

Nawet dodatkowa siła drugiej linii okazała się niewystarczająca i Drugi legion *Augusta* powoli, ale nieuchronnie zaczął się cofać. Zaparty nogami o ziemię Wespazjan czuł, jak rzemienie sandałów wrzynają mu się w stopy, a on, mimo ćwieków w podeszwach, krok po kroku sunie do tyłu, wrywając trawę. Cofał się, ryjąc w miękkiej ziemi rowki, a w miarę ich wydłużania słabły jego nadzieje. Domyślał się, że zostali odepchnięci na co najmniej dziesięć kroków, i wiedział, że w jakimś miejscu linia nie wytrzyma tego nacisku, że się przełamie, powodując katastrofalne skutki, kiedy nagle napór ustał i Rzymianie przestali się cofać. Zaryzykował zerknięcie ponad krawędzią tarczy, używając jako osłony zabitego przez siebie człowieka, i dostrzegł w linii Brytów chaos: Hamiowie celowali w nogi i pośladki wojowników z tylnych szeregów.

Pomimo gradu pocisków z proc, jaki na nich spadał, łucznicy ze wschodu pokazali ducha walki, koncentrując się na tych, którzy zagrażali całemu legionowi, a nie na nękających ich procarzach. Wielu z nich padło, ale pozostali nie przestali wypuszczać strzały po strzale w stronę najbliższych Brytów, tych, którzy stali na wprost pierwszej kohorty.

Wespazjan wiedział, że to dla nich jedyna okazja. Musieli ją wykorzystać teraz, zanim Hamiowie zostaną zmuszeni do wycofania się. Spojrzał na Tacjusza.

– Naprzód! – rzucił.

*Primus pilus* odwrócił się i ryknął komendę na lewo i na prawo; powtórzyli ją nie tylko podlegli mu centurionowie, ale gardłowym pomrukiem przebiegła przez całą kohortę.

Wespazjan napał na swoją tarczę, czując za sobą połączoną siłę żołnierzy, i przesunął lewą stopę o pół kroku do przodu; obok niego Tacjusz i Magnus zrobili to samo. Odzyskanie pierwszego kawałka terenu wystarczyło, by dodać ducha żołnierzom, i gardłowy pomruk zmienił się w głośne i jednoznaczne skandowanie. Wysilając mięśnie, Wespazjan przesunął lewą stopę o kolejny krok do przodu, a potem jeszcze jeden.



– Dranie się ślizgają – krzyknął do niego Magnus.

– Co takiego?

– Rozdeptali krew, gówno i szczyny na breję i dlatego nie mogą się zatrzymać.

Następnym sprzężonym pchnięciem przesunęli się o dwa kolejne kroki do pierwotnej linii bojowej i nacisk na ich tarcze osłabł; ciało zabitego przez Wespazjana mężczyzny osunęło się na ziemię razem z kilkuset innymi ciałami zmiażdżonych czy przebitych wojowników, tworzącymi teraz niewysoki wał, za którym mitali się Brytowie. Wielu leżało, poślizgnąwszy się w odrażającym błocie, inni, znów spychani do tyłu, potykali się o rannych, których dosięgły strzały Hamiów.

Wespazjan zerknął na Tacjusza; skinęli do siebie głowami i przekroczyli wał trupów, a za nimi pierwszy szereg; teraz już mogli użyć mieczy.

Brytowie, którzy stali jeszcze na nogach, choć zdezorganizowani, nie zrezygnowali z obrony i pojedynczo nacierali na linię unurzanych we krwi tarcz przeciwnika.

Waląc guzem tarczy w nagą klatkę piersiową ogromnego mężczyzny, który wznosił właśnie miecz, by zadać śmiertelny cios, Wespazjan pchnął nisko, celując czubkiem doskonale naostrzonej klingi w pachwinę wojownika, podczas gdy tuż obok Magnus cudem uniknął wymierzonego w twarz oszczepu, który trafił w tarczę legionisty za jego plecami. Błyskawicznym ruchem Wespazjan wyszarpnął miecz i jednocześnie poderwał do góry tarczę, waląc jej krawędzią w podbródek wrzeszczącego olbrzyma, roztrzaskując mu szczękę i natychmiast go uciszając. Magnus z rykiem całym ciężarem nastąpił na stopę dzierżącego oszczep wojownika; wyjąc z bólu, mężczyzna cofnął zgruchotaną stopę, pociągając przy tym nogę Magnusa, ponieważ jeden z ćwieków podeszwy uwiązał w wiązaniu jego buta. Straciwszy równowagę na śliskim podłożu, Magnus runął na plecy, przygniatając sobie podwiniętą lewą nogę. Mimo bólu jego przeciwnik wykorzystał okazję i pchnął z góry oszczepem, ale legionista z drugiego szeregu błyskawicznie stanął okrakiem nad Magnusem, opuścił tarczę i odbił pchnięcie, kierując grot w ziemię. Cofnąwszy *gladius* i trzymając go na wysokości oczu, pchnął mocno, prosto i celnie w gardło Bryta, a potem, odrzuciwszy go, zajął miejsce obok Wespazjana.

Nie wiedząc, co z Magnusem, Wespazjan pracował mieczem, skoncentrowany na utrzymaniu równowagi, bo Brytowie, którzy wcześniej się przewrócili w krwawej mazi, już powstawali i unurzani w ohydnej brei rzucali się na wroga. Jednak w ich atakach nie było szybkości, poza tym walcząc indywidualnie, nie mieli wielkich

szans w konfrontacji z tą bezlitosną, posuwającą się nieustępliwie naprzód machiną do zabijania. Kolejne dziesiątki wojowników oddawały życie na ociekających krwią mieczach żołnierzy pierwszej kohorty. Tu i ówdzie udawało im się odebrać życie Rzymianinowi, ale nigdy nie zdążyli odczuć satysfakcji. Wkrótce doszli do wniosku, że nie będzie czym się chełpić wieczorem przy ognisku, więc odwrócili się i rzucili do uciezki.

– Stać! – krzyknął Wespazjan, kiedy naprzeciwko pierwszej kohorty zrobiło się pusto.

Legionistom nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Zatrzymali się, dysząc ciężko, obolali z wysiłku, wycieńczeni fizycznie.

Spojrawszy w lewo, Wespazjan zobaczył, że nie wszędzie sprawy potoczyły się równie pomyślnie. Druga kohorta szczęśliwie również skorzystała ze wsparcia łuczników i już prawie odepchnęła przeciwnika, natomiast trzecia znalazła się w poważnych tarapatach i jedynie przeprowadzony w odpowiednim momencie manewr jednej z kohort trzeciej linii, która wypełniła lukę utworzoną przez posuwającą się do przodu drugą, wtedy gdy trzecia była spychana do tyłu, uratował sytuację. Jednak największe zaniepokojenie Wespazjana budziło to, co się działo na wzgórzu: dwie kohorty sił pomocniczych na lewej flance musiały się odwrócić i mimo wsparcia dwóch rezerwowych, spychane były powoli ze stoku. Jedynie oddział jazdy galijskiej, nękający skrzydło i tyły Brytów, nie pozwalał im nabrać impetu i ostatecznie przełamać obrony oddziałów pomocniczych.

Wespazjan wskazał ręką ostatnich kilkuset Brytów, którzy wciąż prowadzili walkę z drugą kohortą.

– Tacjusz, weź pierwszą kohortę i odpędź od nich tych drani, a potem ruszaj z drugą na ich flankę. Czwartą i piątą zostawię tutaj, za tobą, by zabezpieczyły teren. Pozostałe posyłam z odsieczą oddziałom pomocniczym.

Tacjusz skinął tylko głową. Wespazjan ruszył pospiesznie między szeregami, poklepując po ramieniu zdyszanych żołnierzy, wiedząc, że teraz o wszystkim zadecyduje szybkość.

– Skorzystam z przywileju cywila i resztę przesiedzę, panie. – Magnus, utykając, podszedł do Wespazjana. – Zaspokoilem już ciekawość i przy okazji omal nie dałem się zabić.

Wespazjan skinął głową w stronę wozów Drugiego *Augusta*, które przejeżdżały przez most i ustawały się za legionem.

– Zgaduję, że znajdziesz tam bukłak wina, który nie stawi ci takiego oporu jak Bryt.

Magnus uśmiechnął się, ale zaraz skrzywił się z bólu.

– Tak, tego właśnie mi potrzeba, wroga, który nie będzie się bronił, kiedy człowiek chce go opróżnić, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Wespazjan poczuł, jak podniecenie walką zaczyna mu mijać, zastąpione pobitewnym znużeniem. Wiedział jednak, że nie dane mu będzie odpocząć, póki Rzymianie nie odniosą pełnego zwycięstwa, a to mogło się wydarzyć dopiero następnego dnia.

Skowyt i wycie okaleczonych, jęki umierających i bitewna wrzawa nie osłabły; Wespazjan już się uodpornił na tę kakofonię. Z grzbietu wierzchowca, stojąc na czele czterech turm legionowej konnicy, przyglądał się, jak ósma, dziewiąta i dziesiąta kohorta spieszą z boczem na pomoc znajdującym się w trudnej sytuacji oddziałom pomocniczym. Galijscy żołnierze, zepchnięci już do połowy stoku, zostawili wielu zabitych. Z prawej strony widział, jak pierwsza kohorta zmiotła resztę wojowników opierających się jeszcze drugiej, a teraz obie wspólnie zaatakowały flankę Brytów wciąż jeszcze naciskających na środek powyginanej linii rzymskiej. Wysłał rozkaz do Hamiów, by pozostali na tamtym brzegu rzeki razem z balistami i ich obsługą, co miało odstręczyć rozproszonych Brytów od ponowienia ataku wzdłuż brzegu, usianego teraz ciałami ich pobratymców. Wojownicy znów zaczęli się zbierać, by wesprzeć swoich towarzyszy zmagających się z legionem Sabinusa, którego żołnierze wciąż tkwili przy zniszczonym moście, robiąc wrażenie, że zabierają się do jego odbudowy, i wiążąc tam tysiące nieprzyjaciół. Na wzniesieniu za nimi, w słabnącym świetle dnia, dojrzał wciąż na pozycji piechotę Batawów. Nie zauważył natomiast, żeby Dwudziesty powracał ze swego marszu. Wtedy zdał sobie sprawę, że choć czuje się tak, jakby miał za sobą co najmniej dobę, to w rzeczywistości minęły zaledwie niecałe dwie godziny, odkąd swoim przybyciem na wzgórze Batawowie rozpoczęli tę walkę, a niecała godzina, odkąd on sam przekroczył rzekę. Spojrzał w niebo i poczuł ulgę, że noc jest już blisko. Pole bitwy pogrążone było w cieniu; do nadejścia ciemności, która zmusi siły Brytów do odstąpienia, zostało niewiele czasu.

Wydawszy w krótkich słowach jasne rozkazy kohortom rezerwowym, mógł jedynie czekać na rezultaty, jako że sam postanowił zostać z legionową konnicą, by z nią wypełniać wyrwy w szeregach.

Podjechał Petus od strony swojego zorganizowanego, choć znacznie uszczupłego oddziału.

– Mam już mniej niż trzystu sprawnych chłopców, legacie, ale są gotowi do boju. Są strapieni, że dali się rozgromić na oczach całej armii, tym bardziej że wielu z nich ma krewniaków w tej piechocie na wzgórzu. Damy z siebie wszystko, żeby nie musieć się wstydić.

Wespazjan przyglądał się młodemu prefektowi. Prześięknięte krwią bandaże na prawym udzie i na nieosłoniętej hełmem głowie wyraźnie świadczyły o zacieklej walce, jaką stoczyli, by dać legionowi dodatkowy czas potrzebny na przejście mostu.

– Dobra robota, Petusie, dziękuję. Niech twoja *ala* stanie w szyku obok mnie i powiedz swoim chłopcom, że nie mają się czego wstydić. Gdyby nie ich poświęcenie, wciąż byśmy się jeszcze przeprawiali.

– Z wielką przyjemnością, legacie – powiedział Petus, salutując.

Wespazjan patrzył, jak syn jego dawno nieżyjącego przyjaciela wraca do swoich żołnierzy, i miał nadzieję, że nie będzie musiał wydawać mu kolejnego rozkazu, który narazi jego życie na podobne niebezpieczeństwo.

Radosne okrzyki, jednoznacznie rzymskie, oderwały jego uwagę od tych posępnych myśli, a odwróciwszy się, zobaczył, że skupisko Brytów zaczyna topnieć. Setki wojowników pierzchały na północ przed nieubłaganymi klingami mieczy żołnierzy pierwszej i drugiej kohorty, okrążających ich flanki i spychających nieosłonięte zbrojami ciała na żołnierzy trzeciej; ci, prowadzeni przez Maksymusa, wiedząc, że ich udręka dobiega końca, zaczęli walczyć ze wzmoczoną energią i mimo swoich przeredzających się szeregów też odzyskali zapał do walki. Coraz więcej Brytów odwracało się plecami do przeciwnika i umykało. Odpływali przez pole całą masą, aż pozostał jedynie jakiś tysiąc wojowników, w miarę zorganizowanych, ustępujących stopniowo, dowodzonych przez znajdującego się w ich szeregach wodza.

– Togodumnus! – szepnął pod nosem Wespazjan.

Obserwował, jak Brytowie cofają się przed zdecydowanym naporem Rzymian. Z głębi ich szeregów karnyksy powtarzały te same krótkie wysokie dźwięki, a jednocześnie wojownicy pierwszego szeregu stopniowo pierzchali. W odpowiedzi na głos rogów z północy nadjechały rydwany, pędząc zygzakiem pomiędzy uciekającymi Brytami, i właśnie wtedy oddziały galijskie na wzgórzu wreszcie się załamały. Togodumnus spowolnił odwrót. Wojownicy prawego skrzydła ścigali pobitych Galów, kosząc ich tylne szeregi długimi mieczami, podczas gdy tamci biegli ku bezpieczeństwu, jakie dawały kohorty rezerwowe zaledwie trzydzieści kroków niżej na stoku. Wespazjan zobaczył, że wódz Brytów zatrzymuje się i ogląda

na swoich niedawnych przeciwników, których tyłom zagrażali teraz jego wojownicy, jakby oceniał, czy warto wykorzystać to przełamanie na prawej flance. Żołnierze kohort rezerwowych rozstąpili się, przepuszczając Galów, po czym natychmiast z godną podziwu precyzją zwarli szeregi, zanim pierwsi Brytowie zdążyli się w nie wdrzeć, pozostawiając tylko kilku nieszczęśliwych na ich pastwę. Wiedząc, że ta droga jest zamknięta, Togodumnus kontynuował odwrót; jego ludzie cofali się krok za krokiem z mieczami wycelowanymi w nieprzyjaciół, którzy wykorzystywali ten czas na złapanie oddechu. Po pięćdziesięciu krokach Brytowie odwrócili się plecami do Rzymian i pognali w stronę zbliżających się rydwanów.

Posłuszni rozkazom centurionowie nie drgnęli. Nie ruszyli za Brytami, zresztą ciężka rzymska piechota nie miałaby szansy dogonić lżejszego przeciwnika.

Wespazjan patrzył na oddalające się plecy Togodumnusa. Aby mieć jakąś szansę na rozbicie wycofujących się nieprzyjaciół, a być może odniesienie największego zwycięstwa tego dnia, należało działać bezzwłocznie i błyskawicznie. Szybki rzut oka na wzgórze pozwolił stwierdzić, że kohorty rezerwowe powstrzymały natarcie Brytów i że niedobitki galijskich oddziałów zbierają się za nimi; na razie więc ta flanka była bezpieczna.

– Kolumną naprzód! – rzucił.

Kiedy za jego plecami odezwał się *lituus*, ruszył z kopyta, dając znak Petusowi, by zrobił to samo. Przyspieszył i galopem poprowadził cztery turmy konnicy legionowej w stronę niewielkiej luki w linii rzymskiej, jaka powstała w rezultacie okrążającego manewru pierwszej i drugiej kohorty. Wycofujący się Brytowie nie byli dalej jak dwieście kroków od nich, wciąż zwróceny do nich plecami, bo całą uwagę skupili na dotarciu do rydwanów, które miały osłaniać ich odwrót.

Wlewając się w tę niewielką lukę, turmy nieco zwolniły i zmieniły szyk z kolumny w linię, dając oddziałowi Petusa czas, by ich dogonił. Nie czekając na ostateczne ustawienie szyku, Wespazjan wyciągnął z pochwy długi miecz, *spatha* i podniósł go wysoko nad głową.

– Na nich, chłopcys! – zawołał.

Odpowiedział mu ryk jeźdźców, którzy chwyciwszy uzdę lewą ręką, z tarczą na przedramieniu i ważąc w prawej włócznią, ruszyli galopem.

Wiatr szarpał i łopotał płaszczem Wespazjana, kiedy jego koń cwałował po twardym gruncie. Wyzwolony z przeraźliwej, dusznej ciasnoty pierwszego szeregu Wespazjan uśmiechał się teraz, rozkoszując się pędem na otwartej przestrzeni. Odwrócił się do swoich żołnierzy i zachęcał ich do pośpiechu, przygotowany na

starcie z wodzem Brytów.

Rogi konnicy odezwały się wysokimi tonami i natychmiast z tyłu odpowiedzieli trębacze Batawów, żądnych zemsty za upokorzenie, jakim było zmuszenie ich do odwrotu.

Dźwięki te uświadomiły Brytom bliskość nieprzyjaciela. W ciżbie pojawiły się znaki paniki, jaka ogarnia piechotę zaskoczoną na otwartym terenie przez jazdę. Ci, którzy mieli najbliżej do rydwanów, odległych o niecałe ćwierć mili, puścili się biegiem, tworząc wyrwy w tłumie. Togodumnus rykiem zaganiał wojowników do sformowania szyku i stawienia czoła zagrożeniu. Jednak rozkaz przyszedł zbyt późno i kilkuset z nich zdążyło się oddalić; tylko pozostali, zdeorientowani i zdeorganizowani, próbowali utworzyć jakąś linię bojową.

– Rzucać! – krzyknął Wespazjan, kiedy zbliżyli się na tyle, że twarze nieprzyjaciół stały się wyraźne.

Włócznie poszybowały w powietrze z ogromną prędkością, zwiększoną galopem wierzchowców, i spadły śmiertcionośnym gradem na nieuformowane jeszcze szeregi. Ostro zakończone wąskie żeleźce wbijały się w nagie torsy i przygwałdzały ludzi do ziemi, w którą nagle wbite drzewce drgały jeszcze czas jakiś. Zamęt się powiększył i poszerzyły powstałe luki. Wespazjan skierował konia wprost na samotnego wojownika, który próbował wypełnić szeroką na pięć kroków lukę i z rozszerzonymi przerażeniem oczyma wznosił oburącz miecz nad głowę. Wespazjan, trzymając *spatha* poziomo nad końskim pyskiem, z głośnym brzękiem odbił w bok opadające długie ostrze. Wojownik zniknął pod kopytami wierzchowca Wespazjana, a legat przebił się przez linię obronną z żołnierzami po obu bokach, wykorzystując tę dogodną sytuację. Rozchlastując po drodze czyjąś szyję, rwał do przodu, wprost na Togodumnusa, stojącego jak głaz za barierą wojowników.

Kolejne drżenie zachwiało szykiem Brytów, kiedy spadła na nich następna chmura włóczni, a w luki wdarł się oddział żądnych zemsty, rozkoszujących się zabijaniem jeźdźców. Coraz więcej wojowników rzucało się do ucieczki, jednak Togodumnus nie ustępował pola. Oczy gorzały mu nienawiścią, a zarumienioną okrągłą twarz wykrzywił szyderczy uśmiech. Z rykiem przedarł się przez barierę swoich ludzi i ze wzniesionym mieczem skoczył ku Wespazjanowi, który skierował wierzchowca w prawo, przyjmując wściekłe cięcie prosto na tarczę. Wojownicy Togodumnusa rzucili się na żołnierzy po obu stronach Wespazjana; błyskało żelazo, konie stawały dęba, tryskała krew, fruwały obcięte ręce i nogi, jednak Wespazjan całą uwagę skupił na wodzu Brytów. Skręcając z powrotem koniem w lewo, ruszył na

Togodumnusa; Bryt skoczył do tyłu, zniżył miecz i ściskając rękojeść obiema dłońmi, ciął w szeroką pierś zwierzęcia. Z przeraźliwym rzeniem wierzchowce stanął dęba, wyszarpując broń z ręki Togodumnusa i wyrzucając z siodła Wespazjana, który bez tchu wylądował na twardej ziemi. Uniknąwszy wierzgających przednich nóg zwierzęcia, Togodumnus rzucił się na Wespazjana, wyciągając zza pasa wąski sztylet. Widząc niezbyt wyraźnie, Wespazjan dostrzegł jedynie jakiś spadający kształt i przetoczył się po ziemi na lewo; wódz wylądował twardo tam, gdzie chwilę przedtem leżał jego przeciwnik. W tym samym momencie nogi konia odmówiły wreszcie posłuszeństwa, zwierzę przechyliło się do tyłu i wydając ostatnie parsknięcie, upadło. Togodumnus odwrócił głowę i wrzasnął przeraźliwie, kiedy bezwładne cielsko zwałało się na niego. Rozległ się trzask gruchotanych kości, ciało zwierzęcia odbiło się lekko do góry przy pierwszym uderzeniu, po czym zwiotczało, osunęło się, miażdżąc klatkę piersiową wodza, który patrzył niewidzącymi oczyma w ciemniejące niebo.

I wtedy nadjechały rydwany.

Oszcypy o ciężkich drzewcach wbiły się w ludzkie kłębowisko, a za nimi pospieszili nowi wojownicy. Biegli po dyszlach swoich pojazdów i wykorzystując tę dodatkową wysokość, skakali wprost na żołnierzy, zrzucając ich z siodła, podczas gdy zaprzężone do rydwanów rozpędzone krępe konie wpadały na wierzchowce konnicy, a wszystko to w desperackiej próbie ratowania wodza.

Wespazjan zerwał się z ziemi i wciąż z trudem łapiąc powietrze, uskoczył przed pędzącym na niego rydwanem i rozejrzał się w gęstniejącym mroku za jakimś wolnym koniem. Wbił miecz w plecy Bryta, który mierzył ostrzem w gardło żołnierza, chwycił wodze wierzchowca zabitego jeźdźca i wykorzystując martwe ciało jak stopień, wskoczył na siodło. Wiedząc, że z chwilą śmierci Togodumnusa jego cel został osiągnięty, i ponieważ noc zapadała bardzo szybko, Wespazjan szarpnął konia do tyłu, postawił go dęba i zawołał:

– Przerwać walkę!

Najbliżsi żołnierze go usłyszeli i ci, którzy mogli, zaprzestawali walki, przekazując ten rozkaz dalej. Ponieważ większość piechoty Brytów znajdowała się za rydwanami, ci niedawno przybyli wojownicy, mając do czynienia ze zdecydowaną przewagą liczebną przeciwnika, zaczęli wracać do swoich pojazdów. Można by rzec, że za obopólną zgodą walczący stopniowo się rozdzielali, wycofując ze swoimi rannymi, aż wreszcie na polu bitwy zapanował spokój i w zapadającej ciemności obie strony stały naprzeciwko siebie. Z drugiego brzegu rzeki słychać było kroki tysięcy

maszerujących ludzi. XX legion wrócił.

– Widzę, że nie było ci łatwo, Wespazjanie – przyznał Gnejusz Hozydus Geta, zsiadając z wierzchowca, podczas gdy kohorty legionu Dwudziestego przechodziły przez most. – Sprawileś się dobrze, utrzymując przyczółek przeciwko takim masom nieprzyjaciela, nawet jeśli to tylko barbarzyńskie dzikusy.

Wespazjanowi udało się ukryć zdumienie, kiedy usłyszał pochwałę od człowieka, który zazwyczaj był mu przeciwny, by nie rzec, że otwarcie wrogi.

– Dziękuję, Geto. Chłopcy dobrze walczyli przez cały dzień. – Spojrzał ponownie ku liniom Brytów, którzy oderwali się od Batawów, pozostawiając ich na wzgórzu, a ponieważ legion *Gemina* odszedł, wycofali się też z okolicy zniszczonego mostu. Wydawało się, że cała ich armia zajęta jest rozpalaniem ognisk, których tysiące migotało złościście w półmroku, i nie zwracała żadnej uwagi na przekraczający rzekę Dwudziesty. – Zdaje się, że bardziej ich interesuje warzenie kolacji niż powstrzymanie cię przed przeprawą na drugą stronę.

Geta machnął lekceważąco ręką.

– Hałastra, oto czym są. Odważni, ale nieznający dyscypliny i źle dowodzeni.

– Teraz mają jeszcze jednego przywódcę mniej. Zabiłem Togodumnusa. Czy raczej zrobił to mój koń, kiedy wyzionął ducha, miażdżąc go pod sobą.

Geta spojrzał z niepokojem na Wespazjana. Jego legion przemaszerował za jego plecami i dalej, na wzgórze.

– To może niedobrze – oświadczył.

– Dlaczego nie? Jeden plemienny wódz mniej to jeden punkt oporu mniej.

– Zgoda, ale dzisiaj pomogło nam to, że bracia okazali się niezdolni do współpracy... rozdzielili swoje siły rano, a potem jeszcze raz po południu. Nie sądzisz, że gdyby był jeden głównodowodzący, zostawiłby część wojowników, by zatrzymać Batawów, zignorowałyby Czternasty legion i rzucił wszystkie pozostałe siły przeciwko tobie, spychając was z powrotem na drugi brzeg rzeki?

Wespazjan zmarszczył brwi.

– Tak, może masz rację.

– Wiem, że mam. A jutro będą mieli tylko jednego dowódcę, więc będzie nam znacznie trudniej. Może powinienes być o tym pomyśleć, nim pozwoliłeś, żeby twój koń zabił Togodumnusa. – Geta odwrócił się i odjechał, ruszając na wzgórze za swoimi podkomendnymi.

Wespazjan patrzył za nim z napięciem malującym się na twarzy. Zastanawiał się



nad jego słowami i doszedł do wniosku, że choć w tym, co powiedział Geta, jest pewien sens, to przecież zarówno Karatakus, jak i Togodumnus musieli zginąć albo się poddać, by Rzym mógł zatriumfować, a on był przekonany, że jego działania tego dnia pomogły przyspieszyć taki obrót spraw.

Kiedy zapadła noc i księżyc w pełni oświetlił pole, Dwudziesty legion zajmował już pozycję na lewej flance Drugiego *Augusta*. Od rzeki do szczytu wzgórza ciągnęły się niezliczone rzędy żołnierzy rzymskich szykujących się do przeczekania tam nocy; światło księżyca igrało na ich hełmach, które błyszczały niczym sznury pereł. Ostatnie wozy taborów przejechały przez most i rozległ się plusk wody. To żołnierze służb inżynieryjnych mocowali liny, by kiedy tylko zajdzie księżyc, przeciągnąć całą konstrukcję dalej, na północ. Wespazjan zaniósł modlitwę do Marsa, wiedząc, że nazajutrz nie będzie już odwrotu na drugą stronę rzeki.

## Rozdział osiemnasty

Z pierwszym brzaskiem rozległy się nieśmiałe ptasie trele. Wespazjan kończył właśnie obchód wszystkich pięciu stojących w gotowości kohort, chwając żołnierzy za wykazane poprzedniego dnia męstwo i zachęcając ich, by z taką samą determinacją stawili czoło zagrożeniom nowego dnia. Maksymus przydzielił wszystkim dziesięciu kohortom służbę wartowniczą w takiej kolejności, by umożliwić każdej z nich cztery godziny snu pod bezchmurnym niebem, które, kiedy tylko zaszedł jasny księżyc, całe rozbłysło gwiazdami. Na kolację zjedli chleb i soloną wieprzowinę, stojąc w szyku; nie rozpalono ognisk, by nie ułatwiać celowania nieprzyjacielskim procarzom i pozostałym przy życiu łucznikom. Procarze i tak podkradli się kilkakrotnie pod osłoną nocy i niezauważeni wypuścili swoje zabójcze pociski na nieświadomych niczego żołnierzy, powalając kilku, zanim uniesiono tarcze. Po pierwszym ataku jedynie najbardziej zmęczeni i najbardziej beztroscy pozwalali sobie je opuszczać, narażając się zresztą na ostrą reprimendę centurionów.

Legion *Augusta* nie był atakowany podczas tej długiej nocy. Niemniej przedłużający się zgiełk dochodzący z drugiej strony wzgórza we wczesnych godzinach rannych świadczył o tym, że oddziały pomocnicze XX legionu nocą zostały oskrzydłone przez Brytów. Ponieważ nie podniesiono alarmu, Wespazjan uznał, że przeciwnika zdołano odeprzeć, co zresztą, zanim rozpoczął inspekcję w kohortach, potwierdził mu posłaniec Gety.

Wespazjan odetchnął głęboko rześkim powietrzem wczesnego lata. Dokonując przeglądu widmowo wyglądających legionistów, zastanawiał się, ilu z nich pośle tego dnia na śmierć albo skaże na marny los beznogiego czy bezrękiego kaleki, zdanego na łaskę i niełaskę obcych. Wiedział, że to makabryczny temat do przemyśleń, jednak po walkach dnia poprzedniego przytłoczył go ciężar dowodzenia. Sądził, że sprawił się dobrze – co potwierdziła pochwała, choć niejednoznaczna, z ust o wiele bardziej doświadczonego Gety, ale zdawał sobie doskonale sprawę, jak zacięta była walka o zdobycie i utrzymanie przyczółka. Tylko cieniutka linia dzieliła zwycięstwo od porażki, a myśl o klęsce poniesionej na oczach całej armii dręczyła go od czasu, kiedy Aulus Plaucjusz zrugał go publicznie

za nie dość szybkie wyruszenie do Kantiakum. Mimo że nie przyniosło to żadnych katastrofalnych skutków, stanowiło dla niego pożyteczną lekcję, bo teraz już wiedział, że przesadnie ostrożny dowódca może być równie niebezpieczny dla armii, jak i ten zbyt pochopny. Czasami należało podejmować decyzję bez znajomości wszystkich faktów, i kierując się jedynie zdrowym rozsądkiem wynikającym z doświadczenia, którego jeszcze nie zdążył nabrać.

Kiedy żołnierze pozostałych pięciu kohort, dopiero co wyrwani z krótkiego snu, dziarsko maszerowali z powrotem na stanowiska w drugiej linii, Wespazjan przyglądał się ogorzałym i surowym twarzom centurionów. Widział, że każdy z nich ma o wiele więcej doświadczenia niż on po czterech latach służby jako trybun i dwóch latach na stanowisku legata; tymczasem wyłącznie z racji swojego urodzenia był ich przełożonym. Zastanawiał się, co sądzą o nim w związku z tamtą niefortunną decyzją pod Kantiakum. Czy teraz, kiedy poprzedniego dnia we właściwym momencie zdecydował o wzmocnieniu lewej flanki, nie dopuszczając do otoczenia legionu, są skłonni powierzyć mu swoje życie? A może wciąż uważają go za typowego niedoświadczonego dowódcę, postawionego ponad nimi, bo tak działa ten system, a oni, mimo jego nieporadności, muszą zapewnić sprawne działanie legionu? Nie znał odpowiedzi i nie miał kogo zapytać. Uśmiechnął się smętnie i pomyślał sobie, że taki jest właśnie los dowódcy: samotność. Nie było nikogo, z kim mógłby dzielić się myślami i wątpliwościami, nawet z Magnusem, bo gdyby tak zrobił, okazałby słabość, co było niewybaczalne, czy to u rekruta, czy u zaprawionego w boju dowódcy.

Od strony zniszczonego mostu dobiegł głos rogu i w mdłym jeszcze świetle legat z trudem dostrzegł niewyraźne postaci przemierzające truchtem przesunięty kawałek dalej most pontonowy. Plaucjusz nie czekał na świt; wykorzystywał sytuację, kiedy nieprzyjaciel nie zdążył się jeszcze ocknąć ze snu. Wespazjan uznał ten widok za kolejną lekcję umiejętności podejmowania decyzji i pomyślał z satysfakcją, że jeśli przeżyje tę kampanię, to będzie jednym z najbardziej doświadczonych legatów, pobierającym nauki od wodza, którego, mimo jego politycznej niejednoznaczności, zaczynał podziwiać. Ruszył długimi krokami do punktu dowodzenia II legionu *Augusta*, usytuowanego w przerwie pomiędzy dwiema liniami kohort, gdzie czekał już na niego świeży koń. Obiecując sobie, że dzisiaj nie popełni żadnych taktycznych błędów, przygotował się na wiele godzin zgiełku i widoku krwi i śmierci. Poczul jeszcze większą pewność siebie, kiedy dosiadł wierzchowca i ogarnął spojrzeniem całą potęgę otaczającego go legionu. Dzisiaj zatriumfuja, pomyślał sobie, Rzym

bowiem nie przyjmie żadnego innego rezultatu.

Wziął kolejny wdech, zaciągnął mocniej pasek hełmu pod brodą i spojrzął w dół, na trzymającego się go blisko trębaczka.

– Drugi legion *Augusta* naprzód marsz! – rozkazał.

Brytowie, całkiem dosłownie, dali się przyłapać na drzemce. Wojownicy niewielkiego oddziału pozostawionego przy zniszczonym moście nie mieli pojęcia, że w nieprzeniknionej ciemności panującej podczas kilku bezksiężycowych godzin nocnych bezgłośnie przeciągnięto most pontonowy na nowe miejsce. Dowiedzieli się o tym dopiero wtedy, kiedy pierwsze kohorty XIV legionu *Gemina*, z Aulusem Plaucjuszem i Sabinusem w pierwszym szeregu, wyspały się z mostu, który pojawił się nie wiadomo skąd. Nim zdołali pojąć, jak do tego doszło, mieli już do czynienia z klingami mieczy pierwszej kohorty i ból przez nie zadawany całkowicie wymiółł ten problem z ich umysłów. Już po chwili ci, którzy nie leżeli na ziemi martwi czy ranni, pierzchali ku głównym siłom pobratymców, usytuowanym wyżej na zboczu. Tamci z kolei wydali tak głośny ryk, że mógłby dotrzeć do samego Hadesu.

II *Augusta* maszerował równo przed siebie, z XX u boku; za nimi podążały oddziały pomocnicze. Wespazjan postanowił ich użyć do ścigania niedobitków Brytów. Legioniści wiedzieli, że na nich spoczywa obowiązek rozgromienia hordy zbrojącej się pospiesznie o milę przed nimi. Szli, uderzając wolno i rytmicznie oszczepami o tarcze, i w takt uderzeń śpiewali niskimi dźwięcznymi głosami hymn do Marsa, napędniając serca odwagą.

Żołnierze XX legionu podjęli ten śpiew, podwajając tym samym jego moc. Gromki głos dobywający się z dziesięciu tysięcy gardeł niósł się daleko, ku chwale boga wojny, z prośbą, by osłaniał ich szeregi, kiedy zetrą się z wrogiem.

Wespazjan ogarnął spojrzeniem osłoniętych żelazem żołnierzy piechoty, podążając ku groźnemu, przytłaczającemu liczebnie przeciwnikowi; z wyrazu ich twarzy mógł odczytać, że w zbliżającej się bitwie wypełnią swój obowiązek najlepiej jak potrafią, że będą walczyć za siebie i swoich towarzyszy w duchu braterstwa broni, który spajał cały legion, gdzie każdy żołnierz był jednakowo ważny. Wyprostował się w siodle z sercem przepełnionym dumą. Wątpliwości, jakie dręczyły go kilka chwil wcześniej, zastąpiła pewność: dowodząc swoim legionem, da z siebie wszystko. Zwątpić to zawieść otaczających go żołnierzy. Rzym zwycięży, a on odegra swoją rolę w tym zwycięstwie i jego imię zostanie zapamiętane za dokonane tego dnia czyny.

Ponad połowa kohort XIV legionu *Gemina* przeprowała się już na drugą stronę, kiedy nastąpił atak. Najpierw dobiegła ich wrzawa, przekształcająca się w okrzyki wojenne, i po stoku zaczęła się rozlewać ciemna plama. Nie rozjaśniło się jeszcze na tyle, by w tej masie byli widoczni pojedynczy wojownicy, ale ich zamiary były jednoznaczne. Wszyscy gnali ku Czternastemu, by zepchnąć go z powrotem za rzekę, zanim dołączą do niego Drugi i Dwudziesty. Ponieważ złożone z Batawów oddziały pomocnicze wciąż zajmowały pozycje na wzniesieniu od strony północnej, *Gemina* miał zaledwie pięć tysięcy żołnierzy; pięć tysięcy przeciwko stu tysiącom. Napór na ich tarcze byłyby zatem nieznośny; długo nie mogliby powstrzymać wroga.

– Naprzód, biegiem! – zawołał Wespazjan do trębacza, przekrzykując wrzawę wywoływaną przez gnających Brytów i coraz donośniejszy śpiew legionistów.

W kilka uderzeń serca rozkaz rozszedł się po całym legionie; żołnierze przyspieszyli kroku, nie przerywając hymnu.

Na wschodnim brzegu Hamiowie i wozy z machinami miotającymi, sunące za legionem, również przyspieszyli. Wyrzucane z daleka pociski nie mogły zrobić wielkiego wrażenia na tak ogromnej hordzie. Jednak każdy wojownik mniej oznaczał zwiększoną szansę dla legionu.

W bladym świetle poranka można już było rozróżnić poszczególnych wojowników pędzących w dół wzgórza, w stronę kohort ustawiających się za mostem pontonowym. Pięć, z Sabinusem w pierwszym szeregu, stało już w szyku, podczas gdy w drugiej linii sformowały się dwie kohorty, a kolejne przechodziły przez most. Całość robiła żałosne wrażenie w porównaniu z tą ludzką falą spływającą ze wzgórza i legat nie łudził się, że bez osłony na skrzydłach kohorty unikną pochłonięcia.

Coraz bardziej się rozwidniało i Wespazjan stwierdził, że ma do kohort jakieś pięćset kroków i że jest w stanie pokonać tę odległość w czasie równym połowie tej liczby uderzeń serca. Sabinus musi tyle czasu wytrwać.

Niewyraźna chmura przemknęła po niebie. Oszczypty Czternastego *Gemina*. Chwilę potem poszybowała druga seria. Obie zniknęły pośród wojowników, jakby rzucono je w nurt rzeki; śmierć kilku tysięcy w takim mrowiu ludzi nie miała wpływu na ich zamiary.

Kiedy Brytowie uderzyli, linia bojowa zadrżała, prawie się załamała, wygięła do tyłu, ale nie pękła. A potem, zalana, zniknęła. Pierwsze promienie słońca rozjarzyły na czerwono płynące wysoko chmury, jakby samo niebo zaczęło krwawić.

Teraz jedyną oznaką, że legion istnieje, był zgiełk bitewny docierający z głębi ścieśnionej masy wojowników. Ostatnie dwie kohorty przekroczyły most i zniknęły

pośród walczących, dając dowód, że legion wciąż się trzyma, dodając swoją wagę do doświadczonego przez Wespazjana poprzedniego dnia niesamowitego, falującego, miążdżącego żebra przepychania.

Mając zaledwie dwieście kroków do zderzenia się z Czternastym, spora część Brytów skręciła i ruszyła na legion *Augusta*, tym samym nie zwiększając nacisku na legion Sabinusa, którego żołnierze, przetrwawszy te kilka najbardziej istotnych pierwszych chwil, na pewno byli w stanie utrzymać się nieco dłużej przy mniejszym naporze przeciwników. Wojownicy znajdujący się wciąż na wzgórzu również zmienili kierunek, ruszając przeciwko Dwudziestemu, jeszcze bardziej zmniejszając zagrożenie obłożonego Czternastego. Hamiowie ze wschodniego brzegu sygnęli gradem strzał, powalając setki nieprzyjaciół, a załogi balist ustawiły odpowiednio machiny i zaczęły je gorączkowo ładować.

Wespazjan wypchnął z głowy lęk o brata i skoncentrował się na precyzyjnym wydawaniu rozkazów. Wokół niego wznosił się ku niebu hymn do Marsa, zagłuszając tupot biegnących legionistów, grzechot ich ekwipunku, ale nie bitewną wrzawę dochodzącą spośród wyjącej ciżby nieprzyjaciół, którzy znaleźli się już na tyle blisko, by można było dać im poznać pierwsze skutki użycia zabójczej broni legionu. Wydał rozkaz i *pila* poszybowały w powietrze. Ponad dwa tysiące oszczepów z bezlitosnymi zadziorami na grotach uderzyło w pierwsze szeregi Brytów, odbierając życie wielu młodym wojownikom i napawając przerażeniem ich towarzyszy, przeskakujących przebite na wylot i spływające krwią ciała.

Ten widok ich nie powstrzymał. Wespazjan dał rozkaz natarcia i legion przyspieszył ostatnie kilka kroków zgodnie z podanym przez rogi rytmem. Pieśń zamarła, kiedy legioniści pierwszego szeregu, z siłą zwielokrotnioną przez napierające na nich kolejne cztery szeregi okrytych zbrojami towarzyszy, zderzyli się z Brytami. Po obu stronach rozległo się jednocześnie donośne stęknienie. Mur rzymskich tarcz wraz z impetem natarcia przesunął się do przodu. Mozolnie, lecz nieuchronnie nauczeni reżimu ciężkozbrojni legioniści odpychali liczniejszych, ale lżejszych i ustawionych luźno Brytów.

Potem rozległ się szcęk żelaza zderzanego z żelazem i zaczęły im towarzyszyć przeraźliwe wrzaski bólu.

Legion tracił stopniowo impet i bitwa kręciła się w miejscu. Linia rzymska trzymała się mocno, choć była niebezpiecznie cienka. Przekrzykując zgiełk, Wespazjan rozkazał, by złożona z pięciu kohort druga linia przesunęła się do przodu, wzmacniając pierwszą oszczepami i swoją masą. Z hymnem na ustach druga

połowa legionu ruszyła do przodu; każdy z żołnierzy wyrzucił w krótkim odstępie oba oszcypy ponad głowami towarzyszy, po czym naparł swoją tarczą na plecy legionisty przed sobą.

Ta dodatkowa masa pięciu kohort rozbiła i tak już luźną formację Brytów. Setki trupów zasłały ziemię, kolejne setki wojowników bluzgających krwią ze śmiertelnych ran odepchnięto do tyłu, kiedy legion nabrał znów impetu i ruszył do przodu. Żołnierze z pierwszej linii, którzy po pierwszym kontakcie z nieprzyjacielem zamilkli, podjęli na nowo hymn śpiewany przez towarzyszy i zabijali, wywijając mieczami i wychwalając boga wojny.

A potem nowe przerażające zjawisko napełniło trwogą serca Brytów. Napięte cięciwy machin miotających wyrzuciły jednocześnie w ich flankę osiemdziesiąt ciężkich, długich drewnianych pocisków, które błyskawicznie przelatując, wycięły całe pasy w tłumie. Ludzie znikali w mgnieniu oka i pojawiali się dziesięć kroków dalej, z przebitą w poprzek klatką piersiową i z wyrazem zdumienia zastygłym w martwych oczach.

Żołnierze II legionu *Augusta*, z klingami ociekającymi krwią i odchodami, nie przerywali śpiewu, krocząc dalej. Żołnierze pierwszego szeregu stawali okrakiem nad powalonymi Brytami i jednocześnie ci z drugiego szeregu zatapiali miecze w leżących, żywych czy martwych. Nie zamierzali ryzykować, że ktoś, ciosem od dołu, wbije im nóż w krocze.

Spychani do tyłu, krok po kroku, potykając się o trupy, wraz ze wznoszącym się na niebie słońcem, Brytowie stawiali coraz mniejszy opór. Wespazjan nie wiedział, jak długo trwa walka, czas stracił wszelkie znaczenie i mógł go jedynie odmierzać na podstawie regularnie nadlatujących serii z balist; wydawało mu się, że było ich osiem. Miał już pewność, że te zabójcze pociski oczyściły z nieprzyjacielskich sił brzeg rzeki i pierwsza kohorta praktycznie nie miała już przed sobą przeciwnika. Przez powstałą lukę widział kohorty lewego skrzydła *Gemina*. Trzymały się. Zdecydowanym manewrem *Augusta* mógł się z nimi połączyć i utworzyć pełną linię bojową.

Następne pociski nadleciały ze świstem, podrywając z ziemi kolejnych Brytów i rzucając w rozbryzgach krwi kawałek dalej, z nienaturalnie ułożonymi kończynami, jak u marionetek, którym przecięto sznurki. Tym razem wojownicy zawahali się i żołnierze Drugiego to wyczuli. Wykorzystując chwilowy spokój, rzucili się na wroga ze zdwojoną energią, dźgając mieczami, waląc guzami tarcz, krocząc przed siebie; dźgnięcie, uderzenie, krok, dźgnięcie, uderzenie, krok. Legioniści z tylnych

szeregów nie przestawali śpiewać, ci z przodu wykorzystywali wszystkie siły do walki.

Brytowie zaczęli się cofać coraz bardziej skwapliwie, kiedy rzymska machina wojenna zwiększyła tempo, nie oszczędzając nikogo po drodze. Teraz pierwsza kohorta obróciła się, wykonując zwrot w lewo, co uniemożliwiło balistom bezpośredni ostrzał. Zaczęła się przesuwać w stronę lewego skrzydła Czternastego. Coraz większa liczba Brytów się wycofywała, a Drugi to natychmiast wykorzystał, łącząc się z siostrzanym legionem.

Słońce wychynęło znad wzgórza, zalewając pole bitwy porannym światłem. Ze szczytu poniósł się dźwięk *cornua*. Brytowie spojrzeli w górę i na ich twarzach pojawiła się rozpacz. I wtedy pierwszy z nich odwrócił się i rzucił do ucieczki.

To był początek odwrotu.

Wespazjan podniósł wzrok i na tle jaśniejącej złotem tarczy słońca zobaczył wyłaniające się zza grzbietu wzgórza sylwetki żołnierzy IX legionu *Hispana* i jego oddziałów pomocniczych. Schodzili ze stoku w szyku bojowym, tworząc jeszcze jedną rzymską machinę wojenną, świeżą i gotową wykorzystać to, do czego była powołana. Stawiwszy dopiero co czoło trzem legionom, spychani i srodze przetrzebieni, na widok kolejnego legionu nawet najbardziej odważni spośród wojowników stracili ducha i panika rozlała się błyskawicznie niczym pożar ścierniska.

Żołnierze pierwszej kohorty zetknęli się barkami z legionistami Czternastego *Gemina* i powstała pełna linia bojowa. Wespazjan poderwał oddziały pomocnicze i jazdę. Czas było dokończyć dzieło.

Głęboki dudniący głos rogów nakazał kohortom rozewrzeć szeregi; pomiędzy wszystkimi jednostkami powstały luki. Wespazjan, na czele jazdy, tymi korytarzami poprowadził swoich ludzi, razem z oddziałami Petusa i galijskim, w kierunku nieosłoniętych pleców umykających wojowników; za nimi podążały kohorty piechoty. Kiedy pędzili po zasłanym trupami polu, odezwało się jeszcze więcej rogów, tym razem ze wzgórza zajętego przez piechotę Batawów; Wespazjan rzucił okiem w górę i zobaczył, jak osiem kohort gna w dół zbocza, ku beładnej, nieszczęsnej flance hordy. Wiedział, że wkrótce dokona się zemsta za tę zaciekłość, jakiej doświadczyli poprzedniego dnia. Kiedy ciął plecy pierwszego wojownika, jaki mu się nawiniął, Batawowie, z zabójczą werwą, wryli się z drugiej strony w ciżbę nieprzyjaciół.

Jeźdźcy rozbili szyk, by ogarnąć jak największą liczbę uciekających Brytów.



Siekli i dźgali wojowników, którzy ile tchu pędzili w górę stoku. Tu i tam napotykali zorganizowane grupki liczące około setki mężczyzn gotowych stawiać opór, mijali ich jednak, nie chcąc dać się zabić w chwili triumfu, koncentrowali się na zbieraniu pojedynczych osobników. Brytownie ginęli setkami, miotając przekleństwa, kiedy klingi najeźdźców odbierały im życie, i padali na przesiąkniętą krwią ziemię ojczystą, którą teraz Rzym zamierzał uznać za własną.

Wespazjan nie okazywał litości i prowadząc wierzchowca to w lewo, to w prawo, odbierał życie pokonanym wojownikom. Pilnował się jednak, by ani on, ani jego jazda nie zapędzili się zbyt głęboko w największe skupisko Brytów, bo mogliby zostać odizolowani, otoczeni i z całą pewnością nie uszliby z życiem. Nieco wyżej konnica Dwudziestego wyrwała się, by zbierać łatwe żniwo pośród zbitej gromady wojowników. Rzut oka do tyłu pozwolił mu stwierdzić, że Czternasty odsunął się na bok i pierwsze jednostki Dziewiątego szykują się do przekroczenia mostu, by pomaszerować w stronę brodu na Tamezis. Zobaczył też zbliżającą się galopem grupę rzymskiej jazdy z Aulusem Plaucjuszem na czele, który wyglądał olśniewająco w wodzowskim płaszczu i hełmie z pióropuszem.

– Legacie! – zawołał, kiedy był już blisko. – Cofnij swoją jazdę, zanim ją odetną. Ruszymy za nimi z oddziałami piechoty pomocniczej, zepchniemy ich na północ, w stronę Tamezis, i miejmy nadzieję, że kilka tysięcy utonie podczas przeprawy.

– Tak jest, wodzu – powiedział Wespazjan, po czym zawołał do najbliższego trębacza: – Sygnał do odwrotu!

Żołnierz przyłożył trąbkę do ust.

– Twój legion dobrze dziś służył Rzymowi i cesarzowi, Wespazjanie. Dopilnuję, by właściwe osoby dowiedziały się o tym. Ten dzień dobrze wpłynie na karierę nas wszystkich.

Wespazjan spojrział na Plaucjusza i zauważył, że pod płaszczem zbrzygany jest krwią i pokaleczony, a pancerz ma mocno powgniatany w wielu miejscach.

– Sądzę, że Czternasty był w najtrudniejszej sytuacji. Co z moim bratem?

Plaucjusz zmarszczył brwi, a z jego czoła posypały się kruszyny zaschniętej krwi.

– Przeżyje. Tuż przed tym, nim Brytownie ustąpili, oberwał włócznią w prawy bark. Krwawienie zatrzymano, ale przez kilka dni nie będzie mógł dowodzić. Jest pod opieką mojego medyka.

– Dzięki, wodzu. – Wespazjan starał się utrzymać wierzchowca w miejscu, podczas gdy wokół gromadziła się jego jazda; konie, czując świeży zapach krwi, nerwowo grzebały nogami i parskały. – Jestem pewien, że nieraz bywało z nim

gorzej. Jakie są rozkazy dla Drugiego, wodzu?

Zanim Plaucjusz mógł odpowiedzieć, ze stoku rozległ się wysoki dźwięk rogu. Wszyscy wiedzieli, co oznacza.

– Mają kłopoty – stwierdził Wespazjan, spoglądając w tamtą stronę. W odległości mniej więcej mili niewielki oddział konnicy Dwudziestego został zagarnięty przez cofającą się rzeszę Brytów.

– Przekłęci idioci – warknął Plaucjusz – właśnie czegoś takiego chciałem uniknąć. Mam niewiele jazdy i nie chcę utracić tych głupców, jeśli to możliwe. Legacie, zabieraj swoich ludzi i ruszajcie za mną.

Plaucjusz popuścił wodze i wierzchowiec pognął w górę. Wespazjan ruszył za głównowodzącym, wydając krzykiem rozkazy swoim ludziom i jeźdźcom Petusa. Nadchodziła również piechota oddziałów pomocniczych II legionu *Augusta*, by nękać wycofującego się wroga.

Galopując w górę zbocza, bardzo szybko dopędzili Brytów, którzy zostali z tyłu. Tratowali ich po drodze, ale nie próbowali ścigać, nie mieli na to czasu. Niewielki oddział ich konnicy otoczony setkami wojowników spychany był coraz dalej od rzymskiej linii. Zabijano jednego jeźdźcę po drugim. Rozległ się kolejny przenikliwy dźwięk rogu, przerwany gwałtownie i piskliwie, co świadczyło o śmierci trębacza.

Plaucjusz wpadł na tyły wojowników oblegających jeźdźców, natychmiast tratując dwóch i rzucając na boki kilku innych ze strzaskanymi kośćmi. Jego koń stanął dęba i przednimi nogami młócił czaszki i barki, a jeździec pozbawił głowy jednego z wojowników. Na twarzy ofiary zastygł wyraz zdumienia, bezgłowe ciało stało jeszcze przez chwilę, bluzgając krwią, po czym osunęło się na odciętą głowę, a oczy mężczyzny zmatowiały.

Wespazjan podążył za dowódcą, z własną jazdą po obu bokach, wycinając krwawą ścieżkę wśród Brytów, którzy byli tak zajęci polowaniem na swoje ofiary, że nie zauważyli zagrożenia za własnymi plecami. Plaucjusz pałał gniewem zarówno na konnicę, ponieważ wpakowała się w taką pułapkę, jak i na Brytów, którzy starali się pozbawić go jego cennych jeźdźców, i wpadł w taki szal zabijania, że nikt nie próbował stanąć mu naprzeciw. Wespazjan podążył krok w krok za nim, tnąc tych, którzy zdołali umknąć rozszalałej klindze, a jego łydki lepiły się do ochlapanych krwią boków wierzchowca.

Już raz tego dnia ustąpiwszy pola, Brytowie szybko odskoczyli od otoczonych i ruszyli w górę wzgórze. Mniej więcej osiemdziesięciu uratowanych jeźdźców

Dwudziestego legionu, wstrząśniętych stratami, do jakich doprowadzili na sam koniec bitwy, znalazło się teraz przed obliczem rozgniewanego wodza.

Plaucjusz natarł na najbliższego dekuriona.

– Zasuwaszcie na to przeklęte wzgórze, żeby odzyskać choć odrobinę godności! – Potem zwrócił się do Wespazjana. – Jedź tam ze swoimi chłopcami i dopilnuj, żeby się znowu nie zachowali jak banda rekrutów. Pozabijajcie tych z tyłu uciekinierów i zatrzymajcie się na szczycie. Jak każdy z was uśmierci pięciu, to będzie drani o tysiąc mniej, kiedy następnym razem się spotkamy.

– Stać! – krzyknął Wespazjan, wznosząc miecz nad głowę. Krew spływała mu z klingi na palce i nadgarstek. Na ziemi po jego prawej stronie leżało ciało ostatniego wojownika, jakiego zabił. W obwisłe wąsy wplątały się żdźbła trawy, a zęby dolnej szczęki zatopiły się w glebę; otwarte oczy spoglądały obojętnie na zakrwawioną kopułę czaszki, która równo odcięta, leżała przed nim ustawiona jak jakiś upiorny kielich.

Kiedy jazda ustawała się za nim, legat rozejrzał się ze szczytu. Na północy główne siły pobitej armii zmierzały ku Tamezis, błyszczącej w ciepłym słońcu zaledwie dziesięć mil dalej. Ścigały je, zachowując właściwy porządek, piechota bawarska i oddziały pomocnicze II legionu *Augusta*, wybijając maruderów; nie dążyli do kontaktu z siłami głównymi, tylko spychali je na północ. Pozostali Batawowie skierowali się na zachód; prowadziło ich kilka rydwanów widocznych parę mil dalej. Ci, którym udało się uniknąć długich mieczy konnicy, byli w odległości najwyżej dwustu kroków.

– Na widok umykającego nieprzyjaciela zawsze robi się ciepło koło serca, hę, legacie? – zauważył Plaucjusz, ustawiając swojego wierzchowca obok Wespazjana. – To był dzień solidnej pracy, zabiliśmy najpewniej blisko czterdzieści tysięcy tych drani. To ironia sytuacji, w której po takim zwycięstwie muszę zwracać się do cesarza z prośbą o pomoc.

– Kilka mu jeszcze zostawiłeś.

– Owszem, ale o kilka za dużo jak na mój gust. Jakieś dwadzieścia tysięcy kieruje się teraz na zachód, a kolejne czterdzieści podąża ku rzece.

– Czemu nie spróbujesz ich wybić, wodzu?

– Bo mam za mało jazdy. Tamci nie są na tyle głupi, żeby się odwrócić i ponownie stawić czoło legionom, ale gdybym miał piętnastotysięczną konnicę, nie musiałbym czekać, aż się odwrócą, po prostu bym ich zmiotł. Nie należy jednak

żałować, że czegoś się nie ma, bo to odciąga nasze myśli od skutecznego wykorzystania tego, co się ma. Wysłałem rozkaz do oddziałów pomocniczych, by pozwolono rzece oraz katapultom flotylli dokończyć dzieła, i jestem pewien, że zadowolili ich takie rozwiązanie. Dziewiąty ruszy za innymi na zachód i opanuje bród. A potem to już Karatakus i Togodumnus będą musieli zdecydować, co robić dalej.

– Togodumnus nie żyje, wodzu. Sam widziałem, jak zginął.

– Naprawdę? A kto go zabił?

– Mój koń.

Plaucjusz popatrzył z zainteresowaniem na wierzchowca Wespazjana.

– Masz niezłe zwierzę.

– To nie ten. Tamtego zabił Togodumnus, a kiedy zwierzę padało, znalazł się pod nim.

– Cóż za nieostrożność. Ale wdzięczny jestem twojemu wierzchowcowi za poświęcenie, bo znacznie ułatwi nam to sprawę, pod względem politycznym. Karatakus rządzi na zachodzie, natomiast królestwo Togodumnusa leży na północ od Tamezis i ma za stolicę Kamulodunum. Klaudiusz życzy sobie osobiście wkroczyć do tego miasta. Oni będą nie tylko pokonani, ale i pozbawieni przywódcy, więc kiedy zajmiemy prawy brzeg rzeki, sądzę, że możemy ich zmusić do rozsądku, pod warunkiem że nie damy im więcej powodów do nienawiści. Doskonała robota, legacie, bardzo możliwe, że twój koń uratował życie tysiącom ludzi.

Wespazjana korciło, by poprosić Plaucjusza o powtórzenie tego Gecie, ale się powstrzymał.

– Dziękuję, wodzu.

Plaucjusz z zadowoleniem skinął głową i zwrócił się do resztek konnicy Dwudziestego legionu.

– Który z was, niepodartych tyłków, jest odpowiedzialny za takie wielkie straty w mojej jeździe?

Dekurion, który już wcześniej był celem ataku Plaucjusza, zdecydował się odpowiedzieć.

– To nasz legat, wodzu.

– Geta? Gdzie jest ten idiota?

Żołnierz ruchem głowy wskazał podnóże wzgórza.

– Tam, wodzu. Padł, kiedy się do nas przebiliście. Myślę, że nie żyje.

Wespazjan i Plaucjusz wracali pokrytym trupami i zbrzydzanym krwią zбочem. Legat

rozglądał się wokół, wstrząśnięty ogromem pobojuwiska: tysiące martwych ciał Brytów zasłało ziemię, poczynając od wzgórza Batawów na północy, wzdłuż pozycji legionu *Gemina* przy moście pontonowym – przez który właśnie w tej chwili przeprował się legion *Hispana* – aż do linii pierwszego boju legionu *Augusta*, stoczonego na południu poprzedniego dnia. Wojownicy leżeli pojedynczo, grupami albo długimi rzędami, niczym kawałki drewna wyrzucone na brzeg przez wysoki przypływ, znacząc miejsca, w których stawili opór potędze Rzymu, nie łudząc się, że zwyciężą. Wśród zabitych byli też Rzymianie, choć niewspółmiernie mniej, zapewne jeden na czterdziestu Brytów, jak szacował Wespazjan. Tę decydującą bitwę stoczono przy względnie niewielkich stratach zwycięzców, ale jej pokłosiem był ten ponury widok. Tysiące młodych mężczyzn straciło życie, broniąc swojej rodzinnej ziemi przed najazdem, który, jak Wespazjan zdążył się zorientować, nie wynikał z żadnej strategicznej konieczności, a wyłącznie z pragnienia trzech wyzwolenców, by utrzymać u władzy swojego niemającego ani trochę ducha bojowego, śliniącego się pana i czerpać z tego same korzyści. Przegnał szybko te gorzkie myśli, wiedząc, że jeśli nie wycofa się do swoich wiejskich posiadłości i nie zrezygnuje z kariery w Rzymie, to już zawsze będzie świadkiem takiej polityki.

– Jeśli nie liczyć linii obronnej Czternastego, to musi być jedno z nie-licznych miejsc, gdzie więcej niż dwudziestu naszych chłopców poległo obok siebie – zauważył Plaucjusz, kiedy dojechali tam, gdzie ratowano jazdę.

Wespazjan rozejrzał się pośród płataniny ludzi i ich koni, w sumie prawie czterdziestu. Ich koledzy chodzili pomiędzy ciałami, wypatrując jakichś oznak życia, podczas gdy żołnierze oddziałów pomocniczych legionu *Hispana*, będący jego strażą przednią, maszerowali obok.

– Moi Batawowie ponieśli ciężkie straty, żebyśmy zyskali czas na sformowanie szyku po przekroczeniu mostu.

– Tak, przyglądałem się temu, rzeczywiście wykazali wielkie męstwo. Dopilnuję, by cesarz, kiedy tu przybędzie, usłyszał o Petusie. I o Cywilisie z batawskiej piechoty, bo ich pozorowana akcja na tym wzgórzu była dla tej bitwy najważniejsza. Czy wiedziałeś, że jest wnukiem ostatniego króla Batawów?

– Nie.

– Jego ludzie traktują go, jakby sam był królem, gotowi pójść za nim w ogień.

– Wodzu! – zawołał jakiś żołnierz. – To legat, jeszcze oddycha.

Wespazjan z Plaucjuszem zsiadli z koni i pomiędzy ciałami zabitych dotarli do leżącego Gety. Strumyk krwi sączył się spod pancerza, przebitego nieco poniżej

żeber. Legat był nieprzytomny, ale bez wątpienia oddychał.

Plaucjusz popatrzył na niego z mieszaniną dezaprobaty i smutku w oczach.

– Zabierzcie go do mojego medyka, żołnierzu. Znajdziecie go w namiocie na tamtym brzegu rzeki.

Żołnierz razem z trzema towarzyszami zaczął wydobywać rannego legata spomiędzy trupów.

Plaucjusz pokręcił głową.

– To dobry żołnierz i zupełnie nie potrafię pojąć, dlaczego popełnił taki elementarny błąd. Wszyscy wiemy, że nie wolno zapędzać się z jazdą zbyt głęboko między uciekających wrogów, bo w ten sposób sami prosimy się o kłopoty.

– Może zobaczył Karatakusa i chciał go dopędzić.

– Dowiemy się, jeśli mojemu medykowi uda się zachować go przy życiu. Teraz wracaj do swojego legionu. Rano oczekuję pełnego raportu o stratach. Ruszymy na zachód następnego dnia o świcie, kiedy upewnię się, że ludzie Togodumnusa są albo martwi, albo po drugiej stronie rzeki. Nie chciałbym, by siły takich rozmiarów podgryzały mnie w tyłek. Ponieważ jesteś jedynym sprawnym legatem, jaki mi został, twój legion pójdzie przodem. – Rzucił okiem na pierwszą kohortę IX legionu *Hispana*, który właśnie maszerował obok z orłem na czele. – Teraz ich kolej. – Zauważył jadącego obok kolumny Korwinusa, dumnie wyprostowanego w siodle, i podjechał do niego. – Ponaglaj swoich chłopców, legacie, bo teraz wszystko zależy od szybkości, a macie do pokonania trzydzieści mil. Chcę, byście jutro po południu byli nad Tamezis.

– Będziemy, wodzu.

– Nie wątpię. Flotylla, jak tylko upora się z Brytami próbującymi przeprowić się przez rzekę, podąży za wami, żeby was wesprzeć. I pamiętaj, zdobądź północny brzeg i go utrzyмай, nie posuwaj się dalej.

Korwinus uśmiechnął się blade i zasalutował.

– Oczywiście, wodzu. Żegnam.

W tym ostatnim słowie Wespazjan wyczuł ton jakiejś nieodwołalności. Spoglądał za oddalającym się Korwinusem i pamiętając podejrzenia Narcyza, zastanawiał się, czy powiedzieć o nich Plaucjuszowi.

– Ufasz mu, wodzu?

– Czy ufam? Muszę. Tuż przed tym, nim wyruszyliśmy do Brytanii, Narcyz zasugerował, bym posłał go przodem. Uważał, że Klaudiusz będzie zadowolony,

kiedy jego szwagier będzie pierwszym Rzymianinem, który, po Juliuszu Cezarze, przekroczy Tamezis. Miało to dobrze świadczyć o cesarskiej rodzinie, a i ten gest nie pozostałby niezauważony przez cesarza. Ten jeden raz zgodziłem się z tym śliskim wyzwolenicem.

– Ale wydaje się, że Korwinus też nie bardzo ma ochotę czekać na Klaudiusza.

– Wykona rozkazy.

– A jeśli nie?

– Wykona. Narcyz zwrócił uwagę na to, że zarówno on, jak i jego siostra mogą dużo zyskać na tym rzekomym zwycięstwie Klaudiusza.

Wespazjan spoglądał z niedowierzaniem na profil Plaucjusza.

– Jesteś pewien, że tak powiedział?

– Oczywiście, legacie. Przecież nie jestem głuchy.

– Wybacz, wodzu. Wrócę już do swojego legionu. – Wespazjan, zasalutował i odjechał. Po chwili obejrzał się i zerknął w górę na IX legion *Hispana* i nagle uświadomił sobie, co zrobił Narcyz i dlatego wykonał pierwszy z wielu ruchów prowadzących do pozbycia się Messaliny.

## Rozdział dziewiętnasty

Co to znaczy, że nie możesz ostrzec Plaucjusza? – zapytał Magnus, starając się pojąć słowa Wespazjana.

Sabinus poruszył się na łóżku polowym i uniósłszy głowę, skrzywił się z bólu.

– Mój brat ma rację, Magnusie. Narcyz kazał nam obiecać, że niezależnie od okoliczności nic nie powiemy wodzowi.

– Ale niby dlaczego? Przecież dowódca mógłby już teraz powstrzymać Korwinusa. Dziewiąty jest zaledwie o dzień marszu przed nami.

Wespazjan przytknął bratu do ust kubek parującego wina i Sabinus napił się z wyraźną przyjemnością.

– Narcyz nie chce, by powstrzymano Korwinusa. Wiedział, jak się sprawy potoczą, bo sam wszystko ukartował. Chce, żeby Plaucjusz był świadkiem zdrady Korwinusa, bo wtedy będzie miał solidne dowody dla Klaudiusza, a nie tylko jakieś tam podejrzenia. Cesarz nie wierzy ostrzeżeniom swojego wyzwolenca dotyczącym Messaliny i jej brata, ale zapewne uwierzy, kiedy wódz przedstawi mu konkretne dowody.

Magnus z irytacją rozejrzał się po słabo oświetlonym namiocie.

– To co w takim razie zamierzacie zrobić?

– Zrobić? No cóż, na razie nic. Narcyz chciał, byśmy nie pozwolili Plaucjuszowi zginąć, a Korwinusowi i Gecie pójść za daleko. Sądziliśmy, że mają dojść nie dalej jak do Tamezis, ale okazuje się, że chodziło o to, by nie posunęli się zbyt daleko na północ od rzeki. Innymi słowy, należy ich zatrzymać, kiedy się tylko zdemaskują, ale jeszcze zanim dotrą do Kamulodunum.

– Cóż, Gecie się nigdzie nie spieszy... ma szczęście, że przeżył. Jeden z jego ordynansów, który jest moim koleżką, powiada, że Geta na długo jest wyłączony z wszelkich działań, wobec czego połowa zagrożenia znikła.

– A co istotniejsze, Korwinus o tym nie wie, bo był za daleko, żeby zobaczyć, jak go znoszą z pola bitwy. Skoro więc to Geta miał zająć się Plaucjuszem, podczas gdy Korwinus ruszy na północ, to nieprędko do tego dojdzie.

Sabinus z westchnieniem opadł na posłanie.



– To wszystko prawda, tyle że Pryskus, jego zastępca, dowodzi teraz Dwudziestym, a kto może wiedzieć, jakie ten ma sympatie.

Wespazjan postawił kubek na prostym stoliku przy łóżku, obok jedynej w namiocie lampki oliwnej.

– Musimy jakoś upilnować Plaucjusza. Tymczasem jutro maszerujemy na zachód. Legion *Augusta* pójdzie jako straż przednia, bo w tej chwili jestem jedynym zdolnym do służby legatem, zatem to moja jazda zajmie się zwiadem.

Magnus zachichotał.

– A Petus zobaczy tylko to, co mu się każe zobaczyć.

– Coś w tym rodzaju.

– To niby jak zatrzymasz Korwinusa?

– Właśnie w takich sytuacjach ogarnia mnie podziw dla Narcyza i jego umiejętności przewidywania wydarzeń.

Ciężej rannych odesłano do Rutupiów długą kawalkadą wozów, która ginęła na wschodzie w smugach dymu, unoszącego się znad dziesiątków stosów pogrzebowych. Dobunnowie częściowo uprzątnęli pobojowisko, ale wiele ciał wciąż leżało na słońcu i Brytowie, pod nadzorem zaledwie dwóch kohort sił pomocniczych, trudzili się, składając na stopy ciała byłych sojuszników. Budwok dotrzymał słowa i jego ludzie rzeczywiście pracowali skwapliwie.

Wespazjan odwrócił wzrok od tego ponurego widoku i ruszył w stronę swoich legionistów, którzy czekali na wzgórzu w szyku kolumnowym skierowani na zachód. Nie licząc odwiedzin u brata poprzedniego wieczoru i krótkich okresów głębokiego snu, czas miał wypełniony sprawami będącymi pokłosiem bitwy. Otrzymał ze wszystkich kohort listy strat i z ulgą stwierdził, że są one względnie niewielkie: nieco poniżej trzystu zabitych i dwukrotnie więcej rannych, z których prawie stu już nigdy nie powróci do służby. Trzeba było dokonać awansów, kierując się rekomendacjami oficerów, żeby zastąpić zabitych i ciężko rannych centurionów, ich zastępców oraz chorążych. Poza tym kilka mocno przetrzebionych centurii czasowo rozwiązano, a ich żołnierze zasilili inne, wciąż istniejące, ale osłabione jednostki. Wszystko to przeprowadzono pospiesznie następnego dnia po bitwie, aby ponownie doprowadzić legion, a co ważniejsze jego łańcuch dowodzenia, do gotowości bojowej.

Wespazjan był przekonany, że dalsza walka jest nieunikniona. Jak przewidział Plaucjusz, większość Brytów zdołała przeprawić się przez Tamezis pomimo

wysiłeków flotylli, która zmasakrowała tysiące znajdujących się w wodzie wojowników. Żołnierze oddziałów pomocniczych próbowali iść za nimi przez moczary do rzeki, jednak bez znajomości terenu okazało się to niemożliwe i wielu z nich, obciążonych kolczugami, zakończyło życie w bagnie. Dwom kohortom Batawów udało się znaleźć bezpieczne przejście i nierozsądnie przepłynęli na drugą stronę, po czym, ponosząc ciężkie straty, zostali odparci przez kilka tysięcy wojowników zgromadzonych na północnym brzegu, mimo że mieli wsparcie balist zainstalowanych na dziobach triem.

Wespazjan dotarł na czoło kolumny. Podniósł ramię i nieco teatralnym gestem opuścił; rozległ się głęboki głos rogu, sygnał ten powtórzono i Drugi *Augusta* ruszył naprzód. Przed nim dwie kohorty pomocnicze w szyku otwartym przeczesywały teren, kolejne dwie przeprowadzały zwiad na flankach. Z tyłu maszerowały Dwudziesty i Czternasty, oba bez legatów, choć Sabinusa uznano za zdolnego do podróży w krytym wozie. Geta natomiast, choć przytomny, był tak osłabiony z utraty krwi, że razem z innymi rannymi został odesłany do namiotów *valetudinarium* w Rutupiach.

Po drodze Wespazjan rozmyślał nad niezwykłymi umiejętnościami Narcyza, który z bezpiecznej odległości, z Galii, uknuł intrygę zmuszającą nieprzyjaciela do zdemaskowania się i tym samym zainicjował ciąg zdarzeń mających doprowadzić do obalenia cesarzowej. Wiedział, że sam jest wykorzystywany jako pionek w większej grze, ale tak było zawsze w mrocznym świecie polityki cesarskiej, na której obrzeżach przyszło mu tkwić... chyba że wycofałby się do swoich wiejskich posiadłości. Ale czy rzeczywiście byłby zadowolony, wiodąc spokojne życie, jakiego kiedyś pragnął? Życie, którego jedyne podniecające momenty sprowadzałyby się, jak to lekceważąco określił Sabinus, do próbowania, czy tegoroczne wino jest lepsze od zeszłorocznego. Przypomniał sobie tamtą ich rozmowę w Germanii sprzed dwóch lat: wtedy rzeczywiście rozważał przejście w stan spoczynku, żeby uniknąć wplątania w politykę cesarską, teraz jednak uświadomił sobie, że brat miał rację, śmiertelnie by się nudził. Kiedy miał już okazję dowodzić legionem w bitwie i uzyskał pochwałę głównodowodzącego; kiedy przekonał się, że jest zdolny do poprowadzenia żołnierzy do walki i czekają go kolejne bitwy, w których nabierze jeszcze więcej doświadczenia, jakżeby mógł się zaszyć w gospodarstwie rolnym i patrzeć, jak zmieniają się pory roku? Obejrzał się przez ramię na swój legion i poczuł, jak rozpiera go duma. Nie będzie żadnego stanu spoczynku – przynajmniej jeszcze nie teraz – wiedział, że podąży wybraną ścieżką

i zapłaci tę cenę, jaką jest zaangażowanie się w politykę.

Pocieszał się, że tym razem jego rola jest ważniejsza, bo sam zadecyduje o tym, kiedy złoży Plaucjuszowi raport dotyczący wieści przyniesionych za kilka godzin przez zwiadowców. Wiedział, że najistotniejsze jest dać Korwinusowi dość czasu, by się ostatecznie pogryzył w oczach Plaucjusza. Nie obchodziła go szczególnie walka o władzę pomiędzy Narcyzem i Messaliną – choć wiedział, że z dwójga złego lepiej by wyszedł na zwycięstwie Narcyza – chodziło mu raczej o szansę zemsty na Korwinusie za porwanie Klementyny i dostarczenie jej Kaliguli, który ją wielokrotnie i brutalnie zgwałcił. Uśmiechnął się chłodno, oczy błysnęły mu satysfakcją, kiedy kontemplował słodkie uczucie wymierzania zemsty na człowieku, który skrzywdził jego rodzinę.

– Wyglądasz na bardzo z siebie zadowolonego – zauważył Magnus, podjeżdżając do jego boku. – Czyżbyś porządnie się wysrał przed wymarszem?

– Prawdę mówiąc, rzeczywiście. Gdzie się podziewałeś? Szukałem cię wcześniej, żeby ci o tym dokładnie opowiedzieć.

– Och, szkoda, że ominęła mnie taka gratka... ale nie przejmuj się, poszedłem odwiedzić Sabinusa i on mi to wynagrodził, wypróżniając się, akurat kiedy tam byłem. A wracając do rzeczy, widziałem dziś tego mojego kolesia, ordynansa, i on mi powiedział, że podsłuchał, jak rozdrażniony Plaucjusz każe wyjaśnić Gecie, dlaczego popełnił elementarny błąd, pozwalając swojej jednostce zapuścić się tak głęboko między uciekających nieprzyjaciół, przez co czterdziestu bezcennych jeźdźców bez przepustki udało się na drugi brzeg Styksu.

Magnus zamilkł. Wespazjan odczekał chwilę, a potem popatrzył na niego.

– No słucham cię, wyduś wreszcie, co takiego powiedział.

– Nie podał tak naprawdę żadnego powodu, oświadczył po prostu, że ogarnął go nadmierny entuzjazm i że to się już nigdy nie powtórzy.

– Plaucjusz to przyjął?

– Najwyraźniej tak. Pokrzyczał na niego jakiś czas, aż medyk powiedział, że to szkodliwe dla zdrowia rannego, po czym oddalił się, rzucając tylko ostrzeżenie, że w jego armii Geta już nigdy nie ma prawa zachować się jak lekkomyślny dupek. Dodał jakąś niejasną groźbę dotyczącą jego jąder, młota i kowadła.

– To przecież bez sensu. Cokolwiek by sądzić o Gecie, to ma on reputację doskonałego żołnierza. Weź choćby taką kampanię mauretańską... z tego, co wiadomo, działał tam bez zarzutu. Nie należy do osób, które popełniają takie głupie błędy.

– Wszyscy je popełniamy, od czasu do czasu.

– Jeśli robisz aluzje do tego, że nie nacierałem dość szybko na Kantiakum, to nie jest to samo. Nie jestem tak doświadczony jak Geta, a przecież nie tracę głowy i nie zapędzam się do środka hordy rozwścieczonych Brytów, mając do dyspozycji jedynie jazdę własnego legionu.

– Zgoda. Ale był taki czas, że gotów byłeś stracić głowę.

– Mam to już za sobą.

– Bogom dzięki. Zawsze sądziłem, że właśnie w taki sposób dasz się zabić. Ale w tej sprawie zgoda, Geta by tego nie zrobił. Tak czy owak, kogo to obchodzi? Teraz właśnie to zrobił i na dodatek wkurwił Plaucjusza.

– Pewnie masz rację, szkoda tylko, że przy okazji nie dał się zabić, razem z tymi biedakami, których tam wypuścił. Jak się ma Sabinus?

– Och, o wiele lepiej, rana się goi jak na psie. Medyk mówi, że jutro może dosiąść konia, więc na waszą małą pogawędkę z Korwinusem będzie już sprawny.

– Cieszę się. – Wespazjan spojrzął do przodu, w stronę nadjeżdżającego Petusa. – No i nadchodzi.

– Niby co nadchodzi?

– Czas podjęcia decyzji.

– Mój patrol wrócił właśnie z przeprawy na rzece, legacie – zameldował Petus, zatrzymując wierzchowca.

– I poza jedną centurią na każdym z brzegów nie było śladu po Dziewiątym?

Młody prefekt był wyraźnie zaskoczony.

– Skąd wiesz, legacie?

– Nieważne. Wyślij jeszcze raz ten sam patrol, nie chcę, by ta wiadomość się rozeszła.

– Ale Plaucjusz...

– Dowie się w stosownym czasie. Biorę całą odpowiedzialność na siebie, Petusie, musisz mi zaufać. Według twojej wiedzy Dziewiąty właśnie usadawia się spokojnie na północnym brzegu Tamezis i jeśli powiesz komukolwiek, że jest inaczej, to znajdziesz się po niewłaściwej stronie Narcyza.

Petus uniósł brwi.

– Wolałbym nie znaleźć się po żadnej stronie Narcyza, legacie. Zamelduję się ponownie, kiedy dostanę wiadomość, że Dziewiąty skończył budowę obozu.

– Dziękuję, prefekcie. Ciekawe, ile czasu im to zajmie.

Petus uśmiechnął się i zasalutował.

Magnus spoglądał z powątpiewaniem za oddalającym się młodzieńcem.

– Narcyz wpłatał cię, panie, w bardzo niebezpieczną rozgrywkę. Kiedy Plaucjusz się dowie, to nie tylko jądra Gety poczują ciężar wodzowskiego młota, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Mam nadzieję, że Plaucjusz zajmie się przede wszystkim jajami Korwinusa.

– Na kowadle wodza jest dużo miejsca – rzucił Magnus.

Nieunikniona jednodniowa zwłoka po bitwie zmusiła Plaucjusza do popędzania swojej armii i dlatego dla zmęczonych legionistów ten marsz na zachód był dość mozolny. Szczęśliwie nie napotykali żadnych trudności na łagodnie pofalowanych terenach rolniczych, których Karatakus, mając na karku Dziewiątą *Hispana*, nie zdążył spustoszyć. Kolumna posuwała się zatem pośród łąnów dojrzewającego zboża albo po zaoranych gruntach, a nie po ziemi spalonej i ogołoconej przez wycofującą się armię, niszczącą wszystko po drodze, by odebrać nieprzyjacielowi możliwość zdobycia żywności za własnymi plecami.

Rankiem drugiego dnia schodzili w kotlinę, przez którą odległa teraz o milę na północ Tamezis wiła się kapryśnie, zmuszając wioślarzy towarzyszących im statków do wzmoczonego wiosłowania, by nie zostać w tyle za kolumną.

W oddali, jakieś pięć mil na zachód, Wespazjan widział, jak okręty które wspomagały natarcie Korwinusa, kołyszają się na wodzie w okolicy, jak się domyślał, brodu na rzece. Uznał, że nie może już dłużej zwodzić Plaucjusza. Jego uwagę zwróciła ciemna smuga w oddali, na północ od rzeki, skierował więc wierzchowca w bok, przepuszczając żołnierzy pierwszej kohorty, i wpatrzył się w to miejsce. Zagryzając dolną wargę, zastanawiał się przez chwilę, po czym zawrócił wzdłuż kolumny.

– Przejmij dowodzenie, trybunie – zawołał, przejeżdżając obok prowadzącego drugą kohortę Mucjanusa. – I utrzymuj tempo. Muszę złożyć meldunek wodzowi.

Przegalopował wzdłuż niezliczonych szeregów maszerujących legionistów, aż dotarł do kawalkady sześciuset jucnych mułów, po jednym na każde *contubernium*, i wozów z balistami przypisanych do poszczególnych centurii. Za tymi taborami, poprzedzając legion *Gemina*, jechała grupa dowodzących armią oficerów.

Wespazjan zwolnił, zrobił głęboki wdech i podjechał do Plaucjusza.

– Wodzu, muszę pilnie porozmawiać z tobą na osobności.

– Co zrobił?! – wybuchnął Plaucjusz.

– Pociągnął dalej, w stronę Kamulodunum.

– Skąd ta pewność?

Wespazjan wskazał na północ.

– Spójrz, dowódco, tam, na horyzont. Co widzisz?

Plaucjusz zmrużył oczy.

– Obawiam się, że mój wzrok nie jest taki jak kiedyś. Co to jest, legacie?

– Dym, dużo dymu.

– To nie znaczy, że jest tam Korwinus.

– Korwinus w ogóle się nie zatrzymał, w ogóle tego nie zamierzał.

– Ale przecież to miejsce jest całe mile od brodu. W jaki sposób znalazł się tam tak szybko? Z twojego wczorajszego wieczornego raportu wynikało, że zbudował obóz na północnym brzegu, przy brodzie.

– To nie była prawda, wodzu.

Plaucjusz obrzucił Wespazjana wściekłym spojrzeniem.

– Jeśli chcesz przez to powiedzieć, że przez cały czas o wszystkim wiedziałeś i kryłeś go, to wygląda na zdradę, legacie.

– Tak, wodzu. Ale gdybym powiedział ci wcześniej, to też wyglądałoby na zdradę.

– Wespazjanie, nie bardzo rozumiem, jak powstrzymanie Korwinusa od postępowania wbrew wyraźnym cesarskim rozkazom miałoby zostać uznane za zdradę.

– Ponieważ to nie są rozkazy cesarza, jedynie w jego imieniu zostały wydane. Tak naprawdę cesarz nie rządzi, robi jedynie wrażenie sprawującego rządu. Prawdziwa władza spoczywa...

– Nie traktuj mnie protekcjonalnie! Wiem, kto posiada prawdziwą władzę, ale i tak wychodzi na to samo: Narcyz przemawia w imieniu cesarza.

– Nie, dowódco, jest odwrotnie. Narcyz mówi w swoim imieniu, ale przemawia z cesarskiego cienia. Właściwie sam tworzy ten cień. Wykorzystuje Klaudiusza, by dysponować władzą, z której nie mógłby korzystać w pełnym świetle dnia, i strzeże go zazdrośnie, by się przy tej władzy utrzymać. Ponieważ jednak cesarz ma bzika na punkcie cipki, nie widzi, albo też nie chce uwierzyć, że jego pozycji może zagrażać ktoś z najbliższego otoczenia.

– Cesarzowa?

– Właśnie.

- Ale przecież bez niego ona jest nikim.
- Niezupełnie, jest matką syna cesarza.
- Ale on jest za młody, by rządzić bez regenta, a przecież nikt by nie zaakceptował w tej roli kobiety.
- Zgoda, ale zaakceptowano by mężczyznę i kobietę, matkę młodego cesarza i jej brata.

W otwartych szeroko oczach Plaucjusza pojawił się błysk zrozumienia.

– Kobietę, która jest matką prawdziwego Cezara, i mężczyznę, który jest zdobywcą Kamulodunum i założycielem nowej prowincji, Brytanii; parę, która nie może założyć własnej dynastii, bo jest rodzeństwem, i dlatego nie stanowi zagrożenia dla linii cesarskiej, lecz jest raczej jej strażnikami. Idealne, aż do momentu, w którym coś przydarzy się dziecku, ale wtedy już regenci będą na tyle umocnieni na swojej pozycji, by mieć pełne poparcie gwardii pretoriańskiej.

– Właśnie, a przecież wiemy, że rodzina cesarska zdolna jest do wszystkiego; siostra Klaudiusza, Liwilla, zdążyła już podtruwać swojego syna, Tyberiusza Gemellusa, zanim została zagłodzona na śmierć przez własną matkę Antonię. Kto jak kto, ale Klaudiusz powinien wiedzieć, że wszystko jest możliwe, tyle że ten głupiec nie chce słuchać.

– Wobec tego należy spowodować, żeby zobaczył. – Plaucjusz dotknął dłonią czoła i zamknął oczy. – Aha, już wszystko rozumiem. Ten drań Narcyz wmanewrował mnie, żebym dał Korwinusowi sposobność okazania cesarzowi nieposłuszeństwa i tym samym zdemaskował spisek, przedstawiając Klaudiuszowi twarde dowody, które przekonają go, że szwagier i żona spiskują przeciwko niemu. Słusznie uczyniłeś, nic mi nie mówiąc, dopóki Korwinus nie wszedł w kontakt z nieprzyjacielem, Wespazjanie, bo byłbym go powstrzymał, zanim jeszcze się ostatecznie pogrążył.

– Nie, on by cię zabił. Prawdę mówiąc, sędzę, że już byś nie żył, gdyby Geta nie został ranny.

– Geta!

– Tak. Uważam, że to on właśnie miał doprowadzić do twojej śmierci w sposób, który nie budziłby podejrzeń.

– Taki jak wprowadzanie jazdy w sytuację bez wyjścia na moich oczach.

– To może nieco przesadne założenie, wodzu. Ostatecznie on o mało sam nie zginął.

– Tylko dlatego, że miał pecha. Wczoraj po spotkaniu z Getą kazałem sprowadzić do siebie tamtego dekuriona, bo nie mogłem uwierzyć, że ktoś z doświadczeniem Gety mógł popełnić taki błąd przez „nadmierny entuzjazm”, jak sam to ujął. Żołnierz powiedział mi, że Geta nie jechał na ich czele, tylko tkwił w samym środku oddziału, najbezpieczniejszym miejscu, co wydało mi się bardzo dziwne. No dobrze, przyjrzyjmy się tej sytuacji raz jeszcze. Podjechałem na to wzgórze, żeby cię odwołać, i wtedy, kiedy jestem w odległości kilkuset kroków, Geta nagle pociąga swoich ludzi w kłębowisko wycofujących się, rozwścieczonych Brytów, doskonale wiedząc, że spróbuję ich ratować, bo mam tak niewiele konnicy. Ruszyłem do ataku, zabierając z sobą ciebie i twoich chłopców, i rzeczywiście mogłem zginąć, i nikt niczego by nie podejrzewał. Byłem wtedy tak wściekły, że nic mnie nie było w stanie powstrzymać. Przebiliśmy się do ludzi Gety, co zresztą doskonale przewidział, ale na nieszczęście dla niego, dopiero po tym jak przypadkowa włócznia zwała go z konia i dostał się pod kopyta. Należy się to temu dupkowi, bo czterdziestu jego chłopców zginęło na próżno.

– Przypuszczam, że to wyjaśnia sprawę.

– Jasne jak fiut Bachusa, że wyjaśnia. Dopadnę tego drania, jak tylko dojdzie do siebie. Dlaczego mi nie powiedziałeś, że będą na mnie czyhać?

– Narcyz kazałby mnie ukatrupić.

Plaucjusz uśmiechnął się smętnie.

– No cóż, Narcyz każe ukatrupić nas obu, jeśli teraz nie powstrzymamy Korwinusa. Jak jednak można zatrzymać awanturniczy legion, nie staczając z nim bitwy i nie narażając kampanii na niepowodzenie?

– Narcyz już o tym pomyślał. Wystarczy mi do tego jazda Petusa i mój brat.

Plaucjusz obrzucił Wespazjana zdziwionym spojrzeniem.

– No dobrze – oświadczył po dłuższej chwili. – Pewnie muszę ci zaufać, bo widać, że rzeczywiście rozumiesz sposób myślenia Narcyza. Weź, co ci potrzebne... i spiesz się. Będę tuż za tobą. Jeszcze dziś po południu, przy odpływie, postaram się przeprowadzić przez rzekę dwa legiony. Teraz, skoro Korwinus podjął działania zbrojne na północy, muszę dokończyć to, co ten zdradziecki śmieć zaczął. Zaniechanie Brytowie uznałoby za słabość. Może się jeszcze okazać, że Klaudiusz zostanie pozbawiony tej swojej bitwy.

– Jeśli tylko będzie mógł pierwszy wkroczyć do Kamulodunum, to takie rozwiązanie może okazać się nie najgorsze, wodzu.

– Może i racja. – Plaucjusz znów się zamyślił. – I Klaudiusz dostanie to, czego



chce, bez ryzyka, że mógłby okazać się niekompetentnym dowódcą.

– Ciekawe, czy Narcyz o tym też już pomyślał.

– Tak, a to nędzny śliski wyzwoleniec! Ciekawe.

– Mam rozkaz nie przepuszczać nikogo na drugą stronę – oświadczył zdecydowanym głosem tkwiący na południowym brzegu Tamezis centurion z IX legionu *Hispana*. Wyprężył się jeszcze bardziej, żeby podkreślić wagę swoich słów.

Wespazjan pochylił się z konia, zbliżając twarz do twarzy weterana.

– Nie wątpię, centurionie, ale ja mam rozkaz, żeby przeprowadzić się na drugą stronę. Mój jest od Aulusa Plaucjusza, a twój od legata Korwinusa. Powiedz mi w takim razie, który jest ważniejszy?

Centurion przełknął ślinę.

– Naczelnego wodza, legacie, ale Korwinus powiedział mi, że wódz nie żyje i że teraz on sam dowodzi i nikt nie ma przeprowadzać się na drugą stronę, dopóki nie przybędzie legat Geta.

– Tak powiedział? Cóż, zapewniam cię, centurionie, że Plaucjusz jest jak najbardziej żywy, w rzeczy samej tak żywy, że osobiście wykona na tobie wyrok śmierci, kiedy przybędzie tutaj za jakieś trzy godziny i zastanie nas wciąż debatujących na temat tego, kto dowodzi tą armią. – Wskazał kciukiem ponad ramieniem za siebie. – A co więcej, jest tutaj legat, prefekt jazdy i trzystu żołnierzy, którzy zaświadczą, że utrudniałeś mi wykonanie jego rozkazów.

– I cywil – dodał Magnus.

– Owszem, i cywil.

Sabinus wysunął się do przodu.

– Centurion Kwintyllus, zgadza się?

– Tak, legacie. Dobrze cię znowu widzieć, legacie – odparł energicznie żołnierz, starając się jeszcze bardziej wyprężyć.

– Ciebie również, centurionie. Byłaby wielka szkoda, gdyby miało to być nasze ostatnie spotkanie.

– Na pewno, legacie.

– Więc jak będzie?

Kwintyllus rozejrzał się nerwowo, raz jeszcze przełknął z trudem.

– Cóż, w tych okolicznościach lepiej będzie, jak wam pozwolę się przeprowadzić.

– To bardzo rozsądna decyzja.

– Ale musicie poczekać ze dwie godziny, aż zacznie się odpływ. Teraz poziom wody jest za wysoki.

Wespazjan zeskoczył z wierzchowca.

– Ale nie dla tych chłopców. Powiedz mi, Kwintyllusie, w którą stronę pomaszerował Dziewiąty?

Centurion wskazał na drugi brzeg i dwa sąsiadujące ze sobą, porośnięte rzadko drzewami pagórki, odległe od nich o jakieś ćwierć mili.

– Zniknęli pomiędzy tamtymi wzgórzami, kierując się na północny wschód. Tylko na pewno idźcie pomiędzy nimi, a nie górą, bo miejscowy gospodarz powiedział nam, że na jednym z nich, a nie wiem na którym, jest sanktuarium poświęcone bogu o imieniu Lud i zdaje się, że w żadnym razie nie wolno go wnerwiać.

– Dzięki za ostrzeżenie, centurionie, nie omieszkam wspomnieć wodzowi, że wykazałeś się godną pochwałą współpracą. No dobrze, Petusie, czas, by twoi chłopcy się wykąpali.

– Długo się już nie utrzymam na koniu – oświadczył Sabinus, szczękając zębami, kiedy oddalili się zaledwie trzy czy cztery mile od bliźniaczych wzgórz. – Jeśli nie staniemy, stracę przytomność.

Wespazjan spojrział na niebo. Słońce chyliło się ku horyzontowi i zaczynało nabierać głębszego koloru.

– Dobrze, zatrzymamy się tutaj. I tak już ich dzisiaj nie dogonimy. Petusie, niech twoi ludzie szykują obóz.

Batawowie zabrali się do pracy i o zmierzchu głęboki na trzy stopy rów był już wykopany, a na nasypie z wybranej ziemi tkwiła palisada poprzątykana gałęziami leszczyny, tworząc dodatkową sięgającą do pasa ścianę. Z konieczności obóz był niewielki i ciasny, miejsca z trudem starczało dla trzystu żołnierzy i ich koni, których nie rozsiedłano na wypadek alarmu; był też dość ponury, bo z oczywistych powodów Wespazjan nie pozwolił rozpalać ognisk. Wciąż jeszcze przemoczeni Batawowie trzęśli się owinięci płaszczami, a wielu z nich w poszukiwaniu ciepła ułożyło się pod brzuchami wierzchowców, ryzykując oblanie strumieniem końskiego moczu, co tylko pogorszyłoby ich nędzne samopoczucie.

– Plaucjusz powinien już być dotrzeć do brodu i nocować po tej stronie rzeki – powiedział Wespazjan, rozcierając Sabinusowi ramiona, by choć trochę rozgrzać wykrwawione ciało brata.

Wokół nich kulili się zmarznięci żołnierze, jedli smętnie kolację i rozmawiali przyciszonymi głosami.

Magnus odgryzł kawałek plastra solonej wieprzowiny.

– Jak sądzicie, co zrobi jutro?

– Zostawi jeden legion na północnym brzegu rzeki i jeden na południowym, a z trzecim ruszy za nami – zgadywał Sabinus – na wypadek, gdyby nie udało nam się zatrzymać Korwinusa.

– Chcesz powiedzieć, że zaatakowałyby legionistów Dziewiątego, gdyby się nie podporządkowali jego rozkazom?

Wespazjan wzruszył ramionami.

– Przynajmniej tym by zagroził, nie miałby zresztą wyboru; wie, że gra o życie. Jeśli Narcyz nie będzie mógł dać Klaudiuszowi takiego osobistego zwycięstwa, jakie mu obiecał, zdystansuje się od całej sprawy, Plaucjusz zostanie obarczony winą i otrzyma uprzejmy liścik, w imieniu cesarza, by zrobił to, czego wymaga przyzwoitość.

Magnus żuł przez chwilę zamyślony.

– I zgaduję, że nie byłby jedynym, który dostałby taki liścik – powiedział.

– Sądzę, że zgadujesz prawidłowo. Sabinus i ja zbyt dużo wiemy. Nasza babka ostrzegała mnie przed czymś takim, lata temu. Powiedziała, bym nie wplątywał się w intrygi możnych, bo ich ostatecznym celem jest zdobycie jeszcze większej władzy i do tego celu wykorzystują ludzi naszej warstwy jako narzędzia jednorazowego użytku. Jesteśmy bardzo przydatni, kiedy sprawy idą dobrze, ale stajemy się kłopotliwi, kiedy jest inaczej, ponieważ za dużo wiemy. Dlatego trzeba się nas pozbywać.

– Mnie nigdy tego nie powiedziała – oświadczył Sabinus, wyraźnie zawiedziony.

– To dlatego, że nigdy jej nie słuchałeś. Byłeś zbyt zajęty obrzydzeniem mi życia, a potem wstąpiłeś do armii i już nie wróciłeś do jej domu. A ja często z nią rozmawiałem, a co ważniejsze, słuchałem jej i kiedy dorosłem, większość tego, co mówiła, zaczęła mieć dla mnie sens. Kiedyś powiedział to Magnus: w tym Rzymie, w jakim żyjesz ty i ja, nigdy nie dotrzemy na sam szczyt, bo tamte miejsca są zarezerwowane dla jednej rodziny. Pomimo to dbamy o swoje kariery, bo co innego mielibyśmy robić? Czekać na degustację przyszłorocznego wina? Zatem nie mamy wyboru; zawsze będą ludzie potężniejsi od nas i zawsze będą nas wykorzystywać, a pewnego dnia staną się przyczyną naszej śmierci. I jeśli jutro nie odniesiemy sukcesu, ten dzień nastąpi już niebawem i Plaucjusz to wie.

– Może w przyszłości powinienem więcej słuchać.

Wespazjan uśmiechnął się w ciemności.

– W dniu, w którym ty zaczniesz słuchać, ja poproszę o pożyczkę.

– Legacie – syknął Petus, klucząc pomiędzy odpoczywającymi żołnierzami. –

Uważam, że powinienes to zobaczyć.

– Co takiego, prefekcie?

– Ogień, w dość dużej odległości; dopiero co rozpalony.

Wespazjan poszedł za Petusem na północny skraj umocnień. Popatrzył w dal i zobaczył mały płomień, który powiększał się z każdą chwilą. Potem wyrosły wokół niego cienie, a w chłodnym powietrzu popłynęły dźwięki inkantacji.

– Widzisz ich, Petusie?

– Ledwo, ledwo. Bardzo dziwne, bo wygląda na to, że nie noszą spodni, jak to Brytowie mają w zwyczaju, to znaczy, jeśli w ogóle przyjdzie im do głowy, żeby się ubrać.

Wespazjan wytyczył wzrok. Zobaczył, że dwie postaci podnoszą z ziemi jakiś tobolek.

– Masz rację, noszą luźne szaty sięgające im niemal do kostek. Co to za jedni?

– Mam wysłać kilku ludzi, żeby sprawdzili?

– Lepiej nie, to może być pułapka. Tutaj jest bezpieczniej.

Dołączył do nich Magnus i też wlepił wzrok w grupkę złożoną, jak się zdawało, z sześciu dziwnie odzianych postaci. Tobolek położono z powrotem na ziemi, inkantację przerwano i rozległo się kwilenie niemowlęcia.

– Mam wrażenie, że ciąży na nas jakieś przekleństwo – wymamrotał Magnus, kiedy jedna z postaci przyklękała i pochyliła się nad tłumoczkim. – Słyszałem o nich różne opowieści i żadna z nich mi się nie podobała. Założę się, że wolałbyś dostać ten uprzejmy liścik od cesarza z prośbą, byś uwolnił świat od ciężaru swojej osoby, niż natknąć się na tych tam. – Płacz raptownie ucichł. Magnus ścisnął kciuk palcami i splunął na ziemię. – To kapłani. Zwą ich druidami.

Wespazjan poczuł w gardle nagłą suchość, kiedy gryzący dym z wciąż tłącej się spalonej wioski dostał mu się do płuc. To nie był pierwszy taki widok, na jaki się natknęli, ale na pewno najbardziej rozległy od czasu, kiedy dwie godziny wcześniej, o świcie, opuścili obóz i minęli porzucone, pozbawione wnętrzości maleńkie ciało. Przez chwilę rozglądał się po posępnej okolicy, usłanej zwęglonymi ciałami i drewnem, po czym zwrócił się do Sabinusa.

– To właśnie musiało być źródłem dymu, który widziałem wczoraj.

– To znaczy, że Dziewiąty nie może być daleko.

Wespazjan wskazał ręką na wpół spalone ciało dziewczynki.

– Korwinus nie ułatwia nam sytuacji, dokonując takich czynów. Bo jedną rzeczą jest pokonać armię i zabić jak najwięcej wrogów, a czymś zupełnie innym mordowanie kobiet i dzieci bez żadnego powodu, tylko dlatego, że napotkało się ich wioskę. Nie zmusi to pokonanej armii do kapitulacji, tylko sprowokuje do zemsty.

– Jeśli pokonasz ich wystarczająco wiele razy, to się poddadzą, bo będą się ciebie bali.

– Tak, ale jeśli jednocześnie będą cię nienawidzić, to jak długo będą posłuszni, zanim się zbuntują? Jak powiedział Plaucjusz, przybyliśmy tutaj na stałe, a tego rodzaju postępowanie wywołuje urazę, za którą później zapłacimy życiem Rzymian.

– Ja bym się tym nie martwił. Na dłuższą metę kilku zabitych tu i tam nie zrobi wielkiej różnicy. Mamy przed sobą dużo ciężkich walk, zanim zdołamy całkowicie podporządkować sobie tę wyspę, i wiele dzieci spotka taki los jak tę dziewczynkę, a ty i ja będziemy po części za to odpowiedzialni. Musimy iść naprzód, póki starcza nam energii. – Sabinus popuścił wodze i oddalił się, pozostawiając Wespazjana, który wciąż jeszcze rozmyślał nad ciałem dziecka.

Podjechał Magnus.

– On ma rację, trzeba ruszać dalej, panie. Zapomnij o niej, miała szczęście, że dożyła tego wieku. Przynajmniej wiedziała, że żyje, inaczej niż tamto maleństwo, które druidzi poprzedniej nocy złożyli w ofierze.

– Pewnie masz rację, Magnusie.

– Oczywiście, że mam rację. Nie ma sensu dumać nad śmiercią, bo to zbyt makabryczne. Przyjdzie do nas wszystkich, a czy wcześniej, czy później, to już jest w rękach bogów.

– I najwyraźniej również w rękach kapłanów – rzucił Wespazjan, ruszając wierzchowcem i dając znak Petusowi, by on i jego ludzie zrobili to samo.

Poprowadził kolumnę galopem na północny wschód po płaskim, częściowo porośłym lasem terenie, podążając śladem IX legionu *Hispana*. Mijał po drodze wypalone gospodarstwa i wioski, których widok zachęcał go do jeszcze większego pośpiechu. Korwinus już się ostatecznie pogрузzył i należało go powstrzymać, zanim zniweczy wszelkie szanse na honorową kapitulację.

Kiedy słońce dążyło do zenitu po błękitnym niebie, poznaczonym mknącymi

wysoko tu i ówdzie obłokami, i kolumna wspinała się po zboczu pierwszego z niewysokich wzgórz, Wespazjan, Sabinus i Petus raptem osadzili wierzchowce.

– Na bycze jaja! – wykrzyknął Sabinus. – Przecież on tu toczy za Klaudiusza jego bitwę.

Wespazjan walnął się ręką w udo i jego koń zatańczył nerwowo.

– Narcyz mi tego nie daruje, źle to obliczyłem w czasie.

Jakąś milę przed nimi Dziewiąty legion *Hispana* i jego kohorty pomocnicze walczyły z co najmniej dwukrotnie liczniejszymi siłami nieprzyjacielskimi. Linia legionu była długa i cienka i w rezerwie miała tylko dwie kohorty ustawione przed bramą obozu marszowego, w którym żołnierze spędzili noc. Lewa flankę dochodziła do mokradeł po północnej stronie, uniemożliwiając Brytom obejście jej większą liczbą wojowników, natomiast prawa znalazła się w opałach i wygięła we wklęsły łuk, by nie pozwolić rydwanom i jeździe na wykonanie manewru okrążającego.

– Co rozkażesz, legacie? – spytał Petus, kilka razy ściągając ostro wodze, by opanować narowistego wierzchowca.

– Panie – zawołał Magnus. – Obejrzyj się za siebie.

Wespazjan zerknął przez ramię. Ze swojego miejsca miał widok poza dolinę rzeki. W odległości niecałych trzech mil zobaczył przemieszczającą się szybko kolumnę.

– Konnica! To na pewno wysłany przodem oddział jazdy Plaucjusza. Petusie, wyślij do nich posłańca i każ im się pospieszyć. A drugiego do Plaucjusza, żeby poinformował go o sytuacji.

– Tak jest, legacie. A co my robimy?

– To, co musimy: atakujemy Brytów zagrażających prawej flance Korwinusa z nadzieją, że się utrzymamy do przybycia tamtego oddziału. Formować linię!

Posłańcy odjechali, a w powietrzu rozległ się przenikliwy dźwięk rogu, podczas gdy kolumna, z brzękiem uprzęży, parsaniem koni i pokrzykiwaniem dekurionów, przekształciła się w głęboką na cztery szeregi linię.

Wespazjan odciągnął brata na stronę.

– Nie obchodzi mnie twoje zdanie, ale nie ma mowy, żebyś brał w tym udział, bo jesteś jeszcze za słaby.

Sabinus zaczął protestować, ale brat natychmiast mu przerwał.

– Ruszaj do obozu i zobacz, czy nie znajdziesz czegoś ciekawego w pretorium Korwinusa. To będzie bardziej użyteczne niż dać się tu zabić, bo nie masz jeszcze dość siły, by mocno pchnąć mieczem.

Sabinus chwycił Wespazjana za rękę.

– Ten jeden raz cię posłucham i skorzystam z twojej rady, bracie – oświadczył.

– Będziesz musiał teraz poprosić o pożyczkę, panie – powiedział, chichocząc, Magnus, kiedy Sabinus się oddalił – twój brat właśnie kogoś posłuchał.

– No to jedź z nim i dopilnuj, żeby znów się tak nie zachował, bo nie chciałbym prosić jednego dnia o dwie pożyczki. Bardziej przydasz się jemu, niż płacząc się tutaj i narzekając na konieczność walki z końskiego grzbietu.

– Bardzo chętnie – oznajmił Magnus i ruszył za Sabinusem.

Utworzono linię bojową i Wespazjan zajął pozycję pomiędzy Ansigarem i Petusem. Wyciągnął miecz i zerknąwszy na młodego prefekta jazdy, skinął krótko głową.

– Pierwsza *ala* Batawów naprzód! – ryknął Petus, wznosząc długi miecz.

Znowu odezwał się *lituus* i trzystu żołnierzy batawskiej jazdy ruszyło z miejsca. W lewej, osłoniętej tarczą ręce, każdy trzymał wodze, a w prawej podniesioną włócznię.

Jechali w dół stoku, najpierw kłusem, a potem, na znak Petusa, przeszli w galop; kierując się ku zagrożonej prawej flance legionu, grzmotem kopyt konie zagłuszyły zgiełk toczącej się przed nimi bitwy. Po zmniejszeniu dystansu do przeciwnika Petus nakazał atak; żołnierze wydali okrzyk wojenny Batawów, głęboki i gardłowy, i jeszcze bardziej pognali swoje chętne do cwału wierzchowce. Wespazjan ścisnął nogami spocone boki konia, czując, jak przy każdym oddechu faluje potężna pierś zwierzęcia. Wierzchowiec pędził pośród traw z wyciągniętą głową, położonymi uszami i napiętymi mięśniami widocznymi pod skórą mocnej szyi.

Grupa kilkudziesięciu wojowników na koniach i w rydwanach wyrwała się teraz z kłębowiska walczących zaciekle przeciwników i zwróciła przeciwko nowo przybyłym. Jednak ich liczba nie była wystarczająca. Wielu padło przesytych pędzącymi z sykiem wąskimi włóczniami, co złamało już i tak ich niezbyt zwarty szyk, siejąc popłoch wśród koni.

Kiedy wśród nieprzyjaciół zrobiło się luźniej, wierzchowce Batawów ochoczo rzuciły się w luki powstałe w chwiejnej linii bojowej Brytów, tylko kilka koni spłoszyło się w ostatnim momencie, niechętnych, by zderzać się z takimi samymi, choć mniejszymi zwierzętami.

Wespazjan ciął z ukosa, pozbawiając ręki młodziutkiego wojownika. Za jednym zamachem rozplątał mu klatkę piersiową i Bryt, skowycząc, zsunął się w rozbryzgach krwi ze stojącego dęba konia. Wierzchowce Wespazjana i jego towarzyszy same

z siebie zwolniły raptownie, kiedy znalazły się w głębi nieprzyjacielskiego szyku, nadając walce charakter statyczny. Wielu żołnierzy zaczęło okręcać konie w miejscu, tnąc każdego Bryta, który wykazał na tyle odwagi, by się nie cofać, i z morderczą skutecznością oczyszczali przestrzeń wokół siebie, zanim ruszyli dalej na kolejnych przeciwników. Współpracując z turmą Petusa i Ansigara, Wespazjan wyrąbał ścieżkę na tyły Brytów wciąż zajętych walką z prawą skrajną kohortą rzymskiej linii.

Żołnierze oddziałów pomocniczych, kiedy tylko nacisk ludzi i zwierząt na nich zmalał, ryknęli na całe gardło swój wojenny okrzyk i wznowili krwawy wysiłek. Dźgając krępe koniki klingami w oczy i tnąc jeźdźców po nogach, wypchnęli ich spomiędzy siebie. Stykając stopniowo tarcze, odzyskiwali zwartość, pozwalającą jednostce ponownie stać się skuteczną machiną bojową, zdeterminowani pomścić śmierć leżących pod ich nogami towarzyszy.

Mając przed sobą klingi żądnych zemsty żołnierzy jednostek pomocniczych, a za sobą naostrzone żelazo tych świeżo przybyłych, przerażająco sprawnych w zabijaniu nieprzyjaciół, Brytowie zawahali się, po czym, jakby za jednoczesną wspólną zgodą, zrezygnowali z walki. Rydwany i konnica odwróciły się i popędziły ku swoim głównym siłom, znajdującym się tuż za wygiętą we wklęsły łuk flanką legionu. Wespazjan i Petus na czele Batawów rzucili się w chaotyczny pościg, siekąc plecy uciekających i zady ich wierzchowców. Ponieważ wojownikom na rydwanach udało się rzucić niewiele oszczepów i nie mogli odstraszyć wroga, Batawowie ochocho przystąpili do bezlitosnego zadania, pławiąc się we krwi, bez konieczności zapędzania się zbyt daleko i zagrożenia wchłonięciem przez hordę pieszych wojowników, którzy wciąż mieli ogromną ochotę na złamanie woli Rzymian. Za nimi szli żołnierze oddziałów pomocniczych, prowadzeni przez centurionów i popychani od tyłu długimi drągami przez ich zastępców, starających się wyprostować wygiętą linię bojową.

– Stać! – zawołał Wespazjan, kiedy uciekający skierowali się za skrzydło głównych sił pieszych wojowników, którzy zaczęli się odwracać, by stawić czoło Batawom.

– Cofnąć się i zebrać! – krzyknął Petus, wiedząc, że w tym stanie dezorganizacji nie mogą ryzykować starcia z piechotą.

Na sygnał rogu Batawowie się wycofali, skupiając się wokół jednej strony żołnierzy oddziałów pomocniczych, którzy zbliżywszy się do nieprzyjaciela szybkim truchtem, z tarczą przy tarczy, jeszcze przyspieszyli i dzielnie wykorzystując zaistniałą sytuację, obrócili się i uderzyli we flankę Brytów.



Wespazjan przyglądał się, jak dekurioni, sto kroków za żołnierzami piechoty jednostek pomocniczych, ustawiali w szyku szeregi Batawów. IX legion *Hispana* wytrzymał czas jakiś ataki Brytów, po czym wycofywał się, powtórnie nacierał i tak wielokrotnie, raz za razem. Nie było to jakieś bezmyślne napieranie samym ciężarem ludzkiej masy, były to fale walki wręcz; płynny ruch do przodu, błysk długich mieczy i zamach ramion z oszczepami, starcie i cofnięcie się, niby pociąganie prądem powrotnym przyboju i ponowny posuwisty ruch do przodu. Rozfałowanie rzymskiej linii bojowej powodowało, że w zadziwiająco płynny sposób zmieniały się miejsca zetknięcia z przeciwnikiem, z wyjątkiem tego jednego, gdzie oddziały pomocnicze przygwoździły i unieruchomiły flankę. Tam bowiem Brytowie zostali, ku zadowoleniu legionistów, przyciśnięci do tarcz kohorty stojącej na skraju prawej strony. Niewidoczne klingi zbierały krwawe żniwo śmierci w pierwszych szeregach wojowników, którzy wyli, kiedy zwoje ich wnętrzości spadały z chlupotem na zrytą ziemię, pod podbite ćwiekami buty prących do przodu legionistów.

Osaczeni coraz bardziej, stłoczeni wojownicy wpadli w popłoch i ich wrzask nabierał coraz wyższych tonów.

Legioniści napierali, a tarcze kohorty pomocniczej tworzyły mur i Brytowie, nie mogąc się cofnąć przed morderczymi ostrzami, padali gromadnie. Mimo to wciąż tam tkwili, jakby zmuszeni wołą swoich bogów mieli stać i umierać na świętej ziemi ojczystej; ich krzyki i przedśmiertne wołania wznosiły się ku niebu w hołdzie dla ich bóstw, które trzymały nad nimi pieczę, ale ostatecznie nie mogły ich ochronić.

A potem pojawił się nowy dźwięk: niski jęk rozpacz. Wespazjan spojrzawszy w lewo i na szczycie wzniesienia zobaczył gromadzących się jeźdźców. Ich liczba rosła, pokrywając całą długość grzbietu wzgórza, a mały nadzieje Brytów, którzy dobrze wiedzieli, że za tą drugą większą jednostką konnicy na pewno zjawi się kolejny legion Rzymian, a ich trębacze zwiastować będą śmierć wojowników.

Czując narastającą bezradność przeciwników, legioniści wznowili natarcie i ponaglani przez centurionów, nie odrywali się od nieprzyjaciela na całej długości linii, walcząc na własnych warunkach i zwiększając liczbę zabitych. Brytowie zepchnięci do tyłu i ponoszący straszliwe straty zachwiali się. Po czym, kiedy ten drugi oddział jazdy, jaki tego dnia pojawił się na wzgórzu, ruszył na nich, załamali się i rzucili do ucieczki; los się odwrócił.

Umykali przed bezlitosnymi klingami legionistów i pozostawiając za sobą niezliczonych zabitych i rannych, biegli na wschód co sił w nogach.

Wespazjan zwrócił się do Petusa.

– Dołącz do tego świeżego oddziału i ścigajcie ich przez jakąś milę, starając się zabić, ilu się da.

– Z przyjemnością, legacie. Nie ruszysz z nami?

– Nie, Petusie. Poszukam brata, a potem zmierzmy się z Korwinusem. Jeśli po twoim powrocie okaże się, że ponieśliśmy porażkę, musisz zawiadomić Plaucjusza.

Wespazjan pospieszył za szeregami wiwatujących kohort, pędem minął południową bramę obozu i przejechawszy wzdłuż via Principalis, wpadł do pretorium. Przywiązał konia i przeszedł przez niestrzeżone wejście.

– Nie spieszyłeś się, bracie – odezwał się z głębi namiotu Sabinus.

– Zatrzymał mnie taki drobiazg jak pokonanie armii Brytów. Gdzie wartownicy?

– Nie chcieli współpracować, więc musieliśmy z Magnusem uwolnić ich od broni.

Nic im nie będzie poza bólem głowy.

– Znaleźliście coś?

– Jak najbardziej, jest w części sypialnej, razem z Magnusem.

Wespazjan zobaczył przyjaciela siedzącego obok jakiejś rozciągniętej na łożku postaci. Kiedy wzrok mu się przyzwyczaił do półmroku, dostrzegł długie siwe włosy i zwisające czarne wąsy.

– Weryka! Co on tu robi?

– Nie jest tu z własnej woli – poinformował legata Magnus – był nieprzytomny i związany, kiedy go znaleźliśmy. Dopiero zaczął dochodzić do siebie.

Stary król otworzył powoli oczy, z wielkim trudem skupił je na Wespazjanie i powiedział:

– Przybyli tutaj, żeby się poddać.

– Kto?

– Katuwelaunowie i Trynowantowie. Przybyli dzisiaj rano, a Korwinus ustawił legion w szyku przed obozem. Ich przywódcy wystąpili z gałązką pokoju, żeby porozmawiać, a ja tłumaczyłem. Powiedzieli, że przybyli złożyć broń; od śmierci Togodumnusa nie mają już na wschodzie wodza, który odparłby najazd, i dlatego podporządkują się Rzymowi. Korwinus drwił z nich, że są słabi, i powiedział, że chce zdobyć Kamulodunum, a nie dostać je w prezencie. Potem kazał przywódców stracić na oczach ich własnych ludzi. Protestowałem, a kiedy Brytowie zaatakowali, ujrawszy, co zrobił Korwinus, i porzuciwszy wszelką myśl o poddaniu się, uderzył mnie, pozbawiając przytomności. Tyle wiem.

– No cóż, odniósł to swoje zwycięstwo, i na dodatek bardzo krwawe. Droga do Kamulodunum stoi otworem.

Weryka uniósł się na łokciu z gorzkim wyrazem twarzy.

– Już tego ranka była otwarta bez rozlewu krwi.

– Czy wciąż będą skłonni się poddać?

– Tak, już naprawdę zostali pobici, ale urazę za to, co się stało, zachowają i wielu wojowników uda się na zachód, by dołączyć do Karatakusa. Rzym czeka przeciwko niemu długa i ciężka wojna.

– Spodziewaliśmy się ciężkich walk. – Sabinus wzruszył ramionami. – Kilka tysięcy wojowników więcej nie zrobi wielkiej różnicy.

– Chodzi o coś innego – wtrącił Wespazjan. – Rozejdą się wieści, że nie przyjmujemy kapitulacji. Te plemiona będą przekonane, że nie mają wyboru i muszą walczyć na śmierć i życie. Korwinus pozbawił właśnie życia wielu Rzymian.

– Kiedy znajdą się ci strażnicy, masz obedrzeć ich ze skóry, *primus pilus* – warknął ktoś u wejścia do namiotu.

– Tak jest, legacie.

– A teraz kielich wina dla uczczenia porządnej porannej roboty, co wy na to, panowie?

– Z przyjemnością, legacie – odpowiedzieli jednocześnie trzej mężczyźni.

Bracia popatrzyli na siebie.

– Czas na pogawędkę z Korwinusem – szepnął Wespazjan. – Magnusie, zostań tutaj. Wyjdź, gdy dojdzie do walki.

Magnus skinął głową, a bracia przeszli do głównej części namiotu.

– Kmiot! I rogacz! – wykrzyknął rozwścieczony Korwinus. – Jak śmiecie nieproszeni wchodzić do mojego pretorium?!

– A jak ty śmiesz lekceważyć cesarskie rozkazy?! – rzucił Wespazjan, stając z nim twarzą w twarz. – I nie przyjmować kapitulacji dwóch plemion, kiedy się z własnej woli poddają?!

Nozdrza Korwinusa rozdęły się gniewnie; jego trzej oficerowie zeszywnieli i położyli dłonie na rękojeściach mieczy.

– Jaki to byłby zaszczyt i jaka chwała przyjąć ich kapitulację, kiedy mój legion jeszcze dotąd nie walczył? Ale ty tego nie zrozumiesz, bo przecież pochodzisz z nędznej rodziny, która nigdy nie pragnęła chwały, bo nie dochrapała się żadnych zaszczytów.

– Gdy ty tymczasem uważasz za rzecz honorową kradzież chwały, którą cesarz zarezerwował dla siebie?

– Cesarz jest głupcem!

– Kimkolwiek by był, jest również twoim szwagrem, a ludzie z jego otoczenia doskonale wiedzą, jak zamierzasz wykorzystać swoją pozycję i co planujesz począć ze skradzioną mu chwałą.

Ciemne oczy Korwinusa zwęziły się.

– To tylko przypuszczenia. Nikt nie może udowodnić, że nie działałem w najlepszym interesie Klaudiusza.

– Tak byłoby rzeczywiście, gdyby Plaucjusz nie żył, ale on żyje. – Wespazjan z przyjemnością obserwował zaskoczenie Korwinusa, które patrycjusz usiłował ukryć. – Kiedy się tak definitywnie żegnałeś, przekonany, że go widzisz ostatni raz, nie wiedziałeś, że twój przyjaciel Geta leży zaledwie pięćdziesiąt kroków od tego miejsca. Zwabił Plaucjusza w śmiertelną pułapkę, poświęcając własną jazdę, ale wódz przeżył. Geta zamordowały go w jakiś inny sposób, gdyby nie został poważnie ranny i odesłany do Rutupiów. Nie dowiemy się już, jak by to wyglądało. Pewne jest natomiast jedno: nie masz prawa korzystać z pełnomocnictwa cesarza, dającego ci dowództwo całej armii w wypadku śmierci Plaucjusza. Nie jesteś tu wodzem, dlatego wiadomo, że popełniłeś zdradę, a Plaucjusz przysłał nas, byśmy cię aresztowali.

Korwinus próbował wyciągnąć miecz z pochwy. Wespazjan lewą rękę zacisnął mu na nadgarstku, prawą zaś błyskawicznie wyciągnął sztylet z za pasa i przytknął czubek ostrza do podbródka Korwinusa. Legat odchylił głowę, a jego trzech oficerowie, którym nikt nie przeszkadzał, wyciągnęli miecze, celując nimi w gardło Wespazjana.

– Na waszym miejscu rozważyłbym swoją sytuację, panowie – poradził im Sabinus, podchodząc bliżej. Zza jego pleców wyłonił się Magnus z wyciągniętym mieczem. Z zewnątrz dobiegał radosny zgiewk wracającego do obozu zwycięskiego legionu. – Wibianusie, miło mi widzieć, że wciąż jesteś najwyższym rangą centurionem, natomiast tobie, Laurencjuszu, jak sądzę, pozostało zaledwie kilka miesięcy służby i Dziewiątemu będzie wkrótce potrzebny nowy prefekt obozu. – Przeniósł spojrzenie na najmłodszego z tej trójki. – Scewolo, jestem przekonany, że odczuwasz lojalność względem Korwinusa za awans na wyższego rangą trybuna, radziłbym ci jednak zapomnieć o tym na chwilę i posłuchać.

Młody trybun zerknął nerwowo na Sabinusa, po czym ponownie wbił wzrok w Wespazjana. Tak jak jego koledzy wciąż mocno zaciskał dłoń na mieczu.

– Wkrótce przybędzie tu Plaucjusz z jednym przynajmniej legionem – ciągnął Sabinus. – Wy trzej macie do wyboru: spróbować nas zabić i mieć udział w spisku swojego legata albo przekazać nam Korwinusa. Wybierzcie pierwszą możliwość, a okaże się, że prowadzicie swój legion przeciwko krajanom, ponieważ Plaucjusz nie będzie miał wyboru i użyje siły, by rozkazy cesarza zostały wykonane. Wybierzcie tę drugą, a otrzymacie podziękowanie od wdzięcznego cesarza.

Scewola przycisnął mocniej ostrze miecza do gardła Wespazjana.

– Dlaczego miałbym ci zaufać? – spytał.

– Ty nie masz powodu, jednakże wy, Wibianusie i Laurencjuszu, znacie mnie i wiecie, jak dumny jestem z Dziewiątego legionu *Hispana*, mojego pierwszego legionu, kiedy zaczynałem jako trybun, i którym dowodziłem jako legat. Sądzicie, że chciałbym, by ten legion się zhańbił? Obaj służyliście kilka lat pod moim dowództwem; czy kiedykolwiek zrobiłem coś, co pozwalałoby wam wątpić w moje słowo? To wszystko zaaranżował Narcyz, by zdemaskować Korwinusa jako zdrajcę, ale awansował mnie też na legata Czternastego, żeby znalazł się ktoś, komu możecie zaufać i dać się przekonać. Wiecie bowiem, jak bardzo leży mi na sercu dobro wasze i tego legionu. Wierzcie mi, wasz nowy legat okłamał was i naraził na niebezpieczeństwo wasze życie.

Wibianus i Laurencjusz spojrzeli sobie w oczy i po chwili obaj ledwo dostrzegalnie skinęli głowami. Ich miecze powoli oddaliły się od gardła Wespazjana i wymierzyły w Korwinusa.

Twarz Scewoli zastygła w maskę niezdecydowania, a na pokryte pyłem bitewnym czoło wystąpiły krople potu.

– Są pewnie tutaj, wodzu! – zawołał Petus, wpadłszy nagle do namiotu.

Ręka zaskoczzonego młodego trybuna drgnęła, Wespazjan cofnął głowę, a z równego rozcięcia na jego szyi pociekła krew.

– Co ja, na Jowisza, powiem cesarzowi i Narcyzowi? – ryknął Plaucjusz, wpadając za Petusem do środka namiotu. – Powiedziałeś, że powstrzymasz tego zdradzieckiego zdrańca, zanim narobi zbyt wiele szkód.

Wespazjan spoglądał przerażony na zakrwawioną klingę. Trybun rozwarł dłoni i miecz ze stukotem upadł na drewnianą podłogę. Widoczne zza ramienia Korwinusa oczy Scewoli zaszyły mgłą, a z ust zaczęła sączyć się krew. Wibianus i Laurencjusz trzymali znieruchomiałego i sztywnego Korwinusa przyciśniętymi mu do gardła czubkami mieczy. Scewola osunął się na podłogę. W jego karku tkwił sztylet.

Wespazjan pomacał ranę na szyi i ku swojej wielkiej uldze stwierdził, że jest

powierzchnowa. Przesunął rękę niżej, wyjął miecz Korwinusa z pochwy i odrzucił na bok.

– Przykro mi, wodzu, przybyliśmy za późno.

– Jasne, że za późno. – Plaucjusz podszedł do Korwinusa i bez chwili wahania rąbnął go pięścią między oczy, miażdżąc mu nos i posyłając legata na ciało Scewoli.

– Ulżyło mi – oświadczył. Spoglądał teraz z nabrzmiałymi z wściekłości żyłami na szyi na Wibianusa i Laurencjusza. – Zabierzcie tę kupę gnoju sprzed moich oczu i trzymajcie pod strażą, aż przyjedzie cesarz i skaze go na śmierć.

– Tak jest – odpowiedzieli obaj, stając na baczność.

– Który z was zabił trybuna?

– Ja, wodzu! – rzucił Wibianus.

– Uważaj się za oskarżonego, *primus pilus*.

– Tak jest.

– Oskarżenie wycofane. A teraz wynoście się stąd.

Mężczyźni zasalutowali i ruszyli do wyjścia, wlokąc z sobą Korwinusa. Wespazjan skinął głową, dziękując centurionowi za interwencję.

Plaucjusz skierował złowrogie spojrzenie na braci.

– Widziałem, co się wydarzyło. Byłem z jazdą na wzgórzu. Wygląda na to, że są pokonani. Jutro najpewniej poproszą o podanie warunków kapitulacji.

– Chcieli się poddać dzisiaj rano, ale Korwinus kazał zamordować ich wysłanników – oświadczył Weryka, który właśnie przykuśtykał.

Plaucjusz patrzył wstrząśnięty na starego króla, po czym opadł ciężko na składany stołek i otarł pot z czoła.

– Niezły burdel się zrobił, i to wcale nie z winy Narcyza. Ciekawe, co zrobi Klaudiusz, kiedy tu dotrze, poza skazaniem Korwinusa i wkroczeniem do zajętego już miasta?

– To może go nie zajmujemy – zasugerował Wespazjan. – Jeśli się jutro podda, to przecież nie oznacza, że musimy natychmiast tam wkroczyć.

Plaucjusz milczał przez chwilę, po czym uśmiechnął się szeroko.

– Oczywiście, ten głupiec nigdy nie był na wojnie, nie zorientuje się, w czym rzecz. Moglibyśmy przebrać kilku jeńców, jak to zrobił Kaligula, kiedy udawał, że podbija Germanię, zabić ich, kiedy wmaszerujemy do miasta, a potem Klaudiusz przyjąłby kapitulację i miał poczucie, że dokonał jakiegoś chwalebego czynu. On będzie zadowolony, Narcyz nie będzie miał powodu do narzekań, a co bardziej

istotne, ja sam będę wolny od podejrzeń. Zawiadomię go, żeby natychmiast wyruszał z Rzymu.

– A co robimy, zanim przybędzie?

– Z tych Brytów, którzy już przeszli na naszą stronę, pchnę wysłańców do wszystkich plemion, żeby się upewnić, którzy wodzowie skłonni są złożyć przysięgę na wierność temu głupcowi. Sabinusie, potrzebuję jeńców na triumfalny wjazd Klaudiusza do Kamulodunum; weź swój legion na miesiąc na zachód, żeby odczuli tam naszą obecność, a potem wróć tu z jeńcami. Dziewiąty tymczasem zostanie tutaj, żebym mógł mieć na niego oko. Dwunasty zostawiłem, żeby zbudował most przez Tamezis i chronił południowy brzeg przed Karatakusem. Drugi jest na przeciwległym brzegu, skąd będzie mógł wyruszyć na południe. W tej sytuacji, Wespazjanie, tobie, a nie Korwinusowi, przypadnie teraz zabranie Weryki z powrotem do jego stolicy. Potem zajmiesz wyspę Wektis, żeby nie stanowiła zagrożenia dla twoich tyłów, kiedy w następnym sezonie będziesz się posuwał wzdłuż wybrzeża na zachód. Jeśli się da, dokonaj tego drogą układową z królem... musimy oszczędzać żołnierzy. Jeśli jednak pertraktacje zawiodą, zastosuj siłę. Spodziewam się, że Klaudiusz przybędzie krótko po wrześniowych kalendach. Chcę, byś do tego czasu tu wrócił, zajmąwszy Wektis, osadziwszy Werykę na jego tronie i zapewniwszy swojemu legionowi rolę głównej siły w południowej Brytanii.

## Rozdział dwudziesty

Mój krewny ustąpi – zapewnił Wespazjana Weryka – a kiedy to zrobi, będzie wobec Rzymu całkowicie lojalny.

Wespazjan zacisnął dłonie na balustradzie triremy, smaganej wiatrem na wzburzonym kanale oddzielającym wysepkę Wektis od lądu.

– Tak sądzisz? Przez cały miesiąc pertraktowania nie wykazał ku temu najmniejszych skłonności.

– Kiedy tylko będzie pewien, że honor na tym nie ucierpi, zaakceptuje Rzym.

– I żeby jego honor nie ucierpiał, musi zginąć wielu moich ludzi?

– Tak było tu zawsze. – Weryka wzruszył ramionami i otarł z twarzy kropelki słonej wody. – I za jego honor zginie o wiele więcej wojowników niż legionistów.

– Nie wątpię. Więc po co w ogóle to robić? Dlaczego po prostu nie skapitulował, kiedy wysłałem do niego posłów, proponując dobre warunki?

– Bo tak mu nakazałem.

Wespazjan spojrział na starca z niedowierzaniem.

– Co zrobiłeś?

– To, co uważałem za najlepsze dla wszystkich, skoro zamierzam uczynić Kogidubnusa swoim następcą. Moi ludzie przelali krew, walcząc za Karatakusa przy przeprawie przez Afon Kantiów; Kogidubnusa i jego wojowników tam nie było z powodu wzajemnej nienawiści. Gdyby poddał się Rzymowi bez walki, mój lud nigdy by go nie uznał.

– Ciebie uznali, a przecież wróciłeś z nami.

– To prawda, ale zrobili to niezbyt chętnie. Teraz, kiedy Karatakus poniósł klęskę i uciekł na zachód, konfederacja Atrebatów i Regnów nie jest już pod jego panowaniem. Znowu przyjęli mnie jako prawowitego króla, Karatakusa uznali za uzurpatora. Ale wcale im się nie podoba, że przybyłem z Rzymianami zamiast wspólnie z nimi stanąć przeciwko Rzymowi.

– Zatem, aby utrzymać swoją pozycję, uczynisz z bratanka bohatera, po czym uznasz go za następcę i nieważni ci wszyscy, którzy przy okazji zginą.

– Owszem, możesz tak to ująć. Najważniejsze jednak, by moje królestwo było



trwałe, a kiedy umrę, co nastąpi niebawem, by miało silnego dziedzica, popierającego Rzym. Nie chciałbyś chyba, by Atrebatowie i Regnowie się zbuntowali, przerywając wasze linie zaopatrzenia, kiedy będziecie szli na zachód, prawda?

– Ano nie.

– A doczekasz się tego, jeśli tej bitwy nie będzie. Obaj moi synowie nie żyją, legacie, a naturalnym sukcesorem jest mój jedyny wnuk, któremu dano moje imię, ale on ma zaledwie kilkanaście lat. Jest zbyt młody, a poza tym przez ostatnie trzy lata mieszkał ze mną w Rzymie, więc nie zna mojego ludu i mój lud go nie zaakceptuje.

– Nie ma nic przeciwko temu, że zostanie pominięty, a kuzyn będzie królem?

– Jeszcze mu tego nie powiedziałem, mam jednak nadzieję, że zrozumie. Myślę, że będzie chciał zrobić karierę w Rzymie. Razem ze mną otrzymał tam obywatelstwo, wpisano go do stanu ekwitów i mówi już biegle po łacinie. W tej chwili służy jako najniższy stopniem trybun w sztabie Plaucjusza, może się na niego natknąć? Przyjął łacińskie imiona Tyberiusz Klaudiusz Alienus.

– Alienus? Owszem, spotkałem go. Rzeczywiście jest młody.

– I najwyraźniej nie dość silny, by zachować jedność wśród mojego ludu pod rzymskim panowaniem.

– A Kogidubnus będzie dość silny, jeśli potrafi pokazać, że przeciwstawił się Rzymowi?

– Tak. Ta mała bitwa i niewielkie straty w ludziach to chyba niewygórowana cena, nie sądzisz?

Wespazjan popatrzył na stu pięćdziesięciu żołnierzy pierwszej centurii uszczuplonej liczbowo pierwszej kohorty, klęczących na pokładzie i wpatrujących się z lękiem w brzeg odległej o niecałą milę wysepki, bronionej, co dało się dojrzeć nawet w nikłym świetle brzasku, przez znaczne siły. Za legionistami, ściskając łuki, klęczało szesnastu Hamiów z syryjskich oddziałów posiłkowych, których Wespazjan przydzielił do każdego okrętu. Ilu z tych ludzi w ciągu godziny pożegna się z życiem, by utrzymać królestwo Weryki? Po namyśle stwierdził, że rzeczywiście, nieważne, ilu zginie teraz, jeśli tylko cel zostanie osiągnięty i wybrany przez Werykę sukcesor ulegnie potędze Rzymu, samemu jej doświadczywszy. W rezultacie umocni to tylko pozycję Rzymu w Brytanii.

Weryka ma rację, myślał Wespazjan: nie powitano go entuzjastycznie. W ciągu miesiąca po aresztowaniu Korwinusa Wespazjan prowadził swój legion na południe,

etapami, przez rdzenne ziemie Atrebatów. Wszystkie forty na wzgórzach, wszystkie osiedla czy wioski, do których dotarli, otwierały wrota i poddawały się Rzymowi. Wojownicy odkładali broń, jednak Wespazjan pozwalał ją im zabrać, dopiero kiedy uznali Werykę za swojego króla, który miał rządzić nimi w imieniu cesarza, ba, który nawet nosił imiona cesarza: Tyberiusz Klaudiusz Weryka, i któremu podczas pobytu w Rzymie Klaudiusz przyznał rzymskie obywatelstwo. Akceptacja jednakże nie była natychmiastowa i Weryka zmuszony był prowadzić długie negocjacje ze starszyzną każdej osady, zanim udzielono zgody na przyjęcie z powrotem dawnego króla. Zawarte porozumienia obowiązkowo kończono całonocną popijawą, co odbijało się na zdrowiu starego Weryki, a rankami wojowników zgłaszających się, by odebrać miecze, było zawsze mniej niż tych, którzy je wieczorem złożyli. Wojowników, których schwytano, kiedy przemykali się na zachód, do Karatakusa, odesłano w łańcuchach do Plaucjusza, by wykorzystał ich przy planowanej pozorowanej zwycięskiej bitwie Klaudiusza, ale znaczna ich liczba dotarła do rosnących sił butnego wodza Brytów.

Przybycie Weryki do głównego ośrodka jego władzy, Regnum – portu w naturalnej zatoce, nieco na wschód od Wektis – miało bardziej uroczysty charakter, bo witali go tam jego pobratymcy. Natomiast przyjęcie legionu *Augusta* nie było już takie ciepłe, tak że zarówno Wespazjan, jak i Weryka musieli łagodzić stosunki pomiędzy dwiema stronami podczas tego miesiąca, kiedy legionieści budowali stały obóz, a żeglarze modernizowali port. W tym właśnie czasie Wespazjan rozpoczął negocjacje z Kogidubnusem, królem Wektis, o pokojowe poddanie królestwa, jednak jego inicjatywy zawsze kończyły się fiaskiem, mimo że proponował honorowe warunki, a na kanale obok stacjonowała pokaźna flotylla rzymska.

Dopiero teraz, kiedy zmuszony był użyć tych okrętów do wzięcia tego, czego zażądał Rzym, uświadomił sobie, dlaczego nie chciano tego oddać dobrowolnie. Zerknął na przebiegłego starego króla.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś, że poradziłeś Kogidubnusowi, by się nie poddawał bez walki? Straciłem prawie miesiąc na negocjacje z nim.

– Musiałem pokazać mojemu ludowi, że jesteś gotowy rozmawiać o pokoju. Gdybym ci o tym powiedział na samym początku, zaatakowałbyś nas bezzwłocznie i Rzym sprawiłby wrażenie porywczego agresora. – Weryka zwrócił na Wespazjana łzawiące oczy. – Musisz zrozumieć, młody człowieku, że jeśli Rzym ma tu zostać, ale nie chce mieć na stałe uwiązanych kilku legionów do utrzymania tutejszych plemion

w ryzach, to musi panować przy szerokiej zgodzie tego ludu, a żeby to uzyskać, musi być postrzegany jako potężny. A poza tym, gdybym ci powiedział, mógłbyś zakażać mnie zabić.

– Byłoby to bardzo niemądre posunięcie.

– Cieszę się, że to rozumiesz.

– Szykujcie się, moi pięknie! – ryknął *primus pilus* Tacjusz. – Nie będzie bolało... przynajmniej nie za bardzo.

Żołnierze oparli tarcze o pokład i przykucnęli za nimi. Żeglarze ruszyli biegiem, żeby spuścić z dziobu dwa drewniane ruchome pomosty, zwane krukami. Rozległ się głuchy łomot, kiedy pociski z proc, wyrzucane z plaży odległej zaledwie o sto kroków, zaczęły uderzać w kadłub. Chwilę potem znajomy widok chmary tłoczących się, wymazanych gliną wojowników, wrzeszczących i wymachujących bronią, przy akompaniamencie karnyksów, przyprawił Wespazjana o dreszcze. Lewa dłoń, w której trzymał uchwyt tarczy, mu zwilgotniała. Odmówił w myślach modlitwę do swojego bóstwa opiekuńczego, by nie pozwoliło mu paść tego dnia w bitwie, która na krótką metę była całkowicie zbędna, ale jej długofalowe implikacje polityczne teraz doskonale rozumiał.

Usłyszał przy uchu świst i też przyklęknął, kryjąc się za tarczą.

– Lepiej zejść pod pokład, Weryko.

Król skinął głową i odszedł w stronę rufy wyprostowany, nie zwracając uwagi na latające wokół kamienie i ołów.

Czterdzieści okrętów rzymskiej floty stojących w jednej linii, z luką pomiędzy rzędami wiosł nie szerszą niż pięć kroków, miało jednocześnie uderzyć na plażę. Za nimi, na prawej flance, czekało sześć statków rezerwowych, z konnicą Petusa na pokładach.

Na rozkaz triarchy wciągnięto wiosła i Wespazjan już wiedział, że za chwilę znajdą się na plaży. Z okrzykiem bólu jeden z żeglarzy zatoczył się i padł tuż przy pomoście, chwytając się za strzaskane ramię. Ryk triarchy posłał do przodu dwóch innych na jego miejsce. Tylko jeden zdołał dobiec do dziobu; jego kolega padł na pokład, z sączącą się z ust krwią i czołem zgruchotanym wyrzuconym z wielką siłą pociskiem.

Chmura pocisków z każdą chwilą gęstniała. Z ostrym stukotem odbijały się od tarcz, balustrady i masztu. Skuleni za obitymi skórą drewnianymi tarczami żołnierze pierwszej kohorty zaciskali zęby, obsypywani tym nieustannym gradem. Wokół nich pociski toczyły się w tę i z powrotem po rozkołysanym pokładzie.

Wespazjanowi zadzwoniło w uszach, kiedy jego tarczą rzuciło do tyłu. Okrągły kamień, wielkości połowy pięści, odbiwszy się od niej, trafił jednego z legionistów w nogę, łamiąc mu kość podudzia. Mężczyzna wrzasnął i prawą rękę przyłożył do rany, mimo bólu nie opuszczając tarczy, bo to oznaczałoby śmierć.

Pociski przestały spadać, kiedy okręty podpłynęły do plaży, uniemożliwiając procarzom celowanie pod takim kątem, mogli za to użyć miotanej ręcznie broni. Oszczepy i włócznie poszybowały w powietrze, a legionieści podnieśli i połączyli tarcze, osłaniając się jednym wspólnym dachem. Mimo to dwóch z nich zostało przeszytych i padło na pokład.

Z chrzęstem drewna trącego o kamyki trirema wbiła się w plażę, zwalniając gwałtownie. Uderzenie rzuciło do przodu wieloma legionistami, przez co ochronny dach tarcz się rozsypał. Przyniosło to katastrofalne skutki. Jakichś dziesięciu nie zdołało zareagować na wrzask Tacjusza, że mają się podnieść i ruszyć naprzód, a kiedy z klekotem bloczków i piskiem zawiasów pomosty opadały łukiem na kamienie, jeden z nich zmiądzzył legionistę, który nie mógł się odsunąć z powodu napierających z tyłu kolegów. Kiedy żołnierze biegli na dziób, do oszczepów ponownie dołączyły pociski z proc, bo procarze mieli znów cele widoczne jak na dłoni. Wespazjan podniósł tarczę, odbijając w bok ciężką włócznię, i wyciągnąwszy miecz, wdarł się do trzeciego szeregu swoich żołnierzy, którzy miotając oszczepami, zaczęli prawym pomostem opuszczać okręt. Narażona na pociski pędzące od przodu i ostre grotty oszczepów spadające ze świstem z góry, pierwsza kohorta zbiegała po drgających deskach. Żołnierze pierwszego szeregu trzymali tarcze przed sobą, a pozostali, po wyrzuceniu *pila*, utworzyli osłonę od góry. Wszyscy byli świadomi, że im wcześniej zetrą się z nieprzyjacielem, tym szybciej osłabnie ten grad pocisków, bo bliskość prawie uniemożliwi ich dalsze miotanie.

Pędzili więc w dół, wprost na nieprzyjaciół otaczających końce pomostów głębokich na dziesięciu wojowników.

– Za mną! – krzyknął Wespazjan przez ramię do żołnierzy czwartego i piątego szeregu, kiedy pierwsi legionieści runęli gwałtownie na Brytów.

Zeskoczył z boku pomostu, pociągając za sobą swoich ludzi prosto na stojących niżej wojowników. Uderzył tarczą i wybiwszy miecz z nieosłoniętej ręki wykrzywionego mężczyzny, masakrując mu guzem twarz, powalił go na kamienie. Sam upadł na nieprzytomnego wojownika i sturlał się na bok, nasuwając tarczę na twarz, kiedy zobaczył wycelowany w siebie groźny grot włóczni. Ramię mu zadrgało, kiedy żelazo zagłębiło się w litym drewnie. Tymczasem dwóch legionistów, którzy

poszli w jego ślady, zdołało już odzyskać równowagę. Nacisk na tarczę Wespazjana zelżał i jednocześnie tuż przy głowie poczuł smród świeżych ekskrementów. Kopnął w górę tarczę, obrócił się i ukląkł w chwili, kiedy Bryt, ściskając wciąż włócznię, padł w wrzaskiem na twarz, a z jego rozchlastanego brzucha wypadły cuchnące trzewia. Nie tracąc czasu na sprawdzanie, kto go zabił, Wespazjan, stanął na nogi. Pchnął przed siebie tarczę z wciąż tkwiącą w niej włócznią i jej drzewcem trafił w bark kolejnego wojownika, który próbował wypełnić powstałą lukę. Uderzenie uwolniło włócznię, która padła wojownikowi pod nogi. Bryt potknął się o nią i trafił twarzą w zaciśniętą na rękojeści miecza pięść Wespazjana. Ze zmiażdżoną szczęką i wybitymi zębami osunął się do tyłu. Wespazjan zrobił krok do przodu, przeszywając błyskawicznie jego odsłonięte gardło, po czym dołączył do towarzysza, który prawdopodobnie uratował mu życie w tamtej walce wręcz. Za ich plecami coraz większa liczba legionistów wpadała na plażę, stale poszerzając rzymską linię bojową. A potem nastąpiła chwila, na którą Wespazjan czekał: w czole wojownika, którego miał przed sobą, pojawiła się nagle pierzasta strzała. Hamiowie użyli łuków, siejąc grozę wśród wojowników i powodując wycofywanie się tych mniej odpornych, dzięki czemu zmniejszył się nieco nacisk na rzymskie tarcze.

Choć nie widział, co się dzieje poza jego najbliższym otoczeniem, wywijając mieczem, Wespazjan miał nadzieję, że takie same gwałtowne sceny rozgrywają się przed każdym z jego okrętów: skoro Hamiowie strzelali teraz z dziobu, oznaczało to, że już wszyscy legionieści opuścili pokład.

Czując z tyłu wciąż narastający nacisk, wyrwał się z ciżby i dał nura w bok, pozwalając, by następny z rzędu żołnierz zajął jego miejsce. Przepchnął się do tyłu i pomostem wszedł na pokład. Popatrzawszy w lewo i w prawo wzdłuż plaży, stwierdził, że większość okrętów pozbyła się ładunku bojowego, a w kilku miejscach centurie z sąsiadujących statków połączyły się, tworząc zaczątki długiego wspólnego frontu. Wszyscy Brytowie skupili się przy zarytych dziobami w plażę okrętach, czas więc było przejąć inicjatywę.

– Podnieść flagę sygnałową! – zawołał do trierarchy.

Żeglarze, tupocąc bosymi stopami po pokładzie, szybko wciągnęli na główny maszt dużą kwadratową czarną flagę. Po kilku chwilach odpowiedziały na to okręty rezerwowe, biorąc kurs na bok prawej flanki. Modląc się w duchu, żeby Petus był w stanie sprowadzić szybko i bez przeszkód swoją konnicę, Wespazjan wcisnął się pomiędzy dwóch Hamiów na dziobie, by móc śledzić walkę toczącą się przed jego okrętem. Dzięki wcześniejszemu wsparciu łuczników pierwsza centuria zdołała

odepchnąć wroga o kilka kroków. By temu przeciwdziałać, Brytowie wycofali procarzy do tyłu, za swoją linię, i rozpoczęli pojedynki z Hamiami, z których dwóch wkrótce padło na pokład. Pierwsza centuria, pozbawiona ograniczonego, ale jednak bardzo istotnego wsparcia łuczników, z wielkim trudem dążyła do połączenia z drugą centurią po swojej lewej stronie i z szóstą po prawej; walcząc w izolacji, ryzykowali, że pochłonie ich fala nieprzyjacielskich wojowników.

Wespazjan odwrócił się i ryknął do trierarchy:

– Daj mi tu ze dwudziestu wioślarzy i niech każdy przyniesie tyle oszczepów, ile tylko zdoła udźwignąć! – po czym pociągnął za ramię najbliższego z Hamiów. – Do tyłu! – rzucił.

Łucznicy cofnęli się pod główny maszt, znikając z oczu procarzom, ponieważ okręt tkwił pod kątem. Przystąpił przez kapitana członekowie załogi rozbili stojącą pod masztem skrzynię z bronią. Każdy wyciągnął z niej po kilka oszczepów.

– Na mój rozkaz – zawołał do nich Wespazjan, przekrzykując zgiełk bitewny – biegnijcie na dziób i ciskajcie oszczepy w Brytów po lewej stronie! Łucznicy pójďte z wami i zajmą się procarzami. Zrozumiano?

Członkowie tej naprędce utworzonej jednostki kiwali nerwowo głowami i mamrotali potwierdzająco, a pewni siebie Hamiowie od razu umieścili strzały na cięciwach, gotowi do utworzenia osłony.

Wespazjan chwycił dwa oszczepy.

– Teraz! – krzyknął.

Popędził w górę nachylonego pokładu, a pozostali za nim. Dotarłszy na dziób, cisnął pierwszy oszczep w Brytów atakujących Tacjusza i natychmiast posłał za nim drugi. Hamiowie równocześnie z towarzyszącymi mu mężczyznami wypuścili rój strzał w stronę procarzy, którzy kompletnie zaskoczeni, zareagowali dopiero wtedy, kiedy szybcy łucznicy wystrzelili drugą porcję pocisków, powalając około dziesięciu, a miotane jeden za drugim oszczepy skutecznie przerzedzały ciżbę wojowników. Procarze natomiast trafili dwóch wioślarzy, którzy padli na pokład z głowami broczącymi krwią. Tylko ci dwaj nie zdążyli rzucić wszystkich swoich pocisków, reszta wykonała zadanie do końca i to wystarczyło. Brytowie ustąpili z powodu poważnych strat, a Tacjusz rozkazał swoim legionistom nacierać. Kiedy Wespazjan wycofywał swoich ludzi pod maszt, by uzupełnili broń, zauważył, że najdalej wysunięta lewa strona pierwszej centurii łączy się z sąsiednią drugą.

– Zrobimy to jeszcze raz – powiedział, kiedy jego ludzie zabrali ze skrzyni resztę oszczepów – ale tym razem celujemy w ich prawy skraj.

Wyciągnął miecz i popędził przed siebie. Nie zatrzymał się jednak na dziobie, tylko biegł dalej pomostem, zeskoczył z jego prawej strony i ruszył za plecami legionistów, podczas gdy z okrętu sypały się oszczepy. Kiedy dotarł do żołnierzy ostatniego rzędu, stojących po uda w czerwonej od krwi wodzie i starających się ze wszystkich sił nie dopuścić do oskrzydlenia centurii, ominął ich z chlupotem i wrzeszcząc niezrozumiale, zdzielił tarczą w bok pierwszego Bryta, na którego się natknął, usuwając go sprzed znajdującego się naprzeciwko legionisty. Ruszył do kolejnego przeciwnika i zatrzymał się raptownie, kiedy tuż nad jego ramieniem przeleciał oszczep i wbił się w pierś wojownika, który runął do tyłu z rozłożonymi ramionami i wyrazem przerażenia zastygłym w martwych już oczach.

Pokrzepieni akcją legata i wsparciem z okrętu legionieści naporli na nieprzyjaciół, stwierdzając jednocześnie, że nacisk wojowników znacznie się zmniejszył. Starając się zachować równowagę na zdradziecko śliskich leżących na dnie kamieniach, posuwali się do przodu, podczas gdy opór Brytów, których tylne szeregi zasypywano oszczepami, zaczął wyraźnie słabnąć. Wespazjan wbił czubek miecza w czyjeś nieosłonięte udo i jego ramię zboczyła krew z rozciętej arterii wojownika. Dotarł już do brzegu i wtedy dwóch legionistów z tylnego szeregu minęło go, by dołączyć do linii i ją wydłużyć. Nadeptując na trzymającego się za udo rannego wojownika, poderżnęli mu gardło. Waląc tarczami i dźgając czubkami kling, pozbyli się ostatnich kilku Brytów oddzielających ich od piątej centurii.

Wreszcie linia bojowa została scalona.

Wespazjan cofnął się i z trudem łapiąc powietrze, szalonym spojrzeniem zaprawionego w boju żołnierza rozejrzał się wzdłuż plaży. Linia rzymska ciągnęła się nieprzerwanie w obie strony, wszystkie kohorty dotarły szczęśliwie, połączyły się, a teraz walczyły w szyku głębokim na co najmniej czterech ludzi z osłabionym znacznie nieprzyjacielem. Jednakże dziesiątki, a może nawet setki martwych Rzymian leżało na płyciźnie oraz na kamienistej plaży i legat wiedział, że Drugi legion *Augusta* będzie potrzebował świeżego zaciągu rekrutów, zanim najbliższej wiosny ruszy na zachód.

Przez bitewną wrzawę przedarł się dźwięk, którego nie słyszano, odkąd zadano pierwsze ciosy w tej walce. Sto kroków za Brytami grupa wojowników dęła w te swoje dziwne proste rogi, karnyksy, natrętnie powtarzając tę samą nutę. Brytowie zaczęli się wycofywać. Wespazjan odetchnął z ulgą. To brzmienie rogów mogło oznaczać tylko jedno: Kogidubnus uznał, że uratował swój honor. Legat rozejrzał się wokół, szukając wzrokiem trębacza, i zawołał:

– Zaprzestać walki!

Cztery głębokie dźwięki zostały podjęte przez trębaczy sąsiednich kohort i wkrótce żołnierze obu armii zaczęli odstępować od siebie, wyczerpani z ulgą przyjmowali koniec tej udręki. Tu i ówdzie, tam, gdzie żądza krwi przeważyła nad instynktem samozachowawczym, nie przerywano walk i kończyła je dopiero śmierć albo interwencja towarzyszy.

Wreszcie wszystko ucichło, rogi zamilkły, a na plaży zapanował upiorny spokój, zakłócany tylko jękami rannych, pluskiem fal i skrzypieniem okrętowych kadłubów.

Kiedy Brytowie, cofając się, zrównali się ze swoimi trębacami, naprzeciw legionu *Augusta* pozostał tylko jeden człowiek.

Wespazjan wsunął miecz do pochwy i ruszył do przodu.

– Utrzymaj szyk, Tacjusz – powiedział i klepnął po ramieniu zbryzganego krwią centuriona, przechodząc pomiędzy rzędami swoich żołnierzy. – I powiedz Weryce, by do mnie dołączył.

Dysząc ciężko, Tacjusz skinął tylko głową.

Kamienie chrzęściły Wespazjanowi pod nogami, kiedy zbliżał się do stojącego samotnie mężczyzny. Kogidubnus stał nieco wyżej, ale i tak nietrudno było od razu zauważyć, że mężczyzna jest ogromny, co najmniej o głowę wyższy od niego. Na potężnej szyi miał złoty *torques*, naszyjnik celtycki grubości kciuka. Równie grube srebrne obręcze opasywały wypukłe bicepsy, jakby utrzymując je przed wyrwaniem się spod skóry.

Wespazjan stanął pięć kroków od niego i czekał bez słowa.

Mężczyzna uśmiechnął się ze zrozumieniem, pochylił głowę i podszedł.

– Jestem Kogidubnus, król Wektis – oświadczył.

– Tytus Flawiusz Wespazjan, legat Drugiego *Augusta* – odparł Wespazjan i ku jego zdumieniu mężczyzna, zamiast złożyć pokorny ukłon, wyciągnął rękę jak do kogoś równego. Legat nie ujął jej, tylko ruchem głowy wskazał skorupę zaschniętej na niej krwi. – Twój honor kosztuje bardzo dużo krwi, Kogidubnusi – powiedział.

Król stał nieco krwi z ramienia.

– Dziś pierwszy raz rzymska krew splamiła moją skórę, ale nie jest to ostatni raz, kiedy krew Brytów splami twoją, legacie. Wyciągnij do mnie rękę w przyjaźni, a przysięgam na Kamulosa, boga wojny, że ten dzisiejszy dzień będzie też ostatnim, w którym rozlałem rzymską krew.

Wespazjan spojrzał w jasnozielone oczy króla. Płonęły dumą, ale nie było w nich



nienawiści czy żądy zemsty. Weryka miał rację, pomyślał, ten człowiek będzie przyjacielem Rzymu, a ofiara z własnych ludzi, jaką dziś złożył, miała o tym świadczyć. Ucisnął mocno wyciągniętą dłoń; oddano mu jeszcze mocniejszy uścisk.

– Zatrzymaj miecz, Kogidubnusię.

– I moją koronę? Czy masz dość władzy, by mi to obiecać?

– Nie. Nie będę cię okłamywał; ta decyzja leży w gestii cesarza, ja natomiast mogę...

Przerwał mu przenikliwy dźwięk rogu konnicy dochodzący zza pleców Brytów. Wespazjan zwrócił głowę w tamtą stronę. W odległości pół mili, na pagórku, po prawej stronie linii Brytów, połyskując w świetle ciepłego porannego słońca, pojawiła się ustawiona w szyku bojowym *ala* Batawów Petusa.

Kogidubnus zwolnił uścisk.

– Czy na tym polega honor Rzymian, by atakować od tyłu poddających się nieprzyjaciół?

Brytowie w tylnych szeregach zaczęli zwracać się przodem do nowego zagrożenia, pomrukami wyrażając obrzydzenie do takiego zdradzieckiego postępowania.

– Zaufaj mi i pójdź ze mną, Kogidubnusię – poprosił Wespazjan, patrząc w oczy górującemu nad nim królowi. – Oni nie wiedzą, że się poddaliście. Zapewne zakładają, że doszło do sytuacji patowej i że ich interwencja będzie miała decydujące znaczenie. Możemy do tego nie dopuścić... ale musimy szybko obieć twoich ludzi.

Kogidubnus przytrzymał przez moment spojrzenie Wespazjana.

– Nie, szybciej będzie przedostać się między nimi. – Odwrócił się i ruszył w stronę swoich.

Wespazjan dał znak Tacjuszowi, by pozostał na miejscu, a sam pognał za królem, z trudem za nim nadążając.

Kiedy Kogidubnus zbliżył się do pierwszych szeregów swoich wojowników, zwolnił kroku. Wespazjan chciał go wyprzedzić, ale król zacisnął masywną dłoń na jego ramieniu.

– Przejdziemy powoli, legacie, razem.

Wespazjan podniósł wzrok; oddział Petusa ruszył już do przodu.

– Nie zdążymy – powiedział.

– Moi ludzie nie odłożyli jeszcze broni. Wielu chętnie by cię zabiło, więc trzymaj się blisko mnie.

Nie mając innego wyjścia, Wespazjan wszedł z królem w ciżbę naznaczonych niedawną walką wojowników. Podążali ku prawej stronie ich szyku. Mężczyźni rozstępowali się niechętnie, usta pod długimi wąsami mieli ponuro zaciśnięte, oczy gniewne. Zwierali szeregi za Wespazjanem i szli tuż za nim, górujący wzrostem i stłoczeni, a jego spowijał odór ich potu i ciepło ich oddechów. Trzymał głowę wysoko, nie patrzył na boki, nie pozwalał dać się zastraszyć ich imponującym sylwetkom. Kogidubnus mówił uspokajająco w ich języku, cały czas ściskając mocno ramię Wespazjana, dając do zrozumienia, że Rzymianin znajduje się pod jego ochroną. Coraz głośniejsze ostrzegawcze okrzyki dochodzące z tyłów świadczyły o zbliżaniu się jazdy Petusa, jednak legat nie był w stanie niczego dojrzeć ponad głowami wysokich mężczyzn.

Dotarli wreszcie do wojowników, którzy zdążyli już ustawić się przodem do atakujących Batawów, i wtedy król przyspieszył kroku, gwałtownie się przepychając i podniesionym głosem wzywając do zejścia im z drogi. Nagle stojący przed nimi wojownicy skierowali włócznie do przodu i przyklękli na jedno kolano. Serce Wespazjana gwałtownie przyspieszyło; ludzie Petusa nacierali w pełnym pędzie i byli już tylko w odległości rzutu oszczepem. Kogidubnus ryknął jakiś rozkaz do swoich ludzi i pchnął Wespazjana do przodu. Wołając na całe gardło, legat wybiegł z tłumu, trzymając wysoko w górze otwartą dłoń prawej ręki.

Jednak włócznie poszybowały już w powietrze.

Chmura ponad trzystu pocisków frunęła w jego stronę, a za nimi sunęła ściana rozpędzonych koni. Zatrzymał się raptownie, wciąż wrzeszcząc do Petusa, i podniósł tarczę. Trzy morderczo ostre czubki grotów pojawiły się w drewnie tuż przed jego oczyma; od siły uderzenia ugięły mu się nogi i padł na kolana, wyginając do tyłu prawą rękę, by się nią podeprzeć, bo tkwiące w tarczy włócznie pociągnęły ją na bok, całkowicie go odsłaniając.

Patrzył z przerażeniem na konie. Nie było nic, tylko konie: kare, gniade, kasztanowate, siwe. Zwierzęta o szalonych oczach, spienionych pyskach, z obnażonymi zębami, spoconymi bokami, potrząsały łbem, wyrzucały przed siebie przednie nogi. Widział same konie. Nagle do jego świadomości dotarły dźwięki: rżenie i parskanie; krzyki ludzi w językach, które rozumiał, i w takich, których nie rozumiał; tętent kopyt, brzęk metalu. Mieszanina dźwięków, tak dezorientująca, jak te obrazy, które miał przed oczyma: konie stojące dęba, konie wymachujące w powietrzu przednimi nogami, wszędzie konie... ale żadne go nie trawowały.

Nagle uświadomił sobie, że widzi ich brzuchy, one stawały dęba; nie pędziły

przed siebie.

A potem, po dwa, po trzy, opadały przednimi kopytami na ziemię, parskały, tańczyły, wyrzucając nogi. Teraz dopiero zobaczył jeźdźców, brodatych, w kolczugach i hełmach, z oczami równie szalonymi jak oczy ich wierzchowców, kiedy z niepokojem spoglądali gdzieś za niego.

– Stać! – zawołał Wespazjan chrapliwym głosem, jakby nie mógł uwierzyć, że rzeczywiście się zatrzymali.

– Zatrzymaliśmy się, legacie, i to dość raptownie.

Wespazjan zamrugał kilkakrotnie, w końcu skupił spojrzenie na Petusie, który patrzył na niego z grzbietu narowistego wierzchowca.

– A skoro ci barbarzyńcy – ciągnął Petus – nie próbują nas rozsiekać, rozumiem, że się poddali, i dlatego ty, raczej niemądrze, stanąłeś nam drodze.

– I dlatego nie pozwoliłem swoim ludziom odpowiedzieć na spadające włócznie – oświadczył Kogidubnus, podchodząc do nich – mimo że co najmniej kilkudziesięciu wojowników od nich padło. Zginęłoby jednak znacznie więcej, gdyby nie legat. – Stał, górując nad Wespazjanem, i przyglądał mu się przez chwilę ze zdezorientowaną miną, jakby nie był pewien, co takiego widzi w trawie. Wyciągnął rękę i pomógł legatowi wstać.

– Zabierz swoich ludzi z powrotem nad brzeg rzeki, Petusie – powiedział Wespazjan, wciąż jeszcze pod wrażeniem tego przerażającego doświadczenia. Czując ciężar włóczni tkwiących w tarczy, odrzucił ją i wzdygnął się. Sterczały w niej cztery, a nie trzy groty; jeden z nich był zakrwawiony. Wykręcił ramię i zobaczył, że trafiono go tuż pod łokciem. Poczł nagle gwałtowny ból i przycisnął dłoń do krwawiącego miejsca.

Kogidubnus odsunął jego dłoń i obejrzał ranę.

– Nie jest głęboka i dobrze będzie się goić... odniesiona w honorowej sprawie. To był dzielny czyn i uratował wiele ludzkich istnień, zarówno Rzymian, jak i Brytów. Co prawda to nie ty masz prawo przyznawać mi koronę, legacie, ale wolałbym przyjąć ją z twojej ręki niż z ręki cesarza, który wysyła ludzi, by ginęli za niego, a sam przesiaduje w pałacu.

Spomiędzy szeregow wojowników wyłonił się Weryka.

– W tej sprawie nie masz wyboru. Tylko cesarz ma władzę, by przyznać ci twoje królestwo. Niestety jego ciało jest zdeformowane i nie może walczyć.

– W takim razie Rzym ma niewłaściwego cesarza. Bo co to za cesarz, który nie może poprowadzić swoich ludzi do bitwy?

– Cesarz ma władzę, której ty i ja musimy się teraz podporządkować. Jest właśnie w drodze tutaj, żeby wprowadzić armię do Kamulodunum. Kiedy się tam udamy i złożymy mu pokłon, będziemy się zachowywać tak, jakby to on osobiście odniósł najwspanialsze zwycięstwo, i będziemy go wychwalać jako najważniejszego człowieka na ziemi, choć jest tylko śliniącym się głupcem.

– I temu człowiekowi mam służyć, a nie wojownikowi, który mnie pokonał, a potem uratował życie wielu moim ludziom?

– Tak, Kogidubnusie, wszyscy musimy mu służyć – powiedział Wespazjan.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

Wespażan stał na rufie triremy, obok trierarchy, który wprowadzał okręt do portu Regnum, stolicy Weryki. Zlany potem w promieniach słońca późnego sierpnia, prażącego z bezchmurnego nieba, słuchał pomruku grzmotów i obserwował zygzaki błyskawic nad odległym o pięć mil pasmem wzgórz, dziwiąc się dziwacznej pogodzie, jaka nękała tę północną wyspę.

– Taranis, bóg gromowładny, często odwiedza południowe wzgórza, by czuwać nad nami – poinformował go Weryka, zaciskając dłoń na złotym wisioru w kształcie koła z dwiema przecinającymi się osiami. – Będzie mu trzeba złożyć ofiarę.

– Jakiego rodzaju?

– Cóż, zazwyczaj decydują o tym druidzi, a oni najchętniej spaliliby żywcem dziewicę w balii. Ponieważ jednak wynieśli się na zachód, przeklinając mnie jako bluźniercę za wspieranie Rzymu, więc teraz sam muszę podjąć decyzję.

– My uważamy składanie ofiar z ludzi za odrażające.

– Trzy lata, jakie spędziłem w Rzymie, pozwoliły mi to sobie uświadomić i dlatego wybiorę rydwan i dwójkę koni. Zamierzam odzwyczaić swój lud od skrajnych praktyk druidów.

– A kim właściwie są owi druidzi?

Weryka wydał głębokie, przeciągłe westchnienie.

– To członkowie warstwy kapłańskiej, wolni od podatków i służby wojskowej. Uważają się za jedynych znających wolę i życzenia bogów, tak że ludzie boją się ich i zarazem podziwiają. Nie lękają się śmierci, ponieważ uważają, że dusza żyje nadal i przenosi się do innego ciała; to właśnie powoduje, że są tacy niebezpieczni. Dobrze, że się ich pozbyłem, bo wtrącają się we wszystko jak kobiety i spiskują jak młodszy synowie. Jestem pewien, że wrócą i spróbują odzyskać dawną władzę nad moim ludem, a pierwsze, co będą chcieli zrobić, to mnie zabić. Nie należą do żadnego plemienia i nie są lojalni wobec nikogo, tylko wobec siebie oraz wobec bogów naszych ojców i tej ziemi.

– Są inni od was?

– Tak. Zanim mój lud przybył na tę wyspę, bardowie twierdzą, że było to jakieś dwadzieścia pięć pokoleń temu, mieszkali tu inni ludzie i czcili innych bogów. To oni w zamierzonych czasach zbudowali na ich cześć ogromne kamienne kręgi. Druidzi poświęcili te miejsca naszym bogom, jednak obecność i moc niektórych bogów tej wyspy wymagały ofiar. – Weryka spochmurniał i ściszył głos. – Druidzi wzięli na siebie tę odpowiedzialność i odkryli mroczne tajemnice oraz rytuały. Zachowują tę wiedzę dla siebie i bardzo dobrze, ale to, czego się dowiedziałem, napawa mnie przerażeniem.

Wespazjan zmroził zauważalny lęk starego króla.

– Co cię tak niepokoi? – zapytał.

Weryka spojrzął mu z powagą prosto w oczy.

– Niektórzy z tych bogów posiadają prawdziwą moc, czystą moc, której nie można wykorzystać do niczego, co dobre.

Wespazjan skrzywił się.

– I jest ona w rękach kapłanów?

– W rękach fanatycznych kapłanów.

– Moje doświadczenia z kapłanami nie były dobre.

– Nikt nie ma dobrych doświadczeń z kapłanami, chyba że sam jest kapłanem. Radzę wam, byście ich wybili do nogi, w przeciwnym bowiem razie Rzym nigdy nie utrzyma tej ziemi. Druidzi zawsze będą mogli podburzyć ludzi, budząc w nich lęk przed bogami. Wiedzą, że pod rzymskim panowaniem nie ma tu dla nich miejsca, i dlatego nie mają nic do stracenia, pozostając waszymi najbardziej zaciekłymi wrogami.

Wespazjan spojrzął na Kogidubnusa, który wsparty o barierkę obserwował, jak okręt zbliża się do nowo wybudowanego drewnianego portowego moła.

– Czy twój młody krewny zgodziłby się z tobą w tej sprawie?

– Zapytaj go o to sam, ale owszem, zgodziłby się. Tak jak i ja rozumie, że jeśli chcemy wprowadzić nasz lud w dzisiejszy świat, żeby mógł korzystać z jego dobrodziejstw, to musimy patrzeć w przyszłość, podczas gdy druidzi spoglądają jedynie w przeszłość.

Wespazjan zastanawiał się nad słowami Bryta, podczas gdy okręt płynął coraz wolniej. Jego doświadczenia z Rotokesem, obłudnym trackim kapłanem, i z Ahmose, kłamliwym kapłanem Amona, a także z wyrachowanym Żydem Pawłem, uzurpującym sobie prawo do przewodzenia sekcji, której członków sam wcześniej prześladował

i wokół której zaczął tworzyć dziwną wiarę opartą na odkupieniu i jakimś teoretycznym życiu po śmierci, uświadomiły mu już wcześniej, że religia posiada niezwykłą moc porywania ludzi do walki i że bardzo łatwo jest tej mocy używać ponad miarę.

– Z czego wynika, że nasz marsz na zachód nie będzie łatwy.

– Nie będzie, bo druidzi się wam przeciwstawia. Znajdziecie jednak tam ludzi takich jak ja, którzy nie przepadają za nimi i woleliby raczej być poddanymi Rzymu niż kapłanów.

– Mam nadzieję, że mając wybór, wszyscy woleliby Rzym od kapłanów.

Weryka uśmiechnęła się.

– Znając ich umiłowanie władzy, sędzę, że dzień, w którym druidzi to sobie uświadomią, będzie dniem, w którym zaczną spiskować, by przejąć władzę nad Rzymem.

Wespazjan przeszedł dreszcz na taką myśl, a tymczasem triema przybijała łagodnie przy akompaniamencie głośniejszych żeglarskich rozkazów i stukocie rzucanych lin.

– Lepiej się pospiesz, panie! – zawołał Magnus.

Wespazjan zobaczył wchodzącego po pomoście przyjaciela.

– Dlaczego? Co się stało?

– Wygląda na to, że cesarzowi spieszo do odniesienia swojego zwycięstwa. Sabinus przysłał wiadomość, że te Klaudiuszowe posiłki właśnie dotarły do mostu na Tamezis i przygotowują się na jego przybycie. On sam przeprowadza teraz inspekcję Gezoriakum, potem udaje się do Rutupiów, a jeszcze później zamierza pożegłować w górę rzeki. Przy moście zjawi się za dwa dni.

Wespazjan i Sabinus stanęli na baczność, kiedy zabrzmiały fanfary na cesarskiej kwinkweremie; na pokładzie w olśniewających, ozdobionych purpurowym szlakiem togach stało przeszło stu senatorów. Udekorowany purpurą statek, z cesarskim namiotem na rufie, zacumował przy pomoście, po południowej stronie nowo zbudowanego drewnianego mostu łączącego brzegi Tamezis. Plaucjusz uniósł rękę w salucie, stojąc u stóp opuszczonego trapu. Fanfary umilkły i poza krzykiem mew śmigających w poruszonym lekkim wietrzykiem powietrzu nic nie zakłócało pełnej oczekiwania ciszy. Dwie kohorty gwardii pretoriańskiej i cztery kohorty z Ósmego legionu oraz ich jednostki pomocnicze z Decymusem Waleriuszem Azjatykiem na czele stały w szyku wzdłuż brzegu rzeki.

Po stosownie długiej, godnej cesarza zwłoce podniesiono poły namiotu i w wejściu pojawiła się sylwetka mężczyzny.

– Imperator! – rozległ się czyjś głos z szeregów pretorianów.

Okrzyk podjęty przez wszystkich obecnych poszybował w niebo, płosząc mewy, jako że wyspa Britannia pierwszy raz była świadkiem takiego powitania.

– Jeszcze nie widział na oczy żadnego Bryta, a już go wychwalają jako zwycięzcę – szepnęła Sabinus do ucha Wespazjanowi.

– A ci, którzy to robią, nie brali udziału w żadnej bitwie – zauważył Wespazjan, po czym dołączył z bratem do owacji.

Skandowanie przybierało na sile i wreszcie Klaudiusz, z wieńcem laurowym zwycięzcy na głowie, odziany w pełny cesarski strój wojskowy – purpurowy płaszcz, inkrustowany złotem pancerz z brązu i także nagolennice – i przepasany purpurową szarfą, z bogato zdobionym hełmem zwieńczonym purpurowym pióropuszem pod lewą pachą – wykuśtykał z namiotu. Kiedy pozdrawiał tłum, z emocji dygotała mu głowa i podrygiwało prawe ramię: istna parodia cesarza.

Wespazjan cieszył się, że może krzyczeć, w przeciwnym bowiem razie nie powstrzymałby wybuchu śmiechu, widząc osobę będącą zaprzeczeniem żołnierza w takim wojskowym stroju. Zerknął na Sabinusa i kiedy ich oczy się spotkały, wiedział, że brat snuje podobne myśli. Przynajmniej raz w idealnej zgodzie obaj fetowali swojego cesarza.

Potem z namiotu wyłonili się Narcyz i Pallas i pospieszyli za Klaudiuszem, zanim zdążył samodzielnie zejść po trapie. Ujęli swojego pana pod łokcie i poprowadzili w dół, na pomost. Aulus Plaucjusz energicznym ruchem opuścił rękę i wyprostowany, z uniesioną głową, ryczał jak wszyscy inni. Klaudiusz podszedł do niego i z wielką ceremonią, śliniąc się obficie, objął go i ucałował.

Skandowanie zmieniło się w owację, kiedy cesarz przez długą chwilę trzymał wodza w ramionach, a potem zwrócił się do żołnierzy. Gestem poprosił o ciszę, podczas gdy Plaucjusz cały czas trzymał oczy wbite w przestrzeń przed sobą, starając się nie myśleć o ślinie na policzkach.

– Ż-ż-żołnierze Rzymu – zaczął Klaudiusz, kiedy ucichły okrzyki. – Mój m-m-mężny wódz poprosił swojego c-c-cesarza o pomoc i rady niezbędne do pokonania Brytów. – Zamilkł i gestem wskazał senatorów. – Senat Rzymu błagał mnie, bym rozważył jego wezwanie, oznajmiając, że Plaucjusz d-d-dotarł już bardzo daleko, ale n-n-natknął się na gwałtowny opór, taki, jaki tylko ja, wasz cesarz, potrafię pokonać.

Wszyscy senatorowie pokiwali z powagą głowami, przybierając teatralne miny,



mające wyrazić ich wielką ulgę. Podczas gdy Klaudiusz męczył się dalej, Wespazjan przesuwiał po nich wzrokiem i ku swemu wielkiemu zadowoleniu dostrzegł korpulentną sylwetkę wuja. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, Gajusz wzruszył ramionami i z przesadną koncentracją wsłuchiwał się dalej w słowa cesarza.

– Pójdźcie zatem za mną, żołnierze Rzymu, p-p-pójdźcie za mną, a poprowadzę was do wspaniałego zwycięstwa, takiego, które przyszłe pokolenia zapamiętają jako triumf waszego cesarza Klaudiusza nad barbarzyńskimi hordami. Przybyłem, widzę i z-z-zwycięzę!

Klaudiusz zwrócił się do Narcyza, Pallasas i senatorów, którzy jak jeden mąż śmiali się uprzejmie z tej patetycznej parafrazy; Wespazjan zauważył, że jego wuj ma minę, jakby uznał te słowa za najbardziej trafną kwestię, jaką w życiu usłyszał. Legioniści ponownie zaczęli wiwatować na cześć cesarza, zamiast udawać radość z marnego Klaudiuszowego dowcipu.

Wespazjan i Sabinus dołączyli do owacji; jedynie Plaucjusz milczał, stojąc bez ruchu, z nabrzmiałym wściekłością karkiem, wpatrzony w kwinkweremę.

Wespazjan podążył za jego wzrokiem. U wejścia do namiotu zobaczył postać otyłego Sencjusza Saturninusa, co niespecjalnie go zaskoczyło. Zdziwiła go natomiast obecność stojącego za nim mężczyzny: Gety. Trącił łokciem Sabinusa i wskazał namiot.

– Jak, na Marsa, ten tu się dostał?

– Aha! To tutaj jest ten sukinkot – mruknął Sabinus. – Powinienem był się domyślić. Wkrótce po tym, jak ruszyłeś na południe, Plaucjusz posłał po niego, a on się nie pojawił, prawdę mówiąc, rozpułnął się. Musiał usłyszeć, że Plaucjusz aresztował Korwinusa, i nieczyste sumienie podpowiedziało mu, że jego samego czeka podobny los.

– Uciekł więc do cesarza, by móc jako pierwszy przedstawić mu swoją wersję wydarzeń.

– I jestem pewien, że była to bardzo heroiczna wersja.

– A to drań!

– Tak, ale drań rozsądny.

Narcyz wskazał ręką trębaczy i ponownie zagrzmiały fanfary, uciszając owacje.

Klaudiusz szedł wzdłuż pomostu w stronę dwóch braci, a za nim podążali Narcyz i Pallas.

– Och! Moi wierni F-F-Flawiusze, którzy zwrócili nam Koziorożca legionu

Dziewiętnastego.

Bracia skłonili głowy.

– Princepsie!

– Przyćmił was ostatnio P-P-Publiusz Gabiniusz, który zwrócił mi orła Siedemnastego. Ale to nieistotne, wasz wyczyn był bardzo użyteczny; pozwólcie, że cesarz was uściska.

Wespazjan starał się nie skrzywić, kiedy został przygarnięty do cesarskiej piersi i obdarzony wilgotnymi pocałunkami w oba policzki.

– Czy podążycie za mną, kiedy będę przepędzał nieprzyjaciół z ich fortec? – spytał Klaudiusz, kiedy już w taki sam sposób uhonorował Sabinusa.

– Tak, princepsie.

– Nieźle się z-z-zabawimy. – Klaudiusz wykonał gwałtowny drgający ruch i się cofnął. Wdzięcznym spojrzeniem omiół obu braci od stóp do głów i nagle zmarszczył brwi. – A to co takiego?

Wespazjan podążył za jego wzrokiem i położył dłoń na rękojeści miecza.

– To mój miecz, princepsie.

– Znam tę broń.

– Tak, ten miecz należał do twojego dziadka, Marka Antoniusza.

Klaudiusz wbił badawczy wzrok w Wespazjana.

– A potem należał do mojego ojca, następnie zaś do mojego brata, Germanika.

– Zgadza się, princepsie.

– Wiem, że się z-z-zgadza! Znam historię swojej rodziny. Wiem również, że kiedy Germanik umarł, Agryppina chciała go dać swojemu najstarszemu synowi, ale moja matka Antonia się sprzeciwiła, mówiąc, że to ona podejmie stosowną decyzję, ale ostatecznie tego nie zrobiła. Po jej śmierci szukałem go i nigdzie nie znalazłem. Spytałem P-P-Pallasa, ale powiedział, że nic na ten temat nie wie.

Wespazjan zerknął ponad ramieniem Klaudiusza na greckiego wyzwolenca. Jego zazwyczaj obojętna twarz zdradzała pewne oznaki zaniepokojenia.

– Jakże więc to się stało, że ty wszedłeś w jego posiadanie? – zapytał cesarz.

Pallas pochwyił spojrzenie Wespazjana i delikatnie pokręcił głową.

Wespazjan przełknął ślinę.

– Dał mi go Kaligula, princepsie.

– Cz-cz-czyżby? A skąd on go wziął?

– Nie wiem, princepsie. Widocznie dostał od Antonii.

– Wątpię. W mojej rodzinie wszyscy wiedzieli, że Antonia zamierzała dać go temu, kto w jej mniemaniu będzie najlepszym cesarzem. Czy przypadkiem nie dała go tobie, Wespazjanie?

– Nie, princepsie. Jak powiedziałem, dał mi go Kaligula.

Klaudiusz, podrygując, przyglądał mu się bacznie, a z kącika jego ust ciekła ślina.

– No cóż, nie miał do tego prawa – oznajmił po chwili. Wyciągnął trzęsącą się rękę. – Zatem, skoro przybyłem tu, żeby prowadzić wojnę, słusznie będzie czynić to z rodzinnym mieczem w dłoni. Oddaj mi go.

Bez wahania Wespazjan odpiął pochwę i podał miecz Klaudiuszowi.

– Dziękuję, legacie. Wolałbym nie myśleć, że dała ci go moja matka. Nie masz w sobie k-k-krwi Cezarów.

– Nie mam, princepsie.

– Już d-d-dobrze. Nie mówmy o t-t-tym więcej. – Cesarz wyjął miecz z pochwy i przyjrzał się ostrzu, przesuwając palcem po wrytym na nim imieniu swojego dziadka. – Szlachetna klinga wraca tam, gdzie jej miejsce. – Komicznie teatralnym gestem podniósł miecz nad głowę i zwrócił się do żołnierzy. – Z tym mieczem moich przodków poprowadzę was na wojnę.

Przy akompaniamentie okrzyków *Ave Caesar* pokuśtykał do czekającej przy moście zaprzężonej w cztery białe konie kwadrygi.

– Czyżby nasz pan złapał cię na bujdzie, kolego? – spytał Narcyz Pallasa.

– W żadnym razie, mój drogi Narcyzie. Na pewno było tak, jak powiedział Wespazjan. Prawda, Wespazjanie?

– Tak właśnie było.

Narcyz spojrział na Pallasa, lekko unosząc brwi.

– Mam nadzieję. Wiesz, jaki jest przewrażliwiony, jeśli chodzi o ewentualne spiski. Nie chcielibyśmy, by Klaudiusz pomyślał, że twój protegowany skrywa jakieś nierealistyczne ambicje. – Skinąwszy braciom uprzejmie głową, podążył za swoim panem.

– Nie dopuść nigdy, by prawda ujrzała światło dzienne, Wespazjanie – ostrzegł go Pallas. – Messalina, chcąc odwrócić uwagę od siebie, każe Klaudiuszowi wszędzie widzieć zagrożenia. Zaczął się z tego powodu zachowywać irracjonalnie, już odbyły się pierwsze egzekucje.

– O co w tym wszystkim chodziło? – spytał Sabinus, kiedy Pallas się oddalił.

– Tu, bracie, chodziło o to, że ludzie zbyt wielką wagę przywiązują do zwykłego podarunku.

– Czyli dostałeś go od Antonii, chociaż twierdziła, że da go temu, kto jej zdaniem będzie najlepszym cesarzem?

– Tak.

– W takim razie może miała rację?

– Jaką rację? W naszych żyłach nie płynie krew cesarów.

– Krew cesarów? Jak długo ona jeszcze przetrwa?

Kiedy Klaudiusz zaczął prowadzić armię przez most na drugi brzeg, Wespazjan, patrząc, jak ów potomek Gajusza Juliusza Cezara kroczy śladami tamtego wielkiego człowieka, pomyślał, że w widoczny sposób osłabił ten ród. Jak długo jeszcze przetrwa? A kiedy wygaśnie, jaki go zastąpi?

I znowu w jego głowie pojawiła się ta niedorzeczna myśl, którą za każdym razem starał się odpędzić.

– Dlaczego nie? – mruknął do siebie. – Zaiste, dlaczego nie?

– Drodzy chłopcy – zagrział Gajusz Wespazjusz Pollo, kiedy senatorowie zesłi już z pokładu – co za ulga widzieć was całych i zdrowych. – Objął ramieniem każdego z braci, odprowadził na bok i zniżył głos. – Niech bogom będą dzięki, że ta okropność dobiega końca. Co za udręka słuchać głędzenia tego śliniącego się głupca o tym, jak poważna musi być sytuacja, skoro Plaucjusz uważa za konieczne wezwać go na pomoc.

Wespazjan zmarszczył brwi i wyduł z niedowierzaniem wargi.

– Chcesz, wuju, powiedzieć, że on naprawdę wierzy w tę farsę?

– Czy wierzy? Jest absolutnie przekonany, że jedynie on może uratować to całe przedsięwzięcie przed klęską gorszą od tamtej w Lesie Teutoburskim. W kółko powtarzał, jakie to szczęście dla Rzymu, że ma cesarza, który przeczytał wszelkie dzieła i notatki dotyczące historii wojskowości, jakie napisano, i posiada pełną wiedzę o strategii i taktyce wojennej.

– To dlatego przywiózł z sobą połowę senatu, żeby przed stadem pochlebców wykazać się wojskową sprawnością?

– Nie bądź takim hipokrytą, drogi chłopcze. Widziałem, jak sam z ogromną sprawnością praktykujesz tę przedłużającą życie sztukę pochlebstwa. Nie, a przynajmniej nie był to główny powód. Jesteśmy tutaj, by mógł mieć nas na oku. Niepewność Klaudiusza oznacza, że ludzi, którym nie ufa chce mieć jak najbliżej

siebie.

– W takim razie, dlaczego akurat ty tutaj jesteś? Zawsze entuzjastycznie popierałeś każdego, kto był u władzy.

Gajusz roześmiał się, ale w jego głosie nie było wesołości.

– Wiem, ale tym razem obaj dowodzicie legionami. Jestem tu po to, by wam przypomnieć, że wasze rodziny w Rzymie są na łasce Klaudiusza, gdybyście przypadkiem wpadli na pomysł nieestosownego użycia waszych legionów.

– Przecież Narcyz...

– Drogi chłopcze, to nie ma nic wspólnego z Narcyzem. To dotyczy wyłącznie Klaudiusza, który rozkoszuje się władzą i krwią i żeby zaspokoić swoją paranoję, robi użytek z obydwu. W pierwszych dwóch latach panowania skazał na śmierć większą liczbę senatorów i ekwitów niż Kaligula.

– Skoro tak się martwi o swoją pozycję, to po co wyjeżdżał z Rzymu?

– Zgoda, to ryzykowne przedsięwzięcie, ale każdy senator, który tam został, ma tutaj, pod okiem Klaudiusza, jakiegoś krewnego. Poza tym jako nominalnego zarządcę Rzymu pozostawił Lucjusza Witeliusza, który był jego współkonsulem przez pierwszą połowę roku, choć w praktyce decyzje będzie podejmował Kallistos, bo jest jedynym w mieście, który wie, jak działa ta ogromna biurokracja, stworzona przez niego z kolegami wyzwoleńcami. Klaudiusz czuje, że może ufać Witeliuszowi, ponieważ jest on ulubieńcem Messaliny. Zatem Wenus jedynie wie, co zdolna jest zrobić ta mała dziwka, kiedy jej małżonek wybrał się tak daleko, a Witeliusz przyknie na wszystko oko.

– To ona jest aż taka okropna? – zainteresował się Sabinus. – Narcyz wspominał, że jest dość chętna, najogólniej rzecz ujmując.

– Dość chętna? Toż to żeńska wersja Kaliguli. Każdy, kto jej nie zechce, zostanie oskarżony o zdradę. Wpędziła swojego małżonka w taką obsesję na punkcie senatu spiskującego przeciwko niemu, że prawie w każdym przypadku taki człowiek zostaje skazany. – Machnęła ręką w stronę przechodzących senatorów. – Obciągała fiuta każdemu z tych mężczyzn poniżej pięćdziesiątki. A Klaudiusz niczego nie widzi. Mogę tylko dziękować bogom, że już nie jestem w kwiecie wieku, w przeciwnym bowiem razie byłbym narażony na obrzydliwe umizgi tej harpii. Mieście się na baczności po powrocie do Rzymu, bo złapie was w swoje sieci; a jeśli będziecie rozsądni, to postaracie się jak najdłużej trzymać z dala od Rzymu.

Wespazjan rzucił bratu pytające spojrzenie, który wiedząc, w czym rzecz, skinął przyzwalająco głową.

– Myślę, że Narcyz ma wobec niej pewne plany...

Dłoń Gajusza powędrowała z ramienia Wespazjana do senatorskich ust, zakrywając je z zaskakującą szybkością.

– Nie chcę nic wiedzieć! Pragnę przeżyć te kilka lat, jakie mi pozostały, w błogiej nieświadomości cesarskiej polityki, ponieważ chcę umrzeć w łóżu, a nie w kąpieli czerwonej od mojej własnej krwi. Jedynym powodem, dla którego biorę udział w posiedzeniach senatu, jest nieznośna sytuacja w domu.

– Flawia?

– Tak, ona i wasza matka w żaden sposób nie mogą się porozumieć i chcą, bym to ja rozwiązywał ich małostkowe kobiece sprzeczki. Niestety nie mam dość korespondencji, która trzymałaby mnie w gabinecie przez cały wieczór, i dlatego codziennie, przez godzinę czy dwie, zmuszony jestem stawiać im czoło.

Sabinus wybuchnął śmiechem, kiedy wszyscy trzej przyglądali się, jak ostatnie jednostki armii przechodzą przez most.

– Wygląda na to, bracie, że dla zachowania zdrowia psychicznego wuja musisz wziąć na siebie wydatki związane z utrzymaniem domu.

– Dzięki, Sabinusie, ale sam podejmę decyzję dotyczącą tego, gdzie ma zamieszkać moja rodzina.

Gajusz spojrział na niego zaskakująco surowo.

– Nie, Wespazjanie, musisz dać Flawii dom, bo jeśli nie będzie miała do terroryzowania swoich własnych domowników, uczyni moje życie koszmarem.

Mówił poważnie, śmiertelnie poważnie. Wespazjan nigdy wcześniej nie słyszał u niego takiego tonu.

– Uczynię to natychmiast po powrocie do Rzymu, wuju. Przyrzekam.

– Nie, drogi chłopcze, ja zrobię to za ciebie natychmiast po powrocie do Rzymu, ta sytuacja nie może trwać ani chwili dłużej.

– A co mam zrobić w sprawie pieniędzy?

– Dowodzisz legionem, podporządkowując sobie nową prowincję. Niewolnicy i grabież, drogi chłopcze.

– Pewnie masz rację, wuju.

– Na pewno mam. A teraz chodźmy i popatrzmy, bo nasz wspaniały cesarz-wódz właśnie pokazuje wszystkim, jak to się robi.

– P-p-panowie, ta armia to jedyne, co stoi pomiędzy nami i K-K-Kamulodunum – oświadczył Klaudiusz, niepewną ręką wskazując kiepsko uzbrojoną gromadę

obdartych jeńców ustawionych wzdłuż przeciwnieległego brzegu strumienia. – Jak sądzisz, Plaucjuszu, ilu ich tam jest?

Wódz popatrzył na przeciwników.

– Co najmniej dziesięć tysięcy, princepsie – odparł, podwajając faktyczną liczbę. Klaudiusz podrygiwał z podniecenia.

– Wyśmienicie. Zmiażdżę ich w godzinę. Plaucjuszu, jak brzmiąły moje rozkazy bitewne?

Plaucjusz zerknął dyskretnie na obecnych oficerów.

– Jak sądzę, życzyłeś sobie, by kohorty pretorianów stanęły w centrum, cztery kohorty Ósmego i cały Czternasty zajęły prawe skrzydło, Dwudziesty lewe, a Dziewiąty znalazł się z tyłu jako rezerwa.

– Legion mojego sz-sz-szwagra w rezerwie? Tak nie może być. Korwinus musi zająć miejsce na prawym skrzydle, w miejscu honorowym. Rezerwą będzie Czternasty.

– Korwinus już nie dowodzi Dziewiątym, princepsie, czeka, aż go osądzisz za niewykonanie rozkazów.

– Niewykonanie jakich rozkazów? Pierwszy raz o tym słyszę. Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś, Narcyzie?

Narcyz odchrząknął.

– Nic o tym nie wiedziałem, princepsie.

– Twoim obowiązkiem jest wiedzieć o wszystkim i stale mnie informować. Plaucjuszu, dlaczego mu nie powiedziałaś?

Zagadnięty obrzucił wyzwolenca jadowitym spojrzeniem.

– Ee... wysłałem stosowną wiadomość, ale musiała się gdzieś zawieruszyć.

– W istocie, najpewniej tak się stało, bo jestem przekonany, że gdyby Narcyz o tym wiedział, kazałby uwolnić mojego szwagra, niezależnie od tego, co zrobił.

– Ale on próbował zająć Kamulodunum bez ciebie, princepsie, nie zostawiając ci nic do zdobycia.

– To sprawa bardzo poważna, princepsie – wtrącił Narcyz z rzadko widywanym u niego wyrazem twarzy człowieka niezwykle poruszonego sytuacją. – Dlaczego chciał skraść twoje zwycięstwo? Czyżby próbował postawić się ponad tobą?

Klaudiusz zachichotał.

– Nie, on nie jest taki jak ci zawistni senatorowie, którzy bez ustanku spiskują, on należy do rodziny. Po prostu zachował się impulsywnie, tak jak moja ukochana

małżonka. Widać wyraźnie, że są rodzeństwem. No cóż, nieważne, nie udało mu się i ja wciąż mam przed sobą armię, którą muszę pobić, i miasto, które muszę zdobyć, w przeciwnym bowiem razie nie posłano by po mnie, prawda, Narcyzie?

Narcyziowi na chwilę odebrało mowę.

Pomimo niewątpliwej przyjemności, jaką odczuwał, widząc drganie kącika ust Narcyza, kiedy wyzwoleniec uświadomił sobie, że aby pogrążyć Korwinusa, musi przyznać się Klaudiuszowi, że ta bitwa to farsa, a miasto już się poddało, Wespazjan przeszedł dreszcz.

– Ten idiota puści go wolno – szepnął do ucha Sabinusowi.

Sabinus zagryzł wargę.

– I nie sądzę, by nasz udział w aresztowaniu Korwinusa pozostał niezauważony.

– Słucham, Narcyzie? – nalegał Klaudiusz. – Czy Korwinus skradł mi moje zwycięstwo?

– Wygląda na to, że nie, princepsie.

– Zatem dlaczego członek cesarskiej rodziny jest wciąż przetrzymywany? Każ go natychmiast tu sprowadzić, Plaucjuszu. Dziewiąty zajmie prawe skrzydło, a brat mojej Messaliny będzie nim dowodzić i dzielić ze mną chwałę. Reszta panów uda się teraz na swoje stanowiska, bo nie mogę się już doczekać początku bitwy.

Bez legionu, którym mógłby dowodzić, Wespazjan tkwił beczynn timer na czele jazdy Petusa, która stanowiła jego eskortę w drodze z wybrzeża, i razem z Magnusem obserwował rozgrywającą się farsę. Na prawo od nich na krzeselkach siedzieli senatorowie, oglądając wydarzenia zupełnie jak na wyścigach w Circus Maximus.

– Wynika z tego, że przesadna przebiegłość może nam nie wyjść na zdrowie – zauważył Magnus, kiedy patrzyli, jak czołowe kohorty Dziewiątego legionu *Hispana* ruszają przez strumień i zbliżają się do rzekomej armii Brytów – jak zresztą nigdy nikomu.

– Z wyjątkiem Korwinusa – przypomniał mu Wespazjan, kiedy rozległy się pierwsze krzyki rannych. – W oczach Klaudiusza wyjdzie z tego jako skrzywdzony bohater.

– I zechce cię dopaść.

Wespazjan wzruszył ramionami.

– Będziemy daleko od siebie. Kiedy tylko Klaudiusz odjedzie, ruszę na południe, do Drugiego legionu, a Dziewiąty zostanie tutaj, po czym, w następnym sezonie, uda się wschodnim wybrzeżem na północ.



– Tak będzie, jeśli Plaucjusz zachowa dowództwo.

– Ależ zachowa – zapewnił ich Pallas, który podjechał do nich z tyłu, nie po raz pierwszy zaskakując Wespazjana. – Jestem pewien, że Klaudiusz chciałby się go w tej chwili pozbyć, ale kiedy Narcyz i ja mu to wytłumaczymy, bardzo szybko zrozumie, że mianowanie innego dowódcy wymagałoby potem wyrażenia publicznie wdzięczności w Rzymie dwom osobom, a przecież lepiej zachować uznanie dla jednej, nie sądzicie? Po tym wszystkim tutaj Klaudiusz może powrócić triumfalnie, a kiedy Plaucjusz wróci, za jakieś cztery lata, Klaudiusz będzie mógł okazać ludowi, jaki to z niego wielkoduszny cesarz, bo przyznaje prawo do owacji komuś, kto nie jest członkiem rodziny cesarskiej. Z oczywistych powodów nie jest to coś, co ktokolwiek chciałby robić dwukrotnie.

Wespazjan pokręcił ze smutkiem głową.

– Czy ty nigdy nie zaprzestasz knozań, Pallasie?

– A niby jak inaczej wyzwoleniec może sprawować władzę? Bez Klaudiusza jestem niczym. Mój los jest zależny od tego, czy pozostanie cesarzem, a tą bitwą zapewniliśmy mu to na najbliższą przyszłość.

– Kosztem życia kilku tysięcy jeńców – burknął Magnus, podczas gdy kohorty pretorianów sypchały coraz dalej do tyłu środek bojowej linii Brytów.

– Powiedziano mi, że dostali wybór: ukrzyżowanie albo spróbowanie szczęścia z bronią w ręku. A w sumie to niewielka cena za to, by senatorowie mogli być świadkami, jak cesarz prowadzi legiony do boju, i to już nie najmłodszy cesarz.

– No tak! To wasze kolejne zmartwienie – powiedział Wespazjan – śmierć Klaudiusza. Przecież chyba zwiążecie się z jego synem?

– To byłoby niemądre posunięcie, bo chłopiec ma zaledwie dwa lata i tak szybko, jak tylko zdołamy to zaaranżować, straci matkę. Jeśli Klaudiuszowi przy jego słabym zdrowiu dopisze szczęście, to pożyje jeszcze jakieś dziesięć lat, ale i tak umrze, nim jego syn osiągnie wiek męski. Kto zatem w tej sytuacji będzie regentem? Nie ma żadnych oczywistych kandydatów, ta linia rodu już prawie zanikła. Senatorowie nigdy nie wyrażą zgody, by rządziło nimi dziecko, i znowu pojawią się wśród nich ciągoty republikańskie, co przeciwstawi ich gwardii pretoriańskiej, doprowadzając do chaosu. Obawiam się, że chłopca czeka los Tyberiusza Gemellusa. Nigdy nie zostanie cesarzem, a zabije go ten, który będzie panował po Klaudiuszu.

– A ty zapewne wiesz, kto nim będzie.

Pallas uniósł znacząco brew.

– Jeśli Klaudiusz pożyje jeszcze dziesięć lat, to owszem, wiem, a ty dobrze byś

uczynił, idąc za moim przykładem po powrocie do Rzymu, ponieważ zamierzam w tym wyścigu postawić na zwycięski rydwan. Mówię ci to jako przyjaciel: kiedy Messalina umrze, sprawdź, z kim podtrzymuję znajomość, a zrozumiesz.

– Jesteś jak zawsze tajemniczy, Pallasie.

– Nauczyłem się od mojej nieżyjącej pani, Antonii, że nie należy wyjawiać swoich planów – odparł. Od strony rzymskich szyków dobiegły głośne wiwaty, które wkrótce zmieniły się w skandowane słowo „im-pe-ra-tor”. – No cóż, to poszło szybko, chodźcie, panowie, powinniśmy być przy naszym wspaniałym cesarzu, kiedy wkracza jako zwycięzca do Kamulodunum.

Legioniści Czternastego legionu *Gemina* stali sztywno na baczność wzdłuż pokrytej stwardniałym od słońca błotem głównej ulicy, odgradzając mieszkańców, kiedy Klaudiusz wkraczał do ich miasta.

Choć niezbyt duże jak na rzymskie normy, Kamulodunum było największym miastem na południu wyspy i szczyliło się nawet pewną liczbą wzniesionych z cegły budynków użyteczności publicznej. Kilka tysięcy ludzi mieszkało przeważnie całymi rodzinami w okrągłych chatach i podobnie jak w germańskim Mattium, z wyjątkiem głównej ulicy i targu, nie widać było śladów jakiegokolwiek planowania przestrzennego.

Otoczone solidną palisadą, ciągnącą się prawie na milę i trzy razy wyższą od mężczyzny przeciętnego wzrostu, chronione od strony północnej żeglowną rzeką – tworzącą lukratywny szlak prowadzący na Morze Północne i nad Ren – byłoby bardzo trudnym miastem do zdobycia i Wespazjan, jadący za Klaudiuszem, odczuwał pewną ulgę, że nie musiał przeprowadzić takiej operacji.

Miejscowi patrzyli oniemiała, kiedy Klaudiusz wjeżdżał do miasta, rydwan ich nowego pana ciągnęły dwie potężne bestie, jakich nigdy wcześniej tu nie widziano. Okryte purpurową tkaniną, ogromne, poruszające się ociężale, z wielkimi uszami, długimi, kołyszającymi się trąbami i groźnymi kłami w złotych pochwach, słonie zrobiły większe wrażenie na ludności Kamulodunum niż pokaz militarnej potęgi, zaprezentowany w następnej kolejności.

Legioniści Czternastego *Gemina* ponownie pozdrawiali cesarza, kiedy ich mijał, i skandowaniem zagłuszał okrzyki zdumienia na widok kontrastu pomiędzy tymi wspaniałymi zwierzętami i pokracznym mężczyzną, którego pojazd ciągnęły. Żadna ilość purpury czy złota nie mogła nadać Klaudiuszowi cesarskiego dostojęństwa. Stał niepewnie w rydwanie, który podskakiwał na wyboistej ulicy, jedną ręką

trzymał się kurczowo jego boku, drugą uniósł otwartą dłońią do przodu, przyjmując owacje i starając się bezskutecznie kontrolować tiki męczące jego niekształne ciało.

Tuż za cesarskim rydwanem jechali Narcyz z Pallasem, pomiędzy Aulusem Plaucjuszem i Sencjuszem Saturninusem, którzy kipieli z oburzenia, że w miejscu publicznym towarzyszą im wyzwoleńcy. Wespazjan i pozostali legaci podążali za nimi w lodowatym milczeniu. Dalej, z ponurą godnością, szli senatorowie, nie zwracając uwagi na spojrzenia i zachowanie mieszkańców, którzy palcami pokazywali sobie wzajemnie ich stroje, jako że większość z nich pierwszy raz w życiu widziała toge. Na końcu maszerowały kohorty pretorianów, a za nimi pierwsze kohorty Dwudziestego i Dziewiątego *Hispana*.

Wespazjan zerknął w lewo, na Korwinusa. Miał taki sam zadowolony wyraz twarzy jak dwa dni wcześniej, po pozorowanym zwycięstwie Klaudiusza.

– Martwisz się, co, kmiecie? – rzucił szyderczo Korwinus, dostrzegłszy spojrzenie Wespazjana.

– Dlaczego miałbym się martwić? Dbałem jedynie o interesy cesarza.

– Interesy cesarza? Gówno prawda. Od kiedy to Narcyz jest cesarzem? Doskonale wiem, co robiłeś, i wiem dokładnie, jak cię powstrzymać od wtrącania się, kiedy następnym razem nasze drogi się przetną.

– Na szczęście nie nadejdzie to szybko, Korwinusie, bo ty będziesz na północy, a ja na południu.

– Mylisz się, kmiecie, bo wybieram się do Rzymu. Osiągnąłem w tej kampanii to, na czym mi zależało, a ponieważ nie mam najmniejszej ochoty dalej dowodzić Dziewiątym, kiedy nie mogę zaufać moim oficerom, przeprowadziłem cichą pogawędkę ze swoim szwagrem, a ściśle mówiąc, dwie pogawędki. Zgodził się, żebym wrócił do Rzymu, pilnował jego spraw w senacie i trzymał się blisko rodziny. A skoro o rodzinie mowa, w tej drugiej pogawędce z Klaudiuszem poczyniłem pewną sugestię... jako zatroskany wuj, rozumiesz... dotyczącą przyszłej pomyślności jego syna. Na pewno uznasz to za bardzo zabawne.

– Niczego, co ty robisz, nie uważam za zabawne.

– Zobaczymy, kmiecie, zobaczymy.

Wespazjan odwrócił się i podjechał do Sabinusa. Znajdujący się na przedzie rydwan dotarł do rynku, również obstawionego legionistami. Kornacy skierowali swoich ogromnych podopiecznych na jedną stronę. Na drugim końcu placu jedenastu królów i naczelników Brytów, a wśród nich, Weryka i Kogidubnus, klęczało poddańczo przed pustym kurulnym krzesłem; ich miecze leżały na ziemi

przed nimi.

Pallas i Narcyz zsiadli z koni i pospieszyli do swojego pana. Kornacy zatrzymali słońce, wyzwoleńcy pomogli cesarzowi opuścić rydwan i poprowadzili go do krzesła.

– Proszę ze mną, panowie – rozkazał Plaucjusz, sprawnie zsiadając z wierzchowca i rzucając wodze niewolnikowi. Potem zbliżył się do Klaudiusza i stanął za nim, twarzą do mężczyzn mających złożyć hołd ucieleśnieniu potęgi i władzy Rzymu.

Wespazjan z Sencjuszem i innymi legatami zajęli miejsce obok Plaucjusza; senatorowie zebrali się za nimi, a kohorty pretorianów wypełniły resztę rynku, pozostawiając kohortom legionowym prowadzącą do niego ulicę.

Zapanowała cisza.

Wespazjan stał nieruchomo, czekając, aż coś się wydarzy. W końcu Narcyz, spoglądając na Klaudiusza, chrząknął znacząco.

– A, t-t-tak – wyjąkał Klaudiusz, prostując się na tyle, na ile było to możliwe na tym niemającym oparcia krześle. – Kto przemawia w imieniu Brytów?

Weryka podniósł głowę.

– Każdy z obecnych mówi za siebie i za swoje plemię, ale nasze słowa brzmią tak samo: przyjmujemy Rzym i oddajemy pokłon jego cesarzowi.

– Z-z-zbliżcie się i przyjmijcie przyjaźń Rzymu.

Brytowie, wciąż na kolanach, posuwali się jeden za drugim do przodu. Ramiona mieli wyciągnięte przed siebie, a ich miecze spoczywały na rozwartych dłoniach. Klaudiusz prosił każdego o powstanie i zatwierdzał go na dotychczasowym stanowisku króla lub naczelnika plemienia, teraz już podległych Rzymowi.

Wespazjan widział wstyd na ich twarzach. Ta ceremonia publicznie upokarzała tych dumnych mężczyzn. Kogidubnus uchwycił jego spojrzenie, kiedy wstawał przed cesarzem z kolan, zakłopotany widokiem koślawej formy, jaką przybrała potęga Rzymu. Wespazjan pochylił się odrobinę i król Wektis, z niedowierzaniem kręcąc głową, wycofał się tyłem i wrócił na swoje miejsce.

Weryka był ostatnim z poddanych tej ciężkiej próbie. Kiedy już okazał uległość, pośród szeregów pretorianów po lewej stronie nastąpiło jakieś poruszenie. Klaudiusz uniósł się z trudem, wspomagany przez Pallasa i Narcyza, i obrócił przodem do senatorów. Zbliżył się do niego centurion pretorianów z cesarskim orłem.

Klaudiusz wykrzywił usta w nierównym uśmiechu i ujmując drążek, podniósł

wysoko legionowy emblemat, żeby senatorowie mogli go dobrze zobaczyć.

– *Patres conscripti*, czy wiecie, co to za orzeł?

Rozległ się szmer głosów, ale nikt nie odpowiedział na jego pytanie.

– To jest o-rz-rz-rzeł, którego żaden z was nie widział przez trzydzieści cztery lata.

Tego orła zaledwie trzy miesiące temu przekazałem moim lojalnym żołnierzom z wdzięczności za trudy, jakie byli gotowi dla mnie znieść, przybywając na tę wyspę. To, *patres conscripti*, jest orzeł Siedemnastego legionu. Ja, Klaudiusz, dźwignąłem tego ostatniego z powalonych orłów i proszę, byście wrócili ze mną do Rzymu i umieścili go tam, gdzie jego miejsce: w świątyni Marsa.

Senatorowie przyjęli słowa cesarza niezwykle entuzjastycznie.

Wespazjan spojrział na brata.

– A co my robiliśmy, kiedy Klaudiusz dzielnie dźwigał tego powalonego orła?

– Walczyliśmy o życie.

– Wrócimy do Rzymu razem – ciągnął Klaudiusz – wpraw jednak musimy zorganizować tę nową prowincję, Brytanię, którą zdobyłem dla Rzymu. Tu będzie jej stolica i tutaj wybuduję świątynię na moją cześć. Za pomoc w odniesieniu tego wielkiego zwycięstwa mianuję Aulusa Plaucjusza pierwszym namiestnikiem Brytanii i przyznaję mu prawo do noszenia ozdób triumfalnych. Podejść, Plaucjuszu, i raz jeszcze przyjmij cesarskie podziękowania.

Plaucjusz, wyprostowany i sztywny, zbliżył się do Klaudiusza, który znowu go uściskał. Tym razem cesarz szepnął mu coś do ucha, a wódz, kiedy się odwrócił, w sposób widoczny kipiał z oburzenia. Zastygł na chwilę, po czym, unosząc podbródek, przemówił.

– *Patres conscripti*, muszę wam podziękować za przekonanie naszego cesarza, by podjął się tej długiej wyprawy i przyszedł mi z pomocą. Bez jego przywództwa oraz strategicznych i taktycznych umiejętności nasza sprawa byłaby przegrana, a żołnierze zepchnęci do morza.

Senatorowie byli zachwyceni sugestią, że odegrali decydującą rolę w podboju Brytanii, zupełnie zapominając o tym, że jego zakończenie jest wciąż bardzo odległe.

Wespazjan zauważył, jak Pallas i Narcyz wymieniają spojrzenia; świadczyły o ich ogromnym zadowoleniu.

– Zrobią z Klaudiusza ulubieńca ludu, kiedy te informacje dotrą do Rzymu – szepnął do Sabinusa. – I senatorowie skorzystają z jego chwały, jako ci, którzy ubłagali go, żeby tu przybył.

– I to oni razem z nim zwrócą Rzymowi orła. Na myśl o tym robi mi się niedobrze.

– Tak, to przerażające. Skoro takiego Klaudiusza jego wyzwoleńcy potrafią utrzymać przy władzy, to kto wie, kogo jeszcze możemy dostać? – powiedział Wespazjan, krzywiąc się z niesmakiem.

Klaudiusz oddał orła centurionowi.

– Przyznaję również prawo noszenia ozdób t-t-triumfalnych K-Korwinusowi, bratu mojej ukochanej małżonki, którego rola podczas trwania podboju była najważniejsza.

Wespazjan pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Najważniejsza? – mruknął.

Korwinus wystąpił do przodu. Kiedy cesarz go obejmował, wyraz twarzy legata odzwierciedlał służalczą wdzięczność.

– Jak mu się udało przejść od oskarżenia o zdradę do ozdób triumfalnych? – wymamrotał z wściekłością Sabinus.

– Dzięki pochodzeniu z właściwego rodu, bracie. Magnus miał rację: ludzie z rodzin takich jak nasza marnują tylko swój czas.

– Ozdoby triumfalne otrzyma także trzech legatów legionów uzupełniających. Jako pierwszy Hozydiusz Geta, którego męstwo nad Afon Kantiów uratowało jego jazdę przed nieprzyjacielem. Mimo że otoczony i poważnie ranny, poprowadził swoich żołnierzy w bezpieczne miejsce.

Aulus Plaucjusz nie krył specjalnie swojej opinii na temat podanej przez Klaudiusza wersji wydarzeń, a Geta, wypuszczony z objęć cesarza, nie ukrywał, że ani trochę nie obchodzi go opinia głównodowodzącego.

– A teraz moi wierni Flawiusze – ciągnął Klaudiusz – ciężko pracujący, uczciwi i za skromną nagrodę chętnie harujący w cieniu mężów większych od siebie, niech wystąpią.

Wespazjan poddał się uściskowi Klaudiusza i kolejnym wilgotnym pocałunkom.

– Dzięki ci, princepsie – powiedział.

Klaudiusz ujął go za ramiona i spojrzał głęboko w oczy.

– Mam nadzieję, że po twoim powrocie do Rzymu wciąż będę mógł nazywać cię moim lojalnym Flawiuszem.

– Zawsze, princepsie.

– Mówiono mi, że masz malutką córeczkę i synka kilka miesięcy starszego od mojego.

– Rzeczywiście, princepsie.

– Jak rozumiem, nie masz własnego domu i twoja rodzina mieszka u wuja, Gajusza Wespazjusza Pollona.

– To prawda – odparł z wahaniem Wespazjan, zastanawiając się, dlaczego Klaudiusz nagle zainteresował się jego domowymi problemami.

– To się świetnie składa. Kiedy wrócę do Rzymu, dopilnuję, by twoja małżonka przeniosła się do pokoiów pałacowych. Jestem pewien, że ucieszy ją posiadanie własnego domu, i jestem przekonany, że moja ukochana Messalina będzie zachwycona jej towarzystwem. I oczywiście, nasi synowie zostaną towarzyszami zabaw.

Wespazjanowi zrobiło się niedobrze, kiedy Klaudiusz uwolnił go z uścisku. Towarzyszami zabaw? Dusząc w sobie narastające przerażenie, zachował kamienną twarz, kiedy oddalał się od cesarza i przechodził obok Korwinusa, który obdarzył go uśmiechem, szerokim i niewinnym.

Życzenie Flawii się ziściło; ma własny dom, myślał z goryczą.

Podczas gdy on będzie służył cesarzowi w Brytanii, jego żona i dzieci przeżyją albo nie w Rzymie, zależnie od kaprysu Korwinusa i jego siostry, cesarzowej Messaliny.

## Od autora

Niniejszą powieść historyczną oparłem na dziełach Swetoniusza, Tacyty, Kasjusza Diona i Józefa Flawiusza.

Najbardziej szczegółowy opis zabójstwa Kaliguli i wyniesienia Klaudiusza do godności cesarza znajdujemy u Flawiusza i trzymałem się wszystkich przedstawionych przez historyka zasadniczych faktów. Dla dobra narracji jednak ścieśniłem wydarzenia w czasie. Milonia Cezonia i jej córka, Julia Druzylla, zostały zamordowane przez Lupusa następnego dnia, a nie, jak napisałem, natychmiast po śmierci Kaliguli; głowę dziewczynki rzeczywiście roztrzaskano o ścianę. Narady senatu i wędrowki pomiędzy jego siedzibą a obozem gwardii pretoriańskiej, gdzie przetrzymywano Klaudiusza, trwały kilka dni. Herod Agryppa rzeczywiście odegrał istotną rolę w tym przejściu władzy, co tłumaczy, dlaczego żydowski historyk tak szczegółowo opisał ten epizod.

W spiszek na życie Kaliguli wplątanych było dużo więcej osób, niż ukazałem, ale dla uproszczenia zredukowałem liczbę spiskowców. Kallistos wspomniany jest przez Kasjusza Diona, któremu zawdzięczamy również uroczy szczegółik dotyczący obcałowywania przez konsula Pomponiusza Sekundusa pantofli Kaliguli podczas oglądania przedstawienia. Swetoniusz pisze, że tego ranka wystawiano farsę zatytułowaną *Laureolus* Lutacjusza Katulusa oraz tragedię *Cinyras*, i w charakterystycznym dlań stylu zwraca uwagę, że tę samą tragedię wystawiano w czasie igrzysk, podczas których zabito Filipa II Macedońskiego. Nie mając dostępu do żadnej z tych sztuk, sięgnąłem po *Garnek złota (Aulularia)* Plauta, przełożony na angielski przez E.F. Watlinga, również absolwenta szkoły Christ's Hospital.

Udział Sabinusa w spisku jest moim pomysłem, choć Flawiusz wspomina jego szwagra Klemensa, na którym, jak na większości spiskowców, dokonano egzekucji. Kilku spiskowcom pozwolono popełnić samobójstwo, wśród nich Korneliuszowi Sabinusowi, ja jednak pozwoliłem sobie, dla większego dramatycznego efektu, przedstawić egzekucję ich wszystkich razem.

Zakres wpływu, jaki wyzwolenicy Klaudiusza mieli na swojego pana, jest kwestią dyskusyjną. W niniejszej powieści zdecydowałem się ich wpływ podkreślić. Fakt, że



wszyscy oni, zanim w ten czy inny sposób rozstali się z życiem, dorobili się fortun, wskazuje, że musiał być on znaczny.

Nie wiemy, kiedy zmarł ojciec Wespazjana; prawdopodobnie wcześniej, niż przedstawiłem, ale przedłużyłem mu życie dla dobra fabuły, a także aby mogła powstać scena pożegnania.

Pretekstem dla powstania sceny, w której Artebuz wspomina nagrobek swojego ojca Brogduosa, jest chęć odniesienia się do jednej z dwóch zachowanych tylko inskrypcji w języku noryckim, języku, którym ten pochodzący z Norikum niewolnik zapewne mówił. Co zabawne, imię prawdopodobnie znaczy „niedźwiedzi penis”.

Swetoniusz twierdzi, że to dzięki wpływom Narcyza Wespazjan otrzymał dowództwo II legionu *Augusta*.

W tym czasie przyszedł cesarz Galba był namiestnikiem Germanii Większej, zatem Wespazjan zapewne go spotkał, kiedy przybył tam w 41 roku. Rzeczywiście w tym właśnie roku Galba odparł najazd Chattów.

Sytuacja, w której Wespazjan przejmuje dowództwo legionu od Korbulona, jest oczywiście fikcyjna, jako że były konsul nie mógł dostać tak niskiego stanowiska, choć nie jest całkiem wykluczone, że Kaligula mógłby chcieć go w ten sposób upokorzyć. W każdym razie umieściłem go tam, żeby spotkał się na scenie z Lucjuszem Petusem, ponieważ w rzeczywistości obaj byli później wodzami na Wschodzie – rozsądny i rzetelny Korbulon musiał ruszyć na pomoc ekstrawaganckiemu Petusowi. Ich wzajemna niechęć nie sprzyjała prowadzeniu tej kampanii.

Tacyt i Kasjusz Dion przypisują Publiuszowi Gabiniuszowi zasługę odzyskania w roku 41 znajdującego się w rękach Chattów, a straconego przed laty orła legionu XVII; udział Wespazjana i Sabinusa w tej operacji to mój wymysł, podobnie jak rola Tumelikusa. Tusnelde i jej syna Tumelikusa odesłano do Rawenny, kiedy odegrali już swoją rolę w triumfie Germanika. Tacyt w *Rocznikach* twierdzi, że Tumelikusa wyszkolono na gladiatora, i obiecuje przedstawić dalsze jego losy w stosownym miejscu. Śmierć Tumelikusa opisana została zapewne w jednej z ksiąg dotyczących lat 29–31, które zaginęły. Nie jest jednak niemożliwe, że znajdowało się to w księgach dotyczących lat 37–47; które również się nie zachowały; byłbym wtedy całkowicie usprawiedliwiony, umieszczając go w swojej opowieści.

W tym czasie królem Chattów był Adgandestriusz i rzeczywiście zaproponował Tyberiuszowi, że otruje Arminiusza; oferta została odrzucona. Germańskie imię Arminiusza mogło być brzmieć Erminaz, a ja dodałem głoskę „t”, by przybliżyć

jego wymowę do współczesnej niemieczyzny.

Jeśli zaś chodzi o podbój Brytanii, niewiele o nim wiemy ze źródeł podstawowych, jako że relacja Tacyty nie dotrwała do naszych czasów, Kasjusz Dion nie poświęca jej wiele miejsca w *Historii rzymskiej*, natomiast Swetoniusz w biografii Klaudiusza jest w lekceważący wręcz sposób zwięzły, a w biografii Wespazjana pobieżny i niejasny. Jedynym legionem, co do którego możemy być w miarę pewni, że brał udział w tej kampanii, jest II *Augusta*, ponieważ wiemy, że Wespazjan był w tym czasie jego legatem, a zarówno Swetoniusz, jak i Kasjusz Dion potwierdzają, że brał on udział w najeździe na wyspę. Dion wspomina jeszcze obecność Sabinusa i Gety. Natomiast Korwinusa, jako czwartego legata, dodałem sam. Świadectwa archeologiczne wskazują na legiony IX, XIV i XX jako wchodzące w skład ekspedycji i tę wersję obecnie się przyjmuje, więc ją wykorzystałem, choć nie jest to w żadnym razie pewnik.

Sama operacja była zakrojona na taką skalę, że nic podobnego się nie zdarzyło aż do lądowania aliantów w Normandii podczas drugiej wojny światowej – nie wątpię, że to stwierdzenie wywoła lawinę listów. By móc docenić ogrom problemów logistycznych, polecam mistrzowskie dzieło Johna Peddie’ego: *Conquest: The Roman Invasion of Britain*. Generał brygady Peddie podchodzi do zagadnienia zarówno z wojskowego, jak i historycznego punktu widzenia i swoimi praktycznymi wojskowymi hipotezami wypełnia luki w naszej wiedzy. Ponieważ Rzymianie mieli zmysł zarówno wojskowy, jak i praktyczny, to ze wszystkiego, co czytałem, ta dotycząca owych wydarzeń analiza wydawała mi się najbardziej przekonująca i właśnie dlatego na jego dziele oparłem swoją relację dotyczącą inwazji i bitwy nad rzeką Medway. Wykorzystałem też jego badania dotyczące kohort pomocniczych, które być może wzięły udział w podboju, oraz jego wyliczenia dotyczące terminu, w jakim musiał nastąpić, by zdążyć z przeprawieniem cesarza z powrotem przez kanał La Manche jeszcze przed jesienną równonocą. Dziękuję ci, Johnie.

Faktem jest, że żołnierze odmówili wejścia na pokłady statków, i Kasjusz Dion pisze, że widok wyzwolenca Narcyza próbującego przemawiać do wolnych żołnierzy Rzymu w imieniu cesarza był tak cudaczny, iż wywołał ogromne rozbawienie i okrzyki „Io Saturnalia!” i w rezultacie doprowadził do tego, że sami, z własnej i nieprzymuszonej woli, postanowili pójść za Plaucjuszem. Nieco tę scenę podkolorowałem, a także sam wymyśliłem wykorzystanie orła Siedemnastego legionu oraz uczyniłem Cenis sekretarką Narcyza.

Rzymianie mieli dzień targowy co osiem dni, ale ponieważ liczyli dni tygodnia

z targowym łącznie, to ich tydzień liczył dziewięć dni.

Odrzuciłem teorię zejścia na ląd Rzymian w Chichester Harbour, ze względu na brak możliwości wsparcia ich marszu na północ, ku Tamizie, i tym samym narażenie obu flank kolumny przy pokonywaniu wrogiego terytorium. Nie przyjąłem również dziwacznej koncepcji, jakoby Sencjusz Saturninus przejął IX legion *Hispana* w Yorku, a potem ruszył z nim na południe, bo po pierwsze, linie dostaw przez zdradliwe Morze Północne okazałyby się wtedy zbyt długie i można by uznać ten pomysł za szaleństwo, a po drugie, dwa lata wcześniej Saturninus był konsulem i mało prawdopodobne, by został legatem. Odrzuciłem również koncepcję trzech osobnych lądowań, bo dzielenie sił, zanim opanuje się dostatecznie dużą część wrogiego terytorium, wydaje się niemądre. Ponieważ głównym celem było zajęcie Kamulodunum, za oczywisty sposób osiągnięcia tego uznałem ten, jaki przedstawiłem w powieści. Dlatego te trzy oddzielne wojskowe operacje, o jakich wspomina Kasjusz Dion, wolałem zinterpretować jako trzy fale jednej.

Na miejsce dotarcia do lądu wybrałem Richborough, to jest Rutupie, ponieważ ma to dla mnie strategiczny sens. Za czasów rzymskich Thanet było wyspą i główna część floty prawdopodobnie znalazła się w cieśninie, którą obecnie tworzy kanał Wantsum. Wspomnianą przez Kasjusza Diona spadającą gwiazdę, poruszającą się ze wschodu na zachód, w kierunku, w jakim żeglowali Rzymianie, niektórzy uważają za dowód, że dotarli do lądu w Chichester, ponieważ aby dostać się do Richborough z Boulogne, trzeba żeglować na północ. Na mapie współczesnej rzeczywiście tak to wygląda, jednak na mapach starożytnych położenie Wysp Brytyjskich jest niejednakowe! Mapa Ptolemeusza, do której Kasjusz Dion miałby dostęp, umiejscawia Chichester zdecydowanie na południowy zachód od Boulogne, a nie wprost na zachód, natomiast Richborough (Rutupie) położone jest tam na północnym zachodzie, a nie na północy. Dlatego więc uznałem ten kierunek podboju Brytanii przez Rzymian za najbardziej prawdopodobny.

Nie wiemy, jak w owym czasie wyglądało schodzenie rzymskiej armii ze statków na ląd; w swoim tekście Cezar wspomina chorążego, który skacze z orłem z okrętu prosto do wody. Ja umieściłem na dziobach statków opuszczane pomosty, bo sto lat później tego rodzaju innowacja była możliwa, skoro sam *corvus* już od kilku stuleci używany był w bitwach morskich. Ponieważ nie ma poważniejszych dowodów w tę czy w drugą stronę, pozwoliłem sobie wprowadzić pomosty, by opisywana inwazja nasuwała pewne skojarzenia z operacją w Normandii z roku 1944.

Kasjusz Dion wspomina beztróskę, z jaką Brytowie obozowali w okresie bitwy

nad Medway – jeśli rzeczywiście była to Medway – nie spodziewając się, że Rzymianie pokonają rzekę bez budowania mostu. Píše też, jak to pewna liczba żołnierzy germańskich oddziałów pomocniczych, najprawdopodobniej Batawów, znanych z umiejętności przepławiania się przez wodę w pełnej zbroi, przepłynęła rzekę, zaskakując Brytów. Przebieg pozostałej części bitwy nie jest jasny, wiadomo tylko, że trwała dwa dni, a Wespazjan i Sabinus wyróżnili się podczas przeprawy przez rzekę. Wspomniany jest również Geta, który miał pobić barbarzyńców po tym, jak ledwie uniknął pochwylenia przez Brytów. Cóż, opisuję to całkiem inaczej i przepraszam za to jego cień.

Tamiza była wówczas o wiele szersza i płytsza i, jak czytamy, estuarium blisko miejsca, w którym uchodziła Medway, można było przechodzić w bród. Miejsce przeprawy legionów Aulusa Plaucjusza jest dyskusyjne, ja ulokowałem je w pobliżu Blackfriars Bridge, dokładnie naprzeciwko Ludgate Hill.

Nie mamy pewności, w jaki sposób Rzymianie luzowali pierwsze szeregi; starożytne źródła nie podają tej informacji, bo zapewne ich autorom rzecz wydawała się zbyt oczywista. Wybrałem zatem jedną z kilku możliwych teorii.

Nie wiemy też, co tak naprawdę zrobił Klaudiusz po przybyciu na wyspę. Swetoniusz pisze, że nie stoczył żadnej bitwy, natomiast Kasjusz Dion twierdzi, że objął komendę nad legionami czekającymi blisko Tamizy... choć nie wiadomo, po której stronie. Potem historyk ten podaje, że Klaudiusz przekroczył strumień – nie rzekę – zaatakował, pokonał barbarzyńców i opanował Kamulodunum. Te sprzeczne poglądy pozwalają na różnorodne interpretacje roli Klaudiusza i dlatego uznałem, że mam wolną rękę w przedstawieniu tego epizodu.

Znajdujemy wzmianki o tym, że cesarz sprowadził z sobą słonie, wydaje się jednak mało prawdopodobne, by użyto ich w bitwie, dlatego też zaprząłem je do rydwanu Klaudiusza, bo w Rzymie to się zdarzało.

Z inskrypcji w Antiochii wiemy, że Publiusz Anicjusz Maksymus był podczas najazdu prefektem obozu II legionu *Augusta* i że został odznaczony za swoją służbę.

Trzymałem się jednolitej metody sygnalizacji, mianowicie stosując róg *cornu* na polu bitwy, *bucina* w obozie i *lituus* w wypadku jazdy, a ignorując tubę ze względu na jej współczesne konotacje.

Nie wiemy, jaka była pozycja Kogidubnusa, zanim odziedziczył tron po Weryce; nie ma dowodów, że był królem Wektis, ale nie ma też świadectw to wykluczających. Swetoniusz pisze, że Wespazjan podporządkował sobie Wektis. Nie wiadomo natomiast, jakie pokrewieństwo łączyło Kogidubnusa z Weryką, jeśli w ogóle

takowe istniało.

Syn Wespazjana, Tytus, pobierał nauki razem z synem Klaudiusza, Brytanikiem. Więcej na ten temat piszę w kolejnych tomach. Jak do tego doszło, jest już całkowicie wytworem mojej wyobraźni. Jestem wdzięczny Johnowi Grigsby'emu za pomoc dotyczącą języka celtyckiego w tamtym okresie i za bardzo pomysłową teorię wyjaśniającą, w jaki sposób można wywieść nazwę Rutupie z Rhudd yr epis. Sam ponoszę winę za wszelkie błędy w celtyckich nazwach i imionach. Strona internetowa Johna: [www.johngrigsby.co.uk](http://www.johngrigsby.co.uk).

Jak zawsze, dziękuję agentowi Ianowi Drury'emu z Sheil Land Associates za pomoc i rady oraz za objaśnienia dotyczące świata wydawniczego. Dziękuję też Gai Banks i Virginii Ascione z działu zagranicznych praw autorskich. Sarze O'Keefe, Toby'emu Mundy'emu, Maddiemu Westowi, Corinnie Zifko i wszystkim z Corvus/Atlantic, wielkie dzięki za taki wielki wkład energii w wydanie serii o Wespazjanie. Dziękuję mojej adiustatorce Tamsin Shelton za skrupulatność w porządkowaniu tekstu, w szczególności zaś jeśli chodzi o nadużywanie przeze mnie wielkich liter.

I wreszcie podziękowania należą się mojemu wydawcy, Richendzie Todd, która po raz kolejny zdołała wydobyć na światło dzienne wszystkie te zagadnienia, które miałem co prawda w głowie, ale którymi zapomniałem się z tobą, drogi czytelniku, podzielić.

Kolejny tom opowieści o Wespazjanie nosi tytuł *Masters of Rome*.

Tytuł oryginału: *Vespasian: Rome's Fallen Eagle*

Copyright © Robert Fabbri, 2013

*All rights reserved*

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań  
2015

#### Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Małgorzata Chwałek

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki: Zbigniew Mielnik

Fotografia na okładce: Tim Byrne

#### Wydanie I e-book

(opracowane na podstawie wydania książkowego:  
*Wespazjan. Utracony orzeł Rzymu*, wyd. I, Poznań 2015)

ISBN 978-83-7818-361-7

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.  
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań  
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74

e-mail: [rebis@rebis.com.pl](mailto:rebis@rebis.com.pl)

[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)

Plik opracował i przygotował Woblink

